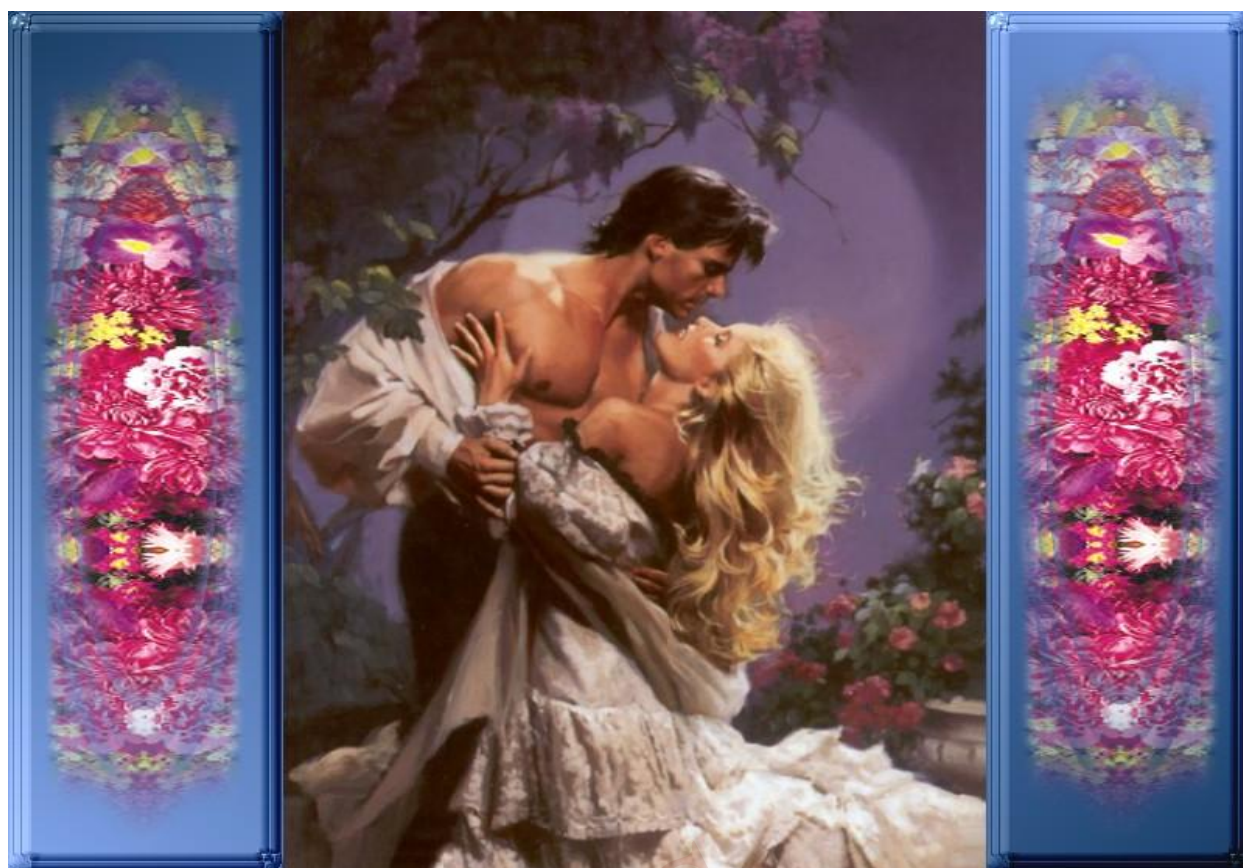




Juliette Benzoni

Katarzyna

Tom II



Prolog

Ta historia rozpoczyna się pewnego burzliwego dnia, 27 kwietnia 1413 roku, kiedy to lud Paryża, podżegany przez oprawcę Caboché'a i profesora Sorbony Cauchona, napadł na pałac Saint-Pol. Katarzyna Legoix, córka złotnika mieszkająca przy moście Pont-au-Change, i jej przyjaciel Landry Pigasse znaleźli się przypadkowo pośród rozwścieczonej gawiedzi. Trzynastoletnia dziewczyna zakochuje się w młodym szlachcicu, Michale de Montsalvym, którego buntownicy wiodą na stracenie. Młodzieniec ma siedemnaście lat i jest niezwykle piękny. Katarzyna za wszelką cenę pragnie wyrwać go z rąk kata. Przy pomocy Landry'ego i tajemniczego żebraka Barnaby udaje jej się odbić Michała i ukryć w piwnicy rodzinnego domu. Niestety, kryjówka zostaje odkryta, a Michał zmasakrowany na oczach

Katarzyny przez jej kuzyna, rzeźnika Legoixa, w obecności Caboche'a i Cauchona. Ojciec Katarzyny zostaje za karę powieszony, a jego dom podpalony. Katarzyna wraz z matką znajduje schronienie u Barnaby w domu przy Dziedzińcu Cudów, ale Luiza, siostra dziewczyny, dostaje się w ręce zakochanego w niej Caboche'a. Katarzyna decyduje się na ucieczkę z Paryża do Dijon, gdzie mieszka jej wuj Mateusz.

Barnaba, Landry i tajemnicza Cyganka Sara ratują Luizę, podstępem ją porywając, i w końcu cała rodzina wsiada na łódź, po czym Sekwaną dociera do Burgundii. Katarzyna chowa w sercu bolesne wspomnienie Michała de Montsalvy'ego, którego nie potrafi zapomnieć. Tymczasem Francja pogrążona jest w wojnie domowej. Karol VI postradał zmysły, królowa Izabela kupczy królestwem, a dwie zwalczające się strony, Armaniacy i Burgundczycy, z bronią w ręku walczą o władzę.

Odnajdujemy Katarzynę dziewięć lat później jako piękną, młodą dziewczynę, która przybywa ze swym wujem, sukiennikiem Mateuszem, na zakupy do Brugii. Podczas procesji Świętej Krwi nachalnie zaczepia ją nieznajomy. Katarzyna policzkuje go, wywołując zamieszanie i skandal. Zostaje zatrzymana i postawiona przed oblicze księcia Burgundii Filipa Dobrego, wielkiego amatora pięknych kobiet. Uroda dziewczyny zwraca jego uwagę. Książę uwalnia Katarzynę, zapewniając, że o niej nie zapomni...

W drodze powrotnej do Dijon Katarzyna znajduje ранego rycerza, na którego widok jej serce zaczyna bić mocniej. Jest on wiernym odbiciem Michała de Montsalvy'ego. Dziewczyna zabiera go ze sobą do oberży, gdzie opiekuje się nim arabski medyk Abu-al-Khayr, podróżujący po świecie w celu pogłębienia wiedzy lekarskiej. Wkrótce wyjaśnia się tajemnica podobieństwa ранego rycerza do Michała. Jest to Arnold de Montsalvy, brat zmarłego. Arnolda i Katarzynę ogarnia poryw namiętności. Dziewczyna prawie mu ulega, lecz na dźwięk jej nazwiska Arnold odpycha ją gwał-

townie. Poprzysiągł bowiem niezłomną nienawiść do każdego, kto zwie się Legoix, gdyż Michał zginął z ręki rzeźnika o tym nazwisku.

Zrozpaczona Katarzyna opuszcza Arnolda i wraz z wujem wraca do Dijon. Wkrótce składa jej hołd znamienita osobistość, Garin de Brazey, wielki skarbnik Burgundii. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu dziewczyna dowiaduje się, że książę Filip wydał jej rozkaz poślubienia pana de Brazeya. Katarzyna buntuje się i aby uniknąć niechcianego małżeństwa, usiłuje doprowadzić do śmierci Garina. Zwraca się w tej sprawie o pomoc do swego starego przyjaciela Barnaby. Lecz Garin wychodzi z zastawionej na niego zasadzki tylko lekko ranny, a pojmany i torturowany Barnaba ginie. Katarzyna musi wyjść za mąż za Garina de Brazeya.

Okazuje się on dość dziwnym mężem. Małżeństwo pozostaje białe pomimo zabiegów Katarzyny, inspirowanej przez Sarę, która stała się jej powierniczką i pierwszą damą do towarzystwa. Przyczyna niezwykłego postępowania męża może być tylko jedna: Garin zachowuje swoją małżonkę nietkniętą dla księcia Filipa! Tymczasem otacza ją zbytkiem i czyni z niej damę dworu księżnej wdowy Małgorzaty. Katarzyna wchodzi na dwór Burgundii.

Podczas zaręczyn siostry księcia Filipa w Amiens tajemniczy rycerz Karola VII wyzywa księcia na pojedynek w imieniu króla, gdyż Filip wydaje siostrę za Anglika, odmawiając uznania swego prawowitego władcy. Tym rycerzem okazuje się Arnold de Montsalvy... Wyzwanie zostaje przyjęte. Arnold potyka się z dzielnym Lionelem de Vendome i z pojedynku wychodzi zwycięsko, lecz jest ranny. Katarzyna nie może oprzeć się chęci odwiedzenia go w namiocie...

Po oschłym przywitaniu Arnold znowu jej ulega, chociaż sądzi, że została kochanką Filipa. Daje swojej miłości dojść do głosu... i wpada w zasadzkę zastawioną przez Jana Luksemburskiego, dowódcę wojsk

Burgundii. Zostaje aresztowany wraz z przyjacielem de Xaintrilles'em. Jest przekonany, że to podstęp Katarzyny. Dziewczyna, boleśnie dotknięta oskarżeniem, pewna, że księżę nie może być w to zamieszany, udaje się do niego, aby donieść o postępkach Jana Luksemburskiego i uwolnić Arnolda. Filip żąda, aby została jego kochanką. Katarzyna zgadza się z rozpaczą w sercu, chce bowiem ratować Arnolda. Ku swemu zdziwieniu noc w książęcym łóżu spędza jednak sama.

Filip pojawia się dopiero nad ranem, jest czuły i troskliwy. Nie pozwala jej wstać z łóża, wprowadza do komnaty Arnolda i jego przyjaciela, aby przeprosić ich w obecności dziewczyny. Katarzyna pojmuję, że została schwytana w pułapkę: Arnold zobaczył ją w sypialni księcia i już nie ma wątpliwości co do zażyłych stosunków łączących ją z Filipem. Odchodzi z uczuciem pogardy.

Dla Katarzyny wszystko jest skończone. Jakie znaczenie ma teraz spełnienie pragnienia Filipa?...

- Dzisiaj wieczorem przyślę po ciebie - zapewnia ją księżę i odsyła dziewczynę z powrotem.

W końcu dlaczego nie?... Katarzyna opuszcza pałac i wraca do domu, który dzieli z przyjaciółką, hrabiną Ermengardą de Chateauvillain.

Część pierwsza

Filip

(1423)

Rozdział pierwszy

Ermengarda

Kiedy Katarzyna wróciła do domu handlarza wełną, dochodziło południe. Drogę z pałacu książęcego przebyła w lektyce, którą sprowadził Jakub de Roussay. Ciężkie, skórzane zasłony chroniły ją przed ciekawskimi spojrzeniami. Zbliżając się do domu, modliła się, by nie zastać w nim nikogo oprócz Ermengardy. W szczególności obawiała się niezyczliwego i baczego spojrzenia młodej Vaugrigneuse. Chciała jak najszybciej znaleźć się sam na sam z przyjaciółką, której rady ceniła coraz bardziej.

Dom wydawał się dziwnie pusty i cichy. W sieni natknęła się na służącą niosącą talerz dymiącej kapusty. Katarzyna wyczytała niepokój w jej spojrzeniu, lecz nie starała się zrozumieć przyczyny. Zapewne dziewczyna musiała być z natury strachliwa... Uniósłszy obiema dłońmi rąbki sukienki,

wbiegła na ciemne schody. Przez wąskie, gotyckie okienko na piętrze wpadł promień słońca, kładąc się na posadzce czerwona, żywą plamą. Z parteru, gdzie handlarz wełny wraz z rodziną zwykł spożywać obiad, dobiegały niewyraźne odgłosy rozmowy.

Katarzyna przekonana, że nie ma tu nikogo, pchnęła dębowe drzwi swego pokoju. Wewnątrz, przy oknie, z rękami założonymi do tyłu stał Garin.

- Jak to...? Pan tutaj...? - spytała zaskoczona.

Podeszła do męża, uśmiechając się nieśmiało, lecz jej uśmiech natychmiast zgasł, gdyż jeszcze nigdy nie widziała Garina w takim stanie. Rysy twarzy wykrzywił mu grymas wściekłości, a kąciki ust nerwowo drgały. Jego twarz z czarną przepaską na oku miała w sobie coś demonicznego. Katarzyna poczuła strach.

- Skąd wracasz? - wycodził przez zęby.

Zacisnęła odruchowo dłonie, chcąc pokonać przenikające ją do głębi przerażenie.

- Sądziłam, że wiesz... wracam od księcia.

- Od księcia?! Czyżby?!

Myśląc, że najlepszym sposobem walki z rozwścieczonym mężczyzną jest pewność siebie, odparła zniecierpliwionym tonem:

- To zapytaj go o to sam! Zobaczysz, co ci odpowie!

Podeszła do kufra, w którym składało się czepki i stroiki, i odwróciwszy się tyłem do męża, zdjęła z głowy aksamitny toczek, aby go schować, lecz w tej samej chwili poczuła okropny ból: Garin chwycił ją za włosy i pociągnął brutalnie do tyłu. Katarzyna upadła na posadzkę u stóp de Brazeya, instynktownie zasłaniając twarz ramieniem. Garin wbił palce w jej ramię tak mocno, że krzyknęła. Pochylił nad nią czerwona z wściekłości twarz. W ręce trzymał pejcz.

- Od księcia, powiadasz?! Od księcia, mała nierządniczo?! Cały dwór widział, jak wchodziłaś do namiotu Montsalvy'ego! Jan Luksemburski znalazł cię w jego ramionach! Sądziś, że nie wiem, iż ten przekłęty Armaniak nie wrócił tej nocy do Gizy? W jakiej to spelunce oddawaliście się swoim nędznym chuciom? Oczywiście! Nie dowiem się tego od ciebie! Ale raz na zawsze wybiję ci z głowy kłamstwa!

Garin przestał panować nad sobą i zanim Katarzyna zdążyła wtrącić choć słowo, poczuła mocne uderzenie bicia. Z krzykiem ukryła głowę w ramionach, kuląc się przed razami. Garin jął smagać jak szalony, bicz przecinał powietrze, spadając na plecy, ramiona i krzyż Katarzyny. Przestała krzyczeć, aby nie rozpalać szału męża. Ale cisza doprowadziła Garina do paroksyzmu wściekłości. Chwycił Katarzynę za suknię na karku i mocno szarpnął. Rozdarty materiał odsłonił plecy i lędźwie Katarzyny, na które znowu spadł bicz, rozcinając delikatną skórę aż do krwi. Dziewczyna zawyła z przenikliwego, palącego bólu. Garin chłostał żonę bez opamiętania, a jego gniew nie ustępował. Katarzyna próbowała przeczołgać się w stronę mebli, aby się ukryć, lecz kiedy tylko zbliżała się do kufra, szafy czy łóżka, wyrastał przed nią Garin i jednym ciosem ciskał ją na środek pokoju. Suknia, cała w strzępach, nie chroniła już nagiego ciała, które wiło się pod uderzeniami. Niczym osaczone zwierzę usiłowała osłonić się przed gradem ciosów. Jak przez mgłę widziała przed sobą wielką, czarną postać i ramię unoszące się do kolejnego uderzenia. Garin sapał przy tym jak kowal przy kowadle. Wydawało się, że chce ją zabić. Katarzyna przestała czuć spływającą po niej krew i przestała krzyczeć. Już prawie nie czuła razów...

Uczyniła jeszcze ostatni wysiłek, zauważywszy uchylone drzwi. Doczołgać się tam! Ukryć się za drzwiami! Uciec przed torturami! Nagle jakiś cień przesłonił zbawienny otwór, zaszeleściła czerwona suknia... i Katarzyna z cichą skargą osunęła się u stóp Ermengardy.

Do uszu na wpół zemdlonej dziewczyny dobiegł okrzyk grozy.
Przeczuwając nadchodzącą pomoc, uczepliła się mocnych nóg ochmistrzyni.

- Na flaki papieża!!! - zawyła Ermengarda. - Co to wszystko znaczy?!

Uwolniwszy nogi z uścisku Katarzyny, tęga dama ruszyła do natarcia; jej dwieście funtów żywej wagi runęło prosto na Garina, spychając go w głąb pokoju. Dzielna ochmistrzyni wyrwała mu z ręki zakrwawiony bicz i cisnęła nim precz, po czym chwyciwszy Garina za kołnierz kaftana, zaczęła nim energicznie potrząsać, miotając przekleństwa, jakich nie powstydziliby się stary wojak. Wielki Skarbnik nie stawiał najmniejszego oporu, pozwalając się popychać, prawie nieść w stronę korytarza, jakby był wypchaną trocinami kukłą. Zdawało się, że atak gniewu pozbawił go zupełnie sił. Wyrzucając go na korytarz, Ermengarda krzyknęła:

- Precz stąd!... I żebym więcej tu pana nie oglądała!

Zamknęła za nim drzwi, a następnie podbiegła do bezwładnej Katarzyny i upadła przy niej na kolana z wyrazem współczucia na szerokiej twarzy.

Nieszczęsna Katarzyna znajdowała się w opłakanym stanie. Jej zakrwawione ciało, pokryte sinoczarnymi pręgami, było prawie nagie; resztką sił zasłaniała piersi strzępami czarnego aksamitu. Splątane włosy przyklejały się jej do twarzy, na której pot mieszał się ze łzami. Ermengarda swą białą dłonią odgarnęła delikatnie włosy przyjaciółki. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Boże, do jakiego stanu doprowadził cię ten potwór, moje biedne dziecko! Chwyć się mojej szyi, zaniosę cię na łóżko.

Katarzyna uniosła ręce, lecz jej rozorane ramię przeszył tak ostry ból, że padła zemdlona. Kiedy odzyskała świadomość, leżała w łóżku cała w bandażach i nie mogła się ruszyć. Nadchodziła noc.

Otworzywszy oczy, ujrzała przy kominku Sarę; Cyganka pilnowała

gotującej się w kociołku stawy. Widok ten przywołał w pamięci Katarzyny wspomnienie sprzed wielu lat. Ileż to razy, budząc się w ruderze Barnaby na Dziedzińcu Cudów, widziała Sarę czuwającą przy ogniu. Wspomnienie dzieciństwa podniosło ją na duchu. Spróbowała poruszyć ręką, odsunąć kołdrę przykrywającą ją aż po czubek nosa, lecz ręka okazała się ciężka jak ołów, a ramię sprawiało taki ból, że nie mogła powstrzymać jęku. W tej samej chwili wpłynęła do pokoju potężna sylwetka Ermengardy. Hrabina pochyliła się nad chorą i położyła swoją miękką dłoń na jej rozpalonym czole.

- Bardzo cierpisz, dziecinko?

Katarzyna chciała się uśmiechnąć, lecz ten wysiłek także okazał się bolesny. Nie było w niej ani jednego mięśnia, ani jednej cząstki ciała, które by nie sprawiały bólu.

- Jest mi tak gorąco - westchnęła - i jestem cała obolała. Czuję się tak, jakbym leżała na cierniach. Wszystko mnie pali.

Ermengarda uniosła głowę i odsunęła się, aby przepuścić Sarę, która pochyliła się nad głową Katarzyny. Twarz Cyganki miała wyraz surowy i dziki.

- Ten potwór byłby cię zabił, mój aniele, gdyby pani Ermengarda nie nadeszła w porę! Czulałam, że coś złego wisi w powietrzu, kiedy ujrzałam go dziś rano. Miał taki straszny wyraz twarzy...

- Gdzie się podziewałaś, kiedy wróciłam do domu? - spytała Katarzyna słabym głosem.

Odpowiedzi udzieliła Ermengarda.

- Garin zamknął Sarę w schowku pod schodami! Wyciągnęłam ją stamtąd dopiero wtedy, kiedy przyszłam do domu. Czyniła taki harmider, że trudno byłoby jej nie usłyszeć. Służba nie odważyła się jej uwolnić, gdyż Garin zagroził, że wrzuci do lochu każdego, kto ośmieli się choćby kiwnąć

palcem. Kiedy weszłam do komory po szarpie i bandaże, była na wpół żywa ze strachu.

- Czy uspokoiłaś tych biedaków?

- Wręcz przeciwnie! - parsknęła hrabina i zaśmiała się hałaśliwie. - Nastraszyłam ich, że książę każe ich obedrzeć ze skóry, gdy się dowie, do czego dopuścili. Nie wiem, czy właśnie nie pakują swoich rzeczy.

Katarzyna rozejrzała się uważnie. Nie był to pokój, w którym mieszkały do tej pory z Ermengardą. Ten był większy, wygodniejszy, a na ścianach wisiały kolorowe gobeliny. Widać było drzwi łączące go z innym pokojem. Myśl, że znajduje się poza zasięgiem ciekawskiej Marii de Vaugrigneuse, pocieszyła chorą. Sara wróciła przed kominek, aby przelać do fajansowej miseczki zawartość małego garnuszka. Tymczasem Ermengarda usiadła w nogach łoża i opowiedziała Katarzynie, jak to wspólnie z Sarą namaściły jej ciało balsamem i owinęły w cienkie pasma płótna.

- Jesteś cała pokryta siniakami i ranami, lecz na szczęście żadna z nich nie jest głęboka. Sara uważa, że zostaną tylko małe blizny, z pewnością nie na twarzy. Sądzę, niech Bóg mi wybaczy, że twój małżonek oszalał. Co takiego mu uczyniłaś?...

Ermengarda płonęła z ciekawości, lecz Katarzyna była zbyt osłabiona, aby opowiadać o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Uniosła tylko zabandażowane ręce, spoglądając na nie ze zdziwieniem. Miała wrażenie, że jest dużą, szmacianą lalką. Jedynie jej starannie zaplecione włosy, leżące na posłaniu, wydawały się żyć i stanowić część jej ciała. Westchnęła.

Ermengarda domyśliła się, co oznaczało to westchnienie.

- Masz rację, nic nie mów! Jesteś zbyt osłabiona. Opowiesz mi wszystko później! - Po czym sama niestrudzenie zaczęła pytać, jak to Garin, nie odważywszy się pokazać, przysłał przyjaciela, Mikołaja Rolina, aby zasięgnął języka. A ona przyjęła go chłodno, podkreślając, że osobiście

czuwa nad panią de Brazey, która im mniej będzie słyszeć o Garinie i jego przyjaciółach, tym szybciej przyjdzie do siebie. Na takie *dictum* Rolin odszedł, nie zadając więcej pytań. To samo, lecz tonem bardziej przyjaznym, odpowiedziała paziowi Jego Wysokości.

Katarzyna uniosła brwi ze zdziwienia.

- To księżę przysłał pazia?

- Tak, młodego de Lannoya. Zdaje się, że księżę miał ochotę spędzić dzisiejszy wieczór w twoim towarzystwie. Naturalnie, musiałam cię usprawiedliwić.

- Co mu odpowiedziałas, droga Ermengardo?

- Po prostu prawdę. Powiedziałam, że miły małżonek zbił cię na kwaśne jabłko i że jesteś na wpół żywa. Temu dzikusowi dostanie się nagana, którą sobie popamięta i która odbierze mu chęć do powtórzenia podobnego czynu!

- Na Boga! - jęknęła młoda kobieta, przygnębiona. - Całe miasto będzie ze mnie kpiło! Nie odważę się spojrzeć nikomu w oczy, jeśli się dowiedzą, że wychłostał mnie jak niewolnicę!

- Moja droga, nie zapominaj, że mały de Lannoy jest szlachcicem. Wie dobrze, że to, co mu się powierza, nie jest przeznaczone dla innych uszu niż uszy księcia. Nie piśnie ani słowa! Muszę dodać, że był wyraźnie oburzony! Ten chłopiec cię uwielbia! Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że jest w tobie zakochany! Ale teraz musisz to wypić...

Sara przyniosła miseczkę z naparem z werbeny, do którego dosypała garść tajemnych ziół. Przy pomocy Ermengardy Katarzynie udało się usiąść na łóżku. Napój miał lekko kwaśny smak, który wcale nie wydawał się niemiły. Do tego był gorący i dodawał sił.

- Użyłam ziela, po którym zaśniesz z łatwością - rzekła Sara. - Podczas snu nie czuje się bólu.

Katarzyna nie zdążyła jej odpowiedzieć, gdyż w tej chwili otworzyły się drzwi i ukazał się w nich mężczyzna ubrany na czarno, w czarnej masce na twarzy. Na jego widok trzy kobiety aż podskoczyły. Stał w drzwiach nieruchomo jak posąg, tylko przez otwory w masce widać było błyszczące, szare oczy.

- Kim jesteś i czego tu chcesz? - spytała Ermengarda, przyjmując postawę obronną.

Nieznajomy zdjął maskę. Ermengarda pochyliła się w głębokim ukłonie. Był to książę Filip we własnej osobie. Na jego twarzy malowało się niewymowne osłupienie.

- Czy to pani, Katarzyno? - krzyknął z niedowierzaniem. - Ależ to niemożliwe!

Owinięta bandażami Katarzyna zaczęła się śmiać. Wyobraziła sobie, jakie wrażenie zrobiło na Filipie, tak miłującym piękno, jej ciało spowite bandażami. Przybył, sądząc, że znajdzie tu młodą, cierpiącą i obolałą kobietę, a nie szmacianą kukłę. Książę wymamrotał:

- Boże, nawet nie przypuszczałem...

- Jest jeszcze gorzej, panie! - przerwała Ermengarda, prostując się z ukłonu. - Pani Katarzyna jest pokryta ranami i posiniaczona od stóp do głów! Cierpi bardzo i mówienie przychodzi jej z trudem...

Filip zaciskał pięści, przysięgając, że wtrąci Garina do lochu, że wyda go katu. Jego oczy ciskały błyskawice, lecz równocześnie, pod wpływem emocji, po jego policzkach stoczyły się ciężkie łzy. Ermengarda nie zwróciła na to uwagi, Katarzyna patrzyła jednak z zaciekawieniem na płaczącego księcia. W końcu hrabinie udało się go uspokoić. Zauważyła także, że tylko sama Katarzyna może wnieść skargę przeciwko mężowi, i nawet jeśli Garin jest brutalem w małżeństwie, to jednak jest wzorowym poddanym... Filip dał się przekonać, że nie należy wywoływać skandalu aresztowaniem Garina.

Usiadłszy na brzegu łóżka, niezwykle ostrożnie ujął zabandażowaną dłoń Katarzyny.

- Jestem zrozpaczony, widząc panią w takim stanie! Ja, który czekałem na ciebie z sercem przepelnionym myślami o tobie... Musisz się leczyć i dbać o siebie. - Odwróciwszy się do Ermengardy, dodał: - Zdaje mi się, że moja matka chce się z panią widzieć, pani de Chateauvillain!

- W istocie, najjaśniejszy panie, księżna jest cierpiąca. Jej stan zdrowia uległ pogorszeniu i dlatego pragnie ona mojego powrotu.

- Opóźnij więc powrót o kilka dni i zabierz ze sobą panią de Brazey, którą chciałbym oddalić na jakiś czas od męża. W Dijon szybko przyjdzie do siebie, a ja, wiedząc, że jest pod pani opieką, będę o nią spokojny. Czy mogę ci ją powierzyć, pani? Jest mi... nieskończenie droga!

- To dla mnie zaszczyt, panie! - odparła hrabina, kłaniając się ponownie.

Katarzyna nie mogła nie podziękować księciu za jego troskę. Perspektywa wyjazdu z Ermengardą była pociągająca. Co za szczęście stracić Garina z oczu! Była równie szczęśliwa, że straci z oczu... Filipa. Przynajmniej znajdzie trochę wytchnienia i będzie mogła pomyśleć.

O sobie i swoich sprawach.

Gdy Filip żegnał się z nią, wzdychając i roniąc łzy, poczuła nagle, że wybacza Garinowi otrzymane razy, gdyż dzięki nim perspektywa oddania się księciu oddaliła się raz jeszcze, i to na czas nieokreślony. Tej nocy nie zostanie jeszcze kochanką Filipa! Jej ciało, choć poturbowane, pozostanie nadal dziewicze, takie, jakie chciała zachować dla tego, którego kochała.

Jednakże, mimo przebaczenia, nie mogła zrozumieć, dlaczego Garin omal jej nie zabił, sądząc, że spędziła noc z innym mężczyzną. Przecież ani jej nie kochał, ani nie pożywał jej ciała, a nawet przeznaczył ją dla Filipa. A więc dlaczego?

W końcu przestała o tym myśleć. Była cała obolała, lecz wkrótce balsam Sary zaczął działać. Minęło zaledwie kilka minut od wyjścia Filipa, gdy Katarzyna pogrążyła się we śnie. Sara usiadła przy ogniu. Jej czarne oczy wpatrywały się w płomienie, jakby chciały z nich wyczytać rzeczy niewidzialne. Na ulicy panowała cisza. Słychać było tylko oddalający się tętent kopyt konia Filipa.

Rozdział drugi

Misja Jakuba de Roussaya

Kilka dni później Katarzyna opuściła Arras. Nie powróciła jeszcze do sił, lecz nie chciała nadmiernie opóźnić wyjazdu przyjaciółki. Poza tym pragnęła jak najszybciej wrócić do domu i uciec z tego miasta, z którym wiązały się same przykre wspomnienia. Dzięki zabiegom Sary i Ermengardy, dzięki balsomom, jakimi namaszczały dwa razy dziennie jej rany, liczba opatrunków malała z dnia na dzień. W dniu wyjazdu zostało ich jeszcze trzy czy cztery, jeden na ramieniu, dwa na udach i jeden na krzyżu. Sara powiedziała, że świeże powietrze uzdrowi jej panią. O świcie ubrała Katarzynę ciepło, gdyż mimo początku maja powietrze było chłodne. Nałożyła jej ciepłe rękawiczki z miękkiej skórki, które od wewnątrz natarła oliwką, a głowę otuliła szalem, by zakryć sińce i podbite oko. Katarzyna miała podróżować w dużej lektyce ciągnionej przez mulice, w której mogła się wygodnie położyć. Ermengarda, pomimo swego zamiłowania do jazdy konnej, postanowiła dzielić lektykę z przyjaciółką, aby dotrzymać jej

towarzystwa. Sara razem ze służbą miała jechać za nimi konno. Ponadto przewidziano eskortę, gdyż w tych stronach było niebezpiecznie. Kiedy nad ranem w dniu wyjazdu Katarzyna ujrzała to wszystko, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Na lektyce widniał herb książęcy, a eskortą dowodził Jakub de Roussay, którego rozpieszczała radość na myśl o tak przyjemnym zadaniu.

- To będzie już druga nasza wspólna podróż - powiedział, witając się z Katarzyną, nieco zdziwiony, że jest tak szczelnie opatulona. - Pierwsza nasza wspólna wyprawa była tak miła, że na tę cieszę się już z góry!

- Powstrzymaj swój zapał, młodzieńcze! - wkroczyła do akcji Ermengarda, zakładając rękawiczki. - To ja będę się zajmować panią de Brazey i jestem w stanie zabawić ją sama! A ty, panie kapitanie, dopilnuj swych ludzi, noclegów i drogi! Sądzę, że wystarczy ci zajęć!

Ofuknięty w ten sposób kapitan najeżył się. Katarzyna tymczasem podała mu rękę.

- Nie besztaj kapitana zbyt surowo, Ermengardo! Pan de Roussay jest moim oddanym przyjacielem i pod jego opieką jesteśmy bezpieczni.

Kapitan, nieco pocieszony, udał się do swoich ludzi, chciał bowiem wraz z nimi przed drogą wypić strzemienne. Tymczasem ładowano bagaże na mulice, a kobiety zajęły miejsca w lektyce. W obawie przed złodziejami obie wzięły ze sobą kufereki z klejnotami. Kuferek Katarzyny ze słynnym czarnym diamentem w środku wart był fortunę.

W końcu ruszyli. Pogoda była paskudna i po polach hulał wiatr. Jakub, zgodnie z rozkazami, prowadził orszak okrężną drogą przez Cambrai, zamiast zmierzać prosto na południe. Chciał ominąć Peronne i hrabstwo de Vermandois, gdzie przebywali ludzie Karola VII. Kapitan nie zniósłby, gdyby droga jego sercu Katarzyna wpadła w ich ręce.

Towarzystwo Ermengardy, pomimo jej zapewnień, nie było zbyt

rozweselające. Zaledwie ułożyła się na poduszkach obok przyjaciółki, wierna swoim przyzwyczajeniom zapadła w głęboki sen i cała jej rozmowa podczas jazdy polegała na potężnym chrapaniu. Jednakże na postojach, w oberżach czy klasztorach, gdzie zatrzymywali się na nocleg, odzyskiwała żywotność i apetyt.

Katarzyna, pozostawiona swoim myślom, wspominała niedawne wydarzenia. Od dnia pobicia nie widziała się z Garinem ani razu. Za to on codziennie zasięgał o żonie wiadomości przez służącego lub raz czy dwa razy przez Mikołaja Rolina.

Oprócz codziennego zdobywania informacji Garin nie uczynił żadnej próby zbliżenia się do Katarzyny. Wkrótce dowiedziała się, że mąż wyjeżdża w interesach do Gandawy i Brugii. Przed opuszczeniem miasta, w przeddzień jej wyjazdu, nie przyszedł się z nią pożegnać. Zresztą dla niej nie miało to najmniejszego znaczenia, a nawet wolała uniknąć spotkania. Długo zastanawiała się, co mogło spowodować jego atak szału, i doszła do wniosku, że obawiał się wpaść w niełaskę księcia, gdyby ten się dowiedział, że Katarzyna odwiedziła Arnolda w jego namiocie. Nie mogło być inaczej. Bo wzbudzenie w nim zazdrości było rzeczą raczej niemożliwą.

Podróż przebiegała spokojnie, chociaż przejazd przez Szampanię nie należał do przyjemności. Miasteczka zrównane z ziemią, ludzie o wynędzniałych twarzach uciekający z miejsc pożogi z resztkami dobytku i zwierząt, które udało im się ocalić. Grupy uciekinierów ciągnęły drogami w poszukiwaniu schronienia na ziemiach Burgundii. Katarzyna i Ermengarda rozdawały biedakom, co mogły, a kapitan de Roussay musiał nieraz siłą przepędzać wygłodniałe hordy otaczające lektykę. Ten obraz ludzkiej niedoli napawał serce Katarzyny przerażeniem.

Pewnego wieczoru, kiedy podróżni po opuszczeniu Troyes zbliżali się ku granicom Burgundii i mieli zatrzymać się na nocleg, na drodze ukazała

się dziwna grupa ludzi, długi pochód kobiet i mężczyzn o śniadych twarzach, z oddali wyglądających na uchodźców z pobliskiego miasteczka. Z bliska prezentowali się niezwykle. Kobiety miały na głowach wełniane turbany, związane pod brodą, a na sobie kolorowe spódnice i koszule z grubego lnu, z głębokim przecięciem pod szyją. Niosły małe, śniade dzieci, na wpół nagie. Inne dzieci kołysały się w koszykach zawieszonych po bokach mulic. Oczy kobiet błyszczały jak węgielki, a zęby lśniły bielą kości słoniowej. Na ich szyjach widać było sznury drobnych monet. Mężczyźni mieli czarne brody zakrywające im prawie całą twarz, nosili filcowe, wypłowiałe kapelusze, krzykliwe, często podziurawione stroje, a także przytroczone do boku krótkie sztylety i miecze. Mówili dziwnym językiem. Za nimi ciągnęły konie, psy i ptactwo domowe. Idąc, śpiewali tęskną melodię, którą Katarzyna kiedyś słyszała. Podniósłszy firankę, wychyliła się z lektyki, aby lepiej ją słyszeć, i nagle zobaczyła Sarę na mulicy, przemykającą w pobliżu jak błyskawica. Cyganka z rozwianymi włosami i błyszczącymi oczami pędziła w stronę dziwnych wędrowców, wydając radosne okrzyki.

- Co jej się stało? - spytała wyrwana ze snu Ermengarda. - Oszalała, czy co? A może zna tych ludzi?

Sara tymczasem zatrzymała swoją mulicę przy mężczyźnie wyglądającym na przewodnika i wdała się z nim w rozmowę. Był młody i chudy jak tyczka; choć odziany w łachmany, postawę miał iście królewską. Katarzyna nigdy dotąd nie widziała Sary tak radosnej. Cyganka zwykle śmiała się rzadko i mówiła niechętnie. Nie lubiła tracić czasu ani mówić po próżnicy. Tylko raz, w tawernie Jakuba Marynarza, Katarzyna odkryła jej prawdziwe oblicze. Teraz, patrząc na rozświetloną wewnętrznym ogniem twarz Sary rozprawiającej w uniesieniu ze śniadym mężczyzną, uczuła w sercu niemiłe ukłucie.

- Możliwe, że zna tych wędrowców - odparła. - Sądzę, że w jej żyłach

płynie ta sama krew...

- Co takiego? Chcesz powiedzieć, że ci łachmaniarze ze swoimi nożami i oczami czarnymi jak węgiel...

- ...są, podobnie jak ona, Cyganami. Opowiedziałam ci przecież kiedyś jej historię.

Na znak Katarzyny de Roussay zatrzymał orszak i wszyscy zaczęli przypatrywać się Sarze. Serce Katarzyny napękało się smutkiem. Cyganka była tak zaabsorbowana rozmową z mężczyzną o ciemnej cerze, że zapomniała o bożym świecie. Nagle odwróciła się i spotkawszy spojrzenie Katarzyny, podbiegła do niej.

- To są ludzie z mojego plemienia! - rzuciła radośnie. - Myślałam, że już ich nigdy nie zobaczę, lecz spełniła się stara przepowiednia: plemiona wyruszyły w drogę, żeby dotrzeć aż tutaj. To plemię, tak jak ja, przybyło od strony Wielkiego Błękitnego Morza. Ci pochodzą z wyspy Modon spod góry Gype, a ja z Cypru, wyspy Afrodyty. Czyż to nie cudowne?

- Owszem - przerwała Ermengarda - ale czy długo będziemy tu jeszcze stali?

Sara nie raczyła jej odpowiedzieć, tylko zwróciła się błagalnie do Katarzyny:

- Proszę cię, pozwól mi spędzić tę noc z nimi. Będą obozować z najbliższym miasteczku, w którym i my mieliśmy się zatrzymać.

- Czy to jest aż takie ważne dla ciebie?

Sara chciała coś odpowiedzieć, lecz Katarzyna miękkiem ruchem ręki nakazała jej ciszę i uśmiechnęła się.

- Nie musisz nic mówić, wydaje mi się, że cię rozumiem. Idź do swoich braci, lecz nie zapomnij o mnie!

Sara nachyliła się pospiesznie i musnęła ustami dłoń Katarzyny, po czym szybko pobiegła do swoich, zostawiwszy mulicę pod opieką żołnierza

z eskorty. Po chwili dołączyła do smagłego mężczyzny. Wyglądała tak, jakby odnalazła kochankę, jej oczy błyszczały, a usta zdobił radosny uśmiech. Ermengarda pokręciła głową.

- Ciekawa jestem, czy wróci do nas jutro rano. Katarzyna zadrżała i z niepokojem spojrzała na hrabinę.

- Dlaczego miałyby nie wrócić? Jej miejsce jest przy mnie...

- Było! Do tej pory ta kobieta, oderwana od swoich korzeni, od bliskich, nie miała nadziei, że kiedykolwiek ich ujrzy. Ty byłaś jej jedyną przystanią. Lecz teraz, kiedy odnalazła swoich... No, nie płacz już - dodała szybko, widząc, że oczy przyjaciółki zachodzą łzami. - Ona cię kocha... i może wróci. Ale zatrzymajmy się jak najszybciej na nocleg. Jestem okrutnie głodna i na dodatek zaczyna padać.

Mała karawana ruszyła w dalszą drogę i wkrótce ich oczom ukazały się wieże kościoła w miasteczku, w którym mieli stanąć na noc.

Cyganie rozłożyli obozowisko na polu za oberżą, w której zatrzymała się Katarzyna z Ermengardą. Z okna ich wspólnego pokoju widać było obóz. Po podwieczorku Katarzyna z lubością przypatrywała się zajęciom tajemniczych wędrowców. Rozpalili oni wielkie ogniska, na których poustawiali olbrzymie kotły. Kobiety, zostawiwszy dzieci ich igraszkom, zabrały się do skubania drobiu i obierania jarzyn. Sara usiadła na pniu obok młodego przewodnika. Czyniono jej najwyższe honory i podano strawę zaraz po nim. Wiosenny zmierzch rozbrzmiewał radosnymi okrzykami dzieci, za to dorośli nie robili wiele hałasu. Rozmawiali przyciszonymi głosami i jedli spokojnie, smakując powoli każdy kęs. Czasem wybuchali śmiechem i Katarzyna miała wielką ochotę dołączyć do tego zaczarowanego kręgu. Pomiedzy trzema

drzewami wzniesiono duży namiot, który miał służyć jako schronienie dla kobiet i dzieci. Ale te ostatnie nie miały najmniejszej ochoty położyć się spać. Niektóre, na wpół ubrane lub całkiem gołe, z okrągłymi brzuskami, biegały pomiędzy ogniskami, inne stłoczyły się wokół wysokiego chłopca, który nastrojał lutnię. Obok kilka dziewcząt z warkoczami potrząsało tamburynami, nie mogąc doczekać się tańców.

Wkrótce, wraz z dzikim akordem lutnisty, rozpoczęła się zabawa. Kilkanaście dziewcząt utworzyło krąg wokół największego ogniska. Spod zwinnych, śniadych stóp zaczęła umykać ziemia, fruwały kolorowe spódnice i wirowały dookoła długich nagich nóg, odkrywając je tym wyżej, im szybszy stawał się rytm.

Muzyk ciągle przyspieszał, tamburyny dźwięczały pod palcami. Warkocze tancerek porozplatały się na odsłoniętych smagłych ramionach. Kiedy spośród chmur wyłonił się blady księżyc, taniec rozszalał się na dobre. Stopy dziewcząt fruwały tak szybko, że trudno było nadążyć za nimi wzrokiem. Krąg tancerzy ogarnęła prawdziwa gorączka. Do tańczących zbliżyła się bojaźliwie grupa mieszkańców miasteczka. Stanęli w cieniu oberży i Katarzyna mogła zobaczyć ich nieufne spojrzenia. Nagle spośród dźwięków tamburynów, klaskania w dłonie i tonów lutni wydobył się drżący, ciepły głos.

- Co to takiego? - szepnęła Ermengarda, która również podeszła do okna.

- To Sara! To Sara śpiewa!

- Przecież słyszę... cóż za wspaniały głos!

Jeszcze nigdy dotąd Sara nie śpiewała tak, jak tego wieczoru. W zadymionej tawernie Jakuba Marynarza jej śpiew był smutny i tęskny. Tym razem wyrażał gwałtowną radość wolności, bezkresnych przestrzeni i szalonej jazdy konnej. Przy refrenie wszyscy Cyganie wtórowali jej chórem.

Sara wyciągnęła ręce do okrągłego księżyca, który cały wyłonił się zza chmur, jakby chciała go pochwycić. Śpiew i taniec połączyły się w jeden żywioł, coraz bardziej szalony i dziki.

Niespodziewanie powietrze przeszły przeciągły krzyk i w tej chwili wszystkie tanecznice uczyniły podobny gest - ich sukienki opadły na ziemię, uwalniając szczupłe, śniade ciała, błyszczące od potu. Wśród gapiów nastąpiło poruszenie, wieśniaczki popychały gwałtownie swoich mężów, którzy wcale nie mieli ochoty wracać do domów...

- Och! - westchnęła Ermengarda trochę z podziwem, trochę z dezaprobatą.

Katarzyna uśmiechnęła się tylko. Często obserwowała podobne widowisko na Dziazińcu Cudów i w tawernie Jakuba Marynarza, i nie gorszyło jej to wcale. Nie znajdowała niczego złego w nagości tych młodych pięknych dziewcząt. Ich harmonijne kształty były dziko piękne niczym posągi ożywione sztukami magicznymi. Oczy Cyganów błyszczały jak rozżarzone węgle. Ognisko z wolna przygasało, księżyc przysłoniły ogromne chmury... Obozowisko ogarniały ciemności. Jeden z młodzieńców, który przykucnął przy ognisku, rzucił się nagle na jedną z nagich dziewcząt, porwał ją w ramiona i uniósł za kępę drzew. Po nim uczynili to samo inni. Sara śpiewała nadal, a noc wypełniła się westchnieniami...

Ermengarda energicznie odciągnęła przyjaciółkę od okna i je zamknęła. Dziewczyna roześmiała się, widząc zapłonioną twarz przyjaciółki.

- Ależ, Ermengardo! Czyżbyś była zgorszona?

- Skądże znowu... lecz wolę nie mieć koszmarów tej nocy! Taki widok nie przystoi kobiecie w moim wieku ani takiej młodej jak ty, w dodatku kiedy mąż jest daleko.

Katarzyna milczała. Czuła, że hrabina ma rację i że lepiej nie oglądać nocnych bachanaliów. Położyła się do łóżka, ale długo nie mogła zasnąć. Do

jej uszu dobiegał ciągle drżący głos Sary i ciche akordy lutni.

* * *

Następnego ranka, natychmiast po przebudzeniu, pobiegła szybko do okna. Odemknąwszy drewniane okiennice, wychyliła się na zewnątrz, wdychając świeże powietrze, lecz spotkał ją wielki zawód. Po obozowisku Cyganów nie zostało ani śladu... z wyjątkiem wypalonych trawy w miejscach, gdzie wczoraj płonęły ogniska. Musieli odjechać o brzasku. W różowym świetle poranka wszystko zniknęło jak sen. Nad okolicą zaległy cisza i spokój. Nocne bachanalia rozwiały się wraz z dymem ognisk. Katarzyna usłyszała ciche gwizdanie pod oknem. Był to jeden z żołnierzy eskorty. Postanowiła go zawołać.

- Powiedz kapitanowi de Roussayowi, że chcę z nim mówić!

Żołnierz zasalutował i zniknął za rogiem domu. Chwilę później rozległo się pukanie. Katarzyna, ubrana w poranne giezło, czekała na kapitana przy oknie. Ermengarda leżała jeszcze w łóżku. Słyszając pukanie, podciągnęła kołdrę aż pod nos, spoglądając na przyjaciółkę z wyraźnym niezadowoleniem.

- Czy nie widziałeś gdzieś Sary dzisiaj rano? - spytała Katarzyna wchodzącego oficera, nie zdążywszy nawet odpowiedzieć na jego głęboki ukłon.

- Ja nie, ale jeden z moich ludzi widział, jak o świcie odjechała z Cyganami na koniu przewodnika.

- Odjechała?...

Katarzynę ogarnął nagle głęboki smutek i chęć do płaczu, jakby była małą, opuszczoną dziewczynką. Ermengarda miała rację. Więzy przyjaźni przestały się liczyć dla Sary wobec zewu krwi, pokusy życia wędrownego i

wolnego. Katarzyna musiała się pogodzić z tym, w co jeszcze wczoraj nie mogłaby uwierzyć. Spuściła głowę, ale Jakub zdążył ujrzeć w jej oczach łzy.

- Och! Pani płacze! - krzyknął przejęty.

- To nic takiego... To zaraz przejdzie... Dziękuję ci, drogi przyjacielu. Ruszajmy w drogę! Dopilnuj, by wnet wszystko było gotowe!

Odwróciła się w stronę okna, by ukryć łzy. Jakub, onieśmielony, nie próbował nawet jej pocieszać. Ermengarda dała mu znak, by się oddalił. Kiedy za de Roussayem zamknęły się drzwi, wyszła z łóżka i podreptała bosą do Katarzyny. Otoczyła ją ramieniem.

- Chodź, popłaczemy sobie razem, mój aniele. Nie myśl tylko, że Sara cię nie kocha! Ona jest jak wędrowny ptak. Odlatuje i wraca.

Katarzyna potrząsnęła głową, tłumiąc łkanie.

- Ona już nie wróci... Odnalazła swoich, jest w swoim żywiole. Najbardziej boli mnie to, że tak odeszła... bez żadnego pożegnania...

- Może się bała, że pożegnanie uniemożliwi jej odjazd. Ubierz się szybko i ruszajmy! Tutaj jest zbyt smutno.

Godzinę później obie kołysały się w lektyce. Słońce stało już wysoko. Kapitan jechał tuż przy powozie, nie śmiać nawet spojrzeć na Katarzynę. Był nieszczęśliwy, nie mogąc zaradzić jej smutkowi. Orszak sunął w ciszy. Około południa przekroczył granice Burgundii, nie natrafiwszy na ślady Sary ani trupy Cyganów. Wydawało się, że rozplłynęli się w porannej mgle...

* * *

Katarzyna była szczerze zadowolona z powrotu do domu i z odnalezienia Abu-al-Khayra. Mały medyk nie opuszczał prawie swojej pracowni, w której dzięki hojności Garina zgromadził wszystko, czego potrzebował do doświadczeń. Kurierzy z Brugii czy Wenecji dostarczali mu

roślin, ziół, metali i przypraw, z których przyrządzał balsamy i leki. Widok obandażowanej Katarzyny obruszył go, jakby spotkał się z profanacją dzieła sztuki. Tak się rozżłościł, że nie śmiała mu wyznać, iż to Garin jest temu winny. Wymyśliła historyjkę o upadku z konia w cierniste krzewy. Abu nie dał jej wiary, lecz przez kurtuazję udawał, że wierzy. Domagał się osobistych oględzin ran i chociaż Katarzyna opierała się, zbadał ją dokładnie, nie wdając się w żadne komentarze. Jedynie przy oglądaniu pleców wyrwała mu się uwaga:

- Ciekawe... Co to mogły być za krzewy? Będę musiał sam udać się na północ, żeby przyjrzeć im się z bliska - rzekł z nutą ironii.

Mały medyk był wielce ukontentowany zastosowanym przez Sarę balsamem z Matarea, najlepszym na wszelkie rany i stłuczenia. Podarował Katarzynie słoik maści sporządzonej z migdałów, bulwy irysa Lewantu, wody różanej, mirry, kamfory i smalcu, którą zalecił nakładać na twarz rano i wieczorem.

Próbował też złagodzić ból spowodowany odejściem Sary. Katarzyna nie mogła się z nim pogodzić. To brutalne opuszczenie było dla niej gorsze od najgorszej zniewagi. I stopniowo jej smutek i żal przemieniały się w gniew. Od chwili ucieczki Cyganki w umyśle młodej kobiety zaszła zmiana, coś w rodzaju buntu. Miała dosyć bycia zabawką miotaną przez los i manipulowaną przez ludzi. Wyglądało na to, że każdy robił z nią, co chciał, nie pytając jej o zdanie. Najpierw Filip, który uważał, że ma prawo wydać ją za męża wbrew jej woli, po to, aby łatwiej ją zdobyć! Potem Garin, który ożenił się z nią, nie czyniąc z niej swej żony i nie racząc nawet wyjawić przyczyny takiego postępowania! U jego boku nie wiedziała już, czy jest podziwianym dziełem sztuki, czy niewolnicą należącą do pana, który stanowi o jej życiu i śmierci. Od czasu pobicia przychyliła się raczej do tej drugiej hipotezy. Przecież gdyby Ermengarda nie przybyła w porę, byłby ją

bez najmniejszego wahania zabił lub na zawsze okaleczył! A co powiedzieć o Arnoldzie, który ją przyciągał i odpychał w zależności od nastroju? Czując, że Katarzyna go kocha, pogardzał nią, pozwalał sobie oceniać jej postępowanie, a nawet jej znajomości, traktować ją jak niższą od siebie istotę. W końcu Sara, która zaskarbiła sobie jej zaufanie i została jej powiernicą, nagle opuszcza ją bez słowa i odchodzi z wędrowcami, nawet ich dobrze nie znając...

Ucieczka Sary była kroplą, która przepełniła kielich gorzkości. Katarzyna postanowiła skończyć z uległością i ciągłymi ustępstwami. Postanowiła, że odtąd sama będzie kierować swoim życiem, nie troszcząc się, czy to się komu podoba, czy nie!

Abu odczytywał z twarzy Katarzyny tok jej myśli. Poprawiając opatrunek na rękę, uśmiechnął się i powiedział:

- Twoim głównym nieszczęściem jest to, że zbyt ufasz ludziom. Życie jest walką, w której każda broń jest dozwolona; jest ciemnym lasem, w którym silniejszy zabija słabszego, ażeby go pożreć!

- Założę się - odparła Katarzyna z lekkim uśmiechem - że w twoim kraju, panie, żyje poeta lub filozof, który powiedział coś na ten temat!

- O, jest ich wielu, lecz jeden z nich powiada: *Na tym targu próżności nie szukaj przyjaźni, posłuchaj mych słów, nie szukaj schronienia. Pogódź się z cierpieniem, nie szukaj na nie lekarstwa. Pomimo nieszczęść żyj radośnie i nie licz na pocieszenie...*

- To piękne - rzekła Katarzyna w zamyśleniu. - Czyje to słowa? Czyżby Hafiza?

- Nie, to słowa Omara Khayyama... pijaka, który wiedział, co mówi. Ucieczka twojej służki zabolowała cię, lecz nie możesz na to nic poradzić, więc po co się martwisz? Życie płynie dalej...

Istotnie, życie toczyło się dalej. Katarzyna podjęła swoje obowiązki u

boku księżnej, która coraz bardziej podupadała na zdrowiu. Poza tym zajmowała się domem, a także często odwiedzała swoją matkę i wuja Mateusza.

W czerwcu była już zupełnie zdrowa. Po ranach nie zostało ani śladu, z wyjątkiem małej, różowej blizny po lewej stronie pleców, na szczęście usytuowanej dosyć nisko i nieujmującej piękna jej ramionom. Nie miała najmniejszej ochoty znaleźć się znowu pomiędzy Garinem a Filipem, którzy udali się do Troyes na ślub księżniczki Anny z księciem de Bedford.

Po ślubie Anny Małgorzata z Gujeny powróciła do swej matki, a Filip towarzyszył nowej księżniczce de Bedford w drodze do Paryża, gdzie zamieszkała we wspaniałym pałacu rodu des Tournelles. Ślub Małgorzaty z Richemontem miał się odbyć w październiku w Dijon. Tego życzyła sobie panna młoda, gdyż chciała mieć pewność, że będzie uczestniczyć w nim jej matka złożona chorobą. Katarzyna ucieszyła się na tę wiadomość, bo była prawie pewna, że nie ujrzy Garina przed uroczystością. Filip, zajęty własnymi sprawami w Paryżu, zapowiadał swój powrót dopiero na sam ślub. Garin, jak zwykle, powinien dotrzymywać mu towarzystwa.

* * *

W gruncie rzeczy osoba Garina i jego sprawy nie obchodziły zbytnio Katarzyny, gdyż absorbowало ją co innego. Mąż zostawił ją w spokoju i było to wszystko, czego od niego żądała. Natomiast Filip nie dawał o sobie zapomnieć. Dwa razy w tygodniu na dziedziniec de Brazeyów przybywał zdorożony posłaniec i osuwał się z konia. Zdarzało się czasem, że koń padał razem z jeźdźcem. I niezmiennie następował ten sam rytuał: rycerz, przyklękawszy na kolano, podawał Katarzynie jedną ręką list, a drugą pakunek.

Listy księcia były krótkie. Filip Dobry nigdy nie należał do wielkich epistolografów. Kilka czułych słów lub, najczęściej, kilka strof zapożyczonych od poety. Za to podarunki były zawsze niezwykle piękne, chociaż książę nigdy nie przysyłał jej klejnotów. Uważał, że obraziłby nimi Katarzynę. Jedyne małżonko albo kochanek może ofiarować kobiecie klejnoty. Przysyłał więc wyroby artystyczne: bursztynowe figurki, posążki z nefrytu, kryształu lub kości słoniowej, mieniające się tęczą barw puzderka - owoce cierpliwości rzemieślników z Limousin. Kiedyś przysłał Katarzynie figurkę zonglera w ubranku z czerwonej satyny, podrzucającego i chwytającego złoczone piłki. Wszystko to mogło zadowolić kokieterię młodej kobiety i wzbudzić jej zainteresowanie ofiarodawcą. Katarzyna jednak przyjmowała podarunki, odpowiadała wdzięcznym bilecikami... i myślała o czymś innym.

Od pewnego czasu zauważyła wokół siebie niezdrowe poruszenie. W okolicach domu zaczęli się kręcić jacyś nieznajomi. Kiedy wychodziła do miasta, czuła, że ktoś za nią idzie. Czasem był to żołnierz ze straży książęcej, czasem prosty mieszczanin, innym razem student lub młody kopista z sąsiedztwa, nierzadko mnich...

Katarzynę zaczęło to w końcu męczyć i złościć, gdyż nie wiedziała, komu zawdzięcza ten nadzór. Podejrzewała Garina, bo któż inny, jak nie mąż, kazałby ją śledzić? Czyż sądził, że w Dijon, gdzie wszyscy ją znali, mogłaby się źle prowadzić? A może chciał mieć pewność, że nie przyjmuje posłańców Arnolda? W każdym razie sprawa ta była wielce nieprzyjemna i Katarzyna ubolewała, iż nie potrafi wygarnąć raz na zawsze mężowi, co sądzi o jego zachowaniu. A bojąc się ośmieszyć, nie chciała żądać wyjaśnienia od żadnego ze śledzących ją ludzi. W miarę upływu czasu zdenerwowanie Katarzyny wzrastało.

Pewnego popołudnia, kiedy wracała do domu z obiadu u państwa Champdivers, rozpoznała w drepczącym jej po piętach osobniku przebranym

w mieszczkański strój jednego z żołnierzy straży książęcej, która eskortowała ją w drodze do Arras. Mimo że kapelusz z szerokim rondem osłaniał mu twarz, Katarzyna przypomniała sobie ten bulwiasty nos pijaka i tę fioletową, rozległą plamę pod lewym okiem.

Rzuciła wodze konia majordomusowi Tiercelinowi i pobiegła do pokoju, aby przez okno lepiej przyjrzeć się spacerującemu po ulicy tam i z powrotem człowiekowi. Przechadzał się od pałacu de Brazeyów do sklepiku mistrza Aubina, wielkiego wytwórcy pergaminów, zaopatrującego również Garina. Przyglądał się od niechcenia pięknym, misternie spreparowanym pergaminom, które zdobiły wystawę, odchodził, by za chwilę powrócić. Katarzyna nie wiedziała, jak ma postąpić. Gdyby była tutaj Sara, posłałaby ją na przespiegi i szybko dowiedziałaby się wszystkiego. Nikt tak po mistrzowsku nie potrafił wyciągnąć z ludzi potrzebnych wiadomości. Medyk zbyt rzucił się w oczy, aby wysłać go z taką misją, a sama nie miała śmiałości wybadać szpiega. Jego sylwetka skierowała podejrzenia Katarzyny na młodego kapitana de Roussaya, który zawsze peszył się w jej towarzystwie. Postanowiła w końcu sama się przekonać, jak się rzeczy mają.

Okolo południa udała się do książęcego pałacu, aby podjąć swe obowiązki u boku księżnej Małgorzaty. Tym razem brudny i obszarpany żebrak szedł za nią krok w krok, aż do bram pałacu, lecz ona, udając, że go nie zauważyła, weszła do środka i udała się do księżnej.

Małgorzata usnęła właśnie po lekkim posiłku, wyczerpana upałem letniego dnia. Ermengarda również miała zamiar uciąć sobie drzemkę i, gdy weszła Katarzyna, ledwo powstrzymywała opadające powieki.

- Jeśli masz ochotę zdrzemnąć się w naszym towarzystwie, to nie widzę przeszkód. W przeciwnym razie idź korzystać z pięknej pogody i wróć do nas później. Jej Wysokość z pewnością nie obudzi się przed trzecią.

Katarzyna, zachwycona możliwością zrealizowania swego planu,

podziękowała jej i, wychodząc, oznajmiła, że udaje się do ogrodu odpocząć na świeżym powietrzu. Po czym zeszła tam i chwilę spacerowała brukowanymi alejkami wijącymi się wśród arabesk niskiego żywopłotu i sadzawek z rybami. Następnie wachając ulubione czerwone róże Małgorzaty, zdecydowanie zbliżyła się do budynków, gdzie znajdowały się żołnierskie kwatery, a wśród nich miał swoją także kapitan.

Upał stawał się nieznośny. W powietrzu roiło się od much i os. Strażnicy pałacowi, w przekrzywionych hełmach, maszerowali w miejscu, oparci na lancach. Katarzyna bez trudu dotarła do schodów prowadzących do kwatery Jakuba de Roussaya. Wewnątrz było bardzo duszno, gdyż ołowiane okucia dachu nagrzewały się nadmiernie od słońca. Katarzyna poczuła spływające jej wzdłuż pleców kropelki potu, chociaż tego dnia założyła lekką sukienkę z przewiewnego materiału w kolorze soczystej zieleni, świeżą jak źródłana woda. Jej włosy, zwinięte nad uszami, były uwięzione w dwóch srebrzystych siatkach, z których na czoło zwisała długa perła.

Usłyszawszy rozmowę, przyspieszyła kroku. Rozpoznała głos kapitana; z powodu upału musiał zostawić drzwi swego pokoju otwarte.

- Zostawmy to na razie - mówił kapitan. - Podyktuję ci list do Jaśnie Pana. Już dwa dni temu powinienem był do niego napisać i nie mogę dłużej tego odkładać, gdyż dziś wieczór rusza posłaniec do Gandawy. Jesteś gotowy?

Jestem - pomyślała w głębi duszy Katarzyna, której instynkt podpowiadał, że zaraz usłyszy coś ciekawego. Zatrzymała się przed ostatnim schodkiem, gdzie za zakrętem mogła być niewidoczna.

- *Prześwietny i Możny Panie* - dyktował Jakub. - *Błagam Waszą Wysokość o przebaczenie, jeśli moje listy nie są zbyt częste, lecz proszę, abys zechciał rozważyć, że nie mam, na nieszczęście lub na szczęście, nic szczególnego do zakomunikowania. Dyskretny nadzór, jaki roztoczyłem nad*

panią de Brazey... - Nadażasz, czy też mam dyktować wolniej?

Katarzyna poczuła złość, lecz zarazem rodzaj satysfakcji, że udało jej się zgadnąć.

A więc to on! - pomyślała. - Och, cóż za nędznik! Dyskretny nadzór! Przecież wszyscy mogli go zauważyć! Ale posłuchajmy dalszego ciągu!

- ...Nad panią de Brazey - bąknął niewidoczny skryba.

- ...*wydaje się niepotrzebny. Pani de Brazey prowadzi życie stateczne, odwiedza jedynie matkę i wuja oraz rodzinę de Champdivers. Nie wysyła ani nie przyjmuje żadnych zaproszeń, z wyjątkiem wyżej wspomnianych osób, a z domu wychodzi tylko po to, aby się udać na mszę do kościoła Notre Dame*

Kapitan kończył list długimi i starannie dobranymi formułami grzecznościowymi.

Katarzyna nie mogła powściągnąć oburzenia. Nagle w jej głowie zrodził się iście szatański pomysł. Teraz ona się zabawi!...

Ująwszy w dłonie rąbki sukni, zeszła bezszelestnie kilka stopni. Następnie opuściła suknię, głośno zakaszła i weszła z powrotem, robiąc przy tym tyle hałasu, ile się tylko dało. Gdy znalazła się przed drzwiami, które - jak przypuszczała - zastała otwarte, ujrzała stojącego w nich Jakuba.

- Pani tutaj? - krzyknął zaskoczony, czerwieniąc się aż po czubki uszu.

Katarzyna obdarzyła go swym najśłodszym uśmiechem i zbliżywszy się, podała mu dłoń wygiętą jak szyja łabędzia, by złożył na niej swe usta.

- Dlaczego nie! - odparła krotkawilnie. - Skoro pan mnie nie odwiedzasz, ja postanowiłam odwiedzić pana. Czy wiesz, że powinnam się za to gniewać? Podróżujemy razem wiele dni, nie odstępujesz mnie na krok, a zaledwie przybywamy na miejsce, pan znikasz! To nieładnie! Nieładnie z pana strony!

Jakub, purpurowy z zakłopotania, nie wiedział, gdzie się podziać. Mały skryba, w okularach na wydatnym nosie, zerkał ciekawie zza jego szerokich

pleców.

- Powiedz, czy ci nie przeszkadzam - dodała przewrotnie, wkraczając jednocześnie do pokoju, aby dobitnie okazać, że ma zamiar się rozsiaść.

Jakub cofał się przed nią, a mały kleryk zginał się w ukłonach, zapewniając, że zaraz ucieka.

- Ależ nie przeszkadzasz mi wcale - wybąkał wreszcie biedny kapitan.

- Ja... właśnie pisałem... pisałem... list do matki, a obecny tu ojciec Augustyn użyczał mi swego pióra, gdyż w tej materii nie jestem zbyt mocny.

- Wiem, jesteś, panie, walecznym rycerzem i wolisz miecz od pióra - odparła Katarzyna, obdarzając kapitana kolejnym uśmiechem, po czym, rozejrzawszy się po pokoju, dodała: - Ależ tu u pana czarująco!

W rzeczywistości w pokoju kapitana panował okropny bałagan. Co prawda meble były przepiękne, a tapety świeże, lecz wszędzie walały się stroje, broń i butelki. Na stole, na którym kleryk pisał list, wśród porzucanych papierów stały brudne kubki i dzban z porowatej kamionki, na którym perlily się świeże krople wina świadczące o tym, że niedawno z niego korzystano. Łóżko było niezasłane, więc Katarzyna odwróciła skromnie oczy od tak szokującego widoku. Pomimo otwartego okna w pokoju panował nieznośny zaduch.

- Pani! Ten widok jest niegodny twoich oczu! - zakrzyknął kapitan. - I w dodatku mój strój...

- Ależ nic nie szkodzi. Nawet panu w tym do twarzy. Zresztą przy takim upale...

W istocie, kapitan miał na sobie tylko zielone, obciste pluderki i cienką, płócienną koszulę, rozchełstaną do pasa. Katarzyna pomyślała, że woli go w takim stroju niż w odświętnym uniformie czy w zbroi. W tym niedbałym przyodziewku miał wygląd zdrowego i silnego chłopca, przy czym zalatywał winem i potem, co nie było wcale tak niemile...

Katarzyna spojrzała na dzbanek.

- Mógłbyś, panie, poczęstować mnie winem? - zapytała, siadając bezceremonialnie na brzegu łóżka. - Umieram wprost z pragnienia, a to wino wygląda na dobrze schłodzone.

- To Meursault*...

- A więc nalej mi go trochę - rzekła z uwodzicielskim uśmiechem.

** Słynne białe wino burgundzkie.*

Kapitan pośpiesznie nalał wina i, zginając kolano prawie do podłogi, podał jej pełny kubek, który opróżniła małymi łykami, nie spuszczać wzroku z kapitana. Chociaż pierwsze zaskoczenie ustąpiło, to jednak jego zachwycone oczy pozwoliły się domyślić młodej kobiecie, że nie może on uwierzyć swemu szczęściu.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz, panie?

- Bo nie wiem, czy to jawa, czy sen... czy to naprawdę ty, pani, jesteś u mnie, tak blisko...

- Jak to? Jesteśmy przecież przyjaciółmi! A to wino jest doskonałe. Ale... cóż to? W głowie mi się kręci... Lepiej już pójdę...

Katarzyna wstała, lecz nagle z cichym jękiem przyłożyła dłoń do czoła i zachwiała się na nogach.

- Mój Boże! Co się ze mną dzieje? Czuję się dziwnie...

W tym momencie byłaby upadła, ale Jakub pochwycił ją w ramiona i nie wypuszczając jej z uścisku, zmusił, by usiadła.

- To nic takiego - uspokajał. - To tylko ten upał i to wino! Było bardzo zimne. Może wypijaś je zbyt szybko...

- Bo byłam bardzo spragniona. Och! To okropne! Duszę się!

Uniosła ręce do piersi, jakby cienki jedwab stanika zbyt ją uciskał.

Jakub, chcąc jej pomóc, zaczął rozsupływać sznurówki stanika, a Katarzyna osunęła się bez czucia na posłanie. Ten ruch uwolnił z gniazdek, prawie pod nosem kapitana, cudowne krągłości, których widok odurzył go szybciej niż wino Meursault. Nieszczęsny Jakub stracił resztki rozwagi i zapominając o niedomaganiu Katarzyny, ścisnął ją mocno, obsypując pocałunkami nagą pierś i bełkocząc niezrozumiale.

Katarzyna obserwowała go spod przymkniętych powiek, pozwalając, aby upajał się nią przez kilka chwil. Bojąc się jednak, że sama straci głowę, postanowiła położyć kres temu doświadczeniu. W końcu kapitan, nie będąc pięknym, był młody, przyjemny i silny jak tur. Westchnęła głęboko, odepchnęła młodzieńca z siłą, która by go zadziwiła, gdyby zachował choć trochę rozsądku. Ale o żadnym rozsądku nie było mowy: Jakub oszalał!

Kiedy Katarzyna uniosła się z posłania, próbował z powrotem wziąć ją w ramiona. Odepchnęła go lekko, udając zmieszanie na widok swego stroju w nieładzie.

- Co mi się stało? O Boże!... Pamiętam... straciłam przytomność... ten upał... i to wino! Przebacz mi, przyjacielu - przy czym specjalnie podkreśliła słowo „przyjacielu”. - Zachowałam się w sposób godny pożałowania. Nigdy jeszcze nie zemdlalam.

Kapitan, niczego już nie słysząc, padł przed Katarzyną na kolana i gniótł w swych dłoniach jej rękę, patrząc na nią błagalnym wzrokiem.

- Pani! Nie odchodź! Zostań... odpocznij chwilę... Gdybyś wiedziała, jak droga mi jest twoja osoba...

Lecz ona, uwolniwszy rękę z uścisku, wstała i przeszła kilka kroków po pokoju.

- Wiem, mój drogi, wiem - odparła omdlewającym głosem. - Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Założę się, że w czasie mojego zasłabnięcia opiekowałeś się mną z całym oddaniem, na jakie cię stać. Czuję się już

lepiej.

Jakub nadal klęczał przy łóżku, nie mogąc znieść myśli, że Katarzyna za chwilę odejdzie, że mu umknie, podczas gdy był już tak blisko spełnienia dręczącego go od dawna marzenia. Wstał i podszedł do niej, wyciągając rękę.

- Nie odchodź jeszcze, proszę! Jesteś zbyt osłabiona... Katarzyna tylko potrząsnęła głową.

- Nie kuś mnie. Muszę wracać. Nawet nie wiem, jak długo tu zabawiłam.

- Nie jest późno. Napij się jeszcze trochę wina - zaproponował perfidnie. - Ono postawi cię na nogi. A poza tym nie powiedziałaś mi, czemu zawdzięczam twoją wizytę...

- Nie czuję już pragnienia, a pańskie wino jest zdradliwe, mój drogi Jakubie! Co to ja miałam ci powiedzieć?...

Przerwała, posyłając mu drwiący uśmiech. Porzuciła omdlewający ton i jej głos przybrał normalne brzmienie, pełne ironii i zjadliwej słodyczy.

- Chciałam tylko, abyś miał o czym donieść Jego Wysokości Filipowi na temat pani de Brazey! Myślę, że teraz możesz napisać księciu, jak pojmujesz sposób niesienia pomocy zemdlonym damom! Na twoim miejscu, panie, wezwałabym tu ojca Augustyna! A może wolisz, abym to ja ci napisała twój list? Umiem ładnie pisać. Mój wuj Mateusz uważa, że jestem w tej sztuce biegła niczym benedyktyn!

Po tych słowach, zadowolona z powodzenia swego fortelu, uciekła z pokoju i zbiegła po schodach na złamanie karku, nie przejmując się rozpaczliwymi okrzykami Jakuba. Zatrzymała się dopiero w ogrodzie, aby nabrać tchu.

* * *

Nadeszły dni, w których Burgundia potrzebowała sił - tak podupadających - swojej księżnej wdowy. Podczas gdy Filip był zajęty we Flandrii, oddziały króla rozszerzyły działania wojenne wzdłuż północnej granicy księstwa. Konetabl John Stuart de Buchan i marszałek de Severac napadli na Krawant. Należało stawić czoło niebezpieczeństwu, Małgorzata, zebrawszy resztki sił, wysłała swoje oddziały pod rozkazy marszałka de Toulangeona, a do swego zięcia Bedforda wystosowała list z prośbą o pomoc.

Wysłaniu listu do Paryża towarzyszyła dramatyczna scena, która rozegrała się pomiędzy księżną Małgorzatą i Ermengardą w obecności Katarzyny. Hrabina zarzuciła chorej, że wzywa na pomoc Anglika. Małgorzata zwróciła na nią twarz wykrzywioną bólem, z pomocą Katarzyny uniosła się na poduszkach i wyciągnęła dłoń do starej przyjaciółki.

- Burgundia jest w niebezpieczeństwie, Ermengardo... Burgundia, którą mój syn, panujący książę, powierzył mi... Byłabym gotowa zaprzedać duszę diabłu i wezwać go na pomoc, żeby ją tylko uchronić, i żeby uniknęła cierpień! Jeśli Anglik, mąż mojej córki, oddali niebezpieczeństwo, złożę podziękowanie Anglikowi!

Po tych słowach opadła na posłanie, zupełnie wyczerpana. Ermengarda nic nie odrzekła. I po raz pierwszy od czasu jej poznania Katarzyna widziała ją płaczącą, ją, żelazną damę, ten żywy przykład obowiązkowości i lojalności, jakim była wielka ochmistrzyni!

Trzydziestego lipca rozegrała się bitwa pod Krawantem, z której król Francji wyszedł pokonany przez oddziały przysłane przez Bedforda, a dowodzone przez Suffolka. Zrozpaczona Katarzyna dowiedziała się o stratach od Mikołaja Rolina, pomysłodawcy wezwania Bedforda na pomoc.

Przybył on złożyć księżnej szczegółowe sprawozdanie: konstabl Buchan stracił oko, pole bitwy usłane było trupami, wzięto wielu zakładników. I tak Katarzyna dowiedziała się, że Arnold i Xaintrilles także zostali uwięzieni.

Nie lubiła Mikołaja Rolina, lecz w tej chwili stał się jej nienawistny przez swoją radość i dumę, a także dlatego, że aż pod niebiosa wychwalał angielską pomoc. Rolin znalazł się w gronie jej osobistych wrogów. Ermengarda wyszła z komnaty, aby nie skoczyć kanclerzowi do gardła.

* * *

Każdego ranka Katarzyna zwykle udawała się na mszę do kościoła Notre Dame, tak jak to czyniła, będąc młodą dziewczyną. Po mszy odwiedzała matkę i wuja. Lubiła spacerować ulicami wczesnym rankiem, kiedy powietrze było jeszcze chłodne i świeże, zanim sierpniowy upał nie zaciążył nad miastem. Uczestniczyła we mszy z taką żarliwością, z jaką niegdyś oddawała się rozrywkom. Nieskończona potęga Boga była dla niej jedyną pomocą w rozwikływaniu kłopotów sercowych i dzień po dniu Katarzyna błagała niebiosa o wsparcie, którego tak potrzebowała.

Po ucieczce Sary podniosła do rangi pierwszej służącej Perrynę, jedną ze służek pomagających jej przy toalecie. Dziewczyna miała osiemnaście lat, była świeża, miła i całkowicie oddana swojej pani, dla której rzuciłaby się w ogień bez wahania. Była pełna prostoty i nie stawiała pytań. Katarzyna doceniała te zalety. Perryna zawsze towarzyszyła jej w porannej mszy.

Otóż pewnego ranka, kiedy jak zwykle modliły się w pobliżu kaplicy Czarnej Madonny, zauważyła zbliżającego się do nich mnicha, który ukląkł nieopodal. Miał na sobie zakurzony habit przepasany grubym powrozem, a twarz prawie całkowicie ukrytą pod kapturem. To, co jednak można było dostrzec, wydawało się dosyć sympatyczne. Wszystko miał okrągłe: nos,

usta i policzki. Po chwili uniósł głowę i rzucił na Katarzynę żywe spojrzenie, po czym pochylił się nad nią i wyszeptał:

- Pani, wybacz mi niedyskrecję, czy aby nie jesteś panią de Brazey?

- Tak, to ja, ale...

Mnich płochliwie uniósł palec do ust.

- Psst. Mów ciszej! Jesteś tą, której szukam. Przysyła mnie pani de Champdivers. Przybywam z Saint-Jean-de-Losne i byłbym się udał prosto do twego domu, gdybym się nie obawiał ciekawości twojej służby... a i tego, że mogę nie zostać wpuszczony. A więc zasięgnąłem języka...

- Mając porękę mojej przyjaciółki Odetty, nie musiałeś się obawiać, mój ojciec, że nie zostaniesz przyjęty. Co mogę dla ciebie uczynić?

- Proszę o kilka chwil rozmowy... w cztery oczy.

- Więc pójdz ze mną po mszy. Najwygodniej będzie rozmawiać u mnie.

- Lecz... pani Odetta przestrzegła mnie, abym unikał pana de Brazeya.

- Mój małżonek jest nieobecny, więc możesz się nie obawiać.

Msza dobiegła końca. Ksiądz obrócił się w stronę wiernych, aby udzielić im błogosławieństwa. Kiedy zniknął za ołtarzem, Katarzyna wstała i skierowała się do wyjścia z Perryną i mnichem. Po chwili znaleźli się w pełnym słońcu na ulicy. Katarzyna szybkim krokiem ruszyła do domu, rezygnując z odwiedzin u matki. Była ciekawa, dlaczego Odetta przysyła posłańca i co takiego ma jej do powiedzenia. Odesławszy Perrynę, zamknęła się z mnichem w swoim pokoju.

- Proszę - rzekła, wskazując na krzesło. - Jesteśmy sami, nikt nam tu nie przeszkodzi. Możesz mówić spokojnie. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Pomóc nam. Ale najpierw powiem, kim jestem. Nazywam się Stefan Chariot i, jak zapewne domyśliłaś się po moim stroju, należę do zakonu braci mniejszych, założonego przez Franciszka z Asyżu. Mieszkam wraz z innymi

braćmi w Mont Beuvray.

Mnich pokrótce opowiedział, jak dzięki renomie znawcy ziół został wezwany do nieszczęśliwego króla Karola VI i jak zaprzyjaźnił się z Odetta, która pielęgnowała szalonego władcę. „Małej królowej” spodobał się zdrowy, burgundzki rozsądek tego energicznego, lecz delikatnego mnicha. Napary, które przygotowywał, często przynosiły ulgę i sen biednemu królowi. Po jego śmierci mnich odjechał do swojego Mont Beuvray, a Odetta wróciła do rodzinnej Burgundii.

Katarzyna pomyślała, że oboje mają teraz ten sam sekretny cel: służyć królowi Karolowi VII z takim oddaniem, z jakim służyli jego ojcu.

- Sądziliśmy oboje - ciągnął mnich - że będziemy bardziej przydatni naszemu władcy, przebywając wśród nieprzyjaciół, niż pozostając w dobrach królewskich i modląc się o zwycięstwo jego oddziałów. Pani Odetta i ja bylibyśmy z pewnością otrzymali gościnę u Jego Wysokości, lecz woleliśmy wrócić. Położenie Mont Beuvray w enklawie Chateau-Chinon jest rzeczywiście wyjątkowe. Ten wąski pas ziemi, należący do księcia Jana Burbońskiego, jest wciśnięty pomiędzy ziemie burgundzkie - ściślej mówiąc, między księstwo Burgundii a hrabstwo Nevers...

- Rozumiem - rzekła Katarzyna. - Znakomity punkt szpiegowski.

- Raczej punkt obserwacyjny - poprawił się brat Stefan - a szczególnie doskonały punkt przerzutowy.

Katarzyna uważnie spoglądała na swego gościa. W promieniach słońca, padających przez okno, wydawał się jej starszy, niż sądziła w kościele. Co prawda, miał świeżą cerę, a skóra na jego puciołowatej twarzy była różowa i napięta, lecz w kącikach oczu widniały kurze łapki. Jako mężczyzna nie był zbyt piękny, ale jego oblicze jaśniejące dobrocią i inteligencją spodobało się jej. Uśmiechając się, przerwała jego wykład geografii politycznej:

- Rozumiem dobrze te sprawy, lecz nie wiem, co mogłabym uczynić w tej materii...Brat Stefan skierował na nią swe poważne spojrzenie.

- Jak już wspomniałem: pomóc nam. Pani Odetta utrzymuje, że darzysz pani sympatią Karola VII... i że jesteś zadomowiona na dworze Burgundii. Mogłabyś stanowić dla nas nieocenione wprost źródło informacji... Ale nie marszcz brwi! Zgaduję, co masz na myśli i co chcesz powiedzieć: nie jesteś szpiegiem, czyż nie?

- Przyjemnie jest słuchać, jak ojciec przedstawia sprawy.

- Jednakże proszę cię, pani, abyś chciała uwzględnić jedno: sprawa Karola VII jest słuszna i sprawiedliwa, gdyż jest to sprawa Francji, podczas gdy książę Filip wyciąga rękę do najeźdźcy w celu umocnienia władzy i powiększenia swoich dóbr!

Katarzyna słyszała to już wiele razy z ust Ermengardy. W dodatku słowa mnicha były wierną kopią słów rzuconych w twarz Filipowi przez Arnolda w Amiens. Mnich mówił dalej:

- Dla ratowania słusznej sprawy wszystkie sposoby są dopuszczalne. Sprawa króla jest z nich najszlachetniejsza i najszlachetniejsza! Jest on pomazańcem bożym. Kto jemu służy, służy samemu Bogu! W godzinie zwycięstwa potrafi on wynagrodzić swoje wierne sługi... chociaż - dodał z dobrodusznym uśmiechem - pani, zdajesz się nie należeć do tych, którzy oczekują zapłaty za dobre uczynki.

- Mówi się, że król to lekkoduch, zajęty ucztowaniem i kobietami.

- W istocie, żałuję, że nie mogę zaprowadzić cię, pani, na dwór.

Uczyniłabyś z niego swego niewolnika... Wybacz, pani, me słowa, zbyt brutalne w ustach mnicha. Król jest słaby, to prawda, lecz u jego boku czuwa anioł. Władza, mądrość są w rękach kobiety, jego teściowej, wielkiej, szlachetnej Jolanty Aragońskiej, królowej Sycylii i Jeruzalem, hrabiny Andegawenii i Prowansji, najszlachetniejszej i najpotężniejszej księżniczki

naszych czasów. To jej właśnie służę szczególnie, a ona zaszczyca mnie najwyższym zaufaniem. Mogę cię, pani, zapewnić, że jej pamięć jest wierna, umysł sprawny. Jest to wyjątkowy geniusz polityczny i dobrze jest jej służyć.

- A więc... - Katarzyna nie dokończyła, gdyż w jej głowie zaświtała pewna myśl, myśl tak pociągająca, że uśmiechnęła się bezwiednie.

Brat Stefan nie mógł doczekać się odpowiedzi.

- A więc?

- Czy uważasz, że jeśli przed rozpoczęciem służby u twojej królowej poprosiłabym ją o pewną przysługę, przystałaby na to?

- Dlaczego nie? Jeżeli to możliwe i rozsądne. Jolanta jest bardzo hojna. Zawsze możesz poprosić.

- W czasie bitwy pod Krawantem wielu panów zostało wziętych do niewoli przez hrabiego de Suffolka. Kilku z nich... jest moimi przyjaciółmi. Niech król zapłaci okup za Arnolda de Montsalvy'ego i Jana de Xaintrilles'ego. Jeśli wyjdą na wolność... możecie liczyć na moją pomoc! Odetta mówi prawdę: uważam, że sprawa króla jest słuszna i godna obrony.

Oczy mnicha zaokrągliły się radośnie. Wstał i ukłonił się nisko.

- Niech cię niebo błogosławi, o pani! Jeszcze dziś wieczorem ruszę do Bourges, aby przekazać królowej twoje posłanie. Albo jestem w wielkim błędzie, albo twoja prośba zostanie spełniona! Wiem, że Jej Wysokość bardzo ceni brawurę i lojalność tych dwóch kapitanów. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł tu wrócić z dobrymi wiadomościami.

- Zawieziesz mi je do Saint-Jean-de-Losne, gdzie udaję się, aby odwiedzić przyjaciółkę. A teraz bądź mym gościem przy stole. Mamy sobie jeszcze wiele do powiedzenia...

I wyciągnąwszy dłoń do nowego przyjaciela, Katarzyna powiodła go do jadalni, gdzie właśnie podano kolację.

* * *

Późnym wieczorem brat Stefan opuścił Dijon, a Katarzyna następnego dnia udała się do Saint-Jean-de-Losne do Odetty. Księżna Małgorzata udzieliła jej łaskawie kilku dni wypoczynku. Perspektywa tej krótkiej podróży na jakieś siedem, osiem mil, zachwycała Katarzynę jak zapowiedź długiej wyprawy. Zostawiwszy pałac pod opieką majordomusa Tiercelina i małego medyka, wyruszyła rankiem konno w towarzystwie samej tylko Perryny i dwóch służących. Powietrze kipiało radością. Słońce wstało nad rozległymi łąkami dojrzałych do zbioru zbóż.

Katarzyna spotkała Odettę nad rzeką, gdzie dawna faworyta doglądała swoich służących przy praniu. Sama też miała podwinięte rękawy, nagą szyję i dekolt, a jasne włosy związane luźno niebieską, taką jak sukienka, wstążką. W tym stroju, mimo przekroczonej trzydziestki, wyglądała jak młoda dziewczyna. Była cienka w talii, ruchy miała żywe i czarujący uśmiech.

Przyjaciółki rzuciły się sobie w ramiona i uściskały gorąco.

- Co za niespodzianka! - powtarzała Odetta. - Jak to miło, że odwiedziłaś mnie w mojej pustelni!

- Myślałam o tym, od kiedy pani matka powiedziała mi o chorobie twojej córki. A wczoraj miałam wizytę, dzięki której zdecydowałam się przyjechać. Taki pustelnik jak ty...

Odetta rozejrzała się niespokojnie wokoło i dała znak Katarzynie, aby zamilkła. Następnie ujmując ją za rękę, pociągnęła za sobą w stronę domostwa, zostawiając praczki same. Kobiety minęły otwartą bramę i stromą dróżką zbliżyły się do wysokiej wieży z gotycką bramą, nad którą widniał herb.

- Obawiam się, że moja siedziba wyda ci się dosyć ponura - westchnęła Odetta. - Ten zamek należy do kapitana miasta, a on sam wynajął sobie

mieszkanie przy głównej ulicy. Jest tu bardzo zimno, ale w lecie całkiem znośnie.

Urlop Katarzyny zapowiadał się wesoło. Przyjaciółki miały sobie wiele do powiedzenia. Zaczęła Katarzyna, gdyż piękna pustelnica płonęła z ciekawości, aby dowiedzieć się wszystkich szczegółów o uroczystościach i przyjęciach. Dochodziła północ, a Katarzyna ciągle jeszcze opowiadała.

Następnego dnia przyszła kolej na Odettę. Mówiła o królu i jego otoczeniu, które tak dobrze знаła. W końcu Katarzyna ośmieliła się wspomnieć o Arnoldzie. Odetta często widywała młodzieńca na dworze, w otoczeniu księcia Orleanu.

- Nie będzie ci łatwo pokonać jego uprzedzenia. Jest twardy, nieprzejednany i diabelsko dumny. Z całego serca nienawidzi wszystkiego, co burgundzkie, i, jeśli naprawdę zależy ci na jego miłości, będziesz musiała ze wszystkiego zrezygnować: z męża, bogactwa i zaszczytów - odparła Odetta.

Obie kobiety zdecydowały, że będą mówić sobie na ty. Ich przyjaźń nie potrzebowała podpierać się dworską etykietą.

- Czy twoim zdaniem nie byłoby rozsądniej z niego zrezygnować? - spytała Katarzyna, lecz za chwilę sama wycofała się ze swego pomysłu.

- Nie... to niemożliwe! Nie można nakazać sercu, aby przestało bić.

- Nie mówię, żebyś zrezygnowała. Obawiam się jedynie, że będzie ci ciężko, że zabierze to dużo czasu... i będzie wymagało anielskiej cierpliwości. No cóż, wierzę, że jesteś do tego zdolna. Poza tym jesteś tak piękna, że nie wymknie ci się, chociaż może się opierać.

Mówiąc to, Odetta spoglądała na przyjaciółkę, która właśnie wyszła z rzeki i wykrcęła mokre włosy owinięta prześcieradłem. Było tak gorąco, że postanowiły się wykąpać. W tym miejscu Saona, tocząc swe nurty przy murach miasta, tworzyła zakole osłonięte drzewami, tak że można się było tu

wykapać, nie będąc widzianym. Odetta i Katarzyna długo pływały w chłodnej, przejrzystej wodzie. Następnie wyszły na brzeg pod osłoną traw i trzciny tak wysokich, że zasłaniały ich ciała aż po szyję. Odetta owinięta suchym prześcieradłem siedziała na piasku, a Katarzyna się wycierała.

- Czy... pan de Montsalvy... odnosi sukcesy wśród pań? - spytała Katarzyna nieśmiało.

Odetta roześmiała się, szczerze ubawiona tonem przyjaciółki, a także jej naiwnością.

- Sukcesy? To zbyt słabe określenie, moja droga. Nie ma takiej kobiety czy młodej panny, która by się w nim nie kochała. Zresztą wystarczy na niego spojrzeć. Ośmieliłabym się twierdzić, że to najbardziej czarujący mężczyzna w całej Europie! Kosi damskie serca jak chłop pszenicę!

- A więc - kontynuowała Katarzyna, starając się zachować obojętną minę - musi mieć wiele kochanek...

Odetta, przygryzając źdźbło trawy, bawiła się, obserwując zazdrość widoczną na niespokojnej twarzy Katarzyny. Śmiejąc się, przyciągnęła przyjaciółkę do siebie, zmuszając, aby ta usiadła obok.

- Och, ty głuptasku! Oczywiście, że Arnold nie jest dziewicą, wręcz przeciwnie. Ale bierze kochanki tak, jak wychyla się puchar wina, gdy się ma na niego ochotę. Po zaspokojeniu pragnienia ciska się go w ką. Nie wierzę, żeby była na świecie choć jedna kobieta, która mogłaby się pochwalić, że spędziła w jego ramionach więcej niż jedną noc! Znam takie, które przez niego wylały morze łez... i nadal płaczą. On nigdy się nie przywiązuje. Uważam, że pogardza kobietami, z wyjątkiem jednej: mojej matki, którą darzy szczególnym podziwem. Chcesz wiedzieć, co ja myślę? Powiem ci: jeżeli jakaś kobieta zawładnie w końcu jego sercem, to będzie nią ta, która siedzi teraz blisko mnie! Trudność polega na tym, aby go o tym przekonać. Jedyne pomoc, jakiej udzielisz Jolancie Aragońskiej, może cię zbliżyć do niego.

Królowa Sycylii bowiem cieszy się szacunkiem Arnolda, który jest jej wielce oddany.

* * *

Dni upływały spokojnie. Przyjaciółki, czekając na powrót brata Stefana, odłożyły politykę na bok. Odpoczywały, wstawały późno, kąpały się i wygrzewały na piasku. Po obiedzie urządzały sobie sjęstę albo wracały nad wodę, kiedy indziej wyruszały konno na pola. Wieczorami, po kolacji, słuchały śpiewu pazia lub opowieści minstrela. Tak minęły trzy tygodnie, bez specjalnych wydarzeń. Pewnego dnia przybył posłaniec z listem od Ermengardy, która pisała:

Rzecz niesłychana, moja droga Katarzyno! Jak Ci zapewne wiadomo, ksiązę Filip był zmuszony udać się do Gandawy w wielkim pośpiechu. Otóż pewna kobieta, podająca się za jego własną siostrę, wywołała tam skandal, po tym, jak została przyjęta niczym księżniczka. Okazało się, że jest to biedna wariatka, zakonnica, która uciekła z klasztoru w Kolonii. Ksiązę przekazał szaloną biskupowi, który obiecał odesłać ją do przeoryszy. Lecz te nieszczęścia opóźniły wyjazd Jego Wysokości do Paryża, gdzie już powinien być w tej chwili. Mówi się, że kazał wypłacić Bedfordowi to, co należało się z posagu świętej pamięci Michaliny. Wyobrażasz sobie te kombinacje między - cokolwiek by mówić - francuskim księciem a angielskim regentem, który już musiał oddać Peronne, Roye i Montdidier, do tego dwa tysiące dukatów, zamek w Andrevic i myto z Saint-Jean-de-Losne, co powinno zainteresować Twoją przyjaciółkę. Co do tych trzech miast, Filip nie ma ich jeszcze, gdyż musi je odbić królowi...

Cały list był utrzymany w tym tonie. Ermengarda nie pisywała często, lecz kiedy już chwyciła za pióro, wtedy zużywała całe kilogramy pergaminu.

Odetta słuchała lektury z gorzkim uśmiechem.

- Podziwiam szczodrość regenta! Płaci swoim sprzymierzeńcom tym, co do niego nie należy! Saint-Jean-de-Losne należy do mnie, a ksiązę nie waha się go przyjąć. Nie troszczy się, że mnie zrujnuje!

- Może tego nie robi. Z pewnością zachowasz swoje miasto, Odetto - zapewniała Katarzyna, na co tamta wzruszyła tylko pogardliwie ramionami.

- Nie znasz Filipa! Jego ojciec podarował mi to miasto w podziękę za opiekę nad królem Karolem, lecz teraz, kiedy król już nie żyje, a ja nie jestem do niczego potrzebna, zabiera bez skrpułów to, co zostało mi podarowane. Filip jest taki sam jak jego ojciec. To chciwiec zachowujący pozory szczodrości. Nie potrafi być bezinteresowny.

- No dobrze - wtrąciła Katarzyna - lecz jestem jeszcze ja! Filip utrzymuje, że mnie kocha. Jeśli tak jest, będzie musiał mnie wysłuchać!

Tego samego wieczoru brat Stefan stanął przed zwodzonym mostem w Saint-Jean-de-Losne i poprosił, aby go wpuszczono. Był cały zakurzony, a z sandałów wystawały mu brudne, podrapane stopy. Uśmiechał się jednak promiennie.

- Cieszę się, że was widzę razem - rzekł i pozdrowił obie panie. - Pokój z wami!

- I z tobą, bracie Stefanie! - odparła Odetta. - Jakie wieści przynosisz? Lecz Siadajże najpierw. Zaraz każę przynieść zimnego wina.

- Nie odmówię. Droga z Bourges jest długa i niebezpieczna. Cały czas deptały mi po piętach oddziały burgundzkiego kapitana Perrineta Gressarda. Ledwo uszedłem z życiem! Za to nowiny przynoszę dobre, wręcz wspaniałe dla pani de Brazey. Król zgodził się wypłacić okup za pana de Montsalvy'ego, który zdążył już stanąć na swoim posterunku w Vermandois.

A jakie są wasze nowiny? Zamiast odpowiedzi Katarzyna wręczyła mnichowi list Ermengardy. Był to pierwszy jej odruch buntu przeciwko Filipowi, i to uczyniony z pełną determinacją.

Brat Stefan szybko przebiegł wzrokiem alarmujący list hrabiny i rzekł:

- Bedford czyni wielkie ustępstwa... potrzebuje Filipa... tak samo jak król potrzebuje wytchnienia.

- Co to znaczy? - spytała Katarzyna z odcieniem wyższości w głosie.

Mnich, nie przejmując się jej tonem, spokojnie odpowiedział:

- To znaczy, że książę Filip opuścił Paryż i zmierza do Dijon, aby przygotować wesele pani z Gujenny... i że czas odpoczynku skończył się dla żony wielkiego skarbnika Burgundii.

Aluzja tak jasna wywołała uśmiech na ustach Katarzyny.

- Dobrze. Jutro wracam do Dijon!

- Ja zostaję! - rzuciła twardo Odetta. - Jeśli książę chce mojego miasta, będzie musiał wziąć je siłą, a z jego ruin wydobyć mojego trupa!

- Pani, obawiam się, że się nie zawaha! - wtrącił ponuro mnich. - A Saona płynie tak blisko, że książę łatwo pozbędzie się ciała... Z nim nie wygrasz! Po co tak się upierać?

- Po to, aby...

Odetta poczerwieniała, ugryzła się w język, w końcu wybuchnęła śmiechem.

- Dlatego, bracie Stefanie, że jest jeszcze za wcześnie. Masz rację, nie ma we mnie nic z bohaterki, a wielkie słowa do mnie nie pasują. Zostaję, bo po prostu czekam na posłańca księcia Sabaudii, który pragnie pogodzić wrogich sobie książąt. Po jego odjeździe udam się do moich rodziców, do Dijon.

Katarzyna wróciła do swego pokoju i spędziła część nocy przy oknie. Wszedł wspaniały księżyc. Pod murami rzeka toczyła cicho swe wody koloru rtęci. Dolina Saony pogrążona była we śnie. Od czasu do czasu ciszę

mąciło dalekie szczekanie psa lub pohukiwanie sowy. Katarzyna czuła, że spokojne chwile minęły bezpowrotnie. Nadchodziły dni walki i strachu. Była teraz szpiegiem w służbie króla Francji. Dokąd jeszcze miała ją zaprowadzić miłość do Arnolda?

Rozdział trzeci

Powrót Garina

Każdego roku w dniu świętego Michała Archanioła Katarzyna udawała się do kościoła pod jego wezwaniem, aby pomodlić się za duszę nieszczęsnego Montsalvy'ego, który, pomimo jej nieuleczalnej miłości do Arnolda, pozostał pierwszą, najczystsza miłością.

Kościół Świętego Michała znajdował się przy murach miasta i stanowił dosyć ponurą budowlę. Nad starą nawą wznosiła się kwadratowa wieża, cały dół był drewniany, widać też było niechlujne poprawki po ostatnim pożarze. Zgodnie ze swoim zwyczajem Katarzyna nie spieszyła się zbyt. Kiedy wraz z Perryną wracały do domu, słońce stało już wysoko. Niezwykle ożywienie przed szeroko otwartymi bramami pałacu - tłoczące się mulice i konie, stosy bagaży, cała ta krzątająca się przyglądała się ciekawie kilku młodych kopistów - wskazywało na to, że wrócił Garin de Brazey. Katarzyna nie była tym faktem zaskoczona, gdyż spodziewała się przyjazdu męża lada dzień.

Była jedynie niezadowolona, że pojawił się tak wcześnie, a nie po

południu, gdyż wtedy miałyby więcej czasu na przygotowanie się do rozmowy z nim, której przebiegu nie mogła przewidzieć.

W holu natknęła się na Tiercelina. Pilnował służących wnoszących właśnie wielki kufer z żelaznymi okuciami.

- Czy mój małżonek pytał o mnie? - rzuciła w jego stronę, zdejmując z włosów woalkę.

Majordomus uklonił się nisko, potrząsając przecząco głową.

- Z tego, co mi wiadomo, nie, proszę pani. Pan Garin udał się prosto do swoich apartamentów. Nie widziałem, żeby schodził.

- Dawno przyjechał?

- Około godziny temu. Czy chcesz, pani, aby cię zaanonsować?

- Nie, to zbyt szkodliwe. Muszę się przebrać. Pan Garin nie lubi zbyt skromnych sukien - dodała Katarzyna z uśmiechem, wskazując na swój strój z cienkiego, białego jedwabiu, po czym wbiegła po schodach prowadzących do jej pokoju.

- Szybko, pomóż mi się przebrać - rzuciła w kierunku Perryny, która nie odstępowała swojej pani na krok.

Po wejściu do pokoju obie kobiety skamieniały z wrażenia. Ich oczom ukazał się bajeczny widok, coś, co przypominało jaskinię Ali Baby.

Wszystkie meble zniknęły pod stosem precyzyjnych tkanin. Z foteli, kufrów i kredensów spływały potoki kolorowych brokatów przetykanych srebrem i złotem, wysadzanych błyszczącymi kamieniami, mieniących się orgią fantastycznych odcieni. Z baldachimu spadała kaskada białych koronek flamandzkich z Brugii i Brukseli, układających się na kolorowych materiałach niczym lawina śnieżna. Pośrodku pokoju stał szeroko otwarty wielki srebrny kufer wypełniony po brzegi buteleczkami ze złota, kryształu, nefrytu i karneolu, z których dobywał się niezwykle zapach perfum...

Oszołomiona tym widokiem Katarzyna zrobiła kilka kroków, lecz

Perryrna z otwartymi ustami stała na progu jak zaklęta. Katarzyna odwróciła się i widząc, że służąca schyla się w ukłonie, zrozumiała, że nadchodzi Garin. Coś w niej zadrżało, lecz zrobiła wysiłek, aby się opanować, przełknęła ślinę i zacisnąwszy palce na złożonym modlitewniku, stanęła wyprostowana, naprzeciwko drzwi, w wyczekującej pozie.

W chwilę potem ukazał się Garin i jak zwykle zatrzymał się w drzwiach bez słowa, przyglądając się swej żonie. Nie zdążył się jeszcze przebrać i jego buty do jazdy konnej pokryte były kurzem. Steżale rysy twarzy czyniły go podobnym do posągu. Nagle na jego ponurym obliczu pojawił się uśmiech.

- Czy pokój się pani podoba?

- Ależ... jest wspaniały... Dlaczego to wszystko?

Garin podszedł powoli do Katarzyny i położył dłonie na jej ramionach.

- Coś mi mówiło, że należy ci się, pani, zadośćuczynienie. Jest to danina, którą składam mojej ofierze, wyraz moich wyrzutów sumienia. To także dowód, że myślałem o pani... - Spokojnie, bez żadnych widocznych uczuć, złożył pocałunek na jej czole, po czym odwrócił się.

- Wyrzuty sumienia? To doprawdy dziwnie brzmi w pana ustach.

- Dlaczego? To właściwe słowo. Niesłusznie cię posądziłem, pani, i żałuję tego. Dowiedziałem się bowiem, że tamtą noc spędziłaś u Jego Wysokości... Zresztą zupełnie spokojnie...

Obojętność jego głosu denerwowała młodą kobietę.

- Czy mogę spytać, kto pana tak dokładnie poinformował?

- Któż inny, jak nie sam książę? Powiedział mi, że ofiarował ci gościnę... z wszelkimi honorami. Mój gniew był więc niesłuszny. Sądziłem, żeś była u innego, i raz jeszcze proszę cię, pani, o przebaczenie.

- A przecież widziano mnie, jak wchodziłam do „tego innego”, czyż nie? Kto ci, panie, powiedział, że tak bardzo się pomyliłeś? - rzuciła

nerwowo Katarzyna.

Jej złość rosła z sekundy na sekundę. Jeszcze nigdy nie czuła się tak poniżona, traktowana jak przedmiot przez Filipa i jego skarbnika, którzy obojętnie decydowali o jej losie.

Garin wybuchnął śmiechem.

- Nikt, jedynie zdrowy rozsądek i ostatnie wiadomości. Sądzę, że gdyby istotnie pan de Montsalvy był więźniem twojego uroku, nie uczyniłby tego, co zamierza w tej chwili...

- Co masz na myśli, panie? Doniesiono mi, że wpadł w ręce Anglików w czasie bitwy pod Krawantem.

- W rzeczy samej, został pojmany, lecz król Karol wykupił go wraz z drugim panem z Owernii. Ale ja mam na myśli jego rychłe zaślubiny...

- Co takiego?

Garin udał, że nie zauważa, jakie wrażenie wywarły jego słowa na Katarzynie. Ujął w dłonie kawałek blad różowej satyny i bawiąc się nim od niechcienia, mówił dalej:

- ...z Izabelą de Severac, córką marszałka. Związek ten planowano już od pewnego czasu i, jak się zdaje, przyszli małżonkowie są bardzo w sobie zakochani.

Katarzyna wbiła paznokcie w dłoń, aby nie zawyć. Czyniła nadludzkie wysiłki, by nie pokazać Garinowi, jak okropny ból sprawił jej tymi kilkoma słowami. Słabym głosem zapytała:

- Od kogo masz, panie, te wiadomości? Nie sądziłam, że w Burgundii i w Paryżu wszyscy tak żywo interesują się tym, co się dzieje na dworze króla Karola.

- Moja droga, ależ tak! Jeśli związek ma takie znaczenie. A w tym przypadku łączą się dwie stare i znane rodziny, więc cała szlachta jest zainteresowana. Ślub był przewidziany na święta Bożego Narodzenia. Ale

narzeczeni nie chcą tak długo czekać. Wesele odbędzie się w Brugii za miesiąc. No cóż, myślę, że to dobre nowiny zarówno dla mnie, jak i dla ciebie. Jeżeli się żywi przyjaźń dla kogoś... jak ty, pani, dla młodego Arnolda de Montsalvy'ego, jest się szczęśliwym, mogąc dzielić jego szczęście. Dla mnie nowina też jest dobra, gdyż mnie upewnia... dając mi odczuć jednocześnie, jaki byłem wobec pani niesprawiedliwy. Czy mi przebaczysz?

- Oczywiście, że przebaczam. Nie martw się o to, panie. I dziękuję ci za te wszystkie wspaniałości.

- Pomyślałem sobie - rzekł Garin, składając pocałunek na zimnej dłoni Katarzyny - że będziesz potrzebowała nowych strojów na to wesele. Musisz pięknie wyglądać. Jestem taki dumny, kiedy cię podziwiają!

Komplementy w ustach Garina należały do rzadkości. Katarzyna zmusiła się, żeby się uśmiechnąć, lecz jej boleśnie zranione serce krwawiło. Za nic na świecie nie mogła dopuścić do tego, aby Garin zauważył jej rozpacz. Odniosła wrażenie, iż w bacznym spojrzeniu męża czai się oczekiwanie na taką reakcję. Zaczęła przerzucać koronki, które przywiózł, co pozwoliło jej mieć spuszczone oczy. Czowała, że za chwilę się rozplacze.

Garin oddalił się w kierunku drzwi, lecz na progu odwrócił się i dodał:

- Byłbym zapomniał... Księżę przysyła ci pozdrowienia. Prosił mnie też, abym ci przekazał, że byłby szczęśliwy, mogąc się z tobą spotkać w najbliższym czasie.

To, co kryło się za tymi słowami, przekraczało granice wytrzymałości Katarzyny. Nie można było dobitniej uzmysłwić jej oplakanej sytuacji, w jakiej się znajdowała. Kimże była ona, córka prostaka, w porównaniu z taką Izabelą de Severac. Można było kupczyć jej życiem, handlować jej ciałem i jej skromnością... Co za wstyd, co za niegodziwość! Jak dwóch mężczyzn mogło tak postępować z niewinną kobietą?

Odwróciła się w stronę Garina z twarzą pobladłą ze złości; jej oczy

płonęły gniewem.

- Nie spotkam się z księciem - powiedziała niskim, gardłowym głosem.

- Pan i pana księżę możecie od dzisiaj położyć krzyżyk na tak sprytnie uknutych planach! Co do pana, to wolno panu być fałszywym mężem, okrywać się hańbą i popadać w śmieszność! Ale ja, mała mieszcza bez znaczenia, zabraniam panu handlować mną jak jakimś towarem!...

Nagle z jej oczu trysnęły łzy i pokryły całą twarz, lecz jej wzburzenie nie zmalało. Zagarnęła w ramiona rozrzucone wokół niej materiały, cisnęła je na podłogę i deptała z wściekłością.

- Oto, co czynię z pańskimi prezentami! Nie potrzebuję materiałów, nie potrzebuję sukien, których nie będę nosić! Nie zobaczą mnie więcej na dworze... nigdy!

Garin przyglądał się Katarzynie z lodowatym wyrazem twarzy.

- Nikt nie wybiera swego losu, moja droga... a pani los, w moim przekonaniu, nie jest wcale okropny.

- To pan tak uważa, nie ja! Jakim prawem odebrał mi pan wszystko, co stanowi o szczęściu kobiety: miłość, dzieci...

- Księżę pała do pani afektem.

- Ale ja go nie kocham, nie będzie mnie miał. A teraz proszę stąd wyjść! Proszę wyjść! Czyż nie widzi pan, że nie mogę znieść pana widoku! Czy nigdy pan nie wyjdzie?

Garin otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie rzekłszy nic, wzruszył tylko ramionami, wyszedł z pokoju i zamknął drzwi. Katarzyna rzuciła się na łóżko, szlochając głośno. Kaskada koronek spadła na nią z baldachimu i okryła jej rozpacz białą mgłą. Tym razem wszystko było skończone, życie przestało mieć sens. Arnold utracony na zawsze, gdyż kocha inną, młodą, piękną, godną niego kobietę, może ją szanować i mieć z nią dzieci, z których będzie dumny! A do niej, córki złotnika, żony uległego

Garina, którą widział nawet w łóżku księcia Filipa, będzie zawsze czuł pogardę. Była opuszczoną istotą pośrodku pustyni, bez żadnej drogi, bez gwiazd. Nie wiedziała, gdzie jest jej ratunek. Nie miała już nic... nawet ramienia Sary, w które mogłaby wtulić swą umęczoną głowę. Sara, tak jak inni, wzgardziła nią i odeszła - tak jak Arnold i Garin, tak jak wzgardziłyby nią i porzucił księżę Filip, zaspokoiwszy swoją żądzę.

Piersią Katarzyny wstrząsnęło spazmatyczne szlochanie. Łzy paliły jej oczy... Uniosła się z wysiłkiem, zaplątana w zwoje koronek, które chwyciła ze złością, aby je podrzeć. Wstała powoli, opierając się o kolumnę łoża. Wokół niej wirował pokój, podobnie jak tego dnia, gdy u wuja Mateusza wypiła za dużo wina. Zauważyła stojący na kredensie kuferek wysadzany niebieskimi i zielonymi kamieniami. Z wyciągniętymi rękami rzuciła się po niego jak po swój jedyny ratunek, przycisnęła go mocno do piersi i opadła na podłogę. Jej serce waliło jak szalone. Otworzyła kuferek i wyciągnęła małą kryształową buteleczkę w złoconym etui. Była w niej trucizna, którą ongiś dostała od Abu-al-Khayra. Medyk przykazał pilnować jej jak oka w głowie.

- Zabija natychmiast, bez najmniejszego bólu - powiedział. - To moje arcydzieło. Zależy mi, abys to miała, gdyż w tych okropnych czasach każda kobieta powinna mieć możliwość ucieczki przed potwornościami, jakie mogłyby ją spotkać. Gdybym miał ukochaną żonę, też ofiarowałbym jej taką buteleczkę... Jesteś zbyt droga memu sercu...

Pierwszy i jedyny raz medyk z Kordoby wspomniiał o swoich uczuciach do niej, co głęboko wzruszyło Katarzynę, a także wprawiło ją w dumę, gdyż dobrze znany jej był niepoehlebny sąd Abu o kobietach. Dzisiaj, dzięki przyjaźni mauretańskiego medyka, miała w ręku sposób na ucieczkę przed własnym losem, przed przyszłością, której nie chciała. Wyciągnęła flaszeczkę ze złoconej oprawy. Płyn był bezbarwny i przezroczysty jak woda. Przeżegnała się pośpiesznie. Jej wzrok spoczął na dużym krucyfiksie z

kości słońskiej zawieszonym na ścianie pomiędzy oknami.

- Przebacz mi, Panie - wyszeptała.

Uniosła buteleczkę do ust. Za chwilę wszystko będzie skończone. Oczy się zamkną, pamięć zgaśnie, a zranione serce przestanie bić.

Już miała przechylić zawartość flakonika do ust, gdy nagle czyjeś ręce wyrwały truciznę z jej dłoni.

- Nie po to ci ją dałem, abyś użyła jej teraz - zagrzmiął głos Abu-al-Khayra. - Jakie niebezpieczeństwo ci zagraża?

- Niebezpieczeństwo życia! Nie chcę żyć!

- Postradałaś zmysły? Czyż nie masz wszystkiego, czego kobieta może zapragnąć?

- Wszystko, oprócz najważniejszego... miłości i przyjaźni. Arnold żeni się... Sara mnie opuściła.

- Masz moją przyjaźń, nawet jeśli wydaje ci się ona bez wartości. Masz matkę, siostrę, wuja. Jesteś piękna, jesteś młoda, bogata! O niewdzięczna!

- Co to dla mnie znaczy, jeśli jego straciłam, i to na zawsze!

Abu zamyślił się, zmarszczył brwi i podał rękę Katarzynie, aby pomóc jej wstać. Jej zaczerwienione, błędne oczy, udręczona twarz mogły wzbudzić litość.

- Teraz rozumiem, dlaczego twój mąż przysłał mnie tutaj, mówiąc, że jesteś w niebezpieczeństwie. Chodź ze mną.

- Dokąd?

- Chodź, powiadam. Niedaleko, pójdziemy do mnie...

Potworny ból, z którym Katarzyna walczyła od powrotu Garina, złamał w niej wszelki opór. Dała się poprowadzić za rękę jak dziecko.

* * *

Pokój medyka bardzo się zmienił od ostatniego czasu. Przybyło w nim wiele rzeczy, które podkreślały przepych wystroju: rozrzucone wszędzie poduszki, niezwykley zbiór dywanów pyszniących się orgią barw. Natomiast większość mebli zniknęła, z wyjątkiem wielkiego, okrągłego stołu, zajmującego prawie cały środek pokoju. Piętrzyły się na nim stosy ksiąg, pęki gęsich piór i buteleczki z atramentem. Nad kominkiem i na półkach stały rzędy fiolek, słoików, retort i buteleczek. W sąsiednim pokoju, do którego Garin kazał wybić drzwi, znajdowały się worki przypraw i wonnych ziół. Medyk miał je zawsze w zapasie. Był tu również duży czarny piec, na którym bulgotały bez przerwy tajemnicze mikstury. Abu zamknął te drzwi starannie i posadził Katarzynę na poduszcze w pobliżu kominka, następnie dorzucił wiązkę chrustu do paleniska. Buchnęły żywe, jasne płomienie. Wziął z półki cynowe pudełko i nożyczki, podszedł do Katarzyny, która wpatrywała się w tańczące płomyki.

- Pozwól, że odetnę pukiel twych wspaniałych włosów - rzekł cicho.

Katarzyna nie odpowiedziała, lecz uczyniła przyzwalający gest. Medyk odciął złote pasmo przy lewym uchu, po czym trzymając je w dłoni, wypowiadał półgłosem niezrozumiałe słowa. Wrzucił włosy do ognia i posypał je szczyptą proszku z cynowego pudełka. Wyciągnawszy ręce w stronę wysoko strzelających płomieni, które naraz przybrały odcień niebieskawy, wypowiedział zaklęcie, następnie pochylił się i wpatrywał intensywnie w ogień. W pokoju słychać było tylko trzaskanie płomieni. Ciszę przerwał głos Abu, inny niż zwykle, uroczysty, podniosły:

- Duch Zaratustry, władcy przeszłości i przyszłości, przemawia do mnie głosem ognia, jego boskiego przewodnika. Twoim przeznaczeniem, młoda kobieto, jest przejść przez noc i iść w stronę słońca, tak jak to czyni

nasza matka ziemia. Lecz noc jest głęboka, a słońce daleko. Aby do niego dojść - co ci się uda - potrzeba wiele odwagi. Widzę przeszkody... widzę krew, dużo krwi. Twoja droga usłana jest trupami. Widzę miłość - ale ty przechodzisz, idziesz dalej, wciąż dalej. Zostajesz prawie królową, odrzucasz jednak wszystko, aby zdobyć szczęście...

Katarzyna zakaszlała. Z kominka wydobywały się kłęby duszącego dymu.

- Czy naprawdę mogę kiedyś być szczęśliwa? - zapytała cichym, przejętym głosem.

- Pisane ci jest szczęście, największe i najdoskonalsze, lecz... co widzę! Dziwna rzecz, posłuchaj: osiągniesz wreszcie upragnione szczęście, gdy ujrzysz płonący stos...

- Stos?

Abu-al-Khayr stracił nagle uroczy i sztywny wygląd. Szerokim rękawem otarł czoło perlące się od potu.

- Nie mogę nic więcej powiedzieć. Widziałem słońce nad stosem, na którym płonęła ludzka postać. Musisz być cierpliwa i sama zbudować swoją przyszłość. Śmierć poprowadziłaby cię do nicości, a ty jej wcale nie potrzebujesz...

Podszedł do okna i otworzył je szeroko, by wypuścić gęsty dym wypełniający cały pokój. Katarzyna wstała i poprawiła machinalnie swoją pogniecioną sukienkę. Jej twarz była napięta, oczy smutne.

- Nienawidzę tego domu i wszystkiego, co on oznacza.

- Nadchodzi czas winobrania. Jedź do swoich, do matki i mojego szacownego przyjaciela, Mateusza.

- Mąż nie pozwoli mi opuścić domu.

- Nie sama! Ja pojedę z tobą. Już od dawna pragnęłam zobaczyć, jak się u was zbiera winogrona. Pojedziemy dziś wieczorem, ale najpierw oddasz

mi tę buteleczkę, którą tak nierozsądnie ci dałem.

- To niepotrzebne! Nie użyję jej więcej... Masz moje słowo! Ale zależy mi na tym, aby ją zachować.

Po południu, podczas gdy Garin przebywał u Mikołaja Rolina, Katarzyna wraz z Abu-al-Khayrem opuściła pałac, wręczywszy Tiercelinowi list do męża. Kilka godzin później przybyli do Marsannay, gdzie Mateusz i Jacquetta przyjęli ich z otwartymi ramionami. Marsannay w czasie winobrania nie było dobrym miejscem do leczenia zranionego serca. Z wielu okolicznych wsi nadciągnęli chłopcy i dziewczęta, aby pomagać w zbiorach. Wszędzie było ich pełno, spali gdzie popadnie, na sianie w stodołach, gdyż było jeszcze ciepło. Zewsząd dobiegały śmiechy, śpiewy i prześmiewki, mniej lub bardziej swawolne. Jak dzień długi, zbieracze, uginający się pod kosztami wypełnionymi granatowymi kiściami o ściśle przylegających do siebie gronach, śpiewali na całe gardło: *Kto grona idzie rwać, Zarobi grosze trzy, Na sianie musi spać, Otrząsać będzie wszy...*

Katarzyna trzymała się z dala od tego swawolnego rozgardiaszu. Spędzała całe dni w domu, u boku matki, przędąc lub tkając. Lubiała patrzeć, jak rankiem promienie słońca rozdzierają zaporę mgły lub jak wieczorem nad rudymi winnicami zapala się pożar zachodu.

Jacquetta nie pytała córki o nic, kiedy zobaczyła w drzwiach jej bladą, zmęczoną twarz. Matka zawsze zgaduje cierpienie dziecka, nawet jeśli jest ono dobrze ukryte. Starła się więc jej dogadzać jak chorej osobie i nigdy nie wspominała ani o Garinie, którego nie lubiła, ani o Sarze, na której się bardzo zawiodła. Katarzyna potrzebowała spokoju rodzinnego, całkowitego odcięcia od świata, do jakiego weszła poprzez swoje małżeństwo. Natomiast wuja Mateusza i Abu nie było widać całymi dniami. Do późnego zmierzchu Mateusz przemierzał swoje winnice z zakasnymi rękawami, starając się pomagać, gdzie się tylko dało: tu opróżnił pełen kosz, tam przyłożył rękę do

napelnienia wozu. A medyk, który po raz pierwszy zamienil turban na zwykla czapke, wlozyl wysokie buty i lniana oponce na swoje jedwabie, krocyl przez caly dzien w slad za swym przyjacielem, przygladajac sie wszystkiemu z wielkim zainteresowaniem i obrywajac resztki ukrytych w kisciach winogron. Wraz z zapadnieciem nocy obydwaj wracali do domu wyczerpani, zgrzani, brudni jak nieboskie stworzenia i szczesliwi.

Katarzyna nie ludzila sie jednak, ze ta sielanka potrwa dlugo. To, ze minelo juz osiem dni bez zadnych wiadomosci z Dijon, bylo czymś nadzwyczajnym. Wczesniej czy pozniej Garin wezwie ja do siebie, poniewaz byla stawka w najlepszej umowie, jaka kiedykolwiek zawarł. Co wieczor, gdy kladla sie do lozka, dziwila sie, ze znów minal dzien, a nie zobaczyła jego ponurej sylwetki.

Pewnego dnia w Marsannay pojawil sie brat Stefan, który bezskutecznie poszukiwal Katarzyny w palacu de Brazeyów i zaczal sie powaznie niepokoic. Rozmowa z mloda kobieta w ogrodzie warzywnym wuja Mateusza nie przyniosla zadnych wynikow. Katarzyna oznajmila mu bez ogródek, ze nie ma zamiaru wracac do Dijon, ze nie chce wiecej slyszec o dworze, o ksieciu Filipie, a tym bardziej o polityce. Zalowala, iz kazala uwolnic Arnolda z lochow, gdyz to jedynie popchnelo go w ramiona Izabeli. Miała za zle bratu Stefanowi, ze przylozyl reke do tego uwolnienia i ze sama stala sie ofiara własnej naiwnosci.

- Nie nadaje sie do takich intryg - powiedziala. - Moglabym spowodowac same katastrofy.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu brat nie nalegal. Poklonil sie w pas i powiedzial lagodnie:

- Pani przyjaciolka Odetta niebawem opuści zamek, który ksiazę jej zabiera. Zamierza wrócic do matki. Gdy ostatnim razem ja widzialem, byla smutna i przygnębiona. Czy jej takze mam powiedziec, ze nie obchodzi pani

jej los?

Do serca Katarzyny wkradły się wyrzuty sumienia. Zaczęła żałować swych egoistycznych słów i poczuła, że z powodu miłosnego zawodu, choćby był nawet bardzo bolesny, nie ma prawa opuszczać tych, którzy w nią wierzyli.

- Nie... proszę nie dawać jej żadnej odpowiedzi - odparła po dłuższym namyśle. - Ani jej... ani królowej. Na razie potrzebuję samotności. Proszę dać mi trochę czasu.

Na poczciwej twarzy mnicha pojawił się uśmiech, który zastąpił wyraz poprzedniego zatroskania.

- Tak, tak... Rozumiem - powiedział dobrotliwie. - Proszę, wybacz mi, pani, moje natręctwo, lecz nie zostawiaj nas samych zbyt długo.

Katarzyna, nie chcąc ustalać dokładnej daty, dała odpowiedź wymijającą.

- Później... wrócę później.

Brat Stefan musiał się tym zadowolić.

Następnego dnia zjechała Ermengarda, szumnie i hałaśliwie, jak to było w jej zwyczaju. Bez ceregieli ucałowała Katarzynę i Jacquette, a wujowi przypadło w udziale kilka komplementów na temat wyglądu i zadbanego domostwa. Ermengarda ze znanstwem obejrzała zawartość piwnic, spróbowała słodkiego wina spływającego z prasy, nabrawszy go do pipety tak wielkiej jak waza na zupe, po czym najnaturalniej w świecie wprosiła się na obiad.

Wuj i Jacquetta, pęczniejący z dumy, że mogą gościć taką wielką damę, pobiegli przygotować godną ucztę, a tymczasem Ermengarda, która przybyła z zamiarem natarcia uszu Katarzynie, usadowiła się obok dziewczyny w altanie ogrodowej, obrośniętej winoroślą.

- Taka wiejska sielanka jest czarująca - zaczęła - lecz popełniasz

wielkie głupstwo, moja droga. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak nieznośne stało się życie w pałacu książęcym po twoim wyjeździe. Książę wiecznie się złości...

- Czy to on panią przysyła? - przerwała sucho Katarzyna.

- Za kogo mnie bierzesz? Mnie się nie przysyła! Ja przyjeżdżam sama, jeżeli uważam, że sprawa jest tego warta. Czy możesz mi powiedzieć, co tutaj robisz? Winobranie ma wiele uroku, lecz chyba nie masz zamiaru spędzić zimy na wsi?

- Dlaczego nie? Czuję się tutaj lepiej niż w mieście. Ermengarda westchnęła głośno. Jeszcze nigdy nie spotkała kogoś tak upartego jak Katarzyna.

- Pomyślałam najpierw, że ten krok podyktowała ci twoja kobieca kokieteria. Nie ma nic zabawniejszego, niż kazać czekać mężczyźnie, zwłaszcza jeśli ten mężczyzna jest księciem, nieprawdaż? Lecz uważaj, żebyś nie przeciągnęła struny. Cierpliwość nie należy do zalet Jego Wysokości.

- Niechże więc straci cierpliwość, to wszystko, czego żądam! I niech o mnie zapomni, i to szybko!

- Nie wiesz, co mówisz, pani. Kiedy opuszczaliśmy Arras, byłaś gotowa się poddać. A teraz nie chcesz go widzieć. Co się stało? Dlaczego nie chcesz mi tego powiedzieć?

- Dlatego, że to takie głupie... Boję się, że możesz mnie nie zrozumieć.

- Kobietę potrafię zawsze zrozumieć - odparła Ermengarda zdecydowanym tonem. - Nawet jej największe szaleństwa. Czyżby znowu krył się za tym ten de Montsalvy?

Katarzyna starała się ukryć zakłopotanie, bawiąc się spiralnym wąsem winorośli, który zwisał jej nad głową.

- Ty zawsze wszystko zgadniesz, moja droga. Straciłam go na zawsze...

Żeni się!

Mimo że w słowach Katarzyny było tyle bólu i rozpacz, Ermengarda wybuchnęła śmiechem, którego nie mogła opanować przez długą chwilę. Wielka ochmistrzyni trzymała się pod boki, prawie się dusiła, jej twarz poczerwieniała, a po policzkach spływały łzy.

- Ermengardo! - krzyknęła Katarzyna, niemal dotknięta. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że kpisz ze mnie?

- Całkowicie, moja droga! - odparła przyjaciółka, z trudem łapiąc oddech. - Ubawiłam się setnie. A więc to wesele naszego bohatera wyгнаło cię na wieś z miną małej zakonnicy. Coś podobnego! Ależ ty jesteś szalona, moje dziecko. Czy to nienormalne, że mężczyzna z jego pozycją i nazwiskiem bierze sobie żonę? Ma obowiązek wobec samego siebie i swojej rodziny: przedłużyć swój ród. Potrzebuje syna, a kto może mu go dać, jeśli nie żona?

- Przecież ja go kocham! Chciałam należeć do niego, tylko do niego, tylko jego pragnęłam! - krzyknęła Katarzyna, tonąc we łzach, które wcale nie wzruszyły Ermengardy.

- I to był twój wielki błąd! Taka kobieta jak ty jest stworzona do miłości, powtarzam ci to od wielu miesięcy. Twój Arnold się żeni? Wielkie mi rzeczy! Zrobisz z niego swojego kochanka, kiedy tylko ta niemądra wojna się skończy... i to będzie najrozsądniejsze rozwiązanie. Na co liczyłaś? Że sama za niego wyjdiesz? Przecież twój mąż, moja śliczna, jest przy życiu i z pewnością nie wybierze się prędko na tamten świat. Tak więc pozwól panu de Montsalvy'emu ożenić się z jakąś głupią gęsią, bogatą i utytułowaną, która co roku będzie mu rodzić bachora... a ty zostań tą, która zbiera rozkosze zakazanej miłości, co jest o wiele bardziej ekscytujące niż proza małżeństwa!

Ta dziwna lekcja moralności zbiła Katarzynę z tropu, lecz uspokoiła ją

niewielko. Ermengarda patrzyła na świat realistycznie, co było czarujące i skuteczne zarazem.

- Nie skazuj się na takie niemądre życie tylko dlatego, że jakiś piękniś się żeni. Filip cię kocha, pragnie cię i będzie cię miał, wierz mi! Dlaczego odmawiasz sobie trochę przyjemności? Książę jest młody, piękny na swój sposób, potrafi też być czarujący, w każdym razie ma władzę... i zapewniam cię, że żadna z jego kochanek nigdy się nie skarżyła na niego, wręcz przeciwnie. Potem nie może się ich pozbyć! Właściwie... to między innymi dlatego przyjechałam cię odwiedzić...

Tak więc Ermengarda przybyła w konkretnym celu. Katarzyna powstrzymała kpiący uśmiech. Zręczność, z jaką przyjaciółka wtrącała ostatnie słowa, była sama w sobie arcydziełem dyplomacji. Wielką ochmistrzynię przysłała księżniczka Małgorzata, zaniepokojona pojawieniem się w Dijon pani de Presles, tytułującej się kochanką Filipa.

- Sądzę, że pamiętasz tę blondynkę, która założyła swoją szarfę na pierś tego bałwana Lionela de Vendome'a... To właśnie o nią chodzi - powiedziała Ermengarda. - To zręczna intrygantka... i zna swego Filipa na wylot. Bóg jeden wie, co jest w stanie uzyskać, jeśli zostawisz jej wolne pole do działania. Jeżeli ta kobieta, bez reszty oddana Anglikowi, dopnie swego, dla nas będzie to oznaczać same katastrofy. Francja i Burgundia nigdy się nie pogodzą.

Hrabina wstała i kładąc białą dłoń na ramieniu Katarzyny, dodała z niezwykłą łagodnością:

- Twoja księżniczka wzywa cię na pomoc, Katarzyno de Brazey. Nie masz prawa jej zawieść. Jest taka chora! Katarzyna spuściła głowę, nie odpowiadając. Targały ją mieszane uczucia. Zrozumiała, że znalazła się w sercu skomplikowanej intrygi, w której nie ona była najważniejsza. Znamienite osobistości prosiły ją o pomoc za pośrednictwem jej przyjaciół.

Królowa Sycylii przez Odette i brata Stefana, księżniczka Małgorzata przez Ermengardę... Wszyscy mówili o obowiązku i doniosłej misji, a wszystkim chodziło o jedno: pojednanie Filipa z królem.

Przybycie wuja Mateusza, który oznajmił, że wieczerza gotowa, zwolniło Katarzynę od odpowiedzi. Przy stole Ermengarda jak zwykle dała upust swemu doskonałemu apetytowi i nie wspomniała ani słowem o polityce.

Przy pożegnaniu spojrzała pytająco na Katarzynę.

- Obiecuję, że się zastanowię, Ermengardo - rzekła dziewczyna, starając się uśmiechnąć.

I podobnie jak brat Stefan, hrabina chcąc nie chcąc, musiała się zadowolić taką odpowiedzią. Po jej wyjeździe Katarzyna zamyśliła się. Wciąż słyszała słowa Ermengardy. Docierało do niej ich brutalne znaczenie... Przyjąć miłość Filipa... Owego ciepłego, jesiennego wieczoru Katarzyna poczuła, że coraz mniej buntuje się przeciwko temu pomysłowi.

Aby zostać sam na sam ze swymi myślami, wróciła do ogrodu. Było to jej ulubione schronienie. Wzdłuż niskiego muru, który oddzielał ogród od winnicy, rosły wysokie sosny, dalej prawie zdziczałe krzewy różane. Katarzyna skierowała się do dużej, okrągłej studni, która - jak powiadano - pamiętała czasy rzymskie, i oparła się o nią. Łagodność tego jesiennego zmierzchu przynosiła ukojenie jej duszy.

Nagle dziewczyna zadrżała, kiedy jej wzrok spoczął na krawędzi muru; najwyraźniej widać tam było przesuwające się czarne pióro, które mogło być przybraniem męskiego kapelusza. Pióro przesunęło się w jedną stronę, potem wróciło. Katarzyna, ukryta w gałęziach wiciokrzewu oplatających studnię, wstrzymała oddech i obserwowała jego tajemnicze ruchy. Potem pióro zatrzymało się i zaczęło wznosić. Ukazał się szary kaptur, czoło i dwoje oczu. Nieznajomy rozejrzał się po ogrodzie ostrożnie, po czym jego głowa

zniknęła, widać było tylko pióro przemykające wzdłuż kamiennego ogrodzenia.

Katarzyna szybko opuściła swoją kryjówkę i wspięła się na mur. Kiedy dotarła do krawędzi, zobaczyła męską postać spowitą w ciemny płaszcz, oddalającą się szybkim krokiem w stronę drzew, gdzie czekał koń. Nieznajomy wskoczył na siodło, spał konia ostrogami i nie oglądając się za siebie, ruszył galopem w stronę Dijon.

Przez dłuższą chwilę Katarzyna nie mogła ochłonąć z wrażenia. Czyżby nocny gość należał do trupy Jakuba de Roussaya? Widocznie kapitan na rozkaz swego pana kazał śledzić ją nadal. Co do Garina, to można go było raczej nie podejrzewać. Tego ranka przysłał lakoniczny list, w którym podawał dokładną datę ślubu Arnolda, uroczystość miała się odbyć w ostatnich dniach października, i zawiadamiał Katarzynę, że kazał przygotować dla niej stroje odpowiednie na tę okoliczność. Pani Gauberte знаła jej wymiary, a także upodobania, więc mogła się zabrać do szycia pod jej nieobecność. W sumie list był bardzo spokojny i bezbarwny. Nie, Garin z pewnością nie miał nic wspólnego z wieczorną wizytą nieznajomego.

Głos matki wyrwał Katarzynę z zamyślenia. Przynęła sobie, że na przyszłość będzie bardziej uważać. Chciała zostać jeszcze kilka dni w Marsannay, chociażby ze względu na miłość własną, ażeby nie wyglądało na to, że zbyt szybko poddała się namowom Ermengardy.

Cały następny dzień spędziła w ogrodzie na haftowaniu, lecz praca nad białym, jedwabnym ornatem dla proboszcza Marsannay nie posuwała się zbyt szybko. Pochylając się nad pękiem kłosów, które miała wyhaftować złotą nicią, bezwiednie kierowała wzrok w stronę muru i usiłowała dostrzec jakiś cień, a może przesuwające się pióro. Na próżno. Nic oprócz dalekiego śpiewu dobiegającego z winnicy nie zakłócało błęgiego spokoju tego jesiennego dnia. Burgundzka jesień, niemająca sobie równej w całym

królestwie, roztaczała swoje powaby, a ziemia pyszniła się bogactwem i płodami.

Katarzyna usłyszała głos matki wołającej ją na kolację, złożyła więc robótkę i niechętnie opuściła ogród, postanowiwszy, że wróci tu, gdy tylko zapadnie zmierzch. Kiedy posiłek dobiegał końca, wydało się jej, że słyszy daleki tętent kopyt. Nie czekając, aż wuj Mateusz zmówi modlitwę, wybiegła ze stanowczym zamiarem, żeby skończyć z niepewnością raz na zawsze. Nikt nie zwrócił uwagi na jej nagłe zniknięcie. Jacquetta drzemała na krześle, zmęczona po całym dniu prania bielizny, a wuj rozprawiał z Abu na temat przyszłych zalet wina, które dzisiaj właśnie wyciskano.

W przedsionku zobaczyła oparty o mur kostur wuja. Mateusz zabierał go zawsze ze sobą do winnicy. Kostur był z prostej, dębowej gałęzi, zakończonej potężnym sękiem tworzącym rączkę. Dłoń wuja przez lata wygładziła i wypolerowała chropowatość, ale kostur pozostał ciężki. W rękach Katarzyny mógł stanowić niebezpieczną broń. Tak uzbrojona pobiegła do ogrodu. Nieznajomy będzie miał za swoje...

Lecz nie było słyhać żadnych odgłosów. Wieś spała spokojnie. Zapadła ciemna noc. Katarzyna zrobiła kilka kroków w stronę muru, chroniąc się wśród sosen. Ta cisza niepokoiła ją, gdyż mogłaby przysiąc, że słyszała odgłos kopyt. A może to był tylko spóźniony rycerz galopujący do Dijon przed zamknięciem bram... Mimo to cicho i nieruchomo czekała na swoim stanowisku.

Po upływie dziesięciu minut usłyszała toczący się kamień i odgłos kroków na drodze za murem. Ktoś się skradał. Wstrzymując oddech, Katarzyna mocniej ścisnęła kostur. Powoli, ostrożnie zrobiła kilka kroków na zwirowej alejce, po czym wspięła się po kamieniach pod osłoną leszczyny. Czarne pióro poruszyło się tuż obok niej. Katarzyna usłyszała oddech człowieka szukającego odpowiedniego miejsca do pokonania muru.

Wydawało się, że tym razem nieznajomy był zdecydowany i miał zamiar dostać się do domu Mateusza.

Z oczami utkwionymi w czarnej postaci, uniosła kostur z uczuciem zadowolenia, jakie ma kot obserwujący niewinną mysz zbliżającą się do jego pazurów. Kiedy w końcu głowa znalazła się w zasięgu ciosu, uderzyła z całych sił. Ze stłumionym krzykiem, któremu towarzyszył szelest liści i lawina kamieni, nocny gość zwałił się na ścieżkę. Katarzyna z satysfakcją włożyła kostur pod pachę i upewniwszy się, że mężczyzna się nie rusza, poszła do domu po latarnię.

Kiedy wróciła kilka minut później, jej ofiara zaczynała odzyskiwać przytomność. Katarzyna schyliła się, szybkim ruchem zerwała kaptur z czarnym piórem, zbliżyła latarnię do twarzy i zamarła z wrażenia. Przed nią leżał powalony ni mniej, ni więcej tylko sam książę Filip we własnej osobie.

Rozdział czwarty

Argumenty Filipa

Katarzyna nie mogła w pierwszej chwili zrozumieć, co się właściwie stało, lecz na wszelki wypadek wezwała wszystkich znanych jej świętych na pomoc. Na szczęście Filip poruszał się, więc na pewno go nie zabiła. W jaki sposób miała odgadnąć, że potężny książę Burgundii ukrywa się w zwykłym uniformie żołnierza swej własnej straży? Odzyskując powoli władzę w członkach, położyła dłoń na czole leżącego. Było ciepłe i nie dostrzegła na nim żadnej rany. Filip zawdzięczał wiele kapturowi z grubego sukna, które złagodziło potężne uderzenie.

Czy należało biec do domu po pomoc? Jeśli Filip tak starannie się ukrywał, to z pewnością zależało mu na tym, aby jego obecność nie została odkryta. Podbiegła do studni, zaczerpnęła wiadro wody i umoczywszy chusteczkę, przyłożyła ją do czoła księcia. Książę otworzył oczy i uśmiechnął się, poznając Katarzynę.

- W końcu cię odnalazłem, piękny wędrowniku - rzekł, śmiejąc się. - Dalibóg, nie przyszło mi to łatwo. Gdzie się ukrywałaś? W każdym razie muszę przyznać, że byłaś dobrze strzeżona... Och! Moja głowa! - syknął, przykładając dłoń do czaszki. - Co mi się przytrafiło?

- Zostałeś dzielony w głowę, panie.

- Napastnik musiał mieć piekielną siłę. Komu zawdzięczam tę przygodę?

Katarzyna opuściła głowę, by ukryć zmieszanie, i sięgnęła po kostur, który ukryła za sobą.

- Mnie, panie, oraz temu... Jeżeli możesz mi przebaczyć Księcia zaskoczyła ta odpowiedź. Przez chwilę milczał, po czym wybuchnął śmiechem. Szczerym, prawie dziecięcym, niemającym w sobie nic książęcego.

- Nie przypuszczałem nawet, że zasłużyłem na takie traktowanie, moja droga... To będzie najpiękniejszy guz w moim życiu. W każdym razie najcenniejszy...

Książę usiadł i ująwszy dłoń Katarzyny, przycisnął do niej swe usta. Dziewczyna chciała rękę wyrwać, lecz książę trzymał mocno.

- Tym razem nie ma mowy o ucieczce! Jesteś mi coś winna! Kiedy w końcu przestaniesz wchodzić w konflikt z prawem? Gdy spotkałem cię po raz pierwszy, wywołałaś skandal podczas procesji. Następnie wdarłaś się do mego pałacu w celu oswobodzenia więźniów... A teraz walisz mnie pałką. Czy nie sądzisz, że stałaś się moją dłużniczką?

- Przyznaję, panie, lecz nie wiem, jak mogłabym zadośćuczynić...

- Odpowiadając szczerze na moje pytania. Dlaczego uciekłaś? Dlaczego zaszyłaś się na wsi? Kiedy rozstawaliśmy się w Arras, myślałem, że między nami wszystko się ułożyło... i że między nami zapanuje zgoda, że przestałaś udawać buntownika.

Katarzyna powoli uwolniła dłoń z uścisku księcia.

- Ja również tak sądziłam, panie, później jednak zrozumiałam, że do wielu spraw podchodzimy inaczej. Chodzi mi zwłaszcza o umowę Waszej Wysokości z moim małżonkiem...

Książę usiłował wstać, lecz nie trzymał się zbyt pewnie na nogach i musiał oprzeć się na ramieniu Katarzyny.

- Widzę, że będę musiał kontynuować rozmowę na siedząco - rzekł, uśmiechając się półgębkiem. - Podaj mi swoje ramię, przynajmniej raz, i chodźmy usiąść gdzieś w spokojnym miejscu. Nie, tylko nie w twoim

ogrodzie! Nie chcę, aby ktoś nam przeszkodził Gdybyś zgodziła się podejść ze mną do tamtej kępy drzew, gdzie przywiązałem konia...

Ostrożnie i powoli udali się we wskazane miejsce. Katarzyna, targana nagłymi wyrzutami sumienia, z niezwykłym przejęciem prowadziła poszkodowanego, nie zauważywszy, że tenże stąpa coraz pewniej. Wprawdzie nadal opierał się ciężko na jej ramieniu, ale po to, by lepiej czuć zapach włosów młodej kobiety. Kiedy doszli do miejsca, w którym stał koń, książę osunął się na trawę, pociągając za sobą Katarzynę. Gałęzie drzew zasłaniały niebo, a ich gęste szpalery zapewniały doskonałą kryjówkę. Noc była bezwietrzna, ciepła, prawie jak w lecie, ale bardziej ciemna. Jediną jasną plamę tworzyła twarz Katarzyny i jej szyja, przykuwając wzrok księcia. Trzymając jej ręce w swych dłoniach, Filip wiedział, dzięki znajomości kobiecych reakcji, że Katarzyna jest bardzo przejęta. Za nic nie chciał jej rozzłościć.

- Porozmawiajmy - rzekł spokojnie. - I załatwmy nasze porachunki raz na zawsze. Jesteśmy całkiem sami. Nie ma ciekawskich, nie ma dworu wraz z jego protokołem. Nie ma księcia i jego poddanej, jest tylko mężczyzna i kobieta. Jesteś ty, Katarzyno, i ja, Filip.

Katarzyna poczuła, że ma pustkę w głowie. Zawsze tak się dzieje, kiedy żale gromadzą się całymi tygodniami. Zaskoczenie jest zupełne, gdy w końcu można je z siebie wyrzucić. Ponieważ uparcie milczała, Filip zapytał:

- Czy moja miłość jest dla ciebie zniewagą? Czy raczej nie dość ci się podobam?

- Ani jedno, ani drugie - odparła szczerze. - Twoje uczucie byłoby dla mnie miłe, gdyby nie przedstawiono mi go jako obowiązek... W chwili kiedy dowiedziałam się, że mam poślubić Garina de Brazeya, zapowiedziano mi, że będę także musiała...Urwała, nie mając odwagi ciągnąć dalej. Książę znowu przyszedł jej z pomocą, uśmiechając się.

- ...że będziesz także musiała wejść do mego łóża. Czy muszę ci przypominać, że spędziłaś w nim... w moim łóżu całą noc i że nic złego się nie stało?

- To prawda, Najjaśniejszy Panie, przyznaję, i wtedy nie bardzo rozumiałam...

- A przecież to proste. Tamtego wieczoru chciałem wystawić na próbę posłuszeństwo poddanej. Byłaś posłuszna. A ja byłbym ostatnim z mężczyzn, gdybym to wykorzystał. Jeśli okazałem się brutalny, to tylko przez zazdrość. Chciałem, moje serce, abyś wiedziała, że nigdy nie zmusiłbym cię do niczego. Pragnę cię ponad wszystko, lecz bez twojego przyzwolenia nie uczynię ani kroku.

Pochylił się w jej stronę, by móc mówić z bliska. Jego ciepły oddech pieścił pochylony kark dziewczyny. Wśród otaczających ich ciemności głos Filipa był gorący i pociągający. Katarzyna czuła, że jego słowa są szczerze, i z trudem broniła się przed wrażeniem, jakie wywoływała w niej melodia słów miłości szeptanych w ciemnościach. Aby otrząsnąć się z oczarowania, postanowiła przywołać do głosu swoją urazę.

- A ten układ, który zawarłeś z moim mężem?

- Jaki układ? - spytał Filip, podnosząc nieznacznie głos. - Już drugi raz wspominasz o tym. Nie zawarłem żadnego układu z Garinem de Brazeyem. Za kogo nas bierzesz, jego i mnie? Rozkazałem jednemu z moich najwierniejszych poddanych, by ożenił się z dziewczyną wielkiej urody, lecz nigdy nie zwierzyłem mu się, że żywię nadzieję, iż ona również kiedyś mnie pokocha. Powtarzam: rozkazałem! A on, jako wierny sługa, wykonał rozkaz bez dyskusji. Ot i wszystko! Czy popełniłem zbrodnię, pragnąc, abyś była bogata, abyś dostąpiła należnych ci zaszczytów i godności?

Katarzyna zadrżała. Filip natychmiast otoczył ją ramieniem, chcąc osłonić od zimna. Nie zaprotestowała. Wpatrzona w ciemności, odczuwająca

jedynie siłę otaczającego ramienia, wyszeptała:

- Zaiste, wierny sługa... nawet jeśli nie prosiłeś go o nic, musiał zrozumieć w pół słowa. Dając mi męża, mogłeś przypuszczać, że będzie dochodził swoich praw małżeńskich. Tymczasem tak się nie stało. Wręcz przeciwnie, nigdy nie chciał mnie tknąć!

- A więc czyżbyś się tego domagała?

Katarzyna odwróciła głowę w stronę księcia, chcąc lepiej widzieć jego twarz. W jej głosie zabrzmiało wyzwanie.

- Chciałam mu się oddać pewnego wieczoru. I to w takich okolicznościach, że żaden mężczyzna by się nie oparł. Doprowadziłam go do szaleństwa, lecz w porę się otrząsnął, mówiąc, że to niemożliwe i że nie ma prawa mnie tknąć. Widzisz więc, że traktuje mnie tak, jakbym należała do ciebie.

Poczuła z satysfakcją, że ramię Filipa zaciska się wokół niej, ale w jego głosie nie było gniewu, kiedy spytał:

- Powtarzam, że nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Być może, mówiąc te słowa, myślał o kimś innym.

- Ale o kim? Lub o czym?

Filip nie odpowiedział od razu. Dłuższą chwilę zastanawiał się, po czym odparł krótko:

- Nie wiem!

Zapadła cisza. Gdzieś daleko we wsi zaszczekał pies, w drzewach pohukiwała sowa. Katarzynie zdawało się, że są sami na świecie, ona i książę. Przyciskał ją do siebie, a ona opierała się plecami o jego pierś. Otoczył ją ramionami, a ona odruchowo położyła mu głowę na piersi. Chwila ta napełniła Katarzynę niewysłowioną słodyczą, tak że straciła ochotę na bezpłodne utarczki. Jeśli Arnold zapomniał o niej w ramionach innej, dlaczego miałyby odrzucać miłość - tak gorącą i szczerą - kogoś, kto

pragnął jedynie jej szczęścia. Z prostego stroju księcia dochodził do jej nozdrzy delikatny zapach irysa. Książę kołysał ją łagodnie jak dziecko, a ona była mu wdzięczna za to, że nie posuwał się do bardziej zdecydowanych pieszczot. Czowała tylko na szyi i we włosach jego oddech. Zamknąwszy powieki, spytała z troską:

- Czy boli cię jeszcze, Najjaśniejszy Panie?

- Nie nazywaj mnie najjaśniejszym panem. Dla ciebie jestem Filipem. Chcę zapomnieć o całej reszcie. Nie, już mnie nie boli. Przeciwnie, jestem szczęśliwy, szczęśliwy jak nigdy dotąd. Jesteś ze mną, trzymam cię w ramionach i nie ranisz mnie ostrymi słowami. Pozwoliłaś mi mówić i nie odepchnęłaś mnie. Katarzyno, piękna, wspaniała Katarzyno! Czy mogę mieć nadzieję na pocałunek?

Katarzyna uśmiechnęła się w ciemności. Jego pokorny, prawie dziecinny głos wzruszył ją bardziej, niż chciałaby to przyznać. Nie był już tym dumnym panem wydającym rozkazy, tym, który zwrócił się do niej po imieniu, tak jakby już do niego należała. W tej chwili był tylko zakochanym po uszy mężczyzną.

Poruszyła się lekko, tak że jej usta znalazły się prawie na wysokości ust Filipa.

- Pocałuj mnie, panie - rzekła bez najmniejszego wahania.

Nagle wszystko stało się proste. Przypomniała sobie nie bez przyjemności, jak wtedy pocałował ją w Arras, i kiedy usta Filipa dotknęły jej ust, lekko westchnęła, zamykając oczy. Instynkt podpowiadał jej, że z tym mężczyzną, zarazem zimnym i uczuciowym, radość miłości była sprawą pewną. Książę potrafił panować nad swoimi emocjami, dzięki czemu stopniowo doprowadził do tego, że zapomniała o bożym świecie. Jego pocałunek był niezwykle delikatny. Stanowił arcydzieło namiętności i cierpliwości. W miłości książę Filip potrafił być mistrzem, o jakim marzy

podświadomie każda kobieta, i Katarzyna, szybko zniewolona tą przemożną siłą, dała się unieść bez oporu oceanowi pieszczot i rozkoszy. Filip jednak nie poprzestał na nieśmiałym pocałunku i niebawem lekki wiatr uniósł nad zagajnikiem westchnienia i czule szeptane słowa, a koń księcia był jedynym świadkiem całkowitego zwycięstwa swego pana.

W chwili gdy Katarzyna poznała cielesną stronę miłości, jej oczy otworzyły się szeroko i spoczęły na sklepieniu z gałęzi szeleszczących jesiennymi liśćmi nad jej głową. Przedzierało się przez nie srebrzyste światło księżyca, a w nim ukazała się poważna i napięta twarz kochanka. Katarzynie wydało się, że jest ona nieludzko piękna. Jej własna twarz jaśniała namiętnością. Filip pocałunkiem zdusił okrzyk bólu młodej kobiety, który powoli zamienił się w przeciągły jęk rozkoszy.

W końcu rozdzielili się, Filip ukrył swą twarz w masie jej jedwabistych włosów, które pokrył szalonymi pocałunkami. Katarzyna, głaszcząc jego policzki, zauważyła, że są mokre od łez.

- Ty płaczesz?

- To ze szczęścia, moja miła... i z wdzięczności. Nie sądziłem, że twoje oddanie się będzie takie wspaniałe, takie całkowite, że naprawdę będę twoim pierwszym...

Katarzyna położyła dłoń na jego ustach, aby zmusić go do milczenia.

- Przecież powiedziałam ci, że mój mąż mnie nie tknął. Więc kto mógłby?...

- Jesteś taka piękna... Zapewne miałaś wiele pokus...

- Umiem się bronić - odparła z tak rozkoszną miną, że księżę nie mógł się oprzeć następnemu pocałunkowi.

A ponieważ promień księżyca oświetlił jej nagie ciało, wyjął derkę zwiniętą przy siodle, żeby ją otulić, i na nowo objął ją czule, wybuchając śmiechem.

- Gdy pomyślę, że dla naszej pierwszej nocy chciałem wszystkich wspaniałości mojego pałacu, najrzadszych kwiatów, najwystawniejszej dekoracji... a ofiarowałem ci jedynie mokrą trawę i jesienny wiatr, od którego możesz się tylko przeziębnić... O, jakimże okrutnym jestem kochankiem!

- Nie wierzysz chyba w ani jedno swoje słowo! - wykrzyknęła Katarzyna, przytulając się do niego mocniej. - Po pierwsze, nie jest mi zimno, a po drugie, czyż jest dla miłości oprawa piękniejsza od natury? Poza tym, przyjeżdżając tutaj, nie mogłeś przewidzieć, że cię obję! Obydwoje wybuchnęli śmiechem jak dzieci.

* * *

Filip z niecierpliwością oczekiwał powrotu Katarzyny do Dijon, lecz pani de Brazey z powodu silnego kataru musiała zostać jeszcze parę dni w Marsannay.

- Co za pomysł, żeby do późnej nocy siedzieć w ogrodzie - gderał wuj Mateusz, spoglądając, jak Katarzyna wypija kolejny kubek gorącego naparu z ziół. - Nawet nie słyszałem, kiedy wróciłaś, tak musiało być późno!

Abu-al-Khayr spuścił skromnie głowę, aby Katarzyna nie mogła zauważyć uśmiechu czającego się w kącikach jego ust. Późno w nocy mały medyk widział jeźdźca zmierzającego ścieżką do głównego traktu prowadzącego do Dijon oraz kobiecą postać odprowadzającą go wzrokiem.

* * *

Kilka dni później Katarzyna de Brazey, jeszcze piękniejsza niż zwykle, uczestniczyła w ślubie Małgorzaty z Gujenny z Arturem de Richemontem,

który odbywał się w kaplicy pałacu książęcego. W sukni z zielonego aksamitu, obszytej gronostajami, była uosobieniem młodości i wdzięku. Jej cera była świetlista, oczy promieniały pod długimi, zagiętymi rzęsami, a na szyi i w uszach błyszczwały szmaragdy koloru morskiej wody. Klejnoty były prezentem od Filipa, którego miłość ujrzała teraz blask dnia.

Pani de Presles, kochanka Filipa, wyjechała rozgniewana do Flandrii, a Maria de Vaugrigneuse została poproszona, aby na jakiś czas oddaliła się do swoich posiadłości, po tym jak księcia dobiegł jej niezbyt pochlebny osąd na temat Katarzyny. Nawet to, że Maria była chrześnicą księżnej wdowy, nie uchroniło jej przed banicją. Zresztą, każdy mógł zobaczyć, jakie miejsce zajmuje Katarzyna w kaplicy: zdecydowanie wyższe, niż wymagała tego jej pozycja. Nie można też było nie zauważyć, że Filip bez ustanku kierował wzrok w jej stronę i że oboje przeszywał wtedy płomień.

Garin stał wśród mężczyzn w głównej nawie i ani razu nie spojrzał na żonę. Od czasu powrotu Katarzyny z Marsannay przyjął wobec niej postawę oschłą, lecz pełną kurtuazji. Widywali się tylko podczas posiłków, a ich rozmowa ograniczała się do zdawkowych grzeczności. Garin ożywiał się jedynie wtedy, gdy siadał z nimi do stołu Abu-al-Khayr i obaj prowadzili długie dysputy naukowe. Czasami wzrok Katarzyny krzyżował się ze wzrokiem męża, ale nie mogła wyczytać w nim nic oprócz obojętności.

Dwa dni przed ślubem księżniczki Małgorzaty paż Filipa, młody de Lannoy, przybył do pałacu de Brazeyów, aby wręczyć Katarzynie książęce szmaragdy. Garin przechodził właśnie korytarzem i widział, jak żona odbiera prezent. Nie wydał się tym zaskoczony. Odpowiedziawszy na ukłon pazia, poszedł swoją drogą.

Dopiero pod koniec uroczystości zaślubin, kiedy zaproszeni utworzyli szpaler, aby zrobić przejście dla nowożeńców, wzrok Katarzyny spotkał się ze wzrokiem Garina. Młoda kobieta zadrżała, gdyż mąż nawet w dniu, w

którym ją pobił jak psa, nie wyglądał na tak wściekłego. Jego trupio bladą twarz przeszywały nerwowe skurcze. Wyglądał tak strasznie, że Katarzyna machinalnie odwróciła głowę. Miała wrażenie, że mąż jej nie cierpi, że jego jedyne oko płonie nienawiścią. Ale oto zbliżała się nowa hrabina de Richmond, zaróżowiona z emocji, z dłonią w dłoni męża, więc Katarzyna pochyliła się w głębokim ukłonie, co wyrwało ją na chwilę z koszmaru. Kiedy się wyprostowała, Garin zniknął w tłumie, a orszak ślubny przesunął się przy rozszalałych dźwiękach organów w stronę wyjścia. Ceremonia ciągnęła się długo i wszyscy byli już głodni.

Katarzyna nie odczuwała głodu. Przechadzała się po krużgankach, spoglądając na ostatnie róże w ogrodzie i na zabawy świnki morskiej należącej do księżniczki Małgorzaty. Nie miała ochoty znaleźć się przy stole, ponieważ jej pozycja nie pozwalała na zajęcie miejsca blisko Filipa. Wiedziała, że Ermengarda się nie pojawi, gdyż dogląda Małgorzaty, której choroba się rozwijała. Poza tym Katarzyna nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie ze swoim małżonkiem.

Krużganki pustoszały. Dworzanie szybko mijali Katarzynę. Nagle, tuż obok niej, otworzyły się duże drzwi strzeżone przez łuczników, prowadzące do prywatnych apartamentów księcia. Wszedł z nich młody człowiek w zielonym stroju. Spod jego krótkiego płaszcza wystawał zwinięty pergamin. Na widok młodzieńca Katarzyna pokraśniała i rzuciła się jego śladem, albowiem rozpoznała w nim Landry'ego, przyjaciela z dzieciństwa. Odkąd zobaczyła go u księżnej w dniu swego przedstawienia na dworze, nigdy więcej nie udało jej się spotkać książęcego posłańca.

Tym razem jej nie umknie! Landry szybkim krokiem zmierzał do kamiennych schodów...

- Landry... zaczekaj! - zawołała.

Zatrzymał się raptownie i powoli odwrócił twarz w jej stronę.

- Czego sobie życzysz, pani?

Katarzyna podbiegła bliżej, z oczami błyszczącymi radością.

- „Pani”?... Ależ, Landry, nie mów, że mnie nie poznajesz! Czyżbym aż tak się zmieniła przez te dziesięć lat? Albo straciłeś pamięć! Ty jesteś ciągle taki sam... tylko większy i silniejszy. Za to chyba ciągle masz równie zły charakter.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu spostrzegła, że jej słowa nie wywarły na kawalerze żadnego wrażenia.

- To wielki zaszczyt dla mnie, pani. Mam, jak sędzę, doskonałą pamięć, lecz nie przypominam sobie, abym kiedyś cię spotkał.

- To by znaczyło, że to ja się bardzo zmieniłam - odparła Katarzyna wesoło. - Dobrze, w takim razie odświeżę ci pamięć. Przypomnij sobie most Pont-au-Change, przypomnij sobie Wielki Dziedziniec Cudów i zdobycie pałacu Saint-Pol. Czy zapomniałeś Katarzynę Legoix, twoją przyjaciółkę z dzieciństwa?

- Tak, przypominam sobie to wszystko. Znałem też dziewczynę o tym imieniu... ale nie widzę, jaki związek może być

- Co za uparciuch! Pod tym względem wcale się nie zmieniłeś... Ależ, gamoni, to ja jestem Katarzyna. Obudźże się i przypatrz mi się lepiej!

Oczekiwała wybuchu radości. Dawny Landry zacząłby tańczyć i skakać pod niebiosa, lecz posłaniec książęcy stał jak sople lodu i żadne uczucie nie ożywiało jego obojętnej twarzy.

- Nie kpj ze mnie, pani. Dobrze wiem, kim jesteś: panią de Brazey, najbogatszą kobietą w mieście... i przyjaciółką najjaśniejszego pana. Proszę więc, zaprzestań tej gry.

- Jakiej gry? Och! Landry! - krzyknęła Katarzyna z bólem w głosie. - Dlaczego nie chcesz mnie rozpoznać? Jeżeli wiesz, kim jestem, jeżeli znasz moje imię, musisz także wiedzieć, że zanim wyszłam za Garina de Brazeya

na rozkaz księcia, byłam tylko siostrzenicą Mateusza Gautherina, handlarza materiałami z ulicy du Griffon.

- Nie, pani, tego nie wiem.

- No to odwiedź mojego wuja! Będzie tam moja matka. Myślę, że ją rozpoznasz na pewno.

- To bezcelowe, pani. Te odwiedziny niczego mi nie udowodnią.

Znałem kiedyś Katarzynę Legoix... ale ty nie możesz być tamtą Katarzyną. A teraz wybacź, pani, lecz spieszno mi w drogę - odparł Landry, kierując się do schodów.

Katarzyna nie dawała za wygraną i próbowała go zatrzymać.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że Landry nie pozna Katarzyny. Bo przecież pan jesteś Landry Pigasse, czyż nie?

- Do usług, pani.

- Do usług? - rzekła z boleścią. - Kiedyś dzieliliśmy wszystko, zarówno łakocie, jak i guzy... Byliśmy jak brat i siostra a nawet ryzykowaliśmy razem życie. I po dziesięciu latach wszystko to odrzucasz, a ja nawet nie wiem, z jakiej przyczyny.

Mówiąc to, Katarzyna miała wrażenie, że jej słowa padają jak groch o ścianę. Landry przywdział niewidzialny pancerz obojętności, być może specjalnie chciał zapomnieć, a Katarzyna próbowała zrozumieć dlaczego.

Podjęła jeszcze jeden wysiłek, szepcząc z goryczą w głosie:

- Och, gdyby tu był Barnaba... On by *cię* zmusił, żebyś mnie rozpoznał. Nawet siłą.

Na dźwięk imienia Barnaby Landry spojrzał gniewnie na Katarzynę.

- Barnaba umarł w mękach, bo chciał spełnić twoją prośbę! Doniesiono mi o tym, gdym wrócił z Flandrii. I pani chcesz mi wmówić, że jesteś Katarzyną Legoix? Och, nie, ty nie możesz być Katarzyną i zabraniam ci używać jej imienia! Zresztą... nawet nie jesteś do niej podobna! Żegnam!

Zanim Katarzyna zdążyła otworzyć usta, Landry był już w połowie schodów, zbiegając na łeb na szyję. Coraz słabiej brzmiał stukot jego podkutych żelazem butów. Wkrótce zapanowała zupełna cisza. Z dala dobiegały odgłosy weselnej uczty. Katarzyna nie mogła ruszyć się z miejsca. To, co wydarzyło się przed chwilą, było dla niej całkowicie niezrozumiałe i bolesne. Dlaczego Landry udawał, że jej nie zna? Czyżby z powodu Barnaby? Oczywiście czuła ciężką na niej odpowiedzialność za śmierć wspólnego przyjaciela, i to bardziej, niż Landry mógłby przypuszczać. Często ogarniał ją smutek i dręczyły wyrzuty sumienia na wspomnienie potwornej śmierci Barnaby.

Coś jednak zaintrygowało Katarzynę. Jeśli Landry wznowił kontakty z Barnabą, to dlaczego Barnaba nigdy jej o tym nie powiedział? I dlaczego Landry nigdy jej nie odwiedził u wuja Mateusza, kiedy jeszcze była panną?

Z zamyślenia wyrwał ją nagle zimny, znajomy głos.

- Czy mogę spytać, co ty tutaj robisz, zamiast siedzieć przy stole?

Katarzyna uniosła głowę i ujrzała przed sobą Garina.

- Nie mam ochoty tam iść, nie bawi mnie to i nie jestem głodna.

Wolałabym udać się do księżnej, aby porozmawiać z panią de Chateauvillain.

Na twarzy wielkiego skarbnika pojawił się niemiły, wręcz sarkastyczny uśmiech.

- To, co panią bawi czy nie bawi, nie ma najmniejszego znaczenia - powiedział oschle. - Miej odwagę zająć miejsce, które ci się daje, i ponieść konsekwencje swoich czynów!

Mówiąc to, Garin podał Katarzynie ramię. Z westchnieniem zmęczenia położyła dłoń na jego dłoni.

- Co pan mówi?

- Mówię, że pani miejsce nie jest na schodach!

I poprowadził ją do rozświetlonej sali, gdzie odbywała się uczta. W środku panował ogłuszający zgiełk. Przyjęcie weselne upływało w wesołej atmosferze i wielu gości było już pijanych. Nad trzema stołami, ustawionymi w kształcie litery U, unosiły się śmiechy, krzyki i żarty. Przy stołach uwijała się cała armia służących, podając olbrzymie półmiski, które bez przerwy donosili kuchcikowie z kuchni znajdujących się na parterze. Nad wszystkim czuwał wielki kuchmistrz koronny wraz z podczaszym. Jedyne państwo młodzi i księżę Filip siedzieli w ciszy. Richemont i Małgorzata trzymali się za ręce, patrzyli sobie w oczy i nie myśleli o jedzeniu. Milczący Filip patrzył zaś tępo przed siebie. On pierwszy zauważył wejście Katarzyny, którą Garin prowadził na miejsce. W jednej chwili jego twarz pojaśniała. Uśmiechnął się czule do młodej kobiety.

- No więc sama widzisz, że czekano tutaj na ciebie! - syknął Garin żonie na ucho. - Do diaska, twoja osoba czyni cuda! Popatrz na miły wyraz twarzy księcia! Zapewniam cię, że jeszcze przed chwilą był całkiem ponury.

Złośliwy ton męża zdenerwował i tak będącą w złym nastroju Katarzynę.

- A więc i ty, mój mężu, zapewne pękasz z radości! Osiągnąłeś przecież swój cel! Zasiadając przy stole, Katarzyna posłała promienny uśmiech księciu. Uczta przeciągała się w nieskończoność. Katarzyna nudziła się okropnie. A jednak tego weselnego dnia miało się wydarzyć coś nieoczekiwanego. Wydawało się, że wszyscy świadkowie przeszłości umówili się, żeby spotkać się z nią równocześnie. Na przyjęciu wydanym po uczcie, na którym stłoczyła się szlachta z wszystkich książęcych prowincji, wielu Anglików, Bretończyków, a nawet kilku Francuzów, Katarzyna zauważyła otoczonego tłumem duchownego, który wyróżniał się wyjątkowym bogactwem stroju, składającego się z samych fioletowych brokatów, koronek i złotych haftów. Na jego okrągłym brzuszku zwisał

wspaniały krzyż napierśny wysadzany diamentami. Duchowny wyglądał na pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Ze swoim okazałym brzuszkiem i imponującą posturą wyglądałby dostojnie, gdyby nie nieprzyjemny wyraz przebiegłości malujący się na jego długiej i zarazem płaskiej twarzy. Mówił głośno, z wyraźnym akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Reims, a to coś Katarzynie przypominało. Już kiedyś spotkała tę postać... Lecz gdzie?...

Pochylając się w stronę sąsiadki, pani de Vergy, wskazała na biskupa, pytając:

- Kto to taki?

Alix de Vergy spojrzała na Katarzynę z wyższością.

- Czy to możliwe, żebyś pani nie знаła biskupa de Beauvaisa? Och, prawda... pani jesteś od niedawna na dworze.

- Może nie znam biskupa de Beauvaisa - odpaliła Katarzyna - ale tego człowieka znam! Jak się nazywa?

- Ależ to Piotr Cauchon, na Boga! Jedna z najznamienszych postaci naszych czasów i jeden z najgorętszych zwolenników połączenia z Anglikami. Wiele się o nim mówiło na konsylium w Konstancji parę lat temu, a ostatnio regent Bedford przyznał mu urząd jałmużnika Francji. To człowiek wybitny...

Katarzyna nie wierzyła własnym uszom. Piotr Cauchon! Wspólnik Caboche'a. Oprawca jałmużnikiem Francji! Można było umrzeć ze śmiechu. Wyraz obrzydzenia na twarzy Katarzyny zdziwił panią de Vergy.

- Wiele lat temu także mówiono o nim, lecz w Paryżu! Porozumiał się wtedy z Rzeźnikami i razem z nimi wieszał niewinnych ludzi, których jedyną winą było to, że nie myśleli tak jak on! I ten człowiek został biskupem? Taki potwór w służbie Pana?... Czy zechcesz mnie pani przedstawić temu człowiekowi?

Alix de Vergy, w całkowitym osłupieniu, nie próbowała odmówić. Pewność siebie tej małej mieszczki oszołomiła ją zupełnie. I ta jej pogarda, z jaką mówiła o takiej osobistości jak biskup de Beauvais! Cieszący się takimi łaskami u samego księcia!

Kilka chwil później Katarzyna dostała zaszczytu ucałowania pierścienia biskupa. Uczyniła to nie bez obrzydzenia, gdyż jego palce były tłuste jak serdelki.

- Pani de Brazey... - rzekł biskup z namaszczeniem. - Jestem niezwykle szczęśliwy, mogąc cię poznać. W radzie mówi się o twoim mężu, pani, jako o bardzo wybitnym finansjście. Co do pani, nie miałem jeszcze zaszczytu cię spotkać, gdyż w przeciwnym razie pamiętałbym o tym. Mam szczególną pamięć do twarzy, a w dodatku... twoja twarz, pani, należy do tych, których się nie zapomina, nawet jeśli jest się duchownym...

- Wasza wielbność jest zbyt łaskawy! - odparła Katarzyna, udając zmieszanie. - A jednak już kiedyś się spotkaliśmy. Dawno temu.

- Doprawdy? Zaskakujesz mnie, pani!

Rozmawiając, uczynili kilka kroków, tak że ludzie, którzy ich otaczali, usunęli się na bok, zgadując, że wielbność chce zostać chwilę sam na sam z piękną Katarzyną. Młoda kobieta postanowiła wykorzystać sposobność, lecz Cauchon odezwał się pierwszy:

- Czy twój ojciec, pani, nie był przypadkiem znamienitym sługą księcia Jana, Boże miej jego duszę w swej opiece! Książę był moim największym przyjacielem! Czy możesz mi, pani, przypomnieć swoje panięskie nazwisko?

Katarzyna potrząsnęła głową z zagadkowym uśmiechem.

- Mój ojciec nie należał do ludzi Jana bez Trwogi, ale jeżeli Wasza Świątobliwość utrzymuje, że go poznał, to w istocie jest to prawdą... Lecz poznanie nastąpiło nie w takich okolicznościach, jakie Wasza Świątobliwość

sobie wyobraża... W rzeczywistości... Wasza Wielbność kazał go powiesić!

Cauchon wzdrygnął się.

- Powiesić? Szlachcica?... Ależ, pani, gdyby podobna rzecz zdarzyła się z mojego rozkazu, pamiętałbym o tym!

- Mój ojciec nie był szlachcicem - ciągnęła Katarzyna głosem niepokojąco spokojnym. - Mój ojciec... był zwykłym złotnikiem w pobliżu mostu Pont-au-Change w Paryżu. To wszystko zdarzyło się dziesięć lat temu. Nazywał się Gaucher Legoix... Jego nazwisko powinno przypomnieć ci, panie, tamte wydarzenia... Pan i pana przyjaciel Caboche kazaliście go powiesić... ponieważ ja... niewinna dziewczyna... ukryłam w naszej piwnicy... ukryłam nieszczęśnika... tak samo niewinnego jak ja... którego zmasakrowano na moich oczach!

Na dźwięk nazwiska Caboche tłuste policzki biskupa poczerwieniały. Dostąpiwszy tak wysokich godności, niechętnie przypominał sobie o dawnych znajomych świadczących o nim niezbyt pochlebnie. Jego małe oczka wpatrywały się uporczywie w twarz Katarzyny.

- Już wiem, dlaczego twoja twarz, pani, wydawała mi się znajoma. Ty jesteś tą małą Katarzyną, nieprawdaż? Czuję się wytłumaczony, że od razu cię nie poznałem, gdyż bardzo się zmieniłaś. Kto by przypuścił...

- ...że córka prostego rzemieślnika dostanie się na dwór Burgundii? Ani Wasza Świątobliwość, ani ja. Przeznaczenie rządzi się własnymi prawami.

- Niebawem! Przypomniałaś mi, pani, rzeczy, o których chciałem zapomnieć. Widzisz, jestem z tobą szczerzy. I będę jeszcze bardziej: ja osobiście nie miałem nic przeciwko twemu ojcu. Może nawet byłbym go uratował, gdyby to było możliwe. Niestety, nic się nie dało zrobić.

- Jesteś, panie, pewien, że chciałeś go uchronić od stryczka? Przecież miałaś w zwyczaju pozbywać się niewygodnych osób. A on był dla ciebie niewygodny!

Cauchon ani drgnął. Jego nalana twarz pozostała niewzruszona, spojrzenie twarde jak kamień.

- Masz rację, był niewygodny! A wtedy półśrodki nie wystarczały. W istocie, nie mylisz się pani, nie próbowałem go uratować, ponieważ to nie miałoby sensu.

- W końcu słyszę słowa szczerości!

Doszli do głębokiej wnęki okiennej. Biskup położył palec na ołowianym obramowaniu szybki i przesuwał nim bezwiednie, patrzył w dół.

- Pozwól, pani, że cię o coś zapytam. Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać? Musisz mnie nienawidzić?

- To prawda, nienawidzę cię, panie - odparła niezwykle spokojnie Katarzyna. - Chciałam tylko przyjrzeć ci się z bliska... i powiedzieć, że istnieję. Winna ci też jestem podziękowanie, gdyż twój sznur uratował ojca... od jeszcze gorszej śmierci.

- Jakiej?

- Śmierci z żalu! On bardzo kochał swoją ojczyznę, swojego króla i swój Paryż, dlatego jego serce pękłoby z bólu, gdyby zobaczył, jak panoszą się Anglicy!

Na chwilę w bezbarwnych źrenicach Cauchona zabłysnął gniew.

- Anglik panuje tutaj przez prawo urodzenia i przez spadek królewski! Jest naszym prawowitym władcą urodzonym z Francuzki i wybranym przez swoich dziadków, podczas gdy bastard z Bourges... jest tylko awanturnikiem!

Katarzyna wybuchnęła krótkim, donośnym śmiechem.

- I chcesz, panie, żeby ktoś uwierzył w te słowa? Sam sobie nie wierzysz! Wasza Wielbność zdaje sobie sprawę z tego, że król Karol VII nie wyznaczyłby go nigdy na jałmużnika Francji! Natomiast Anglik jest

mniej wybredny... i nie bez przyczyny! Nie ma wyboru! I pozwól mi zauważyć, że jak na sługę bożego nie bardzo wiesz, kogo powołał Najwyższy na króla Francji.

- Henryk VI jest prawdziwym i jedynym królem Francji! Biskup był bliski apopleksji, lecz Katarzyna bezlitośnie obdarzyła go swoim najśłodszym uśmiechem.

- Nieszczęściem Waszej Wielbności jest to, że raczej dałbyś się pokrajać, niżbyś miał przyznać się do pomyłki! Ależ proszę się uśmiechać! Patrzą na nas... Szczególnie księżę Filip. Zapewne musiano panu donieść, że jesteśmy w wielkiej przyjaźni.

Nadludzkim wysiłkiem Piotr Cauchon opanował się i tylko wyszeptał przez zaciśnięte wargi:

- Możesz być pewna, pani, że nie zapomnę o tobie! Katarzyna skłoniła się i odparła słodko:

- Jestem bardzo szczęśliwa. Co do mnie, nigdy nie zapomniałam o Waszej Wielbności. Z zainteresowaniem będę śledziła jego karierę.

Po tych słowach opuściła swoją ofiarę i zbliżyła się do Filipa, który od dłuższego czasu przyglądał się z niemałym zdziwieniem tajemniczemu *tete-a-tete* Katarzyny z biskupem. Filip wyszedł jej naprzeciw i podał swą dłoń. Nikt z dworzan nie ośmielił się iść za nim, instynkt bowiem podpowiadał każdemu, że odtąd Katarzyna de Brazey musi być obiektem wszelkich względów i poważania.

- Co ważnego miałas do powiedzenia biskupowi de Beu-vais? - spytał z uśmiechem. - Mielicie obydwójce takie poważne miny jak duchowni na konsylium. Czy rozprawialiście może o jednym z dogmatów świętego Augustyna? Nawet nie wiedziałem, że go znasz.

- Dyskutowaliśmy... o pewnej kwestii z historii Francji, panie. A Jego Wielbność jest mi znany od blisko dziesięciu lat. Dawniej często się

widywaliśmy, w Paryżu. To z tamtych czasów go pamiętam...Przerwawszy nagle, spojrzała na księcia oczami pełnymi łez, w jej głosie zabrzmiał długo tłumiony gniew.

- Jak możesz, panie, poważać takiego człowieka? Ten ksiądz nurzał się we krwi, aby wspiąć się na tron biskupi! Pan, Wielki Książę Zachodu?... Cauchon to wielki nędznik!

Filip uwielbiał, kiedy tytułowano go w ten sposób. A wzruszeniem Katarzyny przejął się do głębi. Pochylił się ku niej, tak aby nikt nie mógł usłyszeć jego słów.

- Wiem, moje serce! Jeżeli go tu trzymam, to tylko dlatego, że jest mi potrzebny. Ale nie ma mowy o poważaniu. Widzisz, jak się jest panującym księciem, to czasami trzeba uciekać się do różnych instrumentów... A teraz uśmiechnij się do mnie i chodźmy rozpocząć bal! - I dodał ciszej: - Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie!

Na usta Katarzyny powrócił słaby uśmiech. Muzycy siedzący na podium rozpoczynali pawanę. Katarzyna dała się poprowadzić do środka olbrzymiego koła utworzonego przez zazdrosnych, lecz zarazem podziwiających ją dworzan.

Rozdział piąty

Nunc dimittis

W dniu pogrzebu Małgorzaty Bawarskiej Katarzyna myślała, że umrze z zimna i niepokoju zarazem. Księżna wdowa zgasła szybko 23 stycznia 1424 roku, trzy miesiące po ślubie swojej córki. Oddała ducha w ramionach Ermengardy. Filip, bawiący w tym czasie wraz z Arturem de Richemontem w Montbard, przybył zbyt późno, aby zastać jeszcze matkę przy życiu. Od tej chwili głęboki smutek zapanował w pałacu i w mieście, gdzie zmarła pozostawiła po sobie szczery żal. Kilka dni potem trumna ze zwłokami została złożona w klasztorze de Champmol, znajdującym się na obrzeżu Dijon.

Kiedy wczesnym, zimnym rankiem Perryna ubierała swoją panią, wystraszyła się przeraźliwej bladości Katarzyny.

- Pani powinna zostać w domu.

- To niemożliwe. W podobnych przypadkach trzeba samemu być umierającym, żeby nie uczestniczyć w ceremonii pogrzebowej. Byłaby to obraza księcia i jego boleści - odparła Katarzyna.

- Ależ, pani, w tym stanie? Katarzyna uśmiechnęła się smutno.

- Tak, Perryno, nawet w moim stanie...

Tylko dwie osoby z otoczenia Katarzyny wiedziały, że jest brzemienna: jej mała służąca i Abu-al-Khayr, który pierwszy postawił diagnozę przy okazji nagłego zasłabnięcia Katarzyny w okresie świąt Bożego Narodzenia. Od tej pory zaczęła odczuwać różne dolegliwości. Bardzo źle znosiła swój stan, tym bardziej że często męczyły ją nudności.

Zaczęła nie znosić zapachów z kuchni, a kiedy szła przez miasto i dolatywała do niej woń flaków ze straganów, robiło jej się niedobrze. Zawzięcie też walczyła, aby jak najdłużej ukryć prawdę przed swoim mężem.

Od pewnego czasu ich wzajemne stosunki uległy znacznemu pogorszeniu. Wśród ludzi Garin traktował ją z lodowatą grzecznością, a w domu prawie przestał się do niej odzywać. Jeżeli wymówił jakieś słowo, to tylko po to, aby ją zranić. Katarzyna nie pojmowała dlaczego. Oczywiście wiedział, podobnie jak całe Dijon, o jej stosunkach z księciem i okazywał obrazę z tego powodu. Ale przecież to on uczynił wszystko, aby do tego doszło! Więc skąd ta pogarda? Tym bardziej że od półtora miesiąca nie spotkała się z Filipem, który rzucił się w wir obowiązków, zajmując się w szczególności stanem dróg w swych posiadłościach. Czułość, jaką jej okazywał, i ochrona, jaką ją otaczał, stały się dla niej nieodzowne. Ponadto obudził jej ciało do miłości i dał poznać chwile rozkoszy, których się nie zapomina i które chciała ciągle przeżywać.

Perryna ubrała panią najcieplej, jak mogła. Z powodu całkowitej żałoby na dworze Katarzyna była odziana na czarno od stóp do głów. Z futrzanego toczka na głowie opadał na twarz czarny woal. Krótkie buty na futrze, ukryte pod suknią i peleryną, oraz welurowe rękawiczki uzupełniały strój pozbawiony jakichkolwiek klejnotów. Młoda służąca spojrzała z niepokojem przez okno na grubą warstwę śniegu leżącego na dachach i na śliskie wyboje na ulicy. Jej pani będzie musiała przejść na piechotę spory kawałek.

Uroczysta msza w Sainte-Chapelle ciągnęła się w nieskończoność. Pomimo setek świec ustawionych wokół ołtarza i przy katafalku w świątyni panowało przejmujące zimno. Z ust uczestników pogrzebu wydobywała się para. Najgorsze ze wszystkiego okazało się przejście niekończącego się orszaku przez miasto. Dla Katarzyny była to prawdziwa droga krzyżowa.

Przy dźwiękach tręb żałobnych orszak przesuwiał się powoli wśród domów udekorowanych na czarno. Jedyne kolorowe akcent stanowił powóz pogrzebowy, który zgodnie z życzeniem Filipa był taki sam jak jego ojca. Ciągnęło go sześć koni. Zabalsamowane ciało księżnej przykryto złotym brokatem, na którym wyszyty był duży czerwony krzyż. W czterech rogach powozu powiewały sztandary z niebieskiego jedwabiu, przetykanego złotem. Wóz otaczało sześćdziesięciu nosicielei łuczyw i tłum zakonników lamentujących i odmawiających psalmy. Filip kroczył z tyłu z odkrytą pomimo mrozu głową. Za nim szło całe miasto ze sztandarami cechów.

Wygląd księcia zmroził doszczętnie serce Katarzyny. Filip był jakby nieobecny. Nagle - może pod wpływem bólu i rozpacz - stał się dla niej znowu niepokojącym władcą, którego należało prosić, i to jak najszybciej, o pewną trudną rzecz.

Poprzedniego wieczoru przybyła do Katarzyny w wielkim pośpiechu Colette, stara służąca Marii de Champdivers, przynosząc straszną nowinę: kilka godzin wcześniej aresztowano Odettę i brata Stefana w klasztorze franciszkanów, a rodzice młodej kobiety zostali skazani na natychmiastową banicję. Maria widziała w Katarzynie jedyną szansę na pomoc.

Sprawa była trudna. Księżę Sabaudii uzyskał zawieszenie broni pomiędzy wrogimi książętami, ale za namową Odetty bastard z Beaune zerwał ten rozejm, napadając na miasteczko w Burgundii. Po ujęciu go wszystko wyznał, nie mając chęci zapłacić własną skórą. Reakcja była natychmiastowa: Odetta, brat Stefan i pewien kupiec z Genewy, który im pomagał, zostali wrzuceni do lochu, gdzie czekały ich tortury i pewna śmierć.

Katarzyna nie mogła pojąć, co pchnęło Odettę do podobnego szaleństwa. Powiadano, że spisek miał na celu zamordowanie samego księcia Filipa. Czy chodziło o zajęcie jego miasta, czy raczej o przyspieszenie

zwycięstwa Karola VII, którego Bóg obdarzył synem w dniu 3 lipca 1423 roku*? W każdym razie Katarzyna nie mogła tak zostawić swojej przyjaciółki, nawet za cenę własnego życia.

** Przyszły Ludwik XI (przyp. tłum.).*

Klasztor de Champmol wznosił się poza murami miasta, między drogą na zachód a biegiem rzeki Ouche. Był jeszcze nowy, gdyż zbudował go dziadek Filipa, książę Filip Śmiały, według projektu architekta Droueta de Dammartina. Katarzyna nigdy tam nie była. Jedynie mężczyźni mieli prawo wchodzić do środka, a kobietom wolno było tu przychodzić tylko przy okazjach takich jak ta. Tutejsza kaplica zastąpiła kaplicę w Citeaux jako miejsce spoczynku książąt Burgundii.

Kiedy przekroczone bramę Ouche, przy której rosły czarne, poskręcane od mrozu wierzby, i minięto ogród klasztorny, zapadła noc. Katarzyna już ledwo trzymała się na nogach. Bezustannie sięgała do buteleczki z miksturą Abu-al-Khayra, gdyż pomimo ciepłego przyodziewku było jej śmiertelnie zimno. Dym łuczyw dusił ją. Przechodząc przez próg kaplicy, potknęła się i byłaby upadła, gdyby nie ręka Ermengardy, która ją podtrzymała. Podobnie jak Filip, Ermengarda także wyglądała jak czarna zjawa. Śmierć księżnej bardzo dotknęła wielką ochmistrzynię. Była jakby inną kobietą w swoich czarnych szatach. Tylko jej dłoń pozostała ciepła i mocna. To dodało Katarzynie trochę siły, lecz nie na tyle, aby mogła dostrzec we wspaniałym wnętrzu dzieło rzeźbiarza flamandzkiego Clausa Slutera - grobowiec Filipa Śmiałego, anioły wokół ołtarza unoszące kandelabry czy złotego archanioła trzymającego sztandar książęcy. Dostrzegała tylko Filipa z jego nieruchomą twarzą. Wokół niej zaczęły krążyć kamienne maski i czarne posągi. Zakonnicy zaintonowali pieśń

żałobną, napisaną przez Jakuba Vide'a, młodego kamerdynera Filipa. Słowa jej rozbrzmiały w uszach Katarzyny jak grzmot burzy, jak groźba.

*Nunc dimittis servum tuum, Domine, secundum verbum tuum in pace.
Quia viderunt oculi mei salutare tuum... **

Katarzyna poczuła, że i ona odchodzi w tej chwili. Zachwiała się. Ramię Ermengardy ochroniło ją od upadku w samym środku ceremonii i podtrzymało mocno.

** Teraz, Panie, możesz pozwolić odejść Twojemu słudze w pokoju, gdyż jego oczy widziały Twoje zbawienie... (przyp. tłum.).*

- Mały głuptasku - szepnęła jej na ucho z czułością. - Nie mogłaś mi powiedzieć?

- Ale co? - spytała Katarzyna słabym głosem.

- Że oczekujesz dziecka! Jest to wypisane dużymi literami na twojej twarzy. Że też ja niczego nie zauważyłam wcześniej! Cierpliwości, to się niebawem skończy!

W istocie ceremonia dobiegała końca. Księżę Filip przekazywał ciało matki przeorowi klasztoru. Niebawem Małgorzata Bawarska znajdzie się obok swego małżonka pod płytą z czarnego marmuru. Przez moment Katarzyna poczuła na sobie czułe i zaniepokojone spojrzenie Filipa i to dodało jej sił, których tak potrzebowała. Lecz dlaczego w tej samej chwili musiała spotkać wzrok Garina? Jego twarz była wykrzywiona z nienawiści. Katarzyna przysięgłaby, że słyszy, jak zgrzyta zębami...

Na szczęście kilka chwil potem, opierając się nadal na ramieniu Ermengardy, znalazła się na świeżym powietrzu. Wokół niej zalegała ciemna, prawie syberyjska noc, lecz przynajmniej nie było tu zapachu stopionego wosku i ciężkich, odurzających oparów kadzideł.

- Czy już lepiej? - zapytała Ermengarda.

- Znacznie lepiej. Nie wiem, jak ci dziękować. Bez ciebie okryłabym się śmiesznością.

- Ależ przestań! Trzeba mi było tylko powiedzieć! Czy księżę już wie?

- Nie, jeszcze nie...

Przeszły kilka kroków w stronę zabudowań klasztornych, ciągnących się na południe i zachód od kaplicy. Przed mieszkaniem przeora płonęły łuczywa, skręcając się w żelaznych obejmach. Reszta zabudowań klasztornych była nieoświetlona i cicha.

- Jak tu ponuro! - rzekła Ermengarda z drzeniem w głosie. - Chodźmy stąd! Całe szczęście, że kazałam moim ludziom przybyć po mnie lektyką. Nie przebrnęłabym tej zaśnieżonej drogi jeszcze raz. Czy chcesz, abym zawiadomiła twego męża, że zabieram cię ze sobą?

- To niepotrzebne. Moje sprawy nie interesują Garina - odpowiedziała Katarzyna.

- On chyba jest głupcem... albo nie ma serca. Nie mogę go zrozumieć, moja droga. Chodźmy więc!

I obie kobiety, rozdając ukłony na lewo i prawo, ruszyły ku wyjściu. Właśnie miały wsiadać do ciężkiego pojazdu, kiedy podszedł do nich paź. W dłoni trzymał bilecik, który wręczył Katarzynie.

- To od Najjaśniejszego Pana! - poinformował.

Katarzyna rozpoznała młodego Jana de Lannoya. Młodzieniec uśmiechnął się do niej, pokłonił się głęboko i odszedł w stronę zaprzęgu swego pana. Kobiety wsiadły do lektyki, zagłębiając się w miękkich poduszkach. Ermengarda wsunęła grzejnik pod stopy przyjaciółki, która rozwinęła mały bilecik i przebiegła go wzrokiem w skąpym świetle świecy zatkniętej w złoty pierścień znajdujący się w ścianie lektyki. Skórzane zasłony doskonale chroniły przed lodowatym wiatrem. Katarzyna,

zachwycona treścią bileciku, przestała szcząkać zębami.

Błagam Cię - pisał książkę - przybądź! Przybądź dziś wieczorem. Potrzebuję Cię bardzo, a zostaję tutaj tylko trzy dni. Przebacz, że Cię ponaglam. Kocham Cię! Lannoy będzie czekał na Ciebie do północy przy bramie ogrodowej.

Podpisu nie było, ale Katarzyna nie potrzebowała go. Zmięta papier w kulkę i wsunęła do swojego mieszka. Odetchnęła głęboko i dławiący niepokój ustąpił. Zabłysło światło nadziei dla Odetty. Kiedy myślała o tej wątłej i delikatnej istocie wrzuconej do ciemnego i zimnego lochu, spętanej łańcuchami, płaczącej z żalu i ze strachu, ogarniał ją szal. Lecz dzięki niebiosom jeszcze tego wieczoru będzie prosić Filipa o łaskę dla przyjaciółki. Mdłości i przeszywające jej serce lodowate zimno ustępowały na tę myśl. Poza tym tej nocy będzie z Filipem, jego delikatnymi dłońmi, czułymi słowami. Będzie ją kochał!

Katarzyna była prawie wesoła, kiedy lektyka zatrzymała się przy ulicy Wytwórców Pergaminu.

* * *

Istotnie, młody de Lannoy był na umówionym miejscu, kiedy trzy razy zapukała do niewielkich drzwi ukrytych w murze ogrodu pałacowego. Dzwon na gaszenie świateł przebrzmiał już dawno, a noc nie była taka zimna jak dzień, gdyż po pogrzebie spadło dużo śniegu. Od swojego pobytu w Marsannay miała w zwyczaju przechadzać się nocą i nie tylko nie bała się, lecz wręcz lubiła to tak, jak dzieci lubią wagary. Nie obawiała się ani niebezpieczeństw czyhających w wąskich uliczkach, ani pijanych żołnierzy,

ani nawet złodziejasków Jakuba Marynarza. Abu oddał do jej dyspozycji dwóch nubijskich niewolników o gigantycznym wzroście i twarzach czarniejszych niż noc, którzy potrafiliby wystraszyć największych śmiałków próbujących tknąć młodą kobietę.

Jan de Lannoy przestępował z nogi na nogę w wysokim śniegu, a dla rozgrzania się uderzał rękami po bokach. Otworzył drzwi przed nocnym gościem.

- To miłe, że pani tak szybko przyszła, pani Katarzyno - wyszeptał uszczypliwie. - Skostniałem z zimna...

- To ze względu na ciebie tak się spieszyłam. Bałam się, że się przeziębisz, stercząc na takim mrozie.

- Inaczej mówiąc, Jaśnie Pan winien mi jest podziękowania - podsumował paż, śmiejąc się. - Tym bardziej że już nie może się doczekać.

- Jak się czuje?

Lannoy zrobił minę mogącą oznaczać „ani źle, ani dobrze” i ująwszy dłoń Katarzyny, poprowadził ją przez ogród. Napadało tyle śniegu, że trzeba było dobrze znać drogę, aby nie potknąć się na niewidocznych murkach otaczających trawniki. Gdy weszli do środka, Katarzyna zwolniła swoich Murzynów, zostawiając ich pod opieką de Lannoya, i pobiegła do kręconych schodów, które prowadziły do księcia. Pachnące woskowe świece oświetlały wnętrze wyłożone miękkimi welurami.

Po chwili Katarzyna była już w ramionach Filipa. Objął ją czule, nie mówiąc słowa i pokrywając płomiennymi pocałunkami jej zimną twarz. Po długiej chwili spuścił jej kaptur na ramiona i na nowo ujął jej twarz w swoje dłonie, aby pokryć ją pocałunkami.

- Jaka jesteś piękna! - wyszeptał głosem zdławionym przez uczucie. - Jakże mi cię brakowało! Czterdzieści dni bez ciebie, bez twego uśmiechu, bez twych ust. O, moja miłości... to była cała wieczność!

- Ponieważ już jestem, musisz o tym zapomnieć! - powiedziała z uśmiechem Katarzyna, oddając mu pocałunek.

- A czy ty łatwo zapominasz złe chwile? Bo ja nie. Ale pomimo gwałtownej ochoty ujrzenia ciebie, długo się wahałem, czy cię wezwać. Byłaś taka blada w kaplicy! Widziałem, że źle się czułaś...

- To z zimna! Ty też byłeś blady...

Książę ciągle był blady. Katarzyna czuła, jak w jej ramionach drży jego chude ciało. Nie chciała od razu mówić mu o dziecku, bojąc się, że nie odważy się jej tknąć. Czuła, że bardzo jej potrzebuje. Fizycznie. Jego twarz nosiła ślad łez wylanych nad ciałem matki. Ten nieszczęśliwy wygląd czynił go bardziej drogim jej sercu. Wprawdzie nie wiedziała, jak nazwać uczucie, które łączyło ją z Filipem. Czy kochała go? Jeśli miłość była tą torturą umysłu, tym bolesnym głodem, jaki czuła za każdym razem, przypominając sobie o Arnoldzie, to nie, nie kochała Filipa. Lecz jeśli miłość była czułością, łagodnością, silnym pociąganiem fizycznym, to może rzeczywiście Filip zawładnął jej sercem?

Filip zdjął z niej ciężki płaszcz i posadził ją na szerokim łożu. Sam zaś ukląkł przed nią, aby zdjąć jej buciki z czarnej skóry, potem zsunął pończochy z cienkiego jedwabiu, dochodzące do kolan. Chwilę trzymał w swych dłoniach jej drobne stopy, składając pocałunek na każdym różowym paznokciu.

- Zmarzłaś, pójdę podsycić ogień.

W kominku paliły się trzy pniaki, lecz aby płomienie mogły strzelić wyżej, książę udał się do przyległego schowka po pęk suchych gałęzi, które ułożył na okrągłakach. Buchnął żywy ogień... Podeszedłszy do Katarzyny, zaczął ją rozbierać. Czynił to niezwykle ostrożnie i delikatnie. Jego gesty, miękkie i pieszczotliwe, wyrażały bezgraniczne uwielbienie. Był to rodzaj powolnego, uroczystego rytuału, któremu obydwójce oddawali się

rozmyślnie, gdyż tylko podsycił żądzę i przygotowywał gwałtowną burzę zmysłów. Filip oddawał hołd Katarzynie, aby następnie bardziej dominować nad nią...

Kiedy Katarzyna otrząsnęła się ze słodkiego odrętwienia, jakim przepełnione było jej ciało, jej policzek spoczywał na piersi Filipa. Książę nie spał wcale. Oparłszy się na łokciu, bawił się jedwabnymi włosami kochanki, które rozrzucone były na białej pościeli, połyskując złotem w blasku ognia. Widząc, że ma otwarte oczy, uśmiechnął się z właściwym sobie czarem.

- Dlaczego tak cię kocham? Napętniasz moją krew płomieniem, jak żadnej innej kobiecie się nie udało. Zdradź mi swój sekret. Jesteś czarownicą?

- Jestem tylko sobą - odparła Katarzyna wesoło. Lecz Filip spoważniał. Spoglądał na nią z wyrazem szacunku.

- To prawda... I wszystko wyjaśnia... Jesteś sobą, w połowie kobietą, w połowie boginią... istotą rzadką i wyjątkową, o którą mogłyby się ścierać całe armie... Kiedyś żyła taka kobieta. Przez dziesięć lat dwa narody walczyły ze sobą, ponieważ porzuciła jeden dla drugiego. Stolica spłonęła, zginęły tysiące ludzi, aby porzucony małżonek odzyskał swoją własność. Miała na imię Helena... Była blondynką, tak jak ty, lecz cóż ja mówię, jaka inna kobieta, a nawet nasza matka Ewa, miała kiedykolwiek piękniejsze włosy od ciebie... moje złote runo!

- Jaka ładna nazwa! - wykrzyknęła Katarzyna. - Co ona oznacza?

Filip objąwszy ją, przyciągnął do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem.

- Ta historia też działa się w starożytności. Opowiem ci ją kiedy indziej...

- Dlaczego nie dzisiaj?

- Zgadnij... - odparł książę, śmiejąc się.

W pokoju rozległo się trzaskanie polan, podczas gdy Filip i Katarzyna na nowo zapominali o całym świecie. Kiedy powiedziała mu, że oczekuje dziecka, najpierw był niezwykle zaskoczony, po czym wybuchnął radością, dziękując jej jak za jakiś drogocenny prezent.

- Usunęłaś moje wyrzuty sumienia! - wykrzyknął. - Było mi wstyd, że wezwałem cię w dniu, kiedy moja matka... lecz to nowe życie zmywa ze mnie winę. Dziecko... syn, czyż nie?

- Zrobię, co w mej mocy - odparła Katarzyna. - Jesteś szczęśliwy?

- Jeszcze pytasz?

Wyskoczywszy z łóżka, napenił dwa kieliszki i podał jeden z nich Katarzynie.

- Wypijmy za zdrowie naszego dziecka! Wypił zawartość swojego kieliszka jednym haustem i położył się z powrotem, przyglądając się Katarzynie popijającej wino małymi łykami.

- Wyglądasz jak kotka przed miseczką śmietany - rzekł, pochylając się, żeby ustami zlizać kroplę wina, która spływała po nagiej piersi Katarzyny. - A teraz powiedz, jak mógłbym oddać ci trochę radości, jaką ty mi dałaś.

Przycisnął ją do swej piersi na nowo i Katarzyna mogła słyszeć, jak bije jego serce. Ale jej serce zaczęło bić jeszcze szybciej. To była odpowiednia chwila... Przytulając swą głowę mocniej, wyszeptwała:

- Chcę cię o coś prosić.

- Mów, lecz zgadzam się z góry!

Wyprostowała się i, kładąc dłoń na ustach Filipa, smutno pokiwała głową.

- Nie obiecuj zbyt pochopnie! Z pewnością to, co ci powiem, nie przypadnie ci do smaku. Może nawet się rozgniewasz... - Czekwała na skutek swoich słów i jej niepokój wzrósł, kiedy zobaczyła, że Filip się śmieje.

- Nie ma się z czego śmiać, zapewniam cię...
- Ależ tak, gdyż mógłbym ci sam powiedzieć, czego żądasz. Założmy się... o pocałunek, że wiem, czego chcesz!
- To niemożliwe!
- Ależ możliwe! Wystarczy dobrze cię znać, by wiedzieć, że zawsze masz w zanadrzu prośbę o niemożliwą łaskę. Czy sądziłaś, że nic nie wiem o twojej przyjaźni z tą gęsią Odettą de Champdivers? Moja policja nie jest taka zła, jak ci się zdaje.

- A więc? - spytała Katarzyna ze ściśniętym gardłem. - Co księżę Burgundii każe uczynić ze spiskowcami?

- Księżę Burgundii nie uczyni niczego takiego, żeby te oto piękne oczy płakały. Dziewczyna, zakonnik i kupiec zostaną odesłani do wszystkich diabłów. Każę ich uwolnić, lecz muszą zostać wygnani. Twoja Odetta musi opuścić Burgundię. Zostanie odesłana do Sabaudii. Mnich wróci do swojej góry Beuvray z zakazem przekraczania naszych granic, a kupiec wróci do Genewy. Jesteś zadowolona?

- Och! - krzyknęła Katarzyna, przepełniona wdzięcznością. - Ależ tak!

- Tak więc przypominam ci o naszym zakładzie! Płacisz od razu!

Katarzyna spełniła zakład z takim entuzjazmem i żarliwością, że księżę umierał z rozkoszy.

* * *

W klasztorze Saint-Etienne dawno już odśpiewano jutrznię, kiedy Katarzyna w towarzystwie swoich niemych strażników wróciła do domu. Zimny wiatr smagał ją po twarzy, wdzierając się pod spuszczone kaptur, lecz Katarzynę rozgrzewała radość. Rankiem Odetta zostanie uwolniona i przez dwadzieścia cztery godziny będzie mogła u niej się zatrzymać, zanim zajmie

się nią eskorta, która odprowadzi ją do granic Burgundii. Wygnanie nie będzie takie okropne, gdyż Katarzyna zaopatrzy ją we wszystkie niezbędne rzeczy, i mnicha także, by niczego im nie brakowało.

Była bardzo zmęczona. Cały dzień ceremonii, potem noc rozkoszy mogły zwalić z nóg kogoś silniejszego od niej. Myślała o ciepłym i miękkim łóżku. Czuła się zupełnie dobrze pomimo swojego stanu, była rozluźniona i obiecywała sobie długi sen.

Po wejściu do swego pokoju zabrała się szybko do rozbierania, aby jak najszybciej wśliznąć się do łoża, które przygotowała obudzona gwałtownie Perryna. W domu panował spokój, nie było słycać ani jednego szmeru.

- Nie pozwól mi tylko spać zbyt długo. Rankiem muszę iść do więzienia po panią Odettę. Jestem taka zmęczona, że mogłabym spać do wieczora.

Perryna obiecała, że obudzi Katarzynę, i wyszła, kłaniając się.

Katarzyna zasnęła natychmiast.

Z błogiej nieświadomości została nagle wyrwana w sposób brutalny. Czyjeś ręce chwyciły ją za ramiona i pośladki i uniosły w powietrze. W bladym półmroku powoli odgadywała, kim był poranny intruz szalejący nad nią. Pokój wydawał się pełen zjaw. Panująca cisza potęgowała panikę.

Chciała krzyczeć, aby przerwać ten koszmar. Głos jednak zamarł jej w gardle nie z powodu dławiącej niemocy, ale dlatego, że czyjaś ręka zamknęła jej usta. Nagle zrozumiała, że to nie sen, lecz porwanie! Wokół niej poruszały się ciemne postaci o zamaskowanych twarzach. Z łóżka zostało zerwane przykrycie, które tajemnicze ręce zarzuciły na Katarzynę, szczelnie ją nim owijając. Zapanowała całkowita, dusząca ciemność...

Do jej uszu dobiegły ciche szepty, kiedy znoszono ją ze schodów, schodek po schodku... potem galeria... Ludzie, którzy ją nieśli, potrząsali nią jak workiem. Chciała krzyczeć, lecz zakneblowano jej usta. Gwałtowny

powiew mroźnego powietrza pozwolił Katarzynie domyślić się, że byli już na dziedzińcu. Wszystko to działo się jak w złym śnie. Jak można było kogoś porwać z tego domu pełnego ludzi?...

Rzucono ją do czegoś, co chyba było lektyką, która zaczęła się poruszać. Katarzyna próbowała wyswobodzić się i pomimo więzów, którymi była spętana, udało jej się uwolnić jedno ramię.

- Szybciej, pośpieszcie się - usłyszała zduszony szept.

Wzięła tę radę do siebie, zdwajając wysiłki, tak że udało się jej w połowie wyswobodzić głowę... Znajdowała się na wozie pełnym słomy. Właśnie wstawał dzień. Zobaczyła kawałek ulicy, lecz prawie cały widok zasłaniała jej postać... nie do wiary!... Landry'ego Pigasse'a! Nadludzkim wysiłkiem, pokonując knebel, krzyknęła:

- Na pomoc! Landry!

Gwałtowne uderzenie w głowę stłumiło jej słaby krzyk i Katarzyna, tracąc świadomość, opadła na słomę...

Tymczasem wóz przejechał przez bramę Ouche, kierując się na zachód.

Rozdział szósty

Pokój w baszcie

Katarzynę obudził dotkliwy ból głowy i przenikliwe zimno. Nie mogła się poruszyć, gdyż przeszkadzały jej w tym mocne więzy, ale przynajmniej miała odkrytą twarz. Niestety, z powrotem włożono jej knebel w usta. Z głębi wozu nie mogła dostrzec nic więcej oprócz skrawka nieba i nóg porywaczy.

Dziewczyna jeszcze nigdy ich nie widziała. W swoich baranich kozuchach, filcowych kapeluszach wciśniętych nisko na oczy, z czerwonymi, kwadratowymi dłońmi wyglądali na chłopów... i wydawali się zupełnie zobojętniali. Kiedy Katarzyna zajęczała, żeby zwrócić ich uwagę, nawet nie obejrzel się w jej stronę. Zdawać by się mogło: figury z drewna, gdyby nie para buchająca im z ust. Wkrótce Katarzyna przestała się nimi zajmować, gdyż czuła, że opada z sił. Wóz podrzucał na wybojach jej obolałe ciało, ręce i stopy miała lodowate, dokuczał jej pusty żołądek, potęgując nudności. Knebel dusił, a sznury, którymi ją związano, były tak mocno zaciśnięte, że wrzynały się w ciało.

Gdzieś w pobliżu rozległ się głos:

- Szybciej, Rustaud! Popędź konie! Wóz zaczął podskakiwać na koleinach, potrząsając niemiłosiernie obolałym ciałem nieszczęśliwej Katarzyny. Jej brzuch, plecy i lędźwie przeszywał piekący ból. Każdy wstrząs podrzucał ją jak workiem piasku. Wielkie łzy, których nie mogła powstrzymać, spływały jej po policzkach. Strażnicy przypatrywali się dziewczynie ze zwierzęcą radością i na każdy jęk odpowiadali śmiechem.

Jedynie śmierć byłaby wybawieniem.

Nagle koło wozu zahaczyło o duży kamień i pojazd z impetem runął na bok. Katarzynę rzuciło na drewnianą belkę. Dziewczyna zdążyła tylko krzyknąć, lecz uderzenie w głowę było tak silne, że znowu straciła przytomność...

* * *

Kiedy otworzyła oczy, pomyślała, że znalazła się w piwnicy. Nadal leżała na słomie, tym razem w mrocznym pomieszczeniu, w którym trudno było dostrzec jakiegokolwiek szczegóły. Wysoko nad głową majaczyło w ciemności kamienne sklepienie. Próbując się odwrócić, napotkała opór czegoś twardego i zimnego, wydającego metaliczny dźwięk. Uniósłszy ręce do szyi, odkryła żelazny pierścień przymocowany do łańcucha na tyle długiego, aby pozwolił na pewną swobodę ruchów. Sam łańcuch przykuty był do muru.

Z okrzykiem trwogi Katarzyna zaczęła szarpać łańcuchem, usiłując wyrwać go ze ściany. Jej nadludzki wysiłek spotkał się z wybuchem szyderczego śmiechu.

- Jest mocny i dobrze przymocowany. Nie uda ci się go zdjąć ani umknąć przed nim - usłyszała lodowaty głos. - Jak ci się podoba twój nowy pałac?

Katarzyna zerwała się ze słomy pomimo piekącego bólu. Łańcuch opadł u jej nóg. Przed nią stał Garin.

- To pan? To pan mnie kazał porwać i przywieźć tutaj? - spytała z niedowierzaniem. - Gdzie ja jestem?

- Tego wcale nie musisz wiedzieć! Wiedz tylko, że stąd nikt nie usłyszy twoich krzyków i nie przyjdzie ci z pomocą. Baszta jest wysoka,

solidna i odpowiednio strzeżona!

Gdy tak mówił, Katarzyna obiegła wzrokiem duże, okrągłe pomieszczenie. Jedyne światło padało z wąskiego, łukowatego okienka wzmocnionego kratami. Nie było tu żadnych sprzętów oprócz stolika stojącego przy kominku, w którym jeden z chłopów w baranym kozuchu podsycał wąty płomień.

Potem z osłupieniem zauważyła, że sama ubrana jest w płócienną koszulę i brunatną suknię z szorstkiego materiału, wełniane pończochy i drewniane saboty.

- Co to wszystko ma znaczyć? - spytała z wyrazem najwyższego zdziwienia na twarzy. - Dlaczego przywiodłeś mnie tutaj?

- Aby cię ukarać!

Garin zaczął mówić, a jego twarz i cała postać emanowały szaloną nienawiścią.

- Ośmieszyłaś mnie, okryłaś mnie hańbą... ty i twój kochanek! Domyślałem się, widząc twoje podkrążone oczy, że jesteś pełna jak suka, lecz twoje wczorajsze omdlenie oświeciło mnie do końca! Jesteś w ciąży ze swoim kochankiem, czyż nie?

- A z kimże innym, mój panie? - rzuciła Katarzyna. - W każdym razie nie z tobą! I dziwi mnie twój gniew. Przecież sam tego chciałeś! Sam popychałeś mnie w ramiona księcia! I oto skutek. Noszę jego dziecko...

Jej słowa były lodowate i dźwięczały jak wyzwanie. Cała drżąca, podeszła do kominka, ciągnąc za sobą okropny łańcuch, brzęczący złowieszczo. Mężczyzna, który dmuchał w ogień, odszedł stamtąd, patrząc na nią złowrogo.

- Kim jest ten tu? - spytała.

- Nazywa się Niedojda. Jest mi całkowicie oddany. To on zajmie się tobą. Oczywiście, nie jest szlachetnie urodzony. Zapewne odkryjesz, że

gorzej pachnie niż książkę, ale do tego, co chcę zrobić, będzie doskonały...

Katarzyna nie poznawała męża. Jego jedyne oko było nieruchome, ręce drżały, głos się załamywał, wznosząc się chwilami ostrym, nieznośnym tonem. Katarzyna zaczęła się bać i jej gniew zszedł na plan dalszy.

- Co zamierzasz uczynić? - spytała, odwracając się od Niedojdy.

Garin nachylił się w jej stronę i wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Zamierzam... spowodować, abyś straciła to dziecko, które nosisz w sobie, gdyż nie mam zamiaru dawać mojego nazwiska bękartowi. Miałem nadzieję, że ta miła przejażdżka wystarczy, by wywołać poronienie.

Zapomniałem jednak, że jesteś silna jak skała. Może się zdarzyć, że nie zdążymy na czas. Trzeba więc będzie poczekać na narodziny i wtedy pozbyć się natręta. Na razie zostaniesz tutaj z Niedojdą. A wierzaj mi, już on potrafi zamknąć ci buzię... Byłbym zapomniał... dałem mu pełną władzę nad tobą...

Przez twarz wielkiego skarbnika przebiegały nerwowe skurcze. Katarzyna patrząc na jego usta, wykrzywione szyderczym grymasem, na jego ściśnięte nozdrza, pomyślała, że Garin oszalał. Tylko szalowiec mógł uknuć ten diabelski plan: oddać ją w ręce potwora po to, aby straciła swój owoc, swoje dziecko. Próbowwała przemówić mu do rozumu.

- Uspokój się, Garinie! To nedorzeczne! Czy pomyślałeś o skutkach swojego czynu? Sądzisz, że nikt nie będzie się o mnie niepokoić, że nikt nie zacznie mnie szukać? A książkę...

- Książkę wyjeżdża jutro do Paryża, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Postaram się rozpowiedzieć o twoim słabym zdrowiu... i o wypadku...

- Czy sądzisz, że po wyswobodzeniu będę milczeć?

- Sądzę, że jeśli spędzisz kilka miesięcy w rękach Niedojdy, książkę straci na ciebie ochotę... ponieważ przestaniesz być tą, którą byłaś. A on kocha jedynie to, co piękne. Zapomni o tobie szybko, wierz mi.

Katarzyna wpadła w panikę. Nawet jeśli byt szalony, to jednak

wszystko przewidział. Spróbowała ostatniej szansy.

- A moi bliscy, przyjaciele, rodzina? Będą mnie szukać!

- Nie będą, ponieważ rzucę pogłoskę, jakobyś potajemnie wyjechała wraz z księciem... Nikt się nie zdziwi, biorąc pod uwagę aż nazbyt widoczne dowody jego miłości...

Na te słowa Katarzyna uczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Wokół niej wszystko zaczęło wirować, przed oczami otwarła się ciemna otchłań. Gniew i uczucie bezsilności napełniły jej oczy łzami. Ciągłe nie mogła uwierzyć, że Garin jest całkowicie nieczuły.

- Dlaczego, panie, traktujesz mnie w ten sposób? Co ci uczyniłam? Przypomnij sobie... czyż nie pogardziłeś mną, kiedy chciałam ci się oddać? Mogliśmy być szczęśliwi, lecz ty odepchnąłeś mnie, rzucając w ramiona Filipa... A teraz karzesz mnie za to? Dlaczego, Boże, dlaczego? Czy aż tak mnie nienawidzisz? ,

Garin zacisnął rękę wokół szczupłych nadgarstków Katarzyny i potrząsał nią bez opamiętania.

- Tak, nienawidzę ciebie, pani... O, jakże nienawidzę! Od chwili gdy zostałem zmuszony do poślubienia cię, cierpiałem katusze z twojego powodu. Nie mogłem znieść myśli, że będziesz paradować z brzuchem pod moim dachem, że mam być ojcem bękarta! Nie, nie, nie, po stokroć nie! Musiałem spełnić rozkaz i ożenić się z tobą, ale reszty nie zamierzam tolerować!

- A więc pozwól mi odejść do Marsannay, do matki!

Garin posłał Katarzynę na ziemię jednym brutalnym pchnięciem. Upadła na kolana, pociągając za sobą łańcuch, który wpił się jej w szyję, i jęknęła: - Litości...

- Nigdy! Nikt nie miał litości dla mnie! Odpokutujesz za to... tutaj... a potem możesz zamknąć się w klasztorze... jak już będziesz szkaradna. Wtedy

ja będę się śmiał! Nie będę mieć przed oczami twojej wyzywającej urody... ani twojego bezwstydного ciała, którego nie wahałaś się obnażyć nawet w moim łożu!... Kiedy znudzisz się Niedojdzie, będziesz ohydna...

Katarzyna, leżąc na ziemi i osłaniając głowę rękami, szlochała bez umiaru, ogarnięta rozpaczą.

- Ty nie jesteś człowiekiem... jesteś chory, obłąkany... Jaki człowiek tak postępuje?

Odpowiedział jej jedynie głuchy pomruk. Podniósłszy głowę, zobaczyła, że Garin odszedł. Została sam na sam z Niedojdą i to on wydawał takie odgłosy. Stojąc przed ogniskiem, które w końcu udało mu się rozpałić, przyglądał się jej swoimi małymi, czarnymi oczkami, wyglądającymi jak dwa punkciki na jego obwisłej, pokrytej krostami twarzy. Kołysał się w miejscu, jak niedźwiedź, z dyndającymi wzdłuż potężnego ciała rękami. Katarzynę ogarnął niewypowiedziany strach. Wstała z ziemi i cofnęła się, nie spuszczać oczu z bestii. Nigdy jeszcze nie odczuwała takiego przerażenia zmieszanego z obrzydzeniem. Odruchowo przycisnęła się do zimnego muru, zasłaniając się rękami. Niedojda ruszył w jej kierunku, pochylony do przodu jak zwierzę, z otwartymi dłońmi, jakby chciał ją udusić. Katarzyna poczuła, że nadeszła jej ostatnia godzina.

Kiedy potężne łapy opadły na nią, zrozumiała, że nie chodzi mu o jej życie. Przewrócił ją na słoń, przytrzymał jedną ręką, a drugą starał się podnieść jej suknię. Nozdrza Katarzyny wypełniły się odpychającym odorem potu, zjełczanego tłuszczu i kwaśnego wina, który pozbawił ją resztki nadwątlonych sił.

- Garin! Pomo...

Krzyk zamarł jej w gardle. Garin, gdyby tu był, radowałby się, widząc jej przestach. Wiedział doskonale, co robi, pozostawiając Katarzynę w rękach tego zwierzęcia. Katarzyna zacisnęła zęby, aby zebrać resztki sił.

Chropowata ręka Niedojdy dotykająca jej ud nappełniała ją obrzydzeniem. Zaczęła bronić się wściekle, bez jednego okrzyku, walcząc z przygniatającym ją ciężarem z zaciekłością osaczonego zwierza. Zaskoczony tym przyływem siły napastnik chciał oprzeć swą rękę na jej twarzy, aby lepiej przygwoździć ją do ziemi, lecz Katarzyna ugryzła go z taką wściekłością, że zawył z bólu i odskoczył do tyłu. Udało jej się zerwać z ziemi i chwycić długi zwój łańcucha, mogącego w tej postaci być niebezpieczną bronią.

- Jeśli się zbliżysz - wycodziła przez zaciśnięte zęby - zabiję cię!

Napastnik cofnął się, przerażony wyrazem determinacji malującej się na twarzy więźniarki. Cofnął się w stronę drzwi, aby być poza zasięgiem łańcucha, zawahał się, a następnie wymamrotał:

- Niedobra!... Nic nie jeść!... Nic nie dostać jeść, dopóki Niedojda nie dostać to, czego chce!

Po czym wyszedł, ssąc dłoń, z której spływała strużka krwi.

Katarzyna usłyszała skrzypienie potężnych zamków i odgłos ciężkich kroków na schodach. Wyczerpana całkowicie, opadła na swoje posłanie. Schowała twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Garin skazał ją na najstraszliwszą śmierć, oddając w ręce tego potwora. Jeżeli będzie się mu opierać, umrze z głodu. Już teraz pusty żołądek dawał się jej we znaki. Ogień na kominku przygasał, zapadła noc. Kiedy zgaśnie ostatni płomyk w palenisku, zostanie wydana na pastwę ciemności, zimna i strachu przed odpychającym strażnikiem.

Całą noc spędziła skulona w kącie, z wytrzeszczonymi ze strachu oczami, nasłuchując, czy nie wracają jej oprawcy. Przykryła się wiązką słomy, lecz kiedy wstał dzień, była skostniała z zimna.

* * *

Trzy następne dni były dla Katarzyny prawdziwym koszmarem. Nie dość, że czuła się osłabiona brakiem pożywienia i skostniała z zimna, bo wąły ogień, rozpalany codziennie przez Niedojdę, nie dawał zbyt wiele ciepła, to jeszcze musiała zmagać się z atakami swojego strażnika. Jej ściśnięty żołądek dawał się dotkliwie we znaki, gdyż Niedojda podawał jej jedynie trochę stęchłej, lodowatej wody... Kiedy stwierdziła, że zamki w drzwiach czynią przy otwieraniu potworny hałas, odważyła się zdrzemnąć. Dzięki niemu mogła się przestać obawiać podstępnej napaści. Kiedy potwór rzucił się na nią, jej nadwątlone siły czyniły obronę coraz trudniejszą. Tylko swojemu zdrowiu i solidnej budowie zawdzięczała, że jeszcze się jakoś trzymała i znajdowała resztki sił do rozpaczliwej obrony. Głód stawał się coraz bardziej dotkliwy i osłabiał jej odwagę i wolę walki. Niewiele brakowało, by dla ratowania życia i ulżenia cierpieniu zgodziła się na wszystko... nawet na Niedojdę.

Czwartego dnia rano była tak osłabiona, że nie miała siły ruszyć ręką. Kiedy pojawił się Niedojda, nie mogła uczynić najmniejszego ruchu i pozostała na swoim posłaniu ze słomy. Ogarnęło ją poczucie nieuchronnego przeznaczenia. Cały zapas jej energii wyczerpał się. Gdy zamykała powieki, przed oczami przechodziły czerwone błyskawice, a gdy je otwierała, widziała tańczące czarne plamy. Uzmysłowiła sobie niejasno, że Niedojda pochylił się nad nią, że położył rękę na jej brzuchu, jakby chciał sprawdzić, jaka będzie jej reakcja. Lecz nie nastąpiła żadna. Katarzynę ogarnęło zupełne zobojętnienie. Już nic nie miało znaczenia. Niebawem przyjdzie śmierć... Jutro lub pojutrze. Czyż miało jakieś znaczenie, co teraz uczyni z jej ciałem ten nieszczęśnik. Była zeszywniała. Jedynym miejscem, gdzie czuła dotkliwy ból, była szyja, w którą wrzynał się pierścień. Aby o tym

zapomnieć, Katarzyna zapadła w odrętwienie i zamknęła oczy. Poczowała niewyraźnie, że Niedojda zdiera z niej sukienkę, że mocuje się ze sznurówkami stanika, że niecierpliwie drze koszulę. Brutalne ręce przebiegały po jej nagim ciele drżącym z zimna. Strażnik pomrukiwał przy tym niczym wieprz.

Katarzyna uczyniła rozpaczliwy wysiłek, aby nie ulec najwyższej profanacji, lecz czuła, że ciało ma jak z waty. Przytłoczył ją do ziemi nieznośny ciężar, który nagle poderwał się nieoczekiwanie, odsłaniając ją, dygocącą z zimna... Jak przez mgłę ujrzała Garina z biczem w dłoni, który smagał plecy Niedojdy.

Potem de Brazey przykucnął obok niej i położył dłoń na jej lewej piersi. Pomimo że szumiało jej w uszach, zrozumiała dokładnie, co mówi.

- Jest jak nieżywa! Co jej zrobiłeś?

- Nie jeść... ona nic nie dostać jeść, bo nie chce być miła dla Niedojdy...

- Nie dałeś jej nic do zjedzenia od czterech dni? Ty kretynie! Pozwoliłem ci ją ćwiczyć, zrobić z nią, co chcesz, ale nie zabić! Jeszcze dzień, dwa, a byłoby po niej! Leć po zupe, i to na jednej nodze.

Garin pochylił się nad żoną, przykrywając jej nagie ciało koszulą i sukienką. Starał się być delikatny i Katarzyna poczuła, że wraca jej resztką nadziei. Czyżby zaczął żałować swego postępu? Była gotowa mu przebaczyć, gdyby tylko wyrwał ją z tego piekła.

Kilka chwil później wrócił Niedojda, niosąc przed sobą dymiącą miskę stawy. Garin podniósł Katarzynę, aby mogła się napić.

- Powoli... wypij trochę gorącego rosółu.

Katarzyna rzuciła się chciwie na zupe. Łyk po łyku stopniowo wracało jej życie i wyrywało się z odrętwienia obolałe ciało. Kiedy miska była prawie pusta, Katarzyna poczuła się lepiej i westchnęła głęboko. Właśnie

miała otworzyć usta, by podziękować Garinowi, że się nad nią zlitował, lecz ten, widząc, że przyszła do siebie, zawołał szyderczo:

- Gdybyś mogła się teraz widzieć! Żaden książę, cóż mówię, żaden mężczyzna nie chciałby cię w takim stanie! Z twoimi brudnymi, matowymi włosami, z twoją szarą cerą... do tego jesteś gotowa na wszystko, byle tylko dostać coś do zjedzenia, jak zgłodniałe zwierzę! Do diaska! Żałuję, że nie dopuściłem do tego, by Niedojda cię wziął. W sam raz nadajesz się dla niego!

Wraz z powrotem sił wrócił gniew Katarzyny.

- Odejdź precz! Jesteś nikczemnikiem! Nienawidzę cię!

- Mam nadzieję! - krzyknął piskliwym głosem Garin. - Żałuję tylko, że twój kochanek nie może zobaczyć cię w tym stanie! Z pewnością nie poznałby cię. Gdzież podziała się ołsniewająca pani de Brazey? Ależ to chuda szkapa z pełnym brzuchem! W końcu będę mógł spać spokojnie! W końcu twoja piękna postać przestanie mnie nękać!

Katarzyna nie słuchała go. Żeby już wreszcie poszedł i pozwolił jej umrzeć, to wszystko, czego od niego chciała. Garin w końcu uspokoił się, zapanowała cisza. Trzasnęły drzwi i dało się słyszeć przekreścanie zamków, a potem już nic, tylko trzaskanie ognia w kominku. Katarzyna otworzyła oczy. Była sama. Garin i jego sługa zniknęli. Koło jej posłania stał talerz z kawałkiem mięsa i odrobiną jarzyn. Katarzyna rzuciła się łapczywie na strawę, zmuszając się, aby nie jeść zbyt szybko. Po tym skromnym posiłku wypila dzbanek wody, która wydała się jej doskonała. Nie zaspokoila głodu, dręczącego ją od kilku dni, lecz poczuła się silniejsza, mogła wstać i włożyć suknię, po czym powlokła się w stronę paleniska, aby się ogrzać. Płomienie przeniknęły każdy fragment jej zziębniętego ciała zbawiennym ciepłem. Niestety, wkrótce ogień zaczął przygasać, ale to miejsce przy kominku było dla niej oazą zbawienia. Katarzyna rozdarła dół swojej koszuli, aby pasmem

szorstkiego materiału owinać szyję, w którą wpijała się chropowata obroza. Następnie położyła się, z westchnieniem ulgi układając głowę na ramieniu, i zamknęła powieki.

Nagle wyrwał ją z błogostanu ostry kaszel. Coś ciężkiego upadło w samym środku paleniska, rozpryskując wokół snop iskier.

Odruchowo rzuciła się do tyłu, tłumiąc okrzyk. W kominku kłębiła się jakaś postać, przeklinając szpetnie, przy czym poklepywała się energicznie, aby zduścisć iskry przyczepione do ubrania.

- To była jedyna możliwa droga, ale jaka straszna! - krzyknął przybysz.

Katarzyna wyrwana tak nagle ze swego odrętwienia, przekonana, że to nowy sen, nie śmiała nic powiedzieć, a tymczasem ciemna postać pochyliła się nad nią. I wtedy pomimo warstwy sadzy rozpoznała rubaszną twarz otoczoną czarnymi, sztywnymi włosami.

- Landry! Czy to możliwe? A może to tylko sen? - spytała z niedowierzaniem.

- Ależ to ja! - odparł wesoło młodzieniec. - Nie przyszło mi łatwo odnaleźć cię tutaj! Ten twój stuknięty małżonek wszystko dobrze obmyślił!

Katarzyna nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Czy to naprawdę ty? - wyjąkała.

Przecież Landry nie chciał rozpoznać Katarzyny. Landry zapomniał o Katarzynie...

Dawny przyjaciel usiadł przy niej i otoczył ramieniem jej drżącą kibić.

- Landry'ego nie obchodziła pani de Brazey... ani kochanka wielkiego księcia, lecz teraz jesteś nieszczęśliwa, stałaś się ofiarą i mnie potrzebujesz. Znowu jesteś Katarzyną...

Młoda kobieta uśmiechnęła się i położyła głowę na ramieniu przyjaciela. Ta pomoc przyszła tak nieoczekiwanie, spadła dosłownie z nieba.

- Jak mnie znalazłeś? I gdzie ja jestem?

- W zamku Malain, wypożyczonym przez Garina od przeora z Saint-Seine. A jak cię tutaj odnalazłem, to długa historia. Pewnego dnia, kiedy wracałem do domu po nocnej hulance, zobaczyłem wóz wyjeżdżający z pałacu de Brazeyów. Wydawało mi się, że ze środka dobiegł do mych uszu krzyk kobiety... jeden słaby krzyk. Ale głowę miałem ciężką od wina, no i szedłem piechotą... więc nie przejąłem się tym zbytnio. Kiedy wytrzeźwiałem, ta historia zaczęła mi chodzić po głowie. Udałem się do pałacu, prosiłem o rozmowę z tobą. Spotkałem jedynie niejaką Perrynę, która płakała jak bóbr. Powiedziała mi, że opuściła zamek wczesnym rankiem, nie budząc jej nawet... Podobno miałaś wyjechać wraz z księciem do Paryża... lecz biedna dziewczyna nie bardzo w to wierzyła, gdyż wszystkie twoje najpiękniejsze suknie zostały w kufrach. Nie mogłem długo z nią rozmawiać, ponieważ nadchodził Garin. Wszystko to wydało mi się podejrzane. Zacząłem śledzić twojego małżonka przez kilka dni z rzędu. W końcu dzisiaj rano zobaczyłem, jak wyjeżdża konno, i postanowiłem jechać za nim. Dojechaliśmy tutaj i coś mi mówiło, że znalazłem to, czego szukam. Zasięgnąłem języka w oberży w miasteczku za wzgórzem, gdzie nie mają dobrego zdania o zamczysku. Ludzie powiedzieli mi, że na pewno słyszeli krzyki i jęki dochodzące z wieży i że był to głos kobiety. Ci poczciwi ludzie wierzą w duchy, tak że nie zastanawiali się nad tym głębiej. Na noc zamykali się w domach, czyniąc znak krzyża, ot i wszystko. Postanowiłem dostać się do środka. Baszta jest w ruinie i łatwo można wspiąć się po niej. Dostrzegłem konia Garina, przywiązanego na wewnętrznym dziedzińcu, zobaczyłem też człowieka wyglądającego jak niedźwiedź, który kręcił się na dole. Przez nikogo niezauważony mogłem wspiąć się spokojnie na wieżę. Ujrzałem komin... i oto jestem. Dzięki Bogu, zawsze mam zwój sznura przy siodle. Teraz wiesz już wszystko. Chodź, zabieram cię z sobą!

Landry jednym skokiem był przy niej i wyciągnął rękę, aby pomóc jej wstać, lecz ona tylko smutno potrząsnęła głową.

- Nie mogę, Landry... nie mam siły... Od czterech dni nie dostałam niczego do zjedzenia... Mój strażnik chciał mnie zmusić w ten sposób, abym mu uległa. Oprócz tego... popatrz: Garin o wszystkim pomyślał.

I pokazała Landry'emu gruby łańcuch ukryty pod fałdami jej brunatnej sukienki. Widząc to, młodzieniec stanął jak wryty. Upadłszy na kolana, dotknął z przerażeniem łańcucha i obroży.

- Co za nędzna kreatura! Wydać cię na pastwę takiego wieprza! Odważył się skuć cię łańcuchami, pozbawić jedzenia!

- Widzisz teraz, że nie mogę się ruszyć?

- To się jeszcze okaże!

Młodzieniec uważnie przyglądał się obroży i łańcuchowi. Łańcuch był zbyt gruby, aby go przepiłować, ale w obroży był zamek.

- Gdzieś musi być klucz...

- Chyba Niedojda go ma...

- Ten potwór, którego widziałem na podwórzu?

- Tak, ten sam... chociaż nie jestem tego pewna. Nie grzeszy inteligencją, więc obawiam się, że ten przeklęty klucz musi znajdować się w którejś kieszeni Garina.

Twarz Landry'ego spochmurniała. Sądził, że aby uwolnić Katarzynę, wystarczy zabić strażnika, zabrać mu klucz i wyjść spokojnie przez drzwi. W rzeczywistości było mało prawdopodobne, żeby to Niedojda miał klucze. Jeśli zaś chodzi o ucieczkę przez komin - tak jak planował, nie zdając sobie sprawy ze stanu Katarzyny - nie można było na to liczyć. Nie będzie miała siły, aby prześliznąć się przez komin, nie mówiąc już o spuszczeniu się po sznurze z baszty ani o przedarciu się przez mury... To, co dla niego było zwykłą fraszką, dla wycieńczonej dziewczyny zdawało się nie do pokonania.

Po kilku chwilach zastanowienia Landry postanowił przełożyć realizację planu na następny dzień.

- Posłuchaj, muszę odejść tą samą drogą, którą tu przyszedłem, i zostawić cię tutaj, gdyż nie mam narzędzia, którym mógłbym cię uwolnić z tego łańcucha. Musisz poczekać do jutra wieczór. Wrócę po ciebie z pilnikami, aby przeciąć obrozę, a do tego czasu przygotuję ci kryjówkę na wsi!

- Postaram się być dzielna - obiecała Katarzyna - ponieważ wiem, że czuwasz i że przyjdiesz po mnie. Masz rację, Garin z pewnością jest blisko, czuję, że zaraz nadejdzie, a nie wiemy, czy nie ma na dole innych pomocników. W wozie było dwóch ludzi. Niedojda i drugi, podobny do niego. Zostanę jeszcze jeden dzień. Najgorsze ze wszystkiego jest to okropne zimno.

Katarzyna szczykała zębami. Ogień dawno zgasł, a lutowa noc była mroźna. Jasny blask wpadający przez wąskie okno pozwalał domyślić się, że na dworze pada śnieg.

- Poczekaj - rzekł Landry.

Żywo odpiął pas, zdjął z siebie grubą skórzaną kurtkę, którą nosił na opanczy, i zarzucił ją, jeszcze ciepłą, na drżące ramiona Katarzyny, która otuliła się nią z najwyższą rozkoszą.

- W tym nie będzie ci już tak zimno. Jak usłyszysz, że nadchodzi strażnik, schowasz ją pod słomą.

- A ty? Zmarzniesz bez niej!

W uśmiechu Landry'ego Katarzyna odnalazła nagle dawnego przyjaciela z dzieciństwa, któremu nigdy nie brakowało pomysłów i z którym tak wspaniale biegało się po Paryżu...

- Ja czuję się świetnie i nie jestem biedną, głodną, skostniałą dziewczyną...

- ...będącą na dodatek w ciąży - dodała Katarzyna.

Te słowa sparaliżowały młodzieńca. Dziewczyna nie widziała go dobrze w otaczających ciemnościach, lecz słysząc jego krótki oddech, zrozumiała, co się z nim dzieje...

- Z kim? - spytał krótko.

- A jak myślisz? Oczywiście z Filipem! Garin nigdy nie był moim prawdziwym mężem. Nigdy mnie nie dotknął...

Westchnienie Landry'ego zabrzmiało jak odgłos miechów w kuźni.

- Teraz wszystko rozumiem. To dlatego, że oczekujesz dziecka, ten nędznik przywiódł cię tutaj! Jego duma nie mogła tego ścierpieć! A więc tym bardziej muszę cię stąd wyrwać! Jutro, gdy zapadnie noc, wrócę po ciebie. Twoim zadaniem będzie tylko zgaszenie ognia, jeśli twój strażnik go rozpali. Kiedy się tu opuszczałem, myślałem, że się uduszę od dymu!

- Zgoda. Po zapadnięciu zmierzchu zgaszę ogień.

- Doskonale! A teraz weź to... Będziesz mogła się bronić!

Katarzyna poczuła, że Landry wkłada jej do dłoni coś zimnego - sztylet. Przypomniawszy sobie, że przyjaciel nigdy się z nim nie rozstawał i że była to jego jedyna broń, chciała odmówić.

- A ty? Co zrobisz, jeśli natkniesz się na Niedojdę? Śmiech Landry'ego był niezwykle pocieszający.

- Wystarczą mi moje pięści! Nie mógłbym znieść myśli, że jesteś zdana na to zwierzę bez żadnej możliwości obrony. Teraz postaraj się zdrzemnąć. Śpij jak najdłużej, abyś nabrała sił. Przyniosę ci coś do zjedzenia... A teraz pora na mnie!

Jeszcze oparł ręce na jej ramionach i złożył na czole pocałunek.

- Odwagi! - wyszeptał. - I do jutra!

Po czym usłyszała, jak zbliża się do kominka, przydeptuje trzaskające drewnienka i szuka końca sznura, który powinien być wisieć w przewodzie,

jak wznosi się z wysiłkiem, powodując opadanie sadzy. Po chwili Katarzyna znowu została sama. Opatuliwszy się dokładniej kurtką Landry'ego i umościwszy się w słomie, próbowała zasnąć, lecz sen nie nadchodził. Nie mogła nawet zamknąć powiek. Nadzieja na rychłe uwolnienie spowodowała nieprzewyciężone podekscytowanie. Godziny, które dzieliły ją od powrotu przyjaciela, wydawały się nieskończenie długie. Sekundy i minuty trwały całą wieczność. Jednocześnie powrócił strach...

Wyobrażała sobie niebezpieczeństwa, na jakie naraża się Landry, i wyolbrzymiała je do niebotycznych rozmiarów. Mógł obsunąć się i spaść z wieży, mógł spotkać olbrzymiego Niedojdę czy innych ludzi. Cała jej nadzieja zależała od tego jednego człowieka, młodego i odważnego, lecz mogącego natknąć się na silniejszego od siebie. Jeśli Landry zginie, nikt nigdy się nie dowie o jej losie. Będzie znowu zdana na obrzydliwego Niedojdę, na okrutnego Garina i nikt więcej nie przyjdzie jej z pomocą.

Nagle, jakby na potwierdzenie obaw Katarzyny, z głębi ciemności wydobyło się przeciągłe wycie. Zesztywniała z przerażenia, lecz po chwili uzmysłowiła sobie, że to mógł być tylko wilk. Mimo to jej serce ciągle biło jak szalone, nie mogąc się uspokoić. Przyciskając się do muru, odnalazła nóż Landry'ego i wsunęła go za bluzkę. Dotyk chłodnego ostrza uspokoił ją. Gdyby Landry'emu przydarzyło się nieszczęście, będzie mogła skończyć z cierpieniami, ze strachem i głodem. Myśl o możliwym wybawieniu, rozpaczliwym co prawda, ale ostatecznym, dodała jej odwagi. Zaciśnięte mięśnie rozluźniły się, a w zlodowaciałe serce wlało się trochę ciepła. Trzymając rękę na bluzce, aby nie zgubić zbawiennego sztyletu, Katarzyna położyła się, układając obrożę w taki sposób, żeby jak najmniej ją raniła, i zamknęła oczy. Zapadła w płytki, nerwowy sen, pełen koszmarów.

Z tego złego snu wyrwał ją raptem promień światła, który ukazał się pod drzwiami, i zgrzyt ostrożnie otwieranych zamków. Niezbyt jeszcze

przytomna, odskoczyła w stronę muru. Całkowite ciemności nie pozwalały się domyślić, która jest godzina. Odgadywała zbyt dobrze intencje nocnego gościa: Niedojda otwierał zamki, starając się nie robić hałasu, gdyż miał nadzieję, że zastanie ją śpiącą.

Drzwi otwierały się powoli. Ukazała się w nich odpychająca twarz Niedojdy, oświetlona płomieniem łuczywa, którego tańczące języki malowały na drzwiach fantastyczne cienie. Łuczywo musiał zatknąć gdzieś na zewnątrz, bo gdy przestąpił próg i bezszelestnie zamknął drzwi, zapanały znowu ciemności. Katarzyna słyszała jedynie szybki oddech potwora. Jak w gorączce, wyjęła zza stanika nóż Landry'ego i zacisnęła go mocno w dłoni. Poczowała obrzydliwy smród Niedojdy w chwili, gdy jego wielkie wilgotne łapy dobrały się do niej; jedna chwyciła ją za szyję, druga w pasie...

Przepelniona najwyższym obrzydzeniem, nie zastanawiając się, co robi, wymierzyła cios, potem drugi i trzeci...

Nedojda zawył z bólu i wypuścił ją z uścisku.

- Precz! - krzyknęła. - Odejdź precz, inaczej cię zabiję, jeśli ośmielisz się mnie jeszcze tknąć!

Widocznie w prostym umyśle Niedojdy narodził się strach, gdyż zaczął wydawać on krótkie jęki, jak zziajane zwierzę, i cofał się w stronę drzwi, po czym wziął nogi za pas, trzymając się za krwawiące ramię. Katarzyna jeszcze przez jakiś czas słyszała jego jęki i stwierdziła, że w szoku zapomniał zamknąć drzwi, nie słyszała bowiem przekręcania kluczy w zamkach... Sama była tak przestraszona, że postanowiła nie zmrużyć oka aż do świtu.

W końcu nastąpił szary brzask, nastawał dzień, przepędzając nocne koszmary. W serce Katarzyny znowu wstąpiła nadzieja. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie to ostatnia noc w tym więzieniu. Czowała okropne

zmęczenie i nieznośny głód, lecz podtrzymywała ją nadzieja, która przenosi góry. Wiedziała, że musi wytrzymać do wieczora, ale jeśli Landry nie przyjdzie, to zawód będzie zbyt okrutny, odbierze jej resztkę chęci do życia. Tej nocy będzie wolna... lub martwa.

Dzień ciągnął się jak wieczność. Na dodatek Niedojda ze strachu, a może i z chęci zemsty, znowu nie przyniósł jej nic do jedzenia. Musiała zadowolić się odrobiną wody i pomyślała ze smutkiem, patrząc na wygasłe palenisko, że nie będzie trudno spełnić prośby Landry'ego. Chłód zdawał się dotkliwszy niż wczoraj pomimo ciepłej kurtki przyjaciela. Gdy krótki zimowy dzień miał się ku zmierzchowi, Katarzynę ogarnął gorączkowy niepokój. Kiedy Landry przyjdzie? Czy będzie czekał do zapadnięcia nocy, aby mieć pewność, że przemknie się niepostrzeżenie? Raczej wybierze takie rozwiązanie, chcąc zapewnić sobie powodzenie. Znowu zapadała noc, napelniając Katarzynę przerażeniem.

Nagle dały się słyszeć kroki na schodach baszty. Ktoś szedł do góry... co najmniej dwie osoby, gdyż można było rozróżnić dwa głosy, z których jeden z pewnością należał do Niedojdy. Katarzyna poczuła strach i okropny zawód. Może to wracał Garin... może wymyślił kolejne tortury?

Kto mógł zgadnąć, jakie nowe pomysły zakiełkowały w jego chorym umyśle? A może postanowił przewieźć ją do innego więzienia, może wrzuci ją do podziemnego lochu bez powietrza i światła, skąd nikomu, nawet Landry'emu, nie uda się jej wyciągnąć? Serce Katarzyny biło tak mocno, że zdawało się, iż zaraz wyskoczy jej z piersi. Kiedy drzwi się otworzyły, niemal krzyknęła.

Weszło dwóch mężczyzn, z których jeden niósł łuczywo, a drugi sznur. Pierwszym był Niedojda, a drugim jego kompan, ten sam, który jechał na wozie w dniu jej porwania. Obaj byli do siebie zadziwiająco podobni, chociaż ten drugi wydawał się jeszcze bardziej odpychający. Nie wyglądał

na idiotę, lecz błyski jego małych oczu zapowiadały wszystko, co najgorsze.

Wymachując sznurem, podszedł do Katarzyny i, schyliwszy się, wymamrotał:

- No, piękniś! Taka ładna, a taka niedobra! Nie chce nawet trochę zabawić Niedojdy! A to taki miły kawaler!

Niedojda stał w bezpiecznej odległości, trzymając wysoko łuczywo i przypatrując się dziewczynie z urazą.

- Nóż! - wybełkotał.

Katarzyna zauważyła, że jego lewe ramię było zabandażowane. Nie poczuła jednak najmniejszych wyrzutów sumienia, wręcz przeciwnie, pomyślała z żalem, że mogła uderzyć mocniej.

- Nożyk się panience zaraz odbierze - zachichotał nowy i zanim Katarzyna zrozumiała, co się święci, chwycił za łańcuch i pociągnął nim gwałtownie w swoją stronę. Zawyla z bólu, lecz to nie zrobiło na oprawcy najmniejszego wrażenia, wręcz przeciwnie, napastnik pociągnął z taką siłą, że Katarzyna potoczyła się po podłodze, wypuszczając z ręki sztylet.

- Podnieś go, Niedojdo! Teraz możesz się nie bać! Do kaduka! Wielka szkoda, że pan Garin kazał cię zostawić samego z tą spryściulą. A powinno mu być wiadome, że bez swojego braciszka niewart jesteś funta kłaków. Ale teraz twój kochany Moczygęba jest z tobą i zaraz się okaże, kto tu rządzi! Ciekawe, skąd na przykład wziął się tutaj ten nóż i ta kurtka. Z nieba to nie spadło. Coś mi mówi - a chyba się nie mylę - że nasza piękność zaraz wszystko ładnie nam wyśpiewa. Prawda, malutka?

I w tej samej chwili pociągnął znowu za łańcuch, prawie dusząc Katarzynę.

- No widzisz, jak chcesz, to potrafisz być miła - roześmiał się szyderczo. - Zobaczysz, że szybko dojdziemy do porozumienia! Niedojdo, rozpal ogień, może się przydać, gdyby nie chciała gadać. Do tego jest tu

raczej chłodno, chociaż naszej damie chyba gorąco, bo taka czerwona na gębie!

Katarzyna była na wpół uduszona, gdyż Moczygęba podniósł ją do góry za obrożę. Nagle gwałtownie spuścił ją na ziemię i chwyciwszy za rękę, związał je na plecach.

- Nie będziesz już mogła wyciągnąć swoich ostrych pazurków. A teraz pozwolimy ci złapać trochę oddechu... Niedojdo, zostaw ogień w spokoju, może poczekać, i podejdź tu. Ponieważ ta dama tak ci się podoba, zrobię coś dla ciebie: ja będę ją trzymać, a ty możesz użyć sobie, ile wlezie. Jeżeli jest taka milutka, jak powiadasz, przelecę ją po tobie, jeśli mi się zechce. Poczekaj... rozdziejemy pieszczotkę.

Zabrał się do rozdzierania nędznej sukienki Katarzyny. Wtem w pokoju rozległo się potworne rżenie, które poderwało z ziemi Moczygębę i jego ofiarę. Obok kominka leżał martwy Niedojda ze sztyletem w plecach, a z jego półotwartych ust chlustały potoki krwi...

Landry wyrwał sztylet z jego pleców, jednym skokiem przesadził ciało i stanął naprzeciwko Moczygęby, przygważdżając go do miejsca wzrokiem pełnym nienawiści. Oczy błyszczały w jego czarnej od sadzy twarzy.

- A teraz twoja kolej, śmieciu! Przysięgam, że nie wyjdiesz stąd żywy!

- Jeszcze zobaczymy! - zawył Moczygęba, wyciągając zza paska długi nóż. - Zobaczymy, który z nas jest silniejszy, kominiarczyku! Muszę cię zabić, bo bardzo kochałem mojego biednego brata.

Katarzyna zeszła w tej chwili na dalszy plan; przeczołgała się do swojego kąta i próbowała uwolnić rękę. Na szczęście sznur nie był zbyt mocno zaciśnięty. Tymczasem przeciwnicy obserwowali się, kręcąc w koło. Nagle, w okamgnieniu się zwarli. Katarzyna krzyknęła, gdyż Landry upadł na ziemię, przytłoczony ciężarem przeciwnika, ale pociągnął go ze sobą.

Potoczyli się po zakurzonych płytach. Ich ruchy były tak gwałtowne, a odgłosy, które wydawali, tak wściekłe, że Katarzyna nie mogła ich rozróżnić.

W pewnym momencie wydało się jej, że Moczygęba ma przewagę. Przyciskał Landry'ego kolanem do podłogi i trzymał za gardło tak, że zdawało się, iż zaraz go udusi. Wtedy, zebrawszy resztki sił, chwyciła za łańcuch i cisnęła nim w głowę Moczygęby. Napastnik upadł na posadzkę... Landry zerwał się, kolanem przygwoździł złoczyńcę do podłogi i jednym ruchem poderżnął mu gardło. Trysnęła krew, rozpryskując się na sukience Katarzyny. Dziewczyna, jak nieżywa, upadła na ziemię.

- Już po wszystkim - rzekł Landry z zadowoleniem. - Zajmijmy się sobą. Kasiu... zawdzięczam ci życie! Gdyby nie ty, ten wieprz niechybnie by mnie udusił!

Oddychał głęboko, starając się dojść do siebie po wyczerpującej walce. Nogą odepchnął od Katarzyny krwawego trupa Moczygęby, po czym uklękawszy przy niej, gładził jej splątane i lepkie włosy.

- Biedactwo! Co oni z tobą zrobili! Twoja szyja jest obtarta do krwi. Muszę szybko uwolnić cię od tej obrożi!

W istocie szyja dziewczyny krwawiła w kilku miejscach, zraniona gwałtownymi szarpnięciami łańcucha... Landry oddał kawałek koszuli Katarzyny lub raczej tego, co z niej zostało, złożył materiał, podsunął pod obrożę i za pomocą wielkiego pilnika, który przyniósł ze sobą, zabrał się do przecięcia żelaznej obręczy. Musiał to zrobić, gdyż w kieszeniach Niedojdy nie znalazł klucza. Operacja była długa i żmudna. Nieznośny odgłos narzędzia wgrzyzającego się w żelazną obejmę doprowadził dziewczynę do szczytu zniecierpliwienia. W końcu przepołowiona obroża opadła na ziemię i uwolniona Katarzyna mogła wstać. Chciała rzucić się Landry'emu na szyję, aby wyrazić mu swoją wdzięczność, lecz młodzieniec odepchnął ją łagodnie.

- Podziękujesz mi później. Teraz musimy stąd uciekać, i to szybko! Nie

sądzę, żeby było tu więcej strażników.

Podtrzymując w pasie słaniającą się przyjaciółkę, pociągnął ją w stronę drzwi, lecz kiedy mieli przekroczyć próg, dziewczyna niemal zasłabła, znajdowała się bowiem w ostatnim stadium wyczerpania.

- Och! Co za głupiec ze mnie! - krzyknął Landry. - Czy miałaś dzisiaj coś w ustach?

- Nie... nic, tylko trochę wody.

Landry wyciągnął z kieszeni płaską flaszkę i przytknął jej szyjkę do ust dziewczyny.

- Łyknij tego trochę! To wino z Beaune, natychmiast postawi cię na nogi. Masz tu jeszcze kawałek placka, zapomniałem ci go dać, widząc, co tu się święci.

Łyk wina rozgrzał ją, lecz natychmiast zrobiło się jej niedobrze, spróbowała placka i chciała zrobić kilka kroków, ale upadła na ziemię, wymiotując wszystko, co połknęła przed chwilą, wstrząsana potwornymi mdłościami.

- Ależ ty ledwie zipiesz! - stwierdził Landry. - Trudno, jakoś sobie poradzimy.

Schylił się i podniósł dziewczynę lekko jak piórko, po czym rzucił się do schodów. Chwilę później byli już na dziedzińcu.

- Najtrudniejsze za nami - wyszeptał. - Teraz trzeba przebrnąć przez mur. Tu niedaleko jest wyłom.

Katarzyna, odzyskawszy świadomość, zauważyła fragmenty szerniałych murów odcinających się od bieli śniegu. Jego błyszczące czapy okrywały obsuwające się głazy, po których Landry wspinał się ze zręcznością kozicy. Wkrótce mur został przebyty i przed oczami zbiegów ukazały się, jak okiem sięgnąć, bezkresne, sine pola pod czarnym niebem. U stóp wzgórza stało kilka zasypanych śniegiem chat. Przyciskając Katarzynę

do piersi, Landry zagwizdał trzy razy. Na ten sygnał zza kupy kamieni i korzeni wyszedł jakiś cień.

- Bogu niech będą dzięki! - rzekł drżący ze wzruszenia głos. - Udało ci się! Jak ona się czuje?

- Niezbyt dobrze. Trzeba natychmiast położyć ją do łóżka.

- Wszystko jest przygotowane. Chodź!

Katarzyna, pomimo swej słabości, na dźwięk tego głosu podniosła powieki. Była zbyt wyczerpana, aby cokolwiek mogło ją zdziwić, chciała tylko sprawdzić, czy nie jest igraszką iluzji. Lecz nie, nie myliła się. To był głos Sary.

Nie mogąc nadal w to uwierzyć, wyciągnęła rękę, aby dotknąć pochylonej nad sobą twarzy.

- To ty?... Naprawdę ty?... A więc wróciłaś!

Sara chwyciła jej rękę, pokrywając ją pocałunkami zmieszanyymi ze łzami.

- Żebyś wiedziała, Katarzyno, jak okrutnie mi wstyd... Lecz Landry przerwał przywitanie i wyjaśnienia.

- Później wytłumaczę ci, jak ją odnalazłem - powiedział, poprawiając ciężar w swych ramionach. - Teraz musimy uciekać. Choć noc jest ciemna, to na tym białym stoku mogą nas dojrzeć. Zaniosę cię w bezpieczne miejsce, a potem wrócę, aby zatrzeć ślady na śniegu.

- Gdzie idziemy? - spytała Katarzyna.

- Niedaleko... do Malain. Garin nie będzie cię szukał tak blisko.

- Nie trzeba wracać, ja zatrzę ślady... a zresztą - przerwała Sara, patrząc w niebo - zaraz spadnie świeży śnieg i sam wszystko zakryje.

Rzeczywiście, wokół trzech wędrowców zaczęły wirować płatki śniegu, najpierw pojedyncze, potem coraz gęstsze.

- Niebo jest z nami - rzekł radośnie Landry. - Przyśpieszmy kroku!

Chciał jak najszybciej opuścić to ponure miejsce, nad którym górowała złowieszcza baszta. Okolicę okryła cisza. W tej chwili tylko dwa trupy pilnowały tego miejsca, dwa zimne ciała, których krew stygła na posadzce więzienia.

Landry prawie biegiem przebył skromne miasteczko, kierując się w stronę chaty przycupniętej na brzegu lasu, skąd dochodziło słabe światło. Z daleka chałupa wyglądała jak pękata dziupla, gdyż prawie do połowy przykrył ją śnieg, a w jej małym okienku, rzucającym wąski snop ciepłego światła, było coś przyjacielskiego i zapraszającego. Katarzyna ufnie i spokojnie dawała się unosić silnym i gorącym ramionom przyjaciela. W pobliżu domu zaszczekał pies. W tym momencie uchyliły się drzwi, w których zarysowała się ciemna sylwetka kobiety na tle rozświetlonego wnętrza.

- To my! Udało się! - krzyknął Landry.

- Uwolniłeś ją, panie?

Głos był przyjemny, dźwięczący niskimi tonami. Kobieta nie wymawiała „r” z francuska, za to mówiła z lekkim burgundzkim akcentem.

- Wchodźcie szybko - rzuciła w stronę przybyszów, usuwając się z progu, aby mogli wejść do środka.

Rozdział siódmy

Zazdrość i czarownice

Kobietę, która otworzyła przed Katarzyną drzwi swojego domu. nazywano Stokrotką i uważano za czarownicę. Nie była to jednak postać znana z bajek: stara, bezzębna i odrażająca wiedźma. Jej skromna chata błyszczała czystością. Pośrodku klepiska, nad paleniskiem, wisiał żelazny kociołek, błyszczący jak najprawdziwsze srebro. Sama Stokrotka nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Była Burgundką, jedną z tych blondynek zdrowych i silnych jak młode drzewo, z cerą jak płatek dzikiej róży i z burzą złocistych włosów, na których nie trzymał się żaden wykrochmalony czepek. Całości dopełniały okrągłe, lecz proporcjonalne kształty i jędrna skóra. Rozchylając w uśmiechu pełne wargi, Stokrotka błysnęła bielą zębów.

Katarzyna, wnoszona do chaty, nie zauważyła tych wszystkich szczegółów. Natomiast rzucił się jej w oczy żywy płomień tańczący na żółtym kamieniu paleniska oraz łóżko ze śnieżnobiałą pościelą, gdzie ją położono po odsłonięciu zasłony z czerwonej serży. Jeszcze tylko filiżanka gorącego bulionu z rąk uroczej gospodyni... i Katarzyna zasnęła jak kamień, zapominając o cierpieniach i potwornym strachu, który towarzyszył jej przez tyle długich dni.

Jakże wielkie było jej zdziwienie, kiedy następnego ranka otworzyła oczy. Zamiast w ponurej baszcie znajdowała się w ciepłej i przytulnej chatce. Z trudem zaczęła przypominać sobie wypadki poprzedniej nocy: śmierć strażników, ucieczkę, cudowne pojawienie się Sary... Landry, pochylony nad jej łóżkiem, czuwał nad spokojnym snem dziewczyny i uśmiechnął się do

niej czule, widząc, że cofnęła się odruchowo, otworzywszy oczy.

- No, nie bój się! Tu jesteś całkowicie bezpieczna!

Katarzyna nie mogła w to uwierzyć. Wodziła błędnym wzrokiem po sprzętach, zatrzymując go najdłużej na ogniu, którego tak bardzo jej brakowało. Za oknem śnieg przestał padać i ukazał się nieśmiały promień słońca. Odbijając się na śnieżnym puchu, oświetlał wnętrze chaty.

- Słońce... Ogień... - wyszeptała Katarzyna z lekkim uśmiechem.

Sara i Stokrotka wróciły ze stajni, dokąd poszły, aby wydoić kozy. Jedna niosła wiadro do połowy wypełnione mlekiem, druga - koszyczek z serami. Sara widząc, że Katarzyna już nie śpi, podbiegła, aby ją ucałować. Tęnęła we łzach, ubolewając, że pani de Brazey tak schudła i wynędzniała. Stokrotka przyglądała się ciekawie zbiegowi z baszty. Wiedziała od Landry'ego, że to żona wielkiego skarbnika i kochanka potężnego księcia Burgundii, lecz widząc chudą i brudną istotę o ziemistej cerze, matowych i splecionych włosach, raczej w to wątpiła. Sara po opanowaniu pierwszego wzruszenia również patrzyła na nią z niedowierzaniem. Ta zniszczona twarz, ta szyja nosząca ślady obręczy... Gdzie podziała się olśniewająca pani de Brazey?

- Ależ cię, pani, urządzili! Boże, w jakim jesteś stanie! - zajęczała.

- Jest przede wszystkim brudna jak święta ziemia! - stwierdził Landry.

- Na twoim miejscu dałbym jej trochę mleka, żeby przyszła do siebie, a potem umyłbym ją porządnie.

- Zagrzeję wody - powiedziała Stokrotka, zdejmując z haka kocioł, aby nabrać wody ze studni w ogrodzie.

Podczas gdy Katarzyna popijała łykami mleko, a Sara przygotowywała się do toalety swej pani, zaczęły się opowieści. Landry mówił, jak dwa dni po porwaniu Katarzyny spotkał Sarę u Jakuba Marynarza, gdzie i on czasem zabawiał się wieczorami. Zostawiła w lesie szczep Cyganów razem z ich

szeferem Stankiem, dla którego opuściła Katarzynę.

- Nie miała odwagi wrócić do ciebie - dodał.

- Było mi wstyd - przyznała szczerze Sara. - Chciałam wrócić, ale bałam się twego wzroku. Dijon przyciągało mnie nieodparcie, więc poszłam do Jakuba Marynarza, sądząc, że jakoś wszystko się załatwi.

- Kiedy dowiedziałam się, że zniknąłeś, myślałam, że zwariuję i że to kara niebios za to, że nie wywiązałam się ze swoich obowiązków. Błagałam Landry'ego, aby mi pozwolił pomóc cię odszukać.

- Oboje staliśmy na czatach, raz jedno, raz drugie. Dalszy ciąg znasz. A co się tyczy Stokrotki... - Przerwał i, otoczywszy kibić dziewczyny, przyciągnął ją do siebie i złożył na jej szyi głośny pocałunek. - Poznałem ją także w oberży Jakuba Marynarza, już będzie ponad rok. Mieszkały razem z matką w Fontaine, ale stara została spalona na stosie jako czarownica. Stokrotka musiała uciekać. Wtedy schroniła się u Jakuba, lecz w Dijon się dusiła. Brakowało jej pól i lasów. Jakub miał kuzyna, który niedawno zmarł i zostawił Stokrotce swoją chatkę. W Malain nie ma się czego obawiać, chyba żeby księżę przysłał oddziały do zniszczenia miasteczka.

- Dlaczego? Czy te ziemie są miejscem azylu? - spytała Katarzyna. - A może są własnością Kościoła? Przecież wspomniałeś, że baszta należy do opata z Saint-Seine.

- Baszta tak, chociaż ten święty człowiek zupełnie się nią nie interesuje. Jest też miejscem azylu, lecz nie takiego, jak ty to rozumiesz. Malain to miasteczko, które się omija z daleka, gdyż prawie wszyscy jego mieszkańcy są czarownikami! Rzecz jest znana. Tak więc jedna czarownica mniej, jedna więcej! Toteż Stokrotka może tu mieszkać spokojnie, a twój małżonek doskonale wiedział, co robi, zamykając cię w starej baszcie. Bogobojni chłopci nie zbliżają się do tego miejsca. Mówi się, że w zamku straszy, a miasteczko jest przeklęte...

W tym czasie Sara napełniła duży, drewniany cebrzyk wody i przyciągnęła go do ognia.

- Dostyc tego gadania - rzekła, chwytając Landry'ego za ramiona, aby wyrzucić go z izby. - Idź się przejść! Nie potrzebujemy tu teraz mężczyzn!

Landry westchnąwszy, naciągnął skórzaną kurtkę, wsunął za pas sztylet i gwizdnął na psa Stokrotki.

- Zgoda, przejdę się po lesie. Może trafi mi się jaka zwierzyna.

Kiedy młodzieniec wyszedł, Sara pomogła Katarzynie wstać, zdjęła z niej podartą koszulę i pomogła pani wejść do cebrzyka. Woda była ciepła, przyjemna, dziewczyna od dawna marzyła o kąpeli. Nigdy jeszcze nie czuła się taka brudna. Kiedy popatrzyła na swoje ciało i włosy, poczuła wstyd i odrazę. Kilka miesięcy w baszcie zmarnowałyby ją zupełnie. Wyciągnęła się w wodzie, a Sara ostrożnie myła jej szyję, patrząc przez okno za odchodzącym Landrym, do którego dołączyła Stokrotka, opierając się czule na jego ramieniu.

- Jak myślisz, Saro, czy ta Stokrotka jest przyjaciółką Landry'ego? - spytała Katarzyna.

- Jest jego kochanką i mam wrażenie, że szaleje za nim. Ale nie mogę ci powiedzieć, czy Landry też ją kocha.

- Czy naprawdę uważasz, że jest czarownicą? Zupełnie na to nie wygląda.

- Jest to choroba, która przechodzi z matki na córkę. Nawet jeśli nią nie jest, to nikt w to nie uwierzy, bo taki jest porządek rzeczy.

- A ty w to wierzysz?

Sara wzruszyła ramionami, wcierając obficie mydło w kawałek płótna, aby natrzeć nim ciało Katarzyny, które powoli nabierało normalnego wyglądu mimo pokrywających je siniaków i ran.

- Nie wiem... Lecz chyba tak... To dziwna dziewczyna. Spotkałam ją

kilka razy u Jakuba Marynarza. Mężczyźni bali się do niej zbliżyć, takie miała spojrzenie.

Katarzyna pomyślała w głębi duszy, że może i mieli rację, gdyż jedno oko Stokrotki było niebieskie, a drugie piwne, lecz wkrótce zapomniała o tym, skupiając się wyłącznie na swojej toalecie. Sara pomogła jej wyjść z wody i posadziła blisko ognia, aby obeschła. Potem zabrała się do mycia głowy dziewczyny. Katarzyna poddawała się jej zabiegom jak małe dziecko. Brud i zmęczenie opadały z niej równocześnie. Czuła, że odżywa.

Kiedy Stokrotka wróciła z naręczem chrustu, stanęła jak wryta na progu, nie mogąc otrząsnąć się ze zdziwienia.

Przy ogniu, na stołku siedziała Katarzyna z zamkniętymi oczami, zawinięta w cienkie płótno, spod którego wystawały smukłe nogi i krągłe ramiona. Wydawało się, że drzemie. Z tyłu stała Sara, rozczesując połyskującą wiechę wilgotnych jeszcze włosów, jakich Stokrotka nigdy w życiu nie widziała. Czy to możliwe, żeby to była ta sama nieszczęsna, umorusana kreatura?

- Zamknij drzwi, jeszcze się nam przeziębimy - rozkazała Sara.

Stokrotka trzasnęła drzwiami, lecz Sara zauważyła, że dwukolorowe źrenice dziewczyny zwięzły się, kiedy patrzyła na Katarzynę. Uroda Katarzyny, jak jakaś zniewaga, zdawała się dotykać Stokrotkę. Sara poczuła wyraźnie, że w sercu dziewczyny zakiełkowała zazdrość. Postanowiła nie ufać jej i mieć na nią baczenie.

Landry wrócił późnym wieczorem, zbryzgany krwią, uginając się pod ciężarem młodego dzika, którego zabił nożem. Był śmiertelnie znużony, lecz szczęśliwy. Kiedy ujrzał świeżą i czarującą Katarzynę w niebieskiej, wełnianej sukience Stokrotki, wybuchnął śmiechem. Chwyciwszy ją oburącz w talii, uniósł do góry.

- W końcu jesteś do siebie podobna! Jaka ty jesteś piękna, moja droga

Kasiu! Najpiękniejsza dziewczyna, jaką znam! Jesteś trochę za chuda, ale szybko przyjdiesz do siebie!

I ucałowawszy Katarzynę w oba policzki, postawił ją na ziemi, po czym odwrócił się do Stokrotki i zawołał:

- Chce mi się jeść!

- Zupa jest gotowa.

Głos Stokrotki był spokojny, ale w jej oczach Sara zauważyła błysk złości. Bez wątplenia dziewczyna była zazdrosna! I na tej podstawie Sara uznała, że nie wróży to niczego dobrego...

* * *

Po kolacji urządzono naradę wojenną. W baszcie panował spokój, widocznie ciało strażników jeszcze nie odkryto. Garin mógł wrócić lada moment i nie można było ryzykować, że ktoś zauważy Katarzynę w chacie Stokrotki.

- Trzeba zawiadomić księcia Filipa - postanowił Landry. - To zajmie trochę czasu, gdyż jest teraz w Paryżu.

- A kapitan de Roussay? - spytała Katarzyna.

- Tak. Sądzę, że przebywa obecnie w Dijon, lecz on niewiele będzie mógł zrobić dla ciebie. W końcu Garin jest twoim mężem i nikt nie może mu zabronić cię zabrać, nawet kapitan straży... Garin usłucha tylko księcia...
Jutro wyruszę do Paryża!

Było to jedyne rozsądne rozwiązanie, lecz Katarzyna nie mogła powstrzymać obaw na myśl o wyjeździe Landry'ego. Przy nim nie bała się niczego. Był taki silny, taki odważny i wesoły! To był ten sam Landry, którego znała w dzieciństwie

- Czy nie lepiej poczekać spokojnie, aż księżę wróci? Może nie zabawi

tam długo?

- Z nim nigdy nie wiadomo - odparł Landry. - Na dodatek ja muszę wracać do służby. Pojadę do niego do Paryża, żeby wydał rozkazy, gdzie masz się schronić przed mężem. Gdybyś nie była w tym... stanie, zabrałbym cię ze sobą, lecz droga jest zbyt długa i niebezpieczna. Ja przejadę bez trudu i szybko wrócę. No, uśmiechnij się do mnie! Wiesz przecież, że twoje bezpieczeństwo jest mi najdroższe na świecie!

W jego słowach było tyle żaru, że Sara instynktownie spojrzała na Stokrotkę, która zbierała naczynia ze stołu. Jej twarz była nieruchoma, a powieki spuszczone.

- Przygotuję ci coś na drogę - powiedziała, nie patrząc na Landry'ego.

W nocy Sara dzieliła z Katarzyną posłanie Stokrotki. Nagle jej szósty zmysł obudził ją z głębokiego snu. W chacie było cicho i ciemno, lecz Cyganka poczuła czyjąś obecność obok łóżka. Wstrzymała oddech. Stokrotka miała spać na strychu, a Landry w stajni wraz z koniem i kozami. Oddech Katarzyny był regularny, ale obok niej dał się słyszeć lekki szmer. Sara nie miała już wątpliwości, że ktoś stoi przy łóżku. Właśnie miała wyskoczyć z pościeli, aby zapalić świecę, kiedy usłyszała oddalające się szybko, choć ostrożnie kroki. Drzwi chaty otworzyły się bezszelestnie i wtedy Sara zobaczyła przemykającą ciemną kobiecą postać. Sara, nie zastanawiając się, naciągnęła pończochy, wzięła buciki i narzuciła na ramiona ciepły koc. Uważając, aby nie obudzić Katarzyny, ruszyła w ślad za tamtą. Spozregła, że z kurnika wychodzi Stokrotka, chowając coś pod czarną peleryną. Cyganka cofnęła się szybko w stronę drzwi, aby pozostać niezauważona.

Czarownica oddaliła się szybko pod drewniany daszek, zatrzymała się i zapaliła latarnię, którą wyjęła spod peleryny, po czym pobiegła w kierunku drzew otaczających chatę. Wydało się to Sarze tak dziwne, że postanowiła

ić za Stokrotką. Gdzie ona się wybierała w środku nocy?

Zrobiło się trochę cieplej i śnieg zaczął topnieć na ziemi i drzewach, z których spadały tu i ówdzie wielkie płyty. Stokrotka szła szybko i Sara musiała przyspieszyć kroku, kierując się tańczącym pomiędzy drzewkami światłem latarni. Ścieżka wiła się wokół ociekających wodą skał i wznosiła się, prowadząc na zalesione wzgórze. Nagle światło zniknęło, jakby zapadło się pod ziemię. Sara posuwała się dalej, idąc po omacku w kierunku miejsca, gdzie zniknęło światło. Jej oczy powoli przyzwyczały się do ciemności. Wkrótce Cyganka zrozumiała. Ścieżka wiła się wokół olbrzymiej skały, w której natrafiła na pęknięcie wystarczająco szerokie, aby mógł przez nie przejść człowiek. Sara zatrzymała się, gdyż wydało jej się, że słyszy stłumione głosy. Żałowała, iż nie zabrała ze sobą jakiejś broni, lecz mimo to wślizgnęła się przez wąski otwór, trzymając się rękami skały. Wkrótce korytarz rozszerzył się i ukazało się jasne światło, lepiej też było słyszeć głosy. Z głębi pieczary, gdzieś na końcu wąskiego korytarza, dochodziły dziwne śpiewy. Sara przyspieszyła kroku. Galeria schodziła coraz głębiej, stopy Cyganki zaczęły się ślizgać na gładkich ociekających strużkami wody... W pewnej chwili Sara poczuła buchające ciepło. Korytarz zakręcał, po czym ustępował jasnej rozpadlinie, częściowo zasypanej staczającymi się co pewien czas gładzami.

To, co za nimi zobaczyła, było tak niesamowite, że odruchowo uczyniła znak krzyża. Pośrodku obszernej groty płonęło ognisko. Za nim wznosił się ołtarz wykuty w skale, na którym stała prymitywna, drewniana statua z korpusem człowieka i głową kozła. Między jego rogami paliły się trzy czarne świece. Wokół, na ziemi, siedziało kilkanaście kobiet i mężczyzn w różnym wieku, ubranych po wiejsku. Byli nieruchomi jak posągi, ich usta poruszały się w monotonnym, niewyraźnym śpiewie. Przed drewnianym bożkiem stał tylko jeden człowiek: starzec o siwych i długich jak u kobiety

włosach. Trzymał ręce schowane w rękawach długiej, czarnej sukni, na której widniały czerwone znaki kabalistyczne. Starzec ten pochylony był nad Stokrotką. Dziewczyna opuściła kaptur peleryny na ramiona. Klęcząc przed starcem, mówiła coś do niego, a on jej odpowiadał. Sara stała zbyt daleko, aby cokolwiek usłyszeć. Cyganka zdała sobie sprawę, że jest świadkiem sabatu czarowników z Malain w ich tajemnej świątyni, w której oddawali cześć Szatanowi, ich władcy.

Raptem Sara zobaczyła, że Stokrotka podaje coś błyszczącego swojemu rozmówcy... kosmyk złocistych włosów. Z pewnością były to włosy Katarzyny! Czarownica musiała je obciąć, kiedy podkraśla się do łóżka! Starzec podzielił włosy na dwie części, z których pierwszą schował w fałdach swojej szaty, a drugą wrzucił do ogniska i gdy się spaliły, zebrał skrupulatnie cały popiół, jaki z nich powstał. Stokrotka, nie wstając z klęczek, podała mu teraz czarną kurę, co by wyjaśniało jej wizytę w kurniku. Czarownik postawił kurę na ołtarzu i odciął jej głowę jednym cięciem noża. Z szyi ptaka trysnęła krew, którą zebrał do drewnianej miseczki, po czym zmieszał kilka kropel z popiołem z włosów Katarzyny, uformował z tego rodzaj ciasta i dorzucił szczyptę mąki. Powstały z tej mieszanki placek uniósł w stronę wykrzywionego pyska kozła. Tymczasem Stokrotka padła na twarz, a krąg czarownic śpiewał coraz głośniejsze, kołyszące się rytmicznie. Sara otrząsnęła się, by nie ulec złowrogemu wpływowi tego widowiska. Pomyślała, że Stokrotka nie wierząc w swoje własne czary nad nieprzyjacielem, jakiego odkryła w Katarzynie, przyszła tu, aby uzyskać pomoc kogoś silniejszego od siebie.

Po tych wstępach starzec podszedł do Stokrotki, uniósł jej twarz i uczynił na niej znak krzyża krwią czarnej kury. Potem pochylił się i pocałował ją w usta, a następnie wyciągnął z zakamarków swej długiej szaty woreczek z jakimś proszkiem, podał go młodej kobiecie i wyszeptał jej coś

na ucho. W końcu, odwróciwszy się od niej, palcem wskazał wyjście.

Sara pomyślała z trwogą, że czas uciekać, aby nie zostać odkrytą. Toteż bez namysłu rzuciła się do ucieczki, raniąc się i potykając w ciemności o wystające głązy. Wreszcie wyszła na zimne, świeże powietrze. Czuła się tak, jakby wybiegła z piekieł. Instykt dziewczyny pól i lasów pozwolił jej szybko odnaleźć ścieżkę ze zręcznością psa myśliwskiego tropiącego zwierzynę. Gnana myślą, że musi dotrzeć do domu przed Stokrotką, wkrótce wybiegła z lasu i znalazła się w chacie. W środku panowała cisza. Katarzyna nadal spała spokojnym snem. Sara zrzuciła ubranie i wślizgnęła się do łóżka. Katarzyna wypowiedziała kilka niezrozumiałych słów, odwróciła się na drugą stronę i zasnęła z powrotem.

Niebawem nadeszła Stokrotka. Sara z szeroko otwartymi oczami słuchała skrzypienia drabiny, po której dziewczyna wspinała się na swój stryszek. Zapadła całkowita cisza, lecz Cyganka nie mogła zasnąć. To, co zobaczyła, umocniło ją w przekonaniu, że Stokrotka, zazdrosna o Katarzynę, zrobi wszystko, co w jej mocy, aby tylko zaszkodzić jej pani. Nie wierzyła w czary i nie martwiła się o ich skutki. Wystarczy zachować czujność... Ale woreczek, który starzec dał dziewczynie, niepokoił ją. Obawiała się, że jest w nim trucizna...

* * *

Wczesnym rankiem Stokrotka zeszła do izby, wsypała do miski białą mąkę i zabrała się do robienia ciasta na placki, które upiekła nad ogniem na dużej, czarnej patelni z długą rączką. Sara zauważyła przez zmrużone powieki, że młoda czarownica, robiąc ciasto, dosypała do niego zawartość woreczka, który wyjęła zza pazuchy. Kiedy placki były gotowe, Stokrotka ucięła kilka grubych plastrów z szynki wiszącej nad paleniskiem i razem z

plackami zawinęła w białą ściereczkę, a zawiniątko włożyła do torby Landry'ego, którą zawsze przytraczał do siodła. Sara, widząc to, uśmiechnęła się mimo woli: proszek nie mógł być niczym innym, tylko eliksirem miłości! Czułe spojrzenia rzucone wczoraj przez księżęcego posłańca przyjaciółce z dzieciństwa utwierdziły jego groźną kochankę w przekonaniu, że potrzebuje go bardziej niż kto inny!

Dwie godziny potem Landry pożegnał się z trzema kobietami, wskoczył z wesołym „do zobaczenia” na swego konia i wkrótce śnieg zmieszany z błotem rozprysnął się pod kopytami rumaka. Katarzyna patrzyła za odjeżdżającym, którego coraz mniejsza sylwetka zniknęła wreszcie za wzgórzem, zabierając ze sobą nadzieję. Dziewczyna poczuła nagle w głębi serca silną potrzebę ujżenia Filipa. Był jedynym mężczyzną, przy którym życie było łatwe i przyjemne...



Po śnieżycach przyszły ulewne deszcze, które rozmyły ziemię, drogi zamieniły w grząskie błoto, a światło dnia w wilgotną szarugę. Za małymi okienkami chaty zawisły ciężkie zasłony z mgły. Z nieba lały się nuda i smutek, i trzy kobiety przebywające w chacie źle znosiły to przymusowe zamknięcie. Zaledwie Landry wyjechał, zaczęły padać deszcze, tak jakby chciały odciąć Katarzynę i jej towarzyszkę od reszty świata. Po kilku dniach stało się to nie do wytrzymania.

Sara zrobiła się nerwowa, Stokrotka milcząca, a Katarzyna niespokojna nie wiedzieć dlaczego. Kiedy rzucała spojrzenie za okno, jej wzrok napotykał sylwetkę baszty strzegącej swej ponurej tajemnicy. Od dnia ucieczki nie było tam nikogo. Sara czuwała, aby nie przegapić powrotu Garina, lecz wielki skarbnik nie zjawiał się. W zamku nic się nie działo...

Katarzyna nabierała sił. Jej stan męczył ją niepomiaralnie, lecz w trzecim miesiącu oczekiwania ustąpiły nudności. Czowała się lepiej i zabijała czas, jak mogła, zajmując się gospodarstwem. Zaczynała ciasto na chleb, przędła len lub wełnę, uczyła się robić kozie sery...

Mieszkańcy Malain nie pokazywali się w okolicy. Nikt też nie odwiedził Stokrotki przez cztery dni po odjeździe Landry'ego. Niskie domy miasteczka, zbudowane z dużych bloków granitu, stały w deszczu, a ich mieszkańcy wyglądali przez małe okienka cieplejszych dni.

Piątego dnia na progu chaty pojawił się mężczyzna. Stokrotki nie było w domu, gdyż korzystając z chwilowego przejaśnienia, poszła do lasu nazbierać dREW na opał. Sara rozpoznała w przybyszu wielkiego starca widzianego w grocie. Zaniepokojona, stanęła pomiędzy nim a Katarzyną, która, siedząc na przypiecku, tkła na krosnach konopne włókna.

- Czego chcecie, dobry człowieku? - spytała Cyganka.

- Jestem przyjacielem Stokrotki. Nie ma jej w domu? - odparł starzec.

- Poszła po drzewo do lasu... ale możecie na nią poczekać.

Cyganka zauważyła, że jasne, wyblakłe oczy czarownika patrzyły na Katarzynę z uporem. Starzec wzruszył ramionami, okrytymi grubą, włosianą opończą, podbitą baranią skórą.

- Nie, wrócę potem. Ale... - Zbierał się do wyjścia, na chwilę jednak przystanął i dodał: - Możesz jej powiedzieć, że Gervais był tu i że kazał zrobić to, o co go prosiła.

- Ale co? - spytała Sara odważnie, gdyż jej nieufność wzrastała.

- Nic takiego! - odpowiedział starzec wymijająco. - Ona zrozumie.

Życzę dobrej nocy...

Kiedy wróciła Stokrotka, Sara z obojętną miną przekazała jej słowa starca. Zauważyła, że pomimo wysiłków dziewczyna zaczerwieniła się. Podejrzenia, które Cyganka miała od czasu sabatu czarownic, zdawały się

potwierdzać. Dlaczego wtedy starzec schował pod suknią część włosów Katarzyny? Tajemnica czarowników czy nowe zaklęcie? Sara zastanawiała się nad tym przez całą noc, nie mogąc zmrużyć oka. Zasnęła głębokim snem dopiero nad ranem i obudziła się, kiedy słońce stało już wysoko. Katarzyna kroїła kapustę na zupę. Stokrotki nie było widać.

- Gdzie ona jest? - zapytała Cyganka bez ogródek.

- Będzie dobra chwila, jak wyszła. Nie mówiła dokąd. Zdaje mi się, że poszła w stronę miasteczka.

Sara zaczęła intrygować Katarzynę. Była jakaś nieswoja, nerwowa, podniecona. Ubierając się, włożyła wszystko na lewą stronę, myśląc widocznie o czymś innym, po czym przykleiła nos do okna, nie chcąc nawet wypić kubka mleka, który przyniosła jej Katarzyna.

- Powiesz wreszcie, co ci jest? - zniecierpliwiła się dziewczyna. - Mam wrażenie, że się czegoś boisz.

Sara nie odpowiedziała. Spoglądała z roztargnieniem w niebo, które ostatnio trochę przejaśniało. Wieś przeglądała się w kałużach. Popychana niewyjaśnioną siłą, Sara narzuciła szeroką, czarną pelerynę i chwyciwszy plecionkę, na której były poukładane chleby do upieczenia, rzuciła:

- Pójdę do piekarni. Miała to zrobić Stokrotka. Nie rozumiem, dlaczego nie zabrała ze sobą bochenków, idąc do miasteczka!

I zanim Katarzyna zdążyła coś powiedzieć, Sara ruszyła przed siebie. Piekarnia znajdowała się w środku miasteczka, pomiędzy walącym się kościołem a starym kamiennym krzyżem z zielonymi stopniami. Stało tu już kilka kobiet, czekając na swoją kolej. Wszystkie były opatulone po czubek nosa z powodu przenikliwego wiatru, każda trzymała w ręku kosz. Sara nie zwróciła na nie uwagi, gdyż jej przenikliwe oczy zauważyły znajomą niebieską sukienkę i biały czepek przy drodze prowadzącej do baszty. Wyglądało na to, że Stokrotka na kogoś czeka, siedząc na kamieniu.

Nagle Sarze wyrwał się stłumiony okrzyk. Drogą zbliżała się grupa jeźdźców, może ze dwudziestu, wszyscy w obcisłych kurtach pokrytych metalową łuską, błyszczącą w świetle poranka. Na ich czele jechał człowiek, na którego widok serce Sary zaczęło bić jak oszalałe. Czarna sylwetka, chudy i wysoki! Człowiek ten zatrzymał konia przy Stokrotce, chwilę z nią rozmawiał, ona w końcu wskazała drogę do swej chaty... Nie było wątpliwości. Ta czarna postać to był Garin!

Krew Sary zakipiała! Pomimo wielkiej chęci, aby rzucić się na zdrajczynię i pobić ją do krwi, Cyganka postanowiła nie tracić czasu i zostawić słodycz zemsty Landry'emu. Porzuciwszy plecionkę z chlebami na cembrowinie studni, pobiegła jak szalona do chaty, powiewając czarnymi skrzydłami swojej peleryny.

Katarzyna właśnie zabierała się do szumowania zupy, kiedy drzwi chaty otworzyły się z łoskotem i do izby wpadła jak huragan Sara, blada z przerażenia.

- Co się znowu dzieje?

Nie wdając się w wyjaśnienia, Sara rzuciła się do mantyli zawieszanej na gwoździu, chwyciła ją, otuliła Katarzynę i pociągnęła panią za sobą.

- Uciekajmy! Widziałam Garina! Jest blisko! Stokrotka zdradziła twoją kryjówkę! Prowadzi ich tutaj! Zaraz tu będą! - wyrzuciła jednym tchem.

Ta wiadomość ścięła Katarzynę z nóg. W mgnieniu oka odżyły straszne chwile spędzone w baszcie, zimno, głód, łańcuchy, obroza, trupy potwornych strażników. Czy znowu ją to czeka, jeśli Garin ją złapie?

- Nie czas na lamenty! - zniecierpliwiała się Sara. - Uciekajmy do lasu! Biegnijmy!

I chwyciwszy młodą kobietę za rękę, pociągnęła ją za sobą bez ceregieli. Strach wzmógł wolę walki Katarzyny. W kilka sekund były pod lasem. Sara odruchowo biegła ścieżką, którą szła tamtego dnia za Stokrotką.

Miała nadzieję, że odnajdzie ukrytą grootę i że Stokrotka nie ośmieli się poprowadzić tam Garina i jego ludzi w obawie przed stosem, na który niechybnie zostałaby skazana, gdyby odkryto posąg z głową kozła.

Odwróciwszy się, Katarzyna zrozumiała, że niebezpieczeństwo było tuż-tuż. Pomiędzy ciemnymi sylwetkami drzew dostrzegła jeźdźców zsiadających z koni przed chatą Stokrotki. Słysząc było rżenie koni...

- Szybciej, szybciej! - krzyknęła Sara.

Ścieżka wznosiła się do góry, a ostatnie ulewy uczyniły ją niezwykle śliską. Do tego widok żołnierzy zmroził krew w żyłach Katarzyny. Zdwoiła jednak wysiłki. Nagle dał się słyszeć głos Stokrotki:

- Do lasu! Musiały schować się w lesie! Garin na to odpowiedział:

- Dalej! Rozdzielić się na grupy!

- W dniu, w którym dobiore się tej całej Stokrotce do skóry, popamięta mnie sobie - obiecywała Sara. - Zejdźmy ze ścieżki! Zdaje się, że znalazłam...

Stały przed wysoką, szarą skałą, w której mogła być ukryta podziemna grota. Sara zepchnęła Katarzynę ze ścieżki, tak aby nie zostawić śladów; biegły po zeszłorocznych, zgniłych liściach. Ta droga wymagała wspięcia się na kilka gładów. Katarzyna ześlizgnęła się z wilgotnego, obrosłego mchem kamienia, uderzyła się boleśnie w kolano. Nie miała siły iść dalej. Sara chwyciła ją pod pachy.

- Posłuchaj! - rzekła, chcąc podsycić jej nadzieję. - Oni są już w lesie, ale nasze ocalenie też jest blisko, zaraz tam dojdziemy.

Dzika siła Sary połączona z przerażeniem, w jakie wprawiały Katarzynę odgłosy zbliżających się kroków, zmusiły dziewczynę jeszcze raz do podjęcia wysiłku. Przed nimi wznosiła się ostatnia przeszkoda, potężna skała, nad którą widać było tajemne wejście. Ostatkiem sił wczołgała się na oślizły gład, czepiając się ostrych cierni, które rozdzierały jej skórę, i w

końcu znalazła się na górze. Była najwyższa pora, gdyż pomiędzy drzewami zaczęły pobłyskiwać hełmy żołnierzy. Sara dosłownie wrzuciła Katarzynę do kamiennego otworu, zdążywszy jeszcze za pomocą gałęzi zatrzeć ślady w błocie przy wejściu.

W środku nie było tak ciemno, jak obawiała się Cyganka, gdyż wąskie szpary przepuszczały trochę dziennego światła. Kobiety mogły dosyć łatwo dojść do wielkiej groty, oświetlonej snopem światła wpadającego z otworu wydrążonego w stropie. Panował tu półmrok, do którego oczy kobiet przyzwyczyły się z łatwością. Toteż Katarzyna wkrótce zobaczyła statuę z głową kozła. Sara z ledwością zdążyła przyłożyć jej rękę do ust, aby nie krzyknęła z wrażenia.

- Cicho bądź! Oni nie są daleko. Ale tutaj Stokrotka ich nie przyprowadzi, kosztowałoby ją to życie.

Katarzyna z szeroko otwartymi oczami przyglądała się bożkowi zła, gdyż nigdy czegoś podobnego nie spotkała.

- To szatan! - wyjaśniła Sara z całą brutalnością. - A w tej grocie zbierają się czarownicy z Malain. Jednej nocy szłam za Stokrotką aż tutaj. Ale, ciszej... Słyszę głosy Depczą nam po piętach.

W istocie żołnierze byli jakby bliżej, lecz wśród gmatwaniny skał nie można było określić, gdzie dokładnie się znajdowali. Raz zdawali się być tuż-tuż, a po chwili ich kroki oddalały się. Tuląc się do siebie, kobiety wstrzymały oddechy. Bicie ich oszalałych serc dzwoniło w uszach jak odgłosy burzy.

- Jeśli mnie złapie, zabiję się, Saro, przysięgam, że się zabiję - wyszeptała Katarzyna z taką determinacją, że Sara ścisnęła ją mocniej, aby się uspokoiła.

Jeżeli to potrwa dłużej, Katarzyna gotowa jest krzyczeć jak osaczone zwierzę. Cyganka także była u kresu wytrzymałości. Nagle zza drewnianego

bożka wyszła ciemna postać.

- Nie stójcie tutaj - rzekł nieznajomy spokojnie. - Chodźcie za mną.

Obie kobiety były zbyt wystraszone, aby wypowiedzieć choć słowo.

Kiedy człowiek ów wyszedł z cienia, Sara zobaczyła, że ma siwą brodę i orli nos. Był to Gervais, król czarowników. Czując, jakie wywarł na Cygance wrażenie, chwycił ją mocno za rękę.

- Nie bójcie się! Gervais nigdy nie wydaje tego, co schroni się pod jego dachem.

- To możliwe - odparła zimno Sara, która szybko odzyskała pewność siebie - lecz aby mnie lepiej przekonać, czy możesz mi powiedzieć, co zrobiłeś z włosami, które pewnego dnia przyniosła ci Stokrotka... z tymi, które ukryłeś w swojej sukni?

- Mój siostrzeniec zawiózł je do Dijon, aby przekazać je panu de Brazeyowi jako dowód, że jego żona rzeczywiście ukrywa się w miasteczku - odrzekł spokojnie.

- I ty ośmielasz się mi o tym mówić? - oburzyła się Sara. - Myślisz, że teraz zdamy się na ciebie, ja i moja pani?

- Nie macie wyboru! A zresztą, teraz rzeczy mają się inaczej. To sprawa Stokrotki, że zdradziła święte prawo gościnności, że wydała swego gościa, który schronił się pod jej dachem. Przyszła prosić mnie o pomoc przeciwko rywalce. Udzieliłem jej. Dzisiaj wy dwie schroniłyście się w moim domu. Bo to jest mój dom. Jesteście więc nietykalne i postaram się was ocalić. No więc idziecie czy nie? Nienawiść Stokrotki jest tak silna, że dziewczyna gotowa aż tutaj sprowadzić żołnierzy.

Katarzyna słuchała ich rozmowy, nie rozumiejąc zbyt, o co chodzi. Widząc, że Sara się jeszcze ciągle waha, krzyknęła:

- Musimy za nim iść. Nie może być nic gorszego od tego, co nas czeka, jeśli nas schwytają!

- A jeżeli cię wyda?

Spojrzenie Katarzyny spotkało się na chwilę ze spojrzeniem starca. To, co w nim wyczytała, uspokoiło ją ostatecznie i oświadczyła:

- Nie wyda mnie! Wierzę mu. Mój los jest rzeczą obojętną dla człowieka w jego wieku, który wybrał życie wśród przyrody.

- Dziękuję ci, młoda kobieto! Masz rację - rzekł poważnie Gervais.

Powiodł kobiety za figurę, gdzie rozpoczynał się długi i wąski korytarz prowadzący do drugiej groty, która musiała być jego mieszkaniem.

Mieszkaniem nadzwyczaj dziwnym i umeblowanym raczej skromnie:

siennik i kilka stołków wokół stołu, na którym piętrzyły się dziwaczne przedmioty. Obok płonącego kominka stały stosy zakurzonych książek. W powietrzu unosiły się opary siarki. Trochę światła wpadało przez otwory w skałach. Gervais posadził kobiety na stołkach i podał im dwie miski zupy, która bulgotała w kociołku.

- Jedzcie. Potem możecie odpoczywać aż do zmierzchu. Kiedy zapadnie noc, zaprowadzę was przejściem, które tylko mnie jest znane, dosyć daleko od Malain, do miejsca, gdzie nikt was nie odnajdzie.

Katarzyna chwyciła dłoń, która podawała jej zupę, i przez chwilę ścisnęła ją mocno.

- Jak będę mogła podziękować ci za to, co dla mnie robisz?

Surową twarz starca rozjaśnił niewyraźny uśmiech.

- Gasząc mój stos w dniu, w którym namiestnikowi księcia przyjdzie do głowy, żebym spłonął. Lecz mam nadzieję, że dokonam żywota tutaj, we wnętrzu matki ziemi... A teraz jedz już i prześpij się. Widzę, że bardzo ci tego trzeba.

Katarzyna była tak zmęczona, że marzyła tylko o tym. Zjadła zupę i ułożywszy się na słomianym sienniku, zasnęła natychmiast. Gervais zwrócił się do Sary:

- A ty? Nie zrobisz tego, co ona? Wciąż nie masz zaufania?

- Mam go tyle samo, ale nie chce mi się spać. Wolałabym z tobą porozmawiać.

Kiedy zapadła noc i księżyc wypłynął na nieboskłon, starzec obudził Katarzynę, zarzucił na ramiona długi, czarny płaszcz z kapturem, zasypał ogień popiołem i chwyciwszy w rękę kostur, powiedział:

- Już czas... Ruszajmy!

W pamięci Katarzyny na długo pozostało wspomnienie nocnej eskapady przez stary las. Wokół niej wszystko się uspokoiło, a i ona porzuciła swój strach. Poprzez gałęzie drzew przeświecał księżyc, oświetlając im drogę niebieskawą poświatą. Wysokie drzewa stały nieruchomo podobne do wież katedry. Ciszę przerywał czasem ryk dzikiego zwierza, powietrze przeszywał ptak w locie. Widać było, że tych dzikich ostępów nie tknęła nigdy siekiera drwala. Rosły tu olbrzymie dęby i czarne świerki w kłujących, długich aż do ziemi sukienkach. Ścieżka prowadziła wśród jeżyn i pokrytych mchem głazów, spod których wypływał czasem strumień ożywiający swoim szmerem tę uspokajającą ciszę. Katarzyna szła za starcem, który posuwał się wolnym, równym krokiem prosto przed siebie, nie troszcząc się o ścieżki. Zdawało się, że zna każdy kamień w tym borze, każde drzewo. Czasem drogę przebiegł im dzik, kozica lub daniel, które zatrzymywały się przed starcem, jakby go znały. Wyglądał jak pasterz wśród swojego stada. Pochód zamykała Sara. Szli tak wiele godzin. Katarzyna czuła, jak wokół ziemia pęcznieje od świeżych soków nadchodzącej wiosny. W powietrzu wyczuwało się zapowiedź nowego życia, gałęzie pokrywały się nieśmiałyymi jeszcze pąkami, z leśnej głuszy dobiegał uszu wędrowców zew miłości dzikich zwierząt. Nad ranem stanęli nad brzegiem rzeki, toczącej swoje rwące wody wśród głazów porośniętych drzewami. W wodnej kipieli widać było bród, który tworzyły popielate, wielkie kamienie.

- Jesteśmy nad Zuzanną! - rzekł Gervais, wskazując rzekę kosturem. - Tutaj się rozstaniemy. Po przejściu jej idźcie prosto na północ. Jakies dwie mile stąd znajduje się opactwo Saint-Seine, gdzie znajdziecie schronienie. Pytajcie o przeora Jana de Blaisy'ego. To porządny i miłosierny człowiek.

Ta wiadomość nie spodobała się Katarzynie, gdyż właśnie przeor Saint-Seine użyczył swojej baszty w Malain Garinowi, ale Gervais ostro zaprzeczył:

- Daję głowę, że wielebny Jan nie wiedział, na jaki cel przeznaczył wieżę Garin. Jestem pewien, że zmyślił jakąś historię. Możesz bez obawy udać się do Saint-Seine. Nawet gdybyś była najgorszym nieprzyjacielem jego rodziny, Jan de Blaisy przyjmie cię bez wahania. Dla niego każdy nieszczęśnik, który upadnie na kolana przed progiem jego kościoła, jest wysłannikiem samego Pana Boga i nawet książę nie ośmieliłby się odbić mu jego gościa.

Katarzyna była wyczerpana długim nocnym marszem. Nagle przypomniała sobie, że przeor Jan jest kuzynem Ermengardy. Musiała za wszelką cenę ukryć się przed Garinem, dla którego kilka worków złota nie stanowiłoby żadnego problemu, byle tylko dobrać się do jej skóry... Na dodatek Stokrotka mogła ją zdradzić po raz drugi. Wyciągnęła rękę do starca.

- Masz rację. Udam się do Saint-Seine, lecz mam prośbę... Jeśli zobaczysz w miasteczku młodzieńca ubranego w zieloną opończę, rycerza Wielkiej Stajni...

- Wiem - przerwał starzec - kochanka Stokrotki. Powiem mu, gdzie się ukrywasz. Miał po ciebie przyjechać?

- To prawda, miał przyjechać po mnie. A teraz chciałabym ci podziękować. Na razie nie mogę ci się odwdzięczyć, lecz później...

Gervais przerwał jej gwałtownie.

- O nic cię nie prosiłem i niczego nie chcę. Pomagając ci, pragnąłem jedynie naprawić zło, jakie ci wyrządziłem za sprawą Stokrotki. Jesteśmy kwita. Życzę ci szczęścia.

Po tych słowach starzec oddalił się szybko i jego potężna postać wkrótce rozplynęła się pomiędzy drzewami. Kobiety zostały same nad rwącą rzeką. Sara pierwsza ruszyła w stronę brodu, który pozwolił im przebyć dziki nurt bez kłopotu. Posiliwszy się nieco, były gotowe do dalszej drogi. Sara przycięła dwie mocne gałęzie nożem, z którym nigdy się nie rozstawała, i podała kij Katarzynie. Jedna za drugą ruszyły w kierunku Saint-Seine. Wstawało słońce, którego przez tyle długich dni nie było widać. Niebawem jego promienie ogarnęły zmarzniętą jeszcze ziemię.

Kilka godzin później, zmęczone, lecz szczęśliwe, ujrzały szare dachy opactwa Saint-Seine, wysoką, kwadratową wieżę kościoła pokrytą rusztowaniami i pociemniałe dachy domostw - z ich kominów dobywały się powoli pióropusze dymu.

- Jesteśmy na miejscu! - rzekła z ulgą Sara.

Zeszły z nagiego wzgórza z oczami utkwionymi w wieżę, z której schodzili robotnicy. Dzwony nawoływały zakonników na modły, rozsiewając w spokojnym powietrzu wysokie, poważne dźwięki. Katarzyna nie czuła już stóp. W bucikach, które dostała od Stokrotki, były same dziury i każdy krok sprawiał jej ból. Strach przed Garinem był jednak silniejszy od wszelkich niedomagań, więc prawie biegiem puściła się ze zbocza prowadzącego do klasztoru, marząc jedynie, żeby schronić się za wysokimi murami i zasnąć na wiazce siana.

Pół godziny później Katarzyna i Sara upadły przed dębową bramą klasztoru. Kobiety z miasteczka przyglądały się nieufnie ich porozdzieranym szatom i brudnym twarzom. Dzieci schylały się po kamienie... W tym bogatym miasteczku, z pełnymi kurnikami, dobrze utrzymanymi ogródkami,

nie lubiano włóczęgów. Na dodatek Sara ze swoimi granatowymi włosami i opaloną cerą nie wzbudzała zaufania. Katarzyna przytuliła się do niej, uchylając się przed pierwszym rzuconym kamieniem. Brama klasztoru ciągle pozostawała zamknięta, a wokół nich gromadziło się coraz więcej wieśniaków. Nagle Sara zauważyła wygoloną głowę mnicha w małym okienku na wieży.

- Pomocy! Na miłość Boga! Pomocy! - krzyknęła ostatkiem sił.

Nad jej głową przeleciał kolejny kamień, lecz jednocześnie ciężka brama drgnęła i po chwili ukazała się w niej postać surowego mnicha w czarnym habicie, ze szkaplerzem na szyi. Kolejny kamień przeleciał nad ich głowami i potoczył się do stóp mnicha. Ten kopnął go sandałem, rzucając na dzieciaki i wieśniaków groźne spojrzenie, po czym zbliżył się do dwóch obdartych i zaszczutych kobiet, przytulonych do siebie.

- Wejdźcie! - rzekł niskim głosem. - Azyl stoi przed wami otworem!

W tej chwili Katarzynę opuściły siły i osunęła się w ramiona przyjaciółki, i trzeba było ją zanieść do mieszkania dla gości, mieszczącego się w klasztorze.

Rozdział ósmy

Napaść

Jan de Blaisy, przeor klasztoru Saint-Seine, był w istocie takim człowiekiem, jak mówił Gervais: jego miłosierdzie nie znało granic. Nie pytając o nic, udzielił im schronienia, lecz dowiedziawszy się, że jedna z żebraczek przyjętych do domu bożego, w którym odpoczywali pielgrzymi i leczono choroby, prosi o widzenie z nim, okazał pewne zdziwienie. Pomimo tonsury i czarnej burki był to człowiek dobrze urodzony i nigdy nie pozbył się całkowicie uczucia wyższości wobec ludzi najniższego stanu, żebraków, którym jednakże sam obmywał nogi w Wielki Czwartek. Ale ponieważ nieznajoma wspomniała przy tym imię Ermengardy, jego kuzynki, rozkazał, aby przyprawdzono ją do kościoła następnego dnia, po porannej mszy.

Kiedy skończyła się msza, Katarzyna stała w ukryciu obok jednego z sarkofagów ciągnących się wzdłuż muru. Wkrótce zauważyła zbliżającego się w jej stronę imponującego postacią mnicha w surowej czarnej szacie, z głową otoczoną wąskim pasmem włosów. Upadła na kolana, lecz nie pochyliła głowy. Stanąwszy przed nią, z rękami schowanymi w rękawach habitu, mnich przyglądał się jej szczupłej twarzy otoczonej ciężkimi, jasnymi włosami.

- Chciałaś ze mną mówić! A więc mów!

- Wielebny ojciec - zaczęła, nie podnosząc się z klęczek - zawdzięczam ci życie. Wczoraj kazałeś otworzyć bramę swojego klasztoru przed dwiema zaszczytymi, nędznymi kobietami. Zaklinam cię na imię twojej kuzynki, nie pozbawiaj nas swojej opieki!

Wąskie wargi Jana de Blaisy'ego rozszerzyły się w sceptycznym

uśmiechu. Bez wątpienia ta wieśniaczka w łachmanach, podająca się za wielką damę, była niezwykle zarozumiała

- I twierdzisz także, że znasz panią de Chateauvillain? Doprawdy, zadziwiasz mnie!

- Jest moją przyjaciółką... najlepszą przyjaciółką. Wielebny ojciec, nie spytałeś nawet o moje nazwisko, ani skąd przybywam. To oznaka wielkiego zaufania. Nazywam się Katarzyna de Brazey, byłam damą dworu nieżyjącej księżniczki Małgorzaty. Tam poznałam Ermengardę. A jeśli widzisz mnie w tych łachmanach, to dlatego, że uciekłam z okropnego więzienia, w którym zamknął mnie mój mąż... z baszty twojego zamku w Malain...

Przeor zmarszczył brwi. Schylił się i pomógł wstać Katarzynie, po czym, zauważywszy, że są obserwowani przez grupę kobiet z miasteczka, powiódł ją do zakrystii. Było to niewielkie pomieszczenie pachnące kadzidłem, olejami świętymi i wykrochmaloną bielizną. Przeor ruchem dłoni odprawił braciszków, którzy układali ornaty, następnie posadził Katarzynę na taborecie, a sam usiadł na ławie z wysokim oparciem.

- Opowiedz mi swoją historię. Dlaczego zamknięto cię w Malain?

Katarzyna powoli, ważąc każde słowo, aby nie wzięto jej za szaloną, opowiedziała swoje przygody; przeor słuchał, nie przerywając toku opowieści. Historia była nieprawdopodobna, lecz w fiołkowych źrenicach młodej kobiety dostrzegł płomień niezaprzeczalnej szczerości.

- Nie wiem już, co mam robić - powiedziała na zakończenie Katarzyna.

- Jestem winna posłuszeństwo mężowi, ale powrót do niego oznacza śmierć. Zamknij mnie do jeszcze gorszego więzienia, z którego nigdy nie wyjdę. Jedynie księżę...

Przeor, położywszy swoją chudą dłoń na dłoni Katarzyny, przerwał jej:

- Nie dodawaj nic więcej. Musisz zrozumieć, że twoje stosunki pozamałżeńskie z księciem nie znajdują zrozumienia w oczach duchownego.

Twój mąż ma prawo do ciebie i jeśli się o ciebie upomni, nie będę mógł mu odmówić. Lecz z drugiej strony grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo i prosisz mnie o schronienie...

Wstał i zaczął przemierzać zakrystię tam i z powrotem. Katarzyna z niepokojem śledziła go wzrokiem.

- Nie oddawaj mnie, wielbny ojcze, błagam! Jeśli masz trochę litości dla nieszczęśliwej kobiety, nie pozwól, aby Garin mnie stąd zabrał! Pomyśl o dziecku, które noszę i które on chce zabić!

- Wiem! Nie mogę jednak podjąć decyzji natychmiast. Muszę przemyśleć sprawę w spokoju. Powiadomię cię o tym, co postanowiłem. Na razie możesz tu zostać. Wydam rozkazy, abyś wraz ze swoją służącą została odseparowana od chorych z naszego domu bożego i żeby przeniesiono was do oddzielnego pokoju.

- Ojcze - zaczęła Katarzyna, zaniepokojona słowami przeora, lecz ten przerwał jej gestem i uczynił nad nią znak krzyża, który zmusił ją do pochylecia głowy.

- Zostań w pokoju, moje dziecko. Twój los jest w rękach Pana Boga, a on nie może się mylić.

Rozmowa była zakończona, Katarzyna więcej nie nalegała. Wróciwszy do Sary, była bardziej niespokojna, niż chciała to po sobie pokazać. Jeśli przeor postanowi, że ma wrócić do męża, nic nie uchroni jej od losu gorszego niż śmierć. Czy ksiądz może rozdzielić to, co złączył Bóg? Czy może nie wydać żony prawowitemu mężowi tylko dlatego, że udzielił jej schronienia? Do tego nie była pewna, czy przeor uwierzył całkowicie w jej opowiadanie. Przecież jej nie znał, a więc nie mógł wiedzieć, czy nie jest jedną z tych zepsutych kobiet, których rozwiązałe życie okrywa wstydem rodzinę, zmuszając ją do podjęcia surowych kroków. Jaka szkoda, że nie zdecydowała się prosić przeora, by napisał do Ermengardy...

Nazajutrz okazało się, że Jan de Blaisy ukrywał pod maską surowości więcej subtelności, niż przypuszczała Katarzyna. Otóż wieczorem, na odgłos hejnału wygrywanego na trąbkach, wielka brama opactwa otworzyła się i na dziedziniec wpadła kawalkada jeźdźców, wznosząc tumany kurzu. Na ich czele, na dużym białym koniu pędziła na złamanie karku rosła kobieta, popędzając konia pejcem ze złotą rączką. Zeskoczyła sprawnie z wierzchowca i rzuciła się w ramiona Katarzyny, która przybiegła z okrzykami radości, gdyż z daleka rozpoznała hrabinę Ermengardę. Dziewczyna śmiała się i płakała równocześnie.

- O niedobra! - wykrzykiwała hrabina. - Gdzie się podziewałaś, do diabła? Zamartwiałam się przez tyle dni, na flaki papieża!

- Pani, byłbym niewymownie wdzięczny, gdyby zechciała pani nie przeklinać jak żołdak w moim klasztorze - przerwał te wylewności cicho i wyniośle przeor, który przybył zawiadomiony o przyjeździe kuzynki. - Nie sądziłem, посыłając pani mój list, że uczynisz nam zaszczyt i odwiedzisz nas osobiście. Jestem jednakowoż szczęśliwy...

Najwyraźniej majestat przeora nie wywarł na Ermengardzie większego wrażenia, gdyż zaśmiała mu się bezceremonialnie prosto w nos.

- Czy nie wstyd ci tak kłamać, drogi Janie? Wcale nie jesteś szczęśliwy, bo zakłócam wasze spokojne życie, robię za dużo hałasu i zajmuję za dużo miejsca. Muszę jeszcze coś dodać: to nie koniec twoich kłopotów ze mną!

- A to dlaczego? - spytał przeor, wzdrygnąwszy się.

- Dlatego, że zanim oddasz to biedne dziecko okrutnemu mężowi, będziesz musiał mnie zabić - dokończyła spokojnie Ermengarda, zdejmując rękawiczki i wyjmując z sakiewki wielką jedwabną chustkę, którą energicznie wytarła spoconą twarz. - A teraz każ podać kolację, gdyż umieram z głodu! I muszę porozmawiać z Katarzyną!

Postawiony przed faktem dokonanym, przeor chciał odejść, ale Ermengarda zatrzymała go, wołając gromkim głosem:

- Nie zapomnij, kuzynie! Jeśli przed twoją bramą pojawi się Garin de Brazey, masz go nie wpuszczać!

- Ależ, kuzynko, ja nie mam prawa! Boję się go...

- Jeżeli będzie trzeba, uzbroisz swoich benedyktynów i zaczniemy się bronić, lecz zapamiętaj sobie dwie rzeczy: po pierwsze, prawo azylu jest święte, nawet dla króla. Po drugie, jeśli chcesz uczynić z księcia Filipa swego śmiertelnego wroga, to oddaj panią de Brazey jej miłemu małżonkowi!

- Ermengardo! Jesteś niemożliwa! - odparł przeor. - Co za pomysły, żeby urządzić oblężenie!

Jednak to, co przeor wziął za zwykłą gadaninę Ermengardy, wkrótce przybrało barwy brutalnej rzeczywistości. O godzinie, w której benedyktyni schodzą z pól na Anioł Pański i sadowiąc się dwójkami na krużgankach klasztoru, intonują pieśń na chwałę Boga, do bramy klasztoru Saint-Seine zbliżał się ponury orszak.

Był to oddział najemnych żołnierzy, uzbrojonych po zęby w długie lance, szerokie, ciężkie miecze i siekiery. Wszyscy jechali na koniach bojowych, mogących oprócz jeźdźca unieść ze sto funtów żelastwa. Wyglądali na jedną z tych band najemnych, którą łatwo jest zgodzić, pod warunkiem że się ma pełną kiesę. Dla nich jedynym prawem było złoto, rozbój i zbrodnia, co mieli wyryte na prymitywnych twarzach. Na skórzanych kasakach, wzmocnionych żelaznymi płytkami w miejscach podatnych na zranienia, widać było ślady zakrzepłej krwi, a ich hełmy były powyginane i nosiły liczne ślady walki.

Na drodze przejazdu żołnierzy ludzie zamykali się bojaźliwie w domach, ryglując drzwi i podpierając je ciężkimi meblami. Ich pojawienie

się w dolinie było tak nieoczekiwane, że mieszkańcy nie zdążyli uciec do klasztoru, jak to ongiś bywało za czasów Wielkich Kompanii, które siały na swej drodze przemoc, gwałt, morderstwo i pożary.

Na czele jechało dwóch ludzi. Jeden z nich był ubrany podobnie jak pozostali członkowie bandy, lecz arogancki wyraz twarzy i złoty łańcuch na piersi wskazywały, że był ich prowodyrem. Drugim był... Garin. Ubrany jak zwykle na czarno, z kapturem spuszczone na oczy, owinięty szerokim płaszczem aż po szyję, jechał prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje dookoła.

Tym, co najbardziej przeraziło brata furtiana, był widok wleczonych przez dwa pierwsze konie jeńców: kobiety i mężczyzny. Widać było, że oboje zostali potraktowani z najwyższym okrucieństwem. Długie, jasne włosy kobiety, zabrudzone zakrzepłą krwią, z ledwością zasłaniały jej nagie, pokryte krwawymi pręgami ciało. Mężczyzna był starcem, z siwymi włosami i białą brodą. Miał na sobie długą, czarną suknię, całą w strzępach, spod której przeświecały chude nogi i nagie stopy. Na jego skórze widniały liczne ślady przypalania rozpalonym żelazem. Twarze nieszczęśników pokryte były strugami zakrzepłej krwi. Mieli wyklute oczy...

Brat furtian pobiegł zawiadomić przeora, który właśnie rozpoczął mszę wieczorną w kaplicy. Msza została przerwana i wszyscy obecni, wiedzeni najgorszymi przeczuciami, wybiegli za przeorem z kaplicy, wśród nich Ermengarda, Katarzyna i Sara.

Kiedy dotarli do otworu strzelniczego znajdującego się nad główną bramą, Ermengarda gwałtownie odepchnęła Katarzynę do tyłu, pozwalając zbliżyć się jedynie Janowi de Blaisy. Noc zapadła, lecz banda rozpaliała łuczywa, które rzucały na nieszczęsnych jeńców krwawe światło.

- Czego chcecie? - rzucił przeor szorstko. - Co oznaczają wasza broń oraz ten mężczyzna i ta kobieta?

- A co oznacza ta zamknięta brama, szacowny przeorze? -
odpowiedział mu głos, na którego dźwięk Katarzyna się wzdrygnęła.

Była tak wystraszona, że trzęsła się już zawczasu. Wyciągając szyję, dojrzała pomiędzy Ermengardą a filarem parapetu, o który opierała się hrabina, bladą twarz Garina, oświetloną płomieniami łuczyw. Potem jej wzrok ześlizgnął się na dwie niewidome ofiary, które leżały na ziemi bez życia. Pomimo krwi pokrywającej ich twarze rozpoznała Stokrotkę i starca z podziemnej groty. Sara błyskawicznie pociągnęła dziewczynę do tyłu. Nad okolicą zapanowała głęboka cisza. Po chwili przemówił przeor, spokojnie i donośnie:

- Moja brama jest zawsze zamknięta po zachodzie słońca. Czyż jesteś aż takim niedowiarkiem, że obce są ci obyczaje domu bożego?

- Znam je, lecz chciałbym wejść.

- Po co? Czy prosisz o schronienie? Wątpię, sądząc po twoim otoczeniu... Człowiek nie przekracza progu świątyni uzbrojony. Jeżeli chcesz wejść, Garinie de Brazey, wejdiesz... ale sam!

Na te słowa odezwał się kompan Garina. Jego zdarty głos wdarł się nieznośnie w uszy Katarzyny.

- Dlaczego zabraniasz mi wejść, księżu? Jestem Jąkała z Perouges!

- Wiem - odparł przeor, na którym to przezwisko nie wywarło większego wrażenia. - Poznałem cię, znam także twoje krwawe postęпки: wymordowane kobiety, dzieci nadziane na pał, wioski puszczone z dymem. Jesteś obrzydliwą bestią, a dla takich nie ma tu miejsca! Odrzuć swą broń, posyp głowę popiołem i błagaj Pana Boga o przebaczenie. Dopiero wtedy cię wpuszczę. Rozpoznaję cię po tych dwóch zadreńczonych jeńcach, których wleciesz za sobą. Jeśli chcesz, abym cię wysłuchał, pozwól moim braciom zabrać ich z drogi.

Zamiast odpowiedzi przeor usłyszał obraźliwy rechot Jąkały.

- Szkoda twojej litości, księże! To czarownicy, wyznawcy szatana, a na dodatek zdrajcy! Na stos z nimi! Garina zaczęła denerwować ta wymiana zdań. Uniósłszy się w strzemionach, krzyknął:

- Koniec tego gadania! Posłuchaj, przeorze! Przyjechałem tutaj po swoją żonę, którą ukrywasz w klasztorze. Oddaj mi ją, a odjedziemy swoją drogą. Mogę ci nawet obiecać, że poderżnę gardła tym nieszczęśnikom, którzy jej pomagali, tak aby nie cierpieli zbyt długo!

- Aby nie cierpieli? - zapytał pogardliwie przeor. - Czy postradałeś zmysły, Wielki Skarbniku Burgundii? Czy sądzisz, że twój pan przebaczy ci, że zmówiłeś się z tym tu bandytą? Jakim prawem przemawiasz do mnie takim tonem? Zapomniałeś, kim jestem? Moja krew jest szlachetniejsza od twojej i jestem sługą bożym, idź więc swoją drogą. Twoja żona, na wpół żywa, przyszła prosić mnie o schronienie. Prawo azylu jest święte i ja przyznałem jej to prawo. Opuści ten dom tylko z własnej woli!

Katarzyna podziwiała dumną postawę przeora. Jego szczupła, wysoka sylwetka na tle czarnego nieba, rozświetlonego łuczycami, jawiła się niczym anioł Sądu Ostatecznego, rozciągający nad potępieńcami swe szerokie skrzydła.

- Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem! - wyszeptała przejętym głosem Sara i Katarzyna zrozumiała, że jej stara przyjaciółka odczuwa to samo, co ona.

Co do Ermengardy, rozpierały ją dumna i radość. Hrabina była dumna z kuzyna. Jego ustami przemawiał cały ich ród, bez gniewu, lecz nie bez wyższości!

- Posłuchaj mnie uważnie, Janie de Blaisy - zakrzyknął Garin z wściekłością. - Daję ci czas do świtu! Jeżeli okażesz rozsądek, nie wyrzadzimy krzywdy mieszkańcom miasteczka. Z nastaniem świtu albo otworzysz swoje bramy i wypuścisz moją żonę, albo zrównamy miasto z

ziemią, spalimy domy i wędzemy się do klasztoru!

Ermengarda nie mogła dłużej tego słuchać. Przedarła się do przodu i jej twarz pojaśniała od płonących pochodni.

- Spalisz miasteczko i napadniesz na klasztor? A kto cię wtedy uchroni od gniewu Filipa Burgundzkiego? Sądzisz, że utrzymasz swoją głowę, swój pałac i ziemie nienaruszone? Jeśli podniesiesz miecz na tę świętą ziemię, twoja przeklęta głowa przypadnie katu! Garin wybuchnął śmiechem.

- Mogłem przypuszczać, że panią tutaj znajdę, Ermengardo! Widzę, że wiernie strzeżesz książęcych miłostek. Rajfurka to piękne zajęcie jak na hrabinę de Chateauvillain!

- A rzeźnik to piękne zajęcie dla de Brazeya! - odpaliła Ermengarda, nie tracąc rezonu. - Ale chyba się mylę, ty nie możesz być z rodu de Brazeyów! Z muła nie zrobi się konia bojowego!

Pomimo płonących wokół łuczycy twarz Garina pozieleniała. Jego przecięty szramą policzek wykrzywił się. Wydawało się, że de Brazey zaraz wybuchnie, lecz do wymiany zdań włączył się Jąkała:

- Dosyć tej gadaniny! Słyszałeś, co ci powiedział pan de Brazey, księżę? Albo nam wydasz gołąbkę, albo jutro miasteczko legnie w zgliszczach, a z twojego klasztoru zostanie kupa kamieni. Obiecuję ci, że osobiście powieszę cię na krzyżu twego kościoła! Jak rzekłem, tak zrobię! Teraz odjeżdżamy założyć obozowisko.

- Chwileczkę! - zawołał Jan de Blaisy. - Przyjmuję twoje wyzwanie. Jutro o świcie powiadomię cię o mojej decyzji. A teraz mam jeszcze coś do zrobienia...

Przeor odszedł na stronę i przez chwilę szeptał coś na ucho mnichowi stojącemu obok, po czym dał znak Ermengardzie, aby została na miejscu, i zbiegł po schodach.

- Co on zamierza? - spytała Katarzyna.

Ermengarda wzruszyła ramionami na znak, że nie ma pojęcia; marszcząc brwi przyglądała się groźnej bandzie stojącej u bram klasztoru. Następnie wezwała kapitana własnej eskorty, który natychmiast przybył wraz ze swymi ludźmi. Każdy z nich był uzbrojony w wielki łuk z drewna cisowego. Na znak hrabiny ludzie ci ustawili łuki w otworach strzelniczych i napięli cięciwy.

- Sądzę, że wiem, co chce uczynić mój kuzyn - zwróciła się Ermengarda do Katarzyny - dlatego wolę być przygotowana na wszystko.

W tej samej chwili u ich stóp zaskrzypiała brama i rozległ się śpiew religijny. Trzy kobiety równocześnie wychyliły się przez mur. Nikt z bandy na nie nie patrzył. Oczy wszystkich były skierowane na pochód wychodzący z klasztoru. Składał się on z trzech mnichów w czarnych habitach, którzy śpiewali na całe gardło: *Libera me de sanguinibus, Deus, Deus, salutis mea et exultabit lingua mea justitiam tustitiam tuam...* Mnich idący w środku niósł wielki, dębowy krzyż. Za nimi, trzymając w ręce pastorał, w mitrze na głowie, w długim do samej ziemi ornacie wyszywanym złotem, podążał przeor. W swych świętych szatach wyglądał tak majestatycznie, że bandyci, jeden po drugim, zsiadli z koni, jakby pod wpływem niewidzialnej siły. Niektórzy padli na kolana. Tylko Garin i Jąkała pozostali na swoim miejscu, lecz i oni wyglądali jak posągi. Krzyż przeora zwracał się prosto w ich stronę, a oni, jak zakłęci, nie mogli ruszyć się z miejsca.

Katarzyna zobaczyła z góry, jak przeor schylił się nad ciałami nieszczęsnej kobiety i mężczyzny, których cierpienia jeszcze się nie skończyły. Mnisi urwali swą pieśń i wtedy dały się słyszeć ciche jęki męczenników. Przeor wzniosł dłoń i uczynił nad ich głowami znak krzyża. Katarzyna zgadywała z ruchu jego warg słowa przebaczenia i przez łzy zobaczyła gest rozgrzeszenia. Uczyniwszy swą powinność, przeor odszedł na bok. Wtedy spośród bandy wystąpił człowiek w rzeźnickim fartuchu,

dzierząc w rękę nóż. W ułamku sekundy po dwakroć wzniósł ostrze, mierząc prosto w serca ofiar. Jęki nieszczęśników ustały. Skończyły się męczarnie małej czarownicy i starca z lasu.

Przeor, nie patrząc w stronę katów, skierował się powoli w kierunku klasztoru i po chwili wielka brama zamknęła się za nim. Łucznicy Ermengardy opuścili broń. Głęboka cisza zaległa nad okolicą i doliną okrytą płaszczem nocy.

Wracając do swych komnat, Katarzyna zanosila się od płaczu, a z oczu hrabiny także spływały wielkie łzy.

- Gdyby choć jeden włos spadł z głowy przeora, długo nie chwaliliby się zwycięstwem - wycedziła przez zęby Ermengarda. - Pierwszą strzałę przeznaczyłam dla Garina, drugą - dla jego kompana!

* * *

Dla Katarzyny była to noc niepokoju i łez. Młoda kobieta z rozpaczą myślała o niebezpieczeństwie, na jakie naraziła miasteczko i klasztor. Chciała natychmiast się poddać i skończyć na zawsze z ucieczką. Ponieważ Garin i tak musiał wygrać, po co to wszystko, po co tyle cierpień? Po co narażać tyle niewinnych osób? Potworna śmierć Gervais'go i Stokrotki, torturowanych, oślepionych i wleczonych na postronku jak zwierzęta, wypełniła jej serce przerażeniem i wyrzutami sumienia. Stokrotka zdradziła, lecz wcześniej przyjęła ją pod swój dach, opiekowała się nią. Jeżeli zbłądziła przez zazdrość, to jednak nie zasłużyła na tak okrutną śmierć. Katarzyna nie chciała, by spłonęły domy w Saint-Seine, nie chciała, by popłynęła krew. Należało poddać się mężowi. Na dodatek ostatnie wydarzenia załamały ją całkowicie, a życie przestało mieć sens.

Tymczasem Ermengarda czuwała. Hrabina zgadywała, co dzieje się w

duszy młodej kobiety, i nie opuszczała jej ani na krok. I kiedy Katarzyna postanowiła w końcu, że odchodzi, hrabina rozgniewała się.

- Moja droga, ta sprawa nie dotyczy tylko ciebie. Powiedziałabym nawet, ale nie obraż się, że w tej historii jesteś jedynie narzędziem! Gdyby twój Garin przybył tutaj z zamiarami pokojowymi, poprosił mego kuzyna spokojnie i grzecznie o rozmowę i o swoją żonę, przeor nie mógłby mu odmówić. Dalszy ciąg wypadków zależałby od tej rozmowy. Lecz stanął tu uzbrojony po zęby, w towarzystwie paskudnego bandyty, z groźbą i zniewagą na ustach. A tego nie możemy tolerować! To sprawa naszego honoru. Nie znieważa się kogoś z rodu Blaisy, którego ojciec był wielce szanowany przez księcia Filipa Mocnego, nie znieważa się także mnie, hrabiny de Chateauvillain!

- No to co z nami będzie? - jęknęła Katarzyna, powstrzymując łzy.

- Szczerze mówiąc... nie wiem. Trzeba poczekać. Mury klasztoru są mocne i wytrzymają każde obleżenie. Na dodatek nie zauważyłam, żeby nasi przeciwnicy przywlekli choć jedną machinę oblężniczą, nie ma ani jednej wieży bojowej! Tak więc dopóki brama będzie zamknięta, nic nam nie grozi, natomiast nie wiem, jak uchronić mieszkańców miasteczka przed tymi zbirami.

- A więc sama widzisz, że muszę się poddać.

- Nie powtarzaj ciągle tego samego - odparła ze zniecierpliwieniem hrabina. - Powtarzam ci, że tutaj zostaniesz. Nawet gdybym miała cię zamknąć. Pozwól przeorowi działać! Widziałas go przed chwilą w akcji. Będziesz miała czas pertraktować z Garinem, gdy przyjdzie świt, zza murów obronnych. Tymczasem siedź spokojnie. A ponieważ widzę, że nie zmrużysz oka tej nocy... ani ja, zrobmy jedyną rozsądną rzecz: chodźmy pomodlić się w kaplicy. W dodatku moja intuicja podpowiada mi, że twoje poddanie niczego nie zmieni. Ci ludzie są żądni krwi!

Trudno było zaprzeczyć tym słowom. Katarzyna spuściła głowę i ruszyła za Ermengardą. W klasztorze panowało niezwykle ożywienie. Na dziedzińcu rozpalono wielkie ogniska, nad którymi zawieszono potężne żelazne kotły, w których topiła się smoła. Ustawieni rzędem mnisi wlewali do nich pełne kadzie oliwy. Ze stodół wnoszono kosy i widły, z warsztatów młoty i miecze. Wśród tej krzątaniny uwijał się przeor w zakasanej habitie i w butach z ostrogami - w młodości bowiem, zanim wstąpił do klasztoru, został pasowany na rycerza.

Ale nie był to ten sam Jan de Blaisy! W obliczu zagrożenia w mnichu obudziła się wojownicza krew i zapal bojowy. Jeśli Jąkała de Perouges i Garin de Brazey ośmielą się zaatakować dom Pana ogniem i mieczem, zostaną przyjęci ogniem i mieczem! Duchowny przekształcił się w wojownika, a jego mnisi, porwani w wir przygotowań do czegoś, co było tak różne od życia spędzanego na pracy i rozmyślaniach, przyłączyli się do niego ochoczo. Wśród tych oddanych służbie Bogu dzielnych Burgundczyków nie było ani jednego, który nie czułby się templariuszem... Dziedziniec zapełniły wygolone głowy i czarne habity, za przykładem przeora podkasane do góry, ukazujące muskularne nogi i szerokie od noszenia sandałów stopy mnichów.

Po odśpiewaniu jutrzni najważniejsi dostojnicy klasztoru zebrali się na czymś w rodzaju narady wojennej, w której, ma się rozumieć, kobiety nie brały udziału.

Katarzyna, klęcząc w kaplicy obok Ermengardy, która modliła się żarliwie, na próżno próbowała zwrócić się do Boga. Ogarnięta była przerażeniem przed mającymi nastąpić wydarzeniami. Mimo grubych murów do jej uszu docierały odgłosy przygotowań, które zwiększały jej strach aż do panicznej trwogi. Wiedziała, że opactwo potrafi się obronić, że jego mury są potężne i że Jąkała nie będzie mógł ich zdobyć. Jan de Blaisy zaś był człowiekiem rozsądnym, a jego mnisi odważni i żarliwi. Lecz ona myślała o

nieszczęśliwych mieszkańcach miasteczka. Zgadywała strach biednych ludzi, których nic nie ochroni przed krwawą bandą. Gervais i Stokrotka stanowili namacalny dowód barbarzyństwa. Z pewnością mieszkańcy podejrzewali, co ich czeka. I dlaczego? Z powodu jakiejś kobiety, która uciekła od męża! Ilu z nich, kiedy spadnie na nich miecz lub płonąca głownia, przeklnie ją przed śmiercią?

Katarzyna zapalała chęcią zobaczenia, co robią zabójcy, czy pomimo obietnicy nie zaczęli nękać biednych wieśniaków. Rzuciła okiem na Ermengardę. Hrabina trwała w modlitwie, z głową ukrytą w dłoniach. Katarzyna wstała i bezszelestnie ruszyła do wyjścia, nie spuszczać oka z przyjaciółki. Ponieważ brama kościoła była uchylona, kobieta z łatwością wysliznęła się na dziedziniec. Mnisi krzatali się przy kotłach, spod których buchał ogień. Nikt nie zwrócił na nią uwagi...

Szybko przemierzyła dziedziniec i weszła na kamienne schody prowadzące do strażnicy. Za otworami strzelniczymi nie było żywego ducha. Lecz w dole, na rynku miasteczka, panowało niezwykle ożywienie. Ludzie Wielkiego Skarbnika rozpalili ogniska i niektórzy z nich odpoczywali. Przy największym ognisku siedział Jakała, jedząc i pijąc wraz z Garinem. Ale większość zajęta była czymś, co wydarło z piersi Katarzyny okrzyk grozy. Rozbójnicy zabijali deskami drzwi i okna domów, aby mieszkańcy nie mogli się z nich wydostać. Znosili z lasu wielkie polana, naręcza chrustu i słomy, którymi okładali chałupy wokoło. Wystarczyło rzucić jedno zapalone łuczywo i całe miasteczko spłonęłoby w mgnieniu oka. Zamknięci w środku ludzie spaliliby się żywcem, wraz z dziećmi, bydłem i skromnym dobytkiem...

Nie zastanawiając się dłużej, Katarzyna zbiegła po schodach. Koło stodoły znajdowała się mała furtka prowadząca w pole, prawie niewidoczna, dzięki czemu przeor nie kazał jej tak pilnować jak głównej bramy, gdzie stali

na straży ludzie Ermengardy. Biegając wzdłuż murów, tak aby nie zostać zauważoną, zbliżała się do stajni. Jej postanowienie było tak silne, że przestała się bać. Odczuwała rodzaj egzaltacji, jaka musiała być udziałem ofiary płonącej na barbarzyńskich ołtarzach. Musiała umrzeć, żeby inni mogli żyć...

Furtka nie była strzeżona, lecz zaryglowana żelazną sztabą z ciężką zasuwą, którą niełatwo było otworzyć. Katarzyna z całych sił pociągnęła za zasuwę, raniąc sobie ręce, i powoli sztaba drgnęła. Ręce dziewczyny krwawiły, twarz zalewał jej pot, ale w końcu przeszkoda ustąpiła. Już teraz nikt jej nie powstrzyma! Pójdzie do Garina, padnie mu do nóg, ukorzy się, aby ostudzić jego gniew...

Pociągnęła ciężkie drzwi do siebie, lecz w tej samej chwili czyjaś ręka pchnęła je z powrotem.

- Wychodzenie z klasztoru jest zabronione! - usłyszała spokojny głos. - To rozkaz wielebnego przeora!

Przed Katarzyną stał mnich, trzymając wielką wiązkę słomy. Musiał być w stodole, kiedy mocowała się z wrotami. Był niski i przysadzisty, miał gładką, okrągłą czaszkę z wąskim pasmem włosów wokoło. Mnich spokojnie rzucił słomę na ziemię, podniósł sztabę i włożył ją na swoje miejsce.

- Błagam księdza, proszę pozwolić mi wyjść! Muszę iść do tych ludzi. To po mnie tu przyjechali. Jak mnie odzyskają, nie będą mieli powodu napadać na klasztor! Miasteczko zostanie ocalone!

Ale mnich potrząsnął tylko głową i odparł spokojnie:

- To, co czyni nasz przeor, jest najsluszniejsze. A wyroki boskie są niezgłębione. Jeżeli zdecydował, że jutro mamy wszyscy zginąć, my i całe miasteczko, to znaczy, że tak ma być, i nawet nie chcę wiedzieć dlaczego. Uczyniłem ślub posłuszeństwa. Kiedy jego wielebność rozkazuje, ja pokornie słucham. Chodź, moja siostró...

Włożywszy słomę pod pachę, wolną ręką ujął dłoń Katarzyny i pociągnął ją za sobą. Na nic zdały się prośby i płacze, mnich był nieprzejednany. W tym momencie z kościoła wybiegła Ermengarda i zobaczywszy Katarzynę, zbliżyła się do niej.

- Gdzie się podziewałaś? Umierałam z niepokoju!

- Zatrzymałem ją, gdy chciała wyjść przez małą furtkę koło stodoły - poinformował spokojnie mnich. - Chciała wyjść i poddać się, lecz przeor zabronił komukolwiek wychodzić. A więc ją przyprowadziłem z powrotem. Czy mogę ją oddać pod pani opiekę?

- Ależ możesz, ojcze, możesz! I zapewniam cię, że mi więcej nie ucieknie!

Ermengarda wyglądała na wielce rozeźloną. Nie chcąc nawet słuchać wyjaśnień Katarzyny, pociągnęła ją do domu gościnnego i bez słowa zamknęła się tam wraz z nią.

- Teraz mogę być spokojna! Zostaniesz ze mną tutaj! Katarzyna, u kresu wytrzymałości, rzuciła się na łożo, wybuchając płaczem, lecz nie udało jej się rozczulić swojej prześladowczyni, która skrzyżowawszy ramiona na piersi, siedziała obok, nie mówiąc słowa.

W ten sposób upłynęła noc. Kiedy wstał dzień, oświetlając budynki opactwa, Katarzyna z Ermengardą wyszły z pokoju i zobaczyły, że mnisi czuwają przy kotłach, które przenieśli na mury, a odór smoły zatruwa poranne powietrze. Jedni pilnowali ognisk na dziedzińcu lub ostrzyli kosy, inni układali stosy kamieni, a pośród tej całej krzątaniny krążył przeor, dogładając wszystkiego, jak generał na inspekcji swoich oddziałów.

Zobaczywszy kobiety, podszedł do nich i rzekł:

- Powinnyście wrócić do kościoła, tam będziecie bezpieczniejsze. Nadeszła chwila, żebym wszedł na mur obronny i zobaczył, co robią nasi najeźdźcy.

- Idę z przeorem - krzyknęła Katarzyna. - Nie powinnam się teraz ukrywać. Jeżeli nie chcesz, abym się oddała w ręce męża, to pozwól mi przynajmniej przemówić do niego! Może uda mi się go przekonać, by zmienił swe zamiary.

Jan de Blaisy pokiwał sceptycznie głową.

- Wątpię, aby ci się to udało, moje dziecko. Jeszcze gdyby był sam... może, lecz dobrze znam Jakałę. On i jego zbiry czują złoto klasztorne. Pretekst wydaje im się dobry. Niepotrzebnie tylko będziesz się narażać.

- Zależy mi na tym!

- Jak chcesz. Tedy chodź ze mną...

We trójkę, gdyż Ermengarda nie odstępowała Katarzyny, udali się do otworu strzelniczego i rzucili okiem na okolicę, skąd dobiegały przekleństwa i szczęk broni. Czerwone słońce oświetlało przygotowania zbirów Jakały. Wszystkie domy były już pozabijane deskami i zniknęły prawie pod stertami słomy i chrustu. Kilku zbirów przyglądało się tym gotowym stosom, trzymając pochodnie w ręku. Ich wygląd nie pozostawiał żadnych złudzeń. Przywlekli ze sobą potężną belkę i stłoczyli się wokół niej. Garin i jego wspólnik wsiedli na konie, po czym skierowali się powoli w stronę bramy klasztornej. De Brazey przywdział zbroję na swe czarne szaty i nie wiadomo było, który z nich dwóch, on czy Jakała, wyglądał straszliwiej. Uniósł głowę w stronę otworu strzelniczego i ujrawszy przeora, uśmiechnął się.

- A więc, szanowny przeorze? Jaka jest twoja odpowiedź? - spytał spokojnie. - Oddasz mi moją żonę, czy wolisz walkę? Jak widzisz, przygotowaliśmy co nieco...

Przeor chciał odpowiedzieć, lecz Katarzyna wślizgnęła się w tej chwili pomiędzy niego i okienko strzelnicze i zakrzyknęła:

- Na litość boską, Garinie, skończ tę okrutną grę! Czy nie masz dość przelanej krwi? Dlaczego mają ginąć niewinni ludzie z powodu naszych

waśni? Czy nie czujesz, jakie to niesprawiedliwe i odrażające?

- Ciekaw byłem - odparł Garin - kiedy się w końcu pokażesz! Jeżeli któreś z nas zawiniło, to z pewnością nie ja! Jestem twoim mężem, winnaś mi posłuszeństwo!

- Doskonale wiesz, dlaczego uciekłam! Chciałam ocalić moje dziecko i moją wolność! Gdybyś nie traktował mnie tak okrutnie, nigdy bym nie uciekła przed tobą! Ale wszystko można jeszcze naprawić. Nie proszę o nic dla mnie! Lecz czy możesz mi dać słowo, że jeśli wrócę do ciebie, oszczędzisz miasto i klasztor?

Zanim Garin zdążył jej odpowiedzieć, Jąkała wystąpił do przodu i rzucił szyderczo:

- Najpierw wyjdź, pani, a dyskutować będziemy potem! Nie lubię, gdy się mnie angażuje po próżnicy!

Przeor odciągnął Katarzynę do tyłu.

- Daremny trud! Oni mają zamiar zaatakować i stracisz życie, nie ocalisz nikogo!

Zrozpaczona dziewczyna spojrzała na Ermengardę i zauważyła, że hrabina uśmiecha się wesoło, a w dodatku wydawało się, że nie słucha tego, co się wokół dzieje.

- Och, Ermengardo! - z wyrzutem powiedziała Katarzyna. - Jak możesz się uśmiechać, kiedy zaczyna się rzeź?...

- Posłuchaj - odpowiedziała radośnie. - Nie słyszysz niczego?

Katarzyna wyteżyła słuch. Z oddali dochodził głuchy, niewyraźny jeszcze tętent

- Ja nie słyszę niczego... - powiedział półgłosem przeor.

- A ja tak! Pertraktuj z nimi jak najdłużej, drogi kuzynie!

Nie starając się zrozumieć, przeor usłuchał. Zbliżywszy się do okienka strzelniczego, począł zaklinać najeźdźców, by oszczędzili niewinne miasto i

dom boży, lecz oni wykazywali zniecierpliwienie i widać było, że słowa nie powstrzymają dłużej zbirów żądnych krwi i łupów. Z dołu dobiegł wściekły głos Jąkały:

- Dosyć tych zdrowasiek! Tu nie kazalnica! Nie chcecie oddać paniusi, będziecie mieli, czego chcieliście!

Katarzyna krzyknęła, widząc pierwszą zapaloną głównię rzuconą na stos siana, które natychmiast się zajęło. Prawie równocześnie dał się słyszeć okrzyk triumfu Ermengardy.

- Patrzcie! - krzyknęła, wskazując na wzgórze, przez które biegła droga do Dijon. - Jesteśmy uratowani!

Na ten okrzyk wszyscy odwrócili się w tamtą stronę łącznie z całą bandą. Ze wzgórza galopował nieprzebrany zastęp rycerzy, kierując się do Saint-Seine. W słońcu połyskiwały zbroje, przyłbice i lance. Na czele pędził rycerz z białym pióropuszem. Nieprzytomna z radości Katarzyna, widząc kolory proporczyka u jego lancy, krzyknęła:

- Jakub! Jakub de Roussay! I wraz z nim straż książęca!

- W samą porę! Całe szczęście, że dałam temu bałwanowi na przechowanie list przeora! Miałam złe przeczucia - rzekła Ermengarda.

Od tej chwili, spokojni o swój los, oblężeni mogli z muru śledzić przebieg wypadków.

Jąkała, należy mu to przyznać, nie uląkł się rycerzy. Nawet do głowy mu nie przyszło, aby czmychnąć przed nadchodzącymi posiłkami. Jego ludzie odwrócili się i ustawili w szyku bojowym. Katarzyna zobaczyła, że Garin czyni to samo i wyciąga miecz. Na ten widok nie mogła powstrzymać okrzyku:

- Nie bij się, Garinie! Jeśli wyciągniesz broń przeciw wojsku księcia, będziesz zgubiony!

Sama nie wiedziała, co za dziwne uczucie litości kazało jej troszczyć

się o człowieka, który chciał ją zgubić. Garin jednak nie potrzebował jej litości. Skwitował jej przemowę pogardliwym uśmiechem i ruszył z kopyta w kierunku przybyszów, a za nim ruszyła cała banda.

Bitwa była krótka, lecz ostra. Przewaga liczebna Jakuba okazała się miażdżąca. Pomimo cudów waleczności dokonywanych przez zbirów jeden po drugim padali od ciosów armii książęcej. Jąkała zmierzył się z Jakubem de Roussayem, a Garin walczył z rycerzem bez nakrycia głowy. Katarzyna rozpoznała w nim Landry'ego.

Po kwadransie było po wszystkim. Roussay ranił swego przeciwnika, który stoczył się na ziemię, i nie tracąc ani sekundy, powiesił go na pierwszym lepszym drzewie. Po chwili Garin, otoczony przeważającą siłą, poddał się.

Podczas gdy żołnierze ze straży zabrali się do uwalniania wieśniaków z ich domowych więzień, przeor kazał otworzyć bramę na oścież i zszedł, aby osobiście przywitać zwycięzcę. Katarzyna nie odważyła się iść za nim. Została na murach wraz z Ermengardą. Jakub de Roussay, z hełmem pod pachą, szedł w kierunku klasztoru. Z tyłu dwóch ludzi pomagało wsiąść Garinowi na konia, wcześniej związawszy mu ręce na plecach. Wielki skarbnik dawał robić ze sobą wszystko. Wydawało się, że nie obchodzi go własny los. Jego pogarda rozzłościła Katarzynę. Z powodu tego człowieka zginęło dwóch niewinnych ludzi, ona sama była torturowana, a on wcale się tym nie przejmował! Jej serce wezbrało nienawiścią i goryczą. Gdyby nie Ermengarda, stojąca nieruchomo tuż obok niej, byłaby się rzuciła na jeńca, aby wykrzyknąć mu w twarz swój gniew i pogardę. Poczwała dziką radość, że sam sobie wymierzył sprawiedliwość, że wkrótce zginie od własnego zbrodniczego szału. I tę radość chciała mu objawić...

Rozdział dziewiąty

Tajemnica Garina

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Jakub de Roussay odjechał do Dijon, zabierając ze sobą jeńca. Od tej chwili Garin podlegał sprawiedliwości namiestnika Burgundii. Miał być wtrącony do więzienia natychmiast po przybyciu. Został oskarżony o najwyższą zdradę, naruszenie bezpieczeństwa państwowego, świętokradztwo i usiłowanie zabójstwa własnej żony. Więcej niż potrzeba, aby posłać kogoś na szafot. Jakub de Roussay nie ukrywał tego przed Katarzyną w czasie krótkiej rozmowy. Napadając na opactwo, Garin pograżył się, gdyż do jego sprawy doszły nowe punkty oskarżenia.

- Niestety - powiedział Jakub do Katarzyny - nie mogę zawieźć pani do domu, ponieważ pani mąż jest więźniem państwowym i wszystkie jego dobra muszą zostać opieczetowane. Ale bez wątpienia możesz pani udać się do matki?

- Pojedzie do mnie! - przerwała Ermengarda. - Czy sądzisz, że po tym wszystkim zostawię ją na pastwę złych języków w dzielnicy Notre Dame? Niektórzy będą bardzo zadowoleni z upadku wielkiego skarbnika. W mieszczańskim domu Katarzyna nie będzie całkowicie bezpieczna, ale u mnie, tak!

Kapitan, nie widząc przeszkód, udzielił Katarzynie pozwolenia na pobyt w pałacu Chateauvillain. Jego zachowanie wobec żony Garina stało się bardzo oficjalne. Nie wiedział już, czy ma do czynienia z żoną zbrodniarza, czy z kochanką swego pana. Swoją rozterką podzielił się potajemnie z

Ermengardą.

- Co mam robić, hrabino? Jego Wysokość, książę Filip, rozkazał mi zapewnić bezpieczeństwo pani de Brazey, nie dopuścić do tego, aby mąż jej zaszkodził, lecz książę nic nie wie o ostatnich wydarzeniach. Przebywając w Paryżu, nic nie wie o napaści na klasztor. Jest taki pobożny, że obawiam się, iż jego gniew może obrócić się przeciwko Katarzynie, uczynić z niej współniczkę, a nawet odpowiedzialną...

- Ale, ale, przyjacielu! Zapominasz o wielkiej miłości księcia do Katarzyny! Czyżbyś nie wiedział, że zawładnęła nim, i to niepodzielnie?

Jakub de Roussay podrapał się bez ceremonii po głowie. Najwidoczniej coś go dręczyło. Wydawało się, że nie może opanować zażenowania.

- Chodzi o to - zaczął - że... nie jestem już tego taki pewien... Mówią, że w Paryżu książę jest wielce zaaferowany piękną hrabiną de Salisbury. Znasz go, pani, tak samo dobrze, jak ja. Jest jak motyl, lubi kobiety i trudno mi uwierzyć, żeby potrafił dochować wierności jednej. Pani Katarzyna znalazła się w niewygodnej sytuacji... a do tego odmienny stan nie dodaje jej urody. Dlatego obawiam się...

- Obawiasz się, panie, o swoją przyszłość! Boisz się popełnić błąd - dokończyła ironicznie Ermengarda. - Na flaki papieża! Nie grzeszysz odwagą jak na żołnierza! Biorę więc to na siebie! Katarzyna pojedzie ze mną, zamieszka pod moim dachem i ja będę za nią odpowiedzialna. Z majątkiem Garina możesz zrobić, co chcesz, ale racz odesłać do mnie pokojówkę Katarzyny, jej medyka, dwójkę niewolników i wszystkie rzeczy osobiste Katarzyny: stroje i klejnoty. Resztą zajmę się osobiście. Jeśli Filip, który jest przyczyną wszystkich jej nieszczęść, będzie szukał z nią zwady, daję ci moje słowo, że będzie miał ze mną do czynienia! Chateauvillain jest mocną twierdzą i niejednen połamał sobie na niej zęby!

Na takie *dictum* de Roussay musiał skapitulować. Znał hrabinę i wiedział, że ona nie ustąpi. Była zdolna potraktować księcia jak niegrzecznego chłopca. Opuszczając Saint-Seine, kapitan współczuł księciu takiej strasznej wasalki. Gdyby to dotyczyło jego osoby, wolałby mieć do czynienia z całą armią turecką niż z jedną Chateauvillain, kiedy się rozzłości!

Następnego dnia Katarzyna i Ermengarda przygotowywały się do opuszczenia opactwa. Kiedy wsiadały do lektyki, Katarzyna zobaczyła nadchodzącego Landry'ego. Po skończonej walce nigdzie się nie pokazywał. Ucałował ją tylko czule, uciał krótko jej podziękowania i odszedł bardzo szybkim krokiem do celi, którą przeor dał mu do dyspozycji. Teraz był niezwykle blady i miał napięte rysy twarzy.

- Chciałem się z tobą pożegnać, Katarzyno...

- Pożegnać? Dlaczego? Myślałam, że odprowadzisz nas do Dijon...

Odwrócił głowę, by Katarzyna nie zauważyła łez w jego oczach.

- Ja nie wracam do Dijon... Opuszczam służbę. Nastąpiła cisza. Do Katarzyny nie docierało to, co powiedział.

- Opuszczasz Wielką Stajnię? Co za pomysł! Jesteś niezadowolony? A może zostałeś skrzywdzony? Jesteś zmęczony służbą u księcia Filipa?

Landry potrząsnął głową. Po jego policzkach popłynęły łzy. Katarzyna oniemiała. Nigdy nie widziała swego przyjaciela z dzieciństwa płaczącego, zawsze tryskał radością życia.

- Nie chcę cię widzieć nieszczęśliwego! - krzyknęła. - Co mogę dla ciebie zrobić, jak mogę ci pomóc? Ocaliłeś mi życie!

- Niestety, nic nie możesz zrobić. Zostanę tutaj w klasztorze. Prosiłem już przeora, aby przyjął mnie do grona braci zakonnych. Zgodził się. Będę szczęśliwy, mogąc mu być posłuszny.

- Chcesz zostać mnichem? Ty?!

Katarzyna nie mogła otrząsnąć się ze zdziwienia. Landry, ten wesoły

Landry, w habicie zakonnym, z tonsurą, klęczący dzień i noc na zimnych płytach kaplicy? On, lubiący oberże, dziewczyny i bijatyki? On, który kiedyś naśmiewał się z Luizy, że chce wstąpić do klasztoru?!

- Śmieszne, co? Lecz, widzisz, to jest moje postanowienie... Kochałem Stokrotkę i ona też mnie kochała. Myślałem, że kiedyś uda mi się wybić jej z głowy te głupoty z czarami, że ją zabiorę z tej przeklętej okolicy, że zostanie moją żoną, że będziemy mieli dzieci... A teraz, gdy jej już nie ma...

Widok zmęczonego, zrezygnowanego młodzieńca zasmucił Katarzynę i przytłoczył ją ciężarem wyrzutów sumienia. Było jej wstyd, że żyje. To jej nikomu niepotrzebne życie... Czy warta była tego, aby wylewać za nią tyle krwi? Spuściła głowę.

- To moja wina - powiedziała z bólem w głosie. - To przeze mnie umarła! Och, Landry, uczyniłam cię nieszczęśliwym!

- Nie, nie rób sobie wyrzutów. Stokrotka sama przypieczętowała swój los. Gdyby przez zazdrość nie zawiadomiła Garina, nie byłoby tych wszystkich nieszczęść. Spotkała ją zasłużona kara ...Ale nie tak, nie w taki okrutny sposób! Teraz, gdy jej zabrakło, nie mam na nic ochoty. Z wyjątkiem spokoju i samotności. Przed tobą zaś jeszcze długa droga.

Katarzyna nagle przestała płakać.

- Tak sądzisz? - rzuciła gwałtownie. - Czego mogę według ciebie oczekiwać? Mojego męża skażę na śmierć, będę zrujnowana, przeze mnie ty zamykasz się w klasztorze! Mężczyzna, którego kocham, pogardza mną. Przynoszę nieszczęście, jestem przeklęta, przeklęta! Ludzie powinni się ode mnie odwrócić! Ermengarda, widząc, co się święci, odesłała Landry'ego i zmusiła Katarzynę, aby wsiadła do lektyki.

- No, kruszynko, nie przejmuj się tak. Ten chłopiec jest młody, a śluby odbędą się nieprędko, jeszcze może zmienić zdanie, wrócić do życia. Zaufaj mojemu kuzynowi. Jeżeli chłopiec nie ma powołania, on sam mu to później

wybije z głowy!

Te mądre słowa uspokoiły Katarzynę. Ermengarda miała rację. Być może Landry nie zostanie w klasztorze. Na razie znajdzie tu odpoczynek i ciszę, w której dusza zaznaje ukojenia, i wyleje swoją żółć i gorycz.

Wielka brama otworzyła się i kobiety wyjechały, a za nimi Sara na mulicy, kilku ludzi przeora, kilku ludzi Jakuba oraz żołnierze Ermengardy. Niebawem w ciepłym już słońcu, które ogrzewało pierwsze zielone źdźbła trawy, posuwali się drogą do Dijon. Jeszcze przez chwilę połyskiwały dachy Saint-Seine, nad którymi unosił się dym z kominów, po czym wszystko zniknęło za zakrętem. Na rusztowaniach kwadratowej wieży klasztornej kościoła uwijali się murarze i wesoło gwizdali, nie pamiętając już o niebezpieczeństwie, które niedawno wisiało nad ich domami.

Do Dijon zajechano wieczorem przez bramę Wilhelma. Przejeżdżając przed warownią, Katarzyna zadrżała i odwróciła oczy. To tutaj poprzedniego dnia Jakub de Roussay zamknął jeńca. Garin był gdzieś tam, za tymi odpychającymi murami z nielicznymi otworami strzelniczymi. Pomyślała ze smutkiem, że tutaj doprowadziło wielkiego skarbnika Burgundii małżeństwo zaplanowane przez Filipa.

A jednak Katarzyna myliła się. To nie do starego bastionu zawiódł kapitan de Roussay swego więźnia, lecz do więzienia wicehrabiego. Potworne lochy były ukryte w fundamentach starej rzymskiej wieży Tournote za Domem pod Małą, w którym mieściło się merostwo miasta Dijon. Dom pod Małą nazywał się tak dlatego, że nad jego drzwiami znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca małpę grającą w kule. Stał on pomiędzy dwoma pałacami. Jeden z nich należał do rodziny La Tremoille, drugi zaś do Chateauvillain. I tak, nie wiedząc o tym, Katarzyna zamieszkała w pobliżu miejsca, w którym uwięziono jej męża.

Ale wkrótce poznała prawdę. Następnego dnia po jej przyjeździe przez

ulice miasta przeszli heroldzi, ogłaszając zbrodnie popełnione przez Garina i rychły sąd, któremu miał przewodniczyć wicehrabia Filip Machefoing, kamerdyner, doradca i brat mleczny księcia.

Wiadomość ta napęłniła serce Katarzyny gorzką radością, do której dołączyło uczucie frustracji. Nienawidziła Garina z całego serca, lecz nie mogła pojąć, jaka była przyczyna jego szaleństwa. Garin zawsze odpychał ją uparcie, tak że nie mogła uwierzyć w jego zazdrość. A jednak... Jak nazwać ataki wściekłości na wiadomość, że jest w ciąży? A ten drugi wieczór, kiedy poszła do jego pokoju, aby go sprowokować. Jak mogła uważać, że mu na niej nie zależy, kiedy prawie stracił głowę w jej ramionach? Był zazdrosny... i nigdy jej nie zdobył. Ta tajemnica, uszpięta w głębi duszy Garina, irytowała i dręczyła Katarzynę.

Wieczorem, pierwszego dnia pobytu w Dijon, do pałacu Chateauvillain zjechała prowadzona przez Jakuba de Roussaya karawana złożona z mułów obładowanych mnóstwem kufrów. Perryna, Abu-al-Khayr i jego dwóch czarnych niewolników przybyli na koniach. Kapitan uwinął się ze spełnieniem żądania Ermengardy, za co hrabina nie omieszkała mu podziękować.

- A dom? Co zrobi pan z domem?

- Kancelista rady miejskiej zakłada na nim pieczęcie wicehrabiego i namiestnika. W środku nie ma nikogo, lecz nic nie wolno ruszyć przed wyrokiem. To samo stanie się z pałacem i pozostałymi dobrami Garina.

Młody człowiek unikał wzroku Katarzyny. Stała obok w czarnej skromnej sukience z aksamitu. W końcu zebrał się na odwagę, odwrócił się w jej stronę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jest mi przykro, Katarzyno, bardzo przykro - powiedział.

Katarzyna wzruszyła ramionami, uśmiechając się smutno.

- Nic na to nie poradzisz, przyjacielu. I tak już wiele dla mnie

uczyniłeś. Kiedy odbędzie się sąd?

- Za jakieś osiem dni. Księżę ciągle bawi w Paryżu, a Mikołaj Rolin jest z nim. Był przyjacielem pani męża i może mógłby w czymś pomóc.

Ermengarda przerwała z pogardą:

- Nie licz na to! Mikołaj Rolin nie pomaga takim ludziom, nawet gdyby chodziło o własnego brata.

Jakub de Roussay nic nie odpowiedział. Wiedział, że Ermengarda ma rację, i nie chciał dawać Katarzynie powodu do złudzeń. Wyrok był już z góry przesądzony. Wielki skarbnik zginie z ręki kata, cały jego majątek ulegnie konfiskacie, jego nazwisko zostanie wykreślone z herbarza, herb będzie zniszczony, a dom w mieście zrównany z ziemią. Tak postąpiono z jego poprzednikiem, skarbnikiem skarbów koronnych, Filipem Jossequinem, zamieszonym w morderstwo przy moście w Montereau. Został wygnany i umarł w nędzy w Delfinacie. Zdecydowanie ta funkcja nie przynosi szczęścia.

Kiedy kapitan odszedł, Ermengarda zostawiła Katarzynę w towarzystwie Abu-al-Khayra, a pokojówki poszły układać rzeczy swojej pani. Cyganka podjęła z powrotem swe obowiązki, lecz mimo to Perryna nie została odesłana na dawne miejsce kąpielowej. Ustalono, że dziewczyna wspólnie z Sarą będzie opiekować się toaletami i klejnotami pani de Brazey.

Dawno już Katarzyna nie widziała swojego medyka. Przez chwilę trwali w milczeniu, po czym Abu zagłębił się w fotelu, a Katarzyna wyciągnęła nad ogniem zmarznięte ręce.

- Co za zamęt! - westchnęła. - Przez szaleństwo tego człowieka, którego musiałam poślubić, o mało nie straciłam życia, a teraz oboje nie mamy dachu nad głową, jesteśmy jak wyjęci spod prawa. Gdyby nie Ermengarda, znalazłabym się z pewnością na ulicy, wytykano by mnie palcami, nie odważyłabym się odwiedzić matki, aby jej nie narazić na

niebezpieczeństwo. I z jakiego powodu to wszystko?

- A z takiego, że Allah wlał do krwi i rozumu człowieka najgorsze z szaleństw: miłość - odpowiedział spokojnie medyk, patrząc uparcie na koniuszki swoich palców, które zaplatał i rozplatał na przemian.

Katarzyna odwróciła się do niego gwałtownie.

- Miłość? Komu chcesz udowodnić, że Garin mnie kochał?

- Tobie, pod warunkiem że się trochę zastanowisz. Twój mąż to człowiek wielkiej inteligencji. Człowiek tej miary nie zamienia się w dzikie zwierzę bez ważnego powodu. Wiedział, że ryzykuje życiem, majątkiem, reputacją, tym wszystkim, co stracił lub utraci. Pomimo to popełnił tyle szaleństw. Czyż ich powodem nie musiały być miłość i zazdrość?

- Gdyby Garin mnie kochał - rzuciła Katarzyna ze złością - byłby uczynił mnie swoją żoną ciałem i duszą. On zaś nigdy nawet nie zbliżył się do mnie, więcej, odepchnął mnie.

- I tego nie możesz mu wybaczyć. Na Mahometa! Jesteś bardziej kobietą, niż sądziłem. Oddałaś się bez miłości jednemu, zarzucasz drugiemu, że cię nie wziął... a tymczasem kochasz trzeciego! Uczony miał wielką rację, twierdząc, że więcej jest rozumu w locie ślepego ptaka niż w umyśle kobiety! - rzekł Maur z goryczą.

Katarzynę niemile dotknęła nuta pogardy w głosie Abu. Jej oczy napęłniły się łzami gniewu.

- To nie tego nie mogę mu wybaczyć - krzyknęła - lecz jego odpychającej postawy wobec mnie! Rzucił mnie w ramiona swojego władcy, a potem chciał poniżyć, zniszczyć! Tego nie mogę zrozumieć! Czy ty, który masz uniwersalną wiedzę, możesz mi wytłumaczyć, jaki był powód mojego białego małżeństwa... z mężczyzną, który przecież mnie pożądał! Miałam tego dowody!

Abu-al-Khayr potrząsnął głową i zmarszczył czoło.

- Jaki uczony zgłębi tajemnice serca mężczyzny? - odparł, czyniąc gest bezsilności. - Jeśli pragniesz dowiedzieć się, co się kryje w głębi duszy twojego męża, jaką tajemnicę zabierze ze sobą do grobu, dlaczego sama go o to nie zapytasz? Jego więzienie znajduje się niedaleko. Słyszałem, że strażnik, niejaki Rudzielec, jest wprawdzie twardym człowiekiem, ale można mu przemówić do rozsądku dzięki pełnej sakiewce.

Katarzyna nie odezwała się, wróciła do kominka i wpatrywała się w drgające płomienie. Myśl o spotkaniu z Garinem napawała ją przerażeniem. Obawiała się, że nie potrafi zachować zimnej krwi, że nie powstrzyma wybuchu gniewu i nienawiści. A jednak medykowi nie można było odmówić racji. Jedynym sposobem na to, aby poznać sekret Garina - jeśli taki miał i jeśli jego czyny nie wynikały ze zwykłego szaleństwa - było zapytanie go o tę tajemnicę. Ale najpierw Katarzyna musiała pokonać odrazę i było to jej zmartwieniem; nikt nie mógł jej w tym pomóc.

* * *

Tydzień później w klasztorze Sainte-Chapelle zebrał się sąd wicehrabiego wraz z ławnikami. Urzędnicy miejscy obradowali tutaj chętniej niż w Domu pod Małą, gdzie bliskość ponurych więzień czyniła przebywanie nieznośnym i niedogodnym dla medytacji. Do tego przypadek, który mieli rozsądzić, wymagał obrad przy drzwiach zamkniętych, czego nie można było zapewnić w małej salce rady miejskiej.

Proces Garina nie trwał długo. Raptem jeden dzień. Garin przyznał się do wszystkiego, o co go oskarżano, i nawet nie próbował się bronić. Katarzyna odmówiła stawienia się. Pomimo głębokiej urazy do męża nie chciała stać się jego oskarżycielką. Ermengarda przyznała jej rację.

- Skarżą go i bez ciebie, moja droga! - zapewniała. Tego samego dnia

wieczorem przybył Jakub de Roussay, aby powiadomić Katarzynę o wyroku. Garin de Brazey został skazany na powieszenie - pomimo swojego szlachectwa - za świętokradztwo, które popełnił, napadając na opactwo. Przed egzekucją miał być torturowany, a następnie przewieziony w plecionce do Morimont i tam powieszony. Jego dobra miały zostać skonfiskowane, a dom i zamek zrównane z ziemią...

Zapanowała głęboka cisza, Katarzyna stała nieruchomo, podobna do posągu. W wielkiej sali słychać było tylko trzaskanie ognia.

- Kiedy zostanie powieszony? - spytała bezbarwnym głosem.

- Jutro, koło południa...

Ponieważ obie kobiety uparcie milczały, Jakub de Roussay uklonił się głęboko i wyszedł. Gdy umilkł odgłos jego ostróg, Ermengarda zbliżyła się do Katarzyny, stojącej nadal nieruchomo.

- O czym tak rozmyślasz? Powiedz, co cię dręczy? Młoda kobieta spojrzała na hrabinę, która w jej wzroku wyczytała jakieś mocne postanowienie.

- Muszę się z nim zobaczyć, Ermengardo! Muszę... zanim...

- Uważasz, że to konieczne?

- Dla niego nie, lecz dla mnie tak! - odpowiedziała Katarzyna gwałtownie. - Chcę wiedzieć! Chcę zrozumieć! Nie pozwolę mu tak zniknąć z mego życia, dopóki się nie dowiem, dlaczego to wszystko. Pójdę do więzienia. Strażnika można przekupić.

- Idę z tobą!

- Wolalabym pójść sama. Już dosyć narażałaś się dla mnie, droga przyjaciółko! Sara odprowadzi mnie i zaczeka przed bramą.

- Jak chcesz! - odparła hrabina, wzruszając ramionami. Podeszła do kufierka, wyjęła z niego pękata, skórzaną sakiewkę i wręczyła ją Katarzynie.

- Weź to! Szkoda by było, abyś marnowała swoje klejnoty. To jedyny twój

posag. Zwrócisz mi dług później!

Katarzyna bez fałszywego wstydu wzięła sakiewkę, wsunęła ją za pasek i uściskawszy przyjaciółkę, udała się do swojego pokoju. Włożyła płaszcz i poprosiła Sarę, aby towarzyszyła jej w wyprawie.

Po chwili obie kobiety otulone czarnymi pelerynami i z zamaskowanymi twarzami wyszły z pałacu Chateauvillain. Noc była ciemna i padał rześisty deszcz. Na ulicy nie było żywej duszy.

Katarzyna zdecydowanym krokiem zbliżała się do merostwa. Znalazszy się na dziedzińcu, podeszła do zaspanego strażnika i wsunęła mu do ręki złotą monetę. Przekraczając bramę, odwróciła wzrok od kunicy* i wieży tortur, które stały obok pałacu de Tremoille, rdzewiejąc powoli.

** Dawne narzędzie tortur w formie żelaznej obręczy.*

Strażnik na widok złota nie robił trudności i poprowadził obie kobiety w głąb dziedzińca, gdzie wznosiły się paskudne, ślepe mury, w których widać było małe, niskie drzwi.

- Chcę się widzieć ze strażnikiem zwanym Rudzielcem! - rzekła Katarzyna.

Po chwili niskie drzwi skrzypnęły i ukazał się w nich Rudzielec. Był to potężny osobnik o prawie kwadratowych barach i muskularnych rękach, przyodziany w poplamioną i podartą skórę. Sztywne i śmierzące włosy przykrywała brudna czapka. Nawet przy największym wysiłku nie można było dostrzec w jego małych szarych oczkach przeblysku inteligencji. Na dźwięk pobrzękującego złota oczka Rudzielca rozbłysły. Cisnąwszy w kąk jagnięcą kość, którą właśnie obgryzał, i wytarłszy sobie gębę ręką, zapytał służalczo, co może zrobić, „aby być uprzejmym dla pani”.

- Chcę się widzieć z więźniem, który ma być jutro powieszony!

Strażnik zmarszczył brwi i podrapał się wielką łapą po głowie. W dłoni młodej kobiety zaświeciło kilka dukatów. Rudzielec nigdy w życiu nie widział tyle złotego kruszcu. Wyjawszy jedną ręką zza pasa pęk kluczy, drugą wyciągnął po błyszczące monety.

- Zgoda! Chodź za mną! Ale nie możesz zostać długo. O świcie ma tu przybyć ojciec benedyktyn, aby go przygotować do wyprawy na tamten świat - roześmiał się grubiańsko.

Katarzyna, pozostawiwszy Sarę na dziedzińcu, ruszyła za Rudzielcem stromymi i śliskimi schodami, które kręcąc się, prowadziły w głębokie otchłanie więzienia. Powiew zimnego, lepkiego i cuchnącego powietrza uderzył ją w twarz. Wyciągnęła chusteczkę, aby zatkać nos.

- Różami to tutaj nie pachnie! - objaśnił Rudzielec.

Schody zagłębiały się coraz bardziej pod fundamenty wieży galijsko-rzymskiej, której mury ociekały wodą. Przeszli przez wiele drzwi zamykanych na potężne zamki. Katarzynę ścisnął za gardło strach. Blask łuczywa rzucał na ściany przerażające cienie.

- Czy to jeszcze daleko? - spytała Katarzyna zduszonym głosem.

- Jesteśmy prawie na miejscu! Takiego więźnia trzeba dobrze pilnować. Trafił mu się piękny loch! No, już jesteśmy!

Schody kończyły się ścianą, w której widać było drzwi tak niskie, że aby przez nie przejść, trzeba było zgiąć się wpół. Grube na trzy palce sztaby żelazne zamykały szerniałe i wyżarte przez wilgoć dębowe skrzydło drzwiowe. Rudzielec z trudem się z nim uporał i po chwili drzwi skrzypnęły ponuro. Odpaliwszy od swojego drugie łuczywo, podał je Katarzynie, mówiąc:

- Można wejść... ale nie na długo! Będę czekał na schodach i kiedy czas minie, zapukam do drzwi.

Katarzyna odpowiedziała skinieniem głowy i schyliła się, aby wejść do

środku. Wejście było tak niskie, że pochylając się, niemalże zapaliła swoją maskę od łuczywa. Miała wrażenie, jakby wchodziła do grobowca. Po przejściu przez drzwi wyprostowała się i podniosła łuczywo do góry, aby zobaczyć cokolwiek.

- Jestem tutaj! - usłyszała spokojny głos.

Odwróciła się w jego kierunku i ujrzała Garina. Pomimo głębokiej urazy nie mogła powstrzymać okrzyku przerażenia.

Garin siedział w głębi okropnej piwnicy z nogami w czarnej wodzie, na czymś, co kiedyś było słomą. Był przytwierdzony do muru łańcuchem i obrozą. Dla większej pewności na nogi i ręce założono mu kajdany. Nie mogąc się poruszać, opierał się o ścianę w czarnej, podartej oponicy, spod której wystawały strzępy brudnej koszuli. Jego twarz była zarośnięta, a długie włosy splątane. Po aresztowaniu zgubił czarną przepaskę zasłaniającą wylupione oko i po raz pierwszy Katarzyna zobaczyła jego bliznę. Zamiast oka ziała czarna dziura, otoczona pomarszczoną skórą. Katarzyna stała przy drzwiach, z uniesioną pochodnią, przykuta do miejsca tym widokiem. Z odrętwienia wyrwał ją śmiech Garina.

- Czyżbyś nie mogła mnie poznać? Ja cię poznałem pomimo tej przezornie założonej maski, która zakrywa twoją śliczną twarz, moja droga Katarzyno!

Zjadliwy ton Garina obudził jej gniew. A więc nic się nie zmienił! Nic nie potrafiło go ugiąć. Pomimo najgorszego poniżenia zachował swoją ironię i poczucie wyższości.

- Nie obawiaj się, panie - odparła twardo. - Poznaję cię! Chociaż bardzo jesteś zmieniony. Kto by pomyślał, że ten więzień będący strzępem człowieka to bogaty i wyniosły Garin de Brazey? Los bywa złośliwy! Jeszcze niedawno to pan zakuł mnie w łańcuchy w podobnym więzieniu i śmiał się pan z tego. Teraz ja mogę się śmiać, widząc cię w kajdanach,

wiedząc, że już nie możesz mi zaszkodzić. Jutro powleką cię przez ulice miasta i powieszają... co powinni dawno zrobić!

W miarę mówienia gniew Katarzyny wzrastał, lecz Garin przerwał jej, głęboko wzdychając.

- Twoje słowa są pospolite! - powiedział znużonym głosem. - Przemawiasz jak kumoszka, która otrzymała razy od męża i cieszy się, widząc go prowadzonego przez łuczników. Jeżeli to jest wszystko, czego nauczyłaś się przy mnie, bardzo mi przykro! Miałem nadzieję, że uczynię z ciebie wielką damę. Ale chyba mi się nie udało...

Ironiczna pogarda i wyrachowanie tych słów otrzeźwiły Katarzynę w jednej chwili. Nie znalazła na nie odpowiedzi, inicjatywę przejął więc Garin. W kącikach jego ust pojawił się niewyraźny uśmiech. Spokój i obojętność tego człowieka zdziwiły ją. Poczowała, że nigdy go nie zrozumie, a właśnie tego pragnęła najbardziej: zrozumieć!

- Przyszłaś zobaczyć, do jakiego stanu doprowadzili mnie ludzie naszego dobrego księcia? - podjął więzień. - No to zobaczyłaś. Czy jesteś zadowolona? Jeśli tak, to odejdz i zostaw mnie w spokoju, abym mógł porozmyślać, gdyż nie zostało mi wiele czasu.

Ależ on mnie wyrzuca - pomyślała Katarzyna. - Ten zakuty, pozbawiony wszystkiego człowiek zachowuje się jak udzielny książę! Tego już było za wiele!

Starając się opanować, podeszła do niego i usiadła na wielkim kamieniu, który był jedynym meblem w tym pomieszczeniu.

- Nie - rzekła głucho, wtykając łuczywo do rozmięklej ziemi. - Nie przyszłam ukorzyć się za twoje cierpienia! Skrzywdziłeś mnie i mam ci to za złe! To chyba normalne! Przyszłam po co innego... Chciałam, żebyś mi wyjaśnił...

- Co?

- Wszystko! Twoje nedorzeczne małżeństwo, bezsens naszego związku. Od kiedy zostaliśmy połączeni węzłem małżeńskim, żyłam jak we śnie, w którym dzieją się rzeczy niesamowite. Niekiedy myśli się, że to rzeczywistość i prawda, lecz za chwilę wszystko się deformuje i rozplywa, przemieniając się w dziwne i niezrozumiałe obrazy...

Niebawem umrzesz, Garinie, a ja ciągle nic o tobie nie wiem... Powiedz mi prawdę! Dlaczego byłam twoją żoną tylko z nazwiska, a nigdy naprawdę? Nie, tylko nie mów mi o księciu! Między wami było coś więcej niż ta podła umowa, w której ja byłam stawką! Wiem to! Czuję to! Jest jeszcze coś, czego nie rozumiem i co zatruwa mi życie! - Nieoczekiwane wzruszenie załamało jej głos. Spojrzała na Garina. Ze swojego miejsca mogła widzieć tylko nieruchomy profil męża. - Odpowiedz!

Powoli odwrócił do niej twarz, z której zniknął wyraz ironii.

- Zdejmij maskę! - rozkazał łagodnie. Katarzyna usłuchała go i opuściła wilgotny materiał.

- Płaczesz? - spytał Garin z niezwykłym zdziwieniem. - Dlaczego?

- Nie wiem... Sama nie wiem...

- Rozumiem cię, twoje wątpliwości i pytania, które sobie zadawałaś. Nie rozumiałaś mężczyzny, który dawał odpór twojej nieprawdopodobnej urodzie.

- W końcu pomyślałam, że się panu nie podobam.

- Nie, nie pomyślałaś tego! Ponieważ... pożądałem cię jak opętany; jak zakuty więzień umierający z pragnienia pożąda dzbanka świeżej wody, który stoi przed nim, a którego nie może dosięgnąć. Nie doprowadziłbym się do szału nienawiści i gniewu, gdybym cię mniej pożądał... i gdybym cię mniej kochał!

- A więc dlaczego ciągle mnie odpychałeś?

Garin milczał. Spuściwszy głowę na piersi, zdawał się głęboko

zamyślony. Nagle podniósł ją, jakby się na coś ostatecznie zdecydował.

- To stara i smutna historia, lecz masz prawo ją znać. Około trzydziestu lat temu... dokładnie minie dwadzieścia osiem w tym miesiącu, byłem młodym, szesnastoletnim chłopcem, marzącym tylko o bijatyce, przygodach i dziewczętach. Pękałem z dumy, gdy jako koniuszy hrabiego de Nevers, późniejszego księcia Jana, przygotowywałem się na wyprawę krzyżową. Jesteś za młoda, aby znać tamte czasy. Szalone przygody zawiodły nas w doliny Węgier na wezwanie króla Zygmunta napadniętego przez niewiernych Turków. Była nas cała armia żądnych walki rycerzy, francuskich, niemieckich, nawet angielskich, jakieś dziesięć tysięcy. Dowodził nami hrabia Jan i młody marszałek de Boucicaut. Nigdy nie widziałem wspanialszej ani bardziej szalonej armii! Bogate bagaże, piękna uprząż... Rycerze byli w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat i wszyscy, łącznie ze mną, zachwycali się wyprawą. Kiedy 30 kwietnia 1396 roku opuszczaliśmy Dijon, kierując się w stronę Renu, było to piękne widowisko. Złoto, srebro, stal i jedwabie... w wielkim słońcu... i wszyscy opowiadali o przyszłych wyczynach, których dokonają dla ojczyzny i dla pani swego serca. Ja również...

- Czy to znaczy, że byłeś zakochany? - spytała Katarzyna.

- Oczywiście! Dlaczego nie! Nazywała się Maria de la Chesnel, miała piętnaście lat, była blondynką, jak pani, lecz z pewnością nie dorównywała ci urodą. A więc wyruszyliśmy, lecz pozwolisz, że daruję ci opisy tej godnej pożałowania wyprawy, w której młodość i brak doświadczenia stały się przyczyną katastrofy. Nie było żadnej dyscypliny. Każdy z nas pragnął okryć się chwałą, nie myśląc o wspólnym dobru, i to pomimo napomnień króla Węgier Zygmunta, zaniepokojonego naszymi szaleństwami. Miał nad nami tę przewagę, że znał swego wroga i doceniał jego waleczność i upór. Turkami dowodził ich sułtan, Bayezid zwany Ilderimem, co znaczy

Błyskawica. I wierz mi, ta nazwa pasowała do niego. Jego spahisi i janczarzy wpadali jak piorun na wyznaczony przez dowódcę cel, dzięki czemu osiągnęli zamierzone zaskoczenie. Pod Nicopolis napadł na nas szwadron Ilderima i pogrom był całkowity. Nie przez brak brawury, gdyż rycerze szalonej armii dokonywali cudów odwagi. Gdy zapadł wieczór 28 września, osiem tysięcy chrześcijan było jeńcami sułtana, w tej liczbie trzystu rycerzy pochodzących z najznamienitszych rodów Francji i Burgundii: Jan de Nevers, Henryk de Bar, hrabia Eu i Marche, Enguerrand de Coucy, marszałek Boucicaut - prawie wszyscy ci, którzy nie polegli. Po stronie tureckiej straty były znaczne, wybiliśmy wielu żołnierzy i sułtan się rozgniewał. Większość jeńców zmasakrowano na miejscu... Nigdy nie zapomnę okropności tego morza krwi. Dzięki protekcji hrabiego Jana oszczędzono mnie i odesłano wraz z nim do stolicy Bayezida, Bursy, nad brzegiem morza Marmara. Zostaliśmy uwięzieni w fortecy i czekaliśmy na olbrzymi okup, którego zażądał sułtan. Podczas długich miesięcy zamknięcia miałem czas zająć się moim okiem, które straciłem od strzały. Niestety ta krwawa lekcja niczego nas nie nauczyła, mnie również. Uwięzienie i bezczynność ciążyły mi okropnie. Szukałem rozrywki. Wewnątrz fortecy mogliśmy się poruszać. Zastanawiałem się, jak zbliżyć się do córki beja. Pomysł był iście szalony. Kiedy próbowałem wejść na mur ogrodowy, zostałem złapany, zakuty w łańcuchy i doprowadzony przed oblicze beja. Chciał od razu odciąć mi głowę, lecz uprzedzony o tym hrabia Jan wybłagał u niego, choć nie bez trudu, łaskę. Zostałem wydany katu, aby ponieść zasłużoną karę. Gdy wydostałem się z jego rąk, byłem co prawda żywy, lecz przestałem być mężczyzną... Moją ranę pielęgnowano zgodnie ze zwyczajem stosowanym wobec eunuchów: zakopano mnie w piasku aż po szyję na kilka dni. Myślałem, że umrę... lecz moja godzina wtedy nie wybiła. Wróciłem do Francji, do swoich... i pozwoliłem Marii de la Chesnel wyjść za mąż za

innego...

Katarzyna słuchała opowieści z szeroko otwartymi ze zgrozy oczami, tak jakby widziała swego męża pierwszy raz. Gniew ustąpił głębokiej litości, którą wypełniło się jej serce, gdyż zrozumiała teraz jego potworną drogę przez mękę.

Garin zamilkł i głęboka cisza zapanowała w głębi lochu. Słysząc tylko krople spadające z wilgotnego sklepienia. Katarzyna, odkrywając w Garinie zranione uczucia, ze ściśniętym sercem na próżno szukała odpowiednich słów.

- A czy książę wiedział o twoim kalectwie, kiedy kazał ci się ze mną ożenić?

- Oczywiście! - odpowiedział Garin z gorzkim uśmiechem. - Tylko książę Jan znał mój sekret i obiecał milczeć. Filip odkrył to przypadkiem pewnego dnia, gdy zostałem ranny w potyczce. Byliśmy wtedy sami, Filip zajął się mną, ocucił mnie... i tak się dowiedział. On również obiecał mi dochować tajemnicy... lecz ja przestałem być mu za to wdzięczny w dniu, w którym sobie o tym przypomniał, żeby mnie z tobą złączyć. W dniu naszego ślubu zacząłem go nienawidzić, odsłoniłaś bowiem przede mną całą swoją urodę. Byłaś taka piękna... i na zawsze niedostępna! Kochałem panią, kochałem panią jak wariat, którym się prawie stałem.

Jego głos stał się chrapliwy, odwrócił głowę, lecz w blasku łuczywa Katarzyna zobaczyła łzę, tylko jedną łzę płynącą po zarośniętym policzku. Katarzyna rzuciła się na kolana obok niego i wyjąwszy chusteczkę, otarła z jego twarzy wilgotną strużkę.

- Garinie! Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? Dlaczego milczałeś? Wiedziałeś przecież, że mogę ci pomóc. Przysięgam, że gdybym wiedziała o tej potwornej historii, nigdy nie dałabym się tknąć księciu, nigdy nie okryłabym cię hańbą, nie pozwoliłabym ci tak cierpieć!

- I to byłby twój wielki błąd! Jesteś stworzona do miłości, szczęścia, dawania życia. Ze mną znalazłabyś się w ślepych zaułku...

Gniew Katarzyny obrócił się przeciw księciu. Z powodu jego zimnej kalkulacji, której ofiarą padł Garin. Jak śmiał posłużyć się godną ubolewania tajemnicą, którą odkrył przez przypadek! Cała uraza do męża zniknęła.

- Nie mogę pozwolić, abys umarł - wyszeptała Katarzyna szybko. - Trzeba coś zrobić. Ten człowiek, strażnik, lubi złoto. Chętnie je przyjmie i pozwoli ci uciec... Posłuchaj, mam klejnoty, te, które dostałam od ciebie, a nawet twój czarny diament. Każdy z nich jest wart majątek...

- Nie! - przerwał gwałtownie Garin. - Nie chcę o niczym słyszeć! Dziękuję ci za ten pomysł, który podyktowały ci twoje serce i twoje poczucie sprawiedliwości, lecz ja nie chcę żyć! W rzeczywistości Filip Machefoing i jego ławnicy, skazując mnie na śmierć, oddali mi przysługę. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jestem zmęczony życiem...

Wzrok Katarzyny przykuła drewniana kanga kajdanów, w której uwięzione były ręce Garina.

- Wolność - wyszeptała - to taka wspaniała rzecz! Jesteś jeszcze młody, pełen życia, możesz być bogaty. Z tym, co udało mi się ocalić, możesz zacząć nowe życie, daleko stąd...

- A co mi po tym? Męczyć się dalej, przeżywać męki Tantala przez ciebie? Zostać na zawsze, jak Prometeusz, przykuty do skały moją niemocą, wystawiony na pastwę sępa mego pożądania, bez końca, aż do późnej starości? Nie, Katarzyno, dziękuję! Pogodziłem się z tobą, jak sądzę, i teraz mogę umrzeć i umrę szczęśliwy, wierz mi!

Mimo że wiedziała, iż jego koniec jest bliski, próbowała jeszcze za wszelką cenę go przekonać. Wszystko to wydawało jej się ogromnie niesprawiedliwe. Zapomniała całkiem, że z jego winy cierpiała jeszcze bardziej niż on. Na korytarzu dał się słyszeć odgłos kroków i rozmowa

dwóch osób.

- Nadchodzą! Strażnik i ksiądz, który ma mnie przygotować na śmierć. Musisz odejść, Katarzyno. Żegnaj... i przebac mi, że nie potrafiłem uczynić cię szczęśliwą. Pomódl się czasem za mnie. Umrę z twoim imieniem na ustach...

Jego straszna twarz przyoblekła się w kamienny spokój. Z oczu Katarzyny trysnęły łzy. Zaciskała nerwowo ręce.

- Czy naprawdę nic nie mogę dla ciebie uczynić? Tak bardzo bym chciała!

Jedyne oko Garina ożywił dziwny blask.

- Być może... Posłuchaj! Nie boję się stryczka ani tortur... lecz przerażony jestem tym, że będą mnie wlekli w plecione, jak zwierzę, w kurzu... na wysokości stóp gawiedzi... opluwanego i obrzucanego... tak, tego najbardziej się boję... Gdybyś mogła mi obiecać, że to zostanie mi oszczędzone, będę się modlił do Pana Boga, aby cię błogosławił...

- W jaki sposób to zrobić?

W tej chwili drzwi lochu otworzyły się i do środka wszedł Rudzielec razem z mnichem benedyktyinem, który miał ręce schowane w rękawach brązowego habitu i twarz ukrytą pod spuszczone kapturem.

- Już czas! - rzucił strażnik pod adresem Katarzyny. - I tak za długo pozwoliłem ci tutaj siedzieć!

- Jeszcze chwilę! - krzyknął Garin, po czym skierował na żonę błagalne spojrzenie i powiedział: - Zanim umrę, chciałbym wypić kwartę wina z Beaune... Poproś strażnika, aby pozwolił przynieść dla mnie dzban tego wina.

Rudzielec wybuchnął gromkim śmiechem, poklepując się z uciechy po udach:

- Burgundzka krew! Nie może przenieść się na tamten świat, dopóki

sobie nie golnie! Ja to rozumiem! Wino z Beaune, dobra rzecz!

- Mój synu! - rzekł oburzony mnich. - Nie zapominaj, że za chwilę staniesz przed Bogiem...

- Ojczy, to pożegnanie z tym światem, który on stworzył taki piękny - odparł Garin z uśmiechem.

Katarzyna milczała. Zrozumiała, czego chciał Garin. Skierowała swe kroki w stronę drzwi, ale na progu odwróciła się jeszcze. Wzrok Garina był utkwiony w niej i wyrażał taką miłość i taką rozpacz, że Katarzyna zaszłochala.

- Żegnaj, Garinie! - wyszeptała przez łyzy. Z głębi lochu dobiegł cichy głos więźnia:

- Żegnaj, Katarzyno...

Rzuciła się do schodów, lecz zatrzymawszy się na pierwszym stopniu stanęła twarzą w twarz z Rudzielcem, który jej nie odstępował.

- Ile zażadasz za spełnienie jego ostatniej prośby? Strażnik nie zawahał się ani przez chwilę. W jego ponurym spojrzeniu czaiła się chciwość.

- Dziesięć złotych dukatów!

- I przysięgasz, że dostanie to wino? Tylko nie próbuj mnie oszukać!

- Na moją duszę, klnę się, że mu je dam!

- A więc masz! Oto złoto! Kobieta, która czeka na mnie na dziedzińcu, wróci tutaj za chwilę z dzbanem.

Katarzyna wsunęła do dłoni strażnika dziesięć złotych monet i ruszyła do wyjścia. Na dziedzińcu czekała na nią Sara, chodząc nerwowo tam i z powrotem.

- Idziemy! - rzuciła Katarzyna.

Po powrocie do domu Ermengardy, nie zdejmując nawet czarnej peleryny, Katarzyna posłała po Abu-al-Khayra i powiedziała mu o ostatnim życzeniu Garina.

- Prosił mnie o wino z Beaune... lecz jemu chodzi o truciznę, pragnie uniknąć hańby podczas wleczenia w plecionce. Czy możesz mu to dać?

Mały medyk słuchał jej słów, stojąc nieruchomo.

- Zrozumiałem. Każ mi podać dzban wina. To nie potrwa długo.

Sara pobiegła po wino i zniosła je medykowi. Zamknął się w swoim pokoju, a po chwili wrócił, niosąc cynowy dzban, który wręczył Katarzynie.

- Masz! To jest to, o co mnie prosiłaś. Każ go zanieść natychmiast!

Z mieszaniną ciekawości i przerażenia Katarzyna spoglądała na ciemnoczerwony płyn, którym wypełniony był dzban.

- I... nie będzie cierpiał? - spytała niepewnie.

Abu wzruszył ramionami i uśmiechnął się smutno.

- Zaśnie... i już się nie obudzi. Nawet połowa tego wina wystarczyłaby...

Sara wyrwała dzban z rąk Katarzyny.

- Daj mi to! Nie powinnaś tego dotykać! Ukrywszy dzban w fałdach czarnej peleryny, Cyganka zniknęła na schodach. Katarzyna została sama z medykiem. Po chwili Abu podszedł do niej i dotknął delikatnie jej powiek.

- Płakałaś - stwierdził. - Łzy zmyły żółć wypełniającą twoje serce. Niebawem odzyskasz spokój.

- Nie wierzę! - zawołała Katarzyna. - Jak można zapomnieć o tym, co się stało? Wszystko jest straszne... i niesprawiedliwe!

Abu skierował się do drzwi, lecz zatrzymał się na progu i odparł:

- Czas zabił rany, usuwa gniew i nienawiść, pozwala zapomnieć o przeszłości.

* * *

W końcu nadszedł 6 kwietnia 1424 roku. Katarzyna, która spędziła

resztę nocy na modlitwie, wstała z klęczek i podeszła do małego okienka wychodzącego na ulicę. Miasto zasnutę było szarą mgłą i zasłoną mżawki. Pomimo wczesnej godziny porannej przed Domem pod Małą gromadzili się gapie, żądni krwawego widowiska. Modlitwa miała na Katarzynę zbawienny wpływ. Przyniosła jej pocieszenie i utracony dawno spokój. Z całego serca błagała Boga o miłosierdzie dla człowieka, którego tajemnicę poznała, okrutną tajemnicę, źródło cierpienia i hańby. Wiedziała, że od tej pory będzie mogła o nim myśleć z odrobiną czułości. Teraz, kiedy go zrozumiała, stał się jej drogi. Drżała tylko z niepokoju, czy Rudzielec dotrzyma obietnicy.

Z zamyślenia wyrwało ją poruszenie tłumu. Nadchodził oddział żandarmerii złożony z łuczników z halabardami, ich twarze ukryte były pod przyłbicami lekko błyszczącymi od deszczu. Pluton prowadził ze sobą leciwego, lecz jeszcze żwawego człowieka. Na jego widok Katarzyna zadrżała. To był Józef Blaigny, kat. Szedł po skazańca.

Kiedy ten ponury pochód zniknął w Domu pod Małą, serce Katarzyny zaczęło bić jak oszalałe. Bała się, że zobaczy Garina żywego. Przed merostwem zatrzymał się koń pociągowy zaprzęgnięty do drewnianej klatki, plecionki, w której skazaniec, ze związanymi rękoma, miał być wleczony przez miasto. Przybyciu plecionki towarzyszył pomruk zadowolenia gawiedzi.

Upłynęło kilka nieskończenie długich chwil. Nagle do uszu Katarzyny dobiegły okrzyki zdziwienia, przechodzące w głuchy pomruk gniewu.

Ukazał się Józef Blaigny, niosący w ramionach bezwładne, długie, blade i nagie ciało - osłonięte jedynie przepaską na biodrach - które bezceremonialnie wrzucił do plecionki. Katarzyna zacisnęła zęby, aby nie krzyknąć.

- Jest martwy! - rzekła Sara, która wraz z Ermengardą od dłuższego czasu cicho stała obok Katarzyny.

Istotnie, kat przywiązał trupa do plecionki. Ale tłum nie dało się oszukać. Nad stłoczonymi głowami unosiły się okrzyki zawodu i gniewu. Patrzeć, jak się wiesza ciało, które nie cierpi, to nie było to...

Trzy kobiety przeżegnały się, lecz ręka Sary zastygła w powietrzu.

- Och! Popatrzcie! - krzyknęła Cyganka, wskazując drzwi Domu pod Małą.

Na progu ukazało się dwóch łuczników niosących kolejne bezwładne ciało. Katarzyna natychmiast rozpoznała Rudzielca i domyśliła się, co się musiało wydarzyć. Rudzielec oddał wino skazańcowi, lecz nie mógł się oprzeć, by go nie spróbować. Swoje łakomstwo przyplacił życiem.

- On także nie żyje! - wykrzyknęła Katarzyna.

Za sobą usłyszała spokojny głos Abu, którego przyjścia nie zauważyła.

- Tym lepiej! Przynajmniej mamy pewność, że nas nie wyda.

Ale Katarzyna nie słuchała go. Cała jej uwaga była skupiona na Józefie Blaigny. Kat skończył przywiązywać trupa w plecionce, po czym jedną ręką chwycił lejce, a drugą strzelił z biczem. Zaprzęg ruszył pośród rozstępującego się przed nim tłumem. Plecionka zaczęła się toczyć, podskakując w gęstym błocie, które wkrótce pokryło ciało skazańca. Zwisły z niej głowa i nogi Garina.

Zaczął padać ulewny deszcz, rozmywając kształty i barwy. Katarzyna przez łzy widziała, jak w ulewie i przy okrzykach tłumem oddala się ten, którego czyjś kaprys z nią połączył i który umarł z miłości do niej, niemożliwej do spełnienia.

Część druga

Joanna

(1428)

Rozdział dziesiąty

Misja

Jana van Eycka

Bogata flamandzka jesień sypnęła złotem i purpurą na gałęzie starych drzew, pochylonych nad ciemnymi wodami kanału. Ciepłe promienie słoneczne pieściły do późna spiczaste dachy i kolorowe fasady domów w Brugii, lecz czuło się już chłodne, jesienne powietrze i okna były pozamykane, a z każdego komina dobywał się pióropusz dymu. Jego lekkie, szare smugi snuły się w powietrzu, a potem rozmywały na tle bladoniebieskiego nieba. Porywisty wiatr zaczął zbierać swoje żniwo wśród liści, które, wirując jeden za drugim, opadały na powierzchnię wody. Była to

powolna zapowiedź zimowej ciszy.

W domu Katarzyny również rozpalono ogień w wysokim kominku w salonie. Pani de Brazey znajdowała się tam ze swoim malarzem. Już od dwóch godzin pozowała Janowi van Eyckowi i zaczynała odczuwać odrętwienie kończyn i ogólne znużenie. Malarz domyślił się tego po wyrazie jej twarzy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, pani, że jesteś zmęczona?

- Ponieważ pracujesz z takim zacięciem, mistrzu Janie, że nie odważyłabym się ci przerwać. Czy jesteś zadowolony?

- Bardziej, niż potrafię to wyrazić! Jesteś pani idealnym modelem. Ale na dzisiaj wystarczy. Jeszcze jedno posiedzenie i skończymy.

Wrzuciwszy pędzel do biało-zielonego fajansowego naczynia, w którym było ich już ze dwadzieścia, cofnął się, aby ocenić swe dzieło. Powoli jego szaroniebieskie oczy, przenikliwie jak oczy chirurga, przeniosły się z dużej płyty z drewna topolowego, pokrytej farbą, na młodą kobietę.

Katarzyna siedziała w pozie Madonny na podium osłoniętym wyszywanym baldachimem. Fałdy jej długiej sukni z fioletowego aksamitu, ściśniętej pod piersiami szerokim, złotym pasem, opadały na stopnie tronu. Skromnego dekoltu nie zdobił żaden klejnot. Jedynie jej gęste, rozpuszczone na ramiona włosy przytrzymała nasunięta na czoło wąska złota obręcz, wysadzana perłami i ametystami. W skrzyżowanych na kolanach rękach trzymała misternie cyzelowaną, złotą lilię.

Van Eyck westchnął z ulgą.

- Zastanawiam się, czy kiedyś znudzi mi się malowanie ciebie, Katarzyno. Jeśli się nie mylę, to już trzeci twój portret. Ale którego malarza znudziłaby twoja uroda!

Katarzyna, odpowiedziawszy westchnieniem na westchnienie, zeszła z podium, położyła lilię na stole i zbliżyła się do kredensu, w którym stały

kieliszki ze szkła weneckiego i także karafka. Napełniła dwa z nich hiszpańskim winem i podała jeden malarzowi, a w drugim sama umoczyła usta, uśmiechając się pobłaźliwie.

- Ależ, Janie... ty znowu swoje. Za chwilę dowiem się, że jestem jedyną kobietą na świecie, a potem - że kochasz mnie do obłędu. A ja i tak odpowiem ci na to jak zawsze. A więc po co?

Malarz opróżnił swój kieliszek duszkiem.

- W nadziei, że może kiedyś powiesz mi coś innego. Mija już trzeci rok od czasu, kiedy książe Filip uczynił mnie nadwornym malarzem i pokojowcem, już trzeci rok patrzę, jak żyjesz u jego boku, trzeci rok uwielbiam cię i kocham. Trzy lata to długo, wierz mi, to bardzo długo. Katarzyna powolnym ruchem zdjęła złotą obręcz, która pozostawiła na jej czole niewyraźny czerwony ślad, i rzuciła ją obok złotej lilii, jak jakąś rzecz bez wartości.

- Wiem... gdyż od trzech lat wiodę u boku Filipa żywot tresowanej papugi, czuję się jak zbytkowny przedmiot służący jedynie do dekoracji... Najpiękniejsza dama Zachodu! Oto tytuł, jakim mnie uszczęśliwił ten, którego zwie się wielkim księciem tegoż Zachodu. Trzy lata!... W rzeczywistości nie ma chyba na świecie kobiety bardziej samotnej ode mnie.

Posłała smutny uśmiech malarzowi. Był to mężczyzna około trzydziestki, o inteligentnej fizjonomii, którego sposób bycia zdradzał wielką powściągliwość. Długi, prosty nos, wąskie, zaciśnięte usta i lekko wylupiate oczy oraz jasne, ledwo widoczne brwi nadawały mu raczej wygląd polityka niż artysty. A tymczasem nie było malarza znakomitszego niż on. Nie miał sobie równych, może z wyjątkiem własnego brata Huberta, który zmarł w Gandawie dwa lata wcześniej. Mało kto wiedział, że ten chudy, zimny człowiek o przenikliwym spojrzeniu i drwiącym uśmiechu płonął wewnętrznym ogniem zmysłowości i miłości piękna. Od kiedy został

przedstawiony Katarzynie, zapalał do niej gorącym, a zarazem nabożnym i cierpliwym uczuciem. Zdawało się, że dla tej przepięknej kobiety był gotów wszystko znieść, na wszystko pozwolić, nawet - gdyby zechciała - zdeptać własne serce. Miała wszystkie prawa, ponieważ była piękna.

Katarzyna odczuwała niekiedy ochotę, aby ulec jego upartej miłości, której nic nie potrafiło zniechęcić.

Lecz była miłością zmęczona...

* * *

Od śmierci Garina upłynęły cztery lata, mimo to dramatyczne wydarzenia tamtych dni były ciągle żywe w sercu Katarzyny, jakby przeżyła je wczoraj. Dzień, w którym jako wdowa opuszczała Dijon, na zawsze wrył się w jej pamięć. Aby uchronić ją przed ludzką ciekawością, która rychło mogła przybrać piętno okrucieństwa, Ermengarda postanowiła jak najszybciej zabrać przyjaciółkę do siebie. Pani de Brazey wraz z Sarą opuszczała miasto w dniu, w którym zaczęto burzyć wspaniały pałac na ulicy Wytwórców Pergaminu, będący zawsze namacalnym dowodem bogactwa wielkiego skarbnika Burgundii. Katarzyna widziała, jak robotnicy zdejmowali z dachu wiatrowskazy przedstawiające złożone delfiny. Odwróciła głowę, zaciskając drżące wargi. Ulica Wytwórców Pergaminu była ciemną kartą jej życia, którą z całych swych sił pragnęła odwrócić. Gdyby Garin i ona sama nie byli ofiarami okrutnego zrzędzenia losu, jakie byłoby ich wspólne życie? A może szczęście było możliwe...

Katarzyna zostawiła w Dijon same złe wspomnienia. Matka i wuj Mateusz także opuścili swój dom przy ulicy Griffon i zamieszkali w Marsannay. Wuj był dostatecznie bogaty, aby żyć na wsi, i miał już dosyć miasta. Luiza zamknęła się w klasztorze w Tart, Landry w Saint-Seine. Co

do Ermengardy, to ciężko przeżyła śmierć księżnej wdowy i postanowiła zaszyć się w swoich dobrach Chateauvillain.

- Zajmę się twoim dzieckiem - powiedziała do Katarzyny. - Książęca krew potrzebuje specjalnej edukacji. Zrobimy z niego rycerza... lub wielką damę...

Myśl o mającym się urodzić dziecku nie wzbudzała w Katarzynie żadnej radości, za to Ermengarda oczekiwała narodzin z niecierpliwością. Hrabina już widziała się w roli babci niańczącej i rozpieszczającej maleństwo. Nie miała nikogo, kogo mogłaby kochać. Jej mążonek pędził hulaszczy żywot u boku Filipa. „Już dawno przestał być młodzieńcem, a pomimo to ciągle nie może zrozumieć, że w jego wieku kobiety są męczącą rozrywką” - mawiała często. Nie cierpiała z tego powodu, gdyż ich miłość dawno już wygasła, syn zaś walczył w szeregach Jana Luksemburczyka i nie widywała go często. Zakochany był w szpadzie. „To zgodne z jego wiekiem i pochodzeniem!” - tłumaczyła syna Ermengarda. Mające się urodzić dziecko Katarzyny pozwoliłoby znieść nudę wiejskiego życia, gdyż była zdecydowana pozostać od tej pory w Chateauvillain, aby uprawiać ziemię i trzymać swoich chłopów w ryzach.

Za potężnymi murami fortecy, tak podobnymi do ich właścicielki poprzez wrażenie bezpieczeństwa, jakie dawały od pierwszego spojrzenia, Katarzyna pędziła spokojne dni, których tak potrzebowała. Feudalna siedziba z jej popielatymi wieżami, przeglądającymi się w łagodnym nurcie Aujon, stała się dla niej cichą przystanią, gdzie spędzała długie wieczory na wpatrywaniu się w zachodzące nad lasem słońce.

Pewnego sierpniowego poranka, po długiej nocy walki z bólem, Katarzyna wydała na świat małego chłopczyka, którego kapelan z zamku ochrzcił imieniem Filip... Ermengarda upajała się radością, przyglądając się, jak piastunka, wybrana przez nią spośród setek kobiet, zawija noworodka, i

była o wiele bardziej szczęśliwa niż sama Katarzyna, która nie pragnęła dziecka Filipa i jej instynkt macierzyński nie był rozwinięty. Miłość do księcia pozostawała bardziej cielesna niż platoniczna. Pociągał ją, powodował, że krew w jej żyłach burzyła się, była szczęśliwa w chwilach uniesienia, ale nigdy nie płonęła do niego takim uczuciem, taką gorączką jak do Arnolda. I jego nieobecność nie ciążyła jej zbyt.

A jednak, kiedy miesiąc po narodzinach dziecka księżę zjawił się w Chateauvillain, bardzo się ucieszyła. Filip przyciągał ją jak magnes i przy nim dochodziła łatwo do przekonania, że mógłby wypełnić jej życie. Rzucił się do jej stóp, błagając o przebaczenie, że nie przybył wcześniej, przysięgał, że kocha ją teraz jeszcze bardziej, i udowodnił jej to najlepiej jak mógł w łożu. Katarzyna czuła w jego ramionach, że odżywa. Głębokie, szaleńcze doznania przywróciły jej chęć do życia, kokietery i potrzebę bycia piękną.

Księżę nie skrywał przed nią, że zamierza się ponownie ożenić. Z rozsądku. W listopadzie miał poślubić hrabinę Bonne d'Artois, o wiele starszą od niego, wdowę po własnym wuju Filipie, hrabi de Nevers, zabitym pod Azincourt. Bonne była łagodna i nieśmiała, a także chorowita, lecz jej małżeństwo było niezbędne dla Burgundii. A Filip musiał się poświęcić, poślubiając własną ciotkę.

- Tylko nie bądź zazdrosna! - prosił Katarzynę. - Kocham i będę kochać tylko ciebie. Od dzisiaj już cię nigdy nie opuszczę. Jeśli zechcesz, zrobię cię damą dworu księżnej...

Lecz Katarzyna odmówiła, bardziej z dumy niż troski o konwenanse. Nie chciała służyć w dzień kobiecie, której w nocy zabierała męża. Filip zgodził się, aby jeszcze przez jakiś czas pozostała u Ermengardy. 30 listopada w Moulins-Engilbert poślubił Bonne, ale już kilka dni później przygłupował do Chateauvillain, aby skraść kilka pocałunków swojej kochance, błagając, aby do niego wróciła. Katarzyna i tym razem odmówiła.

Lubiła życie na wsi, podnoszące ją na duchu towarzystwo Ermengardy, a także dziecko, do którego, w miarę upływu czasu, przywiązywała się coraz silniej. Lecz dni nowej księżnej Burgundii były policzone. Nie minął rok, jak 17 września 1425 roku wyzionęła ducha, znowu czyniąc Filipa wdowcem bez prawowitego potomka. Wtedy, prawie siłą, Filip wyrwał Katarzynę z jej azylu, zrobił ją swoją oficjalną faworytą, błyszczącą i wszechwładną gwiazdą, wokół której obracał się cały dwór, najwspanialszy w Europie.

Zwrócił jej z nawiązką to wszystko, co straciła po procesie Garina. Zachowała tytuł hrabiny de Brazey ze względu na małego Filipa, wkrótce stała się właścicielką zamku w Chenove, powyżej Dijon, pałacu w Brugii, ziemi, nowych klejnotów, olśniewających toalet... i obiektem rosnącej miłości Filipa, który składał hołdy jej urodzie w czasie uroczystości i na turniejach. Kochana, rozpieszczana i obsypywana klejnotami, Katarzyna powinna czuć się szczęśliwa. A jednak wcale tak nie było i po czterech latach, czasem wśród ciszy samotnych nocy, za brokatowymi zasłonami swej komnaty, pytała serca, lecz odpowiadała jej jedynie cisza. Była obdarowywana miłością w nadmiarze, gdyż wielu mężczyzn kochało się w niej, i nie bacząc na zazdrość Filipa, odważyło się jej to wyznać; ona jednak nie kochała żadnego. Niektórzy pozabijaliby się dla jednego jej uśmiechu czy jednego spojrzenia. Było jej ich tylko żal. Lecz litość nigdy nie zamieniła się w miłość. I coraz częściej odczuwała nudę w ramionach Filipa, nawet przy pocałunkach. Nie potrafiła już tak drzeć od jego wymyślnych pieszczot, jak na początku ich związku.

Tylko jeden mógłby obudzić uspięne serce pięknej hrabiny. Ten jedyny, o którym wzbraniała się myśleć. Lecz on był daleko, miał żonę, dla Katarzyny był na zawsze stracony. Na dźwięk jego imienia w jej duszy odzywało się bolesne echo. Arnold...

Jan van Eyck nie starał się przerwać toku myśli Katarzyny. Stojąc przed kominkiem, wpatrywała się bezwiednie w płomienie poprzez rubinową zawartość kieliszka. Jej postawa była tak uderzająco piękna, że malarz miał największą ochotę chwycić znowu za pędzel i zacząć nowe płótno.

Uśmiechnął się, pomyślawszy, że „Dziewica z kieliszkiem wina” mogłaby być różnie przyjęta. Nie lubił, kiedy Katarzyna uciekała w zamyślenie w jego obecności. A ostatnio zdarzało się to często. W chwili kiedy miał przemówić, wszedł służący w fioletowo-srebrnej liberii, sunąc bezszelestnie po błyszczącej posadzce pokrytej żółtymi gwiazdami i niebieskimi chimerami. Podszedłszy do hrabiny, zawiadomił ją, że pan de Saint-Remy prosi o przyjęcie. Katarzyna podskoczyła, jakby głos służącego wyrwał ją ze snu, i poleciła wprowadzić gościa. Van Eyck westchnął:

- Co najmniej przez godzinę będzie nas zanudzał plotkami z dworu. Nie znoszę tego gaduły i mam wielką ochotę odejść!

- Proszę, zostań, w twojej obecności nie odważy się do mnie zalecać.

- I on także? Zastanawiam się, czy jest w całej Flandrii i Burgundii choć jeden mężczyzna, który nie byłby w tobie zakochany. Dobrze, zostanę.

Wszedł Saint-Remy, elegancki i wykwintny jak zawsze, z szerokim uśmiechem na ustach. Ten autorytet w dziedzinie elegancji przywdział na tę wizytę ubranie w kolorach jesieni. Ubrany był w aksamitną opończę z licznymi przecięciami, podobnie jak w fantastycznych rękawach, spod których przebłyskiwał brokat w złociste i purpurowe liście. Obcisłe getry w kolorze wesołego szkarłatu i aksamitny kapelusz utkany złotymi liśćmi, takimi jakie zdobiły rękojeść sztyletu zatkniętego u pasa, dopełniały stroju szlachcica. Na nogach miał olbrzymie, szkarłatne ciżmy, czyniące jego chód śmiesznym, podobnym do kaczki. Wraz z nim wpadło do komnaty trochę

świeżego powietrza z zewnątrz i błogi spokój panujący w pomieszczeniu prysnął.

Saint-Remy rozplýwał się dosłownie nad urodą Katarzyny, podziwiał rozpoczęty obraz, ze znanstwem obejrzał przedmioty ze złota poustawiane na kredensie, pokręcił się nerwowo, aż w końcu rozsiadł się w fotelu z kieliszkiem wina podanego mu przez gospodynię. Rzucił na van Eycka spojrzenie pełne nieukrywanej sympatii.

- I cóż, panie ambasadorze - rozpoczął - dowiedziałem się, że nas opuszczasz. Doprawdy, zazdroszczę panu, że udajesz się na południe, podczas gdy my, biedni mieszkańcy północy, będziemy tutaj marznąć!

- Jak to, Janie? - zakrzyknęła zdumiona Katarzyna. - Nic mi pan o tym nie wspominałeś!

Malarz poczerwieniał na twarzy, rzucając gościowi spojrzenia pełne dezaprobaty.

- Właśnie miałem to uczynić - odpowiedział szorstko - lecz przybycie pana...

Młody doradca stał się prawie tak samo czerwony na twarzy jak malarz. Przenosił wzrok to na Katarzynę, to na van Eycka.

- Jeżeli dobrze rozumiem, znowu nie utrzymałem języka za zębami...

Katarzyna przerwała mu bezceremonialnie i podeszła do malarza, ciągnąc za sobą tren fioletowej sukni. Stała przed nim w taki sposób, by móc patrzeć mu prosto w oczy.

- A więc, gdzie się wybierasz, Janie? Obydwaj wygadaliście się, wzbudzając moją ciekawość. Dlaczego nie znam celu twojej nowej misji? Bo chyba z misją wysłał cię Filip, czyż nie?

Nie pierwszy to raz Filip Burgundzki korzystał z talentu dyplomatycznego swego ulubionego malarza. Artystyczna wrażliwość czyniła zeń najbardziej powołaną osobę do załatwiania delikatnych spraw.

Wzruszył ramionami.

- W istocie, wysłała mnie jako legata. Wolałem, aby sam panią o tym powiadomił. Wyjeżdżam do Portugalii, gdzie mam poczynić pierwsze kroki u króla Jana I w sprawie małżeństwa infantki Izabeli z...

Przerwał, nie śmiać dokończyć. Zamiast niego zdanie zakończyła Katarzyna:

- ...infantki Izabeli z księciem Burgundii! Ależ, drogi przyjacielu, czy sądzisz, że jestem taka nierozsądna, by nie wiedzieć, że księżę musi się ożenić, jeśli chce mieć spadkobiercę? Dawno czekałam na podobną nowinę i wcale nie jestem zaskoczona. Po co więc te wszystkie wybiegi?

- Obawiałem się, że to cię zrani. Miłość księcia do pani jest olbrzymia i wiem, że to kolejne małżeństwo z rozsądku. Infantka ma ponad trzydzieści lat, mówi się, że jest piękna, ale tak zawsze się mówi o wszystkich księżniczkach i...

- Och, przestańże wreszcie tłumaczyć mi wszystko - przerwała znowu Katarzyna ze śmiechem. - Nie przejmuj się tak bardzo. Znam uczucia Filipa lepiej niż pan... no i znam swoje. Nie sprawiłeś mi wcale przykrości. Pomówmy lepiej o sprawach poważnych: w tej sytuacji, kiedy skończysz mój portret?

- Wyjeżdżam z końcem miesiąca, mam jeszcze trochę czasu...

Nowina, tak nierozważnie zdradzona przez Saint-Remy'ego, dotknęła ją bardziej, niż przypuszczała, gdyż zapowiadała zmiany w jej dotychczasowym życiu. Od czasu śmierci drugiej żony Filipa Katarzyna zawsze wiedziała, że nadejdzie taki dzień, w którym trzeba będzie wybrać nową księżniczkę. Potęga księcia ciągle rosła, wszystko mu się udawało, powiększały się jego włości. Ostatnio wygrał wojnę w Holandii ze swoją niesforną kuzynką, piękną Jacqueline de Luksemburg, postacią jakby wyjętą z powieści przygodowej. Piękna hrabina, będąc pokonana, musiała uczynić

Filipa swoim spadkobiercą. Ponadto księżę de Namur, po którego śmierci księżę miał przejąć należące do niego ziemie, był ciężko chory. Tak rozległe państwo potrzebowało nie tylko władcy, ale również spadkobierców. Bastardzi, których spłodził z kilkoma kochankami, nie mogli liczyć na sukcesję.

Katarzyna wiedziała, że kiedyś inna kobieta zasiądzie na tronie obok Filipa, i postanowiła ustąpić jej miejsca, usunąć się. W ciągu trzech lat miłość księcia uczyniła z niej prawdziwą królową bez korony, prawdziwą panią i gwiazdę tego dworu. Lecz jej duma cierpiała z powodu poniżającej roli kochanki. Przyszedł czas na podjęcie decyzji. Ale jakiej? Najrozsądniej byłoby wrócić do Burgundii. Najpierw do Chateauvillain... Już dwa lata nie widziała swego syna i zaczynało go jej brakować.

- O czym tak rozmyślasz, pani? - spytał Saint-Remy. - Wydaje mi się, że myśłami jesteś daleko stąd. Tymczasem van Eyck chciałby się z nami pożegnać, a pani go nawet nie słuchasz.

Katarzyna przeprosiła uśmiechem.

- Wybaczcie mi! Do jutra, drogi przyjacielu. Skończmy obraz, gdyż czas nagli.

Malarz nie odpowiedział, lecz smutno pokiwał głową. Nie umknęło jego uwagi zdenerwowanie Katarzyny. Pochylił się nisko nad dłonią, którą podała mu hrabina.

- Że też mnie powierzono tę misję, która cię tak zasmuca... mnie, który gotów jest oddać życie, abyś tylko nie płakała! Co za ironia losu!

- Ależ nie! Ruszaj spokojnie do Portugalii. Namaluj infantce piękny portret i spełnij dobrze swoją misję. Przysięgam, że nie jest mi przykro. Opuść dwór bez żalu, gdyż jestem już zmęczona. Po powrocie znajdziesz mnie z pewnością. Będziemy zawsze przyjaciółmi...

Van Eyck z żalem wypuścił z rąk jej delikatną dłoń i wyszedł bez

słowa. Jan de Saint-Remy, który przez cały czas nie ruszył się z fotela, patrzył za wychodzącym z uśmiechem.

- Jeżeli ten człowiek nie kocha się w tobie, pani, na zabój, to każ mnie pokrajać na kawałki. To fatalne, że taki wrażliwy artysta zadurzył się w tobie... Nie patrz tak na mnie, droga przyjaciółko. Zgaduję twoje myśli: ten cały Saint-Remy, zwiastun złej nowiny, powinien przez przyzwoitość wyjść wraz z van Eyckiem, czyż nie tak? Nie, nie zaprzeczaj, pani, to całkiem normalne. Lecz jeśli popełniłem tę niezręczność, zostając tutaj, to dlatego, że mam ci coś do powiedzenia... coś niecierpiącego zwłoki!

- Czy ty także wyjeżdżasz, panie?

- Oczywiście, że nie! Ja tylko mam się na baczności, znając twoje nagłe decyzje, pani, a domniemywam, że wkrótce takową podejmiesz. Nie mam zaś ochoty szukać pani na drugim końcu świata. Ciągłe gdzieś umykasz, a twoje posunięcia są nieprzewidywalne... przy tym jesteś najrozkoszniejszym stworzeniem na świecie.

- Na Boga, Janie - przerwała zniecierpliwiona Katarzyna. - Nie mam ochoty słuchać dzisiaj madrygałów. Zostaw w spokoju moją urodę... Nie możesz sobie wyobrazić, jaka jestem zmęczona słuchaniem ciągle tych samych słów. Jak nie van Eyck, to ty, panie, jak nie ty, to kapitan de Roussay albo de Lannoy lub Toulangeon, a nawet Mikołaj Rolin, który przesiaduje godzinami i zanudza mnie na śmierć.

- Z pewnością po to, aby powetować sobie surowy tryb życia, które wiedzie u boku swej nabożnej małżonki, Gigony de Salins. Nie ma lekkiego życia wasz kanclerz, oj nie, ale do rzeczy! To nie o nim chciałem z tobą mówić, pani, lecz o mnie...

- Ależ to uroczy temat! - zadrwiła Katarzyna z olśniewającym uśmiechem.

- Uroczy jak uroczy, ale na pewno interesujący. Tak więc... - Mówiąc

to, wstał, wyprostował swoją chudą i długą sylwetkę i stanął przed Katarzyną w pozycji na baczność. - Tak więc... nazywam się Jan Lefebvre de Saint-Remy. Mam trzydzieści dwa lata, jestem bogaty, cieszę się dobrym zdrowiem, posiadam rozległe dobra, moje nazwisko jest wystarczająco szlachetne... i kocham panią tak, jak tylko ktoś z rodu Saint-Remy kochać potrafi. Czy zechciałabyś pani zostać moją żoną? Sama będąc wdową, jesteś wolna.

- ...i bez zajęcia za jakiś czas? - skończyła Katarzyna zjadliwie. - Mój drogi Janie, jesteś pan wspaniały i jestem ci wielce zobowiązana za twoją propozycję. Pomyślałeś sobie: zostanie sama, dam jej moje nazwisko, poważną pozycję... Czyż nie tak? Zawsze czułam, że jesteś moim przyjacielem.

- Cóż, mówisz mi o przyjaźni, kiedy właśnie wyznałem, że cię kocham?

- To właśnie dlatego nie wyjdę za ciebie za mąż, panie! Byłbyś zbyt nieszczęśliwy, wiedząc, że cię nie kocham. Byłoby nieuczciwe z mojej strony, gdybym ci oddała tylko moją rękę. Mogę tylko cię lubić. A to o wiele za mało!

Na jasnej twarzy mężczyzny pojawił się wyraz szczerzego żalu.

- Kocham cię na tyle, że zadowolilibym się tymi okruciami uczucia - powiedział głuchym głosem. - Oczywiście wiem, że nie potrafię zastąpić księcia Filipa. Pani go kochasz i...

Katarzyna przerwała mu gwałtownie:

- Wiesz dobrze, że nie! Nigdy nie udało mi się znaleźć właściwej nazwy dla uczucia, którym darzę księcia. Obawiam się, że jest to coś bardzo przyziemnego... Nie potrafię już kochać, Janie, nawet gdybym bardzo chciała... wiesz o tym dobrze!

Zapadła cisza. Na zewnątrz ściemniało się i komnatę powoli ogarniał

mrok. Jedynie płomień kominka rozświetlał ciemność. Na jego tle Katarzyna odcinała się ciemną plamą. Saint-Remy odszedł w mroczny kąt. Zdawało mu się, że jakiś duch stanął pomiędzy nim a tą cudowną kobietą, do której nigdy nie udało mu się zbliżyć. Przypomnił sobie walkę pod murami Arras oraz tego rycerza z insygniami królewskimi, na którego widok Katarzyna oszalała. Bezwiednie wyszeptał:

- Rozumiem... jest inny... Po tylu latach nie potrafiłaś zapomnieć o Mont...

- Zamilcz! - ucięła oschle Katarzyna. - Nie chcę słyszeć jego imienia!

Drżała jak liść i Saint-Remy zauważył w jej oczach taką rozpacz, że serce ścisnęło mu się z litości. Ale Katarzyna szybko zapanowała nad sobą.

- Przebacz mi... - wyszeptała. - To nerwy A teraz proszę, abyś zostawił mnie samą, przyjacielu. Przychodzisz do mnie ze słowami miłości, a ja plotę androny... Odwiedz mnie wkrótce!

Podąła mu zimną dłoń, na której młody człowiek złożył delikatnie swe usta. Wydawał się taki zaniepokojony i zdezorientowany, że uśmiechnęła się do niego, aby go pocieszyć, wzruszona, że ten płochy młodzieniec potrafi naprawdę cierpieć z jej powodu.

- Przyjdź kiedy indziej, jak będę mniej zdenerwowana. Pozwolę ci powtarzać, że mnie kochasz...

- A czy pozwolisz również ponownie prosić cię o rękę?

- Dlaczego nie, jeśli nie obawiasz się odmowy. Dobranoc, przyjacielu.

Po wyjściu Saint-Remy'ego Katarzyna odetchnęła z ulgą. Nareszcie była sama! Ogarniający komnatę mrok wydał się jej przyjemny. Podeszła do wysokiego okna w kształcie migdała i otworzyła jedno ze skrzydeł, na którym widniał wybrany przez nią herb: niebieska chimera na srebrnym polu z koroną hrabiowską. Zimne, lecz wilgotne powietrze dmuchnęło jej w twarz i rozwiało włosy. Na dole toczyły się ciemne wody kanału, w których

odbijały się światła sąsiednich domów, i znikwały pod kamiennym łukiem małego mostu. Zerwał się wiatr, unosząc ostatnie jesienne liście. Na pobliskim murze odezwał się głos strażnika. Z drugiej strony kanału dobiegały dźwięki lutni. Było tak spokojnie, że Katarzyna pozostałaby chętnie w oknie przez całą noc, słuchając odgłosów miasta. Ale tego wieczoru miał przybyć na kolację Filip. Z żalem zamknęła okno w chwili, kiedy drzwi otworzyły się przed Sarą niosącą ciężki kandelabr z brązu, na którym płonęło dwanaście świec, oświetlając nieruchomą twarz Cyganki. W jej wyglądzie było coś uroczystego. Pod jej wysokim, koronkowym, wykrochmalonym czepkiem, przylegającym do głowy, widać było zmarszczone brwi. Postawiła kandelabr na rzeźbionym, hebanowym kufrze, po czym Zdjąwszy jedną ze świec, przeszła po całej komnacie, zapalając pozostałe świece.

W jej ruchach było coś nienaturalnego, coś, co uderzyło Katarzynę.

- Co ci jest? Wyglądasz tak dziwnie.

Sara odwróciła się w jej stronę i rzekła bezbarwnym głosem:

- Przybył kurier z Chateauvillain. Dziecko jest chore... Ermengarda wzywa cię...

Sara nie powiedziała nic więcej. Nieruchomo wpatrzona w Katarzynę czekała, co odpowie. Katarzyna zbladła. Ermengarda w każdym liście donosiła o znakomitym zdrowiu chłopca, o jego inteligencji i urodzie. Katarzyna знаła swoją przyjaciółkę i wiedziała, że jeżeli ją wzywa, to znaczy, że dziecko jest... ciężko chore. Poczuła ścisnięcie koło serca. Zdała sobie nagle sprawę z odległości i z tego wszystkiego, co oddzielało ją od dziecka, równocześnie poczuła palące wyrzuty sumienia. Nie robiła sobie wyrzutów, że opuściła syna. Z Ermengardą, która go uwielbiała, nie był opuszczony. Zarzucała sobie jednak, że nie dosyć go kochała. Był jej synem, a ona mogła całymi miesiącami go nie oglądać. Jej wzrok napotkał

spojrzenie Sary.

- Ruszymy skoro świt, zaraz po otwarciu bram! Tiercelin zajmie się domem. Każ przygotować kufry...

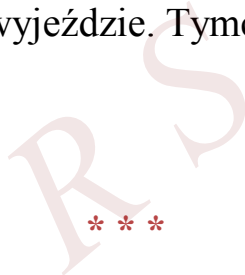
- Perryna już zaczęła...

- To dobrze. Potrzebujemy najlepszych koni i trzech zbrojnych ludzi. To wystarczy. W drodze nie będziemy się często zatrzymywać. I jak najmniej bagaży. Jeżeli będę czegoś potrzebować, wyślę po to posłańca.

Głos Katarzyny był beznamiętny, spokojny, a jej rozkazy zwięzłe. Sara na próżno dopatrywała się śladu uczucia na jej nieruchomej twarzy. Życie na dworze nauczyło Katarzynę sztuki panowania nad uczuciami i ukrywania przeżyć.

- A co do dzisiejszego wieczoru? - spytała Sara.

- Powiadomię księcia o wyjeździe. Tymczasem nakryj do stołu i pomóż mi się przebrać.



W komnacie Katarzyny, podobnej do szkatuły wyścielonej jasnoróżowym aksamitem, krzątała się Perryna wraz z dwiema pomocnicami. Na wielkim łożu czekała suknia z białej satyny, wyszywana drobnymi perłami. Filip lubił, gdy Katarzyna ubierała się na biało, i zabraniał jej wkładać na ich intymne spotkania ciężkie toalety, jakie obowiązywały na dworze. Katarzyna przyjmowała go więc ubrana w proste sukienki i miała zawsze rozpuszczone na ramiona włosy.

Pozostawiwszy kobiety ich zajęciu, poszła, by wziąć przygotowaną dla niej kąpiel, i z ulgą zanurzyła się w ciepłej wodzie, do której Sara dosypała garść listków werbeny, zgadując, że nerwy jej pani potrzebują odprężenia. Katarzyna poddała się zbawiennemu działaniu ciepłej wody, starając się nie

myśleć o chorym dziecku. Czuła zmęczenie, lecz widziała rzeczy wyraziście. Czyż nie było to zadziwiające, że musiała oddalić się od Filipa w tym samym dniu, kiedy dowiedziała się, że chwila rozstania jest blisko. Jakby los dawał jej znak i dokonywał wyboru za nią. Nadeszła pora odjazdu. Zostanie jakiś czas w Chateauvillain, żeby poczekać, co się zdarzy, i zastanowić się, co zrobić ze swym życiem...

Kiedy wyszła z wody, Sara owinęła ją obszernym kawałkiem cienkiego płótna z Fryzji, który uprzednio ogrzała przy ogniu, i wytarła ją energicznie. Sięgnęła po kuferek z rzadkimi perfumami, których jej pani zazwyczaj używała, lecz Katarzyna powstrzymała ją ruchem dłoni.

- Nie dzisiaj... strasznie boli mnie głowa...

Sara nie nalegała, tylko jej wzrok spoczął na chwilę na Katarzynie, kiedy spadło z niej płótno.

- Ubierz mnie - rzuciła krótko.

Kiedy Sara poszła po sukienkę z białej satyny, Katarzyna stała przed lustrem, nie patrząc w nie jednak. Od pewnego czasu świadomość piękna własnego ciała nie sprawiała jej przyjemności jak dawniej. Wzrastające pożądanie Filipa mówiło jej lepiej niż lustro, że była jeszcze piękniejsza. Macierzyństwo przyczyniło się do jej rozkwitu, ujmując ciało resztki oznak dzieciństwa. Jej talia, tak wąska, że Filip mógł ją objąć rękami, była nadal talią młodej dziewczyny, lecz jej biodra zaokrągliły się, podobnie jak piersi. Skóra Katarzyny, jędrna i aksamitna, podniecała niezwykle największego księcia Zachodu. W jej ramionach Filip był ciągle tym zakochanym mężczyzną z okresu ich pierwszych uniesień... lecz to wszystko pozostawiało teraz Katarzynę zupełnie obojętną.

Sara bez słowa przełożyła sukienkę przez jej głowę i obciągnęła ją wzdłuż ciała, spowijając je miękkimi, błyszczącymi fałdami. Pod dotykiem zimnej satyny nagie ciało Katarzyny zdrżało. Zbladła tak nagle, że

wystraszona Sara spytała:

- Czy mam wysłać posłańca do pałacu, żeby doniósł, że jesteś cierpiąca? Katarzyna zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, nie trzeba. Muszę się z nim zobaczyć dzisiejszego wieczoru. Zresztą już i tak za późno. Nadchodzi!

W istocie, dał się słyszeć odgłos szybkich kroków oraz męski głos pozdrawiający wesoło służące, które zostały w komnacie. Drzwi pomieszczenia kąpielowego otworzyły się pchnięte niecierpliwą dłonią Filipa, który wołał już od progu:

- Znikaj, Saro, żebym mógł ją pocałować należycie! Trzy dni bez ciebie, moja miłości, trzy dni spędzone na wysłuchiwaniu skarg ławników Brukseli! To całe wieki nudów!

Podczas gdy Sara, dygnawszy pośpiesznie, zniknęła za drzwiami, tak jak została o to uprzejmie poproszona, książę brał już Katarzynę w ramiona, pokrywając jej ciało pocałunkami.

- Moje serce... moje życie... moja królowo... moja wróżko o złocistych włosach... moja miłości - szeptał czule, obsypując oczy i piersi Katarzyny płomiennymi pocałunkami. - Za każdym razem wydajesz mi się piękniejsza... tak piękna, że mi się serce ściska!

Na wpół uduszona Katarzyna broniła się słabo przed Filipem, którego niecierpliwie ręce pieściły jej ciało. Wydawał się bardziej radosny i zakochany niż zawsze. Lecz próbując zdjąć z niej sukienkę, napotkał opór.

- Nie, Filipie... nie teraz

- Och, dlaczego? Tak mi było spieszno do ciebie, że musisz wybaczyć, kochanie, moją niecierpliwą. Wiesz dobrze, jaki płomień we mnie rozpalasz. Katarzyno... moja słodka Katarzyno, po raz pierwszy mnie odpychasz... Czy jesteś cierpiąca? Zdaje się, że zbladłaś...

Odsunął się od niej na chwilę, aby lepiej się jej przyjrzeć, po czym,

zaniepokojony, przytulił ją do piersi, ujmując jej twarz w swoje dłonie i zmuszając ją, aby popatrzyła na niego. Nagle z jej oczu spłynęły dwie łzy i Katarzyna zamknęła powieki.

- Ależ ty płaczesz! - wykrzyknął przerażony Filip. - Co się stało? Moje najdroższe kochanie, nigdy nie widziałem łez w twoich oczach.

Był tak przejęty, że i jemu zbierało się na płacz. Jego wąskie wargi zaczęły drżeć przy skroni Katarzyny.

- Muszę wyjechać - wyszeptała. - Ermengarda mnie wzywa... Nasz syn zachorował.

- Czy to coś poważnego?

- Nie wiem... z pewnością. Inaczej Ermengarda nie wzywałaby mnie. Boję się, Filipie... Szczęście jest dla nas skończone.

Książę kołysał ją czule w ramionach, następnie pociągnął w stronę łóżka, posadził ją na nim, a sam usiadł u jej stóp na stopniach przykrytych puszystym perskim dywanem.

- Nie mów głupstw - rzekł, ujmując dłonie Katarzyny w swe ręce. - Nasz syn jest chory, ale to przejdzie. Wiesz przecież, że Ermengarda opiekuje się nim jak swoim własnym dzieckiem. Rozumiem twoje obawy, lecz z przykrością dowiaduję się, że wyjeżdżasz. Kiedy mnie opuszczasz?

- O świecie...

- Oczywiście... A więc o świecie przyślę ci eskortę; będą czekać przed domem. Tak, tak... zależy mi na tym! Droga jest długa, a w zimie szczególnie niebezpieczna. Nie byłbym spokojny... Ale, proszę, nie opuszczaj mnie na długo! Będę liczyć dni!

Katarzyna odwróciła głowę, próbując oswobodzić ręce z uścisku, lecz Filip nie zamierzał ich wypuścić.

- Zdaje się, że pozostanę w Burgundii dłużej, niż sądzisz... Może nawet nigdy już nie wrócę do Flandrii... - powiedziała wolno.

- Jak to? Dlaczego?

Katarzyna pochyliła się nad księciem i ujęła w dłonie jego chudą twarz, której dumne i delikatne rysy pokochała na swój sposób.

- Filipie - zaczęła łagodnie - przyszła chwila szczerości. Lecz uspokój się! Musisz się ożenić i zrobisz to! Wiem, że wysyłasz van Eycka do Portugalii, ale to nie on mi o tym powiedział. Nie ganię cię za to, musisz dać następcę swoim poddanym. A ja wolałabym się oddalić. Nie chcę po tym, co przeżyliśmy razem, żyć w ukryciu, kochać się potajemnie. Kochaliśmy się w blasku dnia i teraz nie zniosę upokorzeń pokątnego związku.

Filip z dziką gwałtownością wczepił się w ramiona młodej kobiety. Zerwał się z miejsca i opierając się kolanem na łóżku, pochylił cały tułów nad nią.

- Zamilcz! Nigdy nie skażę cię na konspirację. Kocham cię tak, jak nigdy nikogo nie kochałem, a jeśli muszę się ożenić, to nie dlatego, żebyś miała cierpieć upokorzenia. Jestem księciem Burgundii i potrafię zapewnić ci odpowiednią pozycję!

- To niemożliwe, przynajmniej tutaj! Ja mogę żyć w Burgundii. Będiesz mógł mnie odwiedzać... sam.

W tym momencie - przerywając rozmowę - weszła Sara, aby oznajmić, że kolacja gotowa. Filip podał dłoń Katarzynie i poprowadził ją do stołu. Posiłek został podany przed kominkiem w sali reprezentacyjnej; usługiwało trzech służących. W ich obecności Filip i Katarzyna nie wymienili wielu słów. Książę był nachmurzony. Pomiędzy jego szarymi oczami zarysowała się ostra zmarszczka, a kiedy jego spojrzenie napotykało wzrok Katarzyny, mogła zobaczyć w nim nieme błaganie. Książę nie tknął podanych dań. Kiedy krajczy zamierzał pokroić pasztet z kozicy, Filip nagle wstał, odpychając stół tak gwałtownie, że ten się przewrócił z hukiem, po czym wskazał służącym drzwi.

- Wyjdźcie wszyscy! - rozkazał.

Uśluchali go wystraszeni, nie śmiać nawet pozbierać półmisków i złoconych talerzy, z których potrawy ześlizgnęły się na posadzkę. Szare oczy księcia stały się prawie czarne, a na twarzy malował się obłęd.

- Ależ, Filipie! - zakrzyknęła Katarzyna.

- Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

Podszedł do niej i podniósłszy ją lekko jak piórko, uniósł, biegnąc do komnaty. Katarzyna zobaczyła, że jego twarz zalewają łzy... Posadził ją na łóżku... nie wypuszczając z objęć, i coraz silniej przyciskając ją do piersi.

- Posłuchaj... - wyszeptał, ciężko dysząc - i nie zapomnij nigdy, co ci powiem. Kocham cię nad życie, kocham cię bardziej niż zbawienie mojej duszy. Jeżeli zażadasz, zrzeknę się wszystkiego, aby cię zatrzymać! Co mi tam potomek! Każę van Eyckowi zostać i nie ożenię się. Nie mogę cię stracić, rozumiesz? Jeśli chcesz wyjechać, musisz mi obiecać, że wrócisz!

- Filipie - Jęknęła Katarzyna - chodzi o moje dziecko... o nasze dziecko.

- Cóż to ma za znaczenie! Przysięgnij, że niezależnie, co by się stało, wrócisz do mnie, kiedy tylko się uspokoisz. Przysięgnij, bo w przeciwnym razie dam ci moje rycerskie słowo honoru, że nie uda ci się opuścić tego miasta! Wolałbym cię raczej uwięzić...

Księżę nie panował nad sobą. Szczupłymi, twardymi palcami ścisnął ciało Katarzyny, przygniatając je własnym ciężarem. Jego oddech palił usta przerażonej więźniarki, a łzy lały się na jej policzki. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Drżał na całym ciele i raptem przypomniał jej Garina, w chwili kiedy opanowała go żądza. Garin także wyglądał jak zgłodniałe zwierzę i całym jestestwem wyrażał bolesne błaganie.

- Przysięgnij, Katarzyno, przysięgnij na własne życie, że wrócisz - prosił i rozkazywał zarazem. - Albo przyznaj się, że mnie nigdy nie

kochałaś!

Katarzyna czuła na swej piersi oszalałe bicie serca kochanka. Nie zdając sobie sprawy, nadal była zakochana w księciu, który przy niej zamieniał się w zwykłego, ogarniętego silnym uczuciem mężczyznę. W końcu dała się przekonać.

- Przysięgam - wyszeptała. - Wrócę, jak tylko syn wyzdrowieje...

Skutek był natychmiastowy. Książę powoli się odprężył. Jego wdzięczność zdumiała Katarzynę. Upadłszy przed nią na kolana, całował jej ręce i stopy.

- Ależ, Filipie - prosiła - błagam cię, wstań!

Książę wstał, ponownie wziął ją w ramiona i wpił się w jej usta. Gorący pocałunek zniweczył jej postanowienia i resztki oporu. Książę odzyskał magiczną władzę, która tak długo przykuwała do niego Katarzynę.

Późno w nocy wyczerpany Filip wreszcie zasnął z głową na piersi swej kochanki, przyciskając ją mocno do siebie, lecz ona nie mogła zmrużyć oka w ciemności komnaty, gdzie dogasał ogień na kominku. Znajdowała się w takim stanie półświadomości, który pozwolił rozumowi oderwać się od rzeczywistości, a intuicji odsłonić zasłonę przyszłości. Filip jeszcze nigdy nie kochał jej tak, jak tej nocy. Wydawało się, że ciągle nie ma dosyć. Ze wszystkich chwil miłości przeżytych z księciem, te były najpiękniejsze i najgorętsze. Lecz dlaczego Katarzyna czuła, że to ostatnie ich wspólne chwile, pomimo że obiecała wrócić?

Dotykała policzkiem krótkich, jasnych włosów Filipa. Spał jak dziecko, z tym wyrazem skarconego i boczącego się chłopca, który wzruszył ją bardziej niż widoczne ślady gwałtownego uczucia. Delikatnie, tak aby go nie obudzić, Katarzyna przycisnęła usta do skroni księcia, w miejscu gdzie przez cienką skórę widać pulsującą krew. Potem, nie mogąc się opanować, zaczęła płakać, gdyż miała wrażenie, że w tej chwili kocha go jak nigdy

dotąd.

Czując, że się poruszyła, Filip wzmocnił uścisk. Bojąc się, że go obudzi, Katarzyna leżała nieruchomo. Wkrótce nadejdzie świt i trzeba będzie go pożegnać, rozdzielić się. Na jak długo?

Czuła niejasno, że nie należy już do tego mężczyzny ani do tego domu. Była już w drodze, gdzie u celu czekał na nią jej syn i stara przyjaciółka...

Rozdział jedenasty

Mnich z Mont Beuvray

Kiedy po długiej i wyczerpującej podróży Katarzyna wraz ze swoją eskortą stanęła naprzeciwko wież Chateauvillain, ogarnęły ją ponure przecucia. Z miasteczka przycupniętego w zakolu rzeki Aujon dobiegało echo dzwonów kościelnych, roznosząc się w zimnym powietrzu. Na wzgórzu, z ciężkich pokładów mgły, wyłaniał się zamek ze swoim częstokołem z czarnego drewna, z imponującymi wieżami o stożkowatych dachach pokrytych dachówką lśniąca od wilgoci. Z przyzwyczajenia Katarzyna szukała na szczycie wieży szkarłatnego proporca rodu Chateauvillain. Lecz zauważyła jedynie czarny sztandar zwisający smętnie z drzewca zatkniętego pomiędzy otworami strzelniczymi.

Spięła konia. Mimo południowej pory forteca zdawała się dziwnie cicha. Most zwodzony był podniesiony, na murach nie było widać żywej duszy. Odwróciwszy się do kapitana eskorty, młodego pułkownika z zaczynającym się sypać zarostem, który czerwienił się przy każdym

spojrzeniu Katarzyny, kazała mu zadać w róg na znak, że się zbliżają. Czuła podniecenie i niepokój.

Przygnębająca atmosfera zalegająca nad tą nadmarnieńską wyżyną i tym wtopionym we mgłę miastem działała na nią jak najgorzej.

Młody pułkownik spełnił jej rozkaz. Z oddziału wystąpił rycerz, przytknął do ust róg wiszący u pasa. Mgłę przeszył długi, ryczący dźwięk. Przy trzecim sygnale na murach pojawiła się głowa w hełmie. Katarzyna drżała w przemoczonej pelerynie, szukając odruchowo spojrzenia Sary, jadącej za nią. Ta podróż ciągnęła się w nieskończoność. Kilka razy trzeba było się potykać z wędrownymi bandami rzezimieszków lub z wygłodzonymi wieśniakami, wypędzonymi z ich zrównanych z ziemią miasteczek. Zmuszeni do ukrywania się w lesie, aby przeżyć, zamienili się w rozbójników, tym bardziej niebezpiecznych, że to nie zysk popychał ich do rozboju, lecz głód. Katarzyna żałowała, że kapitan de Roussay był unieruchomiony przez złamaną w turnieju nogę, gdyż młody rycerz, który go zastępował, nie potrafił stanąć na wysokości zadania. Jego odpowiedzialność przytłaczała go i łatwo wpadał w popłoch. Lecz tym razem mocnym i zdecydowanym głosem zażądał otwarcia bram przed panią de Brazey.

- Zaraz ktoś przyjdzie! - krzyknął głos z wieży.

Oczekiwanie wydało się Katarzynie nieskończenie długie, nawet jej koń się niecierpliwił, przebierając w miejscu kopytami. Hrabina utkwiała wzrok w olbrzymiej płycie mostu zwodzonego, który w końcu zaczął się opuszczać z głośnym skrzypieniem, odsłaniając wysoką, sklepioną bramę zwieńczoną kamiennym herbem panów tych włości. Za kratą z zębami, podnoszoną równocześnie, widać było nadciągających łuczników poprawiających hełmy. Wreszcie most opadł do końca i na jego deskach rozległ się odgłos końskich kopyt. Katarzyna przebyła most pierwsza, wpadła na dziedziniec, minęła basztę i skierowała się prosto do głównego

budynku z eleganckimi, połyskującymi oknami. Na progu stała kobieta ubrana na czarno od stóp do głów. Była zgarbiona i podpierała się laską, dlatego Katarzyna nie poznała od razu, że to Ermengarda...

Ześlizgnąwszy się z konia, Katarzyna patrzyła niemo na tę czarną sylwetkę powoli się do niej zbliżającą. Ermengarda tak schudła, że prawie pływała w swojej sukni z czarnego aksamitu. Posiwiała, a jej oczy straciły dawny blask, były zaczerwienione pod spuchniętymi powiekami. Katarzyna podbiegła do przyjaciółki, chwyciła ją w ramiona, przerażona jej widokiem i tym, co przeczuwała.

- Ermengardo! Na Boga! Co się stało? Czy Filip?...

Z głuchym jękiem leciwa dama osunęła się w ramiona Katarzyny i załkała boleśnie na jej ramieniu. Rozpacz tej tak silnej kobiety zwała z nóg Katarzynę, która zrozumiała, że jej najgorsze przeczucia sprawdziły się.

- Czy on... - nie mogła dokończyć, gdyż te zbyt okrutne słowa nie chciały przejść jej przez usta.

Lecz Ermengarda przytaknęła ruchem głowy. Obie kobiety rzuciły się sobie w ramiona, nie mogąc powstrzymać szlochu. Obok nich, jak przykuci do miejsc, stali oniemiały rycerze i pogrążona w smutku Sara. Przepelnione żalem serce Katarzyny pękło, zamieniając ją w jeden łkający strzęp człowieka. Sara zmartwiała, z trudem zsiadła z konia i podeszła do rozpaczających kobiet, aby je rozdzielić. Otoczyła obydwie ramionami i powiodła do wnętrza.

W zamku panowała głucha cisza. Służba ubrana na czarno przemykała jak cienie, nie śmiąc podnieść głowy. Od śmierci małego Filipa, który zgasł wczoraj wieczorem, stara siedziba wypełniła się przygnębieniem i obawą. Dopiero rankiem udało się kapelanowi oderwać hrabinę od łóżeczka dziecinnego, aby rozpocząć toaletę pośmiertną chłopca. Jej ból spowodował, że Katarzyna poczuła wstyd. Młoda kobieta, przybita wiadomością,

odczuwała odrętwienie, które łagodziło jej własny ból i doprowadziło do całkowitego zubożenia.

- Co się stało? - spytała głucho, nie poznając własnego głosu.

Ermengarda, którą Sara zmusiła, aby usiadła w fotelu, zwróciła na nią swą zmęczoną twarz i zaczerwienione oczy.

- To febra... - wybełkotała. - Dużo ludzi we wsi pomarło po wypiciu wody z zatrutej studni. Filip też się jej napił, wracając ze spaceru ze swoim nauczycielem. Chciało mu się pić, zatrzymali się w młynie i poprosili o wodę... Następnego dnia był nieprzytomny. Wtedy postanowiłam cię wezwać. Doktor robił, co w jego mocy... a ja nawet nie mogłam się pocieszyć powieszeniem młynarza - dodała z gwałtownym wybuchem dzikości - gdyż zmarł tego samego wieczoru wraz z całą rodziną od swojej przeklętej wody... Czy kiedykolwiek mi przebaczysz? Powierzyłaś mi go... a on nie żyje... nie żyje mój mały, piękny Filip!

Hrabina ukryła twarz w drżących dłoniach, wybuchając tak rozzłością, że ogarnięta współczuciem Katarzyna otoczyła ramieniem starą przyjaciółkę.

- Ermengardo!... Przestań się dreczyć! Błagam cię! Nie możesz czynić sobie żadnych wyrzutów... Byłaś dla niego najlepszą matką, o wiele lepszą ode mnie! O wiele lepszą...

Jej oczy znowu wypełniły się łzami. W tej chwili wszedł na palcach kapelan i szeptem zawiadomił, że wszystko przygotowane i że dziecko leży w kaplicy. Ermengarda wstała i podając dłoń Katarzynie, powiedziała:

- Chodź... chodź go zobaczyć...

Pociągając Katarzynę i Sarę za sobą, opuściła komnatę i wielkimi krokami podążyła w kierunku krętych schodów przechodzących w szeroką galerię wypełnioną z jednej strony witrażami z herbem rodu Chateauvillain. Na końcu galerii znajdowały się zwieńczone łukiem drzwi prowadzące do

kaplicy. Na widok kaplicy Katarzyna krzyknęła. Sanktuarium było dosyć wąskie: sklepiona nawa wsparta była na potężnych romańskich kolumnach z szarego kamienia. W środku, na katafalku obłożonym czarno-złotym aksamitem, spoczywał chłopiec w niebieskim ubranku. U jego stóp widniał herb matki oraz tarcza herbowa książąt Burgundii z czerwoną skośną linią po lewej stronie, symbolem bastardów. Czterech rycerzy w błyszczących zbrojach stało w czterech rogach katafalku, opierając się na dwusiecznych toporach, nieruchomo jak posągi. Las płonących, żółtych świec rozświetlił małą kapliczkę z niskimi oknami, nadając jej uroczysty wygląd. Stare mury były prawie niewidoczne zza zwieszających się chorągwi. Katarzyna, uderzona tym celebracyjnym wystrojem, skierowała pytające spojrzenie na przyjaciółkę. Ermengarda poczerwieniała i uniosła dumnie głowę.

- W takiej uroczystej chwili liczy się tylko krew książęca - rzekła ochryplym głosem.

Katarzyna, nic nie odpowiedziawszy, uklękła przy zmarłym synku, nie śmiąc podnieść oczu, zmieszana nagłym odkryciem podobieństwa syna do księcia. Tak dawno go nie widziała. Wydawał się taki duży... A jego dumne rysy i krótko obcięte, jasne włosy były rysami i włosami księcia... To był rzeczywiście jego syn i do żalu Katarzyny dołączyło coś na kształt zazdrości. Czuła, jakby mały Filip nagle odwrócił się od niej, swojej matki, zwracając się do tego, który go spłodził... Serce Katarzyny ścisnął nieokiełznany żal, żal za nieodwracalnie straconym czasem, za tym, że sama pozbawiła się dziecka, a jego pozbawiła siebie. Teraz śmierć zabrała jej go na zawsze. Poczwała z bólem zrywające się więzy krwi. Chciała wziąć w ramiona to małe, nieruchome ciało i ogrzać je swoim własnym życiem. W tej chwili oddałaby wszystko, nawet własne życie, aby Filip otworzył oczy, uśmiechnął się do niej! Lecz jego ostatni uśmiech był przeznaczony z pewnością dla Ermengardy...

Zgięta pod ciężarem bóleści, Katarzyna ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała u stóp swego martwego synka.

Całą następną noc spędziła na modlitwie w kaplicy. Ani łagodne napomnienia Sary, ani Ermengardy, ani rady kapelana zaniepokojonego jej bledością, nie potrafiły oderwać jej od martwego dziecka.

- Chcę zostać z nim tak długo, jak tylko można - odpowiedziała - a i tak nigdy nie odrobuję tych wszystkich dni, kiedy o nim nie myślałam.

Zgadując, co się dzieje w sercu Katarzyny, Ermengarda nie nalegała. Ona również pozostała w kaplicy przez całą noc. Następnego dnia zaczęły się uroczystości żałobne, które odbyły się z wszelkimi szykanami w asyście mieszkańców miasteczka w strojach żałobnych. Kiedy zamknęła się kamienna płyta grobowca rodu Chateauvillain, pochłaniając ciało książęcego bastarda, Katarzyna i Ermengarda stanęły twarzą w twarz, dzieląc ten sam ból. Obie zgodnie milcząc, odmówiły posiłku i zaniknęły się w komnacie hrabiny. Siedząc w wysokich krzesłach z rzeźbionego dębu, w swoich czarnych woalkach, które upodabniały je do siebie, nie odzywały się przez długą chwilę wpatrzone nieruchomo w płomienie kominka. Można by rzec, matka i córka złączone bóleścią, niemające odwagi się odezwać, aby nie zranić jedna drugiej. W końcu pierwsza przemówiła Ermengarda.

- I co teraz?

Jej ciche słowa przerwały mur ciszy i spowodowały, że Katarzyna z jękiem upadła obok przyjaciółki, chowając twarz w fałdach jej czarnej sukni i zaciskając na nich palce.

- Nie zostało mi już nic... - szlochała. - Nie mam już męża ani dziecka, ani miłości... Zostałaś mi tylko ty, Ermengardo! Pozwól mi zostać z tobą. Moje życie stało się puste. Nie mam już nic... nic! Chcę zostać blisko ciebie i grobu mego dziecięcia. Pozwól mi tutaj zostać...

Ermengarda zdjęła z głowy czarny, muślinowy woal i jęła pieścić jasne

włosy zrozpaczonej przyjaciółki. Na jej przygnębionej twarzy pojawił się łagodny uśmiech.

- Ależ oczywiście... możesz zostać, Katarzyno... i to na zawsze. Wiesz chyba, że kocham cię jak własną córkę, jednak prędzej czy później opuścisz mnie, gdyż nie dla ciebie takie życie na odludziu...

* * *

Śnieg zaczął padać w trzy dni po pogrzebie małego Filipa, i to tak obfity, że życie w dobrach Chateauvillain zostało sparaliżowane. Zamek, na którym obok czarnej chorągwi pojawiła się chorągiew czerwona, zdawał się pogrążony we śnie w swojej wyniosłej samotności wokół dwóch kobiet w żałobie. Każdego ranka uczestniczyły w mszy odprawianej w kaplicy, po czym wracały do jednej ze swych komnat i przez cały dzień zajmowały się robótkami. Raz w tygodniu, w każdy wtorek, okoliczni chłopcy udawali się na pańskie wzgórze, aby poddać się ich sprawiedliwości. Tego dnia Ermengarda zasiadła na tronie w głównej komnacie i całymi godzinami oddawała się rozstrzyganiu ich sporów - a to o mur, a to o drogę wytyczoną na polu innego, a to o spadek, innym razem wyrażała zgodę na ślub lub wyznaczała karę niewiernej małżonce. Jej sprawiedliwość była niepodzielna, a wyroki szybkie i oparte na głębokiej mądrości. Katarzyna biorąca udział w tych posiedzeniach nie mogła wyjść z podziwu dla hrabiny. Te wtorki stały się dla niej prawdziwą rozrywką.

Zbliżało się Boże Narodzenie i pewnego dnia do zamku przybył posłaniec od księcia Filipa, przywożąc list i wspaniałą książkę z wykazem godzin modlitw, przepięknie ilustrowaną, w okładce ze złota i kości słoniowej. To nie był pierwszy jego list przysłany do Chateauvillain. Po śmierci syna książę przelewał na papier cały swój ból. Aby załagodzić

rozpacz matki, dobierał słowa ciepłe i niezwykle delikatne, które bardzo poruszyły Katarzynę. Gdyby nie zapowiedź przyszłego małżeństwa, wróciłaby do niego bez wahania. Lecz nie czuła się na siłach sprostać ciekawym spojrzeniom dworaków, zadowolonych, że została zepchnięta na drugie miejsce, bała się złośliwości kobiet, które od dawna jej zazdrościły.

Drugi list był tak samo czuły, jak pierwszy, lecz w słowach miłości ukryte było przemożne pragnienie księcia, aby do niego wróciła. Katarzyny nie zmyliły jednak czułe słówka. Przypominając jej obietnicę daną mu w czasie ich ostatniej nocy, Filip wydawał jej rozkaz.

- W istocie, to rozkaz - rzekła Ermengarda po przeczytaniu listu. - Co uczynisz? Chyba go spełnisz?

Katarzyna potrząsnęła głową.

- Raczej nie. Nie mam na to ochoty. Za kilka miesięcy przybędzie infantka, a ja - znowu będę musiała odejść. Więc po co?

- Wiesz przecież, że cię kocha. Nie może się bez ciebie obejść, nawet o tym pisze! - odparła hrabina, podkreślając jedno zdanie paznokciem.

- Och! Pisać, pisze. Ale potrafi się beze mnie obejść. Czyżbyś tak go mało znała, by wierzyć, że przez te trzy lata ja sama mogłabym sprostać jego wybujałej zmysłowości? Wiele kobiet cieszyło się i nadal będzie się cieszyć jego względami. Wiem, że mnie kocha, że ciągle mnie pożąda, nawet bardziej teraz niż kiedykolwiek, jak mi się zdaje. Ale są inne. Zresztą mówi się, że infantka jest bardzo piękna i pomoże mu o mnie zapomnieć.

Ermengarda ujęła dłoń dziewczyny w swoje ręce.

- Moja droga, jak wyobrażasz sobie dalsze życie? Co zamierzasz? Czego pragniesz? Nie chce mi się wierzyć, że taka młoda i piękna kobieta jak ty mogłaby się skazać na życie z taką starą kobietą jak ja. Rozumiem, że odrzucasz rolę kochanki żyjącej w cieniu księżnej. Lecz dlaczego nie chcesz zacząć od nowa? Wielu jest takich, którzy chętnie zaprowadziliby cię do

ołtarza!

- To prawda - rzuciła Katarzyna od niechcienia - lecz ja nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Jaką zatem dasz księciu odpowiedź?

- Żadną, z tej prostej przyczyny, że nie wiem, co mu mam odpowiedzieć... Gdyby mój stary przyjaciel, Abu-al-Khayr, był tu z nami, z pewnością znalazłby jakąś myśl poety czy filozofa, oddającą stan mego umysłu. Zna ich całe mnóstwo, odpowiednich na każdą okoliczność Ale Abu jest teraz daleko...

W rzeczy samej, mały medyk udał się do królestwa Granady zaraz po śmierci Garina pomimo zaproszenia Ermengardy. Jego władca, sułtan Mohamed VIII, zmagający się z nieustającymi walkami wewnętrznymi, wezwał swego głównego doradcę i przyjaciela do powrotu. Abu z żalem opuszczał Katarzynę, gdyż szczerze ją polubił.

„Jeśli pewnego dnia poczujesz, że nie wiesz, co czynić ani gdzie się udać, przyjedź do mnie. W moim małym domu nad brzegiem Genilu drzewa cytrynowe i migdałowce rosną same, a krzewy róż kwitną przez cały rok. Będziesz moją siostrą, a ja nauczę cię mądrości islamu”.

Kiedy jej los znalazł się w ślepych zaułku, Katarzyna przypomniała sobie jego przyjazne słowa i ta myśl wywołała uśmiech na jej twarzy.

- Może to jest właśnie rozwiązanie: udać się do Abu, poznać inne życie...

- Ależ ty jesteś szalona, moje dziecko! - oburzyła się Ermengarda. - Zanim byś dotarła do Granady, musiałabyś przebyć szmat drogi, zgwałcono by cię ze dwadzieścia razy i tyleż razy zabito!

- Wystarczyłoby raz... - odpowiedziała Katarzyna w zamyśleniu. - Lecz masz rację, zostanę tutaj i zaczekam, może los się do mnie uśmiechnie...

* * *

Boże Narodzenie było dla obu kobiet bardzo smutne. Rozdały podarunki wieśniakom i mieszkańcom dóbr, przyjęły ich życzenia. Spędziły długie godziny w kaplicy, pomiędzy szopką, którą za przykładem świętego Franciszka z Asyżu Ermengarda ustawiała rokrocznie, a grobowcem małego Filipa.

Śnieg pokrył całą okolicę. Dzień po dniu, wstając i spoglądając przez okno, Katarzyna popadała w coraz większe przygnębienie. Wydawało się, że słońce nigdy już nie zaświeci. Wszystko było zimne, czarne i serce Katarzyny skostniało.

A jednak pod śniegiem ziemia zaczynała już przygotowania do nadejścia wiosny...

Pewnego marcowego dnia do zwodzonego mostu zbliżał się mnich siedzący okrakiem na mulicy. Tego dnia spośród brunatnych i wilgotnych grud ziemi wyrzały pierwsze delikatne źdźbła trawy, a na gołych gałęziach drzew pojawiały się pierwsze zawiązki liści.

Łucznika straży, który wyszedł przybyszowi na spotkanie, zapytał, czy pani de Brazey przebywa w zamku, a uzyskawszy pozytywną odpowiedź, poprosił, aby go do niej zaprowadzono.

- Pani de Brazey zna mnie... Zapowiedz brata Stefana Charlota.

Katarzyna kazała natychmiast przyprowadzić mnicha do swojej komnaty. Była sama, gdyż Ermengarda udała się do stajni, w której miała ożrebić się klacz. Cieszyła się na tę wizytę, która przypomniała jej stare lata. Nie widziała mnicha od czasu banicji, na którą został skazany w tym samym czasie co Odetta de Champdivers. Dawna faworyta Karola VI - Katarzyna dowiedziała się o tym wkrótce po narodzinach Filipa - zmarła zaraz po przybyciu do Delfinatu. Jej delikatny organizm nie wytrzymał warunków i

złego traktowania w więzieniu. Matka Odetty, Maria de Champdivers, również wkrótce spoczęła w grobie, pokonana przez rozpacz po stracie córki... Katarzyna ciężko odczuła te dwie śmierci i w jej myślach brat Stefan także nie należał już do tego świata. Kiedy jednak przekroczył próg komnaty, stwierdziła, że wcale się nie zmienił. Krąg włosów otaczających jego głowę był prawie siwy, lecz twarz pozostała puciołowata, a oczy żywe jak dawniej.

- Drogi bracie! - krzyknęła młoda kobieta, wyciągając do niego ręce. - Myślałam, że już nie ma cię wśród żywych!

- Ledwom się wykaraskał z choroby, której nabawiłem się w lochu. Ale dzięki Bogu, staraniom braci i świeżemu powietrzu w Morvan przyszedłem do zdrowia!

Katarzyna posadziła mnicha na drewnianej ławie z baldachimem, a służącej stojącej obok kominka kazała przynieść napitek i stawę, a także przygotować pokój dla wędrowca.

- Nie kłopotz się, pani, z mego powodu - oponował zmieszany serdecznym przyjęciem. - Gdy się dowiesz, co mnie sprowadza w twe progi, stracisz być może ochotę, abym się u ciebie zatrzymał... Przybywam prosić cię...

- Nie wiem, co mogłabym dla ciebie uczynić, lecz wiedz, że jesteś tu miłym gościem. Najpierw posil się, a potem powiesz, co cię sprowadza.

Pochłaniając zimną pieczeń z dzika i popijając winem z Beaune, brat Stefan przedstawił cel swojej wizyty. Od 12 października zeszłego roku Anglicy oblegają Orlean. Przybył, aby opisać tragiczną sytuację mieszkańców miasta. Chociaż siły angielskie i burgundzkie nie zablokowały całkiem Orleanu, gdyż można było jeszcze do niego wjechać od północnego wschodu, to jednak sytuacja stała się tak krytyczna, że wysłali de Xaintrilles'a do księcia Burgundii, aby zaanektował miasto, lecz jego

oddziały nadal gród oblegają...

- Książę zapomina, że jest francuskim księciem - rzekł mnich surowym głosem. - Mówi się, że chce założyć zakon rycerski... a przecież powinien zdawać sobie sprawę, że oblężenie Orleanu jest sprzeczne z podstawowymi prawami rycerstwa. Nie oblega się miasta, którego księcia trzyma się w więzieniu, bez pogwałcenia prawa feudalnego* i Filip wie o tym zbyt dobrze, gdyż miasto płaciło okup, żeby nie być zaatakowane.

- To prawda - rzekła Katarzyna, która sama często wytykała Filipowi jego angielskie ciągoty.

Od czasu oblężenia Orleanu rósł także gniew Ermengardy. Dla niej Filip Burgundzki nie był godny nosić złotych ostróg rycerza.

- Ale co ja mogłabym uczynić? - spytała młoda kobieta.

Na twarzy mnicha malowało się gorące błaganie. Nachyliwszy się nad Katarzyną, chwycił jej dłonie tak, że omal ich nie zmiażdżył.

** Książę Karol Orleański, wrażliwy poeta, był uwięziony w Londynie od bitwy pod Azincourt, tzn. od trzynastu lat.*

- Pani... nie ma takiego w tym królestwie, który by nie wiedział o wielkiej miłości księcia do ciebie. Musisz udać się do niego i błagać, aby wycofał oddziały z Orleanu. Nie wiesz nawet, ile znaczy to miasto dla króla Karola. Jeżeli Orlean upadnie, to przypieczętuje koniec króla i Francji. Anglik panujący w Paryżu zagarnie ją na zawsze. Nie pozostanie nic z tego, co stanowiło rację bytu zaprzysięgłych zwolenników króla, nic nie zostanie z wysiłków Jolanty Aragońskiej, tyle niepotrzebnie wylanej krwi! - Mnich nabrał oddechu i dodał cichym głosem: - Tylu rycerzy oddało ciało i duszę w obronie tego szlchetnego miasta. Przedmieścia są zrównane z ziemią, lecz Orlean walczy z rozpaczliwą desperacją, gotowy umrzeć, jeśli nie dopomoże

mu jakiś cud! Pani, bądź tym cudem! Zewsząd dochodzą prorocze głosy, że Orlean uratuje kobieta... Pomyśl tylko! Od pięciu miesięcy, zamknięty w mieście z garstką rycerzy, bije się kapitan de Montsalvy!

Imię Arnolda, rzucone celowo, uderzyło nieprzygotowaną Katarzynę jak policzek. Straciła oddech, poczerwieniała aż po czubek głowy, krew odpłynęła jej z żył, po czym zbladła i zadrżała.

- Bracie Stefanie - powiedziała głuchym głosem - nie jest to godne ani ciebie, ani habitu, który nosisz, aby budzić niespełniony sen w sercu, które pragnie już tylko zapomnieć. Jestem wdową, straciłam syna i jeśli kiedyś prosiłam cię, abys udzielił pomocy uwięzionemu kapitanowi de Montsalvy'emu, to teraz nic dla niego uczynić nie mogę! Jeśli nie pomagają mu modlitwy żony, to co ja, obca kobieta, mogę?

- Jego żony? - spytał mnich szczerze zdziwiony. - Co za żona?

Czy mnich zwariował? Katarzyna patrzyła mu badawczo w oczy, zgadując, czy stracił pamięć, czy drwił z niej.

- Ostatnio mówiono mi o nim - zaczęła powoli, lecz słowa przychodziły jej z trudem - kilka lat temu. Wtedy przygotowywał się do ślubu, mając wziąć za żonę pannę Izabelę de Severac, córkę marszałka...

- Izabela de Severac umarła, pani!... dwa miesiące przed ślubem. A pan Arnold, który zresztą, jak się powiada, niechętnie miał zrezygnować ze swej wolności, po jej śmierci nie znalazł sobie innej.

- Co takiego?...

Dłonie Katarzyny zaciśnięte na siedzeniu krzesła zaczęły drżeć. Uczucia wypełniające jej serce spowodowały gwałtowną chęć do płaczu, a oczy zasnuła mgła. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Przez tak długi czas zabraniała sobie myśleć o nim, odpędzając jego drogi obraz jak niedościgłe marzenie! A tu nagle dowiaduje się w sposób najmniej oczekiwany, że jest wolny... wolny jak ona! Można było stracić głowę!

- Drogi bracie - powiedziała z bolesną wymówką w głosie - dlaczego nie przyszedłeś do mnie wcześniej? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Dlaczego pozwoliłeś przez tak długi czas, abym myślała, że jest dla mnie stracony na zawsze!

- Ależ, pani! - protestował zakłopotany mnich. - Skąd mogłem przypuszczać, że o tym nie wiesz? Pomimo wojny z dworu króla Karola docierają wiadomości na dwór burgundzki... Poza tym, przebywając na wygnaniu, i tak nie mógłbym do ciebie przyjechać. Mój przeor uzyskał zniesienie dla mnie banicji... więc jestem... Czy wstawisz się, pani, za Orleanem u księcia?

Oczy Katarzyny, błędzące w pustce, błyszczały jak gwiazdy. Brat Stefan czuł, że jego rozmówczyni jest myślami daleko, że odpłynęła na fali dawnego marzenia, które ożyło w niej na nowo.

- Pani... ty mnie nie słuchasz... Pytałem, czy udasz się do księcia, aby wesprzeć sprawę Orleanu?

Katarzyna otrząsnęła się z zamyślenia i rzuciła mnichowi jeden ze swoich dawno zapomnianych, olśniewających uśmiechów, który niemal wytrącił osobie duchownej kielich wina. Na jego oczach ta zgaszona niewiasta przeistoczyła się nagle w kolorowego motyla, jakby zrzuciła z ramion ciężki, czarny płaszcz, który do tej pory gasił jej płomień wewnętrzny. Przed mnichem stała inna osoba.

- Nie, mój bracie! - zawołała żywo, potrząsając głową. - Nigdy więcej nie wrócę do Filipa Burgundzkiego! Nawet mnie o to nie proś! Nie spodziewając się tego, przyniosłeś mi znak losu, na który czekałam!

- Pani!... A co z Orleanem?

- Orlean? Ależ jadę tam! Jutro ruszam do oblężonego miasta! Mówisz, że można wjechać do miasta, a więc wjadę!... i umrę, jeśli los tak zechce!

- Twoja śmierć, pani, nie pomoże miastu! - ostro skarcił Katarzynę brat

Stefan. - Niepotrzebny mu jeszcze jeden trup zalegający w jego zgliszczach!
Miasto pragnie, aby odeszli Burgundczycy!

- Prosiłam księcia, jeszcze w październiku, aby wycofał swe oddziały. Nie zrobił tego. Czy myślisz, że teraz mnie posłucha? Książę będzie się żenić. Stracę moją nad nim władzę. Jedno mogę zrobić: napisać do księcia, że mam zamiar zamknąć się w oblężonym mieście, i jeżeli zależy mu na moim życiu, żeby zaniechał działań wojennych... Być może mnie usłucha... być może nie... Lecz nie mogę zrobić nic więcej!

Wstała, ogarnięta radością na myśl o rychłym wyjeździe. Szybkim krokiem skierowała się do drzwi, zamiatając czarnym trenem sukni obszytym lisim futrem.

- Jedz spokojnie, bracie. Muszę wydać rozkazy!

W połowie schodów napotkała Ermengardę i nie mogąc opanować gorączki, jaka ją ogarnęła, chwyciła przyjaciółkę za ramiona, wyciskając na jej policzkach dwa głośne pocałunki.

- Ermengardo! Ruszam w drogę! - I nie dając jej wtrącić ani słowa, ciągnęła dalej: - Do Orleanu! Żeby umrzeć w razie potrzeby! Nigdy jeszcze nie byłam taka szczęśliwa!

Wypuściwszy nagle hrabinę z uścisku, zbiegła na dół w poszukiwaniu Sary, którą miała prosić, by przygotowała kufry, i to jak najszybciej.

Serce biło jej mocno, miała ochotę śpiewać ze szczęścia. Wiedziała, co ma zrobić: za wszelką cenę odnaleźć Arnolda, ostatni raz wykrzyknąć mu swoją miłość i polec wraz z nim w ruinach ostatniego bastionu królestwa Francji. Orlean będzie mogiłą, olbrzymią mogiłą na miarę jej miłości, w której ta miłość wreszcie spocznie w spokoju...

Katarzyna nie mogła wiedzieć, ani brat Stefan również, że tego dnia młoda, osiemnastoletnia dziewczyna z Lotaryngii, ubrana w prosty, chłopięcy, czarny strój, przybyła do zamku w Chinon, że uklękła przed

królem Karolem VII i rzekła: „Miły Delfinie, zwań mnie Dziewicą Joanną i przychodzę, aby nieść pomoc tobie i królestwu. Król Niebios kazał ci donieść moimi ustami, że będziesz poświęcony i koronowany w Reims...”.

Działo się to 8 marca 1429 roku.

* * *

Następnego dnia o świcie sześciu rycerzy przemknęło galopem przez zwodzony most zamku. Na wieży dostrzec można było czarną sylwetkę kobiety, śledzącej, jak w pędzie opuszczają się ze wzgórza, jak przekraczają stary rzymski most na Aujon, aby wkrótce zniknąć we mgle ścielącej się nad doliną. Kiedy ucichł tętent kopyt na zmarzniętej ziemi, Ermengarda wróciła do siebie, a następnie skierowała swe kroki do kaplicy, by oddać się modlitwie. W duszy hrabiny zagościł nieutulony żal, wywołany przeczuciem, że już nigdy Katarzyny nie ujrzy. Nie ganiła przyjaciółki za podjęcie tak szalonej decyzji. Ona na jej miejscu postąpiłaby dokładnie tak samo. Cóż jej pozostało?... Tylko czekać i mieć nadzieję, i prosić Boga o łaskę, o to, żeby Katarzyna odnalazła w końcu swoje szczęście, które niestrudzenie zdawało się jej unikać.

W tym czasie Katarzyna, na czele swego nielicznego oddziału, przemierzała pierwsze z około siedemdziesięciu mil, które dzieliły ją od Orleanu. Do tej długiej drogi przywdziała strój męski, w którym czuła się wybornie. Czarne, obcisłe getry przymocowane w pasie metalowymi spinkami opinały jej długie nogi obute w wysokie aż do kolan botki z miękkiej skórki. Całości dopełniała krótka, czarna opończa obszyta futerkiem z jagnięcia w tym samym kolorze i nałożony na wierzch obszerny płaszcz do jazdy konnej, do tego druciana siatka na głowie i ramionach, spod której ledwo było widać bladą twarz dziewczyny. Sztylet ze stalową cyzelowaną

rękojeścią wystawał zza jej skórzanego pasa, stanowiącego komplet z rękawiczkami. Przez długie miesiące żałoby i zwątpienia Katarzyna trochę schudła i w tym surowym stroju wyglądała jak młody chłopak z możnego rodu.

Za to Sara z całą pewnością nie czuła się tak dobrze jak Katarzyna, gdyż jej krągłości z trudem mieściły się w męskim stroju. Nie należąc jednak do kobiet, które przejmują się swoim wyglądem, pełną piersią wdychała wiatr wielkich przestrzeni otwierających się znowu przed nią. Ojciec Chariot podążał za nimi, przesuwał paciorki różańca i z całą dobroduszością poddając się woli swego wierzchowca. Orszak zamykało trzech rycerzy Ermengardy, gdyż hrabina uparła się, aby wzięli małą eskortę. Cały dzień przemierzali monotonną dolinę Castillonais z jej bezkresnymi lasami.

Pod wieczór dotarli do Chatillon, lecz Katarzyna zdecydowanie odwróciła się od zamku książąt Burgundii, w którym na sam dźwięk jej imienia zostałaaby przyjęta przez kasztelana jak królowa, wybierając zajazd w opactwie Saint-Nicolas. Dla niej gest ten miał znaczenie symboliczne. Będąc nieposłuszna Filipowi, rzucając go dla połączenia się z jego nieprzyjaciółmi, nie potrzebowała jego zamków. Zmęczona po całym dniu jazdy, zasnęła jak kamień i spała aż do świtu. Obudziła się wypoczęta i pełna zapału, jakiego dawno nie zaznała. Drugi dzień jazdy był podobny do pierwszego. Czasami drogę przecinały głębokie doliny, stanowiąc jej jedyne urozmaicenie. Katarzyna płonęła z niecierpliwości, nie mogąc się doczekać widoku murów obronnych Orleanu na horyzoncie, lecz należało oszczędzać konie i niejechać zbyt szybko. Dziennie nie można było zrobić więcej niż dziesięć, dwanaście mil. Tę noc spędzili w oberży pielgrzymów, przy czym rycerze cały wieczór czyścili i ostrzyli oręż, jutro bowiem miano opuścić ziemie burgundzkie i należało być przygotowanym na wszelkie niebezpieczeństwa. Ale Katarzyna nie dbała o niebezpieczeństwo: tylko jedna rzecz liczyła się

dla niej - odnaleźć Arnolda.

Trzeciego dnia marszu, kiedy mała trupa ruszyła znowu w drogę, lunęło jak z cebra. Z nieba lały się potoki wody, zasłaniając wszystko dookoła. Wkrótce sześciu rycerzy było przemoczonych do suchej nitki.

- Musimy się gdzieś schronić, Katarzyno - rzekła Sara około południa.

- Schronić się? - odparła nerwowo Katarzyna. - Jesteśmy na niebezpiecznym terenie i nawet domy boże mogą kryć pułapki. Została nam zaledwie mila, aby dojechać do Coulanges-la-Vineuse. Tam się zatrzymamy!

- Coulanges nie jest pewne! - zauważył jeden z łuczników eskorty. - Grasuje tam zbójca, niejaki Jakub de Pouilly, zwany Ziółkiem. Lepiej udać się do Auxerre.

- Auxerre też nie jest zachęcające - przerwała ostro Katarzyna. - Ale przecież nasza trupa nie ma nic ciekawego dla zbója. Zresztą przy takiej pogodzie ten twój Ziółko grzeje kości przy piecu albo gra w szachy. Czy jest w Coulanges klasztor?

- Tak, ale...

- Świetnie! W nim się zatrzymamy, nie wjeżdżając do miasta. Nie ruszymy się z miejsca przez całą noc, a o świcie wyjedziemy! No, panowie rycerze! Chyba strach was nie obleciał? Jeśli tak, to lepiej, abyście zawrócili do Burgundii!

- Ależ, pani... - oponował brat Stefan. - Trzeba wielkiej odwagi, aby włązić w paszczę lwa! Ci ludzie spełniają tylko swój obowiązek, ostrzegając cię!

Za całą odpowiedź Katarzyna wzruszyła jedynie ramionami, spięła lekko konia i ruszyła żwawiej do przodu. Wkrótce zza ciężkiej zasłony deszczu ukazało się wzgórze Coulan-la-Vineuse wraz z zamkiem. Im było bliżej celu, tym bardziej duszę młodej kobiety ogarniał dziwny niepokój. Okolica, która ongiś musiała być wesoła i żyzna, wydawała się okropnie

ponura. Czarna ziemia była wypalona, gdzieniegdzie sterczały nędzne kikuty gałęzi, które kiedyś były krzewami winorośli. Tu i ówdzie stał zrównany z ziemią dom, kupa zimnego popiołu lub gorzej - ciało zwisające z gałęzi, na którym deszcz dokańczył dzieła zniszczenia. Przejeżdżając obok całego jeszcze domu, Sara i Katarzyna zasłoniły sobie oczy z przerażenia. Na drzwiach od stodoły wisiała ukrzyżowana kobieta z długimi, czarnymi włosami, z wyjętymi z brzucha wnętrznościami.

- Boże! Gdzieśmy się znaleźli? - wyszeptała wstrząśnięta tym widokiem Katarzyna.

- Przecież mówiłem - odpowiedział rycerz, który próbował zawrócić ją z drogi.

- Ten Ziółko to kanalia, ale nie przypuszczałem, że do tego stopnia!... Widzisz, pani, te budynki całe w gruzach: to klasztor, w którym zamierzałaś się schronić. To on go spalił, niegodziwiec! Trzeba uciekać, póki czas! Paskudna pogoda zatrzymała Ziółkę i jego kompanów w zamku. Ale nie próbujmy igrać z diabłem! Czy widzisz tę ścieżkę po lewej stronie? Jedźmy nią do lasu! Dwie mile stąd znajdziemy kamieniołomy w miasteczku Courson, gdzie się schronimy, gdyż co do zamku w Courson, nie wiem, kto ma go w posiadaniu, więc nie mogę być go pewien.

Katarzyna, mając przed oczami obraz ukrzyżowanej kobiety, nie sprzeciwiała się. Pozwoliła rycerzowi chwycić swego konia za uzdę i poprowadzić w stronę ścieżki zagłębiającej się w lesie. Wiodła ona wśród nieprzebytych chaszczy i wężowiska splątanych gałęzi. W miarę zagłębiania się w las ścieżka zwężała się, a połączone nad głowami jeźdźców gałęzie tworzyły coś w rodzaju tunelu, coraz bardziej ciemnego. Nie było słychać żadnych odgłosów oprócz kopyt końskich i od czasu do czasu krzyku ptaka w niespokojnym locie...

Nagle z rosnących na skale drzew zaczęli na ich głowy spadać ludzie.

Jedni chwyтали konie za uzdy, inni - uczeplwwszy się po dwóch każdego rycerza - wysadzali ich z siopeł i ciskali o ziemię. W mgnieniu oka Katarzyna i jej towarzysze zostali związani i rzućeni bezceremonialnie w błoto. Banda składała się z tęgich osiłeków odzianych w łachmany z twarzami zasłoniętymi szmatami, zza których było widać tylko oczy. Jedynie ich broń była dobrej jakości i błyszczła w mroku. Jeden z nich, noszący zbroję na opończy oraz długi miecz i ostrogi rycerskie, oddzieliwszy się od reszty, podszedł do więźniów, aby się im przyjrzeć.

- Marna zdobycz - stwierdził z niezadowoleniem jeden ze zbirów. - Chude sakiewki! Powieśmy ich od razu!

- Ale konie i oręż są dobrej jakości - przerwał ostro ten, który wyglądał na herszta. - Ja tutaj decyduję!

Pochylił się nieco, aby lepiej zobaczyć swoich więźniów, i nagle wybuchnął gromkim śmiechem, zdejmując z twarzy brudną szmatę. Był młody, dwudziestodwuletni może, lecz na jego suchej twarzy o rozlazłych ustach i drapieźnych oczach były wyryte wszelkie oznaki występku.

- Mości panowie, w tej wyśmienitej kawalkadzie jest tylko trzech mężczyzn. Reszta składa się z mnicha i, przepraszam za wyrażenie, z dwóch kobiet!

- Kobitki? - z niedowierzaniem spytał jeden ze zbójów, pochylając się również, aby sprawdzić to samemu. - Jedna owszem, ale ta druga, dałbym się na pal wbić i jeszcze pozwolić w gębę prać, że to chłopak!

W tym momencie herszt bandy wyciągnął swój sztylet i jednym cięciem rozplatał opończy Katarzyny, odkrywając kawałek jej piersi.

- Mając takiego chłopaczka pod ręką, można się obyć bez kobiet, ha! ha! ha! Ale ten „chłopaczek” trochę dla mnie za chudy. Tamten za to będzie w sam raz! Jest taki przy kości, jak lubię!

- Posłuchaj, wieprzu! - krzyknęła Katarzyna, nie mogąc opanować

gniewu i oburzenia. - Zapłacisz drogo za tę zniewagę, za to, że ośmieliłeś się podnieść rękę na hrabinę de Brazey. Książę Burgundii każe ci drogo zapłacić za ten napad... i ten gest. Będziesz gorzko tego żałować!

- A ja dbam o księcia Burgundii jak o zeszłoroczny śnieg, pięknotko! Powiem więcej: przy tym królu zdrajców ja, Ziółko, jestem aniołem! A teraz zobaczmy, czy nie kłamiesz!

Zerwał żelazną siatkę, która chroniła głowę, szyję i ramiona młodej kobiety, uwalniając masę jej lśniących włosów.

- Ha! Hrabina de Brazey, piękna kochanka Filipa Burgundzkiego, o której się mówi, że ma najpiękniejsze włosy pod słońcem! Jeśli to nie te włosy, to niech mnie kat uściska!

- Bądź pewny, że to cię nie minie! - rzekła Katarzyna ze złością.

- Jeszcze nie teraz, hrabino! No, no! Łup jest lepszy, niż przypuszczałem! Klnę się na dusze wszystkich grzeszników, że książę Filip okaże swą hojność, aby cię odzyskać. A na razie, zanim nie otrzymam okupu, ofiaruję ci gościnę w moim zamku w Coulanges. Żarcie w nim jest podłe, ale za to wina nie brakuje, ha, ha, ha! Co zaś do tamtych... Kim jest, u diabła, ta ślicznotka, która wierci mnie tymi czarnymi oczami, jakbym był Lucyferem we własnej osobie?

- To moja służąca.

- Pojedzie z nami - zdecydował Ziółko z uśmiechem, który zaniepokoił Katarzynę bardziej niż poprzedni agresywny ton. Odwrócił się gwałtownie do swego przybocznego i rozkazał: - Tranchemer, zarzuć mi tych ludzi na konie, łącznie z duchowną osobą. Bierzemy ich! Potrzebuję kapelana, mnich będzie w sam raz. Co do tamtych...

Jego słowom towarzyszył tak wymowny gest, że Katarzyna krzyknęła:

- Chyba nie zabijesz tych ludzi. Służą mi. To dzielni żołnierze i wierne sługi. Zabraniam ci ich tknąć! Za nich też dostaniecie okup!

- To by mnie zdziwiło! - parsknął Ziółko. - A poza tym nie potrzeba mi dodatkowych gąb przy stole! No! Do roboty, mości panowie! Skończcie z nimi!

- Potworze! - krzyknęła Katarzyna. - Jeżeli popełnisz tę zbrodnię, przysięgam, że...

Ziółko zmarszczył brew i prychnął zniecierpliwiony.

- Przymknij ją, Tranchemer! Uszy mi puchną od tych krzyków!

Pomimo rozpaczliwej obrony, na jaką było stać związaną Katarzynę, Tranchemer zakneblował ją starannie, używając do tego swojej cuchnącej szmaty, która służyła mu jako maska. Następnie, wraz z drugim, bez ceregieli poderżnęli gardła trzem związanym rycerzom. Trysnęła krew mieszając się z kałużami na ścieżce. Błoto przybrało kolor czerwony. Trzy ofiary nawet nie krzyknęły.

Zbójnicy szybko rozwiązali ciała, pozabierali im oręż, po czym rozebrali ich do naga.

- Co z nimi zrobimy? - spytał Tranchemer.

- Kilka sążni stąd jest pole. Zanieście ich tam, niech kruki dokończą dzieła! - odparł Ziółko.

Podczas gdy kilku zbirów, pod rozkazami Tranchemera, spełniało makabryczne polecenie, Ziółko wskoczył na konia jednego z zabitych i ruszył w kierunku Coulanges.

- Zmarnowaliśmy cały dzień - rozzłościł się, obrzucając Sarę obleśnym spojrzeniem - ale, do diaska, powetujemy to sobie!

Związani więźniowie szli z tyłu z duszą na ramieniu. W Katarzynie narastał bunt i gniew.

Rozdział dwunasty

Droga przez mękę

Zamek, który służył Ziółce za kryjówkę, chociaż źle utrzymany, był potężną twierdzą. Jego baszta groziła rozsypaniem się, lecz fortyfikacje trzymały się dobrze, a to dla herszta bandy było sprawą zasadniczą. Wewnątrz panował nieopisany brud. Zwierzęta trzymano na dziedzińcu w nędznych komórkach, w których gnój sięgał wysokości człowieka, a mieszkania niewiele się od nich różniły. Katarzynie przypadł wąski pokoik w kształcie półksiężyca w narożnej wieży, górującej nad doliną Yonne. W pokoiku znajdowało się wąskie okienko przedzielone na dwie części cienką kolumnką. Ściany były gołe zupełnie, poza pajęczynami, które fruwały przy najłżejszym przeciągu. Nagą podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu, zalegająca na strzępach zbutwiałej słomy. Cuchnęło pleśnią, wilgocią i zjełczalym brudem. Drzwi były zamknięte od zewnątrz na potężne zamki, o które dbało się tu widocznie najlepiej, gdyż wcale nie skrzypiały.

- Pani, to nasz najlepszy pokój - oznajmił z dumą Tranchemer, wprowadzając ją do środka. - Jest tu nawet kominek!

Rzeczywiście, w narożu stał kominek ze stożkowym okapem, lecz w środku nie palił się ogień.

- Będzie i ogień, jak tylko przyniosę trochę drewna - rzekł zbój. - Na razie wystarczy jeno do kuchni, ale posłałem ludzi do lasu i wieczorem przyniosę ci je.

Wyszedł, zostawiając Katarzynę z jej ponurymi myślami. Złość

zamieniła się w czarne przygnębienie i niezadowolenie z samej siebie. Co za głupota wpaść tak nieostrożnie w paszczę lwa! Jak długo będzie musiała tu zostać? Ziółko wspominał o okupie. Z pewnością wyśle posłańca do Filipa Burgundzkiego, który zapewne pospieszy się z uwolnieniem jej. Lecz ci, którzy przyjadą ją oswobodzić, czyż nie będą mieli rozkazu zawieźć jej natychmiast do Brugii? Filip nie wyrwie jej z łap Ziółki po to, by pozwolić jej umknąć do Orleanu, do innego mężczyzny! Trzeba było znaleźć za wszelką cenę inny sposób ucieczki, i to przed nadejściem okupu...

Opierając się na kolumience okna, z przerażeniem stwierdziła, jak strasznie wysokie są mury pod nią. Co najmniej sześćdziesiąt stóp dzieliło ją od skały, na której stał zamek. Musiałaby być ptakiem...

Katarzynie błysnęła pewna myśl; podbiegła do wyrka, zdjęła z niego starą, pikowaną kape: pod którą leżał tylko dziurawy siennik z wyłazającą słomą. Żadnej pościeli, żadnej szansy na zrobienie sznura, choćby najskromniejszego. Zdruzgotana rzuciła się na materac, który pod jej ciężarem zaszeleścił jak mięty papier. Nie chciała płakać, gdyż łzy odbierały siły i przynosiły zwątpienie, a ona potrzebowała zachować jasność umysłu. Gdyby chociaż zostawili jej Sarę! Lecz Ziółko zabrał Sarę ze sobą, do swego apartamentu, nie ukrywając nawet swych zamiarów. Brat Stefan też gdzieś zniknął.

Czując zmęczenie i zdenerwowanie, Katarzyna mimo woli zamknęła oczy. Była tak wyczerpana, że nie mogła się oprzeć temu nędznemu posłaniu. Kiedy na jej powieki powoli opadał sen, otworzyły się drzwi, wrywając ją z odrętwienia. Do pokoju wszedł Tranchemer, niosąc żelazny świecznik, który oświetlał jego dziobatą twarz i olbrzymi, czerwony, pijacki nochal. W drugiej ręce trzymał jakieś łachy, które rzucił na łóżko.

- Naści, to dla pani. Ziółko kazał pani powiedzieć, że tutaj nie potrzebujesz paradować w męskim stroju. Przesłał, co miał najlepszego.

Pospiesz się z przebieraniem! On nie lubi, żeby się kto ociągał!

- Trudno - westchnęła Katarzyna. - Więc odejdz, żebym mogła się przebrać!

- O, co to, to nie! - odparł z drwiącym uśmiechem. - Muszę mieć pewność, że się zaraz przebierzesz, potem mam zabrać twoje fatalaszki... a w razie potrzeby pomóc ci!

Katarzyna poczuła, jak burzy się w niej krew. Ten prostak chyba nie musi tu stać, kiedy ona się będzie przebierać!

- Nie przebiorę się, dopóki tu będziesz! - krzyknęła. Tranchemer postawił świecznik na podłodze i podszedł do niej.

- Jak chcesz! - rzekł spokojnie. - Widzę, że muszę ci pomóc, a może wezwać jeszcze którego do pomocy?

- Nie! Nie! Już się przebieram!

Na samą myśl, że zbójnik mógłby dotknąć jej ciała, robiło się jej niedobrze. Powoli zaczęła rozkładać przyniesione przez niego ubiory. Była wśród nich brązowa aksamitna sukienka, cała podziurawiona przez mole, ale nie brudna, i lniana koszula, dosyć delikatna i czysta. Całości dopełniało coś w rodzaju kamizelki z owczej wełny.

- Odwróć się! - rzuciła rozkazująco, ale bez wielkiej nadziei.

Rzeczywiście, Tranchemer stał w miejscu bez ruchu, przypatrując się jej z wyraźnym zainteresowaniem. Katarzyna z wściekłością zerwała z siebie ubranie, narzuciła białą koszulę tak szybko, jak tylko mogła, ale ta chwila wystarczyła, by Tranchemer jęknął:

- Do kaduka! Co za szkoda, że nie wolno cię tknąć. Ziółko chyba postradał zmysły, wybierając twoją służkę zamiast ciebie!

- Gdzie ona jest? - spytała Katarzyna, nerwowo sznurując stanik.

Jej ręce były nieposłuszne, niezręczne. Najchętniej spoliczkowałaby tego draba, który patrzył na nią jak sroka w gnat.

Tranchemer zarechotał.

- A gdzie ma być? W łóżku Ziółki, do diaska. On nie lubi tracić czasu i kiedy zbiera go chętką na którą, to taka, zanim się obejrzy, już jest jego! Pewnie trochę mu zejdzie, zwłaszcza jeśli jest w dobrym nastroju.

- A co jego nastrój ma tu do rzeczy? - spytała Katarzyna.

- Pani! Jeśli jest w dobrym nastroju, to jak będzie miał jej dosyć, to nam ją da! Teraz ciężkie czasy i niewiele białogłów można spotkać na drogach. W tych stronach zaś wszystkie są chude jak szczapy... Taka jak ta twoja to istna gratka!

Rubaszny ton Tranchemera przepełnił szalę. Katarzyna przestała panować nad sobą.

- Przyrowadź mi tu szybko tego twojego Ziółkę, i to na jednej nodze! Słyszysz?!

Oczy zbójnika zaokrągliły się ze zdziwienia.

- Co takiego? Przeszkadzać mu w takiej chwili? Nigdy w życiu! Muszę dbać o własną skórę!

Jednym skokiem Katarzyna znalazła się przy oknie, wskazując na nie drżącym palcem.

- Do diabła z twoją skórą! Nie będzie warta złamanego szeląga, jeśli za chwilę oznajmisz temu bandycie, że nie żyję! Przysięgam, że jeśli nie przyrowadzisz go tu zaraz, to wyskoczę!

- Postradałaś zmysły, czy jak? Co ci to szkodzi, że trochę się zabawimy z twoją służącą?

- Niech cię o to głowa nie boli i rób, co do ciebie należy! W przeciwnym razie...

Wślizgnęła się na parapet okna. Tranchemer zawahał się. Miał chęć przyłożyć jej parę razy, żeby ją uspokoić. Ale, do diabła, skąd mógł wiedzieć, co jej przyjdzie do głowy, jak się ocknie? A zresztą, to wszystko było zbyt

skomplikowane dla prostego umysłu Tranchemera. Nie mógł przecież pozwolić, żeby się zmarnowała taka korzystna zdobycz, na której Ziółko miał się w końcu wzbogacić. Jeżeli tej diablity coś by się przytrafiło, Ziółko darłby z niego pasy, jak to miał w zwyczaju, kiedy ktoś mu wlaź w drogę. Już lepiej było mu przerwać jego figle.

- Zaczekaj! - rzekł niechętnie. - Idę! Ale nie ręczę za nic.

Tranchemer zabrał się do wyjścia, co widząc, Katarzyna spuściła nogi na podłogę. W końcu wyszedł, zamykając starannie drzwi.

Katarzyna otarła pot z czoła. Myśl, że jej stara przyjaciółka wydana została na pastwę tych nędzników, przyprawiała ją o szaleństwo. Rzuciłaby się z wieży bez najmniejszego wahania, lecz teraz musiała odzyskać zimną krew, aby zmierzyć się z Ziółkiem.

Ziółko nadciągnął za kilka chwil z miną psa, któremu odebrano soczystą kość, ubrany w same pludry i w koszuli rozchełstanej na piersi, rozdartej w wielu miejscach.

- Czego chcesz? - zaszczekał już na progu. - Czy nie możesz tu siedzieć spokojnie? A może wolisz, żeby cię zakuć w kajdany?

W swoim niedbałym stroju wyglądał o wiele młodziej niż w rynsztunku bojowym. Katarzyna pomyślała, że wcale się go już nie boi. Uspokoila się i czuła się pewna siebie.

- Kajdany nie przeszkodzą mi powiedzieć, co mam do powiedzenia - odparła zimno. - Posłałam po ciebie, aby cię prosić, żebyś zostawił Sarę w spokoju! To, że kładziesz na niej swoje brudne łapy, nie podoba mi się tak samo, jakbyś je kładł na mnie! Nie pozostanie to bez wpływu na szczodrość księcia Filipa!

Ziółko patrzył na nią spode łba. Jego śmiech zabrzmiał jak rzenie konia.

- Odzywasz się hardo jak na więźnia! Co do twojej Sary, to tak się

składa, że spóźniłaś się ze swoją prośbą... Dodam, że podoba mi się szelmutka i nie mam ochoty jej stracić. Zostawiam ją sobie!

- Wiem, co robicie! - krzyknęła Katarzyna, nie mogąc powstrzymać gniewu. - Twoi kompani wezmą ją po tobie! Więc dowiedz się, że nie dostaniesz ani sola z mego okupu, jeżeli twoi ohydni kompani dobiorą się do niej! Nawet jeśli tylko ją tkną! Chcę się z nią widzieć, słyszysz, chcę się z nią widzieć!

W tej chwili szef przemytników raptem zbliżył się do niej. Chwycił ją w pasie i przycisnął do siebie. Jego twarz była czerwona z wściekłości.

- Dostyc tego! Nie oddam jej moim ludziom, jeśli ci to zrobi przyjemność. Ale radzę ci, żebyś się zamknęła, jeżeli nie chcesz zająć jej miejsca w moim łóżku!

- Jestem za chuda!

- Czyżby? W męskim stroju być może... ale w tej sukience jesteś całkiem, całkiem, aż gotów byłbym zapomnieć, jak droga jest twoja skóra. Poza tym sądzę, że nie jesteś czysta jak kryształ i Filip Burgundzki nie straciłby wiele, gdybym z tobą trochę pobaraszkował! Więc radzę ci po dobroci, żebyś się zamknęła!

Brutalnie chwycił ją w okolicy karku, przycisnął jej czerwoną z gniewu twarz do swojej i wpił się jak zwierzę w jej usta. Jego palce były jak z żelaza i pomimo oporu Katarzyna musiała wytrzymać jego pocałunek aż do końca. Kiedy w końcu ją wypuścił, Katarzyna zatoczyła się, aż opadła przy kolumnie, którą objęła ręką, aby nie upaść.

- Mam nadzieję, że zrozumiałaś! - rzekł Ziółko jakoś tak łagodnie. - Radzę ci się zamknąć!

- Chcę, abys mi tu przysłał Sarę! - zagrzmiała Katarzyna. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Fiołkowe źrenice młodej kobiety ciskały takie błyskawice, że zbój zrozumiał, iż jest gotowa na wszystko.

- Przyślę ci ją jutro rano. Do tej pory musisz się zadowolić Tranchemerem, który niebawem przyniesie ci kolację. Dobrej nocy!

Katarzyna, zupełnie wyczerpana, czując w skroniach potworny ból, upadła przy łóżku, kryjąc twarz w pikowanej kapie. Chyba można było mówić o połowicznym zwycięstwie. Przynajmniej upewniła się, że żaden ze zbójców oprócz Ziółki nie tknie Sary. Była zbyt zmęczona, żeby myśleć. Chciało jej się jeść i spać. Toteż kiedy Tranchemer pojawił się znowu z miską i dzbanem wina, bez zastanowienia rzuciła się na te dary niebios, na które składała się postna zupa z odrobiną mąki i skwarków.

- Nie jesteś zbyt hojny dla swych więźniów - zauważyła ze smutkiem.

- Nie trzeba się skarżyć! Wszyscy dostają po równo. A ty dostałaś nawet dodatkową porcję skwarków. Chyba powiedziano ci, że są kłopoty z żywnością. Ostatniej nocy niejaki Courson ukradł nam ostatnią krowę i dwa świniaki. Dlatego to wszystko na dzisiaj, jutro może będzie lepiej.

- A co? Spodziewacie się dostawy żywności?

- Ciekawe skąd... Nie... tylko że tej nocy postaramy się ukraść kozy, oczywiście panu Coursonowi. Przecież trzeba żyć!

Strawa była podła, lecz wino całkiem dobre. Katarzyna rzuciła się na nie i za chwilę poczuła, że jej ciąży głowa. Zapadła ciemna noc i nie pozostawało nic innego tylko sen. Katarzyna rzuciła się w ubraniu na posłanie, naciągnęła na siebie postrzępiony koc, dziurawą kapę i po chwili zasnęła.

* * *

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała po przebudzeniu się następnego ranka, była twarz Sary. Było już zupełnie jasno.

Młoda kobieta rzuciła się spontanicznie na szyję Cyganki.

- Saro, w końcu jesteś! Tak się niepokoiłam! Co z tobą?

Cyganka uśmiechnęła się smutno i wzruszyła ramionami. Rysy jej ogorzałej twarzy były napięte. Pod oczami malowały się kolorowe podkowy, lecz poza tym wydawało się, że niewiele ucierpiała. Jej rozwiązane włosy opadały na ramiona, odmładzając ją. Miała na sobie przestarzałą sukienkę z olbrzymim dekoltem i z rękawami tak długimi, że wlokły się po ziemi.

- Czuję się dobrze! Jeśli chcesz wiedzieć, jak zachował się Ziółko, to muszę ci powiedzieć, że zachował się jak pierwszy lepszy chłop, ni mniej, ni więcej... Prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że nie jest z niego aż takie „ziółko”, za jakie uchodzi.

Sara wydawała się prawie wesola i Katarzyna się zastanowiła, czy przypadkiem ta przygoda jej się nie spodobała.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Sara.

Katarzyna popatrzyła na nią z niezwykłym zdziwieniem. Co za pytanie?

- Co mam zamiar zrobić? Doprawdy, nie wiem... Lecz jeśli chcesz wiedzieć, co mam ochotę zrobić, to powiem ci: jak najszybciej wydostać się stąd!

- Czy nie uważasz, że najlepiej będzie, jeśli spokojnie poczekamy na okup? Wczoraj wieczorem Ziółko zmusił brata Stefana do napisania listu, po czym wysłał jednego ze swych ludzi do Flandrii. Teraz rozumiem, dlaczego potrzebował kapelana! Nie do odprawiania mszy lub odmawiania zdrowasiek, lecz dlatego, że w tej całej bandzie nikt nie umie pisać!

Na twarzy Katarzyny pojawił się wyraz nieufności.

- Czy ty wiesz, co mówisz? Czekać tutaj na okup? Sądzisz, że rzuciłam się w tę wyprawę po to, aby czekać w rozwalającej się wieży, aż Filip wyrwie mnie z rąk zbrojcy nieśmierdzącego groszem za pomocą worków złota? To już lepiej od razu udać się do Brugii! Ale właśnie tego chcę

uniknąć. Boję się złota Filipa w równej mierze co bandytów Ziółki, może nawet bardziej, gdyż za nim kryje się więzienie, z którego nigdy nie ucieknę.
- Chwyliła Sarę za ramiona i szarpała nią bez opamiętania. - Nie dbam o Filipa, rozumiesz?! Muszę odnaleźć Arnolda! I tylko Arnolda! Czy to rozumiesz?

- Jesteś szalona, Katarzyno! Ten mężczyzna cię nienawidzi. Zawsze tobą pogardzał i tylko cierpiałaś przez niego!

- Ale ja go kocham, słyszysz? Tylko to się liczy, tylko to! Wolę zginąć pod murami Orleanu, niż królować w Brugii, żeby tylko w chwili śmierci móc trzymać za rękę Arnolda! Kiedy nareszcie zrozumiesz, że kocham go od lat, że zawsze kochałam tylko jego! Muszę się stąd wydostać, i to im szybciej, tym lepiej!

Sara zniecierpliwiona uwolniła się z rąk Katarzyny.

- To boli!... Myślę, że naprawdę straciłaś głowę...

- A ty, Saro? Nie wiem, co się z tobą stało? Czy to pieszczoty Ziółki tak cię zmieniły przez jedną noc? Czy to naprawdę ty każesz mi tu grzecznie czekać, jak kozie na postronku, aż przyśle po mnie pan i władca? Zmieniłaś się nie do poznania, a może zależy ci na tym, by Ziółko dostał swoje pieniądze?

Katarzyna, wściekła ze złości, nie panowała nad słowami. Sara cofnęła się, jakby ją ktoś spoliczkował.

- Katarzyno! Co ty mówisz? - rzekła z bólem w głosie. - Czy to możliwe, abyśmy się stały wrogami w ciągu jednej nocy?

Katarzyna odwróciła głowę i sztywno podeszła do okna.

- Nie jestem twoim wrogiem, Saro. To ty przestałaś mnie rozumieć. A to boli. W moim życiu jest jeden cel: Arnold! Jeżeli nie mogę go mieć, moje życie traci sens.

Sara powoli skierowała się do drzwi i położyła na klamce smagłą dłoń.

Katarzyna zobaczyła, że z jej oczu spływają łzy.

- Nie mam do ciebie żalu - powiedziała matowym głosem - ponieważ cierpisz z tego powodu. Tej nocy spróbuję pomóc ci w ucieczce. Czekaj spokojnie...

Kiedy wyszła, Katarzyna poczuła wstyd, lecz nie trwało to długo. To, co myślała Sara, również przestało się dla niej liczyć. Całe jej jestestwo ciążyło ku jednemu biegunowi magnetycznemu: był nim mężczyzna o twardym spojrzeniu, lecz czułym głosie, którego nie umiała zapomnieć. Katarzyna od tej pory żyła tylko dla tej chwili, najdroższej ze wszystkich, kiedy znowu zobaczy tego mężczyznę.

Cały poranek spędziła, marząc przy oknie, za którym połyskiwała w słońcu srebrzysta wstążka Yonne. Całkiem zapomniała o swoim więzieniu i o nędznej celi. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero Tranchemer, który przyniósł jej obiad: kilka plastrów koziej pieczeni, ostro zalatującej kozłem, która wydała jej się królewskim daniem. Kozy pana Coursona musiały mieć ciężką noc!

Popołudnie było nie do zniesienia. Każda minuta oczekiwania przypominała okropne chwile spędzone w wieży w Malain i każda mogła przynieść nowe niebezpieczeństwo. Tym razem nadzieja zwyciężyła strach, lecz czas upływał z okrutną powolnością. Sara obiecała, że jeszcze tego wieczoru pomoże jej uciec. Jak jej się to uda?... W końcu zapadł zmierzch, który Katarzyna przyjęła z radością. Jeszcze trochę cierpliwości...

Po kolacji przyniesionej jak zwykle przez Tranchemera, czyniącego chwalebne, lecz próżne wysiłki, aby nawiązać rozmowę, godziny ciągnęły się w nieskończoność. W zamczysku powoli zapadała cisza, lecz Sara się nie zjawiała. Słysząc tylko ciężki, metaliczny odgłos kroków strażników robiących obchód na murach.

Nastąpiła już głęboka noc i Katarzyna zniechęcona i zmęczona

czekaniem ułożyła się do snu, kiedy drzwi odemknęły się cicho i stanęła w nich Sara. Była ubrana dokładnie tak jak rano, lecz w rękę dzierżyła potężny zwój sznura. Katarzyna na jej widok wyskoczyła z łóżka.

- Myślałam już, że nie przyjdiesz!

- Widzę, że nie masz do mnie za grosz zaufania! Musiałam poczekać, aż Ziółko zaśnie spity winem... i czymś jeszcze. A teraz pośpieszmy się! Nie ma chwili do stracenia. Jeśli naprawdę chcesz uciec, to jedyny sposób.

Co mówiąc, rozwijała już zwoje sznura, przywiązując koniec do kolumnienki w oknie. Sznur spadł w próżnię jak uciekający wąż, znikając w ciemności. Po dokonaniu swego dzieła Sara podeszła do Katarzyny i położyła ręce na jej ramionach.

- To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Lecz czy będziesz miała dosyć siły i odwagi, aby spuścić się w dół wieży? Ja zostanę tu, by pilnować sznura. Jak już będziesz na dole, wciągnę sznur z powrotem i odniosę go na miejsce. Kierując się na zachód, trafisz do pola, którym dojdiesz prosto do swego ukochanego, jeśli wybrałaś przeznaczenie.

- To przeznaczenie ty mi przepowiedziałaś dawno temu. Myślałam, że kochasz mnie na tyle, że pójdziesz ze mną. A ty pozwalasz mi odejść samej? Co takiego widzisz w tym zbójcu?

- Nic... i gdybym mogła, wierz mi, że odeszłabym wraz z tobą. Lecz on ma na mnie taką chętkę, że poprzysiągł poderżnąć gardło bratu Stefanowi, gdybym próbowała uciec. Nie chcę, żeby ten poczciwy mnich umierał przeze mnie. A więc muszę zostać. Ale jak tylko nadarzy się okazja, czmychniemy we dwójkę i cię odnajdziemy. Już czas na ciebie. Oddałabym wszystko, aby móc uciec razem z tobą, chociaż ty w to nie wierzysz, Katarzyno!

W głębi serca Katarzyna była o tym przekonana, więc rzuciła się w ramiona swej wiernej przyjaciółki.

- Ależ wierzę! Przebacz mi, Saro! Jestem szalona, od kiedy

dowiedziałam się, gdzie go mogę odnaleźć!

- Musisz spróbować! Oto trzy srebrne monety, które udało mi się znaleźć w sakwie Ziółki. Kiedy dotrzesz do wielkiej rzeki Loary, może znajdziesz przewoźnika, który zawiezie cię do Orleanu.

Lecz Katarzyna odepchnęła rękę z monetami.

- Nie, Saro! Gdy Ziółko się spostrzeże, że ukradłś monety, gotów cię zabić.

Sara zachichotała. Nagle odnalazła swoją dawną wesołość.

- Nie sądzę! Powiem mu... o! coś, co wyjaśni twoją tajemniczą i nieprawdopodobną ucieczkę: że jesteś czarownicą i że potrafisz rozpląnąć się w powietrzu. Powiem mu też, że nie uprzedziłam go wcześniej ze strachu przed twoimi czarami.

- Dlaczego nie powiedziałaś mu o tym, gdy tylko nas tu przywiódł?

- Dlatego, że jego reakcja nie byłaby z pewnością taka sama. Jest straszliwie przesądny i łatwowierny. Spaliłby cię niechybnie, używając całego drewna, jakie mu jeszcze zostało, nawet gdyby musiał przez to jeść surowe mięso... Ale dosyć już gadania! Pośpieszmy się! Muszę wrócić do niego, zanim się obudzi.

Nagle przyciągnęła Katarzynę do siebie i złożyła pocałunek na jej czole.

- Niech Bóg ma cię w opiece, moja mała! - rzekła głosem drżącym ze wzruszenia - i niech cię poprowadzi bezpiecznie do tego, którego kochasz!

Po czym podeszła do okna, aby sprawdzić, czy nie dzieje się coś podejrzanego na zewnątrz. Kiedy się wychylała, Katarzyna oderwała szerokie pasmo z dołu sukienki, aby nie przeszkadzała jej w ucieczce.

- Gdybyś mogła znaleźć mi jakiś męski przyodziewek... - westchnęła.

- Ziółko wiedział, co robi, zabierając nam nasze męskie stroje. Nigdy nie udałoby mi się uciec w tej górze żółtej satyny z tymi idiotycznymi

rękawami. Ty w twojej burej sukience i tej kamizelce z wełny nie zmarzniesz i przejdiesz niezauważona. Chociaż masz tu coś, co udało mi się odzyskać z twoich rzeczy.

Sara wyjęła zza stanika stalowy sztylet Katarzyny i podała go jej na otwartej dłoni. Dziewczyna pochwyciła go z nieukrywaną radością i jeszcze ciepły schowała za pazuchą. Kobiety uściskały się serdecznie.

- Będę na ciebie czekała - rzekła Katarzyna, starając się uśmiechnąć. - Wiesz, że bez ciebie jestem taka zagubiona!

- Niebawem się spotkamy! - obiecywała Sara. - Jestem tego pewna! A teraz, w drogę!

Odległość od ziemi napełniła serce Katarzyny strachem. Kiedy była dzieckiem, setki razy spuszczała się z Landrym po sznurze, a nawet próbowała wspinaczki. To była wtedy tylko zabawa, ale od tego czasu upłynęło wiele lat. Czy potrafi teraz dokonać takiego wyczynu? Na zewnątrz panowały egipskie ciemności. Katarzyna kazała milczeć wyobraźni. Nie chciała myśleć o przepaści rozciągającej się pod nią, a którą tyle razy oglądała w ciągu dnia. Szybko uczyniła znak krzyża i przełożyła nogę przez parapet, chwytając za sznur. Widziała jeszcze przerażone spojrzenie Sary i zamknęła oczy. Na szczęście wiatr był słaby i sznur ledwo się chybotął. Uczepiła się ze wszystkich sił chropowatych konopi i zaczęła opuszczać się w dół. Wydawało się jej, że waży tonę. Owinęła sznur wokół prawej nogi. Rzecz nie wyglądała aż tak strasznie, jak sobie wyobrażała. Instynktownie przypomniały się jej dawno zapomniane ruchy. Jedyne dłonie, zaciśnięte na szorstkim sznurze, zaczynały ją boleć, lecz nie było już odwrotu. Odważyła się otworzyć oczy. Słabe światło dobiegające z okna jej celi było już wysoko nad głową. Widziała wychylającą się z niego czarną sylwetkę Sary. Katarzynie wydało się, że to koszmar. Z otwartymi oczami odczuwała całe niebezpieczeństwo, była zawieszona między niebem a ziemią. Jeśli puści

linę, skreśli sobie kark na skałach u podnóża zamku.

Dobiegł do niej cichy, lecz niespokojny głos Sary:

- Odwagi! Jak idzie?

- Dobrze... - rzuciła Katarzyna jednym tchem.

Skóra rąk ją paliła, więc przyspieszyła z obawy, że nie wytrzyma aż do końca. Zdawało się, że mięśnie ramion się zerwą. Na chwilę zabrakło jej tchu. Myślała, że wypuści sznur z rąk. Ogarnął ją okropny strach. Z całych sił wezwała obraz Arnolda na pomoc, szukając w nim otuchy, ale wysiłek fizyczny przekraczał jej wytrzymałość. Każdy ruch wzmagał cierpienie. Jej serce waliło jak oszalałe, członki sztywniały, dotyk sznura był nieznośną torturą. W końcu nie wytrzymała i wypuściła go z ręki.

Upadek był krótki. Na szczęście ziemia była już blisko. Przez chwilę Katarzyna czuła się oszołomiona, lecz nie straciła przytomności. W tym miejscu skały pokryte były gęstymi zaroślami i osłabiły siłę uderzenia. Wstała i pociągnęła trzy razy za sznur, który natychmiast zniknął u góry. Katarzyna, ukryta w gąszczu, widziała jeszcze, jak Sara znika w oknie, po czym światło zgasło.

Katarzyna miała w pamięci ukształtowanie terenu, gdyż przez cały dzień specjalnie przyglądała się okolicy. Sunąc wzdłuż muru, jak przykazała jej Sara, obeszła zamek i znalazła się na stromym polu, z którego zbiegła ile sił w nogach. Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i odnajdywała drogę bez trudu, lecz w miejscu, gdzie pole się kończyło, zaczynała się gęsta zasłona lasu, ciemnego i nieprzebytego jak mur. Jak znaleźć teraz ścieżkę prowadzącą do drogi? Z głębi serca dziewczyny wzniosła się do niebios krótka modlitwa. Musiała znaleźć tę ścieżkę! Musiała!

Jakby na zawołanie, gęste chmury zalegające nad lasem rozstały się, odsłaniając wąziutki sierp księżyca. Jego poświata, choć blada, wystarczyła, aby Katarzyna dostrzegła upragniony wyłom w ścianie lasu. Rzuciła się do

niego, nie oglądając się za siebie. Rada Sary była słuszna: droga przez pole pozwoliła Katarzynie obejść miasto, gdzie zawsze można było na kogoś się natknąć. Tu, w środku lasu, była ukryta, nawet gdyby strażnicy mieli sokoli wzrok.

Zatrzymała się na chwilę pod osłoną drzew, aby zaczerpnąć tchu i pozwolić sercu trochę odpocząć. Przeciągnęła się i poczuła, że wraca jej odwaga pomimo bólu w krzyżu i porozrywanej skóry rąk. Dzięki boskiej pomocy nie zgubiła w czasie upadku sztyletu i wszystko przebiegło zgodnie z planem. Była wolna...

Odważnie ruszyła w drogę. Postanowiła iść całą noc, a potem znaleźć jakąś kryjówkę, żeby się przespać. Jedynym problemem był brak stawy. Co można znaleźć do jedzenia w zniszczonym kraju? Nawet pieniądze Sary nie mogły pomóc. Lecz na razie najważniejsze było to, aby odejść jak najdalej od szponów Ziółki. Szła całą noc, kierując się bardziej instynktem niż konkretnymi danymi, przemierzając bory i pola pełne stawów i starając się nie zboczyć z drogi-

Nad ranem, na obrzeżu lasu ujrziała duże miasto, którego spiczaste dachy powoli wyłaniały się z porannej mgły. Nad miastem górował potężny zamek. Katarzyna zawahała się. Dla niej każda forteca oznaczała niebezpieczeństwo, bała się znowu wpaść w obce ręce. A jednak głód zaczynał jej się ostro dawać we znaki i należało zdobyć trochę chleba. Miasto nosiło oznaki bogactwa.

Nagle na wiejskiej drodze pojawił się wieśniak z siekierą na ramieniu. Jego dobroduszny wygląd ośmielił Katarzynę.

- Co to za miasto? - spytała, zbliżając się do niego.

Wieśniak spojrzał na nią ze zdziwieniem. Pomyślała, że musi wyglądać dziwnie w podartej sukience i dziurawej kamizelce. Chłop też był biednie odziany, lecz jego płócienne ubranie było czyste i schludne.

- Skąd przychodzisz? - spytał w końcu. - To miasto to Tourcy, a ten zamek należy do biskupa z Auxerre. Czy tam zmierzasz?

Katarzyna pokręciła przecząco głową i dodała:

- Muszę tylko zdobyć trochę chleba, bo przede mną długa droga.

Wieśniak zawahał się. Dziewczyna czuła, jak ją mierzy wzrokiem, zastanawiając się, kim jest ta kobieta. Lecz jego spojrzenie było szczere. Postanowiła mu zawierzyć.

- Byłam więziona w zamku w Coulanges, lecz udało mi się stamtąd uciec - rzekła szybko - a teraz zmierzam do Orleanu.

Zaledwie skończyła mówić, wieśniak ujął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Chodź ze mną, bez obawy! Poprowadził ją w kierunku, z którego przyszedł, przemierzając drogę długimi krokami. Za lasem ujrzała dym wychodzący z małej chaty, tak niskiej, że prawie wtopionej w brunatne bruzdy ziemi. Wieśniak przyśpieszył, jakby pilno mu było znaleźć się na miejscu. Pchnął drzwi z grubych desek. Młoda dziewczyna o jasnych włosach uniosła się znad kociołka zawieszzonego nad ogniem.

- Magdaleno, znalazłem tę kobietę w lesie. Uciekła od Ziółki, a więc ją przyprowadziłem. Jest bardzo głodna.

- Dobrze uczyniłeś!

Nic nie mówiąc, dziewczyna napełniła miskę zupą z rzepy i odkroiła grubą pajdę ciemnego chleba z chrupiącą skórką.

- Jedz - powiedziała, podając strawę Katarzynie - potem się prześpisz. Nie mów nic, musisz być zmęczona.

Prostota tych ludzi, ich serdeczne przyjęcie wzruszyły Katarzynę do łez.

- Nie wiecie, kim jestem, a otworzyliście przede mną drzwi waszej chaty - rzekła do dziewczyny o świeżej, okrągłej i pełnej dobroci twarzy.

- Uciekłaś od Ziółki - odparł wieśniak głosem drżącym z gniewu. -
Zmierzasz do Orleanu. To nam wystarcza! Jedz i odpoczywaj!

Katarzyna była zbyt zmęczona i głodna, aby kontynuować rozmowę. Wymamrotała jakieś podziękowanie i rzuciła się na chleb i zupę, po czym z wdzięcznością wyciągnęła się w rogu na słomiance, która musiała służyć Magdalenie za posłanie, i natychmiast zasnęła.

* * *

Zmierzchało już, kiedy się przebudziła. Chłop siedział przy ogniu, przycinając nożem dębową gałąź. Katarzyna zauważyła, że pod jego palcami powstała statuetka Matki Boskiej. Obok dziewczyna smarowała czymś kromki chleba. Widząc, że nieznajoma nie śpi, Magdalena uśmiechnęła się do niej.

- Czy odpoczęłaś?

- Och! Tak! Jesteście dla mnie tacy dobrzy!... A teraz muszę ruszać w dalszą drogę.

Wieśniak podniósł głowę znad swojej rzeźby i popatrzył na Katarzynę uważnie.

- Dlaczego chcesz podróżować nocą? Ukrywasz się?

- Piotrze! Nie powinieneś zadawać jej tylu pytań! - z wyrzutem wtrąciła Magdalena.

- Nie szkodzi - rzekła Katarzyna. - Nie ukrywam się, tylko nie chciałabym znowu wpaść w ręce Ziółki.

- Tutaj możesz się go nie obawiać. Lepiej ruszyć w drogę za dnia, zwłaszcza jeśli nie znasz drogi do Orleanu. Czy nie tak?

Katarzyna potrząsnęła przecząco głową. Piotr odłożył na bok figurkę i kozik i podszedł do nieznajomej.

- Stąd droga jest prosta. Aż do Gien wiedzie stary trakt rzymski. Dalej płynie Loara. Wystarczy kierować się jej nurtem. Co zamierzasz robić w Orleanie?

- Piotrze! - przerwała znowu dziewczyna. - Nie wypada tak wypytywać!

Ale Katarzyna uśmiechnęła się uprzejmie.

- Nie ma obrazy... ani tajemnicy. Jadę do ukochanego, który zamknął się w mieście.

Magdalena przerwała przygotowywanie kolacji, podeszła do Katarzyny i otoczyła ją serdecznie ramieniem.

- Chodź, usiądź. Jeżeli kochasz jednego z obrońców miasta księcia Karola*, jesteś mi siostrą. Colin, mój narzeczony, jest jednym z łuczników bastarda, jego brata. Powiedz mi, jak ma twój na imię?

** Karol Orleański więziony w Londynie.*

- Arnold! - odparła Katarzyna, specjalnie nie podając nazwiska.

Lepiej było, żeby mała Magdalena myślała, że i ona jest prostą dziewczyną, tak samo zakochaną w łuczniku. Szlachetne nazwisko mogło ją przerazić, a nawet spowodować utratę zaufania. Pewnie nie uwierzyłaby, że szlachetna, bogata dama przemierza pieszko bory i lasy, aby odnaleźć swego kapitana!

- A ja nazywam się Katarzyna - dodała.

- Jesteś naszym najmiłym gościem! - powiedział grzecznie Piotr. - Zostań jeszcze tę noc. Wyruszysz o świcie. Doprowadzę cię do starej, rzymskiej drogi.

Katarzyna długo wspominała chwile spędzone pod skromnym dachem rodzeństwa. Ich serdeczność i prostota podniosły ją na duchu. Po tych

wszystkich przejściach, a przed niewiadomym, które ją czekało, było jej to bardzo potrzebne. Po kolacji nie siedziano długo przy stole, gdyż należało oszczędzać świecę. Katarzyna dzieliła z Magdaleną jej słomiane łoże. Piotra posłanie znajdowało się w komórcie przylegającej do jedynej izby.

Katarzyna, pomimo że spała prawie cały dzień, zasnęła jak kamień. Jej poranione ręce nie bolały już tak bardzo, gdyż Magdalena posmarowała je smalcem i owinęła kawałkami płótna.

O świcie obudził ją Piotr, potrząsając za ramię. Musiał iść w pole i nie miał czasu do stracenia. Magdalena też już krzątała się przy kuchni.

- Wymyśliłem coś w nocy - powiedział Piotr. - Aby przejść niepostrzeżenie, najlepiej będzie, jak przebierzesz się za pątniczkę zdążającą do świętego opactwa wielkiego świętego, Benedykta. Pielgrzymi kostur ochroni cię od rzezimieszków, których nie brak w tych okolicach.

Co mówiąc, wyciągnął ze schowanej w murze szafy kostur, zakończony żelazną gałką.

- Mój wuj, który ongiś udał się z pielgrzymką do Composteli, wziął go ze sobą. Teraz ty go zabierz!

Magdalena tymczasem zarzuciła na ramiona Katarzyny grubą pelerynę z kapturem. Wręczyła jej zawiniątko, w którym znajdowały się bochenek chleba i kozi ser, po czym ucałowała ją.

- Niech Bóg cię ma w swej opiece i niech ci pomoże odnaleźć twego ukochanego - dodała serdecznie. - Jeśli spotkasz Colina, powiedz mu, że czekam na niego i że zawsze będę czekać!

Katarzyna wzruszona do łez zrozumiała, że nie może im odmówić, gdyż byłaby to dla nich obraza. Nie odważyła się też wyciągnąć srebrnych monet, aby ich nie zranić. Ucałowała Magdalene, nie mogąc wypowiedzieć słowa przez ściśnięte gardło, i ruszyła za Piotrem, odwracając się kilka razy ze ścieżki, aby pomachać ręką dziewczynie. Piotr szedł powoli, stawiając

duże kroki. W końcu doszli do drogi wybrukowanej dużymi, kamiennymi płytami, pokrytymi mchem i trawą. Na poboczu stała rozpadająca się rzeźba, która przedstawiała popiersie chłopca z kręconymi włosami. Tu Piotr zatrzymał się, wskazując ręką na zachód.

- Oto droga! Idź prosto aż do wielkiej rzeki... Katarzyna spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Jak mam wam dziękować? - spytała.

- Nie zapominając o nas całkiem - odpowiedział. - Będziemy modlić się za ciebie... a gdybyś nie odnalazła swego ukochanego, możesz zawsze do nas wrócić. Będziemy bardzo szczęśliwi... zwłaszcza ja...

Zanim Katarzyna zrozumiała sens jego słów, Piotr oddalił się tak szybko, jakby przed czymś uciekał. Katarzyna patrzyła, jak jego potężna sylwetka znika w szarudze poranka. Z tyłu za nią dymiły kominy domów w Toucy. Na wieży zamku widać było niebieską flagę. Dzwony budziły się na Anioł Pański, roznosząc się szerokim echem nad zieleniejącymi polami. Gdzieś zakwilił skowronek i Katarzyna poczuła głęboką radość tak pierwotną, jak budząca się do życia natura. Katarzyna uzbrojona w swój pielgrzymi kostur ruszyła w drogę.

* * *

Następnego dnia wieczorem ujrzała przed sobą wielką rzekę. Nieopodal natrafiła na opuszczoną chatkę drwala, w której schroniła się na noc, zjadając część podarowanych jej skarbów. Każdy miesiąc sprawiał jej niewymowny ból. Stopy piekły jak dotykane rozżarzoną żelazem. Po drodze musiała je chłodzić w napotkanych stawach, w końcu owinęła je kawałkami podartej koszuli. Chłopi, których napotykała po drodze, pozdrawiali ją, czasem dotykali jej kostura, czynili znak krzyża i często

prosili, by pomodliła się za nich. Lecz żaden z nich nie zapraszał jej pod swój dach. Młodość i uroda działały na jej szkodę. Ci poczciwi ludzie myśleli, że mają do czynienia z wielką grzesznicą, która przy grobie świętego Benedykta chce odpokutować za grzechy. Czasem zatrzymywała się na krótki odpoczynek przy przydrożnej kapliczce, błagając w modlitwach o siły do dalszej drogi, lecz nogi z ledwością ją niosły. Dopiero widok rzeki dodał jej skrzydeł. Pobiegła w jej stronę, jak do odnalezionego przyjaciela, pochyliła się nad taflą, aby się napić. Potem usiadła w cieniu szuwarów i patrzyła, jak rzeka toczy swoje rwące wody, które dopływały do murów Orleanu, i ją też miały tam zanieść. Przed nią, na wzgórzach, rozciągały się drewniane domy Gien. Stary, zrujnowany zamek próbował robić dobre wrażenie, górując nad antycznym miastem książąt Orleanu. Lecz Katarzyna nie patrzyła na zamek. Na rzece, pod murami, pod łukami jeszcze nieskończonego mostu, kołysały się barki i łodzie przycumowane na piaszczystym wybrzeżu.

Czerwona kula słońca rzucała krwawe blaski na powierzchnię wody, gotowa do zanurzenia się. Dał się słyszeć odgłos rogu strażnika wzywającego do powrotu za mury miasta, którego bramy zamykano na noc. Katarzyna, kuśtykając, dołączyła do ludzi kierujących się w stronę zwodzonego mostu. Słońce zaszło i szybko zapadała noc.

Jej obolałe, poranione nogi nie chciały jej słuchać. Katarzyna przeszła pod kamiennym sklepieniem wśród ostatnich przechodniów, lecz zatrzymała się, aby spytać strażnika o drogę do hal. Wiedziała bowiem, że w większości miast, szczególnie tych, które znajdowały się na trasie pielgrzymów, w halach urządzano schronienie na noc, osłonięte drewnianą osłoną chroniącą przed wiatrem.

- Idź prosto, potem w prawo. Czy udajesz się do opactwa Fleury?*

- Tak, do Fleury.

- Niech Bóg cię wspomaga, dobra kobieto, i święty Benedykt także!

** Opactwo świętego Benedykta nad Loarą przez długi czas nosiło nazwę opactwa Fleury.*

Podziękowawszy skinieniem głowy, skierowała się w uliczkę tak wąską, że wykusze domów prawie się dotykały. Idąc, zjadła resztki chleba i wkrótce znalazła hale. Był to jedynie sam dach opierający się na olbrzymich drewnianych słupach. Zobaczyła schronienie dla pielgrzymów i szybko pchnęła jego drewnianą przegrodę. W środku zalegały sterty świeżego siana, na których spał tylko jeden stary pielgrzym zmożony drogą. Kiedy Katarzyna weszła, otworzył jedno oko, wymamrotał coś niezrozumiałego i zasnął, pochrapując. Katarzyna szczęśliwa, że nie musi rozmawiać, przycupnęła w kącie, naciągnęła na siebie trochę siana i podłożywszy pod głowę ramię, zasnęła.

Kiedy poczuła, że ktoś nią potrząsa, miała wrażenie, że dopiero co usnęła. Zobaczyła nad sobą pochylonego wielkiego pielgrzyma z brodą.

- Ha! Ha! Jeśli masz zamiar iść do wielkiego opactwa, czas wstawać!

Przez drewnianą osłonę sączyło się światło poranka. Szybko wstała mówiąc:

- Noc była taka krótka...

- Zawsze jest krótka, kiedy jest się zmęczonym. Pospiesz się, musimy wyruszyć!

Lecz Katarzyna potrząsnęła głową. Jej strój pielgrzymi zobowiązywał ją do odbycia całej drogi na piechotę. Ale obolałe stopy odmawiały posłuszeństwa. Postanowiła użyć jednej ze srebrnych monet, aby wynająć przewoźnika.

- Ja nie wyruszam dzisiaj, mam sprawy do załatwienia w tym mieście.

- Pielgrzym nie zatrzymuje się po drodze w żadnym mieście, z wyjątkiem celu pielgrzymki. Jeśli chcesz, aby Bóg wysłuchał twoich próśb, musisz myśleć tylko o celu swej pielgrzymki! - pouczył ją oburzony starzec.
- Lecz każdy robi, jak uważa. Pokój z tobą! - powiedział i wyszedł.

Katarzyna stała chwilę w progu przytułku, po czym ruszyła w dalszą drogę, porzuciwszy swój kostur, gdyż, jak powiedział starzec, pielgrzymowi nie wolno było poruszać się inaczej niż na piechotę. Owinęła się szczelnie szerokim płaszczem, ponieważ nad miastem padała drobna mżawka, i udała się w kierunku wybrzeża.

Łatwo znalazła odpowiednią barękę. Na zwojach sieci rybackich siedział ponury człowiek. Nie przejmując się deszczem, spokojnie jadł cebulę zapatrzony na wartki nurt. Kiedy Katarzyna spytała go, czy nie zna przewoźnika, który popłynąłby w dół rzeki, uniósł szare, pomarszczone powieki i spytał:

- A pieniądze masz?

Skinęła głową, ale człowiek nawet się nie poruszył.

- To pokaż! Każdy może powiedzieć, że ma pieniądze. W dzisiejszych czasach nie spotyka się ich wiele. Ziemie spustoszone, handel umiera, a sam król biedny jest jak mysz kościelna. Teraz płaci się z góry!

Katarzyna, zamiast odpowiedzi, wyciągnęła srebrną monetę i wsunęła ją do brudnej dłoni przewoźnika, który podrzucił ją do góry, przyjrzał się jej, w końcu spróbował zębami. Jego ponura twarz pokraśniała z zadowolenia.

- Zgoda! Lecz nie dalej niż do Chateaufort! Dalej można wpaść na przeklętych Anglików, którzy oblegają Orlean, a ja dbam o własną skórę.

Powiedziawszy to, spuścił płaską łódź na wodę i pomógł Katarzynie wsiąść. Usiadła na dziobie z twarzą skierowaną w dół rzeki. Człowiek zręcznie wskoczył do środka, tak że łódka prawie nie drgnęła, i chwycił długi bosak, którym odbił się od dna. Łódka zaczęła szybko sunąć po wodzie, gdyż

w tym miejscu prąd był wartki. Minęli miasto, brzegi zarośnięte trzcinami. Nie zwracała uwagi na deszcz, który zmoczył jej twarz. W jej sercu znowu odżyły obrazy przeszłości... ucieczka z Paryża, Barnaba, matka z siostrą i Sara, powolny głos żebraka recytującego wiersz:

To miast wszystkich jest królowa, Studnia, źródło nauk wszelkich, Nad Sekwaną położona...

Lecz Barnaba przecież nie żył, Paryż był daleko, a miasto, do którego się zbliżała, było osaczone przez wroga, głodne i zrozpaczone, czekała tam na nią pewna śmierć lub gorzej - okropne rozczarowanie. Pierwszy raz pomyślała, jak przyjmie ją Arnold, jeśli w ogóle ją rozpozna! Tyle czasu upłynęło od ich spotkania pod murami Arras!

Katarzyna starała się odpędzić od siebie ponure myśli spowodowane zmęczeniem i napięciem. Na razie chciała upajać się tą chwilą spokoju na barce wśród brzegów pokrytych jasnym piaskiem...

Pod wieczór ukazały się białe wieże i stożkowe, niebieskie dachy zamku przeglądającego się w szerokich fosach połączonych z rzeką. Nie czekając na pytanie pasażerki, przewoźnik wyjaśnił:

- To Sully! Należy do pana de Tremoille'a, faworyta Karola VII.

Po czym splunął do wody, wyrażając w ten jasny sposób swój stosunek do właściciela.

Katarzyna nie odpowiedziała. Miała już kiedyś okazję spotkać Jerzego de Tremoille'a, tego burgundzkiego zdrajcę, który stał się najbliższym doradcą i złym duchem króla. Wzbudzał w niej podobne obrzydzenie, jakie okazał przewoźnik, lecz nie powiedziała nic. Zresztą barka szła ukosem do brzegu z zamiarem przybicia.

- Zatrzymujemy się? - spytała zdziwiona, odwracając się do przewoźnika.

- Mam sprawę w Sully - odpowiedział. - Wsiadaj!

Wstała, żeby wyjść na płaski brzeg, i w tej samej chwili otrzymała potężny cios w głowę. Bez czucia osunęła się na piasek...

* * *

Kiedy Katarzyna przyszła do siebie, zapadał zmierzch. Na wschodzie było już ciemno, a na zachodzie widoczne były jeszcze spiczaste wieże Sully na drugim brzegu Loary. Podniosła się na łokciu, zobaczyła, że leży w trawie i jest zupełnie sama. Łódź wraz z właścicielem zniknęła. Spośród traw wyfrunął spłoszony kulik... Przez chwilę nie mogła przypomnieć sobie, co się stało. Głowa jej pękała. Dotknęła dłonią skroni i pod palcami wyczuła potężnego guza. Z pewnością przewoźnik powalił ją, aby móc ją okraść... rzeczywiście reszta jej skarbów zniknęła: ostatnie dwie srebrne monety, sztylet, a nawet płaszcz, który chronił ją od zimna. Ogarnęło ją głębokie przygnębienie. Czyżby wszystkie moce sprzysięgły się, by nie mogła dotrzeć do Arnolda? Na drodze wyrastały coraz to nowe przeszkody. Lecz jej załamanie nie trwało długo. Katarzyna miała wigor paryskiej dziewczyny, przyzwyczajonej do pokonywania najgorszych trudności. Wstała z wysiłkiem, czepiając się nisko zwisających gałązek wierzby. Kiedy ziemia przestała wirować jej przed oczami, głęboko zaczerpnęła powietrza, podniosła wysoko kołnierz dziurawej kamizelki i ruszyła przed siebie wzdłuż rzeki. Pamiętała, że powinna zaprowadzić ją prosto do opactwa świętego Benedykta, gdzie poprosi o schronienie i pomoc. Dzień spędzony na łodzi i poprzednia, spokojna noc przywróciły jej siły. Gdyby nie okropny ból głowy, czułaby się całkiem dobrze.

Szła tak szybko, że nie upłynęła godzina, jak ukazały się przed nią rozległe budynki klasztorne i majestatyczna brama rzymska, kwadratowa prawie jak forteca. Pomiedzy masywnymi kolumnami błyszczało słabe

światło, w którym ożywały postaci i kwiaty z pięknych kapiteli. Na placu przed bramą spał tłum pielgrzymów stłoczonych jeden obok drugiego, ogrzewających się w ten sposób w czasie snu. Zobaczyła, że jakaś stara kobieta daje jej znaki i robi dla niej miejsce.

- Dom boży pęka w szwach - wyjaśniła przybyłej. - Wielu pielgrzymów przybyło błagać świętego Benedykta o ratunek dla Orleanu... Ale tutaj nie zmarzniemy. Chodź do mnie, będzie nam cieplej!

Katarzyna nie oponowała. Opadła obok starej kobiety, która podzieliła się z nią serdecznie połatany płaszczem.

- Skąd przybywasz? - spytała ciekawie.

- Z daleka - odpowiedziała Katarzyna, która bała się przyznać, że jest Burgundką.

- Jesteś taka młodziutka, za młoda jak na takie długie wędrówki! I przybywasz modlić się u grobu świętego jak inni?

- Zdążam do Orleanu! - odparła sucho Katarzyna, licząc na to, że stara zostawi ją w spokoju. Lecz na te słowa oczy starej zabłysnęły jak węgielki.

Pochyliwszy się nad dziewczyną, wyszeptała:

- O! Nie ty jedna! Ty też chcesz wziąć udział w cudzie? - W cudzie?...

- No, dalej! Nie udawajże, że nie wiesz, o co chodzi! - odparła stara, mrugając do niej porozumiewawczo i dając jej kuksańca w bok. - Wszyscy dobrzy ludzie z doliny Loary wiedzą, że Orlean wyswobodzi wysłanniczka Boga, dziewica z Lotaryngii. Ona powiedziała naszemu dobremu królowi, że z pomocą Najwyższego wyprze Anglików z Francji i oswobodzi Orlean.

- To baśń dla dzieci - odparła Katarzyna z pobłażliwym uśmiechem.

Na te słowa stara poczerwieniała aż po czubek głowy.

- To najczystsza prawda albo nie nazywam się Berta Koronczarka! Są wśród nas tutaj tacy, którzy widzieli Dziewicę Joannę, kiedy wjechała do Chinon z sześcioma ludźmi. Miała na sobie męski strój, ale jest młoda i

piękna jak aniołek, a w jej oczach odbija się błękit nieba. W Orleanie kapitanowie oczekują jej, a bastard im oznajmił, że muszą mieć nadzieję, bo Pan Bóg ześle im pomoc i jedzenie... Ludzie mówią, że król wysłał Dziewicę Joannę do Poitiers, ażeby duchowieństwo i biskupi ujrzeli ją i oddali jej sprawiedliwość. Ale niebawem powinna wjechać do Orleanu... Gdybym nie była taka stara, sama udałabym się do otoczonego miasta, żeby tylko ją zobaczyć! Ale moje biedne nogi nie zawiodłyby mnie tak daleko i umarłabym w drodze. Więc wolę zostać tutaj, aby modlić się za tego anioła!

Katarzyna po raz pierwszy słyszała o Joannie d'Arc. Nie wzbudziła ona jej zachwyty, wręcz przeciwnie, gorzką zazdrość, bo „taka młoda i piękna”, bo „kapitanowie oczekują jej z niecierpliwością”. Czy ta piękna Lotarynka, która ukaże się w aureoli bożej wysłanniczki i sławie oręża, dla którego także żył Arnold, nie wzbudzi w jego sercu uczucia? ... Musiała się śpieszyć, musiała koniecznie przybyć przed tą niebezpieczną kobietą!

Katarzyna z całego serca znienawidziła Joannę.

Następnego dnia rano przyjęła chleb rozdzielany wśród pielgrzymów przez czarnych mnichów, a potem, gdy inni stłoczyli się u bram kościoła, niepostrzeżenie ruszyła w dalszą drogę. Berta powiedziała jej, że do stolicy księstwa Orleanu pozostało prawie dziewięć długich mil, jeszcze tylko dziewięć mil.

Przed Katarzyną otwierała się najcięższa część jej drogi przez mękę, gdyż teraz zwątpienie i strach zagościły w jej sercu, a ciało znajdowało się na granicy wyczerpania. Podczas porannego marszu wszystko szło dosyć dobrze. Lecz za Chateauneuf rany na stopach otworzyły się, a nogi odmówiły posłuszeństwa. Jej ciało ogarnęła gorączka. Pochylając się u źródła, aby zwilżyć usta, z przerażeniem ujrzała w wodzie odbicie swej wychudłej, szarej od kurzu twarzy. Była podobna do żebraczki i w tym stanie Arnold nie pozna jej nigdy! Miejsce to było bezludne i osłonięte olchowym

zagajnikiem, a powietrze dosyć ciepłe. Katarzyna żywo zrzuciła z siebie łachmany i z rozkoszą zanurzyła się w źródle. Woda była lodowata i dziewczyna zaczęła szcząkać zębami, ale piekące stopy doznały znacznej ulgi. Pocierała żwawo całe ciało, myśląc z żalem o wonnych mydłach, które ze znawstwem przygotowywała Sara. Następnie umyła włosy i zwinęła je na głowie. Wychodząc z wody, rzuciła spojrzenie na odbicie swego nagiego ciała i ten widok trochę ją pocieszył. Pomimo zmęczenia nie straciło ono niczego ze swej urody i czaru. Szybko narzuciła łachmany na wilgotne ciało i ruszyła dalej.

Droga wiła się w lesie nad brzegiem Loary. Im Katarzyna bliżej była celu, tym częściej spotykała całe połacie wypalonych drzew. Mijała spalone miasteczka, szerniałe pnie, porzucone trupy. Wszędzie widoczne były skutki wojny, lecz Katarzyna parła do przodu, nie zważając na nic. Jej oczy szukały murów miasta, tej Ziemi Obiecanej.

O zachodzie miała za sobą sześć przebytych mil... i wtedy w oddali zarysowały się niewyraźne kontury dużego miasta. Była prawie u celu. Ogromnie wzruszona, upadła na trawę ze szlochem i zmówiła krótką modlitwę. Wkrótce miasto zniknęło w mroku nocy. Wtedy legła w miejscu ledwie żywa, nie szukając schronienia. Kto w tej wyludnionej okolicy troszczyłby się o śpiącą żebraczkę. Nie miała już niczego, co można by ukraść, była biedniejsza niż mysz kościelna, cała w łachmanach, głodna, z pokrwawionymi stopami...

Zasnęła, nie wiedząc kiedy, lecz gdy pierwszy promień słońca ogrzał jej twarz, wstała, gnana tajemniczą siłą, i z miejsca ruszyła przed siebie... krok za krokiem... Miasto było coraz bliżej i przyzywało ją. Gorączkowo wpatrywała się w mury, nie zauważając ani pożaru, ani dymu. Gdyby miała choć trochę siły, wyciągnęłaby ręce, aby schwytać złudzenie, które wreszcie stało się jawą. Powoli na rzece wyłoniły się płaskie wyspy pokryte trawą,

wielki, przerwany w dwóch miejscach most z dwiema fortecami broniącymi nań wstępu po obu stronach. Zobaczyła strzeliste wieże kościołów, rozległe zacieki od gorącej smoły i oleju na murach, a na ich szczycie liczne katapulty. Widziała zrównane z ziemią przez samych mieszkańców przedmieścia, posępne fragmenty murów, które kiedyś były pięknymi siedzibami, a nawet wielkie kościoły, otoczone przez wroga drewnianymi basztami i ziemią. Aż wreszcie ujrzała angielski sztandar ze złotymi leopardami, szydzący z kwiatów lilii powiewających na najwyższej wieży zamku.

Katarzyna zapomniała o bólu, o skręcającym jej wnętrzości głodzie, myśląc tylko o jednym: tam, za tymi murami, był Arnold, żył, oddychał, walczył i cierpiał.

Zbliżała się ostrożnie, kryjąc się wśród zgliszcz. Od miasta dzieliła ją olbrzymia angielska baszta, która, jak się później dowiedziała, należała do Saint-Loup. Trzeba było ją minąć niezauważenie, żeby dojść do bramy Burgundzkiej, gdyż tylko przez nią dało się wejść do Orleanu. Anglicy Suffolka i Talbota nie mieli na szczęście dosyć ludzi, aby otoczyć całe męczeńskie miasto. Do uszu Katarzyny dobiegły dalekie dźwięki trąbki, po których nastąpiły strzały artylerii. Z obydwu stron mostu katapulty wyrzucały kamienne pociski. Odpowiedziały im śmigownice, a potem okrzyki ludzi. Katarzyna ujrzała na murach niezwykle poruszenie. Nie zauważona przez nikogo przemknęła obok baszty Saint-Loup i zbliżała się do upragnionej bramy, kiedy za wyłomem w murze dojrzała jakąś głowę na wysokości stóp i schody prowadzące w dół. Dwie ręce schwytały ją i wciągnęły do czegoś w rodzaju krypty słabo oświetlonej kopczą łożową świecą. Zanim zdążyła zaprotestować, wesoły głos oświadczył:

- I co, siostrzyco! Co ty sobie myślisz? Że można wejść do Orleanu ot, tak sobie, za dnia? Trzeba poczekać, aż zapadnie noc, moja piękna!

Rozejrzawszy się wokół, Katarzyna stwierdziła, że otacza ją grupa mężczyzn i kobiet tak samo nędznie wyglądających jak ona. Siedzieli na podłodze z wyrazem przygnębienia na twarzach. Sklepienie było wysoko nad ich głowami i tonęło w mroku.

- Kim jesteście i gdzie się znajdujemy? - spytała Katarzyna.

Odpowiedział jej młody chłopiec o kształtnej sylwetce. Był brudny i miał zarośniętą twarz.

- Jesteśmy z Montaran. Anglicy spalili naszą wioskę wczoraj. My też chcemy wejść do miasta. A to jest krypta kościoła Saint-Aignana, który orleańczycy zrównali z ziemią razem z całym przedmieściem. Możesz zrobić to co my, usiąść wśród nas i czekać.

Chłopiec nie pytał jej o nic i wrócił na swoje stanowisko obserwacyjne na pokruszonych schodach. Przyglądając się uważniej swoim sąsiadom, spostrzegła, że ich twarze są naznaczone łzami i bólem. Wszyscy pospuszczali głowy, jakby wstydzili się swojej nędzy. Nie ośmieliła się o nic pytać i usiadłszy nieco z boku, czekała.

W piwnicy panował okropny ziąb. Katarzyna poczuła dreszcze. Głowa ciążyła jej ze zmęczenia, lecz zdecydowanie odpędzała sen, bojąc się, że tamci o niej zapomną, kiedy za chwilę będzie można wejść do miasta. Oczekiwanie nie trwało długo. Po upływie pół godziny chłopiec ukazał się na najniższych schodach, dając znak ręką.

- Chodźcie, już czas!

Uciekinierzy wstali i bez słowa, jak stado idące posłusznie za przewodnikiem, jeden za drugim opuścili kryptę, przemykając chyłkiem wśród ruin, aby nie rzucić się w oczy. Noc nie była ciemna. Wysoko na niebie błyszczały zimne gwiazdy. Między dwiema wieżami wznosiła się brama... Odległość dzieląca zbiegów od jej murów została szybko pokonana i wkrótce wszyscy znaleźli się na zwodzionym moście, w którym ukryte było

tajemne przejście... Biegąc wąskim korytarzem, Katarzyna myślała, że zemdleje z radości. W końcu dopięła swego! Jej nieprawdopodobna odyseja dobiegła końca! Orlean stał przed nią otworem!

Rozdział trzynasty

W rękach Arnolda

Brama Burgundzka wychodziła na wąską ulicę.

Z jednej strony znajdowały się zabudowania klasztoru, a z drugiej rząd domów z zamkniętymi okiennicami. Stało tam kilku uzbrojonych żołnierzy, jeszcze brudnych i pokrytych kurzem po niedawno stoczonych bitwie. Pochodnie, które trzymali niektórzy z nich, oświetlały furte. Dość silny wiatr rozwiewał płomienie.

- Znowu uciekinierzy! - powiedział kłótlivy głos, na którego dźwięk serce Katarzyny zaczęło bić mocniej. - Co z nimi zrobimy? Już niedługo nie będzie ich czym nakarmić.

- To ludzie z Montaran! - powiedział inny głos. - Ich wioska została wczoraj spalona.

Człowiek, który odezwał się pierwszy, nie odpowiedział, ale Katarzyna przyciągana jakąś dziwną siłą skierowała się w stronę, gdzie się znajdował. Nie pomyliła się. Kilka kroków od niej stał Arnold de Montsalvy.

Oparty o klasztorny mur, z odkrytą głową i czarnymi krótkimi włosami w nieładzie, patrzył z niechęcią na godny pożałowania tłum, który wszedł do miasta. Na jego zakurzonej twarzy dostrzegła szramę, której wcześniej tam

nie było. Jego zbroja była pokiereszowana, wydawał się zmęczony, ale przepełniona szczęściem Katarzyna nie spostrzegła w nim żadnych innych zmian. Rysy twarzy może miał trochę bardziej wyraziste. Wokół ust rysowały się głębokie bruzdy. Spojrzenie, które tak rzadko wyrażało czułość, było jak zawsze tak samo twarde, a postawa zuchwała. Ale właśnie taki, nieogolony, a nawet brudny wydał się Katarzynie piękniejszy od Michała Archaniola. Marzenie dziewczyny ziściło się!

Radość, że odnalazła go tak szybko, zaraz po przekroczeniu bramy, była tak wielka, że dziewczyna zapomniała o całym świecie. Przyciągał ją nieprzeparcie...

Z błyszczącymi oczyma, z wilgotnymi ustami i wyciągniętymi rękami zaczęła iść w jego stronę, powoli, jak w jakimś zauroczeniu... Wydawała się tak nierzeczywista, że zdziwieni towarzysze Arnolda rozstąpili się, robiąc jej przejście. Arnold nie spostrzegł jej od razu. Oglądał z widoczną irytacją wygiętą gardę miecza. Ale nagle podniósł głowę i spostrzegł idącą w swoją stronę kobietę w łachmanach, która zbliżała się po bruku mokrym jeszcze od ostatniego deszczu. Było w niej coś takiego, co zwróciło na nią jego rozproszoną uwagę. Widać było, że ledwie trzyma się na nogach. Najwyraźniej znajdowała się u kresu sił, ale oczy jaśniały mocnym blaskiem, a na nędzną suknię spływała złocista rzeka wspaniałych włosów. Dziewczyna zbliżała się do niego z uśmiechem na ustach, wyciągając drżące i pokaleczone ręce. Arnold pomyślał, że to zjawą, którą zrodziło zmęczenie po całym dniu wyczerpującej walki i godzinach wymachiwania ciężkim mieczem.

Gwałtownie przetarł oczy, popatrzył jeszcze raz... I nagle rozpoznał Katarzynę.

Niezdolna do powiedzenia czegokolwiek, zatrzymała się o kilka kroków od niego, pozerając go wzrokiem. Ich spojrzenia spotkały się i nie

odrywały od siebie przez chwilę, która zdawała się nigdy nie skończyć. W oczach Arnolda, które stawały się coraz większe, dało się wyczytać zdziwienie i niedowierzenie. Spozregła również olbrzymią radość, ale było to tylko przelotne wrażenie... Nagle Arnold przyszedł do siebie.

Wyprostował się, a na jego twarzy pojawiło się gwałtowne wzburzenie.

Wściekły, wskazał na Katarzynę oskarżycielską dłonią i krzyknął:

- Zatrzymajcie natychmiast tę kobietę!

Zbita z tropu zatrzymała się, patrząc na Arnolda z wyrazem niedowierzania. Czar prysnął, zachwiała się. Nieruchome ręce opadły wzdłuż ciała, wzrok zgasł. Wyszepiała z bólem w głosie:

- Nie!... Arnoldzie!...

Ale jego ogarnęła ślepa wściekłość, chwycił ją za ramię i prawie wepchnął w ręce oniemiałych ze zdziwienia żołnierzy, którzy nie ośmielili się poruszyć. Dał się słyszeć gniewny głos młodzieńca:

- Jesteście głusi czy głupi? Mówię wam, żebyście zatrzymali tę kobietę!

- Ależ... panie - wyjąkał sierżant.

Arnold skoczył w jego stronę, górując nad nim wzrostem. Z zaciśniętymi pięściami i gotów do uderzenia był napięty jak cięciwa łuku. Twarz mu poczerwieniała.

- Żadnych ale, przyjacielu! Rozkazuję! Wiesz, kto to jest? To Burgundka... najgorsza ze wszystkich. To nie jest wcale żadna godna litości uciekinierka, chociaż chciałaby, abyśmy w to uwierzyli. To kochanka Filipa Dobrego we własnej osobie, piękna Katarzyna de Brazey! Nie trzeba wiele sprytu, aby zrozumieć, po co tu przychodzi.

Usłyszawszy imię Filipa Dobrego, żołnierz najwyraźniej się przestraszył. Pospiesznie chwycił Katarzynę za przegub dłoni, a wtedy dał się słyszeć powolny i pełen niedowierzania głos:

- Piękna Katarzyna tutaj? Pani o złocistych włosach. Któż opowiada podobne rzeczy?

Rozwiana ruda czupryna i zbroja z błękitnej stali należały do Xaintrilles'a, który wyszedł z bocznej uliczki. Był równie zmęczony, jak jego przyjaciel, ale na wesolej twarzy malował się uśmiech.

- Ja to mówię! - rzucił sucho Arnold. - Popatrz, jeśli mi nie wierzysz!

Olbrzymi, rudy rycerz podszedł do grupki żołnierzy, która otoczyła Katarzynę, popatrzył na nią z nieudawanym zdziwieniem, a następnie wybuchnął śmiechem.

- Na mą duszę, toć to prawda! Cóż tutaj porabiasz, piękna pani, i to w takim stroju?

- Przyszła na przespiegi dla swego kochanka, nietrudno to odgadnąć - wykrzyknął Arnold. - Powiem ci, co z nią zrobimy: nie minie godzina, a znajdzie się na dnie lochu, gdzie zaczeka na wyrok. Hej, wy tam... wykonać rozkaz!

Xaintrilles przestał się śmiać. Nadal spoglądał na Katarzynę. Potem zatrzymał przyjaciela, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Nie sądzisz, że to trochę dziwne - powiedział, kiwając głową. - Dlaczego Filip Burgundzki, który wycofał swoje oddziały z oblężenia na skutek sprzeczki z Bedfordem, miałby ją przysłać tutaj... i to w takim stanie? Patrz na jej potargane odzienie, na zakrwawione stopy... ledwo trzyma się na nogach...

Błysk litości, który wyczytała w oczach Xaintrilles'a, dodał załamanej dziewczynie trochę otuchy. Ale uparty Arnold nie chciał nic słyszeć. Gniewnie wzruszył ramionami.

- To dowodzi tylko, że jest lepszą aktorką, niż mógłbyś przypuszczać! Co się tyczy zamysłów Filipa krętacza, bądź pewien, że zrobię wszystko, aby je poznać. Wiadomość o rychłym przyjeździe Dziewicy z pewnością wiele

zmieniła na dworze w Brugii. Do więzienia z tym szpiegiem... i to szybko! Tam już będą wiedzieli, jak rozwiązać jej język.

Xaintrilles przestał nalegać. Zbyt dobrze znał Arnolda, by wątpić, że za żadną cenę - choćby od tego miało zależeć jego życie - nie zmieni zdania, a zwłaszcza publicznie.

Zresztą wokół nich zgromadził się tłum, który zaczął wykrzykiwać:

- Śmierć Burgundce!

Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Obleżenie trwało już wiele miesięcy i rozjątrzonych mieszkańców Orleanu wypełniały wściekłość i trwoga. Obawiając się rozruchów, żołnierze otoczyli Katarzynę, podczas gdy inni odsuwali za pomocą lanc najbardziej rozwścieczonych mieszkańców. Ktoś rzucił bryłę błota, która trafiła Katarzynę w samo serce. Dziewczyna nawet się nie zachwiała. Stała wyprostowana, sztywna... jakby nic do niej nie docierało. Całą swoją duszą wpatrywała się w Arnolda. Cuchnące błoto spływało po jej sukni, pozostawiając czarny ślad. Nagle młoda kobieta wybuchnęła śmiechem... Straszny, przeraźliwym śmiechem, który spowodował, że wszyscy zamilkli. Wydawało się, że śmiech ten nigdy się nie skończy.

- Zabierzcie ją stąd! - wykrzyknął wyprowadzony z równowagi Arnold. - Zabierzcie ją stąd, bo ją zabiję!...

Nagle śmiech zamienił się w szloch. Sierżant chwycił Katarzynę za ramię, podczas gdy jeden z żołnierzy wiązał jej ręce z tyłu. Odwróciła głowę, ale jej nie spuściła. Przed oczami miała mgłę. Zmęczonym ruchem opuściła ramiona i dała się poprowadzić teraz już obojętna... nie widząc nawet mijanych ulic.

Nie dostrzegła też, że kiedy prowadzono ją przez mały placyk, zza fontanny wynurzyła się wysoka sylwetka de Xaintrilles'a, który zatrzymał dyskretnie dowódcę eskorty.

- Wsadź ją do więzienia - szepnął kapitan - ale nie do lochu, i nie przykuwaj jej. Powiedz też strażnikowi, żeby dał jej coś do jedzenia. Tylko cudem trzyma się na nogach. Rzadko można spotkać winowajczynię, która tak przypominałaby ofiarę.

Człowiek kiwnął głową na znak, że rozumie, wsadził do kieszeni sztukę złota, którą wsunął mu Xaintrilles, i dołączył do oddziału eskortującego Katarzynę.

* * *

Chatelet, dokąd żołnierze zaprowadzili dziewczynę, było fortecą Orleanu. Strzegła ona wjazdu na wielki most, który prowadząc obok piaszczystej wysepki, gdzie stała mała baszta świętego Antoniego, łączył się na lewym brzegu z fortecą Tourelles, jednym z głównych punktów oporu Anglików. Dowodził nią William Gladsdale.

Gdy wstał dzień, Katarzyna spoglądając przez okienko skąpo oświetlające celę, zobaczyła w dole Loarę, co wywołało w niej radość. Od kiedy dojrzała do rzeki po wyczerpującej wędrówce, traktowała ją jak kogoś bliskiego, jak przyjaciela. W przeddzień, gdy żołnierze wrzucili ją do celi, widok rzeki nie wzbudził w niej żadnej reakcji. Zmęczona i przytłoczona olbrzymim rozczarowaniem, jakie ją spotkało, rzuciła się na stertę słomy, która miała służyć jej za posłanie, i zasnęła jak zmordowane zwierzę. Nie słyszała nawet, jak strażnik przyniósł jej dzban wody i kawałek chleba...

Po przebudzeniu zastanawiała się przez dłuższą chwilę, czy nie jest jeszcze pogrążona w jakimś złym śnie. Jednak w miarę jak powracała jej pamięć, wypadki poprzedniego dnia stawały się coraz bardziej wyraziste. Z głową ukrytą w dłoniach, siedząc na nędznym legowisku, usiłowała zastanowić się nad sytuacją, ale czuła tylko gorycz. Przez wszystkie te ostatnie

dni, w czasie strasznej wędrówki, a nawet jeszcze wcześniej, dokładnie od czasu, kiedy w Chateauvillain brat Stefan powiedział jej, że Arnold się nie ożenił, żyła jakby w hipnozie. Powrót do rzeczywistości był brutalny, a przebudzenie miało gorzki smak.

Kiedy pomyślała o Arnoldzie de Montsalvy, twarz poczerwieniała jej ze wstydu i złości. Ale oskarżała bardziej siebie niż jego. Była szalona, sądząc, że przyjmie ją z otwartymi ramionami, ponieważ przybyła do niego pozbawiona wszystkiego, nie przynosząc nic oprócz miłości! Zdała sobie sprawę, że być może podświadomie uważała, iż czekana nią tylko dlatego, że dwa razy stracił głowę w jej ramionach. Zapomniała o tym, w jakiej sytuacji widział ją po raz ostatni: siedziała w łóżu Filipa, a on obrzucił ją pełnym pogardy spojrzeniem. Człowiek tak uparty i nieprzejednany jak Arnold nienawidził jej za dwie sprawy. W jego oczach Katarzyna była po dwakroć winna, po dwakroć przekłeta: była jedną z tych Legoix, którzy kiedyś zamordowali jego brata Michała, i była kochanką Filipa Burgundzkiego, którego on nienawidził i uważał za zdrajcę. Nie, jeśli w tej sprawie był ktoś, kogo należało winić, to właśnie ją, za to, że wszystko poświęciła dla niemożliwego marzenia. Straciła wszystko, wszystko... Znajdowała się w więzieniu, oskarżona o coś, co mogło zakończyć się jej śmiercią, narażała się wielokrotnie na niebezpieczeństwa, i wszystko to na nic...

Wstała i zaczęła przechadzać się po celi. Było to wąskie i niskie pomieszczenie, do którego światło dochodziło przez mały, zakratowany otwór. Jedynymi sprzętami były słomiane legowisko i taboret, na którym strażnik położył chleb i postawił dzbanek z wodą. Ze ścian spływała woda i zwisały straszne łańcuchy i żelazne obręcze. Już po raz trzeci zamknięto ją w więzieniu, ale dziewczyna miała nadzieję, podobnie jak i poprzednio, że się z niego wydostanie. Życie nie mogło się tak zakończyć...

Chcąc odzyskać siły, zaczęła się posilać. Urwała, nie bez trudu,

kawałek twardego chleba, który musiał pochodzić z jakichś starannie ukrytych zapasów, bo w mieście, do którego nie dochodziły żadne konwoje z żywnością, panował głód. Aby móc go zjeść, maczała po kawałku w wodzie. Na zakończenie wypila kilka łyków wody i poczuła się lepiej. Zaśmiała się nawet, wspominając wspaniałe uczyty i wykwintne dania, w których gustował Filip Burgundzki, a które niegdyś tak ją nużyły. Jakże smakowałby teraz kawałek jednego z tamtych wspaniałych pasztetów!

Następnie usiłowała zasnąć, aby więcej nie rozmyślać. Była wściekła na siebie samą, na cały świat i na tak upragnione miasto, które teraz przeklinała z całego serca...

Kiedy się ściemniło, niskie drzwi otworzyły się i stanął w nich strażnik. Nieco dalej, w korytarzu, stało nieruchomo czterech żołnierzy z pikami w dłoniach.

- Trzeba iść! - powiedział strażnik, grubasek o wesołej twarzy, który nie przypominał w niczym strażnika więziennego. Katarzyna, która zobaczyła go po raz pierwszy, zdziwiła się na widok jego szczerych, niebieskich oczu.

- Gdzie mnie prowadzą? - zapytała.

Wzruszył ramionami na znak, że nie wie i wskazał na żołnierzy:

- Oni wiedzą. To musi ci wystarczyć.

Bez dodatkowych komentarzy dziewczyna w otoczeniu żołnierzy weszła po krętych kamiennych schodach i znalazła się w małym, sklepionym pomieszczeniu, skąd wychodziło wiele korytarzy zamkniętych grubymi, stalowymi kratami. Weszli w korytarz kończący się małymi, dziesięciostopniowymi schodami, u góry których znajdowały się dębowe drzwi z grubymi, stalowymi zawiasami i małym okienkiem. Kiedy drzwi się otworzyły, Katarzyna stanęła na progu długiej i niskiej sali, której sklepienie podpierali cztery masywne filary. Na jednej ze ścian znajdowało się wąskie

okno w kształcie grotu lancy. Przy tej ścianie, na całej jej szerokości, stał długi stół. Za stołem siedziało pięciu mężczyzn. Inny mężczyzna siedzący przy małym stoliku z boku, pisał coś w świetle świecy. Na gołych, kamiennych ścianach, gdzie wisiał jedynie krzyż, paliły się pochodnie.

Strażnicy zaprowadzili Katarzynę na środek sali, ustawili twarzą do stołu i stanęli obok niej. Dziewczyna zrozumiała, że stoi przed trybunałem, lecz nie mogła powstrzymać drżenia, zobaczywszy, że w gronie sędziów znajduje się Arnold. Siedział tuż obok przewodniczącego, mężczyzny około sześćdziesiątki, o surowej twarzy pod koroną siwych włosów. Arnold nie miał na sobie zbroi; ubrany był w zielony kaftan bez żadnych ozdób. Pozostali sędziowie, ludzie w wieku dojrzałym, mieli na sobie długie, czerwone togi obszyte futrem, jakie noszą ławnicy miejscy. Twarze wszystkich były wychudłe i pozbawione wyrazu. Arnold wstał. Jego czarne oczy spoczęły na Katarzynie.

- Stoisz tutaj przed panem Raulem de Gaucourtem, gubernatorem tego miasta, i przed ławnikami, aby odpowiedzieć na oskarżenie spiskowania z nieprzyjacielem.

- Z jakim nieprzyjacielem? - zapytała łagodnie Katarzyna. - Nigdy w życiu nie zamieniłam słowa z żadnym Anglikiem.

Arnold uderzył pięścią w stół.

- Nie żartuj sobie! Burgundczycy są naszymi nieprzyjaciółmi, podobnie jak ludzie Suffolka... a nawet jeszcze bardziej! Bo wzięwszy wszystko pod uwagę, najeźdźca angielski czyni to, co zwykł czynić najeźdźca, podczas gdy twój pan niszczy swój własny kraj dla dobra cudzoziemców. Dlatego właśnie ty, przysłana przez niego w nieznanym nam jeszcze celu, stoisz teraz przed tym trybunałem...

- Panie - ucięła Katarzyna znużonym głosem - ty i ja znamy się nie od dziś i wiesz dobrze, że nie urodziłam się Burgundką, że stałam się nią nie z

własnej woli. Przybyłam tutaj pozbawiona wszystkiego, po strasznej wędrówce, która zostawiła ślady na mych stopach i...

Pięść Arnolda uderzyła ponownie w stół. Ale daleka od przestachu Katarzyna miała dziwne wrażenie, że on udaje złość i że tak hałasuje, aby ukryć jakąś wewnętrzną słabość.

- Zamilcz! - krzyknął. - Lepiej niż kto inny wiem, ile są warte twoje słowa i co należy o nich sądzić. Znam twoje słodkie słówka i twoją sztukę przekonywania...

Gubernator Orleanu zakaszłał.

- Panie de Montsalvy - powiedział grzecznie - obawiam się, że dajesz się ponieść uczuciom osobistym. Sądzę, że będzie lepiej, jeśli pozwolisz, żebym przesłuchał ją z pozostałymi ławnikami. Kiedy dowiemy się od niej wszystkiego, co chcemy wiedzieć, będziesz mógł ją oskarżać, ile dusza zapagnie. Wydaje się jednak, że zapomnieliśmy przydzielić uwięzionej obrońcę...

- Za pozwoleniem, panie gubernatorze - ucięła krótko Katarzyna - nie jest mi potrzebny obrońca. Moje słowo i moja szczerowość powinny wystarczyć. Oskarża się mnie tutaj o czyny, których wcale nie popełniłam i nie miałam najmniejszego zamiaru tego uczynić!

- To właśnie będziemy chcieli ustalić. Więc zaczynajmy, odpowiadaj, pani, na moje pytania. Czy jesteś Katarzyną de Brazey, kochanką i faworytą księcia Filipa?

Ton Gaucourta był poważny, lecz pozbawiony surowości. Katarzyna zrozumiała, że ten człowiek nie jest jej wrogiem i poczuła się trochę pewniej.

- Jestem Katarzyną de Brazey, wdową po wielkim skarbniku Burgundii, skazanym za zdradę. Jestem teraz nikim dla Jego Wysokości Filipa.

W tym momencie Arnold wybuchnął śmiechem i Katarzyna z trudem

opanowała gniew. Udało się jej nawet nie spojrzeć w jego stronę.

- Od kiedy to? - zapytał szyderczo.

Patrząc na gubernatora, odpowiedziała spokojnie.

- Od kiedy dowiedziałam się o jego rychłym ożenku. Wszystkie więzy, jakie istniały między mną i nim, zostały zerwane. Nie usłuchałam polecenia powrotu na jego dwór. Zrozum mnie, panie: wkrótce minie pięć miesięcy, od kiedy umarło nasze dziecko. Zabrało ze sobą ostatnią więź. Odeszłam...

- Żeby przybyć tutaj? - powiedział Gaucourt. - Cóż za dziwny wybór! I cóż za dziwny strój dla kobiety bogatej i potężnej, jaką byłaś!

- Po drodze zostałam okradziona ze wszystkiego przez bandytę o imieniu Ziółko. Uciekłam z jego twierdzy, kiedy dowiedziałam się, że wysłał kogoś do Brugii po okup za mnie. Dalszą wędrówkę odbyłam tak, jak mogłam... to znaczy na piechotę.

- Ale po co przyszedłaś tutaj? Czego tutaj szukasz?

Katarzyna nie odpowiedziała od razu. Fala ciepła zalała powoli jej twarz i poczuła, że gwałtowne wzruszenie ściska jej gardło.

Opuściła głowę i wyszeptała głucho:

- Szłam... za marzeniem, które narodziło się dawno temu! Ale sądzę, że byłam szalona... - Uniosła głowę, a ponieważ gorące łzy pojawiły się w jej oczach, zaczęła krzyczeć ogarnięta gwałtownym szałem: - Szalona do granic możliwości, szalona jak dziecko, które w księżycową noc pochyliła się nad studnią, aby uchwycić w małe rączki promień księżyca, a potem umiera z rozczarowania.

Jej głos stał się ochrypły. Gubernator patrzył na nią z ciekawością, którą dostrzegł Arnold. Kapitan roześmiał się okrutnie.

- Czyż nie mówiłem? Śnimy teraz! Ta kobieta chce, żebyśmy uwierzyli, że szła za swoim marzeniem. W rzeczywistości, panowie, ona uważa nas za głupców. Byłbym szczerze zdziwiony, gdyby nie mówiła o

swych marzeniach nawet przykuta do pala.

- Nigdy nie uważałam cię za głupca, Arnoldzie de Montsalvy, i bardzo tego żałuję! - wykrzyknęła Katarzyna.

Jej ostatnie słowa stłumiła dyskusja, jaka wywiązała się między sędziami, którzy zastanawiali się, czy Katarzyna ma zostać oddana w ręce kata. Na myśl o torturach Katarzyna poczuła strach. Przecież była tak słaba, tak wyczerpana! Jeden Bóg wie, jakie wyznania mogliby z niej wydrzeć, zadając jej ból. Z trwogą śledziła szybką dyskusję, jaką półgłosem toczyło pięciu mężczyzn, i zdała sobie sprawę, że trzech ławników stanęło po stronie Arnolda. Tylko jeden był przeciw: gubernator. Usłyszała, jak mówi:

- Według mnie to nie ma sensu. Zapominacie, że wy sami, mieszkańcy Orleanu, wysłaliście pana Xaintrailles'a do Filipa Burgundzkiego z prośbą, aby przejął miasto, na co się zgodził.

- Rzeczywiście zgodził się, ale nie wycofał swoich oddziałów. Trzeba było dopiero nieporozumień między nimi jego szwagrem, regentem Bedfordem, aby to zrobił. Uczynił to więc pod wpływem złego humoru, a nie z powodu solidarności francuskiej. Co więcej, wie, że niebo idzie nam z pomocą i że niczego nie może się już po nas spodziewać. Sądzę, że ta kobieta przyszła tutaj z konkretnym zadaniem do spełnienia i trzeba wyrwać z niej tę tajemnicę. Od tego może zależeć los naszego miasta - stwierdził jeden z ławników.

Dwaj pozostali notable żwawo poparli swojego kolegę. Arnold uśmiechnął się nieszczercze do Gaucourta.

- Widzisz, panie, jest nas czterech przeciw tobie. Zabieramy ją! - Następnie podnosząc głos, krzyknął: - Kacie! Czyń swą powinność!

Przestraszona Katarzyna dostrzegła, jak zza jednego z filarów wychodzi niski i krępy człowiek ubrany w czerwono-brązowy strój. Za nim szedł inny mężczyzna, podobnie ubrany, lecz wyższy. Żołnierze rozstąpili się

przed nim, a on położył na ramionach Katarzyny szorstkie ręce. Odwracając głowę, dziewczyna dojrzała tę część sali, której wcześniej nie widziała. Stały tam jakieś straszne urządzenia: coś, co przypominało łoże z surowego drewna, wyposażone w dwa kołowrotki, długie, metalowe pręty wystające z naczynia wypełnionego żarem, a trochę dalej rysował się kształt straszliwego koła o stalowych szpikulcach.

Przerażona nie mogła oderwać oczu od tych ponurych urządzeń. Nagle wydała okrzyk. Kat zerwał z niej brutalnie suknię i koszulę. Stojąc naga przed mężczyznami, którzy pożerali ją wzrokiem, poczuła, że się czerwieni, i zaczęła zasłaniać się rękami. Ale oprawcy chwycili jej dłonie, aby je związać. Zatrzymał ich rozkaz, a raczej krzyk. To był Arnold:

- Kto wam rozkazał rozebrać tę kobietę?

- Ależ, mój panie... taki jest zwyczaj - zaprotestował kat.

- Kpię sobie z tego zwyczaju i nie jestem twoim panem. Załóż jej chociaż koszulę.

Gdyby Katarzyna nie czuła strachu, dostrzegłaby, że Arnold zbladł, a nozdrza zaczęły mu drgać. Z trudem powstrzymała okrzyk przerażenia, kiedy prowadzono ją w stronę łoża tortur. Kat narzucił na nią strzępy koszuli. Położono ją na drewnianym łożu. Jej ręce zostały brutalnie podniesione ponad głowę i przywiązane do kołowrotka, pomocnik kata uczynił to samo z jej nogami. Ławnik Lhuillier pochylił się nad nią:

- Kobieto, zanim poczujesz ból, możesz nam powiedzieć z własnej woli, po co przybyłaś do tego miasta. W ten sposób zaoszczędzisz sobie i nam dalszego ciągu. Po co tutaj przybyłaś?

Oczy Katarzyny na próżno szukały Arnolda. Nie znajdował się w jej polu widzenia. Nie wiedziała nawet, czy nadal jest tutaj. Popatrzyła na Lhuilliera.

- Aby odnaleźć mężczyznę, którego kocham - szepnęła. - Ale nie mogę

wyjawić jego nazwiska.

- Dlaczego?

- Bo i tak mi nie uwierzycie!

Z jej ust wyrwał się okrzyk bólu. Na dyskretny znak ławnika kat uruchomił kołowrotek. Ciało Katarzyny załapała fala cierpienia. Miała wrażenie, że nogi i ręce zostały wyrwane z jej ciała.

- Zachowuj się godnie - powiedział łagodnie Lhuillier. - Jeśli chcesz, abyśmy mieli do ciebie zaufanie, musisz przynajmniej wyjawić nazwisko tego mężczyzny. Kto to jest? Jakiś Burgundczyk. który się tutaj ukrywa? No, no, okaż, pani, rozsądek, a przestaniesz cierpieć.

Po twarzy Katarzyny spływały duże, gorące łzy. Czując taki ból, że z trudem mogła mówić.

- Zapytajcie... pana de Montsalvy'ego. On... będzie... mógł wam to powiedzieć!

Ławnik zawahał się. Ale właśnie w tej chwili dwóch rycerzy weszło do sali i zbliżyło się zwawo do łoża tortur. Pomimo łez, które wypełniały jej oczy, Katarzyna rozpoznała Xaintrilles'a, ale nigdy wcześniej nie widziała drugiego mężczyzny. Był to Jan de Dunois, bastard Orleanu, pan oblężonego miasta. Wszyscy darzyli go wielkim szacunkiem, bo ze szlachetnością urodzenia* łączył wielką waleczność, niezłomną lojalność i nieskończoną uprzejmość. Rzucił na Katarzynę szybkie spojrzenie i uczynił ruch ręką.

** Urodził się w roku 1402 ze związku księcia Ludwika Orleańskiego z Mariettą d'Enghien.*

- Kacie, uwolnij tę kobietę...

- Panie - zaczął Lhuillier - czy nie sądzisz... Bastard uciszył go ruchem spokojnym, lecz stanowczym.

- Nie, mój przyjacielu! Mamy tutaj coś innego do roboty niż torturowanie kobiety, być może niewinnej. Przynoszę wspaniałe wieści.

Zza filara wypadł blady ze złości Arnold.

- To ja, Wasza Wysokość, kazałem zatrzymać tę kobietę. To ja powiedziałem, że jest niebezpieczna, i to mnie obrażasz, potępiając moje czyny.

Tym razem bastard uśmiechnął się z odcieniem czułości i Katarzyna, której kat pomagał usiąść, dostrzegła niezwykle czar tego uśmiechu. Jan z Orleanu położył ręce na ramionach kapitana.

- Nie potępiam twoich czynów, Arnoldzie! Jakże mógłbym to zrobić! Jesteś moim towarzyszem broni i kocham cię jak brata. Jeśli uważasz tę kobietę za niebezpieczną, dobrze zrobiłeś, chcąc się upewnić, ale nie trzeba czynić jej krzywdy. Niedługo wysłanniczka Boga przybędzie tutaj. Opuszcza Poitiers, gdzie uczeni uznali ją za czystą i świętą, gdzie damy uznały ją za dziewicę, a król dał jej zbroję, aby mogła prowadzić oddziały do ataku. Dziewica pomaszeruje na Tours. Wkrótce dołączy do armii w Blois i przybędzie tutaj. To ona zadecyduje o losie uwięzionej, kiedy Orlean będzie wolny. Do tej chwili ta kobieta pozostanie w więzieniu. Straże, odprowadzić więźniarkę!

Pokonany Arnold spuścił głowę. Podczas gdy kat pomagał Katarzynie włożyć suknię i wstać, ta, pomimo bólu, jaki czuła w całym ciele, pomyślała, że uparty kapitan musi bardzo kochać bastarda, bo łatwo podporządkował się jego woli. Młoda kobieta była zbyt słaba, aby iść o własnych siłach. Pod pełnym dezaprobaty wzrokiem ławników dwaj żołnierze zanieśli ją do celi.

* * *

W następnych dniach nikt nie zajmował się Katarzyną, tak że nawet

zaczęła podejrzewać, iż o niej zapomniano. Nikt już jej nie przesłuchiwał, nikt do niej nie przyszedł. Zadowolono się pozostawieniem jej w więzieniu i wkrótce zaczęła uważać za błogosławieństwo, że to właśnie Pitoul jest dozorcą więziennym. Nie był on złym człowiekiem, wprost przeciwnie, wykonywał zawód tak spreczny z jego charakterem jedynie dlatego, że przejął go po zmarłym teściu. W życiu Pitoul miał trzy namiętności: żonę Alison o bujnych kształtach i strasznie gadatliwą, która biła go przynajmniej trzy razy w tygodniu, aby utrzymać się w formie, dobre jedzenie, a szczególnie flaczki, którymi wslawił się pan Godin, właściciel karczmy „Pod Żłotym Flakiem” znajdującej się w samym środku ulicy Karczmarzy, a w końcu wszystkiego rodzaju plotki. Ponieważ oblężenie położyło kres kulinarnym wyczynom pana Godina, Pitoulowi pozostała jedynie jego Alison i plotki. I jeśli na początku spoglądał na nową pensjonariuszkę z pewną nieufnością, spowodowaną jej podejrzanymi związkami z Burgundczykami, fakt, że Jego Wysokość bastard interesował się Katarzyną osobiście, przyniósł Pitoulowi ulgę. Nie widział już przeszkód, aby przychodzić do niej od czasu do czasu na pogawędki. W dodatku była jedyną więźniarką, którą miał do pilnowania.

Od Pitoula Katarzyna uzyskiwała najnowsze wiadomości z zewnątrz. Nadzieja wstąpiła do miasta, gdzie jedzono już koty i psy, gdzie najmniejszą czarnekę mąki sprzedawano za cenę złota. Czasem zdarzało się, że pod osłoną nocy jakiś wysłannik przywoził trochę żywności, ale była to kropla w morzu potrzeb i zawsze korzystali z niej najbogatsi. Mieszkańcy Orleanu mieli tylko jeden cel: przetrwać, utrzymać się wbrew wszystkim przeciwnościom i doczekać się cudownego przyjazdu Dziewicy. Dzień po dniu z ratusza miejskiego przemawiał do nich bastard, aby wzmocnić ich odwagę i cierpliwość, a każdy śledził z trwogą przemarsz Joanny. Wiedziano, że opuściła Poitiers, udając się do Chinon, a następnie do Tours, gdzie król

urządził dla niej koszary i kazał wykonać sztandar.

- Dostała giermka, dwóch paziów, dwóch heroldów i kapelana - opowiadał zachwycony Pitoul - tak jak każdy znany dowódca. Teraz Święta Dziewica maszeruje na Blois, niech Bóg ma ją w swej opiece, na Blois, gdzie dołączą do niej pozostali dowódcy!

Powoli w umyśle Katarzyny tworzył się dziwny obraz tej niezwyklej wieśniaczki, która stała się dowódcą wojennym. Zaczęła jej nienawidzić, chociaż nigdy jej nie widziała. A ponieważ los Katarzyny zależał od tej dziewczyny, zaczęła ją sobie wyobrażać jako osobę wyjątkowo sprytną i posiadającą straszną moc, która pozwalała jej uwodzić mężczyzn na odległość. A ci, którzy ją zobaczyli, natychmiast ulegali jej czarowi, nawet panowie tak wysokiej rangi jak Jan z Orleanu. Arnold również z pewnością wpadnie w taką samą pułapkę. Katarzyna zaczęła winić Dziewicę za swoje nieszczęścia, przekonana, że gdyby Arnold nie oczekiwał wraz z innymi na Joannę, nie potraktowałby jej z takim okrucieństwem. Oczekiwał na wysłanniczkę z niebios, kobietę znajdującą się tak wysoko ponad innymi kobietami, że wymazała na zawsze z jego pamięci tę, którą mógłby kochać. Co więcej, Katarzyna stała się dla niego złowrogą i szkodliwą istotą, córką demona...

Dziewczyna wysłuchiwała entuzjastycznych raportów dozorczy ze smutkiem pomieszanym ze złością. Ale wybaczała mu wszystko, bo każdego ranka przynosił jej dzban wody do mycia i dał jej starą sukienkę żony.

Któregoś wtorku, pod koniec kwietnia, zobaczyła wchodzącego do więzienia Pitoula, jak to zwykł czynić każdego ranka. Przyniósł jej dzban wody i miskę polewki z rzepy i zepsutej mąki, ale wydawał się szczególnie zadowolony.

- Nie jest to zbyt dobre, co ci, pani, przynoszę - powiedział, kładąc miskę na taborecie - ale żołnierze jedzą jeszcze podlejszą strawę. Zresztą

wkrótce będziemy mogli najeść się do woli.

- Dlaczego? Czy Anglicy odchodzą?

- Ależ skąd! Ale w Blois czeka konwój z żywnością i przyprowadzi go Dziewica we własnej osobie... - Pochylił się w stronę Katarzyny i szepnął jej poufnie do ucha, jakby ściany miały uszy: - Tej nocy bastard, pan Gaucourt i prawie wszyscy kapitanowie wyjechali naprzeciw Joanny. Może jutro już tutaj przybędzie i będziemy ocaleni...

- Wyjechali? - powiedziała zaskoczona Katarzyna. - Któż więc strzeże miasta?

- Nasi ławnicy, dalibóg! A także kilku kapitanów. Nie wszyscy wyjechali. Na przykład pan de Montsalvy jest tutaj nadal...

Ale Katarzyna nie słuchała go. Od czasu zamknięcia w więzieniu, to jest prawie od miesiąca, myślała tylko o jednym: uciec i odzyskać wolność za wszelką cenę! Niestety, marzenie to wydawało się trudne do spełnienia w tak dobrze strzeżonym mieście. Informacja o odjeździe większości przywódców była bardzo cenna. Do czasu ich powrotu nadarzy się, być może, okazja do ucieczki. Podczas gdy Pitoul kontynuował swoją opowieść, patrzyła na niego z półuśmiechem. Miała pewien pomysł...

Prawie codziennie wieczorem Pitoul spędzał z nią kilka chwil, ponieważ słuchała go cierpliwie, a jemu pochlebiało, że ma jako słuchaczkę wielką damę. W takich chwilach nie zachowywał ostrożności, zresztą nigdy tego nie robił przy tej pięknej, jasnowłosej kobiecie, smutnej i łagodnej. Katarzyna pomyślała, że łatwo będzie ogłuszyć Pitoula taboretom, zabrać jego ubranie i wyjść pod osłoną nocy. Ale musiała dowiedzieć się czegoś więcej o zwyczajach panujących w fortecy. Zdecydowała się wykorzystać do tego celu pogawędkę z Pitoulem tego i następnego wieczoru. Jednocześnie zakończy przygotowania i jak tylko będzie gotowa, zrealizuje plan. Najważniejsze było wydostać się z więzienia przed przyjazdem Dziewicy. Za

nic w świecie nie chciała być sądzona przez tę dziewczynę.

Uzyskanie potrzebnych informacji było łatwe. Pitoul był tak szczęśliwy na myśl, że wkrótce naje się do woli, iż nawet nie potrzebowała namawiać go do opowieści. Gadał bez przerwy. Katarzyna dowiedziała się, o której godzinie jest obchód, poznała nawet nazwiska strażników, zwyczaj wojskowe i hasło. Zdecydowała się, że spróbuje uciec w czwartek, po raz pierwszy, od kiedy znajdowała się w więzieniu, zasnęła spokojnie.

Przez cały czwartek była zdenerwowana i niespokojna. Ataki były w tym dniu bardziej gwałtowne niż w dniach poprzednich. Zarówno mieszkańcy Orleanu, jak i Anglicy wiedzieli o zbliżaniu się tej, którą ci ostatni nazywali czarownicą. Hałas, jaki czyniły katapulty i kolubryny, był piekielny i nieustanny, ale Katarzyna cieszyła się z tego. Ten zgiełk będzie pomocny w jej planach, jeżeli potrwa jeszcze po zachodzie słońca... Obserwowała kończący się dzień z uczuciami nadziei, strachu i niecierpliwości. Zbliżała się pora odwiedzin Pitoula.

W końcu w głębi korytarza rozległ się odgłos kroków i serce więźniarki zaczęło bić gwałtownie. Nadszedł oczekiwany moment... Wyciągnęła rękę w stronę ciężkiego, dębowego taboretu. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Pitoul, ale natychmiast wycofał się, trzymając czapkę w dłoni. Zbita z tropu Katarzyna opuściła rękę, a do celi wszedł ławnik Lhuillier z dwoma żołnierzami. W ręce trzymał arkusz pergaminu. Jego czerwona toga rozjaśniła celę ponurym światłem. Wiedziona instynktem Katarzyna wstała i popatrzyła na chłodną twarz przybysza.

Spojrzał na nią szybko, rozwinął pergamin i zaczął głośno czytać:

- Pod nieobecność Jego Wysokości Jana z Orleanu, pod nieobecność pana Raoula de Gaucourta, gubernatora miasta Orlean, my, ławnicy miejscy, skazujemy panią Katarzynę de Brazey na śmierć, przekonani o jej zdradzie i spiskowaniu z nieprzyjacielem...

- Na śmierć? - powiedziała przygnębiona Katarzyna. - Ależ... nie zostałam jeszcze osądzona!

Niewzruszony Lhuillier czytał dalej:

- W konsekwencji zdecydowaliśmy, że wyżej wymieniona pani zostanie zaprowadzona jutro, dwudziestego ósmego dnia miesiąca kwietnia, do katedry Świętego Krzyża, aby prosić Boga o wybaczenie win, a następnie zostanie odprowadzona na plac Martroy, gdzie zostanie powieszona.

Sporządzono w Orleanie, w dniu dzisiejszym...

Zrozpaczona Katarzyna nie słuchała go dłużej. Osunęła się na posłanie, ręce zacisnęła na kolanach, a jej ciało przeszywały zimne dreszcze.

Powieszona! Miała być powieszona!

- Jego Wysokość Jan powiedział, że decyzja o moim losie zostanie podjęta po oswobodzeniu miasta - powiedziała cicho.

- Jego Wysokość pod swoją nieobecność powierzył nam władzę w mieście, jedynie my decydujemy teraz, co jest dla miasta dobre - odpowiedział sucho Lhuillier. - Otóż wydaje się nam, że miasto powinno być oczyszczone z obecności osoby twego pokroju, zanim przybędzie tutaj wysłanniczka Boga. Jesteś plamą, którą chcemy usunąć.

Wąskie usta ławnika przybrały wyraz niewypowiedzianej pogardy. Najwyraźniej on również uważał ją za poplecniczkę szatana i Katarzyna zrozumiała, że od tych ludzi nie doczeka się żadnej łaski ani zrozumienia.

- Nie boisz się, panie, obciążyć swego sumienia zbrodnią? - zapytała z goryczą. - Powiedziałam wam i powtarzam, że jestem niewinna.

- To sprawa między Bogiem a tobą, kobieto! Jutro przyjdzie kapłan, aby przygotować cię do stawienia się przed jego obliczem.

Ławnik zwinął pergamin, wsunął go do szerokiego rękawa i obrócił się na pięcie. Drzwi zatrzasnęły się za nim i za towarzyszącymi mu żołnierzami. Katarzyna została sama w ciemnym pomieszczeniu. Wszystko skończone...

nic już nie mogło jej uratować! Poczła wielką rozpacz, przybita padła na słomiane posłanie i zaczęła szlochać. Była sama, zgubiona w czeluściach głuchoj i ślepej fortecy, otoczona nieprzejednanymi nieprzyjaciółmi, którzy jutro wyprowadzą ją na śmierć. Jutro!... Pozostało jej tylko kilka godzin życia!...

Przez dłuższą chwilę więźniarka leżała załamana. Już nie płakała, ale czuła, że ucieka z niej życie. Było jej zimno, drżała... Nawet gdyby Pitoul powrócił, nie będzie mogła zrealizować swojego planu. Usłyszała, jak wychodzący Lhuillier powiedział do żołnierzy, aby stanęli na warcie przed drzwiami celi i nie oddalali się pod żadnym pozorem. Nie mogła już nic uczynić!...

Na zewnątrz panował olbrzymi zgiełk. Do celi dochodziły okrzyki radości i śpiewy. Wydawało się, że tej nocy miasto ogarnęła wielka radość! Katarzyna pomyślała z goryczą, że z pewnością ludzie cieszą się z powodu jej rychłej śmierci. Pamiętała jedynie krzyki nienawiści, jakie towarzyszyły jej przy wejściu do Chatelet. Jutro będzie jeszcze gorzej. Wszyscy staną na drodze jej przejazdu, żeby obrzucać ją obelgami, przeklinać i ciskać w nią błotem...

Około północy drzwi celi otworzyły się znowu. Katarzyna wstała, sądząc, że przychodzi zapowiedziany kapłan.

Ale w drzwiach stał Arnold...

Przez sekundę patrzył na nią. Następnie wolno zamknął za sobą drzwi i zrobił kilka kroków.

- Przyszedłem pożegnać się z tobą! - powiedział głucho. Postawił na ziemi latarnię. Żółte światło rysowało na ścianie jego olbrzymi cień. Górował nad nią wysoką sylwetką i kiedy podniosła głowę, pomyślała, że nigdy dotąd nie dostrzegła, iż jest tak wysoki. Był bardzo blady. Być może blada cera i głębokie bruzdy biegnące po policzkach aż do nosa były

wynikiem słabego oświetlenia? Miał na sobie podobnie jak w dniu rozprawy zielony kaftan i zatknięty u pasa sztylet.

Serce Katarzyny zabiło mocniej. Poczwała, jak krew pulsuje jej w skroniach. Ale ponieważ stał, patrząc na nią i nic nie mówił, zaatakowała go pierwsza:

- Tak więc - powiedziała powoli - pan de Montsalvy odczuł potrzebę pożegnania się ze mną? Cóż za honor! Cóż za wielki zaszczyt spotyka mnie od człowieka tak dumnego i wrażliwego. Mogę spytać, dlaczego uważasz, że twoje pożegnanie może mieć dla mnie jakieś znaczenie? Bądź szczery przynajmniej wobec siebie samego. Przyszedłeś zobaczyć, w jakim jestem stanie, czekając na śmierć, czyż nie? Więc odpowiadam ci: czekam na nią z radością, ze szczęściem, jakiego nie możesz sobie nawet wyobrazić, gdyż oswobodzi mnie od ciebie i tobie podobnych. Teraz możesz odejść. Wiesz już wszystko!

Kapitan pokręcił głową. Na jego ładnej twarzy nie pojawiła się złość, lecz coś w rodzaju obawy i niepewności.

- Nie... nie dlatego! - powiedział w końcu. - Przyszedłem, ponieważ nie mogłem inaczej. Co noc walczę z chęcią przyjścia tutaj. W dzień jest bitwa, mogę więc zapomnieć... lecz w nocy nie mogę wytrzymać. Ciągle o tobie myślę. Opętałaś mnie, czarownico!...

Katarzyna wybuchnęła śmiechem opanowana okrutną radością, że może jeszcze wywoływać w nim cierpienie.

- Czarownica! - wykrzyknęła. - To wszystko, co mogłeś wymyślić? Sadziłam, że jesteś bardziej inteligentny...

- Ja również tak myślałem - powiedział, nie obrażając się wcale. - Ale już od dawna mnie opętałaś, przyczepiłaś się do mnie, zatrzałaś moje życie... Pogardzam tobą i nienawidzę cię. Żeby o tobie zapomnieć, próbowałem wszystkiego: wina i kobiet. Usiłowałem nawet się ożenić. Panna de Severac

była bardzo piękna, łagodna, czysta i mnie kochała. Ale kiedy byłem z nią, widziałem ciebie, gładziłem twoją dłoń, na twoich policzkach składałem pocałunki. Więc musiałem uciekać, bo byłoby świętokradztwem myśleć o takiej lad... jak ty, w obecności tej słodkiej dziewczyny. Potem znowu powracałem, czepiałem się jej jak tarczy, prosząc Boga, aby pozwolił mi ją kochać... Niebo pozostawało głuche, a pragnienie ciebie torturowało mnie jeszcze bardziej. Inne, które mi się ofiarowywały, nie były więcej warte niż ty. W pewnym momencie chciałem zostać benedyktyinem...

Ten pomysł wydał się Katarzynie tak szalony, że wybuchnęła śmiechem.

- Ty mnichem? Z twoją dumą, z twoim uporem?

- Mógłbym nim zostać. Ale zbyt kocham wojaczkę, żeby być dobrym sługą Pana. Dumę można poskromić. Ale nie miłość do walki! To jest rzecz, którą ma się we krwi, kiedy przychodzi się na świat, którą wypija się z mlekiem matki. Więc walczyłem, mając nadzieję, że któregoś dnia śmierć wybawi mnie od ciebie. Ale i ona pozostała głucha.

Katarzyna wstała powoli. Oparła się o ścianę, jakby szukała wsparcia. Jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Arnolda, jak krzyżują się dwa miecze. Uśmiechnęła się z pogardą.

- Dlatego pomyślałeś, że śmierć może zabrać mnie! Bo przecież to ty, korzystając z nieobecności bastarda i de Gaucourta, wymogłeś na ławnikach moje skazanie. Czy tak?

- Tak, to ja! Nie miałem z tym żadnego kłopotu. Ciężyłaś im jak zła wróżba. Powieszają cię z radością...

Nagle odeszła od muru, zbliżyła się do niego, prawie go dotykając, z płomieniem wyzwania w oczach:

- A ty? Ty również powieszysz mnie z radością, nieprawdaż? Sądzisz, że w ten sposób wyzwolisz się ode mnie na zawsze? Tak myślisz, prawda?

Odpowiedział z trudem: - Tak... tak myślę!

Zaśmiała mu się w twarz. Był to triumfalny, kpiący, nieznośny śmiech. Zuchwale podniosła głowę. Ogarnęła ją dzika radość, była wprost szalona. Arnold wydal się jej bardzo słaby i bezbronny. Sto razy, tysiąc razy bardziej godny pożałowania niż ona, już przecież tak bliska śmierci.

- Ach, i ty w to wierzysz? Sądzisz, że mój duch i wspomnienie o mnie nie będą cię nękać? Sądzisz, że kiedy moje ciało zamieni się w proch, zapomnisz o mnie? Biedny głupcze! Po śmierci stanę się sto razy niebezpieczniejsza. Będiesz mnie widział wszędzie, w kobiecych twarzach i ciałach, bo ani bieda, ani starość mnie nie dotkną. I dlatego, że do pragnienia dodasz jeszcze wyrzuty sumienia...

Po raz pierwszy w ciemnych oczach młodzieńca zapalił się płomień złości...

- Wyrzuty sumienia? Z pewnością zasługujesz na taki los, bo przyszedłeś tutaj czynić zło.

- Przestań okłamywać siebie i mnie! To już nie ma teraz znaczenia, bo sam zdecydowałeś o moim losie. Wiesz dobrze, po co tutaj przybyłam. Wiedziałeś o tym od chwili, kiedy podeszłam do ciebie z wyciągniętymi rękami przy bramie Burgundzkiej. Wiedziałeś również o tym w sali tortur. Wiesz, że z miłości do ciebie zrobiłabym wszystko, że zostawiłam wszystko i chciałam tylko jednego: odnaleźć cię i umrzeć z tobą na zgliszczach tego miasta.

- Milcz! - krzyknął.

- Nie, nie będę milczała. Jeszcze jestem żywa. Mam jeszcze głos. Sznur nie zacisnął się jeszcze na moim gardle. I będę mówiła, jak długo będę miała na to ochotę. Powiem ci wszystko to, co od tylu lat miałam ochotę ci powiedzieć. I w czasie bezsennej nocy będziesz słyszał mój krzyk: „Kochałam cię... kochałam cię, a ty mnie zabiłeś”...

- Zamilcz wreszcie!

Chwyił ją gwałtownie za ramiona i zaczął nią potrząsać. Straciwszy równowagę, dziewczyna zachwiała się i krzyknęła. Wtedy puścił ją równie gwałtownie, jak schwyił, tak że upadła na ziemię. Jedna noga podwinęła się jej, wywołując ostry ból. Czując wilgotną posadzkę, chciała się podnieść, ale on rzucił się na nią, przygniatając całym ciężarem ciała.

W słabym świetle latarni zobaczyła tuż przy swojej twarzy wykrzywioną z wściekłości i pożądania twarz.

- Nie, nie będziesz mnie już nękać! Jutro umrzesz, a dzisiaj w nocy odprawię nad tobą egzorcyzmy, czarownico. Pozbawię cię całej twojej mocy. Kiedy cię posiadę, zrozumieć może, że jesteś kobietą taką jak wszystkie...

Między przeciwnikami wywiązała się dzika i bezlitosna, lecz milcząca walka. Zaciskając zęby, Katarzyna walczyła, jakby od tego zależało jej życie, wstrzymywała oddech i oszczędzała, jak tylko mogła, siły. Była zwinna jak węgorz, ale Arnold miał nad nią przewagę silnego, zdrowego mężczyzny, podczas gdy ona była osłabiona, i rozumiała, że wkrótce będzie musiała się poddać. Co więcej, rozwiązane włosy przeszkadzały jej, zaplątywała się w nie jak w sieci. Arnold uchwycił jeden z jej nadgarstków i starał się uczynić to samo z drugim. Siły Katarzyny słabły coraz bardziej i nagle całkiem ją opuściły. Usta Arnolda wpiły się w jej usta, więżąc ją w pocałunku, który przerwał oddech. Czowała, że słabnie i zaraz zemdleje. Walczyła z nową słabością, która podstępnie ją ogarniała. Ale nie miała już siły.

Na pół świadoma czuła, że młodzieniec odsunął się od niej, nadal trzymając jej nadgarstki, i że zdejmuje z niej ubranie. Zamknęła oczy, żeby go nie widzieć, ale słyszała, że oddycha głośno, jak człowiek po długim biegu. Nadgarstki ściśnięte mocnymi palcami Arnolda bolały ją bardzo, próbowała je jakoś oswobodzić, lecz jej ciało przebiegł gwałtowny dreszcz.

Arnold nie poprzestawał na jednym pocałunku i Katarzyna poczuła, jak

budzą się dawne demony jeszcze bardziej żarłoczne po długim śnie, na jaki je skazała. Zapominając o wszystkim, o szubienicy, o swojej nienawiści, o uprzedzeniach i poniżeniu, oddała się mu całkowicie, nie zdając sobie nawet sprawy, że już uwolnił jej ręce i że instynktownie zarzuciła ramiona na jego szyję. Mówił teraz coś ochryłym, ledwo słyszalnym głosem, głosem z sennych marzeń. Z ustami przy jej twarzy szeptał gorące słowa miłości przerywane obelgami, nie przestając jej całować. Z zamkniętymi oczami, z na wpół otwartymi ustami, dała się porwać uniesieniu. I stał się cud, cud, który rodzi się jak iskra między istotami przeznaczonymi dla siebie, stworzonymi dla siebie. Katarzyna oddawała się, jak nigdy jeszcze nie oddała się żadnemu mężczyźnie, a w zamian otrzymała rozkosz tak wielką, jakiej istnienia nigdy nie podejrzewała. Rozkosz, która zmasała wszystkie cierpienia i była warta całego życia...

Kiedy fala namiętności opadła, pozostawiając ją nieruchomą i bezwolną na gołej posadzce więzienia, Katarzyna poczuła, że Arnold ją opuszcza. Otworzyła oczy i zobaczyła, że kieruje się niepewnym krokiem w stronę drzwi. Uśmiechnęła się.

- Arnoldzie... - zawołała.

Na brzmienie jej głosu odwrócił się powoli, bardzo powoli, jakby z żalem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ust. Wtedy szepnęła łagodnie:

- Możesz sobie odejść... a ja mogę umrzeć. Wiem teraz, że nigdy o mnie nie zapomnisz.

Młodzieniec jak oszalały rzucił się w stronę drzwi z ochryłym krzykiem, zapominając o latarni. Katarzyna usłyszała, jak biegnie więziennym korytarzem. Obawiając się wejścia strażników, pospiesznie ubrała się, położyła na słomie i zasnęła.

Kiedy jeden ze strażników przyszedł po lampę, znalazł Katarzynę

śpiącą głębokim snem i przez chwilę stał jak osłupiały.

- Jak może spać, kiedy za parę godzin zostanie powieszona - dziwił się, opowiadając o tym w chwilę później swemu towarzyszowi. - To wymaga wielkiej odwagi. A przecież to tylko kobieta.

Rozdział czternasty

Joanna d'Arc

Uciekając z więzienia, w którym zamknięto Katarzynę, Arnold nie domyślał się nawet, jak ogromną radość pozostawił po sobie. Radość ta w pewien sposób wyrwała młodą kobietę z więzienia, wyzwoliła od strachu przed okrutnym losem, jaki ją czekał, i wprowadziła w błogi nastrój. W ciągu jednej godziny zaznała tyle szczęścia, że już nie obawiała się śmierci.

Franciszkanin mający ją eskortować zastał kobietę całkowicie spokojną, która prawie nie zwracała na niego uwagi. Obojętnie wysłuchiwała tego, co mówił o Bogu, a na jej twarzy błąkał się zagadkowy półuśmiech, który zgorszył mnicha. Pitoul, pochlipując, przyniósł jej posiłek, najlepszy, jaki udało się jej zjeść od dłuższego czasu: biały chleb, świeże mięso i wino. W przeddzień przybył do miasta drogą wodną konwój z żywnością, ochraniający osobiście przez Dziewicę.

- Pomyśleć, że pewnie wjedzie do miasta jeszcze dziś wieczór, a ty, pani, jej nie zobaczysz! - rzekł poczciwy człowiek i zapłakał.

I to Katarzyna musiała pocieszać swojego strażnika. Dziewica nie

obchodziła jej wcale, gdyż wiedziała, że umrze szczęśliwa.

Ta dziwna radość tkwiła w niej jeszcze wtedy, gdy około ósmej wieczór posadzono ją na wozie służącym zwykle do zbierania odpadków. Franciszkanin usiadł obok niej, a kat usadowił się z tyłu. Eskorta złożona z łuczników otoczyła wóz, który wyjechał z Chastelet. Odziana w grubą koszulę, ze sznurem na szyi, Katarzyna poddawała się bez oporu wstrząsom wozu. Jej wielkie oczy przypominały oczy lunatyka. Wydawało się, że nie należy już do świata istot ziemskich.

Wóz przejechał przez kurzy targ, pusty o tej porze, i skierował się w stronę szerokiej ulicy Karczmarzy. Ten ruchliwy trakt pełen oberży o pięknych, bogato zdobionych szyldach, zwykle tętnił życiem. Ale tego wieczoru była prawie pusta. We wszystkich domach pozamykano okiennice, a nieliczni przechodnie tak się spieszyli, że prawie nie zwracali uwagi na ponury orszak.

Jeden z eskortujących żołnierzy mruknął:

- Wszyscy zgromadzili się przy bramie Burgundzkiej, gdyż tamtędy wjedzie do miasta Dziewica. Gdyby nasi panowie ławnicy kazali powiesić tę kobietę trochę wcześniej, i my bylibyśmy tam również...

- Będziemy musieli się pośpieszyć! - powiedział drugi.

- Ej, wy tam, uciszcie się - rozkazał jadący na koniu sierżant.

Od wschodniej strony miasta dochodził zgiełk złożony z tysięcy głosów. Przypominało to brzęczenie olbrzymiego roju pszczół, podczas gdy wokół nich panowała cisza. Zaczęły bić dzwony kościołów Saint-Etienne, Sainte-Colombe i Notre Dame de la Conception, okrzyki i wiwaty były coraz głośniejsze, a wóz jechał dalej szeroką ulicą prowadzącą do katedry Świętego Krzyża.

- Wjeżdża! - wykrzyknął z podnieceniem w głosie jeden z łuczników. - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Na wieki wieków, amen! - odpowiedział z przyzwyczajenia franciszkanin.

Katarzyna wzruszyła ramionami. Spieszno jej było, by ta ponura komedia wreszcie się skończyła. Co ciekawe, nie myślała już o Arnoldzie, lecz o Michale. Oczami wyobraźni widziała go znowu jadącego na kaźń ulicą Saint-Denis. Otaczał go tłum, podczas gdy ona była teraz sama. Nigdzie nie było dwójki przyjaciół gotowych jej pomóc za cenę utraty własnego życia. Jechała na śmierć wśród całkowitej obojętności, w towarzystwie mnicha i spieszących się żołnierzy.

Ulica zakończyła się nagle, wpadając na plac przed katedrą Świętego Krzyża. Iglice wież połyskiwały jeszcze w resztkach światła. W głębi ciemnego przedsionka, oświetlonego dwiema świecami trzymanymi przez ministrantów, stał kapelan w czarnym ornacie i diakon trzymający wysoki krzyż procesyjny. Radosny zgiełk był coraz bliżej. Teraz z kolei dzwony Świętego Krzyża wylały strugę nieprzyzwoitej radości na głowę skazanej, którą ogarnął gwałtowny bunt. Jakim prawem ci pełni radości ludzie zmuszali ją, aby umarła? Instykt zachowawczy, który obudził się w niej, był tak gwałtowny, że nią wstrząsnął. Zaczęła miotać się w więzach, gdy wóz podskakiwał na nierównym bruku, i krzyczała:

- Nie chcę umierać! Jestem niewinna!... niewinna...

Ogromna wrzawa zagłuszyła jej głos. Wydawało się, iż biegnąca wzdłuż katedry ulica pęka nagle pod naporem gęstniejącego tłumu niosącego tak wiele pochodni, że panowała jasność jak w biały dzień. W jednej chwili plac wypełnił się ludźmi, a z szybko otwieranych okien spływały, nurzając się w kurzu, kobierce i sztuki różnobarwnego jedwabiu. Wóz wiozący Katarzynę został unieruchomiony przez masę ludzką, która nie interesowała się nią wcale. Nad morzem głów Katarzyna zobaczyła postępujący wolno orszak wojskowy. Na jego czele jechał na białym koniu jeździec z odkrytą

głową, a wokół niego cisnął się tłum. Stojąc na wozie, który górował nad tłumem, skazana zrozumiała, że jest to Dziewica Orleańska, i nagle jej bunt nie wiedzieć czemu, zgasł. Patrzyła na zbliżającą się wojowniczkę szeroko otwartymi oczyma. Joanna miała na sobie białą zbroję, błyszczącą niczym srebro i zasłaniającą ją całkowicie. Jedną ręką prowadziła konia, a w drugiej trzymała olbrzymią białą chorągiew obszytą jedwabiem: na polu usianym kwiatami lilii postać Zbawiciela i dwóch aniołów trzymających w dłoniach lilię. Z boku wyhaftowano słowa: „Jezus”, „Maria”. Ale Katarzyna widziała jedynie twarz dziewczyny, wyrazistą i jasną, okoloną ciemnymi, ściętymi na krótko jak u chłopca włosami i niebieskie oczy pełne szczerości i blasku. Mężczyźni i kobiety tłoczyli się wokół białego konia, próbując dotknąć jej dłoni, zbroi lub choćby wierzchowca. Joanna uśmiechała się do nich mile, odsuwała ich łagodnie, prosząc, aby uważali i nie dostali się pod kopyta koni. Jeden z młodych chłopców, pełen entuzjazmu, uniósł pochodnię zbyt blisko jednego z proporców i ten zaczął płonąć. Szybkim gestem Joanna d'Arc uchwyciła proporzec, dłonią zgasiła płomień i odrzuciła poczerńiałe płótno. Dały się słyszeć gromkie wiwaty. Tuż za Dziewicą Katarzyna spostrzegła twarze Jana z Orleanu, Xaintrilles'a, Gaucourta. A także inne, których nie знаła. Nie było tylko Arnolda.

Nagle spojrzenie Joanny skierowało się ku katedrze, zatrzymało na skazanej i nabrało wyrazu niedowierzania. Zatrzymała konia, odwróciła w kierunku Jana z Orleanu i wskazując dłonią na ponury orszak, rzekła poważnym głosem, który zadźwięczał głębokim echem w sercu Katarzyny:

- Panie bastardzie, więc są w tym dobrym mieście serca tak twarde, aby posyłać na śmierć kobietę, w momencie kiedy armia przynosi mu nadzieję?

Jan zmarszczył brwi. Natychmiast rozpoznał Katarzynę i zaczął szukać wokół siebie wzrokiem tego, którego tam nie było. Wzruszył ramionami

gestem pełnym niezadowolenia.

- Rozkazałem, aby tę kobietę pozostawiono w więzieniu do twojego przyjazdu, Joanno, abyś mogła wedle swojej woli zdecydować o jej losie. Przybyła tutaj przed miesiącem w łachmanach i całkowicie wyczerpana. Ale jeden z naszych kapitanów rozpoznał w niej wielką damę i przyjaciółkę Filipa Burgundzkiego. Oskarżył ją, że przybyła tutaj na przespiewki.

- To kłamstwo! Chciałam tylko dołączyć do ludzi w tym mieście, aby umrzeć wraz z nimi... - krzyknęła Katarzyna z taką mocą, że Joanna popatrzyła na nią uważnie.

Spojrzenie fiołkowe i błękitne zatrzymały się przez chwilę na sobie. Katarzyna poczuła nagle, że rodzi się w niej dziwne zaufanie. We wzroku Joanny było tyle dobroci i szczerości, że natychmiast zapomniała o wszystkich uprzedzeniach. A ponieważ Joanna uśmiechnęła się do niej ciepło i po przyjacielsku, nieśmiało oddała uśmiech.

- Jak cię zwą? - zapytała Joanna.

- Katarzyna, szlachetna pani.

Tym razem uśmiech Joanny rozjaśnił całą jej twarz; potrząsnęła wesoło krótko obciętymi włosami:

- Nie jestem szlachetną panią, lecz prostą dziewczyną z pól, i mam młodszą siostrę, która również nosi imię Katarzyna, jak jedna z najdroższych mi świętych. Ponieważ twój los leży w moich rękach, jesteś wolna, Katarzyno. Mam nadzieję, że znajdzie się tutaj jakaś dobra dusza, która zaopiekuje się tobą, gdyż sprawi mi tym przyjemność. Zobaczymy się jeszcze...

Na te słowa, kto tylko mógł, rzucił się w kierunku skazanej. Rozwiązano ją, zdjęto z ohydneho wozu, postawiono na ziemi, a ktoś narzucił jej na ramiona płaszcz. Kłócono się o nią, a ci, którzy jeszcze miesiąc temu domagali się jej śmierci, byli skłonni się bić, aby móc

ofiarować jej gościnę. W tym czasie Joanna i jej świta zsiadli z koni przed katedrą, gdyż dziewczyna chciała pomodlić się, jak to czyniła każdego wieczoru o zachodzie słońca. Zbliżyła się do niej olbrzymia kobieta ubrana w piękny aksamit i obwieszona złotą biżuterią.

- Zechciej mi powierzyć tę więźniarkę, Joanno - powiedziała. - Jestem matką Jakuba Bouchera, skarbnika, u którego masz zamieszkać. Zaopiekuję się nią.

Joanna podziękowała jej uśmiechem.

- Dobrze - powiedziała z prostotą. - I niech cię Pan Bóg błogosławi!

Następnie weszła do olbrzymiego kościoła, niosąc biały proporzec, a wraz z nią weszli, niczym długi, srebrny tren, jej rycerze. Pani Matylda Boucher położyła dłoń na ramieniu Katarzyny, pociągnęła ją za sobą... przeciskając się przez tłum, który rozstępował się przed nią z przyjacielskim szemraniem.

- Chodź, biedaczko. Jesteś taka blada, że musisz się pokrzepić.

Katarzyna dała się prowadzić z wielkim żalem. Ciągle odwracała głowę, chcąc jeszcze raz zobaczyć białą zbroję Joanny, która rysowała się w cieniu portalu. Matylda uśmiechnęła się.

- No chodź - powiedziała. - Zobaczysz ją wkrótce, gdyż będzie mieszkała u nas.

Młoda kobieta ruszyła posłusznie za opiekunką. Kiedy przechodziły przed szpitalem znajdującym się w sąsiedztwie katedry, popatrzyła na wyrzeźbioną nad bramą klęczącą postać z wielkimi skrzydłami.

- Kiedyś - powiedziała głucho - dawno temu, kiedy byłam bardzo mała, pewna kobieta, Cyganka, przepowiedziała mi, że spotkam w życiu anioła! Nie sądzisz, pani Matyldo, że to Joanna jest tym aniołem?

Matylda zatrzymała się na chwilę i spojrzała na swego gościa z nagłą sympatią. To, co uczyniła przedtem, było tylko chrześcijańskim

obowiązkiem i chęcią sprawienia oswobodzicielce przyjemności. Teraz więźniarka wzbudziła w niej zainteresowanie.

- Co do tego nie ma wątpliwości - powiedziała z powagą w głosie.

* * *

Dom Jakuba Bouchera, skarbnika królewskiego w mieście Orlean, znajdował się w pobliżu bramy Regnard, która prowadziła na zachód. Była to wysoka i wspaniała siedziba, której strzeliste wieżyczki, ściany ozdobione kwiatami i okna z kolorowymi szybami świadczyły o bogactwie gospodarzy. Z wysokich okien z krzyżownicami rozciągał się widok na mury obronne oraz na większą część obozu angielskiego. Z drugiej strony rowu między Loarą a bramą Banniere, po stronie północnej, ludzie pana de Salisbury'ego, zabitego na samym początku oblężenia, a następnie panów de Talbota i de Suffolka, zbudowali pięć drewnianych baszt z wieżami obronnymi, z których największa, olbrzymia fortyfikacja broniąca dostępu do rzeki, nosiła nazwę baszty Świętego Wawrzyńca. Powiewał nad nią porzec Jana Talbota, księcia de Shrewsbury. Matylda Boucher pokazała go Katarzynie z okna komnaty, którą dla niej przeznaczyła. Pomimo ciemności widać było wyraźnie cały obóz angielski i rzędy różnobarwnych namiotów ustawionych pomiędzy basztami. Dalej cała okolica, zrównana z ziemią i spalona, przypominała ogoloną głowę.

- Nie mają więcej szczęścia niż my - powiedziała nowa przyjaciółka Katarzyny, wskazując na olbrzymią basztę - i nie jedzą wcale do syta. Od tej sławetnej dostawy śledzi, która kosztowała wiele istnień ludzkich, a której nie udało się zatrzymać księciu de Burbonowi, nie dostali nic innego. Są bardzo głodni. Ale dzisiaj wieczór my, oblężeni, najemy się do syta, dzięki Bogu i Joannie.

Katarzynie wydawało się, że budzi się ze złego snu. Uprzejmość damy dodała jej ducha. Pod wieloma względami przypominała młodej kobiecie jej przyjaciółkę Ermengardę i Katarzyna powiedziała jej o tym z przyjemnością. Schlebilo to bardzo pani Matyldzie, gdyż rodzina de Chateauvillain była znana w całej Francji. Co więcej, ranga gościa sprawiała jej również przyjemność. Zapomniała, że jeszcze przed godziną ta szlachetna dama miała na szyi sznur, i zaczęła zwracać się do Katarzyny „moja droga hrabino”.

Dzięki niej dziewczyna odkryła na nowo wszystkie przyjemności płynące z komfortu.

W salach recepcyjnych służba przygotowywała wystawny bankiet, który skarbnik wydawał na cześć Dziewicy Joanny, ale Matyldzie udało się przywołać dwie pokojówki, które na jej polecenie pospieszyły przygotować Katarzynie kąpiel i komnatę.

Zanurzwszy się w wodzie, Katarzyna pomyślała, że dawno nie zaznała podobnej przyjemności. Miała do swej dyspozycji, jakby dzięki jakimś czarom, wiele litrów ciepłej wody, pachnące mydło i perfumy. Dzbanek z zimną wodą, który przynosił jej każdego ranka poczciwy Pitoul, wydawał się odległą przeszłością. Po kąpeli poczuła się jak nowo narodzona. Nałożyła koszulę z delikatnego batystu i jedwabną suknię koloru jesiennych liści, zbyt obszerną dla niej, lecz po spięciu szpilkami pasującą jak ulał. Podczas gdy służąca czesała jej długie włosy, nie szczędząc okrzyków podziwu, pomyślała, że wszystkie obawy, cały lęk, a nawet wspomnienie cierpień, wszystko to spoczywało teraz na samym dnie brudnej wody, którą służące zamierzały wylać. Kiedy Matylda, która pomagała synowej w ostatnich przygotowaniach, udała się do komnaty, stanęła na progu jak wryta, tak bardzo zaskoczyła ją zmiana, jaką zastała. W ciągu niecałej godziny kopciuszek, którego czekała szubienica, przemienił się w

młoda, piękną i elegancką kobietę. Nie mogła się powstrzymać, aby jej nie ucałować.

- Moja droga hrabino, jest pani po prostu czarująca i teraz zaczynam lepiej rozumieć pewne sprawy! Bo tak naprawdę to myślałam, że szaleństwem byłoby wyobrażać sobie, iż jesteś przyjaciółką tak wymagającego księcia Filipa!

- Już nią nie jestem - powiedziała Katarzyna z uśmiechem. - Opowiem ci, pani, dlaczego. Byłaś dla mnie taka dobra!

- Niechże pani przestanie i proszę czuć się tutaj jak u siebie w domu. Prawie tak szybko jak Dziewica zrozumiałam, że jesteś ofiarą obrzydliwej nienawiści. Witaj w naszym domu. Chodźmy teraz, abym mogła przedstawić cię, pani. Słyszę, że orszak już przybywa.

Rzeczywiście zdawało się, że hałas rozgorączkowanego tłumu przeniósł się na tę stronę. Bez wątpienia Joanna opuściła katedrę i udawała się w kierunku domu. Ale Katarzyna zaczęła protestować:

- Nie, nie dzisiaj! Nie jestem jeszcze gotowa. Jutro padnę do stóp Joanny, aby jej podziękować.

W tym momencie pojawiła się w drzwiach zdyszana Małgorzata Boucher. Uśmiechnęła się do Katarzyny ciepło, gdyż przysłała ją Joanna, lecz zwróciła się do teściowej:

- Nadjeżdża! Błagam cię, chodź, pani matko! Umieram ze strachu i za żadne skarby nie podejść do niej sama.

- Kiedyż przestaniesz bać się zbroi, Małgorzatko? - powiedziała Matylda, wzruszając ramionami. - To przecież nie herszt rozbójników, ale piękna, młoda dziewczyna, uśmiechnięta i pełna słodyczy...

- ...i która przychodzi prosto z nieba! To bardziej emocjonujące niż wszyscy rozbójnicy świata!

Kobiety wyszły pospiesznie, pozostawiając Katarzynę samą.

Rzeczywiście, orszak Joanny już się zbliżał i młoda kobieta podeszła do okna, aby obserwować jego nadejście. Dziewica nadal jechała konno, ale oddała swój porzecz koniuszemu Jehanowi d'Aulonowi, który sunął za nią niczym cień. Chciała ścisnąć wyciągnięte do niej dłonie i brać w ramiona dzieci, które jej podawano. Za nią jechali kapitanowie, zachowując równy szereg, cierpliwi i chociaż raz uśmiechnięci. Tylko jeden miał ponurą minę; jechał roztargniony, z oczami wpatrzonymi w łeb konia. Z bijącym sercem i pałającymi policzkami Katarzyna rozpoznała Arnolda. Nigdy jeszcze nie widziała u niego tak zmienionej i przygaszonej twarzy. Przypominał pokonanego wojownika ciągniętego za rydwanem zwycięzcy, i Katarzyna zaczęła się zastanawiać, czy już wie, że Joanna uratowała ją od śmierci. I czy ta posępna mina spowodowana była faktem, że ocalono jej życie, czy wyrzutami sumienia? Wspomnienia minionej nocy musiały go dręczyć i młoda kobieta się uśmiechnęła. Jakież to wspaniałe uczucie być żywą, młodą, wolną i mieć możliwość podjęcia tej dziwnej walki, którą od tak dawna toczyła z kapitanem de Montsalvym.

- Nie dam ci chwili wytchnienia - szepnęła, kiedy rycerz przejeżdżał pod jej oknem.

Ogarnęło ją głębokie pragnienie rewanżu i zemsty. Widok Arnolda zrodził w jej sercu mieszane uczucia. Był jednocześnie wszystkim, co kochała, i wszystkim, czego nienawidziła; ten mężczyzna, który z zimną krwią i bez najmniejszego wahania posłał ją na śmierć i który szalał z namiętności w jej ramionach. Jego posępny wygląd i smutek malujący się na twarzy wywołały u Katarzyny falę perfidnej radości. Najwyższy czas, aby i on dowiedział się, co to jest cierpienie, aby zrozumiał, że duma nie jest rozwiązaniem!

Kiedy wszyscy weszli do domu i wypełnił się on szumem niczym muszla, Katarzyna wyciągnęła się w łóżku tak wygodnym, że o mało nie

rozpłakała się z radości. Jej złość na Arnolda rosła, lecz wzmagał się także jej niepokój. Dzisiaj lub jutro staną twarzą w twarz i młoda kobieta nie ukrywała, że boi się tej chwili bardziej niż czegokolwiek na świecie. Jak zareaguje, kiedy ją zobaczy, kiedy przekona się, że ona żyje? Arnold stanowił dla Katarzyny trudną do rozwiązania zagadkę. Dwa razy ofiarowała mu się pełną ufności i przyzwolenia, tak iż nie mógł mieć wątpliwości co do jej uczuć. Skąd więc od tamtego czasu ta nienawiść tak wielka, że oddał ją na tortury, rzucił katu? Bał się jej, to pewne, bał się też pożądanego, jakie w nim budziła; ponieważ uważał, że to jakieś czary, usiłował uwolnić się od niej w najbardziej okrutny sposób.

Katarzyna próbowała postawić się na miejscu młodzieńca. Kiedy go spotkała w drodze do Flandrii, nawet nie usiłował oprzeć się czarowi, jaki na nim wywarła. Nie stawiał pytań, a ponieważ była piękna, wziął ją w ramiona, gdyż miał na to ochotę; chciał uczynić ją swoją, nie starając się dowiedzieć niczego więcej. Ale w chwili gdy czysta miłość rzuciła ich ku sobie, los spletał im złośliwego figla i rozdzielił ich. Dlaczego tak się stało, że z okoliczności śmierci brata zapamiętał tylko nazwisko Legoix? Przecież było w Paryżu wiele osób o tym nazwisku, ale tylko jedna z nich, kuzyn Tomasz, obsługiwała nóż gilotyny, która odebrała życie Michałowi. Jeśli Arnold miał tak dokładne informacje, jakże to było możliwe, że nie wiedział o roli, jaką odegrała w tej sprawie mała paryska dziewczynka? Nikt więc nie powiedział mu o złotniku, którego powieszono za to, że udzielił schronienia jego bratu, o zropanym dziecku, które stawiając czoło wściekłości ludu, błagało, aby oszczędzono młodzieńca? Arnold utożsamiał Katarzynę ze wszystkimi Legoix na ziemi, nie starając się nawet dowiedzieć, kto zawinił, a kto nie.

Jednakże w miarę jak myśli młodej kobiety podążały swą drogą, odkrywała w głębi duszy powody, dla których mogłaby mu wybaczyć. Bo tak naprawdę, dlaczego Arnold miałby mieć do niej zaufanie? Nosila

nazwisko, któremu poprzysiągł zemstę, a przecież kiedy się spotkali pod murami miasta Arras, miotany uczuciami, jakie w nim wywoływała, zapomniał o swej zemście.

I cóż się potem stało? Rozdzielono ich, postępując niezgodnie z prawami rycerskimi. Arnold znalazł się w więzieniu. Kiedy z niego wyszedł, znalazł Katarzynę w łóżu samego księcia Filipa i jeśli nawet uwierzył, że młoda kobieta przyczyniła się do jego oswobodzenia, z pewnością nie sprawiło mu to przyjemności. W końcu, kiedy spotkał ją znowu w łachmanach i półżywą pod murami Orleanu, jakże mógł odgadnąć, iż pragnąc się z nim połączyć, przez wiele dni znosiła straszne męki? Dla tego mężczyzny, zamkniętego od kilku miesięcy w obleżonym i cierpiącym głód mieście, wszystko, co pochodziło z Burgundii, było niebezpieczne...

W miarę jak czas upływał, myśli Katarzyny stawały się coraz bardziej przychylnie dla Arnolda. Rozumiała go teraz, a nawet wybaczała mu tę nieprzejeжданą nienawiść, jaką do niej żywił. Być może na jego miejscu uczyniłaby tak samo... I być może byłoby dla niej lepiej zrezygnować. Zdała sobie sprawę, że śniła, tylko i wyłącznie śniła o przyszłości razem z Arnoldem de Montsalvy. Zbyt wiele ich dzieliło, zbyt wiele gorzkości i przeszkód. Nigdy nie będzie mógł uwierzyć w szczerą miłość kobiety, której nie ufał. Poczwała głębokie i nużące zmęczenie.

Ponieważ odzwyczaiła się rozbierać do snu, zaczynała zapadać w drzemkę, kiedy pojawiła się podekscytowana pani Matylda.

- Czy uwierzysz, pani, że Joanna nie chce brać udziału w uczcie, którą przygotowaliśmy? - wykrzyknęła. - Kapitanowie Jego Wysokości Jana uczynili nam ten honor, lecz jej trzeba było podać kilka kromek chleba, które zjadła, maczając w winie rozcieńczonym wodą. Cóż za dieta! Jej kapelan, brat Jan Pasquerel, powiedział mi, że prawie nigdy nie jada nic innego.

- Ani ty, pani Matyldo, ani ja nie wiemy nic o wysłanniczkach bożych i

o ich przyzwyczajeniach - odparła Katarzyna łagodnie. - To są sprawy niezbadane...

Nieprzekonana Matylda Boucher skinęła poważnie dużą głową przyozdobioną nakryciem z dwoma półksiężycami.

- Czy wierzysz, pani, że naprawdę jest tylko dziewczyną z pól, jak się mówi? Widziałas, jak siedzi na koniu? Cóż za pewność i godność. Pan d'Aulon, jej koniuszy, zapewniał mnie, że ostatnio w Tours walczyła na lance z Jego Wysokością księciem d'Alencon, który był całkowicie zaskoczony jej zręcznością. Czyż to nie dziwne?

Pocziwa kobieta jeszcze długo rozprawiała o osobliwościach Joanny, lecz Katarzyna prawie jej nie słuchała. Cała jej uwaga skierowana była w stronę męskiego głosu dochodzącego z niższego piętra; głosu równie szorstkiego, co ciepłego, od którego poczuła ciarki na skórze. Kiedy gospodyni wyszła, pozostawiając ją znowu samą, Katarzyna poczuła, że spada na nią ciężka zasłona smutku i zwątpienia, które szły za nią od chwili oswobodzenia. Trudno było podjąć jakąś właściwą decyzję. Czy znajdzie kiedyś odwagę, aby zostawić Arnolda, odejść od niego na zawsze?

* * *

Następnego ranka Katarzynę obudził głos okrutnie przeklinający i złorzeczący. Ponieważ wydawało jej się, że go rozpoznaje, wyskoczyła z łoża, bosobiegła do okna i wychyliła się na zewnątrz. Przed domem, w zbroi i z hełmem pod pachą, stał Arnold, który kłócił się ze skarbnikiem Jakubem Boucherem. Obaj krzyczeli tak głośno, że z początku Katarzyna nie rozumiała nic z tego, co mówili; wokół nich zrobiło się zbiegowisko. Boucher z rozpostartymi ramionami zdawał się zastępować kapitanowi drogę.

- Do diabła! - krzyknął w końcu rozwścieczony Arnold. - Bądź pewien, że mnie nie powstrzymasz! Sądziłem, że ta rozpustnica nie żyje od wczoraj, a dzisiaj dowiaduję się, że gości pod tym dachem! Ten skandal nie potrwa długo, nawet jeśli będę zmuszony sam powiesić na szubienicy tę przekłętą czarownicę!

Boucher zamierzał coś odpowiedzieć, ale inny głos, równie silny jak głos młodzieńca, dał się słyszeć na ulicy. Katarzyna zobaczyła, że Joanna wybiega z domu, rzuca się na Arnolda, chwyta za ramiona i zaczyna mocno nim potrząsać.

- Panie! - krzyknęła. - Jak śmiesz przeklinać imieniem naszego Pana. Zapewniam cię, że odwołasz te słowa, zanim stąd odejdziesz.

Grom z nieba byłby dla Arnolda z pewnością mniej zaskakujący niż gwałtowny atak ze strony Dziewicy. Władczy ton i mocna pięść młodej dziewczyny wywołały osłupienie u najbardziej popędliwego z kapitanów, gdyż najwyraźniej Anioł Pański miał mocną rękę!

Ale Arnold nie był mężczyzną, którego dałoby się łatwo onieśmielić.

- Jestem kapitanem de Montsalvym i chcę wejść do tego domu, aby sprawiedliwości stało się zadość! - wykrzyknął.

- Czy jesteś naszym panem i władcą, że wolno ci wchodzić wbrew woli pana Bouchera? Jest to zresztą sprawa między wami dwoma. Dla mnie zaś jest ważne, żebyś poprosił Boga o wybaczenie za to, żeś Go obraził swoimi przekleństwami. Nie zwolnię cię z tego. Na kolana!

Na kolana? Dziewica ośmieliła się nakazać panu de Montsalvy'emu, aby ukląkł? Na wpół zaniepokojona i na wpół zgorszona Katarzyna nie wierzyła własnym uszom. Nie uwierzyła też własnym oczom, kiedy zobaczyła, że Arnold z pałowoczerwonego stał się zielonkawobiały, ale ukląkł i zmówił krótką modlitwę. Ze smutkiem pomyślała, że Arnold bez wątpienia dorzuci to poniżenie, jakie wymusiła na nim Joanna, na już i tak

ciężkie jej własne konto. Zrozumiała, że jego nienawiść nie ustąpiła. Gdyby nie łaska Dziewicy, Arnold pozwoliłby jej umrzeć. Czyż nie chciał powiesić jej osobiście? Trudno, nawet gdyby miała umrzeć z rozpacz, musiała spróbować ze wszystkich sił wydrzeć z serca tę nedorzeczną miłość.

Kiedy kapitan kończył się modlić, Joanna weszła do domu Jakuba Bouchera. Tymczasem u wlotu ulicy pojawił się pan Xaintrailles w towarzystwie innego kapitana, równie gwałtownego i groźnego. Na widok Arnolda modlącego się pośrodku ulicy obydwaj zatrzymali się i zaczęli skrecać się ze śmiechu. Złość Arnolda obróciła się przeciwko nim.

- Chciałbym wiedzieć, czemu śmiejecie się jak opętani - wykrzyknął kłótliwym głosem.

Agresywny ton Arnolda nie zmieszał obu mężczyzn. Starszy przestał się śmiać i powiedział szyderczo:

- Mam wrażenie, że Dziewica zaczęła cię tresować, synu. Można by rzec, że wreszcie znalazłeś pana!

- Założmy się, że ciebie czeka to samo, panie La Hire*. W całej armii nikt nie klnie gorzej od ciebie i zobaczymy, co powie Joanna, kiedy cię usłyszy. Gotów jestem iść z tobą o zakład.

* *(franc.) Gniew.*

- W jakiej sprawie? - zapytał ostrożnie Gaskończyk.

- W twojej sprawie. Stawiam sto złotych talarów, że każe ci iść do spowiedzi!

Śmiech La Hire'a wstrząsnął murami. Płakał z radości i hałaśliwie klepał się po pośladkach. Słynący w całej armii ze swego złego charakteru Stefan de Vignolles, nazwany jednogłównie La Hire, radował się równie gwałtownie, jak złościł.

- Zgoda! - wykrzyknął. - Możesz już odliczać sto talarów. Ja miałbym iść do spowiedzi? Nawet papież nie ośmieliłby się poprosić mnie o to...

- Joanna się ośmieli. I będziesz musiał posłuchać, mój chłopcze... bo nie można jej nie posłuchać, zobaczysz!

To mówiąc, Arnold podniósł oczy i zobaczył Katarzynę stojącą w oknie, w długiej białej koszuli i z opadającymi na nią złocistymi warkoczami. Zbladł i odwrócił wzrok. A następnie biorąc pod ramię de Xaintrilles'a rzekł głośno, aby usłyszała go Katarzyna:

- Chodźmy stąd. Niech Joanna uczyni z tą kobietą, co jej się żywnie podoba. A najlepiej niech pośle ją do diabła...

- Joanna miałyby posłać kogoś do diabła? Bardzo bym się zdziwił - powiedział La Hire ze szczerym zdumieniem.

Ponieważ nie znał sprawy, niczego nie rozumiał, ale za to Xaintrilles uśmiechnął się porozumiewawczo. A gdy obaj mężczyźni odwrócili się do niego plecami, posłał Katarzynie uśmiech i pozdrowienie.

Zmniejszyły one trochę nieprzyjemne wrażenie, jakie pozostawiły po sobie słowa Arnolda. Wydawało się, że Xaintrilles zachował do niej pewną słabość i młoda kobieta pomyślała, że jako najlepszy przyjaciel Arnolda ma na niego, być może, jakiś wpływ na niego. Obiecała sobie, że spotka się z Xaintrilles'em i poważnie z nim porozmawia.

Przez cały dzień, wraz w innymi kobietami zamieszkującymi dom, Katarzyna obserwowała Joannę d'Arc. Dziewica fascynowała ją i przyciągała z taką siłą, że chwilami zapominała nawet o Arnoldzie. Kiedy zaczynała o nim myśleć, odpychała myśli z zażenowaniem z powodu zbyt dokładnych i płomiennych obrazów, jakie wywoływały. W obecności wielkiej Lotarynki, prostej i czystej, takie wspomnienia wydawały się Katarzynie świętokradztwem. Jednakże Joanna, mimo że całe miasto ogłosiło ją już świętą i błogosławioną, w niczym nie przypominała postaci z witraża.

Tryskała radością, ale kiedy zachodziła konieczność, potrafiła wpaść w gniew równie silny, jak gniew któregoś z jej kapitanów. Arnold de Montsalvy odczuł to na własnej skórze.

Tego ranka, podczas mszy odprawionej dla niej przez brata Jana Pasquerela w kaplicy Matyldy Boucher, Joanna nie mogła usiedzieć na miejscu. Paliła się do walki i najwyraźniej była wściekła, że z powodu rad Jana z Orleanu następuje opóźnienie.

- Lepiej - mówił bastard - poczekać na resztę armii, która jest jeszcze w Blois.

Aby ją utworzyć, sprowadzono część okolicznych garnizonów i potrzeba było trochę czasu dla zgrupowania w sposób zwarty tych różnych pododdziałów.

Ale, jak każda Lotarynka, Joanna była bardzo uparta. Katarzyna ukryła się z Matyldą za drzwiami dużej komnaty, w której odbywała się burzliwa narada wojenna. Z jednej strony Joanna wspierana przez La Hire'a, Xaintrilles'a i de Montsalvy'ego obstawała przy natychmiastowym ataku. Z drugiej strony bastard, Gaucourt i pan de Gamaches chcieli czekać na armię. Od słowa do słowa między Gamaches'em i Joanną wybuchła gwałtowna kłótnia. Joanna, uważająca się za dowódcę armii, nie lubiła, kiedy ktoś sprzeciwiał się jej rozkazom. Rozwścieczony Gamaches nazwał ją głupią niewiastą, aż w końcu krzyknął, że rezygnuje z pełnionych funkcji i niewiele brakowało, by Arnold wypruł mu mieczem wnętrzności, rycząc, że wciśnie mu do gardła obelgi skierowane pod adresem Joanny. Nie bez trudu udało się bastardowi przeszkodzić Owerniakowi w podcięciu gardła popędliwemu Pikardyjczykowi. Zganił najpierw Gamaches'a, następnie nieco łagodniej Joannę i w końcu doprowadził do tego, że wprawdzie z kwaśnymi minami, ale dwaj panowie pogodzili się.

Gdy zdecydowano, że bastard i koniuszy Joanny pojedą do Blois, aby

przyspieszyć nadejście armii, Joanna zaczęła dyktować Janowi Pasquerelowi list do Anglików. Pan de Xaintrilles opuścił salę narad, aby poprosić o podanie wina. Kiedy stanął w drzwiach, znalazł się oko w oko z Katarzyną.

- Panie - powiedziała cicho - chciałam z tobą porozmawiać. Czy możesz poświęcić mi jedną chwilę?

Za całą odpowiedź wziął ją za ramię i odciągnął na bok, we wnękę okienną, upewniwszy się najpierw, że w sali obrad wszyscy są zajęci.

- Cóż mogę uczynić dla ciebie, piękna pani? - spytał uprzejmie, uśmiechając się tym razem szeroko.

- Chciałam ci, panie, przede wszystkim podziękować. Dowiedziałam się od mojego strażnika w więzieniu, że dzięki tobie dyscyplina została znacznie złagodzona. Dawano mi jeść, nie byłam wcale przykuta łańcuchami i...

- Ależ, droga pani, nie jesteś mi winna żadnych podziękowań. Postąpiłem, jak nakazywało mi sumienie. Nie pamiętasz, że kiedyś wyciągnęłaś nas, pani, z więzienia w Arras?

Katarzynie nie udało się powstrzymać pełnego rozczarowania westchnienia.

- Ach! Więc to dlatego? Miałam nadzieję, że wierzy pan w moją niewinność. Sądziłam, że chcesz, panie, naprawić niesprawiedliwość, jaka spotkała mnie od pana Arnolda...

- Pewnie i dlatego również. Nigdy nie uwierzyłem, że miałaś tu, pani, jakieś zadanie do spełnienia. Byłaś w tak opłakanym stanie! Tylko ślepe zaciętrzewienie Arnolda mogło spowodować taką pomyłkę. A ponieważ nie chciałaś mnie słuchać, robiłem, co mogłem...

- Nawet nie wiesz, panie, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Gdyby nie ty, on rzuciłby mnie bez litości na pożarcie katu. Nienawidzi mnie, prawda?

Na szerokiej twarzy de Xaintrilles'a pojawiła się zaduma zupełnie u

niego niespotykana. Wydawało się, że zastanawia się nad odpowiedzią, czując, że stąpa po niepewnym gruncie.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Wydaje się, że cię nienawidzi, a przecież...

- A przecież? - szepnęła Katarzyna z nadzieją w głosie.

- A przecież postępuje dziwnie. Wiesz, pani, dlaczego dopiero dzisiaj rano dowiedział się, że zostałaś ocalona? Tylko dlatego, że wczoraj wieczór spił się na umór. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby w trunkach topił zmartwienia. Wychylał kubek za kubkiem i za każdym razem wznosił toast w kierunku jakiejś niewidzialnej osoby. Nad ranem wyniesiono go płaczącego jak dziecko. Mamrotał jakieś niezrozumiałe słowa, ale wydawało mi się, że wymienia też twoje, pani, imię. Być może nienawidzi cię, pani. Ale twierdziłbym raczej, że kocha cię jeszcze mocniej!

Z dużej sali dał się słyszeć głos Illiers'a, który krzyknął:

- No co tam z tym winem, panie de Xaintrailles?

- Już idę! - odpowiedział rycerz. A następnie widząc, że Katarzyna stara się go jeszcze zatrzymać, nachylił się ku niej i zapytał, ściszej głos: - Kochasz go, pani, nieprawdaż?

- Nade wszystko w świecie! - żarliwie przytaknęła, tak szczerze, że wywołało to uśmiech na twarzy Xaintrailles'a.

- Ma więcej szczęścia niż rozumu. Posłuchaj mnie, piękna Katarzyno. Arnold jest bardziej uparty niż wszystkie muły w całym królestwie, ale za tym strasznym charakterem kryje się bardzo wrażliwe serce. Jeśli potrafisz zdobyć się na cierpliwość, istnieje pewna szansa, chociaż jest uparty, że nadejdzie taki dzień, kiedy przestanie opierać się tej miłości.

- Ale dzisiaj rano sam chciał mnie powiesić!

- Być może, kiedy tutaj przybył. Ale wcześniej, szkoda, że nie widziałaś, pani, jego spojrzenia, kiedy dowiedział się, że Joanna ocaliła ci

życie. We wzroku Arnolda można wyczytać wszystko. To, co zobaczyłem, to był błysk radości...

Xaintrilles oddalił się, nie mówiąc nic więcej i zostawiając Katarzynę sam na sam z myślami. Tych kilka wypowiedzianych słów obudziło w Katarzynie nikły promyk nadziei, nadziei, która z trudem umiera w sercu naprawdę oddanym...

Podczas gdy mężczyźni raczyli się winem w dużej sali, Joanna wróciła do kobiet, aby pomogły jej włożyć zbroję. Matylda, Małgorzata i Katarzyna dołączyły do nich, podając jedna przez drugą części białej zbroi. Katarzyna, klęcząc u stóp Joanny, pomagała jej w zakładaniu stalowych trzewików. Nagle podniosła głowę i zapytała:

- Dlaczego zakładasz zbroję, pani Joanno, skoro nie będziecie dzisiaj atakować? Chyba nie będziesz szturmować sama?

Joanna zaczęła się śmiać.

- Chętnie bym to uczyniła, droga przyjaciółko. Ale chcę tylko towarzyszyć moim wysłannikom do dużego mostu... i zobaczyć, co tam się dzieje.

Dwaj heroldowie Joanny, Guyenne i Ambleville, mieli dostarczyć list do obozu Talbota zgodnie z przyjętym ceremoniałem rycerskim.

- Pani Joanno - szepnęła Katarzyna, trzymając w dłoni jedną z rękawic dziewczyny. - Chciałabym z tobą pójść. Nałożę męski strój. Będę twoim giermkim.

- ...a moi kapitanowie będą mieli uciechę z powodu tak ładnego giermka - uśmiechnęła się Joanna. - Muszą zachować zimną krew, gdyż miasto bardzo ich potrzebuje. Idź, Katarzyno, na mury, to zobaczysz wszystko.

Katarzyna westchnęła, lecz nie nalegała. Zobaczyła, jak Joanna wsiada na konia i oddała się w towarzystwie kilku swoich dowódców, wśród których

połyskiwała złowrogo czarna zbroja Arnolda. Wydawało się, że stara się jak najgorliwiej służyć Dziewicy, ale, rzecz dziwna, Katarzyna nie odczuwała zazdrości. Joanna posiadała tajemną moc: tłumienia złych podszeptów, które mogły rodzić się w głębi duszy. Co więcej, Katarzynie wydawało się, że nic złego nie może przytrafić się młodemu dowódcy, kiedy znajduje się przy Lotarynce. Joanna budziła zaufanie...

Podczas gdy Joanna i jej świta przebywali poza murami, Katarzyna pozostawała na murach przy bramie Regnard, śledząc ruchy grupy wojowników, i zeszła stamtąd, dopiero gdy zobaczyła, że wracają. Po powrocie do domu stwierdziła, że oczy Joanny są pełne łez. Anglicy odpowiedzieli na jej list obelgami, nazwali ją rozpustnicą i dziewczuchą od krów. A co było najgorsze, na oczach Dziewicy zatrzymali jako zakładnika jednego z jej heroldów. Wrócił tylko Ambleville. Guyenne został zatrzymany w obozie angielskim i Gladsdale groził, że spali go żywcem.

Natychmiast zerwał się Arnold.

- Idę tam! - krzyknął. - Przyprawdę go.

- Nie! - krzyknęła Katarzyna tak spontanicznie, że wszyscy odwrócili głowy w jej stronę.

Zaczerwieniła się ze wstydu pod tymi spojrzeniami, a ponieważ Arnold, nie racząc nic odpowiedzieć, zmierzył ją złym spojrzeniem, ukryła się za szerokimi plecami pani Matyldy i pragnęła zapaść się pod ziemię. Tylko Joanna uśmiechnęła się do niej.

- Ambleville musi powrócić - rzekła, zwracając się do drugiego herolda, nieżywego ze strachu. A ponieważ nieszczęśnik szczekał zębami, potrząsnęła głową. - Mój Boże - powiedziała, klepiąc go po ramieniu - nie zrobią krzywdy ani tobie, ani jemu. Powiesz Talbotowi, żeby stanął w zbroi u wrót miasta, ja również stanę w zbroi. Jeśli zwycięży, niech mnie spali razem z Guyenne'em. Jeśli wygram ja, niechaj przerwie oblężenie i niech

Anglicy wracają do siebie...

Wówczas wtrącił się Jan z Orleanu:

- Twoja intencja jest wspaniałomyślna i szlachetna, Joanno. Ale Talbot nie zgodzi się. Jest wielkim dowódcą i dobrym rycerzem, więc za żadne skarby świata nie zmierzy się z niewiastą. Według mnie, wystarczy, aby Ambleville powiedział, że uczynimy to samo, co oni chcą zrobić z Guyenne'em, z więźniami angielskimi, a także z tymi, którzy przyjdą rozmawiać o okupie.

Rada okazała się dobra. W godzinę później Ambleville przyprowadził Guyenne'a i uspokojona Joanna udała się ze wszystkimi domownikami do katedry, aby odśpiewać antyfonę do Przenajświętszej Dziewicy. Katarzyna wraz z Matyldą i Małgorzatą uczyniła to samo.

O zmroku, kiedy po zakończeniu uroczystości wszyscy wracali do domu, młoda kobieta poczuła na sobie natrętne spojrzenie jednego z dowódców Dziewicy. Spojrzenie to było tak natarczywe, że odczuła pewne zażenowanie, a jednocześnie lekkie uczucie triumfu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ktoś spoglądał na nią z takim pożądaniem, nie starając się nawet tego ukryć. To przywróciło jej pewność siebie. Rycerz ten był człowiekiem wysokim i mógł mieć około dwudziestu pięciu lat. Jego włosy i krótka broda okalająca surową i zarozumiałą twarz były tak czarne, że odbijały się w nich granatowe refleksy. Posepne oczy płonęły jak dwa węgle, a usta, wąskie i czerwone, przecinały twarz niczym świeża rana. Jego widok wprowadził Katarzynę w drżenie. Pochyliwszy się w stronę Matyldy, zapytała, wskazując go dyskretnie:

- Kim jest ten pan o posepnym wyglądzie?

Stara dama rzuciła w jego stronę szybkie spojrzenie, zmarszczyła brwi i prędko odciągnęła swoją protegowaną.

- Bretończyk, ze szlacheckiego rodu Lavalów. Nazywa się Gelles de

Rais. Mówi się, że jest okrutnie bogaty. Jest odważny, ale bardzo dziki, jak bez wątpienia zauważyłaś, pani. Wychowywał go dziad, stary groźny rozbójnik Jan de Craon, który nie uznawał żadnego innego prawa oprócz swojego. Całe miasto mówi już o bogactwie tego młodzieńca... i o jego grubiaństwie. Zamieszkał w oberży „Pod Czarną Głową” u Agnieszki Grosvillain, która nie wie, czy cieszyć się z jego szczodrości, czy też skarżyć na jego wybryki. Mówi się, że zmusza do tego dziewczyny... a nawet młodych chłopców! Jeśli chodzi o mnie, nie podoba mi się wcale i nie życzę ci, pani, abyś zwróciła na siebie jego uwagę...

Katarzynie nie udało się zapomnieć o uczuciu skrępowania, jakie odczuła pod wpływem spojrzenia pana de Raisa, i długo w nocy była pod jego wrażeniem. Wszyscy od dawna spali, a Katarzyna nadal przewracała się w łóżu, nie mogąc zasnąć. Dom Jakuba Bouchera pogrążony był we śnie. Zza drzwi dochodziło chrapanie giermka d'Aulona, śpiącego pod drzwiami komnaty Joanny i Małgorzaty. Było to jedno z przyzwyczajień Dziewicy. Każdej nocy któraś z kobiet dzieliła jej łóżo. Jej dwaj paziowie, młody Rajmund i zabawny Ludwik de Comtes, zwany Brzydalem, spali w korytarzu. Ale pomimo obecności tylu osób Katarzyna nie mogła pozbyć się uczucia jakiejś nieokreślonej trwogi, która ją ogarnęła. Gdzieś około północy usłyszała pod otwartym oknem podejrzany hałas: uporczywe skrobanie, jakby ktoś drapał w zewnętrzną ścianę.

Młoda kobieta niezwłocznie zerwała się na nogi, rzuciła się w kierunku okna i wychyliła ostrożnie głowę, tak aby jej nie dostrzeżono. Natychmiast stłumiła w sobie okrzyk zdziwienia; w dole zobaczyła człowieka wspinającego się wolno po gładkim murze. Wydawało się, że tajemniczy gość jest zręczny jak kot. Bez wątpienia wkrótce pojawiłby się w oknie Katarzyny, gdyby inny męski kształt nie wynurzył się z jakiejś wnęki i nie skoczył w jego kierunku. Nieznajomy złapany za nogi wydał przytłumiony

okrzyk, stracił równowagę i upadł na ziemię. Nowo przybyły rzucił się na niego całym ciężarem swego ciała. Na oczach Katarzyny, która nie wiedziała, czy wzywać pomocy, czy milczeć, wywiązała się zacięta walka. Powoli jej oczy przyzwyczajały się do ciemności, zresztą nie bardzo głębokiej, bo chociaż nie świecił księżyc, noc była jasna. Katarzyna spostrzegła, że obaj mężczyźni są tego samego wzrostu i tak samo silni. Raz jeden był górą, raz drugi, lecz w ciemnościach ulicy ciemne kaftany i ciemne włosy wyglądały podobnie. Słyszała odgłos ich oddechów, głośnych niczym miechy w kuźni. Nagle przestraszona młoda kobieta dostrzegła błysk sztyletu, a z kłębowiska ludzkich ciał wyrwał się okrzyk bólu. Już miała krzyknąć, kiedy na pierwszym piętrze otwarło się okno i stanął w nim mężczyzna w koszuli, ze świecą w ręku. Wysunął świecę w kierunku ulicy, starając się dostrzec, co dzieje się w dole:

- Hej! - krzyknął. - Co się tam dzieje? Co tu robicie o tak późnej porze?

Walczący ochłonęli i nie czekali na ciąg dalszy. Obaj czmychnęli, jeden w kierunku rzeki, w stronę wieży Notre Dame, a drugi w kierunku bramy Banniere. Dał się słyszeć tupot ich szybkich kroków, a potem nasłała cisza. Wzruszając ramionami, pan Boucher zamknął okno. Światło zgasło. Rozmarzona Katarzyna wróciła do łóża. Wydawało się jej, że rozpoznała czarną brodę pana de Raisa, ale nie była całkiem pewna. Lecz kim był ten drugi?

Zaczęła zastanawiać się nad tym i nagle usiadła na łóżku z bijącym sercem; usłyszała ponownie, podobne do poprzedniego, drapanie. Wyteżając słuch i wzrok, wstrzymała oddech i nasłuchiwała lekkiego skrobania po murze, które stawało się coraz bliższe. Oblał ją zimny pot; któryś z mężczyzn powracał. Ogarnął ją taki strach, że nie była w stanie zrobić najmniejszego ruchu. Hałas stawał się coraz wyraźniejszy.

Kiedy czyjaś głowa ukazała się w otworze okiennym, Katarzyna

otworzyła usta, aby krzyknąć, lecz żaden dźwięk nie wyrwał się z jej zaciśniętej krtani. Czarny kształt wślizgnął się do komnaty, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Niebezpieczeństwo dodało dziewczynie odwagi. Żwawo wyskoczyła z łoża i rzuciła się w kierunku drzwi, lecz szelest jej długiej koszuli nocnej zwrócił uwagę mężczyzny, bo, nie wahając się, skoczył w jej kierunku i objął ją mocno.

Katarzyna poczuła przy sobie mocne ciało, twarde mięśnie opięte miękką skórą. Mężczyzna oddychał głośno, a ona rozpoznała lekki zapach jego oddechu, zanim zdążył zamknąć usta. Strach nagle zniknął, a ona, już pokonana, przestała stawiać opór.

- Arnold!... - szepnęła - powróciłeś!...

Nie odpowiedział. Wydawało się, że ogarnął go dziwny szal. Bez słowa, brutalnie i w pośpiechu zerwał z niej koszulę, szukając łagodnego ciepła jej ciała. Jego ręce błędziły w szybkich i szaleńczych pieszczotach. Katarzyna czuła rosnącą falę rozkoszy. Ofiarowała mu się na wpół szalona z żądzą, z rosnącą namiętnością oddawała pocałunki. Ciemna komnata zaczęła wirować wokół niej, poczuła, że słania się na nogach, a on poderwał ją z ziemi i dyszącą poniósł do łoża, w którego miękkości zanurzyli się oboje. Cicha, tajemna i pełna westchnień noc zamknęła się nad kochankami.

Przez cały czas nie powiedział ani jednego słowa. Posiadł ją z zaciśniętymi zębami, w jakimś rozpaczliwym, lecz pełnym namiętności szale. Z takim zapałem oddawali się obydwójce gwałtownej rozkoszy, że Katarzyna nie mogła stwierdzić, które z nich jest niewolnikiem drugiego.

Kiedy w głębi radosnego odrętwienia poczuła, że Arnold zbiera się do odejścia, chciała go powstrzymać; wyciągnęła ramiona, lecz napotkała na pustkę. Zerwała się natychmiast i zobaczyła jego sylwetkę znikającą w oknie, ale nie ośmieliła się zawołać. Był już na samym dole. Słyszała, jak oddala się, biegnąc, i z uśmiechem szczęścia ułożyła się wygodnie na

poduszkach. Mógł sobie uciekać. Tej nocy Katarzyna zebrała całe żniwo szczęścia. Jutro też będzie dzień, jutro go odnajdzie. Już nie miała ochoty odchodzić i zaszywać się gdzieś w Burgundii. Xaintrailles miał rację. Lecz może walka będzie krótsza, niż przypuszczał. Wydawało się, że Arnold był bliski złożenia broni...

Katarzyna spędziła resztkę nocy, robiąc plany na przyszłość, a każdy był wspanialszy od poprzedniego.

* * *

Ale następnego ranka, kiedy kapitanowie przybyli do Joanny, aby wysłuchać rozkazów, Katarzyna, która z góry schodów obserwowała ich połyskujące zbroje i różnobarwne pióropusze, stwierdziła, że Gelles de Rais ma na policzku jeszcze świeżą ranę, podczas gdy oko Arnolda de Montsalvy'ego było po mistrzowsku podbite, szczególnie, którego Katarzyna nie zauważyła w nocy. Spojrzenie Arnolda spoczęło na niej tylko przez chwilę. Bardzo szybko odwrócił głowę i potem nie popatrzył już w stronę schodów.

Pokiereszowane twarze obu kapitanów zwróciły uwagę Joanny d'Arc. Spoglądając kolejno na pana de Raisa i pana de Montsalvy'ego stwierdziła słodko-kwaśnym tonem:

- Byłoby lepiej dla Boga i delfina*, abyście panowie spędzali noce we własnych łóżkach.

** Aż do koronacji Joanna d'Arc nazywała Karola VII delfinem.*

Obaj winowajcy spuścili głowy niczym łobuzy złapane na gorącym uczynku, ale zakłopotana mina Arnolda nie pocieszyła Katarzyny, która

przestała cokolwiek z tego rozumieć. Dlaczego zachowuje się odpychająco i obojętnie po tak płomiennej nocy? Czy kiedy nastął dzień, zaczął się wstydzic miłości, jaką w nim wzbudzała? A zresztą, czy to była miłość, ten gwałtowny głód jej ciała, przed którym nie potrafił się obronić?

Katarzyna zachowała na długo w pamięci ostatnie dni oblężenia Orleanu, wspomnienie jednocześnie gwałtowne, mgliste i nierzeczywiste, ale całkowicie zdominowane przez osobę postawnej dziewczyny o błękitnych oczach, która trzymała się na koniu niczym mężczyzna, mężnie dowodziła szturmem, ale umiała także pochylać się z czułością matki nad rannymi i umierającymi, potrafiła płakać, z pokorą spowiadać się ze swych błędów Janowi Pasquerelowi lub słuchając mszy, potrafiła również grozić bastardowi, że zetnie mu głowę, jeśli ten pozwoli przedostać się posiłkom, które prowadził Anglik Falstaff. Wzniosła i łagodna Joanna, której gorące serce nie znało półśrodków.

Wieczorem 4 maja, na zakończenie dnia, w którym Dziewica odebrała Anglikom basztę Saint-Loup, otwierając w ten sposób drogę w kierunku Burgundii, Katarzyna zobaczyła, że do miasta wchodzi armia pomocnicza i konwój z żywnością, którym dowodził Jan z Orleanu. Następnego dnia, we Wniebowstąpienie, zobaczyła, jak Joanna modli się z pochylonym czołem w katedrze Świętego Krzyża, a następnie, 6 maja, jak przekracza Loarę i siłą zdobywa klasztor augustianów, w którym bronili się Anglicy; widziała, jak 7 maja, podczas szturm na fort Tournelles wyrywa wbitą w ramię strzałę, po czym robi sobie opatrunek z oleju i słoniny i powraca do szturm. Przed zachodem słońca ciało Williama Gladsdale'a, który parę dni wcześniej obrzucił ją obelgami, zostało zrzucone z murów fortecy do Loary. Katarzyna stojąc na murach obok modlącej się Matyldy Boucher i kanoniera Jana Rabatteau, którego katapulty czyniły spustoszenie w obozie nieprzyjacielskim, nie straciła ani jednego szczegółu z zaciętej walki, która

miała w końcu wyzwolić waleczne miasto. Zobaczyła rankiem 8 maja Talbota zbierającego resztki armii, zwijającego obóz i opuszczającego Orlean na zawsze. Wierne do granic wytrzymałości miasto nie uchybiło swej roli ostatniego strażnika królestwa...

Katarzyna widziała to wszystko, ale w czasie tych dni nie udało się jej spotkać z Arnoldem. Niekiedy podczas bitwy widziała jego czarną zbroję, krogulca na jego hełmie lub błysk topora, którym wymachiwał niezmordowanie niczym rzeźnik przy pracy, ale nigdy nie udało się jej do niego zbliżyć. Po zapadnięciu zmroku, kiedy zaprzestawano walk, znikał, bez wątpienia u kresu sił. Co noc Katarzyna czekała na próżno na dźwięk kroków pod oknem - nikt się nie zjawiał. Co więcej, kiedy z rzadka w domu Jakuba Bouchera spotykała go w otoczeniu Joanny, wcale jej nie zauważał. Usiłowała jednego wieczoru stanąć mu na drodze, w chwili gdy opuszczał dom, ale ominął ją z istic diablą zręcznością i zmartwiona nie ośmieliła się ponowić próby. Nagle stał się znowu odległy i sposób, w jaki ją traktował, spowodował, że powróciły wątpliwości i niepewność. Na jego widok odczuwała coś w rodzaju nieśmiałości, która ją paraliżowała.

Dowiedziawszy się, że mieszka w oberży „Pod Tarczą Świętego Jerzego” u pana Wilhelma Antesa, przysięgała sobie wiele razy, że z zapadnięciem zmroku uda się do niego, aby zmusić go w końcu do wyjaśnień. Ale kiedy nadchodziła chwila realizacji projektu, ogarniała ją słabość odbierająca jej wszelką odwagę. Kto wie, czy ten dziwny młodzieniec o tak nieprzewidzianych reakcjach nie wyrzuci jej na ulicę na oczach wszystkich współmieszkańców?

* * *

Rankiem 8 maja uczestnicząc z całym miastem we mszy

zorganizowanej na wolnym powietrzu, którą odprawiono na murach, na oczach wycofującej się armii angielskiej, a następnie w procesji dziękczynnej, która od tego dnia miała stać się tradycją. Katarzyna poczuła nagle, że ogarnia ją trwoga. Miasto było wolne i nie miała żadnych powodów, aby pozostawać u państwa Boucher. Trzeba było podjąć jakąś decyzję. Ale co miała robić? Gdzie się udać, aby być blisko Arnolda? Katarzyna słyszała, że Dziewica chciała udać się z Karolem VII do Reims, gdzie miał być koronowany, co powinno ukrócić wszelkie spory, których przedmiotem był od lat. Kapitanowie z pewnością odjadą wraz z Joanną i Karolem. A z nimi również i Arnold. Ten przybliżający się odjazd niepokoił Katarzynę, gdyż nie wiedziała, jak mu zapobiec.

Kiedy po skończonej procesji Joanna powróciła do domu państwa Boucher, aby trochę odpocząć, Katarzyna poszła za nią do komnaty. Gdy przez chwilę pozostały same, ponieważ Matylda i Małgorzata czyniły ostatnie przygotowania do wieczerzy notabli, Katarzyna postanowiła to wykorzystać. Pomagając Joannie przy zdejmowaniu zbroi, poprosiła pokornie:

- Joanno! Miasto jest już wolne i z pewnością wkrótce wyjedziesz, kontynuować swoje dzieło. Chciałabym, pani, abyś pozwoliła mi jechać z tobą. Mogłabym zostać twoją, pani, służącą. Będę czuwała nad twoim odzieniem i mieszkaniem...

Joanna popatrzyła na nią z zaskoczeniem. Jej oczy zapłonęły, uśmiechnęła się, lecz przecząco potrząsnęła głową.

- Chciałabym bardzo, abyś była przy mnie, Katarzyno. Ale nie mogę się zgodzić, żebyś jechała ze mną. Tam, gdzie się udaję, nie ma dla ciebie miejsca. Ja jestem dziewczyną wiejską, przywykłą do ciężkiej pracy, do konnej jazdy, do trudnego życia. Ty jesteś szlachetnie urodzona, delikatna i krucha pomimo nieszczęść, które cię zahartowały.

- Ja? Ja również wywodzę się z ludu, Joanno, może jeszcze bardziej niż

ty! - wykrzyknęła Katarzyna z rodzajem dumy i wyzwania, wywołując tym uśmiech rozbawienia na ustach wojowniczk.

- Ach, prawda, mówiłaś mi już o tym i możesz być z tego dumna. Ale, Katarzyno, jest jeszcze coś innego; jesteś zbyt piękna, aby przebywać wśród żołnierzy. To nie są wcale anioły, ci nasi żołnierze i kapitanowie. Mogłabyś obudzić ich najgorsze instynkty, wywoływać kłótnie i zazdrość.

- Włożę męski strój, jak ty, pani. Zetnę włosy...

- Na nic by się to nie zdało. Nawet w habicie mnicha i z ogoloną głową będziesz nadal kobietą. Nie, Katarzyno. Tych mężczyzn czekają długie i ciężkie walki. Muszę czuwać, aby unikali wszystkiego, co może ich poróżnić. Delfin i Pan Bóg zbyt ich potrzebują. Lepiej, abyś wróciła do siebie i poczekała tam na koniec wojny.

- Mam wrócić do siebie, do Burgundii - odparła przygnębiona Katarzyna - aby znowu żyć w grzechu? Nie wiesz, Joanno, jakie życie tam wiodłam. Nie możesz mnie tam odsyłać. Nie ty! Lotarynka zamyśliła się na chwilę. Katarzyna podała jej kaftan z delikatnego płótna, czerwono-zielony, w kolorach Orleanu, który podarował Joannie Jan z Orleanu. Kiedy skończyła wiązać sznurowadła, Joanna położyła jej dłoń na ramieniu:

- Masz rację - powiedziała. - Jeśli nie masz siły, aby oprzeć się dawnym namiętnościom, lepiej tam nie wracaj. Ale cóż ci mogę ofiarować, Katarzyno? Zamieszkanie w klasztorze? Nie nadajesz się do takiego surowego życia. Ale mam pewien pomysł. Czemu nie miałybyś udać się do księżnej Jolanty?

- Ale... ja jej nie znam.

- To nie ma znaczenia, jeśli ja cię do niej wyślę. Udasz się do królowej Czterech Królestw*, Katarzyno. W jej cieniu znajdziesz pomoc i ochronę. Przy niej poczekaasz na końcowe zwycięstwo... i na powrót tego, za którym, bardziej niż za mną, chciałabyś iść.

** Księżna Andegawenii i hrabina Prowansji. Jolanta Aragońska była królową Sycylii, Neapolu, Jerozolimy i Aragonii.*

Katarzyna, zaskoczona, że została przejrzana na wylot, usiadła na ławie, patrząc na Joannę szeroko otwartymi oczyma.

- Jak to odgadłaś, pani? - spytała ochryłym głosem.

- To nie takie trudne - uśmiechnęła się Joanna. - Twoje oczy nie potrafią nic ukryć ani skłamać. Ale nadszedł dla ciebie czas oczekiwania, tak jak dla mężczyzn nadszedł czas wojny. Każdy ma gdzieś swoje miejsce i swoje zadanie do spełnienia. Udaj się do mojej królowej i módl się za naszą armię...

Zrozumiawszy, że nic nie zmieni decyzji Joanny, Katarzyna nie starała się jej dalej przekonywać. Może to rozwiązanie było dobre? Brat Stefan Chariot opowiadał jej często o królowej Jolancie, teściowej króla, której był całkowicie oddany. Katarzyna wiele się o niej dowiedziała. Czyż nie było najważniejsze pozostać w tym samym obozie co Arnold, jeśli nie można było iść za nim?

Ponieważ służące weszły, aby posprzątać komnatę, pozostała, żeby im pomóc. W domu nastąpiła radosna wrzawa. Przez szeroko otwarte okna, w wiosennym słońcu, Katarzyna widziała nadchodzących notabli miejskich wraz z wystrojonymi małżonkami, na których oczekiwał przy bramie Regnard gościnnie Jakub Boucher. Nie miała najmniejszej ochoty przyłączyć się do tego tłumu, chociaż wiedziała, że Arnold będzie tam z pewnością. W tej chwili wolałaby raczej zmieszać się z prostymi ludźmi, którzy tańczyli już na placach, gdzie ustawiono beczki z winem. Po raz pierwszy od siedmiu miesięcy zostały otwarte wszystkie bramy dla mieszkańców okolicznych wiosek. Uprzedziwszy służącą, że wychodzi na przechadzkę, Katarzyna zawiązała na głowie zielony welon i opuściwszy dom, wyszła na uliczkę

prowadzącą w kierunku katedry. Coś ciągnęło ją w stronę bramy Burgundzkiej, przez którą przybyła do miasta tamtego wieczoru, wyczerpana, lecz pełna nadziei. Chciała ją znowu zobaczyć, a trudno było się poruszać. Na ulice wyległy tłumy ludzi. Rozmawiano, całowano się, wyrywano sobie żołnierzy, Francuzów, Szkotów, Gaskończyków i Hiszpanów wchodzących w skład armii pomocniczej*.

** Wielu najemników było Gaskończykami i Hiszpanami. Co się tyczy Szkotów, walczyli po stronie Francuzów przez cały czas wojny stuletniej.*

Wszystkie domy były ustrojone flagami, wszystkie okna szeroko otwarte. Panowała olbrzymia radość ze zwycięstwa i smutna Katarzyna z trudem mogła się do tego dostosować.

Przybywając do bramy Burgundzkiej, zobaczyła nieprzerwany strumień mężczyzn, kobiet i dzieci przepływający w obu kierunkach pod olbrzymim kamiennym łukiem. Był to barwny i pełen radości tłum. Z uśmiechem na ustach Katarzyna patrzyła na tych poczciwych i szczęśliwych ludzi. Nagle jej wzrok przykuła jakaś dziwna para, która weszła na most zwodzony; wysoka, śniada kobieta, ubrana w suknię nieprawdopodobnie połataną i najwidoczniej zrobioną z różnych kawałków, z narzuconą na plecy wystrzępioną chustą, wspierająca się na grubym, sękatym kijku oraz niski mnich w dziwnym habicie, z wyrazem radości graniczącym z ekstazą na okrągłej i różowej twarzy.

Byli to Sara i brat Stefan.

Pchana nagłą radością, Katarzyna rzuciła się pędem w ich kierunku. Śmiejąc się przez łzy, wpadła w ramiona Sary.

Rozdział piętnasty

Kobierzec królowej Jolanty

W piątek 13 maja, dokładnie w chwili, kiedy Joanna d'Arc spotkała swego króla na drodze do Tours i złożyła mu w hołdzie zwycięstwo, Katarzyna, Sara i brat Stefan przybyli do Loches, gdzie mieszkała królowa Jolanta, teściowa Karola VII i jego najlepszy doradca. Wyjechali z Orleanu w przeddzień, pożegnawszy się z rodziną Boucherów i wszystkimi domownikami. Nie obyło się bez łez i obietnic ponownego spotkania. Wystarczyło niewiele czasu, aby Sara i mały franciszkanin zdobyli przyjaźń pani Matyldy, oczarowanej tymi dwiema tak różnymi postaciami, które łączyło wspólne uczucie do Katarzyny. Co się zaś tyczy samej Katarzyny, uznała spotkanie z Sarą za znak niebios. Ponieważ stara przyjaciółka była znowu przy niej, nic złego nie mogło jej już spotkać.

Cyganka i mnich przybyli do Orleanu w opłakanej kondycji. Ich podróż z Coulanges-la-Vineuse była prawie tak samo uciążliwa jak podróż Katarzyny, chociaż mieli przynajmniej lepszą pogodę. A ze sposobu, w jaki opuścili bez pożegnania Ziółkę, obydwójce zdawali się zachowywać ucieszne wspomnienia.

- Mieliśmy podwójne szczęście - opowiadała Sara zebrany domownikom. - Co noc, po wspaniałym zwycięstwie Ziółki nad kozami pana de Coursona, krążyliśmy nieustraszenie między dwiema fortecami, łakomiąc się a to na konia Ziółki, a to na kury pana de Coursona. Co noc okradaliśmy ich z całą premedytacją. Zakończyło się to prawdziwą bitwą, w trakcie której de Courson poniósł klęskę. Na domiar szczęścia, następnego dnia udało się

Ziółce położyć łapę na grupie handlarzy z Auxerre, którzy wracali z Genewy z towarami. Ziółko był tak zadowolony, że urządził wielką zabawę dla swoich ludzi, po której o zachodzie słońca cała banda była kompletnie pijana, a najbardziej Ziółko. Nikt nie pomyślał o spuszczeniu krat w bramie ani o podniesieniu mostu. A tym bardziej o wystawieniu straży! Okazja nadarzała się sama, brat Stefan i ja, i wyszliśmy spokojnie bramą, nie napotykając na drodze żywej duszy. Zabraliśmy nawet dwa konie ze stajni, co pozwoliło nam wygodnie dojechać do Orleanu. Ale na pierwszym postoju w ruinach opactwa mieliśmy pecha. Po obudzeniu okazało się, że konie znikły. Skończyliśmy drogę na piechotę.

- Dla mnie nie miało to żadnego znaczenia - wtrącił łagodnie brat Stefan. - Dużo się nachodziłem w życiu! Ale Sara odzwyczaiła się od tego.

Pani Matylda starała się wzmocnić siły obu podróżnych, prosząc, aby korzystali ze wszystkiego i czuli się jak u siebie w domu. Obecność Joanny wywarła duże wrażenie zarówno na franciszkaninie, jak i na Sarze. Kiedy Cyganka zobaczyła po raz pierwszy Dziewicę, prawie wpadła w trans. Upadła na kolana z utkwionymi w nią oczyma, niezdolna do uczynienia żadnego gestu, do wypowiedzenia żadnego słowa, drżąc na całym ciele. Dopiero po dłuższej chwili udało się Katarzynie ją podnieść. Drżała nadal, a jej twarz przybrała barwę popiołu.

- Mój Boże, co się z tobą dzieje? - zaniepokoiła się Katarzyna. - Przestraszyłaś mnie! Wówczas Sara oprzytomniała. Popatrzyła na Katarzynę błędnym wzrokiem, jak ktoś, kogo obudzono zbyt gwałtownie.

- Przestraszyłam cię? - powiedziała z trudem. - To o nią trzeba się bać, Katarzyno! W jednej chwili zobaczyłam wokół niej tyle chwały, lecz jednocześnie i tyle cierpienia, że straciłam zmysły.

- Co zobaczyłaś? Mów! Sara opuściła smutno głowę.

- Połyskującą koronę, a potem płomienie... wysokie i czerwone

plomienie! Ale mogę się mylić! Jestem taka zmęczona...

Katarzyna chciała roześmiać się z tego szczególnego widzenia, mówiąc, że to się Sarze przyśniło i że zmęczenie wywołało halucynacje. Ale w głębi serca poczuła niepokój. Do tego nawet stopnia, że spotkawszy pana Xaintrilles'a na dziedzińcu domu, rzuciła błagalnie, wskazując na wsiadającą na konia Joannę:

- Musisz nad nią czuwać, bez ustanku!

Rudzielec uśmiechnął się, jak zwykle pewny siebie i pogodny.

- Bądź spokojna, piękna Katarzyno! Nikt, a już najmniej Anglicy, nie zabierze jej nam!

Jednakże, pomimo tego zapewnienia kapitana, nie mogła uwolnić się od strasznego przeczucia. Po opuszczeniu Orleanu ścigało ją ciągle i nie opuściło w czasie całej podróży przez Solonię. Ustąpiło dopiero, kiedy zobaczyła wieże wspaniałego, oszańcowanego obozu, jakim było miasto Loches. Joanna miała wkrótce tu przybyć, a wraz z nią Arnold, zajmujący stałe miejsce w jej myślach, rozpalający jej ciało i duszę.

Przejeżdżając przez bramę Królewską, zobaczyła, jak brat Stefan popycha swego niesfornego muła i zatrzymuje przed strażnikami. Mnich pochylił się nad siodłem i szepnął parę słów sierżantowi, który właśnie nadszedł, a następnie wyprostował się i dał znak swoim towarzyszkom, aby podjechały. Uśmiechnął się radośnie.

- Królowa nas oczekuje! - oznajmił zwyczajnie, wjeżdżając na stromą uliczkę. - Chodźcie!

- Jak może nas oczekiwać? - zapytała Katarzyna zdumiona. - Czy ją uprzedziłeś?

- Wysłałem z Orleanu posłańca, jak to czynię często! - odpowiedział spokojnie braciszek. - Jej Wysokość wie już o was wszystko i was przyjmie. Podążajcie za mną.

Kiedy Katarzyna ukloniła się nisko przed Jolantą Andegaweńską, poczuła się tak onieśmielona, jak nigdy. Ta, którą nazywano królową Czterech Królestw, skończyła właśnie pięćdziesiąt lat, lecz trudno się było tego domyślić. Wysoka, szczupła, wyprostowana niczym klinga miecza, nosiła dumnie małą, energiczną głowę o zamyślonym profilu, obciążoną bladą skórą koloru kości słoniowej chroniącą skutecznie przed upływającym czasem. Jolanta miała królewską postawę i królewskie spojrzenie ciemnych oczu.

Z małej Jolanty Aragońskiej, córki gór, wychowywanej według surowych zasad Saragossy, która pewnego grudniowego ranka uklękła szczęśliwa u boku pięknego księcia Ludwika Andegaweńskiego w kościele Świętego Trofima w Aires, księżna zachowała nieposkromioną energię, olbrzymią odwagę i błyskotliwą inteligencję. Co się tyczy reszty, stała się Francuzką w każdym calu, najlepszą i najmądrzejszą z Francuzek. Zostawszy wdową w wieku trzydziestu siedmiu lat, z sercem na zawsze pękniętym z powodu wdowieństwa, odwróciła się zdecydowanie od miłości i życia kobiety, a została aniołem biednego królestwa, rozdartego i sprzedanego na licytacji przez własną władczynię. Izabela Bawarska nienawidziła Jolanty nie dlatego, że była ona, jak to wyraził Juvenal des Ursins, „najpiękniejszą kobietą w królestwie”, ale dlatego, że ta piękna kobieta przeszkadzała jej w realizacji projektów. To Jolanta zdecydowała o małżeństwie małego księcia Karola ze swoją córką Marią. To Jolanta, zabrawszy dziecko, wychowała je u siebie w Angers. To Jolanta odmówiła odesłania go do niegodnej królowej, kiedy mały książę stał się delfinem Francji. Izabela nigdy nie pogodziła się z listem, który z tej okazji wysłała do niej:

Niewieście zabawiającej się z kochankiem nie jest potrzebne dziecko. Nie żywiłaś go ani nie chowałaś do tej chwili. Dałabyś mu umrzeć, jak jego

braciom, lub doprowadziłabyś go do szaleństwa, jak jego ojca, lub też uczyniłabyś go Anglikiem. Zostanie ze mną! Przyjdź po niego, jeśli się ośmielisz!

Izabela nigdy się nie ośmieliła i przez lata, walcząc z niemożliwym, Jolanta utrzymywała pobite królestwo w swoich rękach. To ona, poinformowana przez syna, księcia Rene de Bara, o wizycie, jaką złożyła mu pewna wieśniaczka z Domremy, usuwała trudności na drodze Joanny i sprowadziła Dziewicę na dwór...

Wszystko to Katarzyna wiedziała od brata Stefana, który od dawna był tajnym wywiadowcą królowej Czterech Królestw.

I jeśli szacunek odebrał Katarzynie mowę, to dlatego, że stojąc przed nią, zobaczyła, jak wzniosłą i szlachetną panią była Jolanta. Nogi drżały młodej kobiecie tak mocno, że głęboki ukłon skończył się na klęczkach, a klęcząc na połyskującej posadzce komnaty, bała się nawet oddychać. Ta głęboka pokora wydawała się podobać królowej, gdyż uśmiechnęła się i zostawiając wielki kobierzec, nad którym pracowała w tej chwili samotnie, podniosła Katarzynę z klęczek.

- Już dawno temu brat Stefan opowiadał mi o tobie, pani de Brazey. Wiem, jak wierną i oddaną byłaś przyjaciółką tej nieszczęsnej Odetty de Champdivers. Wiem, że ona i brat Stefan zawdzięczają ci życie, a jeśli Odetta zmarła w nędzy, to ty byłaś wtedy w jeszcze bardziej opłakanej sytuacji! Wiem też, że mimo ciężkiego losu twoje serce było z nami i mimo cierpień starałaś się do nas dołączyć. Witaj, w naszych progach!

Królowa mówiła z lekkim akcentem hiszpańskim, co jeszcze dodawało jej uroku. Katarzyna ucałowała z szacunkiem dłoń, którą jej podała. Podziękowała za gościnność i oznajmiła, że od tej chwili jedyną jej ambicją jest chęć służenia królowej, jeśli ta zgodzi się na to.

- Królowa zawsze potrzebuje wiernej damy dworu - odparła Jolanta - a

na dworze królewskim zawsze potrzebne są ładne kobiety. Będiesz jedną z moich dam dworu, moja droga. Mój kanclerz wystawi ci odpowiedni dokument. Teraz powierzę cię pani de Gaucourt, która zajmie się twoim zakwaterowaniem. Zostanę z bratem Stefanem, bo muszę z nim porozmawiać.

* * *

Panią de Gaucourt, chociaż była wielką damą, cechowała prawie chorobliwa nieśmiałość. Wydawało się, że przez cały czas wszystko, co ją otacza, a już najbardziej mąż, wywołuje w niej strach. Oddychała swobodnie tylko wtedy, kiedy znajdowała się z dala od zarządcy Orleanu. Będąc prawie w tym samym wieku co królowa, była drobna, cicha, lecz swoją żwawością przypominała myszkę. A kiedy nieśmiałość nie zamykała jej ust, potrafiła udzielić dobrej rady, znała dwór jak nikt inny i doskonale radziła sobie z prowadzeniem domu, nawet królewskiego.

W niedługim czasie Katarzynie i Sarze przydzielono mieszkanie w obrębie dworu, służbę, dostały nawet odzienie, ponieważ obie bardzo tego potrzebowały. Pani de Gaucourt posunęła się tak daleko w swojej uprzejmości, że tego samego wieczoru przekazała nowej damie dworu, za pośrednictwem skarbnika pałacowego, sakiewkę ze złotem. W tym samym czasie do zamku Chateauvillain został wysłany posłaniec z listem Katarzyny do Ermengardy. Młoda kobieta prosiła przyjaciółkę, pod której opieką pozostawiła większą część biżuterii i pieniędzy, aby ta wysłała jej wszystko pod dobrą eskortą, chyba że hrabina wolałaby uczynić to osobiście.

Dom przydzielony Katarzynie był raczej mały, czteroizbowy, lecz odnowiony i bardzo wygodny. Należał do dawnego zarządcy zamku, ale od kiedy jego obłąkana żona zmarła, mieszkali tam przejezdni goście.

Katarzyna miała do dyspozycji dwóch lokajów i stwierdziła, że dom ten bardzo jej odpowiada. Znajdował się w połowie drogi między kolegiatą Saint-Ours i wspaniałą basztą strzegącą południowego rogu królewskiego grodu; wąskie okna domu wychodziły na dolinę rzeki Indre i na osłonecznione sady. Kiedy Sara zeszła do kuchni, aby zająć się przygotowaniem wieczerzy, Katarzyna zabrała się do toalety i przebrała na przyjęcie pani de Gaucourt, która miała przybyć wieczorem.

Rzeczywiście, zjawiała się po Aniele Pańskim, jak zawsze w pośpiechu i wystraszona, ale nie sama. Towarzyszyła jej śliczna, bogato ubrana kobieta, której wspaniałe rude włosy oczarowały Katarzynę.

Nowo przybyła miała piękną cerę, usta czerwone i zmysłowe, ubrana była w ciężką suknię z weneckiego brokatu koloru zielonozłotego, której odcień pasował do niebieskozielonych oczu, a duży dekolt odsłaniał odważnie kształtne piersi. Włosy koloru płomienia były prawie całkowicie ukryte pod wspaniałym nakryciem głowy z tego samego co suknia materiału. Było ono tak wysokie, że nieznajoma musiała się pochylić, przekraczając próg. Twarz kobiety, bardzo wymalowana, choć z łatwością mogłaby się bez tego obejść, gdyż była gładka i pełna, a trójkątny kształt głowy upodabniał ją nieco do pięknej kotki. Ubawiona Katarzyna pomyślała, że stanowią z panią de Gaucourt dziwną parę: kotka i myszka.

Piękna rudowłosa rzuciła się Katarzynie na szyję z nieopanowaną radością i ucałowała ją gorąco.

- Moja droga! Cóż za radość zobaczyć cię tutaj. Od tak dawna nikt nie wiedział, co się z tobą dzieje! Mój mąż i ja bardzo niepokoiłiśmy się o ciebie. Mówi się, że książę Filip jest niepokieszony!...

Katarzyna się skrzywiła. Usłyszeć w Loches o Filipie było z pewnością ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła! Lecz pani de Gaucourt, czerwona aż po uszy, zakaszlała i przysłała nieznajomej z pomocą.

- To prawda - powiedziała - że pani de La Tremoille i nasz wielki szambelan często cię, pani, wspominali!

- No, przecież nie ma w tym nic dziwnego: róża Burgundii, wspaniała królowa Brugii znikła? Wszystkie dwory w Europie zastanawiały się, co się z tobą dzieje!

Piękna pani de La Tremoille osunęła się na wysoki fotel, wyłożony czerwonymi poduszkami, i zaczęła pleść trzy po trzy, podczas gdy Katarzyna, opanowawszy zdziwienie, obserwowała ją półprzymkniętymi oczami i ze sztucznym uśmiechem na twarzy. Spotkała już na dworze Filipa grubego Jerzego de La Tremoille'a, ale po raz pierwszy widziała jego żonę. Jednak wiele o niej słyszała, gdyż dama ta wiodła bardzo burzliwe życie. A więc to była ta słynna Katarzyna z Isle-Bouchard? Podobno o jej życiu można by napisać powieść!

Wdowa z pierwszego małżeństwa po potężnym panu burgundzkim, Hugonie de Chalon, złapała w sieci swej lubieżnej piękności niespokojnego Piotra de Giaca, wówczas faworyta Karola VII, który, jak to sam wyznał w chwili śmierci, sprzedał duszę diabłu. Z powodu miłości do pięknej Katarzyny Giac zamordował swoją pierwszą żonę, Joannę de Noillac, w ohydny sposób; zmusił ją do wypicia trucizny, wrzucił nieszczęsną kobietę, która była tuż przed rozwiązaniem, na konia i galopował z nią tak długo przez pola, aż nieszczęsna oddała ducha. Zakopał ją na polu, a potem spokojnie powrócił, aby poślubić ukochaną. Ale pan de La Tremoille także pożądał pięknej wdowy i nie poprzestał, aż nie pozbył się de Giaca. Przekonany, że go zdradzono, został zatrzymany w środku nocy z polecenia królowej Jolanty, osądzony, zaszyty w skórzany worek i wrzucony do rzeki Auron. W trzy tygodnie później Katarzyna de Giac poślubiła pana de La Tremoille'a.

Od tego czasu para ta prowadziła najbardziej wystawne i najbardziej

rozwiązłe życie. Mąż o nienasyconych ambicjach miał gusta satrapy, a żona ognisty temperament. Stanowili ciekawą, ale dość straszną parę. Przez cały czas odwiedzin pani de La Tremoille Katarzyna uśmiechała się z rezerwą. Zaczynała rozumieć, że poruszanie się na dworze Karola VII jest równie trudne, jak na dworze Filipa Burgundzkiego. A może nawet trudniejsze, gdyż nie cieszyła się tutaj ani miłością pana, ani mocną przyjaźnią Ermengardy de Chateaufillain. Instynktownie wyczuła, że należy być ostrożną. Ale nie odrzuciła usług ofiarowanych jej przez niesamowitego gościa.

- Już jutro - powiedziała pani de La Tremoille - sama przedstawię cię królowi! Pożyczę ci suknię, gdyż do jutra nie zdążysz przygotować odpowiedniej garderoby.

Katarzyna podziękowała uprzejmie, a chwilę później obie panie wyszły, życząc Katarzynie dobrego odpoczynku. Wydawało się, że pani de Gaucourt bardzo się spieszy i Katarzyna nie zatrzymywała ich.

- Na twoim miejscu - powiedziała Sara, która pojawiła się wkrótce po wyjściu obu dam dworu - uważałabym na tę piękną rudowłosą! Uśmiecha się, jej słowa są pełne słodyczy, ale oczy ma zimne, taksujące. Bądź pewna, że jeśli nie uda się jej wyciągnąć z ciebie, czego oczekuje, będzie dla ciebie niebezpiecznym wrogiem.

- A cóż chciałaby wyciągnąć ze mnie?

- Skąd mogę wiedzieć. Ale spróbuję dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe, na temat państwa de La Tremoille.

Katarzyna, która rozbierała się przed snem, odwróciła się w kierunku wiernej przyjaciółki.

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś znacznie ważniejszego - powiedziała. - Spróbuj zdobyć informację, gdzie mieszka kapitan de Montsalvy, kiedy przebywa w Loches.

Sara nie zawahała się ani przez sekundę.

- Kiedy nie ma służby przy królu, mieszka w mieście, przy bramie Franciszkańskiej, w domu należącym do bogatego garbarza. Nad drzwiami jego domu widnieje wizerunek świętego Krepina. - Następnie, ponieważ Katarzyna popatrzyła na nią osłupiałym wzrokiem, dodała z uśmiechem: - To było pierwsze pytanie, jakie zadałam naszym lokajom, gdyż wiedziałam, że o to zapytasz w pierwszej kolejności.

Lekko się zaczerwieniwszy, Katarzyna zaczęła ponownie zawiązywać sznurowanie sukni. Ale Sara powstrzymała ją:

- Nie masz tam nic do roboty dzisiejszego wieczoru. Wraca dopiero jutro z królem. Nie będziesz gnała tej nocy po to tylko, aby stanąć przed zamkniętymi drzwiami, choćby nawet były to drzwi ozdobione wizerunkiem świętego Krepina. Idź więc się położyć. Przyniosę ci lekką wieczerzę, a potem pójdziesz spać. Jutro musisz być piękna i świeża.

To mówiąc, Sara rozebrała swoją panią w okamgnieniu, nałożyła jej długą, marszczoną koszulę i bezceremonialnie odprowadziła do łoża, jakby tamta była piętnastoletnią dziewczynką. Po czym stanęła przed nią zadowolona, trzymając się pod biodra.

- Będziesz musiała zapomnieć o tych cygańskich nawykach, jakich nabrałaś od pewnego czasu, moja śliczna. Znowu jesteś damą, prawdziwą damą. Będziesz musiała także uważać na królową, która z pewnością nie lubi, aby jej damy dworu włóczyły się po ulicach po zapadnięciu nocy.

* * *

Suknia, którą następnego ranka przysłała Katarzynie pani de La Tremoille, była rzeczywiście piękna i dotykając wspaniałego materiału, młoda kobieta nie mogła powstrzymać zmysłowego drżenia. Już od dawna palce jej nie dotykały prawdziwego mediolańskiego brokatu, chociaż kolor

nie podobał się jej specjalnie. Była to wspaniała płatanina ptaków, głównie orłów, w kolorze błękitu i purpury na złotym tle. Zdaniem Katarzyny, kolory były zbyt jaskrawe, ale całość jawiła się jako wesoła i okazała.

- Jak wyglądam? - zapytała Sarę, gdy włożyła suknię. - Czy nie przypominam szyldu farbiarza?

Sara zaprzeczyła ruchem głowy, lecz brwi miała zmarszczone i zaciśnięte usta.

- Tobie wszystko pasuje. Może ta suknia jest trochę zbyt jaskrawa, ale ładna.

Pomimo pozytywnej oceny Katarzyna dorzuciła do sukni kryzę z delikatnego, marszczonego muślinu, gdyż dekolt był zbyt duży i w każdej chwili mógł odsłonić piersi, a wewnętrzny głos podpowiadał Katarzynie, że królowej Jolancie nie przypadłoby to do gustu. Odległy głos fanfar oderwał ją od przeglądania się w zwierciadle. Włożyła na głowę nakrycie dobrane do sukni, przypięła je szpilkami i podbiegła do drzwi.

- Słyszę, że nadchodzi orszak! - krzyknęła do Sary. - Muszę iść do zamku.

Rzeczywiście, dźwięk przybliżał się, anonsując króla, Joannę i ich liczną świtę. Lekko zdyszana Katarzyna dołączyła do dam dworu królowej, kiedy trębacze i przednia straż wjeżdżali do bramy Królewskiej. Stanęła tuż obok pani de Gaucourt. Świadoma wrażenia, jakie wywarła, spostrzegła lekko rozbawiony uśmiech królowej, szepty innych dam i wybuch śmiechu pani de La Tremoille, ubranej w suknię z płowobiałego atłasu.

Znajomość dworu i jego zwyczajów pomogły Katarzynie nie stracić pewności siebie. Później, kiedy połyskujący orszak zsiadał z koni przy siedzibie królewskiej, zapomniała o wszystkim. Zobaczyła króla i Joannę jadących obok siebie, ale przede wszystkim za białą zbroją Dziewicy ujrzała inną zbroję, koloru czarnego, i hełm z krogulcem, które przyspieszyły bicie

jej serca. Wydawało się, że Arnold czuje się dobrze w świetle Joanny. Był tuż obok niej, a w pobliżu niego Katarzyna rozpoznała Xaintrilles'a, La Hire'a i Jana d'Aulona.

Katarzyna ledwo zwróciła uwagę na króla, chociaż jego wzrok zatrzymał się na niej przez chwilę. Była rozczarowana jego nie najlepszym wyglądem. Mizerny, blady i szczupły, o twarzy ponurej, z wydłużonym nosem i wypukłymi oczyma pozbawionymi blasku i życia, zdawał się nosić na swych wąskich ramionach ciężar wiecznego niepokoju. Jego aksamitny strój robił wrażenie zbyt dużego, a wielki filcowy kapelusz z wywiniętymi brzegami zdawał się go przygniatać. Za nim jechał olbrzymi mężczyzna, nieprawdopodobnie przystrojony złotem i purpurą, w fantastycznym kapturze, bardziej wymyślnym niż turban, i Katarzyna wzięła go za muzułmanina. Szeroka twarz okolona brunatną brodą, pełne namaszczenia ruchy i niezwykły przepych, którym się afiszował, wszystko to upodabniało go do sułtana. Widząc jednak, że pani de La Tremoille rzuca się w jego krótkie ramiona, Katarzyna odgadła, że jest to jej pan i władca, Jerzy de La Tremoille. Przytył tak bardzo od czasu, kiedy widziała go na dworze Filipa, że nigdy by go nie rozpoznała! Wydawał się bardziej próżny i bardziej niepokojący niż zwykle; aksamitny kocur, godny swej pięknej, rudej kotki.

Podczas gdy wszyscy wchodzili do zamku na przekąskę, Katarzyna poczuła, że jakaś ręka szarpie ją do tyłu. Odwróciwszy się, stanęła twarzą w twarz z Arnoldem, który spoglądał na nią groźnie.

- Skąd masz tę suknię? - spytał bez ogródek, nie zadając sobie trudu, by się z nią przywitać, podczas gdy palcem wskazywał oskarżycielsko suknię kochanki.

- Bardzo chciałabym wiedzieć, co cię to obchodzi? - odparła zadziornie. - Czy to dlatego interesują cię stroje, że jesteś w służbie niewiasty? - Po czym dodała z kpiącym uśmiechem: - Nie uwierzę, że w

otoczeniu Joanny rozmawia się o strojach!

Arnold wzruszył ramionami i zaczerwienił się lekko.

- Nie interesują mnie twoje spostrzeżenia. Odpowiadaj! Skąd masz tę suknię?

Katarzyna miała wielką ochotę odesłać go, gdzie pieprz rośnie, ale w agresywnym tonie kapitana było coś niezwykłego, czego nie była w stanie określić, a co zmusiło ją do odpowiedzi.

- Pani de La Tremoille przysłała mi ją dzisiaj rano, abym mogła ubrać się jak najlepiej na przyjazd króla. Moje suknie nie są odpowiednie na taką okazję...

- Byłyby sto razy lepsze niż ta. Cały dwór zna tę suknię, pani de La Tremoille miała ją na sobie wiele razy i jest ona uszyta w jej barwach. To, że ją włożyłaś, oznacza w oczach wszystkich, że znalazłaś się w obozie państwa de La Tremoille. Na honor, ubrano cię w coś w rodzaju liberii. Ciekawe, co pomyślała sobie królowa Jolanta. Czyż nie wiesz, że pan de La Tremoille jest jej najgorszym wrogiem, a wśród prawdziwych przyjaciół króla należy do tych, którzy chcieliby go zgubić, udzielając mu złych rad? Jest poza tym śmiertelnym wrogiem konetabla Richemonta* i, co się z tym wiąże, wrogiem Joanny. Teraz wiesz już wszystko.

** Artur de Richemont, chociaż był szwagrem Filipa Dobrego, przez lojalizm stał się konetablem Francji w 1425 r. i służył Karolowi VII.*

Katarzyna poczuła, że się rumieni. Była wściekła, że wpadła w głupią pułapkę, co znowu czyniło ją podejrzaną w oczach Arnolda.

- Nie wiedziałam o tym! - odparła szczerze. - Skąd miałabym o tym wiedzieć? Przybyłam tutaj dopiero wczoraj i nic nie wiem o tym dworze.

- A więc bardzo szybko przekonasz się, że jest podobny do dworu

twojego dobrego przyjaciela, księcia Filipa. Te same intrygi, te same kłamstwa, taka sama chciwość i taka sama zawiść ukryta pod uśmiechem. Idź, zdejmij tę suknię, jeśli zależy ci na szacunku królowej Jolanty.

Już miał odejść w kierunku Xaintrilles'a, kiedy Katarzyna powstrzymała go, nieśmiało kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Arnoldzie - szepnęła, podnosząc na niego swoje piękne i pełne czułości oczy. - Dla mnie liczy się tylko twój szacunek. Czy będziesz mnie nienawidził przez całe życie?

Po raz pierwszy w burzliwej historii ich wzajemnych kontaktów nie wybuchnął gniewem, lecz odwrócił głowę, być może, aby uwolnić się od słodkiej magii spoglądających na niego fiołkowych oczu. Spokojnie zdjął jej rękę ze swego ramienia.

- Nie potrafię nawet odpowiedzieć, czy cię nienawidzę, czy Kocham, Katarzyno - odparł ochryplym głosem, w którym dała się słyszeć irytacja.

Katarzyna patrzyła za nim, kiedy oddalał się w kierunku królewskich apartamentów. Jego krok, zwykle tak energiczny, wydawał się dziwnie ociężały, niepewny, jakby odchodził z żalem, a jego szerokie ramiona były dziwnie skulone... Zdecydowana na wszystko, aby tylko mu się przypodobać, Katarzyna pospiesznie wróciła do siebie, zerwała raczej, niż zdjęła kompromitującą suknię, opowiadając Sarze o całym zajściu.

- Domyślałam się - powiedziała Sara - że ta ruda jest zbyt uprzejma, aby była uczciwa. Na dzisiejszy wieczór włożysz suknię z czarnego aksamitu. To jedna z najlepszych, jaką masz.

- Nawet suknia z burki byłaby lepsza od tego krzykliwego upierzenia! - wykrzyknęła Katarzyna, z wściekłością rzucając sukienkę daleko od siebie. - Odeślesz to prawowitej właścicielce. Bez podziękowań...

Zmieniwszy strój, Katarzyna powróciła do zamku. Kiedy podeszła do dam dworu, królowa rzuciła na nią długie, aprobujące spojrzenie.

- Zmieniłaś suknię, Katarzyno de Brazey? - zapytała łagodnie.

- Tak, pani - odpowiedziała Katarzyna, składając głęboki pokłon - i proszę Jej Wysokość o wybaczenie, że oddaliłam się na chwilę bez pozwolenia. Ale... nie podobała mi się tamta suknia i kazałam odesłać ją właścicielce.

Za całą odpowiedź Jolanta uchwyciła dłoń młodej kobiety i powiedziała:

- Mnie też się nie podobała. Dziękuję, że się przebrałaś. Teraz idziemy do kościoła, Joanna już tam jest.

Kiedy damy ustawiały się w orszak, aby towarzyszyć królowej do kolegiaty Saint-Ours, Katarzyna napotkała pełne złości spojrzenie pani de La Tremoille. Ale ponieważ Arnold był z niej zadowolony, nie miało znaczenia, że zyskał nowego wroga.



Tego samego wieczoru król wydał wielki bankiet. Cały dwór został zaproszony, ale Katarzyna uzyskała zgodę, aby zostać u siebie. Królowa Jolanta miała pojawić się tylko na krótko i nie zachęcała wcale swoich dam dworu do przybycia, gdyż w rzeczywistości to pan de La Tremoille, organizator rozrywek królewskich, zajmował się wszystkim. Katarzyna, jako nowo przybyła, była chwilowo zwolniona od stałego przebywania na dworze, gdyż musiała zająć się domem i garderobą. Ale głównym powodem, dla którego zlekceważyła tę uroczystość, był Arnold, który z przyczyn znanych tylko sobie też miał być nieobecny. Co się tyczy Dziewicy Joanny, zamieszkała, jak to było w jej zwyczaju, u jednego z miejscowych notabli, którego żona uchodziła za najbardziej cnotliwą; po zachodzie słońca Joanna udała się do nich.

Bez wątpienia Arnold naśladował tę, którą uważał teraz za swego bezpośredniego władcę.

Ale powróciwszy do domu, Katarzyna nie mogła odnaleźć spokoju. Hałasy z zamku zakłócały ciszę. Głosy, dźwięk wioli i śmiechy kobiet, cały ten radosny zgiełk bankietu był jej obcy. Przez długą chwilę stała w oknie, patrząc na księżyc wyglądający spoza dachów Loches. Uśpione miasto tchnęło spokojem, który kontrastował ze strugami światła płynącymi z królewskiej siedziby. W grodzie panował spokój. Od czasu do czasu słyhać było jedynie krzyki nocnych ptaków nad zamglonymi brzegami rzeki Indre. Wzrok Katarzyny przesunął się na wieże przy bramie Franciszkańskiej. Coś ciągnęło ją nieprzeparcie w tamtą stronę. Noc była tak spokojna.

Nigdy nie uda się jej usnąć... Wiedziała o trudnych rozmowach, które odbywały się w zamku między Joanną i Jolantą z jednej strony, a królem, panem de La Tremoille'em, kanclerzem Regnault de Chartres, arcybiskupem Reims z drugiej strony na temat koronacji Karola. Joanna i królowa chciały, aby jechać prosto na miejsce koronacji. Otoczenie króla twierdziło, że jest to niebezpieczne, gdyż trzeba będzie przejechać przez tereny jeszcze okupowane. Jeśli wygra Joanna, czego Katarzyna szczerze jej życzyła, Arnold znowu odjedzie. Dlaczego więc miała tracić cenny czas teraz, kiedy był jeszcze w zasięgu ręki?

Nie wołając Sary, która zasnęła w kącie komnaty, zmęczona krzątaniem, wyjęła ze skrzyni ciemny płaszcz, owinęła się nim i opuściła zamek. Wchodząc w uliczki prowadzące do bramy Królewskiej, a następnie w ulice dzielnicy handlowej, Katarzyna nie zastanawiała się, co powie, stając przed Arnoldem. Po cóż się zastanawiać. Serce będzie wiedziało, co mu powiedzieć, kiedy nadejdzie ta chwila. Ogarnęło ją prawie bolesne pragnienie ujrzenia go.

Uliczki Loches, a w szczególności wał łączący bramę Królewską z

bramą Franciszkańską, były całkowicie wyludnione. Nawet tutaj dochodziły odgłosy zabawy. Słysząc było również ciężkie kroki łuczników, czuwających na murach siedziby królewskiej. Katarzyna przebiegła przez stromą uliczkę przyciągana przez dom z wizerunkiem świętego Krepina. W ciągu dnia nauczyła się go rozpoznawać dzięki dachowi w kształcie grotu. Dom garbarza, w którym mieszkał Arnold, przycupnął w cieniu dużej czworokątnej wieży, w której znajdowała się brama. Słabe światło latarni oświetlało półkolisty łuk. Nieco dalej szmer płynącej wody wskazywał na obecność rzeki.

Dzielnica była bardzo spokojna, ale po drugiej stronie bramy ciemności rozświetlała przylegająca do murów gospoda. Wydawało się, że goście bawią się tam równie wesoło, jak w zamku. Katarzyna nie chciała znaleźć się w kręgu światła, który na nierówny bruk rzucały niskie okna. Schroniła się w cieniu przypory wieży, starając się odgadnąć, co dzieje się za zamkniętymi oknami domu Arnolda. Na piętrze paliło się słabe światło, które przyciągało nieodparcie uwagę młodej kobiety. Powoli zbliżyła się do bramy, na której lśnił olbrzymi pierścień z brązu służący jako kołatka. Ale gdy wyciągnęła rękę, aby ją uchwycić, zrobiła nagły skok do tyłu i przyłgnęła do muru... Tuż za bramą dała się słyszeć rozmowa, następnie brama się otworzyła. Zaszleścił jedwab i odezwał się głos kobiety.

- Przyjdę jutro znowu, nie trap się...

Katarzynie wydawało się, że go rozpoznaje.

Inny głos, tym razem męski, szepnął coś, czego młoda kobieta nie zrozumiała. Ale blask świecy oświetlił sylwetkę kobiety, postawnej i eleganckiej, ubranej w jedwabny płaszcz koloru śliwkowego. Ciekawość Katarzyny wzięła górę nad ostrożnością. Wysuwając głowę, zobaczyła twarz kobiety. Oblicze nieznanemu przysłaniała do połowy maska tego samego koloru co płaszcz, ale kaptur, który zsunął się trochę do tyłu, odsłonił rude

włosy. A czerwone usta o zmysłowym rysunku, których nie zasłaniała maska, należały do Katarzyny de La Tremoille.

Powstrzymując okrzyk złości i rozczarowania, Katarzyna się cofnęła. Ostry i nie do zniesienia ból przeszywał ją tak bardzo, że nigdy jeszcze nie czuła czegoś podobnego. Po raz pierwszy odkryła w sobie gorzką zazdrość, która kazała jej jednocześnie krzyczeć i kąsać!

Zwiewna sylwetka pani de La Tremoille już dawno rozplynęła się w ciemności, a Katarzyna nie była w stanie uczynić najmniejszego ruchu. Teraz wszystko stawało się jasne. Oto dlaczego Arnold wymówił się od uczestniczenia w królewskim przyjęciu! Aby spotkać się z tą kobietą, kochanką bez wątpienia. Jakież mogło być lepsze alibi niż uroczystości? Zatrzymywały jej małżonka u boku Karola VII. Teraz gniew Arnolda, kiedy zobaczył Katarzynę w jej sukni, wydał się bardziej zrozumiały. Cóż go w rzeczywistości obchodziło, że kobieta tak długo pogardzana nosiła kolory tego lub innego obozu. Liczyło się to, że nie chciał oglądać stroju pięknej pani de La Tremoille na ciele innej...

Dom naprzeciw znowu stał się cichy a i światło w oknie zgasło. Na ulicy widać było jedynie bladawą smugę księżycowej poświaty, spływającą z dachu na bruk, i światła z oberży, gdzie wzmagął się harmider. Wrzaski i pijackie śpiewy wskazywały wyraźnie, że grupa żołnierzy świętuje wraz z dziewczkami niedawne zwycięstwo pod Orleanem. Ale dla Katarzyny wszystko stało się obojętne. Nie starając się już ukryć swojej obecności, z odkrytą głową i szumem w skroniach, ledwo panując nad płaczem, opuściła swoją kryjówkę, chcąc jak najszybciej dotrzeć do domu i wypłakać się do woli w ramionach Sary. Już postanowiła, co zrobi: jutro opuści dwór, poprosi królową Jolantę, aby jej na to pozwoliła, i pojedzie do Ermengardy. Życie tutaj zupełnie jej nie odpowiadało...

Zrobiła kilka niepewnych kroków. W tym momencie drzwi oberży

rozwarły się z hukiem i w progu stanęło dwóch pijaków;, którzy zataczając się, wsparci jeden o drugiego, próbowali złapać równowagę. Chociaż obydwaj byli pijani jak bele, dostrzegli postać kobietę, która przyciągnęła ich uwagę.

- Dziew... dziewczyna! - wykrzyknął jeden z nich, obejmując Katarzynę w pól, podczas gdy drugi zsunął jej z głowy kaptur, odsłaniając złociste włosy. - I do tego ładna! Zobacz, Flambard!

Za całą odpowiedź drugi coś wybełkotał, co mogło uchodzić za okrzyk zachwyty. Był to bez wątpienia młodzieniec, który nie lubi tracić czasu, gdyż chwytając ręce Katarzyny, która usiłowała go odepchnąć, chciał ją pocałować. Skisły od wypitego wina oddech wywołał w dziewczynie odruch obrzydzenia. Tracąc głowę i nie wiedząc, jak się obronić, dała się porwać instynktowi i krzyknęła ze wszystkich sił:

- Arnoldzie!... Ratuj!

Zaskoczeni napastnicy zatrzymali się na chwilę. Katarzyna chciała krzyknąć jeszcze raz, ale w domu świętego Krepina otworzyło się okno i czarna sylwetka z mieczem w dłoni wyskoczyła z pierwszego piętra na ulicę. Walka nietrwała długo. Dwa uderzenia miecza, dwa smagnięcia biczem Arnolda de Montsalvy'ego wystarczyły, by napastnicy wzięli nogi za pas. Obaj pijani żołnierze odzyskali nagle równowagę i uciekli wzdłuż murów, o nic nie pytając. Wzruszając ramionami, Arnold włożył miecz do pochwy i zbliżył się do przestraszonej Katarzyny, która stała tuż przy ścianie domu. Ześlizgujący się z dachu promień księżyca oświetlał dokładnie jej bladą twarz.

- Wydawało mi się, że rozpoznaję twój głos - powiedział kapitan spokojnie. - Może mi powiesz, co robisz tutaj o tak późnej porze?

Po tym, co zobaczyła, za nic w świecie nie przyznałaby się, że chciała spotkać się z nim.

- Spaceruję! - odparła pewnie, ale drżącym głosem. - Chyba to nie jest zakazane? Chciałam... spotkać się z Joanną...

- Patrzcie! Tutaj? Nie powiedziano ci, że mieszka z drugiej strony miasta? Czy nie powinnaś być na organizowanej przez króla uroczystości?

- Dlaczego ja miałabym tam być, a ty nie? To prawda, miałeś ważne powody, aby tam nie pójść.

Zamilkła, nazywając się w głębi duszy idiotką, która nie potrafi utrzymać języka za zębami. Ale było zbyt późno, aby się wycofać. W półmroku zobaczyła błysk zębów młodzieńca i usłyszała jego śmiech.

- Ważne powody? Chciałbym wiedzieć jakie?

Lekko kpiący i pogardliwy ton, którym mówił, zwracając się do niej, wzbudził w Katarzynie złość. Od razu zapomniała o postanowieniu, że będzie rozsądna i obojętna.

- Powody koloru rudego! - wykrzyknęła wściekła. -

I nie próbuj kłamać, Arnoldzie de Montsalvy. Widziałam, jak te powody wychodziły przed chwilą z tego domu. I wtedy też zrozumiałam, dlaczego nie podobało ci się, że miałam na sobie suknię pani de La...

Dłoń, którą Arnold gwałtownie zatkał jej usta, zatrzymała ją w pół słowa.

- Proszę cię, nie wymieniaj tutaj żadnych nazwisk! To bardzo niebezpieczne! Chodź, odprowadzę cię do domu.

Chwycił ją stanowczo pod rękę, ale Katarzyna oswobodziła się zdecydowanym ruchem.

- Umiem chodzić sama i nie potrzebuję, żebyś mnie odprowadzał. Zajmij się swoimi miłośkami i nie przejmuj się moją osobą.

- Moje miłostki! Rozśmieszasz mnie tym głupim gadaniem. Nie mogę zakazać tej kobiecie przychodzenia do mnie przy każdej sposobności i opłacania moich służących, aby ją wpuszczali.

- Chcesz mi może wmówić, że nie jest twoją kochanką?

- Ależ oczywiście, że nie! Za kogo mnie uważasz? Sądysz, że jestem mężczyzną, który zadowala się resztkami po innych? Znasz mnie chyba na tyle, by wiedzieć, że ten rodzaj kobiet nie ma u mnie żadnych szans. Czy teraz pozwolisz się odprowadzić?

Katarzyna omiotła niepewnym spojrzeniem wysoką, ciemną sylwetkę mężczyzny, teraz słabo widoczną, gdyż księżyc skrył się za chmurami. Bardzo chciała mu wierzyć, ale obraz postawnej kobiety w płaszczu koloru śliwkowego prześladował ją nadal.

- Możesz mi przysiąc, że jej nie kochasz? - zapytała dziecinnym głosem, który rozśmieszył kapitana, wbrew jego woli.

- Chociaż moje prywatne sprawy nie powinny cię obchodzić, odpowiem ci dla świętego spokoju: przysięgam, że jej nie Kocham.

- A więc kogo kochasz? Po krótkim wahaniu rzekł:

- Nikogo! A teraz dość tych pytań!

Powoli, ramię przy ramieniu, weszli na teren ogrodu królewskiego, z głowami opuszczonymi, każde zatopione we własnych myślach. Katarzyna walczyła z chęcią przerwania milczenia. Była nieszczęśliwa, że ukochany będąc wreszcie tak blisko niej, jednocześnie jest tak odległy. Nie patrząc na niego, zebrawszy całą odwagę, wyszeptała:

- Kiedy wreszcie zrozumiesz, że cię Kocham, Arnoldzie? Że zawsze kochałam tylko ciebie? Nie czułeś w czasie tych dwóch nocy, kiedy przyszedłeś do mnie, że należę do ciebie ciałem i duszą, że możesz zażądać ode mnie wszystkiego?

Nie ośmieliła się odwrócić w jego stronę głowy, zerknęła tylko nań szybko i zobaczyła zastygły profil i twarde, skierowane przed siebie spojrzenie.

- Sprawisz mi przyjemność, nie przypominając tych dwóch nocy,

kiedy zachowałem się w sposób, którego wolę nie nazywać i za który się wstydzę.

- A ja nie. Przynajmniej byliśmy wobec siebie szczerzy. Nie wstydzę się, że ci się oddałam. Co więcej, jestem z tego powodu szczęśliwa, a jeśli chcesz wiedzieć więcej, przyszłam do tego miasta w tym właśnie celu. Dla ciebie porzuciłam wszystko: zaszczyty, bogactwa, miłość, a wybrałam nędzę, cierpienie, a nawet śmierć. Marząc tylko o jednym, że cię odnajdę. Tylko ty się dla mnie liczysz... A nie chcesz tego zrozumieć.

Zarzuciła ramiona na szyję Arnolda, tuląc się do niego, oszalała z miłości i ogarnięta gwałtownym pragnieniem przekazania mu gorączki, która ją spalała. Kapitan bronił się słabo, drżącymi rękoma, które pragnęły ją objąć. Wspięła się na palce, usiłując dotknąć wargami warg młodzieńca. Lecz on odwrócił głowę i ogarnięty gwałtowną złością oderwał ją od siebie tak brutalnie, że uderzyła plecami o mur ogrodzenia.

- Mówiłem ci już sto razy, żebyś zostawiła mnie w spokoju - powiedział przez zaciśnięte zęby. - To prawda, dwa razy straciłem głowę, dwa razy pożądanie wzięło górę. Ale wyrzucałem to sobie jak zbrodnię, słyszysz, jak zbrodnię wobec pamięci mego brata. Zbyt łatwo o tym zapomniałaś. Miałem brata, przypomnij sobie... brata, którego uwielbiałem, a którego twoi bliscy zabili, zamordowali w sposób, w jaki nie zabiliby zwierzęcia rzeźnego... - Rozdzierający i nieoczekiwany szloch wyrwał się z gardła młodzieńca, łamiąc mu głos, który stał się ochrypły. - Nie wiesz, czym był dla mnie mój brat Michał - kontynuował z bólem w głosie, który Katarzyną wstrząsnął. - Michał Archanioł nie był od niego piękniejszy ani waleczniejszy, ani miłszy. Dla chłopca, jakim wówczas byłem, małego brudnego wieśniaka, ubłoconego i zakurzonego, był czymś więcej niż bratem; był wszystkim, co kochałem i podziwiałem, uosabiał rycerstwo, uczciwość, młodość i honor naszego domu. Kiedy widziałem, jak cwałuje

przez wioskę na wielkim białym koniu, z rozwianymi włosami, w których igrało słońce, czułem, jak moje serce rwie się ku niemu. Sądzę, że kochałem go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Nie potrafisz tego zrozumieć.

- Ależ tak... - powiedziała łagodnie Katarzyna. - Widziałam go, ja...

Te proste i tak niewinne słowa wystarczyły, aby wzbudzić w Arnoldzie wściekłość. Z zaciśniętymi pięściami pchnął ją w kierunku ściany i zbliżył do niej skurczoną ze złości twarz.

- Co widziałaś? To, co uczynili z nim twoi bliscy? Ludzki, krwawy strzęp, na który rzucili się wasi rzeźnicy. Chciał ukryć się w piwnicy jednego z tych przeklętych Legoix i został wydany, zamordowany, poćwiartowany... Mówisz, że go widziałaś? Czy widziałaś również to ciało, które zdjęliśmy z jednym z moich wujów, potajemnie nocą, z szubienicy w Montfaucon? Ciało bez głowy, które powieszono za ramiona na zardzewiałych łańcuchach. Głowa znajdowała się w skórzanym worku powieszonym obok. Głowa ta straszna czarna miazga! A ty mówisz mi o swojej miłości... I nie rozumiesz, że kiedy wymawiasz to słowo, mam ochotę cię udusić! Gdybyś nie była kobietą, już dawno bym cię zabił...

- Jeśli ci się to nie udało, to nie z twojej winy! - wykrzyknęła Katarzyna, w której te obrazy rozbudziły wspomnienia strasznych godzin w więzieniu. - Uczyniłeś wszystko, aby oddać mnie katu.

- Nie żałuję tego. Powtórzyłbym to nawet jutro, gdyby nadarzyła się okazja.

Gorące łzy stanęły jej w oczach i popłynęły po policzkach.

- Nie krępuj się więc. Zabij mnie. Masz miecz u boku, nie zajmie ci to dużo czasu. To lepsze niż taka niesprawiedliwość. Czemu nie chcesz usłyszeć, co mogę ci powiedzieć na temat twojego brata? Przysięgam ci, że...

Wrzaski, które nagle dały się słyszeć wewnątrz grodu królewskiego, przerwały jej w pół słowa. Za obwarowaną bramą słychać było tupot i

krzyki. W tym samym czasie olbrzymia czerwona luna rozświetliła niebo za wałem.

Arnold puścił Katarzynę.

- Co się dzieje? - spytała.

- Chyba jakiś pożar. Chodźmy zobaczyć!

Zaczęli biec obok siebie, przebiegli przez bramę i skierowali się w stronę, skąd dochodziły krzyki. Na końcu ulicy Katarzyna zobaczyła wysokie płomienie buchające z okien jej domu. Zachwiała się.

- Ależ... to mój dom! - powiedziała słabo. - Pali się mój dom!

- Co ty opowiadasz? - wykrzyknął Arnold, chwytając ją za rękę. - To tutaj mieszkasz?

- Tak... Mój Boże, Sara! Sara! Sara! Spała, kiedy wychodziłam.

Jak szalona zaczęła biec w kierunku płonącego domu. Wybudowany z drewna, jak wiele sąsiednich, palił się niczym wiązka chrustu. Na ulicy było pełno ludzi, którzy już utworzyli rząd, podając sobie skórzane wiadra z wodą. Ale nie skutkowało to wcale, wewnątrz domu zaś słychać było krzyki i wołanie o pomoc.

- Mój Boże! - Jęknęła Katarzyna, łamiąc rękę z rozpacz. - Tam w środku jest Sara! Ona zginie!

Łzy trysnęły jej z oczu. Myślała tylko o niebezpieczeństwie, w jakim znalazła się przyjaciółka. Czy uda się Sarze ująć z tego żaru? Nagle Katarzyna dostrzegła wśród płomieni postać z potarganymi włosami, wzywającą pomocy.

- Spróbuję ją stamtąd wydostać - rzucił nagle Arnold. - Nie ruszaj się stąd!

Szybkim ruchem odpiął pas, za który wsunięty był miecz, zdjął kaftan, koszulę, zostawił tylko pludry, którym ogień nie zagrażał. Katarzyna zobaczyła, jak biegnie w kierunku płonącego domu, przepycha się przez tłum

i wylawszy wiadro wody na głowę, wskakuje w kłęby dymu, które buchały przez drzwi. Zdumiony tłum zamilkł, a Katarzyna padła na kolana i modliła się z całego serca.

Pod nienaruszonym jeszcze dachem ogień zbierał straszliwe żniwo. Słysząc było, jak trzaskają boazerie, zawalają się belki i meble. Czas, jaki upłynął, wydał się Katarzynie wiecznością. Potem nie słysząc już było żadnych krzyków.

- Chyba nie udało mu się przejść - powiedział jakiś głos obok niej. - Właśnie zawaliły się schody! Z pewnością nie ma już żywych w tym piekle...

W chwili kiedy zawalił się dach, wzbijając snop iskier, Arnold wyskoczył z domu, trzymając w ramionach nieruchome ciało. Powitał go okrzyk radości. Katarzyna zerwała się z klęczek i podbiegła do niego.

- Żyjesz! Bogu niech będą dzięki!

Był cały i zdrowy. Trzymając zemdloną Sarę, śmiał się jak dziecko, szczęśliwy z powodu jej ocalenia. Na jego ciemnej skórze było kilka zadraśnień, miał lekko spalone włosy, ale poza tym nic mu się nie stało. Położył Sarę na ławie, a natychmiast kilka kobiet zajęło się nią. W tym samym czasie nadbiegli ludzie z zamku. Katarzyna rozpoznała panią de Gaucourt. Biegła co sił w nogach, unosząc w rękach spódnice, za nią podążała grupa lokajów i służących. Powiedziała Katarzynie, że przysyła ją królowa Jolanta, która życzy sobie, aby Katarzyna i jej służąca zamieszkały w zamku.

- Masz pecha, moja droga! - westchnęła, wycierając spoconą twarz. - Chyba zły los wziął się na ciebie.

Arnold, który się oddalił, aby nałożyć koszulę i kaftan, teraz do nich podszedł.

- Gdzie zamieszka pani de Brazey? - zapytał ochmistrzynię dworu królowej.

- W pokoiku w wieży sąsiadującym z komnatą pani Jolanty. Królowa pragnie, aby pani de Brazey pozostawała pod jej opieką.

Młody człowiek przytaknął ruchem głowy, ale zmarszczka rysująca się między czarnymi brwiami nie znikła. Podczas gdy pani de Gaucourt pochylona nad nadal nieprzytomną Sarą nacierała jej skronie, odciągnął Katarzynę na bok.

- Jutro - powiedział poważnie - poprosisz królowę Jolantę, aby posłała cię do swojej córki, królowej Marii, która przebywa w Bourges. I tam pozostaniesz!

- Znowu chcesz się mnie pozbyć! - zaprotestowała zbuntowana Katarzyna.

Te słowa wywołały u Arnolda wściekłość. Chwycił Katarzynę za ramiona i zaczął nią gwałtownie potrząsać.

- Nie udawaj idiotki! Chcę, abyś była bezpieczna, a tutaj nie tylko nie jesteś bezpieczna, ale nawet grozi ci coś strasznego. Czy wiesz, co znalazłem przy schodach w domu? Palącą się słomę i trzy łuczywa, które ktoś musiał tam wrzucić. Są w Loches ludzie, którzy źle ci życzą, i nie wiedząc, że wyszłaś, usiłowali cię usmażyć żywcem w twoim własnym domu. Katarzyno, czy odesłałaś właścicielce suknię, którą ci pożyczyła?

- Natychmiast!

- Więc się nie zastanawiaj! Ta kobieta nie wybacza nigdy najmniejszej rany zadanej jej miłości własnej. Gdybyś zdecydowała się stanąć po jej stronie, wykorzystałaby twoją urodę i wdzięk do własnych celów. Ale odtrąciłaś ją i natychmiast stałaś się jej wrogiem. Jesteś od niej piękniejsza i król to zauważył. Jeśli wejdiesz w łaski Karola, osłabną wpływy pana de La Tremoille. Uczyń zatem, co ci mówię: dołącz chwilowo do grona pobożnych niewiast, którymi otacza się królowa Maria.

- To niedorzeczne! - zaprotestowała Katarzyna. - A jeśli nawet grozi

mi niebezpieczeństwo, przy okazji wyzwolisz się ode mnie!

Spodziewała się ironicznej i cierpkiej odpowiedzi, ale taka nie padła. Arnold wzruszył jedynie ramionami.

- Nie bądź niemądra! Ja wyjeżdżam. Dzisiaj wieczorem w czasie narady Joanna wymogła zgodę na wymarsz na Reims, planując po drodze atak na miasta Meung, Beaugency i Jargeau, gdzie stacjonują Anglicy. Następnie, za jej radą, wejdziemy do Szampanii, aby mieczem otworzyć drogę do koronacji króla Karola. Nie będę mógł nad tobą czuwać. Jedź do Bourges.

- Tak naprawdę to nie postępujesz logicznie - odparła Katarzyna. - Przed chwilą powiedziałeś, że gdyby nadarzyła się okazja, posłałbyś mnie bez wahania na szubienicę. Pozostaw mnie więc losowi. Życie nie jest teraz dla mnie wiele warte...

W jej głosie było coś tak tragicznego i żalosego, że kapitan wzruszył się mimo woli. Katarzyna usiadła na ławie z rękami splecionymi wokół kolan, patrząc nieobecny wzrokiem na dopalający się dom. Gestem pełnym zmęczenia odrzuciła do tyłu długi, jasny kosmyk włosów, który spadał jej na twarz. Zwracając wzrok w stronę Arnolda, starała się uśmiechnąć, lecz na twarzy pojawił się jedynie smutny grymas.

- Nie kłopotuj się o mnie, panie de Montsalvy. Wiem, co cię prześladowuje. Ale nie potrwa to długo.

Nie skończyła jeszcze mówić, kiedy podniósł ją z ławy i wziął w ramiona, jedną ręką unosząc łagodnie jej twarz.

- Nie mogę cię kochać, Katarzyno, gdyż dusze mych bliskich przeklęłyby mnie. Ale pragnę, żebyś była bezpieczna. Jutro rozpoczną się walki. Będę spokojniejszy, kiedy znajdziesz się z dala od tego miejsca. Obiecuj mi, że udasz się do Bourges. Musisz mi to obiecać!

Pokonana przytaknęła ruchem powiek, prosząc w głębi duszy, aby ta

cudowna chwila, w której Arnold trzyma ją w ramionach, trwała całe życie. A ponieważ podniosła ku niemu oczy, a ostatnie płomienie pożaru rozświetliły jej wilgotne usta, nie mógł powstrzymać palącej chęci, jaka go pożerała. Złożył na tych wargach długi, namiętny pocałunek. Potem zaś wypuścił ją z ramion równie gwałtownie, i nie oglądając się, ruszył w kierunku miasta...

Wstrząśnięta Katarzyna, z pałającymi policzkami, chciała za nim pobiec, ale w tym momencie okrzyk zadowolenia, jaki wydała pani de Gaucourt, uświadomił jej, że Sara odzyskała przytomność. Zbliżyła się do starej przyjaciółki, aby ją uściskać. Ponieważ lokaje sporządzili już nosze, aby przenieść Cygankę, udała się posłusznie za małym orszakiem, który wyruszył w stronę zamku. W jej głowie panował zamęt. Jak pogodzić słowa Arnolda, aż nazbyt jasno wyrażone pragnienie pozbycia się jej, z jego gorącymi pocałunkami? Jak nie wierzyć, że kocha ją tak samo, jak ona jego? A przede wszystkim, jak mu wytłumaczyć, że nigdy nie była jego wrogiem, i że próbowała wszystkiego, aby uratować jego brata Michała? Za każdym razem, kiedy usiłowała mu to wytłumaczyć, uciekał od niej.

Rozdział szesnasty

Na spotkanie z Arnoldem

Królowa Jolanta zgodziła się łatwo, aby Katarzyna udała się do Bourges, do jej córki, co też uczyniła, ale bez wielkiego entuzjazmu. Nie miała najmniejszej ochoty dołączyć do „pobożnych niewiast”, którymi otaczała się królowa Maria. Lecz mimo to odczuwała radość, że jest posłuszna Arnoldowi. Armia Joanny d'Arc opuściła Loches poprzedniego wieczora, kierując się w stronę Jargeau, skąd Dziewica miała zamiar przegnać Anglików. Dłuższą chwilę Katarzyna wyglądała przez okno swej komnaty, patrząc na oddalające się zastępy, a w szczególności na zastęp straży przedniej, w której jechali La Hire, Xaintrilles i Montsalvy. Już dawno błyszczące zbroje i wielobarwne sztandary znikły w tumanach czerwcowego kurzu, a ona nadal wypatrywała srebrnego krogulca na czarnym stalowym hełmie.

Bourges, które wyobrażała sobie jako miasto-klasztór, bez wyrazu i blasku, sprawiło jej niespodziankę: nawet pełne przepychu miasta flamandzkie Filipa Dobrego nie były wspanialsze od stolicy księstwa Berry, która stała się siłą rzeczy stolicą wolnej Francji. Książę Jan de Berry, słynny wuj słabego Karola VII, był pierwszym i jednym z najwspanialszych francuskich mecenasów. Uczynił ze swego miasta prawdziwe dzieło sztuki, niemające równego sobie. Kiedy Katarzyna stanęła przed wielką bramą olbrzymiego pałacu, stwierdziła, że ani w Brugii, ani w Dijon nie ma tak wspaniałych siedzib. „Król Bourges” nie miał powodów do narzekań i chyba był zadowolony, że może władać tym pięknym miastem pełnym

zabytkowych pałaców, tłoczących się wokół wspaniałej, kamiennej, koronkowej katedry.

Maria Andegaweńska, królowa Francji, nie pasowała do tego pięknego miasta ani nawet do wyobrażenia o córce Jolanty Aragońskiej. Pozbawiona urody, o długiej twarzy bez wdzięku, łagodnych, lecz pozbawionych blasku oczach, niezbyt inteligentna, dwudziestopięcioletnia królowa wydawała się stworzona tylko do rodzenia dzieci. Wywiązywała się z tego zadania bardzo dobrze. W pałacu w Bourges przysła już na świat czwórka dzieci. Jedno zmarło przy narodzeniu, lecz następne było już w drodze.

Królowa Maria przyjęła Katarzynę uprzejmie i natychmiast o niej zapomniała. Dziewczyna powiększyła jedynie zastęp dam dworu. Dostała dużą komnatę nad krużgankiem, gdzie wiodła bezbarwne życie, będące regułą, kiedy królowa była w Bourges sama: msza poranna, wizyty dobroczynne, pobożna lektura, zajmowanie się dziećmi, załatwianie drobnych spraw w księstwie.

- Jeśli będę musiała zostać tutaj dłużej - któregoś dnia powiedziała do Sary - to albo zostanę mniszka, albo wskoczę do pierwszego z brzegu stawu. Jeszcze nigdy nie nudziłam się tak bardzo.

Teraz mogła już bez wstydu przebywać na każdym dworze. Ermengarda de Chateauvillain przesłała jej pod silną strażą kufry z sukniami, biżuterią i dużą sumę pieniędzy, a także długi list, w którym podawała ostatnie wieści z Burgundii. Katarzyna dowiedziała się, że matka i wuj czują się dobrze i że ich ziemie w Marsannay znakomicie prosperują, ale że książę Filip zajął zamek w Chenove, który kiedyś jej podarował. Ermengarda otrzymała od niego prywatny list, który wprowadził ją w wielkie zakłopotanie. W liście tym Filip prosił księżnę Chateauvillain, aby wstawiła się za nim u swojej przyjaciółki, Katarzyny de Brazey, aby ta zechciała go wysłuchać i powrócić czym prędzej do Brugii.

- Lepiej by było, gdyby uważał mnie za zmarłą - skomentowała te wieści Katarzyna, składając list. - Wtedy Ermengarda uniknęłaby kłopotów.

- Nie zgadzam się z tobą - zaprotestowała Sara zajęta układaniem sukien. - Nie wiesz, jak potoczą się twoje losy. Nie wiesz, czy nie będziesz chciała powrócić któregoś dnia do Burgundii. Nie pal za sobą mostów, to niebezpieczna operacja. Pani Ermengarda zawsze może powiedzieć, że nie ma od ciebie wiadomości i że nie wie, co się z tobą dzieje. Twoi krewni nic o tobie nie wiedzą, więc cię nie zdradzą. Wiesz przecież, że milczenie jest najlepszą ochroną.

Było to oczywiste. Nie bez wewnętrznych oporów Katarzyna poddała się monotonnemu życiu, znosząc cierpliwie niekończące się haftowanie u boku królowej Marii, która godzinami potrafiła pochylać swój długi nos i brzydką twarz nad różnymi robótkami hafciarskimi lub tkackimi i w tej sztuce uchodziła za mistrzynię. Zrezygnowana Katarzyna wywijiała pracowicie igłą, podczas gdy jej myśli podążały za armią Joanny. Dzięki licznym wysłannikom, których przysyłał król, dowiedziała się o zwycięstwach pod Jargeau, Meung, Beaugency, Patay, gdzie Dziewica Orleańska pokonała dwa tysiące Anglików, a pozostawiła tylko trzech zabitych Francuzów. Któregoś dnia, dowiedziała się, że królowa Maria wyjeżdża do Reims przez niebezpieczną Szampanię. Katarzyna miała nadzieję, że królowa dołączy do małżonka, jak wymagała tego jej pozycja. Niestety, królowa Maria pojechała spotkać się ze swym panem do Gien, zostawiając w Bourges większość swojej świty, w tym wielce rozczarowaną Katarzynę.

- Dziecko, które noszę w łonie, nie pozwala mi na taką podróż - oznajmiła swoim damom dworu. - Będziemy się modlić za mego pana i za jego koronację.

- To jedyna okazja, żebyśmy mogły zobaczyć koronację - westchnęła

młodziutka Małgorzata de Culant, haftująca wspólnie z Katarzyną proporzec dla króla Karola. - To jedyna okazja, żebyśmy mogły potaćzyć!

Ta młoda, wesoła dziewczyna była jedyną z dam królowej, którą Katarzyna darzyła odrobiną sympatii. Ona i Małgorzata siadały obok siebie i zabijały czas, rozmawiając i komentując wieści dochodzące z armii.

- Trudno! - powiedziała Katarzyna. - Król powróci na zimę, a wraz z nim cała jego świta. Sądzę, że będą uczty i tańce...

Małgorzata popatrzyła na nią ze szczerym osłupieniem malującym się na drobnej twarzy, okolonej dwoma warkoczami zwiniętymi nad uszami.

- Mylisz się, moja droga! Oczywiście, że król powróci, ale nie zostanie wcale w Bourges. Jego dwór przebywa w Mehun, podczas gdy królowa woli Bourges, bo jest tutaj wygodniej dla dzieci. Więc i my pozostaniemy tutaj i nie skorzystamy z zabaw w Mehun!

Katarzyna zaczęła podejrzewać, że wysyłając ją na dwór królowej Marii, Arnold zrobił jej na złość. Z pewnością chciał mieć swobodę działania i Katarzyna zaczęła teraz przypuszczać, że cała ta troska o nią była w gruncie rzeczy tylko chęcią uwolnienia się od niej. Podczas gdy jej zręczne palce tknęły złotą nicią na niebieskim kawałku jedwabiu, z którego miał być zrobiony proporzec siedem lili królewskiego herbu, jej wyobraźnia pracowała, a w głowie gromadziły się gorzkie myśli. Bo jakież ma dowód na to, że Arnold nie kłamał, przysięgając, że piękna pani de La Tremoille nic dla niego nie znaczy? Kiedy Katarzyna zobaczyła ją wychodzącą z domu pod świętym Krepinem, nie wyglądała na kogoś, kto właśnie został wyproszony. A czy troska Arnolda o bezpieczeństwo Katarzyny nie była raczej chęcią oddalenia niebezpiecznej rywalki, która nie podobała się tamtej kobiecie?

Myśli te tak ją prześladowały, że nie mogła się powstrzymać, aby nie zagadnąć o to Małgorzatę de Culant.

- Słyszałam, jeszcze w Loches, że pan de Montsalvy i pani de La Tremoille mają się ku sobie - powiedziała tonem tak obojętnym, że Małgorzata niczego się nie domyśliła i wybuchnęła śmiechem.

- Zdziwiłabym się, gdyby tak było! Pan de Montsalvy nie znosi państwa de La Tremoille, ani jej, ani jego! To jasne: moi rodzice nigdy nie pomyśleliby o nim jako o moim ewentualnym małżonku, gdyby było inaczej.

Katarzyna poczuła, jak krew odpływa jej z policzków w stronę serca. Skryła pośpiesznie dłonie pod niebieskim jedwabiem, aby Małgorzata nie zauważyła ich drżenia.

- To kandydat na męża dla ciebie? - spytała niby od niechcenia, uśmiechając się z trudem. - Przyjmij moje gratulacje! Sądzę, że jesteś bardzo zakochana w narzeczonym? Jest bardzo przystojny i...

- I miły! - uzupełniła Małgorzata, trzymając w ustach kawałek jedwabnej nitki, aby nawlec ją na igłę. - Rzeczywiście pan Arnold jest bardzo przystojny, lecz mówią też, że jest bardzo porywczy, w każdym razie nie kocham go.

Zdecydowany ton Małgorzaty ożywił nieco Katarzynę, która już zaczynała słabnąć. Sądziła, że jej życie dobiega kresu. Ale Małgorzata nie kochała Arnolda...

- Ale może on kocha ciebie?

- On? On nie kocha nikogo oprócz siebie samego, a poza tym, Katarzyno, muszę ci wyznać, że kocham innego. Mówię ci to, bo cię bardzo lubię i jesteś moją przyjaciółką. Ale to tajemnica. Dochowasz jej, nieprawdaż?

- Oczywiście! Bądź spokojna!

Katarzyna odetchnęła z ulgą, ale bardzo się bała, że małżeństwo, którego tak chcieli państwo de Culant, mogło dojść do skutku. Za wszelką cenę musiała zobaczyć się z Arnoldem! Czyż nigdy nie powróci z tej

przeklętej koronacji? Nie mogła przecież szukać go na polach bitew. Mijały tygodnie, ale Arnold ciągle nie wracał.

* * *

Kiedy nadeszła jesień, Katarzyna ponownie spotkała się z Dziewicą Joanną i niewiele brakowało, aby jej nie poznała, tak była smutna i znużona. Dzielną wojowniczkę spod Orleanu zastąpiła dziewczyna wymizerowana i niespokojna. Po wspaniałej koronacji, w czasie której płakała ze szczęścia, po olbrzymiej radości, kiedy oddawały się jej miasta, Joanna musiała ugiąć się pod matactwami pana de La Tremoille, który miał duży wpływ na króla. Ponieważ strzała z kuszy zraniła ją w ramię przy bramie świętego Honoriusza, zmuszono ją by opuściła Paryż i udała się nad Loarę „na przezimowanie”, gdzie armia powiodła ją niczym jeńca w złotych łańcuchach.

- Mówią, że muszę odpocząć - zwierzyła się Katarzynie z goryczą. - A ja chciałabym zobaczyć Paryż z bliska, bo nigdy tam nie byłam. Trzeba było iść do przodu, wymusić zwycięstwo. Sam Bóg tego chciał...

- Ale nie pan de La Tremoille! - odparła cierpko Katarzyna. - On ciebie nienawidzi, Joanno, i zazdrości ci. Dlaczego król słucha tego zarozumiałego człowieka?

- Nie wiem...

Katarzyna nie mogła powstrzymać pytania, które cisnęło się jej na usta. Kiedy armia przeszła przez ulice Bourges, na próżno szukała w straży przedniej rycerza ze srebrnym krogulcem. Nigdzie nie spostrzegła Arnolda.

- A pan de Montsalvy? Nie przydarzyło mu się nic złego, prawda? Spiętą twarz Joanny d'Arc rozjaśnił uśmiech.

- Czuje się dobrze. Zostawiłam go w Compiègne, którym rządzi, w

imieniu króla, pan de Flavy. To wielki rycerz, lecz ma serce dzikiego zwierzęcia. Zobowiązałam pana de Montsalvy'ego, aby sprawował nad nim dyskretny nadzór. Jego serce jest lojalne i wierne, mam do niego zaufanie.

Wypowiedziany przez Joannę komplement nappełnił Katarzynę radością i osłodził co nieco długie dni oczekiwania na Arnolda. I podczas gdy Joanna oszukiwała swą niecierpliwość, urządzając wypadki przeciw Saint-Pierre-le-Moutiers, które zdobyła, i do La Charite-Sur-Loire, gdzie rozbójnik Perrinet Gressard trzymał ją w szachu, Katarzyna spędzała dni na modlitwach i niekończących się robótkach hafciarskich.

Jeden tylko raz, w czasie świąt Bożego Narodzenia, wzięła udział w prawdziwej zabawie i mogła podziwiać piękno Mehun-Sur-Yevre, gdzie książę Jan zgromadził wspaniałą kolekcję biżuterii, dywanów, rzadkich ksiąg, dzieł sztuki, obrazów i rzeźb.

Zamek sam w sobie był klejnotem: kompozycja z białych, gładkich kamieni, pochodzących z zielonych wód rzeki Auron, z wyniosłymi wieżami zwieńczonymi rzeźbionym kamieniem, z niebieskimi dachami, na których znajdowały się złote chorągiewki, z lekką, smukłą kaplicą o niezapomnianym pięknie. Tutaj król nadał uroczyste szlachectwo Joannie d'Arc i jej rodzicom, a także ich potomkom, jak również wręczył herb przedstawiający złoty miecz w otoczeniu dwóch lilii na błękitnym polu. Ale te dowody wdzięczności nie pocieszyły Joanny. Szybko opuściła Mehun i powróciła do Bourges, gdzie mieszkała u kobiety o wielkiej cnocie, Małgorzaty La Touroulde. Królowa Maria, której obecności Karol VII wcale nie pragnął, powróciła do swego pałacu. Katarzyna powróciła tam również wraz z Małgorzatą de Culant i innymi damami dworu. Tym razem była szczęśliwa, że powraca do nudnego życia, które tak ją denerwowało. Nie podobało się jej zagadkowe, lecz dziwnie ciężkie spojrzenie, jakim obrzucał ją pan de La Tremoille w czasie uroczystości nadania szlachectwa Joannie. A zielone

oczy jego żony też nie wróżyły nic dobrego.

* * *

Minęła zima. Nadeszła wiosna i wszystko się zazieleniło. Powrócił również czas wojny i Joanna, dręczona bezczynnością, nie wytrzymała. Dowiedziawszy się, że Filip Burgundzki oblega Compiègne, wyjechała pewnego ranka o świcie z garstką towarzyszy.

* * *

Któregoś wieczoru, pod koniec maja, Katarzyna nadzorowała na polecenie królowej transport jej futrzanych pelis, które każdej wiosny wysyłano do kuśnierza, aby je wyczyścił, sprawdził i naprawił na następną zimę. Królowa Maria była kobietą niezwykle oszczędną i bardzo dbała o swoje ubiory. Katarzyna wyjechała więc konno, a z nią dwa wozy wiozące futra do pobliskiego sklepiku kuśnierza.

Pan Jakub Coeur miał dom i sklep na rogu ulic Zbrojarzy i Auron, na wprost domu burmistrza Bourges, Leodeparta, którego córkę o imieniu Macee poślubił. Katarzyna była już wiele razy u państwa Coeur, gdzie zaprowadziła ją Małgorzata de Culant. Byli młodzi, uprzejmi i zawsze gotowi przyjść z pomocą. A poza tym ich dom z piątką dzieci był jednym z najbardziej wesołych w Bourges. Katarzyna lubiła tutaj przychodzić, bawiła się z dziećmi, rozmawiała z łagodną Macee lub podziwiała skóry z rzadkich i cennych zwierząt, które z trudem zdobywał Jakub, z powodu ciężkich czasów i niebezpieczeństwa na drogach.

Katarzyna miała nadzieję, że spełniwszy swe zadanie, spędzi wieczór z przyjaciółmi, którzy z pewnością poproszą ją, aby została na wieczerzy, jak

to zwykle czynili. Koń kołysał ją łagodnie w blasku zachodzącego słońca. Kolacja w cieniu olbrzymiej lipy rosnącej w ogrodzie państwa Coeur, gdzie róże i wiciokrzew rozsiewały cudny zapach, będzie bardzo przyjemna. Wspomnienie tego zapachu sprowadziło na jej usta tęskną, starą pieśń Marii de France: *Cóż stało się z ich dwoma sercami i z tym wiciokrzewem, który rósł przy leszczynie...*

Gdzie teraz, w tej godzinie, bije serce Arnolda? Czy mury Compiègne chronią go nadal, czy Joannie udało się oswobodzić miasto i otworzyć żołnierzom drogę do Pikardii? Tam, gdzie była Dziewica, nic złego nie mogło się stać żadnemu z jej ludzi. Niosła ze sobą szczęście i Boską opiekę. Wystarczyło zanurzyć się całkowicie w spokojnej głębi jej oczu, aby poczuć się ufnym i silnym...

Zatopiona w myślach Katarzyna nie zwracała uwagi na to, co dzieje się na ulicy. Nie słyszała zbliżającego się galopu końskich kopyt i nie cofnęła się, dopóki koń się z nią nie zrównał, nie wyprzedził i stając dęba, nie zagroził jej drogi. Siedział na nim człowiek w zbroi zabrudzonej krwią, tak pokryty kurzem, że twarz i zbroja miały taki sam szary kolor. Jego prawie czerwone włosy były jednak widoczne i Katarzyna rozpoznała Xaintrailles'a. Wydała okrzyk zdziwienia, uśmiechnęła się i już wyciągała ku niemu rękę, gdy ten, nie witając się z nią, rzucił:

- Jadę z pałacu, gdzie powiedziano mi, że wyjechałaś do Jakuba Coeura. Szukam cię, pani Katarzyno.

Jego szeroka twarz, zwykle tak wesoła, była napięta i pozieleniała pod skorupą kurzu zmieszanego z potem. Katarzyna instynktownie przeczuła nieszczęście.

- Co się dzieje, panie? Jaką złą wiadomość mi przynosisz? Powiedz szybko, co z Arnoldem?

- Jest ranny... bardzo ciężko i chce cię zobaczyć! Poza tym... Joanna

jest w rękach Burgundczyka! Musisz ze mną jechać...

Służący na wozach widząc, że Katarzyna zatrzymała się, zrobili to samo. Ale osłupiała Katarzyna zapomniała o nich. Wydawało się, że uderzył w nią piorun. Siedziała nieruchomo, z pustym spojrzeniem, na koniu, który niecierpliwie uderzał kopytem.

Jeden ze służących zbliżył się nieśmiało i pociągnął za brzeg jej sukni.

- Co robimy, pani?

Popatrzyła na niego z zaskoczeniem, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Poczowała dreszcz przeszywający ją od stóp do głów i wydawało się, że odzyskuje świadomość. Wykonała niepewny ruch ręką.

- Jedźcie sami! Powiedzcie panu Coeur, że nie mogłam przybyć osobiście, niech zrobi, co trzeba. Pozdrówcie go ode mnie. Muszę wrócić do pałacu...

Kiedy służący oddalił się, zwróciła się do Xaintrilles'a z wyrazem bólu na twarzy.

- Powiedz mi prawdę, panie! On nie żyje, prawda?

- Przecież prosi, żebyś przybyła. Ale jeśli, pani, nie pospieszysz się, możesz nie zastać go żywym...

Pod wpływem rozpaczony Katarzyna zamknęła oczy. Strumień łez trysnął z jej oczu, spływał na policzki, a szloch rozrywał piersi.

Przeznaczenie dało o sobie znać. Arnold jest umierający! Jak mogło zdarzyć się coś tak strasznego? Było w tym coś absurdalnego i trudnego do wyobrażenia. Przecież Arnold był niezniszczalny jak sama ziemia!... I przecież była obok niego Joanna! Ale... Xaintrilles powiedział coś na temat Joanny? Ach tak!... że została pojmana. Dziewica pojmana? Drugi absurd. Któż mógłby uwięzić wysłanniczkę Pana?

- Katarzyno! - powiedział Xaintrilles ostrym głosem. - Musimy wrócić do pałacu, abyś przygotowała się do wyjazdu. Nie ma wiele czasu!

Skinęła głową. Oczywiście, trzeba się spieszyć. Nie ma minuty do stracenia. Skierowała konia w stronę pałacu, którego łupkowe dachy lśniły w ostatnich promieniach słońca. Niebo było coraz ciemniejsze.

- Już jadę - powiedziała po prostu.

W godzinę później, tuż przed zamknięciem bram, Katarzyna, Sara i Xaintrilles opuścili Bourges. Łaźnia, świeże odzienie i porządny posiłek zmasały, niczym czary, zmęczenie z twarzy dzielnego Owerniaka. Ale na obmytej z kurzu twarzy widniało dramatyczne napięcie. Jechał z zacisniętymi zębami, z gniewem w głębi brązowych oczu. Sądził naiwnie, że wiadomości, jakie przywiózł, przytłoczą dwór niepewnością i strachem. Ale gdy trzech jeźdźcy kierowali się ze smutkiem w sercu w kierunku bramy Północnej, długo im towarzyszyły radosne dźwięki lutni i wioli. Król i jego nieodłączny La Tremoille przybyli nieoczekiwanie, jadąc z polowania. Przygotowano więc wieczerzę, zaczęły się tańce...

- Tańczą - mruknął wściekły przez zęby, patrząc morderczym wzrokiem w stronę rozświetlonych okien pałacu. -

Bawią się, kiedy inni umierają i kiedy królestwo jest w niebezpieczeństwie. Niech ich diabeł porwie!...

Jedynie Jolanta Aragońska, przebywająca od dwóch dni u córki, przyjechała, aby pożegnać się z nimi. Bez słowa wcisnęła do ręki de Xaintrilles'a ciężką sakiewkę, a widząc zdziwienie w oczach kapitana, powiedziała z prostotą:

- Uczyńcie wszystko, co w waszej mocy. Następnie odeszła, nie spoglądając za siebie.

Przez długie godziny, pod osłoną ciemnej nocy, trzech jeźdźcy galopowali, nie zamieniając ani słowa. Xaintrilles'a nadal trawiła wściekłość, a Katarzynę przenikała trwoga. Obie z Sarą znów nałożyły męskie stroje, bardziej praktyczne do konnej jazdy. Przy obłaku siodła

Katarzyny znajdował się ciężki kuferek, do którego, wiedzona dziwnym impulsem, włożyła dużą ilość złotych dukatów i kilka z najcenniejszych klejnotów, między innymi słynny czarny diament Garina, z którym nigdy nie odważyła się rozstać. W czasie wojny złoto jest potężną bronią i Katarzyna nauczyła się cenić jego siłę.

W kilku krótkich słowach Xaintrilles opowiedział jej, co stało się pod murami Compiègne 24 maja. Jak Joanna w czasie jednego z wypadów poza miasto dosyć się oddaliła, a następnie, stanąwszy twarzą w twarz z olbrzymią armią Jana z Luksemburga, chciała wycofać się w kierunku Compiègne. Ale kiedy dotarła do miasta, zastała spuszczoną kratę w bramie, a most podniesiony. Została pojmana z Janem d'Aulonem, swoim giermkim.

- Kto wydał rozkaz podniesienia mostu? - zapytała Katarzyna.

- Wilhelm de Flavy! Ten wieprz... ten zdrajca! Arnold, który chciał go zmusić do opuszczenia mostu, został przez niego zraniony. Arnold nie brał udziału w wypadzie na rozkaz Joanny, która poleciła mu dokonać inspekcji zapasów. Nie miał na sobie zbroi, kiedy rzucił się na Flavy'ego z mieczem w dłoni. Obaj mężczyźni zaczęli się bić, ale Flavy miał przewagę. Arnold upadł przebity na wylot. Zdołał jeszcze dostrzec Lionela de Vendome, tego nędznika, któremu, co było wielkim błędem, oszczędził życie w Arras, ściągającego Joannę z konia. Od tej chwili w jego duszę wstąpiły gorączka, majaczenie i wściekłość...

O tym wszystkim myślała Katarzyna, spinając ostrogami konia. Wiatr smagał jej twarz i przynosił ulgę. Nie czuła ani zmęczenia, ani głodu, ani pragnienia. Stanowiła jedność z unoszącym ją rumakiem, odczuwając jedynie strach, że przybędzie zbyt późno i zostanie już tylko martwe ciało ukochanego. Aby dodać sobie otuchy, myślała o jednym: że ją wzywał! To po nią wysłał Xaintrilles'a, tylko po nią!

Cóż mogło oznaczać to ostatnie wezwanie u progu śmierci, jeśli nie to,

że w końcu przemówiła miłość, że w końcu poddał się jej. I Katarzyna w swej rozpaczyci błagała Boga, aby pozwolił jej przybyć na czas, i aby mogła spojrzeć po raz ostatni na tego, który był jej całym życiem i z którym rozdzieliło ją tragiczne nieporozumienie.

- Przynajmniej tyle, Panie, przynajmniej tę ostatnią chwilę! - błagała cicho Katarzyna. - Potem będę mogła umrzeć...

Była to straszna i wyczerpująca jazda, na granicy wytrzymałości. Jechali tak długo, aż konie zaczynały padać ze zmęczenia. Zatrzymywali się na godzinę, aby zjeść trochę chleba, wypić dzban wina i ochłodzić wodą twarz. Xaintrailles załatwiał nowe konie, płacąc za nie po królewsku garściami złota. On sam posilał się w siodle. Wydawał się zbudowany z niezniszczalnej stali. Nic nie miało wpływu na tego człowieka o nie ludzkiej sile, który już jadąc po Katarzynę, przebył drogę w takim samym piekielnym tempie.

Zmęczenie i znużenie łamały Katarzynę, ale za nic w świecie nie przyznałaby się do tego. Zaciskała zęby, powstrzymując jęk wywołany bólem pleców i pośladków. Sara też się nie skarżyła. Podobnie jak Katarzyna zaciskała zęby, rozumiejąc dobrze, że życie dziewczyny zależy od słabego oddechu, jaki tlił się jeszcze w rannym ciele Arnolda de Montsalvy'ego. Sara nie śmiała nawet pomyśleć, co by się stało, gdyby kapitan zmarł przed ich przybyciem. Katarzyna tyle się wycierpiała za niego i przez niego, że wierna Cyganka obawiała się rozpaczyci, jaką wywołałaby ta śmierć. Czy Katarzyna wytrzymałaby ten kolejny cios? Czy też...

Trzeciego dnia wieczorem strudzeni jeźdźcy dotarli wreszcie do lasów koło Guise, które rozciągały się od Compiègne do Villers-Cotterets.

- Dojeżdżamy - powiedział Xaintrailles. - Jeszcze trzy mile!
Burgundczycy i Anglicy obozują na północ, po drugiej stronie rzeki Oise. Bez trudności dojedziemy od strony południowej. Ten las otacza miasto

prawie w całości.

Katarzyna kiwnęła głową na znak, że rozumie. Nawet słowa sprawiały jej ból. Widziała świat jakby przez mgłę, jechała podtrzymywana instynktem silniejszym od zmęczenia. Jadąca za nią Sara spała i trzeba było przywiązać ją do siodła, aby nie spadła z konia.

Katarzynie wydawało się, że te trzy ostatnie mile nigdy się nie skończą. Pojawiały się coraz to nowe drzewa i wydawało się, że mury miasta nigdy się nie ukążą. W tej podróży u kresu nocy było coś nadnaturalnego... Kiedy w końcu las się przerzedził, ukazując nieruchomą sylwetkę Compiegne, Xaintrailles podjechał sam nad brzeg rowu wypełnionego wodą, aby wezwać czatownika, nie wiedząc, czy w czasie jego nieobecności nieprzyjaciel nie zdobył miasta.

- Jeśliby tak było - powiedział do swoich towarzyszek - uciekniecie natychmiast i schronicie się w lesie.

- Nie licz na to, panie! - odpowiedziała Katarzyna. - Udam się tam, gdzie i ty!

Z trudem udało mu się przekonać Katarzynę, aby pozwoliła mu udać się na zwiady samemu. Okazało się jednak, że miasto trzyma się nadal i wkrótce spuszczonej został mały most, którym trzech podróżnicy przeszli pieszo, trzymając konie za uzdy. Trochę dalej stał kusznik z pochodnią w dłoni.

Xaintrailles zwrócił się do niego ostrożnie:

- Nie wiesz, czy kapitan de Montsalvy jeszcze żyje?

- Żył jeszcze o zachodzie słońca, panie. Odzyskał nawet przytomność.

Ale nie wiem, co się teraz z nim dzieje.

Nic nie odpowiadając, Xaintrailles pomógł obu kobietom wsiąść ponownie na konie. Bez jego pomocy Katarzynie nie udałoby się to z pewnością. Jej nogi drżały i odmawiały posłuszeństwa. Xaintrailles wziął ją

w ramiona i usadowił w siodle, a następnie oddał tę samą przysługę biednej, na wpół żywej Sarze.

- Arnold jest w opactwie Saint Corneille, gdzie zakonnicy opiekują się nim bardzo dobrze - szepnął. - Lecz na Boga, nie zapomnij, pani, żeś przebrana za chłopca! Benedyktyni są bardzo surowi co do kobiet. I spróbuj, pani, wytłumaczyć to twojej służącej, jeśli jeszcze dociera do niej cokolwiek.

Wkrótce wysoki, kamienny luk wrót opactwa ukazał się na tle szarawego świtu wstającego dnia. Xaintrilles zakołatał do wrót i przez chwilę pertraktował z braciszkiem odźwiernym, którego czujna twarz ukazała się za kratą okienka.

- Dzięki Bogu - szepnął do Katarzyny, podczas gdy mnich otwierał wrota. - Arnold jeszcze żyje! Podobno śpi.

Idąc za Xaintrilles'em wzdłuż galerii dziedzińca, Katarzyna dziękowała w głębi serca temu, który wysłuchał jej próśb i pozwolił zobaczyć żywego jeszcze Arnolda. Powracały jej odwaga i życie. Może nie był jeszcze zgubiony, może przeżyje... i może nadejdzie tak upragnione szczęście.

* * *

Arnold spoczywał na pryczy w celi, leżał na plecach, oczy miał zamknięte. U wezłowania czuwał siedzący na taborecie mnich z różańcem w dłoni. Woskowa świeca płonąca w świeczniku z surowego żelaza stojącym na stole oświetlała pomieszczenie. Nie licząc krzyża na ścianie i mszału na półce, było to całe wyposażenie małej celi, do której weszli Xaintrilles i Katarzyna. Na ich widok mnich wstał.

- Jak on się czuje? - szepnął Xaintrilles. Duchowny uczynił niejasny ruch i wzruszył ramionami.

- Wcale nie lepiej! Bardzo cierpi, ale odzyskał przytomność. Noc była zła. Oddycha z trudem...

Rzeczywiście, z piersi rannego wydobywał się dźwięk przypominający miech kowalski. Mężczyzna był blady jak воск. Jego zaciśnięte na prześcieradle dłonie poruszały się jakimś tragicznym ruchem. Wstrząśnięta i niezdolna do powiedzenia słowa Katarzyna osunęła się na kolana przy przy- czy i delikatnym ruchem odsunęła czarny kosmyk włosów, który przykleił się mu do czoła. Usłyszała, jak Xaintrilles mówi do mnicha:

- To jest osoba, po którą mnie wysłał. Czy możesz zostawić nas przez chwilę samych, mój ojczy?

Nie odwracając się, Katarzyna usłyszała szuranie sandałów na kamiennej posadzce. Skrzypnęły zamknięte drzwi. Arnold otworzył oczy. Jego niepewne spojrzenie spoczęło najpierw na przyjacielu stojącym u stóp łoża, potem stało się bardziej wyraziste.

- Janie! - wyszeptał z trudem. - Jesteś z powrotem? Czy...

- Tak - wyszeptał Xaintrilles. - Ona jest tutaj! Patrz...

Olbrzymia radość pojawiła się na twarzy rannego. Z trudem odwrócił głowę i zobaczył pochylającą się nad nim Katarzynę.

- Dziękuję ci, że przybyłaś!

- Nie masz mi za co dziękować - wyjąkała młoda kobieta głosem tak ochryłym, że trudnym do rozpoznania. - Wiedziałeś dobrze, że przybędę. Dla ciebie, Arnoldzie, poszłabym na koniec świata i...

- Nie chodzi o mnie! Ja umieram, ale... inni żyją!

Radość, która na chwilę rozjaśniła twarz młodzieńca, zgasła. Odwrócił oczy, a jego rysy zamarły. Poruszały się jedynie usta, ale głos, który z nich wychodził, był tak słaby, że Katarzyna musiała nachylić się jeszcze bardziej, aby coś usłyszeć.

- Posłuchaj... bo ja mam mało sił. Joanna jest w rękach Filipa

Burgundzkiego. Schwytął ją Jan Luksemburczyk. Musisz udać się do jego obozu i uzyskać oswobodzenie Joanny.

Katarzynie wydało się, że źle usłyszała.

- Mam iść do księcia? Ja? Arnoldzie... chyba tego nie chcesz?

- Musisz tam się udać. Tylko ty możesz wygrać tę bitwę. On cię kocha!

- Nie!... - Z ust Katarzyny wyrwał się cichy okrzyk. Zawstydzona, kontynuowała po cichu: - Nie, Arnoldzie... nie wierz w to! On mnie już nie kocha. Jest bardzo dumny i nie wybaczył mi ucieczki. Na jego rozkaz zajęto moje ziemie. Zostałam wypędzona. Co więcej, sądzę, że ożenił się... i nie dba o mnie.

Twarz Arnolda skurczyła gwałtowna złość. Napiął mięśnie, jakby chciał usiąść.

Xaintrilles odezwał się obojętnym głosem:

- Mylisz się, pani Katarzyno. Masz całkowitą władzę nad księciem Filipem. Rzeczywiście, w styczniu tego roku poślubił infantkę Izabelę i z tej okazji odbywały się w Brugii wielkie uroczystości, ale największe uroczystości odbywały się z okazji powołania do życia wspaniałego zakonu rycerskiego. Wiesz, pani Katarzyno, jak nazywa się ten zakon?

Zaprzeczyła ruchem głowy, bardzo szybko i nie podnosząc na niego oczu, czując, że znowu staje się niewolnicą przeszłości. Głos Xaintrilles'a dochodził do niej jak ze szczytu góry.

- Jest to zakon Złotego Runa. I wszyscy wiedzą, skąd pochodzi ta nazwa. Ludzie z Brugii twierdzą jednogłośnie, że Filip nie nazwałby go tak, gdyby nie nosił w sercu żalu po kochance o wspaniałych włosach. To jest hołd, Katarzyno, uwierz w to, publiczna, niesłychana i wyraźna deklaracja miłości. Twoja władza nad nim pozostała nienaruszona, a konfiskata dóbr jest oznaką złości człowieka zawiedzionego w swoich nadziejach, a jednocześnie ukrytym pragnieniem, aby znów cię zobaczyć.

Wydawało się, że klęcząca przy pryczy Katarzyna nie słyszy tych słów. Jej płonące od gorączki oczy wpatrywały się w twarz Arnolda i szukały w niej rozpaczliwie zaprzeczenia słów przyjaciela. Ale nie, on słuchał uważnie, śledząc wzrokiem ruch warg kapitana... Nie spojrzał na nią nawet wtedy, gdy Xaintrailles zamilkł i kiedy Katarzyna nieśmiało dotknęła jego dłoni.

- Musisz tam iść! - powiedział tylko. - To nasza jedyna szansa!...

Katarzyna przytuliła zalany łzami policzek do jego dużej, gorącej dłoni.

- Arnoldzie! - westchnęła błagalnie. - Nie żądaj tego ode mnie... Nie ty!

Czarne źrenice młodzieńca spoczęły na niej, spowijając ją rozgorączkowanym spojrzeniem. Dyszał ciężko i wydawało się, że każde słowo wywołuje straszliwe męki.

- A jednak żądam tego od ciebie, bo jesteś jedyną osobą, której Filip posłucha, i dlatego że Joanna jest ważna dla królestwa... ważniejsza od ciebie i ode mnie!

Katarzyna poczuła rosnący bunt. W jednej chwili zapomniała o miejscu, w którym się znajdowali i o jakiegokolwiek ostrożności.

- Ale ja ciebie kocham! - wykrzyknęła z bólem. - Kocham cię na śmierć i życie, a ty chcesz, abym powróciła do Filipa? Wiem, że mną gardzisz, tak, wiem to! Ale miałam nadzieję, że mimo wszystko kochasz mnie trochę... troszeczkę! Arnold zaniknął oczy. Wydawało się, że jego twarz kurczy się pod ciężarem wielkiego zmęczenia, a jego głos zamienił się w szept.

- To też... nie ma znaczenia... Tylko Joanna... Joanna! Cierpienie wykrzywiło mu twarz, w kąciu ust pojawiła się różowa piana. Dłoń Xaintrailles'a spoczęła na ramieniu Katarzyny.

- Zostawmy go w spokoju - wyszeptał. - On nie ma już siły! Musi odpocząć. Ty również tego potrzebujesz, pani...

Katarzyna podniosła gwałtownie głowę, obrzucając kapitana spojrzeniem pełnym urazy.

- Wiedziałaś, panie, z jakiego powodu mnie wzywał? Wiedziałaś i nic mi nie powiedziałaś? Oszukałeś mnie niegodziwie.

- Nie oszukałem cię, pani. Powiedziałem ci tylko, że prosi cię, abyś przybyła, a ty nie pytałaś o nic więcej. Musisz zrozumieć, Katarzyno, że dla nas wszystkich, towarzyszy broni, Joanna d'Arc znaczy więcej niż wszystko inne, tak jak ci to powiedział Arnold. Jest wybawieniem dla kraju, a jej schwytanie przez Burgundczyków to olbrzymia katastrofa, której skutków nie da się oszacować. Zrozum dobrze, ktoś musi przypomnieć Filipowi Burgundzkiemu, że jest przede wszystkim księciem francuskim...

Zrozumiałaś mnie? FRANCUSKIM! Najwyższy czas, aby sobie o tym przypomniał. Mówi się, że Anglicy domagają się już Joanny jako zapłaty. A do tego nie może dojść za żadną cenę...

- Powiedziałaś mi niedawno, panie, że on mnie kocha! - Jęknęła Katarzyna z goryczą. Nurtowała ją jedynie ta sprawa.

- I powtarzam to nadal! Ale nade wszystko kocha swój kraj i swój obowiązek! Aby uratować Joannę, sprzedałby Filipowi własne serce. Uwierz, pani, rozumiem, jak wielkiego poświęcenia żądamy od ciebie... ale, Katarzyno, jeśli kochasz Arnolda tak bardzo, jak mówisz, musisz spróbować uratować Joannę.

- Skąd wiesz, panie, że to mi się uda, że Filip mnie posłucha?

- Jeśli nie posłucha ciebie, pani, to nie posłucha nikogo! Ale nie mamy prawa nie wykorzystać takiej szansy!

Katarzyna westchnęła głośno. Rozumiała punkt widzenia obu młodzieńców i z pewnością nie mogła nie przyznać im racji. Na ich miejscu

bez wątpienia postąpiłaby tak samo. Ale próbowała jeszcze walczyć.

- Książę jest dobrym rycerzem. Z pewnością nie odda Dziewicy Anglikom.

- Chciałbym jednak mieć tę pewność. A to przecież ty, pani, jesteś Złotym Runem!

Te słowa wstrząsnęły Katarzyną. Wydawało się jej, że słyszy w głębi duszy odległy głos Filipa z czasów ich miłości. To prawda, że tak ją nazywał. „Moje złote runo”. Prawdą było również, że kochał ją namiętnie. Jak w takiej sytuacji wytłumaczyć tym ludziom, wiernym towarzyszom Joanny d'Arc, aby nie pokładali w niej nadziei?

Pokonana schyliła głowę.

- Zrobię, co chcecie! - wyszeptała. - Gdzie przebywa książę?

- Pokażę ci, pani. Chodź, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona. Zmęczona?

Była zmęczona do granic wytrzymałości.

Chciałaby położyć się tutaj, pośrodku dziedzińca, na ziemi przepojonej zapachem lata, czekając, aż jej serce przestanie bić i zaśnie snem bez przebudzenia. Ale zbierając resztki sił, udała się za Xaintrilles'em aż do dzwonnicy kaplicy klasztornej. Przez wąskie okno kapitan pokazał jej połyskującą wstęgę rzeki Oise, różowiejącą we wschodzącym słońcu. Za rzeką wznosiły się drewniane baszty, takie same, jakie widziała już w Orleanie, oraz rzędy namiotów. Na linii mostu łączącego dwa brzegi rzeki, górując jak olbrzymi dąb pośrodku lasu, błyszczał ogromny purpurowo-złoty namiot. Katarzyna rozpoznała na jego szczycie powiewający proporzec Filipa Dobrego.

- To obóz w Margny - powiedział krótko Xaintrilles. - Tam musisz, pani, się udać. Ale wcześniej odpocznij i odśwież się. Będiesz potrzebowała wszystkich swoich sił.

Rozdział siedemnasty

Złote Runo

Dopiero o zachodzie słońca Katarzyna wyruszyła w stronę obozu burgundzkiego. Trzeba było poczekać na milczące zawieszenie broni, jakie przynosiła noc, zanim dziewczyna mogła udać się do nieprzyjaciół. Wieczorem wsiadła na konia i przejechawszy przez bramę, skierowała się w stronę mostu na rzece Oise. Przed nią jechał jeden z giermków Xaintrailles'a wiozący białą flagę parlamentariusza.

Kopyta konia dźwięczały na grubych deskach mostu. Katarzyna dała się mu nieść, nie usiłując nawet kierować zwierzęciem. Czuła ciężar w sercu, pustkę w głowie i miała podobne odczucia jak w Orleanie, w tym strasznym dniu, kiedy wieziono ją na szubienicę. Nie próbowała sobie nawet wyobrazić, jak przyjmie ją Filip, ani co mu powie. Była gotowa zrobić wszystko, co w jej mocy, aby uratować Joannę, uzyskać jej zwolnienie za okup. Innych planów nie miała.

Na plecach czuła spojrzenia wszystkich mężczyzn, którzy z wież śledzili jej ruchy: Xaintrailles'a, grubego i nieociosanego Flavy'ego, którego dostrzegła, gdy wsiadała na konia, i wszystkich żołnierzy wychylających się przez otwory strzelnicze. Znajdowała się pomiędzy nieprzejednanymi wrogami: ludźmi Joanny d'Arc i ludźmi Filipa, którzy wspomagali Anglika. A w głębi klasztoru znajdował się najokrutniejszy z nich wszystkich, walczący ze śmiercią Arnold. Dostała się do pułapki, z której nie miała siły się wydostać.

Kiedy po przekroczeniu mostu ukazały się przednie straże, giermek

podniósł białą flagę. Słyszała, jak podaje jej nazwisko pierwszemu łucznikowi, który się pojawił, i mówi, że pani z Burgundii chciałaby spotkać się z księciem Filipem. Łucznik udał się po oficera, który wysłał sierzanta do olbrzymiego namiotu złocącego się w zachodzącym słońcu. Zrezygnowana Katarzyna czekała obojętnie. Nie chciała myśleć o Arnoldzie, gdyż jego wspomnienie bolało jak otwarta rana.

Sierzant powrócił wkrótce, biegnąc co sił w nogach i wzbijając tumany kurzu. Wydawał się wniebowzięty.

- Mistrz zakonu Złotego Runa zaraz przybędzie - wykrzyknął.

Nazwa „Złote Runo” wywołała na ustach dziewczyny gorzki uśmiech. Ale jej uwaga szybko się skierowała na prawdziwie fantastyczną zjawę, która, wyszedłszy z książęcego namiotu, pędziła ku niej na koniu. Mężczyzna miał na zbroi wspaniałą kolczugę z jedwabiu i złota, na której widniały herby wszystkich zdobyczy burgundzkich. Na kolczudze zawieszony był łańcuch z emalii i złota, szeroki jak kryza, pośrodku którego znajdował się złoty baranek. Futrzana czapka ozdobiona piórami uzupełniała okazały strój jeźdźca. Zbliżywszy się do Katarzyny, zeskoczył z konia i podbiegł do niej, wyciągając dłonie.

- Katarzyno!... Droga Katarzyno! Już straciłem nadzieję, że cię kiedyś zobaczę!

Ze zdziwieniem pomieszczonym z radością, które wyrwały Katarzynę z odrętwienia, poznała swego przyjaciela, Jana Lefebvre de Saint-Remy'ego, i spontanicznie wyciągnęła ku niemu rękę.

- Jan! Jakże jestem szczęśliwa, że cię, panie, spotykam. Ależ pięknie wyglądasz! Instynktownie odnalazła lekki i poufaly ton ich dawnych rozmów i było to dla niej zbawienne. Przyszła do siebie, odzyskała pewność siebie. Saint-Remy skłonił się nisko.

- Widzisz przed sobą, droga przyjaciółko, mistrza zakonu Złotego

Runa, wybranego jednogłośnie przez członków kolegium heraldycznego Burgundii. Stałem się wielką osobistością. Jak mnie znajdujesz?

- Wyglądasz wspaniale. Ale, Janie, chciałabym zobaczyć księcia.

Sądysz, że mnie przyjmie?

Saint-Remy sposepniał, uśmiech zgasł na jego twarzy.

- Czeka na ciebie! Ale wiedz, pani, że jest w złym humorze. Tak naprawdę, to czeka na ciebie od dawna! Co się z tobą działo? Jesteś nadal piękna, tylko schudłaś... a poza tym wydajesz się, pani, zmęczona.

- Jestem zmęczona, drogi przyjacielu. Zmęczona wszystkim. Wierz mi!

Nowy mistrz zakonu kiwnął smutno głową i chwycił za uzdę konia młodej kobiety.

- Mam nadzieję, że Jego Wysokość Filip potrafi sprowadzić uśmiech na twą twarz. Od kiedy znikłaś, nasz dwór stracił dużo blasku.

- Jest przecież księżną.

- Wiele w niej powabu, jej wykształcenie jest doskonałe, a uroda niezaprzeczalna. Ale ma w sobie coś z posagu, jest zbyt zimna. Chodź szybko. Mówię i mówię, a Jego Wysokość czeka. Nie należy go złościć.

Kilka chwil później Katarzyna zeskoczyła z konia przed wejściem do namiotu książęcego, gdzie stali dwaj żołnierze ze straży przybocznej. Instynktownie zaczęła szukać białego pióra Jakuba de Roussaya, ale młodego dowódcy nie było w pobliżu. Poprzedzana przez Saint-Remy'ego, trochę teraz zdenerwowanego, Katarzyna weszła do olbrzymiego namiotu z purpurowego aksamitu. Sekundę później stanęła przed Filipem Dobrym.

* * *

Ujrzawszy księcia, Katarzyna uznała, że się postarzał. Jego rysy stały się bardziej wyraziste i ostre. To wrażenie zwiększały cienie z już

zapalonych pochodni poustawianych w wielu miejscach. Stał wyprostowany przy stoliku, na którym leżała Ewangelia oprawiona w kość słoniową, z ręką opartą na niej. Postawę miał wyniosłą, która być może była naturalna, ale miała w sobie coś napuszonego i oficjalnego. Odziany był w strój wojenny, a na szyi miał gruby, złoty łańcuch, na którym zawieszono złotego baranka, takiego samego jak u Jana Saint-Remy'ego.

Powoli, lecz nie pochylając głowy, Katarzyna zgięła kolana, odnajdując instynktownie stare pozdrowienie feudalne wobec tego, w którym chciała widzieć tylko suzerena. Strój męski, jaki miała na sobie, uczynił ten ukłon śmiesznym. Ale kobiecym gestem zsunęła na ramiona czarny kaptur, który miała na głowie, odsłaniając splecione włosy. Filip nawet nie mrugnął. Jego szare oczy wpatrywały się w Katarzynę bez żadnego uśmiechu, który złagodziłby wyraz twarzy. Ale to on przemówił pierwszy.

- Jednak przybyłaś, pani? Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę. Myślałem, że nie żyjesz, i dziwi mnie twoja zuchwałość. Znikasz na dwa lata... lub prawie, i nagle powracasz, domagając się widzenia, jakbyś zawsze zachowywała się odpowiednio i jakby ci się te względy należały.

Głos Filipa stawał się bardziej ostry. Katarzyna miała wrażenie, że sam stara się zwiększyć swą złość i powiedziała zuchwale:

- Dlaczegoż więc przyjąłeś mnie, panie, jeśli nie mam do tego prawa?

- Żeby zobaczyć, czy cię jeszcze poznam, czy przypominasz jeszcze wspomnienie, jakie po tobie zachowałem. Dzięki Bogu, nie przypominasz go w niczym! Bardzo się, pani, zmieniłaś, i to na niekorzyść!

Brutalność Filipa, jego całkowity brak elementarnej kurtuazji nie zrobiły na Katarzynie wrażenia. Już od dawna nie wywoływał w niej strachu. Przeciwnie, pomogło jej to zapanować nad sobą, a nawet wywołało lekki uśmiech.

- Nie sądzisz chyba, panie, że przyszedłam tutaj po to, abyś zastąpił moje

zwierciadło? Te dwa lata, które upłynęły, były dla ciebie dobre, a nawet korzystne. Dla mnie były to lata nędzy i cierpienia.

- Kto sprawił ci tyle cierpień?

- Nikt! Ale nie sądz, panie, że ich żałuję! Tak, cierpiałam, ale przynajmniej przestałam sobą gardzić.

Błysk złości, jaki zapalił się w oczach Filipa, dał Katarzynie znać, że zabrnęła zbyt daleko i jeśli nie zmieni tonu, jej misja będzie poważnie zagrożona od samego początku. A przecież, biorąc wszystko pod uwagę, nie miała Filipowi nic do zarzucenia i chciała od niego uzyskać wielką łaskę. Natychmiast zrobiła krok do tyłu.

- Wybacz mi, panie! Moje słowa wybiegły przed moje myśli. Chciałam tylko powiedzieć, że skoro wzięłaś sobie żonę, nie ma już dla mnie miejsca u twojego boku. Dowiedziałam się, że jesteś żonaty... i szczęśliwy, jak sądzę?

- Bardzo!

- To mnie cieszy. Moje modlitwy o twoje szczęście, panie, zostały wysłuchane...

Ciężka cisza zawisła między nimi, zakłócona jedynie skwierczeniem świec i przedłużonym ziewnięciem charta leżącego u wejścia. Katarzyna nie wiedziała, jak podjąć rozmowę, i szukała jakiegoś pomysłu. Ale nagle Filip zapomniał o swej dostojnej postawie i zrywając z głowy wielki kapelusz z czarnego filcu, ozdobiony piórem czapli i rubinową sprzączką, przeszedł obok stołu i chwycił Katarzynę za łokieć.

- Dość już wykrętów i oficjalnych słówek! Sądzę, że należą mi się wyjaśnienia. Minęły dwa lata... dwa lata, rozumiesz, od kiedy na ciebie czekam. Dlaczego mnie opuściłaś?

Zaczął jej mówić, jak dawniej, na ty, i to usunęło wzajemne skrępowanie. Katarzyna poczuła, że stąpa po pewnym gruncie.

- Powiedziałam ci już: bo miałaś się żenić. Jestem zbyt dumna, aby

zgodzić się na drugie miejsce po tym, czym byłam dla ciebie, stać się pośmiewiskiem dworu.

Na twarzy Filipa pojawiło się szczere zdziwienie.

- Pośmiewiskiem? Czy w twoich oczach byłem tak nędznym księciem, który nie byłby w stanie zapewnić ci miejsca, jakie dałem ci już wcześniej? Tobie, która opłakiwałaś naszego syna?

Katarzyna nie poddała się wzruszeniu na myśl o dziecku.

- Ależ tak, sędzę, że planowałaś wydać mnie za męża.... jeszcze raz! Jakiegoż męża wybrałaś mi tym razem, po tym nieszczęsnym Garinie, którego straszne kalectwo tak niecznie wykorzystałaś? Pana de Saint-Remy'ego? Lannoya, Toulongeona? Który z twoich poddanych gotów był poślubić twoją kochankę, aby ci się przypodobać, a potem starannie przymykać oczy?

- Żaden! Nigdy nie zgodziłbym się dzielić cię z innym. Uczyniłbym cię księżną, mogłabyś wybrać te z moich ziem, które byś chciała... Czyż nie wiedziałaś, że kocham cię nade wszystko w świecie, czyż nie dałem ci na to dowodów? Jeszcze nawet teraz. Czy wiesz, co to jest?

Zerwał gwałtownym ruchem gruby, złoty łańcuch i podsunął pod nos młodej kobiety. - Wiesz, co to jest?

- Ależ tak - odpowiedziała łagodnie. - Znak Złotego Runa. Zakonu, który powołałaś, aby uhonorować twój ślub.

- Mój ślub? Sądzisz, że o kim myślałem, nadając mu tę nazwę? Kto rozpościerał zawsze obok mnie najcudowniejsze złote runo? Kogo tak nazywałem, jeśli nie ciebie?

Cisnął z wściekłością łańcuch w róg namiotu, uchwycił głowę Katarzyny i z wielką zręcznością rozplótł jej warkocze. Ciężkie, połyskujące włosy spłynęły na ramiona młodej kobiety i przykryły strój z czarnego sukna, przywracając jej, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki,

dawny blask. Następnie pociągnął ją przed wielkie lustro weneckie, znajdujące się na jednej ze ścian.

- Popatrz! Do kogo należy prawdziwe Złote Runo?

Ale nawet nie zdążyła spojrzeć w lustro. Z wielką namiętnością, której już nie kontrolował, wziął ją w ramiona i przyciskał do piersi, nie zważając, że zbroja sprawia jej ból.

- Katarzyno... Kocham cię nadal. Nigdy o tobie nie zapomniałem...

- Teraz zapomnisz... bo tak bardzo się zmieniłam.

- Ależ nie... nie zmieniłaś się bardzo! Powiedziałem tak, bo od dwóch lat rozpira mnie złość. Powiedziałem byle co. Jesteś nadal piękna, chociaż nieco chudsza. Ale twoje oczy są większe, a kibić bardziej wiotka.

Katarzyno... moja miłości. Tak często cię wzywałem... moja słodka, moja piękna, moja niezastąpiona.

Pospiesznie odpiął kołnierz jej kaftana i przytulił twarz do smukłej, delikatnej szyi. Uwięzionej w jego ramionach, na wpół odchylonej do tyłu Katarzynie wydawało się, że zaraz zemdleje. Dawny czar, który tak przywiązał ją do tego dziwnego i pełnego uroku człowieka, zawładnął nią znowu. Za kilka sekund Filip uniesie ją w ramionach, zanieśie aż do wielkiego łoża obitego złotem, które błyszczało łagodnym światłem w głębi namiotu, i nie będzie miała siły, aby oprzeć się pragnieniu... Lecz nagle, niczym w świetle błyskawicy, ujrzała umierającego Arnolda, leżącego na wąskiej pryczy w klasztornej celi. Arnolda, do którego należała ciałem i duszą. Czymże były te dawne przyjemności cielesne wobec tego wszystkiego, co tylko on mógł jej ofiarować? Ich gwałtowne, miłosne zmagania, bez czułości, równie okrutne jak walka, gdzie jeden z przeciwników czyha na osłabnięcie drugiego, podobały się jej mimo wszystko bardziej niż pieszczoty Filipa. Katarzynę ogarnął bunt. Łagodnie, lecz stanowczo odsunęła księcia...

- Nie teraz! Zostaw mnie! Puścił ją natychmiast i cofnął się o parę kroków ze zmarszczonymi brwiami.

- Dlaczego? Więc czego ode mnie chcesz, po co tu przybyłaś, jeśli nie po to, by odnowić nasz związek?

Zawahała się przez chwilę. Czy był to właściwy moment? W każdym razie trzeba z tym jakoś skończyć.

- Przyszłam prosić cię o łaskę - powiedziała spokojnie.

- O łaskę?

Wybuchnął nagłym, szalonym śmiechem, w którym nie było nic wymuszonego, a który rzucił go, bez sił, na szeroki, hebanowy fotel. Śmiał się i śmiał, nie mogąc złapać oddechu, aż Katarzyna poczuła, że ogarnia ją złość.

- Nie wiem, co jest w tym śmiesznego - powiedziała trochę urażona.

- Śmiesznego?

Jego śmiech urwał się. Książę wstał i podszedł do niej.

- Mój aniele, twoja naiwność nie ma sobie równej. Prosiłaś mnie już o tyle łask, że powinienem był zgadnąć, że masz kolejną prośbę w zanadrzu. To u ciebie jakaś mania. Kogóż tym razem chcesz uratować?

- Dziewicę Joannę.

Imię to padło niczym kula armatnia. Jeszcze uśmiechnięta twarz Filipa stwardniała natychmiast. Jakby przestraszony odszedł od Katarzyny i stanął z drugiej strony stołu.

- Nie! - powiedział tylko.

Młoda kobieta schowała za plecami drżące dłonie. Czowała dobrze, że w tym momencie Filip wymyka się jej. W jednej chwili namiętny kochanek znikł za sztywną sylwetką księcia Burgundii. Uśmiechnęła się blado.

- Źle się wyraziłam. Przyszłam cię prosić, abyś ustalił okup za Dziewicę, jak wymagają tego prawa wojenne. Jakiegokolwiek ceny zażadasz,

jest z góry przyjęta.

- Prawa wojenne nie dotyczą popleczników szatana. Ta dziewczyna jest czarownicą, a nie rycerzem!

- Cóż za absurd! Joanna czarownicą? Jest symbolem lojalności, czystości, odwagi i głębokiej wiary. Nie znajdziesz prostoty większej niż u Joanny. Nie znasz jej...

- Ty za to ją znasz, o ile się nie mylę?

- Zawdzięczam jej życie. I chciałabym spłacić swój dług. Mówi się, że myślisz wydać ją Anglikom... ale ja w to nie wierzę.

- A dlaczegoż to, moja droga?

- Bo byłoby to niegodne ciebie... Niegodne tego zakonu rycerskiego, z którego jesteś tak dumny! - wykrzyknęła Katarzyna, wskazując palcem wspaniały łańcuch, który połyskiwał na jedwabnym dywanie - i dlatego również, że to nie przyniosłoby ci szczęścia. Bo w rzeczywistości jest ona wysłanniczką Boga!

- Bzdury! - Książę wyszedł zza stołu i zaczął przechadzać się nerwowo wzdłuż i wszerz olbrzymiego namiotu, nie patrząc na Katarzynę. -

Widziałem tę dziewczynę, jeśli chcesz wiedzieć. Kiedy Lionel de Vendome ją pojmał i przekazał swemu dowódcy, Janowi Luksemburczykowi, chciałem ją zobaczyć i udałem się do zamku Beaulieu, gdzie Luksemburczyk ją więzi. Zobaczyłem osobę zarozumiałą, pełną pychy, która zamiast ukorzyć się przede mną, potrafiła tylko czynić mi wyrzuty...

- Czy ty nigdy nie robiłeś sobie wyrzutów? Czy wydaje ci się, że postępujesz jak wierny poddany korony francuskiej?

Filip zatrzymał się i przeszył Katarzynę wzrokiem. Na jego bladych policzkach pojawiły się duże, czerwone plamy, a w spojrzeniu błysnęła zraniona duma.

- Poddany? Co znaczy to słowo? Jestem bogatszy, sto razy

potężniejszy niż ta marionetka Karol, który uważa się za króla Francji. Odmawiam złożenia hołdu, odmawiam uznania go za suzerena. Od tej chwili Burgundia będzie wolna, niezależna... wielkie królestwo, które stanie się być może cesarstwem. Stworzę wokół niej imperium Karola Wielkiego... Wszystkie ludy świata skłonią się przed moim tronem i moją koroną.

Katarzyna zaczęła się śmiać z odrobiną pogardy, która nie uszła uwagi Filipa i powstrzymała jego przemowę.

- Kto ci da tę koronę? W jakiej katedrze zostaniesz namaszczoney? Sądzę, że w Westminsterze, w nagrodę za popieranie angielskiego najeźdźcy? Bo w Reims miejsce jest już zajęte. Z woli Boga i w wyniku uroczystej koronacji Karol VII jest jedynym i prawdziwym królem Francji. Ani ty, ani ta marionetka rządząca Paryżem nic na to nie poradzicie. Jest królem. Twoim KRÓLEM!

- Nigdy nie uznam za króla zabójcy mego ojca!

- Cóż mówisz? Znam cię dobrze. Gdyby Karol ci za to zapłacił, gdyby oddał ci połowę swego królestwa i ziem, które zadowolilyby twoją pychę, szedłbyś z nim ramię w ramię. Sądziś, że jestem aż tak głupia, że nie domyślałam się, będąc dwa lata u twego boku, podwójnej gry, bardzo zresztą zręcznej, którą prowadziłeś? Filipie, niczego nie można budować na zdradzie... a królestwo Burgundii nigdy nie powstanie!

- Dość tego! - wykrzyknął książę, a jego drżąca dłoń dotknęła sztyletu przypiętego do pasa.

Katarzyna wyczytała w jego oczach chęć zabicia jej, ale nie zadrzała. Była ponad wszelkim strachem i nie opuściła płonącego spojrzenia. Przeciwnie, patrzyła na niego z wyzwaniem. To on skapitulował: odwrócił wzrok.

- Cóż się z nami stało - powiedział głucho. - Jesteśmy nieprzyjaciółmi...

- Tylko od ciebie zależy, abyśmy nimi nie byli. Zgódź się wydać Joannę za okup, a nie poproszę o nic więcej. Nawet... powrócę do ciebie!

Filip nie mógł odgadnąć, ile było poświęcenia i wyrzeczenia w tych prostych słowach „powrócę do ciebie”, ale zaniemówił przez chwilę. W końcu wyszeptał:

- Nie... nawet za tę cenę nie mogę się zgodzić. Ta dziewczyna naraziła Burgundię na niebezpieczeństwo, nie mogę pozwolić, aby odzyskała wolność i dalej nam szkodziła.

- Obiecaj przynajmniej nie wydawać jej Anglikom!

- Niemożliwe! W traktacie, który łączy mnie z Anglikami, jedna z klauzul mówi, że jeńcy wojenni będą im przekazywani, aby mogli z nimi czynić, co im się podoba. Co więcej, jest więziona przez Luksemburczyka, nie przeze mnie! To on musiałby zdecydować.

- Czy jest to twoje ostatnie słowo?

- Ostatnie! Żadne inne nie jest możliwe...

- Nawet... dla mnie?

- Nawet dla ciebie. Gdybyś była na moim miejscu, zrozumiałabyś...

Młoda kobieta odwróciła się powoli i skierowała w stronę szkarłatnych kotar, które zasłaniały wyjście. Zrozumiała, że ta partia jest przegrana z powodu, wobec którego była bezsilna! Filip bał się, czuł straszny i pierwotny strach przed tą dziewczyną, którą zesłały niebiosy, aby oswobodzić królestwo francuskie. Strach ten górował nad wszystkimi innymi uczuciami. Katarzyna wiedziała też, że nie może go zapytać o przebieg spotkania z Dziewicą, bo raczej dałby sobie uciąć język, niż opowiedzieć o tym komukolwiek. Z pewnością nie dało mu ono przewagi. Ale jeśli nawet rozumiała strach potężnego księcia Burgundii, to nie mogło to powstrzymać jej złości i rozczarowania. Czuła gorycz w ustach.

Podtrzymując ręką jedwabne kotary książęcego namiotu, odwróciła się,

wyprostowana i niepozorna w swoim czarnym odzieniu, zmierzyła Filipa chłodnym wzrokiem.

- Zrozumieć cię? Podobno dawno temu człowiek, którego zwano Piłatem, również prosił o zrozumienie. Jeśli nie zwrócisz nam Joanny, nigdy ci tego nie wybaczę. Żegnaj!

Wyszła z namiotu, nie odwracając się, głucha na dźwięk swego imienia, który ją dobiegł. Tym razem mosty zostały spalone... nigdy już nie zobaczy tego mężczyzny, ponieważ odmówił jej jedynej rzeczy, jaka w jej oczach miała znaczenie. Na zewnątrz odnalazła swego konia, swojego giermka, a także pana Saint-Remy'ego, który do niej przybiegł.

- Więc, Katarzyno, czy wracasz, pani, do nas?

Zaprzeczyła ruchem głowy i wyciągnęła dłoń do szlachcica.

- Nie, Janie... Wybacz mi. Przypuszczam nawet, że będziesz musiał zapomnieć, że mnie kiedykolwiek znałeś!

- Jak to, Jego Wysokość księżę nie wybaczył ci? Chcesz, abym w to uwierzył?

- Tak... bo ja tego nie chciałam! Żegnaj, Janie... nie zapomnę o tobie. Byłeś zawsze wiernym przyjacielem...

Podłużna twarz młodzieńca zaczerwieniła się pod wpływem nagłego wzruszenia. Uścisnął mocno jej szczupłe dłonie.

- I nadal nim będę! Nie wiem, co dzieli cię od księcia, i nadal będę jego unizonym sługą. Ale nic ani nikt nie przeszkodzi mi zostać twoim przyjacielem!

Wzruszona Katarzyna poczuła, jak jej oczy napełniają się łzami. Szybko uniosła się na palcach i dotknęła ustami policzka Saint-Remy'ego.

- Dziękuję! Będę o tym pamiętała. Teraz żegnaj... żegnaj, panie Złote Runo.

Zanim zdążył coś powiedzieć, wskoczyła na siodło i Spiąwszy konia

ostrogami, pogalopowała w kierunku mostu. Było już całkiem ciemno, ale liczne pochodnie oświetlały obóz i dziwaczne sylwetki machin wojennych w spoczynku. Na murach miasta paliły się pochodnie niczym ruchoma korona zawieszona w ciemnościach. Wkrótce Katarzyna i jej giermek zniknęli z oczu Saint-Remy'ego, który ukradkiem, lecz z pasją, otarł oczy zbyt krowym rękawem.

* * *

Przekroczywszy bramę miasta, Katarzyna spotkała Xaintrailles'a, który oczekiwał na nią z oddziałem uzbrojonych ludzi. Młodzieńcy otworzyli oczy ze zdumienia na widok jej długich, spływających na ramiona włosów, lecz kapitan ruchem dłoni nakazał im milczenie.

Chwytając konia za wędzidło, pomógł Katarzynie zsiąść; spostrzegł jej rumieńce.

- Było chyba gorąco - szepnął. - Wyglądasz, pani, jak po ciężkiej bitwie.

- Bardziej gorąco, niż sądzisz. Przyznaję, że miałeś rację, panie Xaintrailles... ale przegrałam.

- Czy ta sprawa nie rokuje nadziei?

- Najmniejszej nadziei. Książę się lęka... Trzymając nadal konia za wędzidło, Xaintrailles ujął

Katarzynę za ramię i odciągnął na bok. Szli przez chwilę w milczeniu, a następnie kapitan wycodził przez zęby:

- Powinienem był się tego domyślić! Za nic w świecie nam jej nie odda. *Te Deum*, jakie kazał odśpiewać Bedford w Paryżu, dowodzi, jak bardzo się boją. Trzeba będzie wymyślić coś innego...

Stwierdziwszy, że oddalają się od opactwa Saint Corneille i idą w

kierunku starego zamku Karola V, którego trójkątna sylwetka rysowała się w ciemnościach, Katarzyna zatrzymała się gwałtownie.

- Gdzie mnie prowadzisz, panie? Chcę pójść do Arnolda...

- To nie ma sensu. Jest nieprzytomny. A ty nie możesz przebywać w klasztorze benedyktynów. Kazałem, aby przygotowano ci izbę w domu pewnej bogatej wdowy, gdzie twoja służąca czeka już na ciebie. Jutro rano będziesz mogła przyjść dowiedzieć się czegoś przed odjazdem do Bourges...

- Odjazdem do Bourges? Czyś oszalał, panie? Jak sądzisz, po co tutaj przybyłam? Dla wątpliwej przyjemności poróżnienia się na śmierć z Filipem Burgundzkim? Jak długo będzie tu Arnold, ja z nim pozostanę i żadna siła ludzka nie wyrwie mnie stąd, rozumiesz, psinie? Ani ty, ani nikt inny...

- Skoro tego pragniesz!... - zgodził się z półuśmiechem na twarzy. - Ale nie krzycz, pani, tak głośno, bo obudzisz całą dzielnicę. Jeśli ci na tym zależy, możesz tu zostać, ale obiecaj mi, że do klasztoru będziesz chodzić tylko ze mną, pod moją opieką. Nie chcę, abyś zakłóciła mnichom spokój. Zresztą obleżenie przybiera na sile, a ja nie mam zbyt wielu ludzi. Byłby kłopot z eskortą dla ciebie. No, no, Katarzyno, przestań na mnie patrzeć z tą wściekłą miną. Czy jeszcze nie zrozumiałaś, pani, że jestem twoim sprzymierzeńcem? Oto i twój dom. Idź odpocząć, gdyż bardzo tego potrzebujesz.

- A co z Arnoldem?

- Arnold nie umrze tej nocy! Mnich, który go leczy, zaczyna mieć nadzieję. Mówi, że powinien już nie żyć od dawna, więc jest to dobry znak. Próbuje na nim jakieś nowe medykamenty, których za nic nie chce zdradzić...

Nieprzekonana Katarzyna spojrzała podejrzliwie na Xaintrilles'a, ale młody Owerniak wydawał się być tego wieczoru w dobrym stanie ducha. Między grubymi brwiami nie rysowała się już głęboka bruzda, którą miał w

czasie całej podróży.

Trochę uspokojona, Katarzyna weszła posłusznie do domu. Na schodach spotkała uśmiechniętą Sarę.

- Chodź ze mną - powiedziała Cyganka - przygotowałam ci wygodne łóżko. Prawdziwy cud w porównaniu z pryzami mnichów! Wyśpisz się w nim jak należy.

Rzeczywiście następnego dnia Arnold, choć jeszcze nie czuł się dobrze, wyglądał nieco lepiej. Był nadal blady, ale jego skóra nie miała już zielonkawego odcienia, a ręce przestały mu drżeć. Wysłuchał relacji Katarzyny z rozmowy z Filipem Burgundzkim tak obojętnie, że młodej kobiecie wydało się po raz kolejny, iż spisał ją na straty.

- Zrobiłam wszystko, co było w mej mocy! - wykrzyknęła w przypływie rozpacz. - Przysięgam ci. Lecz są pewne sprawy, do których nikt nie może go przekonać.

- Nazwij rzeczy po imieniu, Katarzyno - wtrącił Xaintrilles. - Książę boi się Joanny tak bardzo, że strach ten wziął górę nad miłością do ciebie, pani!

- Domyślałem się tego - powiedział w końcu Arnold - ale nie sądziłem, że do tego stopnia. Nie zarzucam ci niczego, Katarzyno. Jestem pewien, że uczyniłaś wszystko, co w twej mocy. Teraz Jan odwiezie cię do Bourges.

Xaintrilles skrzywił się i pochylił nad łóżkiem przyjaciela, aby być pewnym, że nikt z zewnątrz go nie usłyszy.

- Tak właśnie chciałem zrobić, ale ona się nie zgadza. Chce tutaj zostać.

- Po co? - powiedział ranny z niezadowoleniem. Gotowy był wpaść w złość i Katarzyna postanowiła bronić się sama.

- Żeby wam pomóc. Przecież nie zostawicie tak tej sprawy. Będziecie chyba próbować wszystkiego, aby oswobodzić Joannę? Więc pozwólcie mi

zostać, pozwólcie sobie pomóc, przynajmniej tyle. - Z oczami pełnymi łez ujęła w swe dłonie ręce Arnolda. - Zrozum, nie udało mi się! Nie mogę się z tym pogodzić, chciałabym wam pomóc; mam złoto, klejnoty, które są warte fortunę.

- Gdzie masz to wszystko? - zapytał Xaintrailles kpiąco. - Zobacz, panie...

Przeczuwając, co może się stać, Katarzyna idąc do klasztoru, zabrała skrzynkę przywiezioną z Bourges, o której do tej chwili nie wspomniała Xaintrailles'owi. Wzięła ją ze stołu i położyła u stóp łoża, a następnie otworzyła. Białe światło celi skupiło się na bajecznej mieszance drogocennych kamieni i złota, wyrywając z ust obu mężczyzn okrzyk zaskoczenia, pomieszany z podziwem.

- Dobry Boże! - wyjąkał Xaintrailles. - Kiedy pomyślę, jakie skarby wieźliśmy z Bourges... Gdybyśmy natknęli się na nieprzyjaciół, nieźle by się obłowili.

Z wielkim trudem udało się Arnoldowi podnieść. Dotykał wychudzoną dłońmi klejnotów rozsypanych luźno i wyciągnął spośród nich olbrzymi ametystowy naszyjnik ofiarowany Katarzynie przez Garina z okazji zaręczyn.

- Znam ten klejnot... - powiedział wolno. - Miałś go na sobie w Arras, prawda?

Katarzyna była szczęśliwa, że o tym pamięta; z rogu skrzynki wyciągnęła skórzany woreczek związany sznurkiem. Już po chwili olbrzymi, czarny diament błyszczał w zagłębieniu jej dłoni.

- A ten miałam na sobie w Amiens, kiedy wyzwaleś księcia Filipa - powiedziała po cichu.

Przelotny uśmiech złagodził rysy rannego.

- Czy sądzisz, że nie pamiętam? Że cię wtedy nie widziałem? Do

licha... nie było piękniejszej od ciebie w tej czarnej sukni! I chcesz poświęcić to wszystko dla sprawy, która jest ci obca?

- Chcę, abyś zrozumiał, że pragnę wam pomóc - wyjaśniła Katarzyna - i abyś mnie choć trochę szanował. Już dawno zrozumiałam, że między nami nic już nie jest możliwe, że nic nas nie łączy, może oprócz śmierci. Zostaw mi choć to.

Mówiła z taką pasją, że z oczu Arnolda znikła ironia. Przez chwilę wpatrywał się w nią, lecz dziewczyna nie mogła rozszyfrować tego spojrzenia. W końcu westchnął:

- Jesteś naprawdę dziwną dziewczyną, Katarzyno! Sądzę... że nigdy cię nie zrozumiem. Zostań, jeśli tego pragniesz. Gdybym ci zabronił za cenę, którą płacisz, byłbym niesprawiedliwym niewdzięcznikiem.

Powiedział zbyt dużo, jak na swój stan, i wyczerpany opadł na poduszki, a nozdrza mu drżały. Ale Katarzyna była zbyt szczęśliwa, aby się tym niepokoić. Szybkim ruchem zebrała klejnoty, włożyła je do skrzynki i oddała zaskoczonemu Xaintrilles'owi.

- Weź to, Janie!... i poszukaj w mieście lichwiarza, który to kupi. Powinien się jeszcze jakiś znaleźć.

- Lichwiarze są tu nadal, ale jesteśmy obleżeni, zapominasz o tym. Nie będą zbyt szczerzy. Złote dukaty mogą być użyte teraz. Ale za kamienie tej wartości można by kupić życie króla. Byłoby głupio sprzedać je za niską cenę!

W tym momencie do celi wszedł braciszek zakonny, aby zmienić opatrunek rannego. Niósł na tacy bandażę i szarpie oraz przeróżne słoiki i pudełeczka. Rzuciwszy spojrzenie na Arnolda, Katarzyna i Xaintrilles wyszli na ulicę i rozstali się. Kapitan miał udać się na mury obronne, gdzie wzywały go obowiązki żołnierza.

- Aż do nowych rozkazów! - powiedział Xaintrilles. - Lepiej, abyś

ukryła, pani, ten skarb. Trudno by mi było odpierać ataki Burgundczyków z całą tą fortuną pod pachą. Ukryj ją dobrze!

- Nie obawiaj się, panie. Powodzenia! Miała już odejść, kiedy kapitan zawołał:

- Katarzyno!

- Tak?

Uśmiechnął się i powiedział z komiczną skruchą:

- Niewiele jesteśmy warci, Montsalvy i ja. Żaden z nas nie pomyślał, aby ci podziękować!

Odpowiedziała uśmiechem, szczęśliwa z przyjaźni, jaką wyczytała w brązowych oczach przyjaciela Arnolda. Wiedziała, że może na niego liczyć całkowicie, że będzie jej pomagał z całej mocy. Była to bezcenna przyjaźń.

- To nie było potrzebne - powiedziała uprzejmie. - Ja zawdzięczani ci, panie, o wiele więcej!

Przejeżdżający z turkotem wózek rozdzielił ich. Ludzie z miejskiej milicji wozili w nich kamienne kule przeznaczone do katapult, pęki chrustu, gliniane dzbany z oliwą, które wywozili na mury obronne. Od strony rzeki dał się już słyszeć huk dział angielskich i burgundzkich. Nadchodził ranek i nieprzyjaciel zdecydował się, bez wątpienia, przystąpić do ataku. Ale kiedy mężczyźni biegli na mury, kobiety jak gdyby nigdy nic zajmowały się gospodarstwem, przyzwyczajone do zgiełku i zamętu wojennego. Trochę później dołączą do mężczyzn, aby opatrzyć rannych, zabiorą ze sobą wino i olej do przemycia ran, pociętą bieliznę na bandażę i całuny do owijania zmarłych. Katarzyna postanowiła dołączyć do nich. Ale najpierw udała się do siebie, aby ukryć skrzynkę w pewnym miejscu i zmienić męski strój na sukienkę z niebieskiego barchanu, którą zdobyła dla niej Sara, a następnie udała się na mury obronne.

* * *

Arnold szybko powracał do zdrowia, pomogły mu w tym jego siły witalne. Kiedy nadeszło lato, opuścił w końcu klasztor Saint Corneille i w pierwszych dniach sierpnia ponownie zajął miejsce wśród obrońców miasta. Ponieważ Compiègne trzymało się nadal z wielkim uporem, zniechęcony książę Filip, wzywany do Liege w ważnych sprawach, zostawił armię Janowi Luksemburskiemu i wyjechał.

Pomimo roli, jaką Wilhelm de Flavy odegrał w momencie wielce podejrzanego pojmania Joanny, dowodził obroną miasta z godną podziwu odwagą i uporem. Wśród dowódców chodziły słuchy, że podnosząc zbyt szybko zwodzony most, gruby de Flavy zaspokoił tylko nienawiść, jaką czuł do Dziewicy kanclerz - arcybiskup Reims, Regnault de Chartres, jego krewny. W pewnym sensie była to przysługa wyświadczona kuzynowi przez kuzyna.

Niestety, sytuacja pogarszała się, oblężenie Compiègne, pomimo otaczających lasów, było całkowite. Luksemburczyk miał w swych rękach Royal-Lieu i drogę do Verberie, natomiast na skraju lasu, na drodze do Pierrefonds, wybudowano wielką wieżę obronną, którą powierzono panom de Crequi i de Brimeu. Było coraz trudniej o żywność, konwoje nie mogły przedostać się do miasta. Kontakt z resztą kraju istniał jedynie dzięki paru odważnym ludziom, którzy pod osłoną nocy opuszczali potajemnie miasto i do niego powracali.

Katarzyna spędzała na murach całe dni, w punkcie opatrunkowym dla rannych stworzonym przez panie z miasta. Ona i Sara udawały się tam za każdym razem, kiedy następował atak, i pracowały, dopóki starczyło im sił. Wyczerpane padały na łoża i spały jak kłody pomimo głodu i gorąca.

Lato było coraz bardziej upalne, co zwiększało jeszcze męki obrońców

miasta. Roje czarnych much dręczyły żołnierzy i rannych. Pojawiały się pierwsze przypadki dżumy i aby uniknąć rozprzestrzenienia się plagi, zamuroywano zakażone domy i palono trupy. Żywność, którą udało się zdobyć, psuła się. Dzięki rzece nie brakowało jedynie wody, ale trzeba było nabierać ją nocą, aby nie dostać się w ogień nieprzyjaciela. Nie męki fizyczne jednak dotykały najstraszniej Katarzynę. Każdego dnia w męskim przebraniu udawała się wraz z Xaintrailles'em do klasztoru Saint Corneille i wychodziła z niego coraz smutniejsza i bardziej zniechęcona. Nie żeby Arnold był dla niej nieprzyjazny, ale nie wychodził poza wąskie granice zwykłej grzeczności i uprzejmości, które rozczarowywały młodą kobietę. Chciałaby siedzieć przy nim godzinami, chciała, aby rozmawiał z nią nie tylko o oblężeniu i o uwięzieniu Joanny. Lecz, na przykład, aby opowiedział jej o swoim dzieciństwie. W czasie tych paru chwil, jakie spędziła z Michałem w piwnicy przy Pont-au-Change, opowiedział jej o tym tak spontanicznie i ciepło, że chciała, aby uczynił to również Arnold. Ale czuła, że tego nie zrobi. Jego myśli kierowały się ku Oswobodzicielce i nie zwracał uwagi na kobietę cierpiącą tuż obok niego. Kiedy Katarzyna powracała do domu, gdzie czekała na nią Sara, myślała często i z wielkim smutkiem, że śmierć Michała na zawsze będzie stanowiła przeszkodę między nimi, ponieważ nie miała żadnej możliwości wytłumaczenia Arnoldowi, że nie jest winna. Mogła mu dać tylko słowo honoru. Ale on jej nie uwierzy. Jego obecny stosunek do Katarzyny wynikał najwyraźniej z faktu, że nie mógł pozbyć się kobiety gotowej do poświęcenia swego życia i majątku, aby mu pomóc. W przeciwnym razie zapewne odesłałby ją bezlitośnie.

Dzięki hiszpańskiemu szpiegowi mieli wiadomości od Joanny. Próbowwała uciec z Beaulieu i została przewieziona do Beaurevoir do Jana Luksemburczyka. Niewiele brakowało, by nowa próba ucieczki zakończyła się dla niej tragicznie. O mało się nie zabiła, wyskakując z wieży. Została

odnaleziona w rowie, na wpół żywa.

Ale rygory oblężenia nie pozwalały na podjęcie żadnej próby wyswobodzenia Dziewicy. Nieprzyjaciel zaciskał swoje macki, coraz trudniej było wyjechać z miasta. Czasem udawało się wysłać umyślnego do marszałka de Boussaca, który opanował Normandię. Miasto było u kresu wytrzymałości. Głód i choroby dziesiątkowały bezlitośnie szeregi dzielnych obrońców. Stało się oczywiste, że jeśli pomoc nie nadejdzie w krótkim czasie, poddanie będzie nieuniknione.

- Jesteśmy tutaj unieruchomieni i głodni niczym szczury w norze - wściekał się Arnold - podczas gdy Burgundczycy trzymają Joannę, a król nie czyni nic, aby ją uratować!...

- Domyślasz się chyba, że to sprawka pana de La Tremoille'a - zaśmiał się szyderczo Xaintrilles. - Poprzysiągł zgubę Joannie.

Nareszcie pod koniec października nadszedł ratunek. Przybył konwój z żywnością, co dodało ludziom otuchy, podczas gdy armia marszałka de Boussaca atakowała Anglików i Burgundczyków od tyłu. Mimo oporu ze strony Luksemburczyka i księcia de Huntingtona, wieże obronne padały jedna za drugą. Wreszcie Boussac wszedł do miasta. Zwiększyło to jeszcze opór oblężonych. Oczekiwano, że następnego dnia będzie miała miejsce zacięta bitwa, ale tak się nie stało. Wstający dzień oświetlił puste pole po obozie nieprzyjacielskim; wrogie wojska opuściły pole bitwy bez werbli i fanfar. Compiegne było uratowane... i właśnie wtedy Arnold wyzdrowiał całkowicie. Nie mógł dłużej usiedzieć na miejscu, okazywał niecierpliwość, chcąc udać się w ślad za nieprzyjacielem, aby spróbować wyrwać Joannę z rąk wroga. Ustalał już z Xaintrilles'em i Katarzyną plan działania, kiedy straszna wiadomość zbiła ich z nóg, obracając ich piękne plany wniwecz: Jan z Luksemburga przyjął ofertę Anglików. Sprzedał im bezcenną więźniarkę za dziesięć tysięcy złotych talarów. Joanna d'Arc znalazła się w rękach

nieprzyjaciół i nikt jeszcze nie wiedział, co się z nią stanie, ani gdzie się znajduje.

Wieczorem, kiedy nadeszła ta wiadomość, cała trójka znajdowała się w domu Katarzyny. Po długiej chwili ciszy pan de Xaintrilles zdecydował:

- Musimy się rozstać!

- Rozstać się? - wykrzyknęła Katarzyna z przerażeniem.

- Ależ to niemożliwe. Obiecaliście mi...

- Że pomożesz nam ją oswobodzić? Obiecuję ci to, pani, ale na razie nie wiemy nawet, gdzie jest i jaki czeka ją los. Jeśli się tego nie dowiemy, nie będziemy mogli nic uczynić.

- Bez wątpienia jest w Anglii - powiedział Arnold.

- To możliwe i w tym przypadku Katarzyna, jako Burgundka, będzie bardzo użyteczna - włączył się Xaintrilles.

- Przecież tam nie są znane plotki z Brugii. Przebierzemy się za twoje sługi, pani. Ale na razie trzeba ją odszukać. Katarzyno, odwiozę cię do klasztoru benedyktynek w Louviers, gdzie moja kuzynka jest ksienią. Miasto, znajdujące się w rękach La Hire'a, nie jest zbyt oddalone od Rouen, jednej z kwater głównych Anglików, ani od morza. Kiedy będziemy mieć pewność, przyjedziemy po ciebie. No... no, chyba się teraz nie rozpłaczesz. To najlepsze rozwiązanie. Teraz byś nam przeszkadzała i...

Ostry głos Arnolda uciął rozmowę.

- Nie róbcie takich ceregieli! Katarzyna musi zrozumieć, że żołnierze nie mogą jej ciągnąć wszędzie za sobą. Przyjedziemy po nią, kiedy będzie nam potrzebna, ot i wszystko!

Pomimo ostrej wymówki ze strony de Xaintrilles'a Katarzyna z trudem zapanowała nad łzami. Z jakim pośpiechem Arnold wykorzystał pierwszy lepszy pretekst, aby się jej pozbyć! Nie miała już tutaj nic do roboty! Nienawidził jej naprawdę i będzie ją nienawidził przez całe swoje

życie. Spuściła głowę, aby nie zobaczył łez w jej oczach.

- Dobrze - powiedziała smutno. - Pojadę zatem do klasztoru.

Rozdział osiemnasty

Miasto Rouen

Zima uwięziła miasteczko Louviers w okowach lodu i śniegu, utrudniając pracę rzemieślnikom i działania wojskowe. Biały lód, który skuł dopływ rzeki Eure unieruchomił te garbarnie i młyny, których nie zniszczyły działania wojenne. Co do żołnierzy, był to dla nich zwyczajny okres odpoczynku, jaki przynosiła każda brzydka pora roku. Gruba warstwa śniegu pokrywała pola i drogi. Za murami miasta śnieg sięgał kolan. Ale wiosna była już blisko. Kończył się luty.

W czasie trzech miesięcy, jakie upłynęły od jej przybycia do bernardynek, Katarzyna podporządkowała się bez wielkiego wysiłku surowym regułom życia klasztornego. Matka Maria-Beata, kuzynka kapitana de Xaintrailles'a, przyjęła ją niezwykle życzliwie. Była bardzo podobna do olbrzymiego, rudego kapitana, i to podobieństwo sprawiło Katarzynie przyjemność. Obie z Sarą zajęły w klasztorze olbrzymią izbę, trochę lepiej umeblowaną niż cele mniszek, ale stawiały sobie za punkt honoru uczestniczenie, na ile to było możliwe, w życiu wspólnoty.

Długie modlitwy w kaplicy, dawniej tak uciążliwe dla Katarzyny, kiedy towarzyszyła Luizie, teraz stały się przyjemne, a nawet konieczne. Miała wrażenie, że mówiąc Bogu o Arnoldzie, była trochę bliżej niego. Ale

w rzeczywistości nie miała nadziei, że nawet przy boskiej pomocy będzie mogła go odzyskać. Czy rzeczywiście dotrzyma obietnicy i zabierze ją, aby razem ruszyć na ratunek Joannie? Już w to nie wierzyła. Minęły trzy miesiące nieznośnej ciszy, a wieści ze świata, nawet te wojenne, nie dochodziły za bramy klasztoru.

A przecież w tej wojnie Louviers miało duży udział. Zdobywane i odbijane, było od kilku miesięcy w rękach La Hire'a, który zawładnął nim po błyskawicznej kampanii normandzkiej. Mógł się chlubić odbiciem Anglikom Chateau-Gaillard. Teraz bronił Louviers, i bronił go zajadle. Strach, jaki wywoływało jego imię, pomagał mu utrzymywać w posłuszeństwie sąsiadujące tereny i tam, gdzie powiewała jego czarna chorągiew ze srebrną winoroślą, panował względny spokój, mimo że Anglicy nie byli daleko.

Każdego wieczoru, przed pójściem spać, Katarzyna przebywała przez dłuższą chwilę w wieżycze klasztoru, spoglądając na ośnieżone pola. Czasem, kiedy jacyś rycerze zbliżali się do miasta, jej serce zaczynało bić szybciej, ale prędko przychodziło rozczarowanie. Nigdy nie byli to ci, na których czekała. Jak długo miała jeszcze tu pozostawać, wyczekując na próżno? Czy znowu miała wyruszyć w poszukiwaniu tego, którego kochała, a który odpychał ją tak uparcie?

- Musisz zachować spokój - przekonywała ją Sara. - Mężczyźni często zapominają o kobietach, kiedy pochwyci ich demon wojny.

- Arnold robi wszystko, co w jego mocy, aby odsunąć się ode mnie. Nigdy po mnie nie przyjedzie.

- Ale ten rudowłosy kapitan dotrzyma danego słowa. Jestem tego pewna, bo przynajmniej on darzy cię przyjaźnią. Co się tyczy tego drugiego, jest twardy, bo być może boi się ciebie i nie czuje się pewnie... Bądź cierpliwa i czekaj...

- Mam tylko czekać i czekać - parsknęła Katarzyna z gorzkim

uśmiechem. - Przecież nie robię nic innego. Czekam i modlę się...

- Czas przeznaczony na modlitwę nigdy nie jest stracony!

* * *

Jednakże pewnego ranka, kiedy Katarzyna wychodziła z mszy, jedna z zakonnice powiedziała jej, że ktoś czeka na nią w rozmównicy.

- Któż to może być? - zdziwiła się Katarzyna, zmuszając się do stłumienia rodzącej się nadziei.

- Pan de Vignolles z jakimś mnichem i jeszcze jedna osoba, której nigdy nie widziałam.

A więc to nie byli jeszcze oni! Nałożywszy na włosy welon z białego jedwabiu, który zsunął się jej na ramiona, Katarzyna oddała modlitewnik Sarze i udała się do rozmównicy. Ale kiedy otworzyła drzwi, uczuła tak gwałtowne bicie serca, że o mało nie krzyknęła. Naprzeciw niej stał Arnold, a wraz z nim brat Stefan i pan La Hire.

- Boże, to ty - wyszeptała. - Przyjechałeś... Arnold, bez śladu uśmiechu złożył niski ukłon.

- Przyjechałem po ciebie. Brat Stefan przybył właśnie z Rouen, gdzie Dziewica Joanna jest więziona od Bożego Narodzenia. Powie nam, jak dostać się do miasta, co nie jest łatwe, bo pilnują go liczne oddziały Anglików.

Katarzyna ucieszyła się na widok brata Stefana. Już od dawna przyzwyczaiła się do tego, że ten mnich znika i pojawia się bez uprzedzenia. Wiedziała, że tajny wysłannik Jolanty Aragońskiej nie prowadzi takiego życia, jak zwykli śmiertelnicy. Ucisnęła gorąco dłonie małego franciszkanina.

- A zatem wiesz, gdzie jest Joanna? - spytała, nie patrząc na Arnolda,

gdyż nie chciała pokazać, jak jest wzruszona.

- Przebywa w zamku w Rouen, w więzieniu, na pierwszym piętrze wieży Bouvreuil usytuowanej od strony pół - odparł mnich. - Pięciu angielskich żołnierzy pilnuje jej dzień i noc. Trzech w samej celi i dwóch przed wejściem. Co więcej, jest przykuta łańcuchami za nogi do wielkiego drewnianego pała. Oczywiście zarówno w wieży, jak i w zamku jest pełno żołnierzy, gdyż młody król Henryk VI i kardynał Winchesteru*, jego wuj, tam mieszkają. W miarę jak mnich przemawiał, serce Katarzyny ścisnęło się coraz mocniej, a twarz Arnolda i La Hire'a stawały się coraz bardziej ponure.

** Henryk Beaufort. Nazywano go również kardynałem Anglii.*

- Inaczej mówiąc - stwierdził Gaskończyk - nie uda się jej oswobodzić! Zabić pięciu ludzi to żadna sprawa, ale jest ich dużo więcej!

Brat Stefan wzruszył ramionami. Jego jowialna twarz straciła wyraz wesołości. Na jego obliczu rysowały się liczne bruzdy.

- W takich przypadkach sprytem można więcej zdziałać niż siłą. Joanna prowadzona jest codziennie na rozprawy sądowe.

Z piersi trzech słuchaczy mnicha wyrwał się taki sam okrzyk.

- Rozprawy? Na czyje polecenie?

- Jak to na czyje? Oczywiście Anglików. Ale ma to charakter procesu religijnego. Postawiono ją przed sądem kościelnym złożonym wyłącznie z księży oddanych Anglikom. Większość z nich przybyła z wiernego im Uniwersytetu Paryskiego. Przewodniczy im biskup Beauvais, Piotr Cauchon, mający do pomocy swego przyjaciela Jana d'Estiveta, inicjatora procesu. Mówi się, że obiecał Warwickowi śmierć Joanny, i sędzę, że może do tego doprowadzić.

Nazwisko Cauchona uderzyło Katarzynę. Zobaczyła rozgorzycznego i

biednego akademika z czasów Caboché'a, napuszonego prałata pełnego pychy i zarozumiałości, spotkanego w Dijon. Bez wątpienia sędzia Joanny stanie na wysokości zadania. Przypomniała sobie żółtawe, twarde oczy biskupa i zadrżała. W takich rękach Joanna nie mogła oczekiwać ani litości, ani łaski.

- Jaki jest cel tego procesu? - zapytał z wyższością pan de La Hire.

- Okryć hańbą króla Francji, wskazując, że zdobył koronę dzięki czarownicy i heretyczce, zmniejszyć urazę Anglików, skazując Joannę na stos - odpowiedział spokojnie brat Stefan.

Chwila ciszy nastąpiła po strasznych słowach, które odbiły się echem w sercach i świadomości każdego ze słuchających. Arnold westchnął.

- W porządku. Powiedz Katarzynie, jaką masz propozycję.

- Otóż to! Mam w Rouen rodzinę. Bardzo interesującą rodzinę: mój kuzyn Jan Son jest mistrzem murarskim para się konserwacją zamku. To są bardzo porządni ludzie. Żyją dostatnio i cieszą się sympatią najeźdźcy, z którym utrzymują dobre kontakty handlowe, a nawet więcej.

- Przyjaźnią się z Anglikami? - zapytała Katarzyna z osłupieniem.

- Ależ tak! - potwierdził niewzruszony brat Stefan. - Powiedziałem ci, że mój kuzyn cieszy się sympatią Anglików, ale nie mówiłem ci, że jest ona odwzajemniona. Tak naprawdę, to wierny poddany króla Francji, jak i wszyscy pozostali z tego nieszczęsnego miasta Rouen. Jego kontakty mogą być bardzo użyteczne, bo, w dodatku, jego żona Nicole jest bieliźniarką. Pracuje dla młodego króla i dla księżnej Bedford, która również przebywa w Rouen w tej chwili. Pani Nicole to bardzo trudna osóbka ale dzięki niej księżna dowiedziała się, że strażnicy Joanny usiłowali ją zgwałcić i zostali zastąpieni przez innych, którzy dostali surowe rozkazy. Moi kuzyni chętnie przyjęliby jednego lub dwóch członków rodziny, zbiegłych na przykład z Louviers. Osobiście widziałbym jakieś ubogie małżeństwo... na przykład

murarza z żoną.

Brat Stefan spojrział w znaczący sposób na Arnolda i Katarzynę. Jego intencja była jasna, a słowo „małżeństwo” zaróżowiło policzki młodej kobiety. Arnold nie zareagował. La Hire podrapał się po brodzie, zamyślając się głęboko.

- Dobra myśl! - rzekł w końcu. - Zawsze byłyby to dwie osoby na miejscu!

- Trzy, jeśli o to chodzi - poprawił brat Stefan. - Ja też się tam udam! Przybyłem tylko po to, aby naświetlić sprawę i zastanowić się z wami, co można uczynić. Kiedy dowiedziałem się, że pani de Brazey jest tutaj, wpadłem na ten pomysł.

La Hire odwrócił się w stronę Arnolda, który nie odezwał się do tej pory ani jednym słowem, i trzasnął go w ramię.

- Co na to powiesz? Czy możesz udawać murarza i, co jest jeszcze trudniejsze, człowieka fikcyjnie żonatego?

Patrząc na Katarzynę, Arnold odpowiedział krótko: - Zgadzam się!

- Przypuszczam, że pani Katarzyna również. W porządku. Wyjedziecie jutro. Niech Bóg i Matka Boska przyjdą wam z pomocą, gdyż będziecie tego potrzebowali.

Pan de La Hire nie pomylił się w swych przypuszczeniach. Katarzyna, rzecz jasna, zgodziła się i szalała z radości. Uchodzić przez jakiś czas, nawet w przebraniu, za żonę Arnolda, było czymś, o czym nawet nie marzyła. Może ta niebezpieczna przygoda przybliży ich do siebie? Któż mógł przewidzieć, czy w czasie tych godzin obowiązkowego przebywania ze sobą nie znajdzie sposobu, aby rozpalić jego uczucia, którym uległ już dwa razy. Chcąc ukryć radość, zapytała:

- Co się dzieje z panem de Xaintrilles'em? Odpowiedzi udzielił Arnold, wzruszając z irytacją ramionami.

- Spotkał jakiegoś nawiedzonego pastucha z Gevaudan, o imieniu Wilhelm, który przepowiada i nazywa siebie wysłannikiem Boga. Pan de Xaintrilles jest pod jego urokiem i ciągnie go wszędzie za armią. Liczy na to, że cudotwórca pomoże oswobodzić Joannę*.

** Pastuch nie pożył długo. Talhot uwięził Xaintrilles'a, a pastucha wrzucił do Oise, zaszytego w skórzany worek.*

- Powiedział, że dołączy do nas później... ale nie liczę na to.

- Dlaczego?

- Bo kompletnie oszalał na punkcie tego pastucha i nie dostrzega, że to oszust tego samego rodzaju, co ta dziewczyna z la Rochelle, której Joanna powiedziała, aby „zajęła się raczej swoim domem i dziećmi”. Sądzę, że pan de Xaintrilles postradał zmysły - podsumował Arnold ochrypłym głosem.

* * *

Któregoś wieczoru, pod koniec marca, grupka biedaków przebyła bramę Wielkiego Mostu i wjechała do Rouen: mężczyzna, kobieta i mnich. Wszyscy byli tak zakurzeni i brudni, że angielscy łucznicy pilnujący bramy obrzucili ich spojrzeniem powierzchownym i pogardliwym. Grali w kości na beczce i nie pofatygowali się nawet, aby sprawdzić zawartość wielkiego tobołka, który mężczyzna dźwigał na ramieniu, a w którym znajdował się prawdopodobnie cały majątek mężczyzny i kobiety. Co do mnicha, najwyraźniej cały jego dobytek stanowił potargany habit i różaniec z bukszpanu. Pewnie wszystko odbyłoby się zgoła inaczej, gdyby strażnicy odkryli, że w fałdach brudnej sukni kobiety zaszyte są szlachetne kamienie, a w szczególności olbrzymi, czarny diament. Reszta fortuny została ukryta w

drewnianych paciorkach różańca, którym przepasany był mnich.

Nieogolony od trzech dni, ubrany w brudną, płócienną oponczę i zbyt szerokie spodnie do kolan, które owijały się wokół muskularnych łydek rycerza, z nieforemną czapką na głowie, zgarbiony, aby ukryć swą wysoką postać, Arnold był trudny do rozpoznania. Katarzyna ubrana w niebieską, spraną suknię, brązowy, dziurawy płaszcz, z włosami ukrytymi w czepku, który od dawna nie był biały, nie ustępowała mu w niczym.

- Jan Son i jego żona mieszkają przy ulicy Niedźwiedziej - powiedział im brat Stefan, kiedy w tym przebraniu szczęśliwie przeszli obok strażników przy dzwonnicy. - To nie jest daleko. Ale, na Boga, mój przyjacielu, spróbuj spuszczać wzrok, kiedy spotykasz Anglików, i nie bombarduj ich tym piorunującym spojrzeniem, po którym na milę można wyczuć rycerza.

Zawstydzony Arnold uśmiechnął się i zarumienił.

- Uczynię, co w mej mocy. Ale to jest trudne, bracie Stefanie; widok ich żelaznych hełmów i zielonych bluz z czerwonym krzyżem, ich nonszalanckie zachowanie we francuskim mieście sprawia, że rozpala mi się krew!

- Musisz zachować zimną krew... przynajmniej na razie.

Dawna stolica książąt normandzkich wyglądała ponuro, mimo że samo miasto było wspaniałe. Wysokie domy z przepięknymi, wykładanymi drewnem frontonami i kolorowymi herbami, strzeliste gotyckie wieże kościołów z rzeźbionymi koronami stanowiły dziwną oprawę dla idących pospiesznie ze spuszczonej oczami i z posępnymi twarzami mieszkańców miasta. Ani śladu wesołej wrzawy na skrzyżowaniach ulic; w na wpół pustych sklepikach można było zauważyć obowiązujące restrykcje. Milczące kobiety stały w kolejce do piekarzy, zatrzymywały się przy stołach rzeźników i flaczarzy z nadzieją kupienia czegoś do jedzenia. Wszędzie widać było żołnierzy w zielonych kasakach. Dwójkami lub trójkami

penetrowali wąskie uliczki, najwyraźniej je nadzorując.

Kiedy w kaplicy zamku zaczął się proces, otrzymali surowe rozkazy, w obawie przed jakimiś działaniami w celu bądź to uwolnienia Joanny, bądź zamachu na życie wysokich osobistości, które chroniła forteca otoczona murem z siedmioma wieżami.

Gdy troje towarzyszy doszło do sklepiku z bielizną, przybraniami i wszelkiego rodzaju błyskotkami, prowadzonego przez panią Son, zobaczyli, że bieliźniarka jest zajęta obsługiwaniem dwóch bogato ubranych pań, których wyraźny angielski akcent wskazywał na damy z otoczenia księżnej de Bedford. Damy te oglądały flandryjskie koronki i przerzucały sztuki delikatnego, lnianego sukna tak pożądliwie, że wywołało to uśmiech na twarzy Katarzyny. Uwagę dziewczyny przykuła przez chwilę drewniana głowa stojąca na ladzie, na którą nałożono nakrycie głowy całe pokryte koronką z Malignes, z potrójnym, jak z mgiełki zrobionym welonem. Pani Nicole, chuda i śniada kobieta, nosząca bez najmniejszego wdzięku suknię z ładnego, szarego płótna, obszytą czarnym barankiem i wielki złoty krzyż na kryzie z drobno plisowanego lnu, zwróciła na nich tak rozgniewany wzrok, że brat Stefan postanowił działać.

- Pokój niech będzie z tobą, pani Nicole! - powiedział. - Oto twoi biedni kuzyni z Louviers, których ci przyprowadziłem... w opłakanym stanie. Sądzę, że z trudem ich rozpoznajesz. Stracili wszystko. Ten bandyta i oprawca Stefan de Vignolles, niech Bóg go pokarze, spalił ich dom i zabrał im wszystko. Znalazłem ich na drodze na wpół żywych...

- Jakież to smutne! - powiedziała pani Nicole, spoglądając na dziwną parę z odrazą. - Zaprowadź ich do kuchni, ojciec. Mam tu jeszcze wiele spraw.

Obie angielskie damy pozostawiły koronki i również przyglądały się nowo przybyłym. Kręciły głowami i szeptały między sobą z tak widocznym

współczuciem, że Katarzyna z trudem powstrzymywała śmiech. Uważając, że należy coś zrobić, ukloniła się niezgrabnie i wyjąkała z dobrze udaną nieśmiałością:

- Dzień dobry, kuzynko!

Gest, który uczyniła pani Nicole, przypomniawszy ruch, jakim odgania się zwykle muchy.

- Później, później! Idźcie teraz do kuchni, przecież widzicie, że przeszkadzacie!

Idąc za braciszkiem, skierowali się w stronę drzwi znajdujących się w głębi sklepu, ale kiedy przechodzili obok dam, jedna z nich wyciągnęła z sakiewki złotą monetę i wsunęła do ręki Katarzyny. Zaskoczona dziewczyna nie zareagowała.

- Biedna kobieta! - wykrzyknęła dama litościwie. - Kup sobie jakąś nową sukienkę!

Tak miły uśmiech towarzyszył tym słowom, że Katarzyna poczuła prawdziwą sympatię do tej litościwej kobiety, która potrafiła współczuć niedoli innej kobiety. Podziękowała jej ukłonem mówiąc:

- Dzięki, szlachetna pani... Niech Bóg ci błogosławi! Ale pani Nicole wyglądała na bardzo oburzoną.

- Pani baronowa jest zbyt dobra... taka hojność! No, idźcie już!

Kiedy weszli do dużej, dobrze ogrzanej płomieniem z kominka kuchni, nie zastali w niej nikogo, lecz drzwi prowadzące na tylny dziedziniec były na wpół otwarte. Służąca musiała udać się do studni lub poszła nakarmić drób. Arnold, który od chwili wejścia do domu z trudem zachowywał milczenie, powiedział cierpko:

- Jeśli mamy mieszkać z tą Nicole, to chyba wolę spać w porcie z łodowaczami.

- Cicho! - uciął brat Stefan. - Nie trzeba ufać pozorom. Zmienisz może

zdanie na temat twojej gospodyni. A oto i służąca!

W tej chwili do kuchni weszła mocno zbudowana dziewczyna, dźwigając wiadra pełne wody, i, zaskoczona, o mało co nie wypuściła ich z rąk.

- Ej, wy tam, czego tu szukacie? - krzyknęła.

Brat Stefan miał właśnie coś odpowiedzieć, ale w tej chwili do kuchni weszła pani Nicole.

- To są kuzyni mojego męża, którzy przybywają z Louviers, gdzie wszystko stracili - powiedziała, nie tracąc nic ze swego przykrego wyglądu. - Musimy ich ugościć. Daj im coś zjeść, Małgorzato, a potem zaprowadź ich na poddasze. Kiedy pan wróci, zdecyduje, co z nimi zrobić!

- Wielkie dzięki za twą litość, wielmożna pani - zaczął brat Stefan, ale Nicole przerwała jego słowa, wzruszając ramionami.

- To nasz chrześcijański obowiązek. Żyjemy skromnie, mamy kłopoty z żywnością, ale nie mogę zostawić na ulicy krewnych mego męża. A teraz pozwól ze mną, ojcze, chcę z tobą porozmawiać...

Brat Stefan ruszył za nią bez pośpiechu, pozostawiając Arnolda i Katarzynę w towarzystwie służącej, która spoglądała na nich kątem oka. Bez wątpienia, nie stwierdziła niczego podejrzanego, bo napełniła dwie miski zupą, ukroiła wielką pajdę razowego chleba i podsunęła to wszystko nowo przybyłym.

- A więc przychodzicie z Louviers?

- Tak - powiedziała Katarzyna, zanurzając łyżkę w gęstej i smakowitej zupie. - Z Louviers...

- Mam tam kuzynów, garbarzy... Czy znacie Wilhelma Lerouge'a?

Teraz Arnold włączył się do rozmowy. Przestał jeść zupę, którą chleptał z wielkim hałasem, jak to robili chłopci, i spojrzał na służącą.

- Pewnie! Wilhelm Lerouge? Chyba go znam. Biedny człowiek.

Powiesił go ten bandyta Vignolles! Ot co, żyjemy w strasznych czasach. Ciężko nam, biedakom.

Zdumiona Katarzyna nie wierzyła własnym uszom. Od ich przybycia do Rouen cały czas obawiała się, że maniery mogą zdradzić jego szlachetne pochodzenie, a teraz okazało się, że w tej grze radzi sobie lepiej od niej. Udało mu się, bo Małgorzata westchnęła w przekonaniu:

- Tak, tak, jest ciężko! Ale tutaj nie będzie wam źle. Z panią Nicole nieraz trudno wytrzymać, ale jada się tutaj dobrze. Wyglądasz na silnego, pan Jan znajdzie ci jakąś robotę, a twoja żona też nie będzie się nudziła. Druga służąca zmarła. Nie brak tu roboty.

- Nie boję się pracy - zapewniła ją Katarzyna, podczas gdy Arnold, wyraźnie zadowolony z siebie, kończył połykać zupę.

Kiedy skończył, wyczyścił miseczkę kawałkiem chleba, wychylił kubek wina jednym haustem i wytarł usta rękawem.

- Zaraz poczułem się lepiej - powiedział z zadowoloną miną. - Zupa była bardzo dobra. - I aby to potwierdzić, czknął głośno.

- Chodźcie teraz, pokażę wam waszą izbę. Nie ma tam luksusów ani nawet ogrzewania, ale we dwójkę będzie wam ciepło, no nie? - dodała, mrużąc porozumiewawczo oko.

Poddasze, znajdujące się pod wielkim dwuspadowym dachem, wyglądało jak pudełko w kształcie ściętej piramidy. Było tam trochę nieużywanych już przedmiotów i panował straszny ziąb. Ale Małgorzata przyniosła dwa sienniki, które ułożyła jeden na drugim, oraz dużo wełnianych nakryć.

- Jutro trochę się tu posprząta. A dzisiaj najważniejsze, żeby nie było wam zimno. Odpocznijcie teraz trochę.

Kiedy wyszła, Arnold i Katarzyna znaleźli się sami i przez chwilę stali twarzą w twarz, patrząc na siebie. Nagle Katarzyna wybuchnęła śmiechem.

Już od dawna miała na to ochotę.

- Nie wiedziałam, że masz takie zdolności! - powiedziała z kpina w głosie. - Jesteś doskonały w roli chłopca. A ja się bałam, że tego nie potrafisz.

- Mówiłem ci, że wychowywałem się jak mały wieśniak... i sędzę - dodał z nagłym uśmiechem, który rozjaśnił mu twarz - że pozostałem wieśniakiem w przebraniu. Wcale się tego nie wstydę. Ja nie jestem stworzony do życia światowego. Ale muszę przyznać, że i ty dobrze sobie radzisz ze swoją rolą!

I nagle on również zaczął się śmiać, towarzysząc Katarzynie w tej szczerej radości, która przyniosła im odprężenie i odsunęła na jakiś czas urazy i złe wspomnienia. Śmiali się jak dwójka dzieci, które zrobiły dobry kawał, w takiej zgodzie, w jakiej chyba jeszcze nigdy nie byli, nawet w czasie najbardziej płomiennych chwil spędzonych wspólnie. Śmiali się jeszcze, kiedy pani Nicole weszła na poddasze z paczką pod pachą.

- Bądźcie cicho! - powiedziała, kładąc palec na ustach. - Ktoś mógłby was usłyszeć, a jak na uciekinierów pozbawionych wszystkiego, jesteście trochę zbyt weseli.

Tym razem uśmiechnęła się do Katarzyny, która spostrzegła, że uśmiech dodał trochę czaru tej podłużnej, pozbawionej wdzięku twarzy. Gospodyni rzuciła paczkę z ubraniami na siennik, a potem się ukloniła.

- Drodzy państwo, wybaczcie sposób, w jaki was przyjąłem... wybaczcie również przy okazji moje cierpkie uwagi i zły humor w przyszłości! Nie ufam służącej ani zresztą nikomu!

Katarzyna, która od momentu przybycia do domu państwa Son czuła się niepewnie, ucałowała ją spontanicznie, podczas gdy Arnold zapewniał, że wprost przeciwnie, są jej bardzo wdzięczni. Wyjaśniwszy wszystko, Nicole odeszła, aby Małgorzata nie zaczęła czegoś podejrzewać. Przyniesiono im przybory toaletowe i wodę. Kiedy przyszedł pan Jan Son, byli umyć i

przebrani w czyste, chociaż skromne odzienie, jak przystoi ubogim krewnym.

Na pierwszy rzut oka mistrz murarski nie wyglądał wcale sympatyczniej od swojej żony. Gruby i czerwony, nadęty od tłuszczu i dumy, spoglądał na wszystko zaspanym wzrokiem, zadowolony z siebie i powolny, co nie przemawiało na jego korzyść. Ale jego „kuzyni” szybko się przekonali, że pod tym przykrym wyglądem krył się jasny umysł, rzeczywista odwaga i prawdziwa normandzka przebiegłość.

- Odpocznijcie dzisiaj wieczór - powiedział do nich cicho, kiedy służąca skończyła podawać wieczerzę. - Jutro pokażę wam naszą piwnicę. To tam organizujemy spotkania, bez obawy, że ktoś nas podsłucha.

Kiedy zadzwoniono na gaszenie świateł; wszyscy odmówili wspólną modlitwę i każdy poszedł do siebie. Arnold i Katarzyna udali się na swoje poddasze, a serce dziewczyny zaczęło bić szybciej. To wspólne zamieszkiwanie kępowało ją, lecz jednocześnie napełniało radością, bo przecież... Małgorzata przygotowała tylko jedno łóżko. Nie wiedziała, czy ma się radować, czy też może obawiać nowych złorzeczeń. Ale kiedy weszli na górę, Arnold spokojnie zdjął z łóżka jeden z sienników, przeciągnął go w kąt i wziął przykrycie. Wśród niepotrzebnych rzeczy znalazł stare, potargane płótno, które starannie rozwiesił między nimi na belkach stropowych. Obojętna, lecz trochę rozczarowana, patrzyła, co robi. Kiedy skończył, odwrócił się w jej stronę, uśmiechnął się i uklonił tak grzecznie, jakby znajdowali się w jakimś pałacu, a nie w brudnej norze.

- Dobranoc! - powiedział uprzejmie. - Dobranoc... moja droga żono.

Kilka minut później Katarzyna usłyszała głośnie chrapanie i zrozumiała, że usnął na dobre. Dzień był bardzo męczący i dziewczyna miała ochotę uczynić to samo, ale była zbyt zdenerwowana. Długo kręciła się na sienniku, lecz nie udawało jej się zmrużyć oka. Czuła złość do Arnolda, do

siebie samej i do całego świata. I żeby chociaż ten dureń nie chrapał tak głośno!

* * *

Od tej chwili młodzi ludzie zaczęli wieść dziwne życie. Każdego dnia, pod czujnym okiem Nicole, Katarzyna pracowała w domu, pomagając Małgorzacie w kuchni, przy praniu, sprzątaniu i prasowaniu, wysłuchując częstych wybuchów złości gospodyni, szczególnie kiedy ktoś był w sklepie. Doskonale radziła sobie z rolą ubogiej krewnej przyjętej z litości. Co się tyczy Arnolda, wspaniale wcielił się w rolę murarza. Dzięki temu, że umiał pisać, nie musiał wykonywać karkołomnych prac na rusztowaniach, a Jan Son, powierzając Arnoldowi funkcję sekretarza, oszczędził mu ciekawości i zdziwienia ze strony robotników. Ponieważ był kuzynem szefa, nikomu nie przeszkadzało, że jest traktowany trochę lepiej od innych.

Z nadejściem nocy, kiedy Małgorzata już spała, schodzili do piwnicy państwa Son, gdzie odbywały się tajne zgromadzenia, niemające nic wspólnego z murarką. Tam przynoszono pewne wiadomości z procesu Joanny d'Arc dzięki mnichom z zakonu Świętego Dominika należącego do klasztoru Świętego Jakuba; mnisi systematycznie brali udział w posiedzeniach, tajnych od początku marca. Dwaj mnisi, brat Isambart de la Pierre i brat Marcin Ladvenu, pomagali Joannie ze wszystkich sił i udzielali rad, gdy tylko mogli zbliżyć się do niej. Ale Cauchon i Warwick dobrze strzegli swej zdobyczy i brat Isambart, który poradził Joannie, aby odwołała się do papieża i do soboru w Bazylei, został ostrzeżony przez groźnego biskupa Beauvais, że zostanie umieszczony w worku i wrzucony do Sekwany. Obydwaj współczuli Dziewicy i mieli dla niej głęboki podziw. Opisywali Janowi Sonowi i jego przyjaciółom codzienną udrękę Joanny,

cytowali jej proste, jasne i pełne wiary odpowiedzi na podchwytliwe pytania stronniczych prawników chcących przypodobać się zwycięzcy. Joanna broniła się inteligentnie, z opanowaniem i dokładnością, co graniczyło z cudem, jeśli weźmie się pod uwagę, że ta osiemnastoletnia dziewczyna nie umiała ani pisać, ani czytać. Potrafiła jedynie się podpisać.

- Cały ten proces jest nielegalny, fałszywy i brudny - mówił brat Isambart poważnym głosem. - Cauchon obiecał, że ją zabije, ale pragnie przede wszystkim zniszczyć zaufanie do króla Francji. I aby to osiągnąć, nie cofnie się przed niczym!

Dowiedzieli się od niego, że Joanna, zaprowadzona do sali tortur w baszcie, pozostała nieugięta i prawa nawet na widok biczów zakończonych łożem, którymi ją straszono; nikomu nie udało się zniszczyć jej nadzwyczajnej odwagi. Ale im więcej dni upływało, tym trudniejszy był do niej dostęp. Jan Son w towarzystwie Arnolda, który zapuścił brodę dla jeszcze lepszej charakteryzacji, udał się do wieży Bouvreuil pod pozorem zakończenia murarki, żeby sprawdzić, czy pod żadnym z krużganków nie uda się wykonać podkopu, którym więziona mogłaby uciec. Obydwaj wrócili zrozpaczeni.

- Nikt nie może zamienić z nią słowa. Cały czas jest silnie strzeżona. A zamek jest pełen żołnierzy. Przeszukiwano nas co najmniej dziesięć razy. Trzeba by dużej armii, aby zaatakować podobną fortecę - powiedział Arnold, opadając na taboret. - Nigdy nam się to nie uda. Nigdy!

W którymś momencie spiskowcy planowali, aby spróbować przekupić sędziów za pomocą klejnotów Joanny. Ale brat Isambart odwiódł ich od tego zamiaru.

- To nie zdałoby się na nic. Wzdrygam się przed takim osądem ludzi Kościoła, ale przyjęliby ofiarowane kosztowności... i wydaliby was natychmiast. Żaden z nich nie zawahałby się przez moment, aby skorzystać z

obu okazji. Ci, którzy działali w dobrej wierze, na przykład biskup Avranches, już dawno uznali się za niekompetentnych.

- Cóż więc robić? - zapytała Katarzyna.

Mistrz Jan Son wzruszył potężnymi ramionami i wypił jednym haustem dzban wina dla dodania sobie odwagi.

- Poczekać na dzień ogłoszenia wyroku... ponieważ taki z pewnością nadejdzie, i wtedy spróbować coś zrobić. To nasza jedyna szansa... Jedyna szansa dla Joanny, że Bóg ulituje się nad nią - powiedział.

Opuściwszy głęboką piwnicę, służącą dawniej do przechowywania wina, Arnold i Katarzyna udali się na swoje poddasze, ale nie mieli sobie nic do powiedzenia. Wznosił się między nimi tragiczny cień uwięzionej. Jednoczyła ich we wspólnym wysiłku, we wspólnej chęci wyrwania jej z rąk niesprawiedliwego losu, ale jednocześnie ich rozdzielała z powodu swego męczeństwa. Jak można było oddawać się miłości, jeśli wiedziało się o tym, jakie męki znosiła tak niedaleko Joanna?

Któregoś wieczoru, kiedy wszyscy mieli zasiać do wieczerzy, ktoś zapukał w okiennicę. Małgorzata otworzyła drzwi. Do izby wszedł wysoki, ubrany na czarno mężczyzna.

- Dobry wieczór wszystkim! - powiedział. - I wybaczcie, jeśli przeszkadzam. Muszę pomówić z panem Sonem.

Mężczyzna miał na głowie kaptur zakrywający część twarzy, ale Katarzyna spostrzegła, że na jego widok Nicole zbladła i zadrżała. Dziewczyna pochyliła się w kierunku swej pseudokuzynki i zapytała po cichu:

- Kto to jest?

- Geoffroy Terrage... Kat! - odparła Nicole słabym głosem, nie starając się nawet ukryć niechęci.

Jan Son wstał od stołu i stanął między drżącymi kobietami a czarną

sylwetką kata.

- Czego chcesz? - zapytał ostro.

- Będę cię potrzebował, panie Son, i to od jutra. Otrzymałem rozkaz postawienia na pojutrze, na czwartek 24 maja, wysokiego podestu z gipsu na cmentarzu Saint-Ouen.

- Na co potrzebny jest ten podest?

Terrage odwrócił wzrok, speszył się nagle pod spoczywającym na nim wzrokiem ludzi, z których żaden nie potrafił ukryć trwogi.

- Stanie na nim stos! - powiedział krótko. A następnie, ponieważ żadna z przerażonych osób nie powiedziała ani jednego słowa, dodał: - Stos ma się znajdować wysoko, aby zewsząd można było zobaczyć skazaną... a potem, kiedy się zapali, abym mógł udusić ją dyskretnie.

Pomimo grożącego niebezpieczeństwa Katarzyna nie wytrzymała i rzekła:

- O ile wiem, Joanna nie została jeszcze skazana. Kat wzruszył obojętnie ramionami.

- Cóż mogę rzec? Dostałem takie rozkazy i wykonuję je. Mogę na ciebie liczyć, panie Son?

- Zrobione! - odpowiedział mistrz murarski, chociaż nie udało mu się całkowicie ukryć drżenia głosu. - Dobranoc!

- Dobranoc!

Kiedy kat wyszedł, wszyscy nadal siedzieli nieruchomo na swoich miejscach. Nawet Małgorzata z kociołkiem w ręku patrzyła osłupiałym wzrokiem na drzwi, za którymi zniknął. Dopiero po chwili postawiła garnek na stole i przeżegnała się szybko.

- Biedna dziewczyna! - powiedziała. - Stos... to straszna śmierć!

Późnym wieczorem, długo po tym, jak zakończyła się spożyta w milczeniu wspólna wieczerza, mieszkańcy domu przy ulicy Niedźwiedziej

spotkali się w piwnicy z bratem Isambartem i bratem Stefanem przybyłym tego wieczoru z wyprawy do Louviers. Dominikanin i franciszkanin byli bardzo poważni, co nie wróżyło niczego dobrego. Na ich porysowanych zmarszczkami twarzach czaił się głęboki smutek.

- Nie, nie jest jeszcze skazana, ale niewiele do tego brakuje. W czwartek zaprowadzą ją na cmentarz opactwa Saint-Ouen, publicznie napiętnują i będą zmuszać do przyznania się do błędów i podporządkowania Kościołowi... w osobie mistrza Cauchona, który tak nędznie go tutaj reprezentuje. Jeśli odmówi, wrzucą ją do ognia, jeśli się zgodzi...

- Jeśli się zgodzi? - powtórzyła Nicole.

Mnich wzruszył chudymi ramionami pod białym habitem i czarnym płaszczem. Jego wychudła twarz napięła się:

- W zasadzie powinni odesłać ją do jakiegoś klasztoru, aby spełniła pokutę zadaną przez sąd. Ale czuję, że jest to jakaś pułapka, że Cauchon coś kombinuje. Zbyt wiele razy obiecywał Warwickowi, że Joanna umrze.

Podczas gdy każdy ważył w głębi duszy słowa mnicha, pan Son wyciągnął z kieszeni rulon pergaminu i rozłożył go na becze. Aby pergamin się nie zwijał, postawił na nim żelazny lichtarz, a następnie wygładził ręką pogiętą i pociemniałą ze starości powierzchnię. Podczas gdy wszyscy inni mieli ponure miny, on wyglądał na zadowolonego. Spozrzegła to jego żona.

- Można by powiedzieć, że to, co rzekł ojciec Isambart, sprawiło ci przyjemność?

- Bardziej niż myślisz, gdyż widzę dużą możliwość uratowania Joanny.

- Oto - dodał, wskazując na pergamin - bardzo stary plan opactwa Saint-Ouen, gdzie również, nawiasem mówiąc, wykonuję roboty. A ten plan ma według mnie olbrzymie znaczenie. Podejdźcie tutaj...

Wszyscy go otoczyli, pochylając nad jego ramieniem zaintrygowane twarze. Do późnej nocy Jan Son mówił im coś spokojnym głosem.

Rozdział dziewiętnasty

Ogień i woda

Katarzyna udała się wcześniej rano na cmentarz opactwa Saint-Ouen, aby mieć pewność, że będzie mogła stanąć tam, gdzie polecieli jej Jan Son i Arnold. Miała stać na stopniach na wpół zburzonego krzyża, twarzą do trybun przygotowanych dla sędziów i małego podestu, na którym miała się znaleźć Joanna. Niedaleko stąd, między trybunami i bramą południową kościoła Saint-Ouen, wznosił się złowrogi stos utworzony w przeddzień przez mistrza murarskiego, na którym piętrzyły się wiązki chrustu. W jakiś czas później przybyła Nicole z grupą odświętnie ubranych kumoszek i zajęła miejsce pod jedną z drewnianych galerii otaczających miejsce, gdzie pochowani byli zmarli. Na dachach tych galerii leżały wykopane kości zmarłych. Nazywano to kostnicą. Cmentarz wypełniał się szybko, gdyż ładna pogoda i ciekawość wyciągnęły z domów prawie wszystkich mieszkańców Rouen. Z tej smutnej okazji większość z nich miała zobaczyć Joannę po raz pierwszy. Wkrótce Katarzyna dostrzegła Arnolda; ubrany w czarny, ciasny i wytarty strój, przygarbiony, z głową ukrytą w obszernym kapturze koloru ciemnozielonego, stanął możliwie jak najbliżej podestu przygotowanego dla Joanny, tuż za kordonami angielskich łuczników. Tworzyli oni, trzymając w poprzek piki, zaporę solidną, jednakże możliwą do sforsowania dla osoby tak silnej jak Arnold. Pozostali spiskowcy znajdowali się na swoich miejscach: Jan Son w dzwonnicy miejskiej, a brat Stefan wewnątrz kościoła Saint-Ouen.

Sposób obmyślony przez murarza był bardzo prosty. W starych

planach kościoła odkrył wiele lat wcześniej istnienie podziemnego korytarza wychodzącego poza obręb miasta, który kończył się pod płytą w starej krypcie romańskiej. Nie wiedząc nawet dlaczego, nigdy o tym nikomu nie powiedział i teraz był z tego bardzo zadowolony. Wiedział dokładnie, pod którą płytą zaczynają się stare schody, i podczas gdy robotnicy wznosili gipsowy podest zamówiony przez Trybunał, Jan Sou, pod pretekstem sprawdzenia filarów krypty zerwał płytę i pokazał bratu Stefanowi, jak ją podnieść bez najmniejszego trudu. Strój mnicha pozwalał franciszkaninowi wchodzić zarówno w dzień, jak i nocą do każdego kościoła i nie dziwiło to nikogo. W tej chwili modlił się chyba w krypcie, w oczekiwaniu na Arnolda, który miał mu przyprowadzić Joannę.

Według ustaleń nie mieli nic robić przed ogłoszeniem wyroku. Wtedy były dwie możliwości: albo Joanna podporządkuje się wyrokowi Kościoła i zostanie powierzona mniszkom, albo odrzuci go i zostanie oddana katu. W jednym i drugim przypadku Katarzyna miała w tym momencie dostać drgawek, odgrywając kobietę w ataku hysterii, a Nicole, pod pozorem niesienia jej pomocy, miała jeszcze zwiększyć zamieszanie na cmentarzu. Jan Son znajdujący się w dzwonnicy miejskiej, skąd mógł zobaczyć, a przede wszystkim usłyszeć przeraźliwe krzyki obu kobiet, miał w tej samej chwili wprawić w ruch dwa dzwony alarmowe: Rouvel'a i Cache-Ribaud, których wspaniały dźwięk wzywał przez wieki mieszkańców Rouen do obrony lub buntu. Ten nieoczekiwany alarm miał jeszcze zwiększyć zgiełk i spowodować zamieszanie, które pozwoliłoby Arnoldowi, przy pomocy brata Isambarta, znajdującego się w pobliżu Joanny, wyrwać więźniarkę z rąk jej straży i wepchnąć do kościoła. Dla człowieka takiego jak Cauchon prawo azylu nie liczyłoby się wcale, ale wystarczyło zarobić dwie lub trzy minuty na pościgu, aby płyta zasunęła się za Joanną. Zanim Anglicy odnaleźliby miejsce ucieczki, Dziewica i jej oswobodziciele byłiby już poza miastem i

dołączyliby o zmierzchu do La Hire'a, który miał się znaleźć z oddziałem możliwie jak najbliżej miasta.

Katarzyna, doszedłszy do siebie po udawanym niedomaganiu, miała dołączyć do uciekinierów...

Publiczność wypełniała już cmentarz, a krzyż, o który opierała się Katarzyna, otaczało teraz morze głów, nad którymi na szczęście górowała. W pobliżu trybun dostrzegła stał najeżoną pikami - był to oddział żołnierzy. Trybuny dla sędziów wypełniły się białymi i czarnymi sutannami, od których odcinała się purpurowofioletowa sutanna biskupa. Z daleka wydał się Katarzynie olbrzymi; jego pełne ramiona nakrywała, pomimo upału, gronostajowa pelerynka, która kontrastowała groteskowo z purpurową twarzą. Wysoko na niebie latały czarno-białe jaskółki. Z wieży kościelnej odezwał się ciężki głos dzwonu. Z sercem wypełnionym nagłą trwogą, Katarzyna zobaczyła, że przyszedł kat i jego pomocnicy, a następnie, w otoczeniu żołnierzy, pojawiła się drobna, ubrana na czarno postać.

Kiedy Joanna znalazła się na trybuncie dla niej przeznaczonej, w tłumie rozległ się przeciągły, pełen litości szmer.

- Jakaż ona młodziutka i mizerna! - szepnęła jedna z kobiet.

- Biedaczka - powiedział starzec z długą, białą brodą - ależ ją sponiewierali w więzieniu ci przekłęci Anglicy, niech Bóg ich pokarze!

- Ciszej!... - powiedziała z kolei młoda kobieta. - Gdyby ktoś cię usłyszał, miałbyś się z pyszna.

Zresztą wkrótce wszyscy ucichli. Człowiek w czarnej todze stanął przed klęczącą Joanną, z pergaminem w dłoniach. Ktoś stojący za Katarzyną szepnął z pełnym strachem szacunkiem.

- To mistrz Wilhelm Evard z Sorbony. Będzie głosił nauki.

Rzeczywiście, doktor w czarnej todze zaczął wygłaszać głosem dźwięcznym i pełnym namaszczenia długie i napuszone kazanie na jakiś skomplikowany

temat. Ale Katarzyna nie słuchała go. Z przerażeniem patrzyła na bladą i mizerną Joannę. Dziewica dosłownie ginęła w męskim ubraniu z czarnego materiału. Włosy podrosły jej trochę i okalały twarz tak zapadniętą, że jasne, niebieskie oczy zdawały się zajmować całe oblicze. Ale wydawało się, że odwaga jej nie opuściła.

U stóp małej trybuny, za kordonem żołnierzy, Katarzyna zobaczyła ciemnozieloną plamę: kaptur Arnolda, którego nerwowe napięcie wyczuwała całym ciałem. Wkrótce od jego siły i szybkości miało zależeć ocalenie Joanny i jego samego. Arnold będzie ryzykował życiem, kiedy rzuci się, aby porwać więźniarkę. Zarówno on, jak i Katarzyna dobrze o tym wiedzieli i kiedy rozstawali się dzisiejszego ranka, młodzieniec po raz pierwszy uchylił lodowatej maski... och, tylko przez małą chwilkę! Ujął spracowaną i zniszczoną od prania dłoń Katarzyny i ucałował.

- Nie zapomnij o mnie zupełnie, jeśli umrę... - szepnął. Wzruszenie ścisnęło krtań Katarzyny, tak że nie była w stanie nic powiedzieć. Łzy napłynęły jej do oczu, ale on już się oddalił, śmieszny, a zarazem wzruszający w tym swoim ubiorze, zbyt ciasnym na jego mocne ciało. Jedyne, co mogła uczynić, to zamknąć w sercu tę ulotną chwilę...

Głos kaznodziei stawał się coraz głośniejszy i zmusił Katarzynę do zwrócenia uwagi:

- O, Królu Francji! - wołał. - Nigdy dotąd nie żyły tu potwory, ale teraz jesteś okryty hańbą, gdyż zawierzyłeś tej kobiecie, czarownicy i heretyczce...

Z kolei dał się słyszeć spokojny, jasny i pełen pogardy głos Joanny: - Nie mów tak o moim królu! - wykrzyknęła. - Jest prawdziwym i dobrym chrześcijaninem.

Tłum zaczął wibrować jak napięty sznur, ale był to tylko przelotny wybuch. Evard mruzczał coś dalej i Katarzyna przestała się tym interesować. Czowała, że zbliża się oczekiwana chwila...

Kiedy nadeszła, wszystko stało się tak szybko, iż wydawało się jej, że traci głowę. Między dwiema trybunami powstało takie zamieszanie, że trudno było zrozumieć, co się dzieje. Katarzyna zobaczyła, że jakiś mnich wsuwa do ręki Joanny, która teraz wydawała się bardzo wystraszona, papier i pióro. Tłum wokół niej stawał się coraz bardziej gęsty... Joanna podpisała się na papierze i sprowadzono ją z trybuny. Prowadzono ją gdzieś, ale gdzie? Katarzyna zobaczyła, że Arnold odwraca się w jej stronę, czyli nadszedł oczekiwany moment... Ruszyła do akcji. Krzyknęła przeraźliwie, co skierowało na nią uwagę części tłumu, i upadła do tyłu, udając atak hysterii. Padając, poczuła ból i krzyknęła jeszcze głośniej. Zobaczyła twarz niesionej przez tłum i wrzeszczącej Nicole. Zgiełk był coraz większy, zaczęły bić dzwony na wieży. Wzburzony tłum wrzeszczał. Leżąc na ziemi wśród ludzi, którzy starali się ją podnieść, Katarzyna nie widziała nic. Ale czyjś grzmiący głos opanował sytuację.

- Zatrzymajcie również i tę kobietę, której atak wywołał taki zamęt.

Nicole, której oczy rozszerzył strach, znikła jakby cudem wśród tłumu. W chwilę później twarda dłoń angielskiego żołnierza uniosła Katarzynę i postawiła brutalnie na nogi. Wtedy zobaczyła... Zobaczyła purpurowego z wściekłości Cauchona, który wskazywał na nią palcem i Joannę, którą żołnierze prowadzili w kierunku więzienia. Zobaczyła Arnolda walczącego jeszcze z trzema angielskimi łucznikami. Zrozumiała, że plan się nie powiódł... że wszystko stracone.

* * *

Godzinę później Katarzyna i Arnold, pobici i skuci łańcuchami, ale ramię w ramię, stanęli przed biskupem Beauvais. Obydwoje trzymali się dzielnie. Nie musieli już się zginać ani ukrywać, kim są.

- To już koniec - szepnął Arnold swojej towarzyszce, kiedy weszli za próg wieży. - Nie pozostaje nam nic innego jak umrzeć... przynajmniej mnie!

Cios pięści łucznika zmusił go do milczenia i Katarzyna zobaczyła, że po pękniętej wardze Arnolda płynie strużka krwi. Stanęli przed wysokim, dębowym podwyższeniem, gdzie Cauchon umieścił swoje olbrzymie ciało. Siedział w pozie, która wydawała mu się z pewnością pełna godności, i mierzył ich pełnym fałszu wzrokiem.

- Zakłócaliście porządek! - rzekł. - Biedni szaleńcy, sądzę, że chcieliście pomóc w ucieczce czarownicy. Gdzież zajdziemy, jeśli chłopci zaczną wtrącać swoje trzy grosze...

Zdawał się być straszliwie znudzony tym, co uważał za zwykły incydent. Jego spojrzenie pozbawione było zainteresowania. Zaczął obgryzać paznokcie lewego kciuka, a następnie splunął. Lecz nagle jego wypalone spojrzenie nabrało blasku. Zapalił się w nim płomień niedowierzania, a następnie zdziwienia. Wstał zza katedry, zszedł po stopniach i ciężko zbliżył się do Katarzyny, która z podniesioną głową patrzyła na niego. Wierzchem tłustej ręki zsunął czepek z jej głowy, odsłaniając złote warkocze. Zły uśmiech zmarszczył mu twarz.

- Wydaje mi się, że ci kiedyś powiedziałem, pani Katarzyno, iż nie zapomnę o tobie, ale, na mą duszę, nie sądziłem, że będę mógł ci to udowodnić w takich okolicznościach. Wiem dużo o twoich wyczynach, jak każdy w Burgundii, ale nie wiedziałem, co się z tobą dzieje. Jeśli dobrze rozumiem, teraz bawisz się w konspirację. Interesujesz się tą nikczemną czarownicą niezasługującą nawet na chrust, na którym się usmaży. To prawda, że rozpustnice darzą się sympatią i wspomagają się.

Ostry głos Arnolda przerwał mu w pół słowa.

- Zostaw ją w spokoju, wieprzu! Czy nie rozumiesz, że źle się poczuła w czasie tego żalosego przedstawienia, jakie przygotowałeś dla innej

kobiety? Wiem, że takimi przeciwnikami zajmujesz się najchętniej, ale lepiej zrobisz, jeśli zajmiesz się mną. Jestem tego wart.

Cauchon odwrócił się w jego stronę i popatrzył uważnie. Ale w tym sklepionym pomieszczeniu z małym otworem okiennym światło było słabe. Prałat podszedł do kominka, w którym zapalono ogień w celu osuszenia wilgotnych ścian, chwycił zapaloną głównię i zbliżył się do młodzieńca.

- Kim jesteś? - zapytał z ciekawością w głosie. - Twoja twarz nie jest mi obca... ale nie pamiętam, gdzie cię widziałem?

- Pomyśl! - rzucił Arnold z szyderstwem w głosie. - I wbij sobie w głowę, że jedynym twoim przeciwnikiem w tym miejscu jestem ja! Ta kobieta nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Zrozumiawszy, że Arnold stara się ją uratować, Katarzyna zaprotestowała. Za wszelką cenę chciała podzielić los Arnolda, jakkolwiek by on był.

- Dziękuję za twą wspaniałomyślność, ale nie zgadzam się. Jeśli ty jesteś winny, to ja również...

- Bzdury! - wykrzyknął Arnold z wściekłością. - Działiałem sam!

Niepewny wzrok biskupa przesunął się z jednego na drugie. Zważał jakąś tajemnicę i chciał ją wyjaśnić.

- Kat was pogodzi - powiedział, śmiejąc się ochryple. - Jeśli wyjawisz mi swoje nazwisko, zrozumieć może lepiej. Czy jesteś, jak pani de Brazey, zbiegiem z Burgundii?

Nieopisana pogarda wykrzywiła twarz Arnolda.

- Ja? Burgundczykiem? Znieważasz mnie, biskupie. Nie mam już nic do stracenia i mogę wyjawić ci swoje imię. Pomoże ci przynajmniej zrozumieć, że nie mam nic wspólnego z tą wariatką. Nazywam się Arnold de Montsalvy i jestem kapitanem Karola! Ona jest Burgundką. Jej bliscy w czasach Caboche'a zabili mojego brata. A ty chciałbyś, abym miał z nią coś

wspólnego? Jesteś szalony, biskupie, jeśli uwierzysz w podobną rzecz...

Z oczu Katarzyny wytrysnęła struga łez. Z pewnością Arnold chciał ją ocalić, ale nie mogła znieść pogardy, z jaką się do niej odnosił. Krzyknęła z rozpaczą:

- Więc znowu mnie odpychasz... nawet teraz. Dlaczego nie chcesz, abym z tobą umarła? Powiedz dlaczego?

Wyciągnęła ku niemu skute łańcuchami dłonie, gotowa czołgać się do jego stóp, aby usłyszeć jakieś łagodniejsze słowo. Zapomniała o tej groźnej scenerii, w jakiej się znajdowali, o nieprzyjaznym prałacie, który jej słuchał. Istniał dla niej jedynie ten tak namiętnie kochany mężczyzna, który odrzucał ją w tej ostatniej godzinie. Niewzruszony Arnold patrzył prosto przed siebie z zaciśniętymi zębami.

- Skończmy z tym, biskupie. Każ ją wypuścić. Wyznam ci wszystko, co uczyniłem przeciw tobie.

Ale Piotr Cauchon wybuchnął śmiechem i, pełen wesołości przepelnionej żółcią, usadowił się w swoim fotelu. Otworzył szeroko usta, w których ukazało się kilka popsutych zębów, jakie mu pozostały, i śmiał się na oczach więźniów. Następnie czknął i się uspokoił. Przesunął językiem po zeschniętych wargach jak tłusty kot, który zamierza zjeść mysz.

Nieprzyjazny błysk zapalił się w jego oczach, podczas gdy spojrzenie spoczęło na pojmany. Jego tłusta dłoń chwyciła Arnolda za kołnierz kaftana.

- Jeden z Montsalvych, czyż tak? Zapewne brat Michała. I sądzisz, że uwierzę w twoją bajeczkę. Sądzisz, że jestem chory na umyśle, lub przypuszczasz, że mam krótką pamięć? Puścić ją? Twoją współniczkę? Przecież wiem lepiej niż kto inny, jak bardzo ona i jej bliscy byli oddani twojej rodzinie.

- Legoix oddani mojej rodzinie? Chyba straciłeś zmysły?

Tak szalona złość ogarnęła tłustego biskupa, że aż zaczął się dusić. Dostał czkawki, lecz jego słowa nie straciły nic na jasności.

- Nienawidzę, gdy ktoś kpi sobie ze mnie. Byłem jednym z przywódców Caboche'a w czasie zamieszek. Wiem lepiej niż ty, że byli Legoix i Legoix. Chcesz mi wmówić, że nie wiesz, że ta nędznica, będąc jeszcze dzieckiem, starała się uratować twojego brata? Że jestem zbyt zidiociał, żeby sobie nie przypomnieć, iż dwójka dzieci odbiła więźnia, którego prowadzono na Montfaucon, z narażeniem własnego życia i z odwagą godną lepszej sprawy, że ukryli go w piwnicy ojca dziewczynki... W piwnicy Gauchera Legoix'a, tego przekłętą złotnika, którego rozkazałem natychmiast powiesić na jego własnym szyldzie. Gauchera Legoix'a, jej rodzony ojca! - Palcem drżącym z wściekłości wskazywał na Katarzynę, słuchającą go z radością i wzruszeniem, których nie mógł pojąć. Dusząc się z wściekłości... dodał:

- Ona, Katarzyna Legoix... ta ladacznica, ukryła twego brata w swoim łóżku, a ty ośmielasz się mnie prosić, biedny głupcze, abym ją wypuścił!

- Nie w łóżku - zaprotestowała Katarzyna, której oburzenie przywróciło jasność myślenia. - W piwnicy!

Ale Arnold nie słuchał już ani jej, ani Cauchona. Patrzył tylko na nią, tak jak jeszcze nigdy tego nie czynił. Z drżącym sercem Katarzyna spoglądała na niego. W czarnych oczach młodzieńca zobaczyła wielką radość, tyle miłości i pasji, których nie miała nadziei zobaczyć już nigdy. Nie spuszczać z niej oczu, wyszeptał:

- Nie wiesz, biskupie, co dla mnie uczyniłeś. Gdybyś wiedział, bardzo byś tego żałował. Katarzyno... moja miłości... moja jedyna, cudowna miłości... czy będziesz mogła mi kiedyś wybaczyć?

Byli teraz bardzo daleko od tej ponurej wieży, od wilgotnych murów i od kapryśnego starca, który dusił się w fotelu, łapiąc z charczeniem

powietrze uciekające z chorych płuc. Złość, której dał się porwać, wywołała gwałtowny atak rozedmy. Z głębi gardła wydobywał się charkot, z trudem łapał powietrze. Ale choćby umarł w ich obecności, Katarzyna i Arnold, zajęci sobą, nie zwróciliby na to uwagi. Korzystali z tej tak nieoczekiwanej chwili, która zniszczyła wszystkie istniejące między nimi przeszkody, która zamieniła w kupę popiołu wszystkie minione lata, wszystkie urazy, niechęć i dawne okrucieństwa.

- Nie mam ci nic do wybaczenia - szepnęła w końcu Katarzyna - ponieważ teraz możesz mi uwierzyć, że cię Kocham...

Charczenie biskupa zwabił mnicha, który wznosząc ręce do nieba, rzucił się na pomoc zwierzchnikowi. Ten między kolejnymi dwoma atakami kaszlu wskazał na więźniów drżącą ręką:

- Wrzuć ich do lochów.

Łucznicy wyprowadzili ich z sali, a oni nadal patrzyli na siebie. Skute ręce nie pozwalały im się dotykać, ale niemy język spojrzeń czynił ich bliskimi, jak jeszcze nigdy dotąd. Obydwoje mieli pewność, że zawsze byli dla siebie stworzeni, że się wzajemnie uzupełniają, że każde jest całym światem dla drugiego i w tym szczęściu zapomnieli nie tylko o wszystkim, co tak długo ich dzieliło, lecz także o śmierci, która ich czekała.

Strażnicy tak się bali, aby więźniowie nie kontaktowali się ze sobą, że zamknęto ich w oddzielnych wieżach, na samym dnie lochów. Arnold został przykuty w podziemiach dzwonnicy, a Katarzyna w więzieniu wieży Dwóch Herbów. W ten sposób między nimi a wieżą Bouvreuil, gdzie więziono Dziewicę, powstał tragiczny trójkąt. Mimo że Katarzyna znalazła się po raz pierwszy w tak strasznym miejscu, bo spuszczone ją na linie do błotnistej jamy, gdzie nie dochodziło żadne światło, była tam tak szczęśliwa, jak nigdy w pałacu Filipa ani w zbytkownym domu zmarłego męża. Miłość zastępowała jej światło, ciepło i wszystko to, czego jej brakowało.

Znajdowała się w stanie łaski, a myśli o Arnoldzie podtrzymywały ją na duchu. Jedynie gdy myślała o jego cierpieniach, czuła się nieszczęśliwa. Obawiała się tylko jednego: że nie zobaczy go przed śmiercią. Ale ta obawa nie trwała długo. Zbyt dobrze znała Piotra Cauchona i wiedziała, że nie pozbawi się on wybornej zabawy: aby każde z nich obserwowało męki zadawane drugiemu.

Jednak czas upływał i nic się nie działo. Nie było jeszcze ani sędziów, ani przesłuchań i strażnik milczał. Katarzyna wyliczyła po częstotliwości zmian warty, że minęło pięć albo sześć dni. Ale nie była tego pewna w norze, gdzie nie dochodził najmniejszy promyk słońca. Z pewnością gdyby trwało to jeszcze dłużej, wpadłaby w rozpacz. Ale tak się nie stało. Któregoś dnia blask pochodni oświetlił śmierdzącą norę, a na linie zjechał po uwięzioną strażnik.

Znalazła się w pełnym słońcu, na dziedzińcu zamkowym, mrużąc oczyma nocny ptak. Żołnierze, którzy zdawali się na nią czekać, wybuchnęli gromkim śmiechem, patrząc, jak niezdarnie porusza się w więzach. Jeden z nich schwytał wiadro wody i wylał na Katarzynę, wrzeszcząc:

- Fu! Ale ta dziewczka cuchnie!

Zabawa spodobała się innym. Kto tylko mógł, zaczął wylewać na Katarzynę wodę. Zimna woda początkowo sprawiała jej przykrość, ale słońce grzało już dobrze. Poczula się lepiej, gdy błoto z lochów zaczęło spływać z niej z każdym wiadrem wody... Ale wkrótce dowódca wydał krótki rozkaz i żołnierze zaprzestali zabawy. Ociekająca wodą Katarzyna poczuła nagle radość w sercu: z wieży dzwonnicy wyszedł Arnold, słaniając się na nogach, szedł po omacku, ze skutymi rękami. Był wychudzony i brudny. Strażnicy otoczyli ich, toteż nie mogli podejść do siebie, ale młodzieniec żył, więc radość jej nie miała granic. Łańcuchy zastąpiono sznurami i zaczęto ich prowadzić, popychając lancami, w kierunku

zwodzonego mostu. Z pewnością wybiła godzina śmierci, prowadzono ich na jakiś plac w mieście, gdzie stracenie miało służyć ludziom ku przestrodze...

* * *

Kiedy więźniowie wraz z eskortą wyszli na Stary Rynek, Katarzyna pomimo stanu łaski, w jakim się znajdowała od kilku dni, poczuła, że odwaga ją opuszcza, a w ciało wślizguje się strach. Nadchodząca śmierć bywa niekiedy straszna. Katarzyna zobaczyła przed sobą rusztowanie wysokości jednego piętra, na którym zgromadzono dużą ilość polan i chrustu: nad tym wszystkim górował wysoki pal, z którego zwisały łańcuchy. Jej przestraszone spojrzenie zaczęło szukać wzroku Arnolda. On również patrzył na stos ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi szczękami; być może walczył z takim samym strachem.

Katarzyna pomyślała, że w czasie walki pewnie mierzy wroga takim właśnie spojrzeniem. Ale on chyba myślał o Katarzynie, bo jego wzrok zwrócił się w kierunku dziewczyny z taką miłością i litością, że uczuła, jak strach nieco maleje. Wokół stosu kręcili się ludzie w łachmanach, układając dodatkowe wiązki chrustu pod kierunkiem kata.

Plac wypełnił się ludźmi, ale byli to głównie żołnierze angielscy. Mieszkańcy miasta musieli zadowolić się oknami, dachami i słupami starej hali, bo na trójkątnym placu, pośrodku którego stał kościół Świętego Zbawiciela, zgromadziło się sześciuset lub siedmiuset żołnierzy. Dalej, poza wysokim stosem, znajdowało się małe rusztowanie z szubienicą, ale Katarzyna wiedziała, że stoi ona tam zawsze, a zresztą nikt nie zwracał na nią uwagi.

Żołnierze popędzili przed sobą więźniów, ale nie w stronę stosu, lecz zatrzymali się przy dwóch wielkich wyłożonych purpurą trybunach, które

zaczęły wypełniać się duchownymi i angielskimi dygnitarzami. Łucznicy otoczyli ich tak ściśle, że byli niewidoczni dla tłumu. Stojąc tuż obok Arnolda, Katarzyna poczuła, że wraca jej odwaga; nie mogli schwycić się za ręce, ale dotykali się ramionami. Arnold szepnął szybko:

- To nie my mamy tutaj umrzeć, Katarzyno. Ten stos czeka na kogoś innego... obawiam się, że wiem na kogo. Popatrz na trybuny.

- Uciszyć się! - krzyknął sierżant dowodzący eskortą. Teraz na największej trybunie pojawili się biskupi, wśród

których Katarzyna rozpoznała Cauchona. Otaczali potężną postać w purpurowej szacie z gronostajowym kołnierzem: był to kardynał Winchesteru, przy którym stał w zbroi zarozumiały książe de Warwick. Kiedy ważne osobistości zajęły miejsca w fotelach, gruby kardynał zrobił ruch ręką i dzwony całego miasta zaczęły dzwonić, jakby tylko czekały na ten znak: najpierw kościół Świętego Zbawiciela, potem kościół Świętego Stefana, następnie katedra, kościół Saint-Maclou, Saint-Ouen i pozostałe. Żałobne nuty wlały się w duszę Katarzyny. Poczowała chłód pomimo ciepłych promieni słońca, które wysuszyły już jej włosy i odzienie. Z jednej z uliczek wytoczył się wóz otoczony setką angielskich żołnierzy. Przykuta do drabiny na wozie stała biała postać.

- Joanna - szepnęła Katarzyna, mając ściśnięte z rozpacz gardło. - Mój Boże, to Joanna!

Miserere zaintonowane przez pięćdziesięciu mnichów zagłuszyło jej słowa, więc popatrzyła na Arnolda z przestraczem.

- Czy będziemy oglądać te okropności?

Nie odpowiedział, tylko spuścił głowę i Katarzyna zobaczyła dwie wielkie łzy toczące się po jego policzkach. Opuściła głowę i też zaczęła płakać. Związane ręce bolały ją bardzo, żałowała, że nie może przysłonić nimi oczu, zatkać uszu, aby nie słyszeć dzwonów, złowrogiego śpiewu i

śmiechów żołnierzy. Od tego momentu zaczął się dla Katarzyny straszny koszmar, który osiągnął punkt kulminacyjny, kiedy zobaczyła białą, związaną postać na szczycie olbrzymiego stosu. Jak przez mgłę, zapłakanymi oczami dostrzegła brata Isambarta. Prowadził Joannę na stos. Katarzyna usłyszała, że Joanna prosi o krzyż, zobaczyła, jak sierżant pochyła się i podnosi dwie gałązki, przewiązuje je sznurowadłem i podaje męczennicy. Kat biegał już wokół stosu z pochodnią w dłoni. Pojawił się czarny dym, buchnęły płomienie. Okropny smród siarki i smoły wypełnił powietrze. Wyczerpana, będąc u kresu wytrzymałości, Katarzyna pochyliła się i zaczęła wymiotować.

- Mój Boże - krzyknął Arnold, szarpiąc więzy. - Katarzyno! ... Nie umieraj!...

Angielski sierżant bez słowa wyskoczył z grona kolegów i pobiegł do pobliskiej oberży „Pod Koroną”. Powrócił z dzbanem wina i zmusił Katarzynę do wypicia kilku łyków. Nieszczęsna poczuła się trochę lepiej. Wino, niczym ogień, rozgrzało jej ciało, przywróciło życie. Spróbowała się uśmiechnąć, aby podziękować temu, który ją poratował. Był to człowiek w średnim wieku, z wielkimi wąsami i siwiejącymi włosami. Zobaczyła, że jego oczy są pełne łez.

- Dziękuję, kamracie... - powiedział poważnym głosem Arnold.

Żołnierz wzruszył ramionami, otarł szybko wilgotne policzki i powiedział, patrząc w stronę stosu:

- Nie prowadzę wojny z kobietami! Nie jestem biskupem Cauchonem.

Mówił kiepsko po francusku, ale można go było zrozumieć. Stos płonął już teraz całkowicie. Ze środka płomieni dochodził krzyk. Była to skazana. Krzyczała:

- Jezu!

Nie można już było jej zobaczyć, ale brat Isambart, ryzykując życiem,

wyciągał nadal w jej stronę wielki krzyż procesyjny, przyniesiony z kościoła. Kłęby czarnego dymu przysłaniały wszystko. Ze środka stosu przestały już dochodzić krzyki. Kiedy kat rozgarnął nagle płomień, pojawiło się ciało Joanny. Już nie żyła. Ogień strawił koszulę, ukazując ciało dziewczyny pokryte szerniałą krwią. Dla Katarzyny tego było za wiele, zemdlała...

Otworzyła oczy pod wpływem gwałtownego bólu. Ktoś uderzył ją w twarz, i poczuła w gardle coś piekącego. Zaczęła kaszleć, wypluła palący płyn, w końcu usiadła i otworzyła oczy. Angielski sierżant, który dał jej się napić wina w czasie męczarni Joanny, klęczał przy niej ze skórzaną manierką w ręce.

- Czujesz się lepiej? - zapytał łagodnie.

- Tak, trochę lepiej... Dziękuję! Ale... gdzie jest Arnold?

Znajdowała się w niskim, pustym pomieszczeniu, siedziała na wiązce słomy. Światło docierało tutaj przez małe, umieszczone wysoko okienko, ale piwnica nie wyglądała na więzienie.

- Twój towarzysz? Jest w sąsiednim pomieszczeniu, dobrze go pilnują... Zabrałem cię tutaj, abyś mogła w spokoju dojść do siebie.

- Gdzie jesteśmy?

- Przy bramie Wielkiego Mostu. Mamy rozkaz trzymać was tutaj do zapadnięcia zmroku. Nie pytaj o nic więcej Spróbuj się przespać...

Oddalił się, ciężko szurając metalowymi podeszwami po nierównych płytach. Katarzyna chciała zrobić jakiś ruch, ale jej ręce były nadal związane. Opadła na słomę ze łzami w oczach.

- Arnoldzie, gdzie jesteś?... Tak chciałabym cię zobaczyć!

- Zobaczysz go później. W tej chwili nie jest to możliwe. Sierżant miał wyjść, kiedy zawołała:

- Proszę, poczekaj chwilę! Byłeś dla mnie dobry. Dlaczego? Przecież jesteś Anglikiem!

- Czy to wystarczający powód, aby nie okazać litości biednej dziewczynie? - powiedział ze smutnym uśmiechem. - Widzisz, mam córkę. Mieszka z matką w małej wiosce koło Exeter... jesteś do niej trochę podobna. Kiedy przyprowadzono cię na plac, wydało mi się, że to ją widzę. Sprawilo mi to ból.

Bez wątpienia nie chcial powiedziec nic wiecej, bo wyszedl pospiesznie i zamknal za soba drzwi. Katarzyna uslyszala jakies glosy, ale nie zrozumiala, o czym znajdujacy sie za drzwiami rozmawiaja. Byla zbyt zmeczona, aby sie zastanawiac, czemu tu jest. Dlaczego nie zaprowadzono ich do wiezienia? Dlaczego maja tu pozostac do zapadniecia zmroku? Zreszta odpowiedz wkrótce nadejdzie. Uslyszala, jak wielki zegar na wiezy bije siedem razy, i zamknela oczy, aby troche odpoczac.

Powoli w wiezieniu robilo sie coraz ciemniej. Zza okienka dochodzil plusk rzeki. Zarysy pomieszczenia stawaly sie coraz mniej wyraźne, a potem znikly. Wkrótce poza smuga zoltego swiatla dochodzacego zza drzwi nie bylo innego oswietlenia. Chciala podejsc do drzwi, aby posluchac, o czym rozmawiaja mezczyzni, ale byla przykuta do sciany. Zreszta drzwi otworzily sie wkrótce. Staneli w nich dwaj lucznicy oraz czlowiek w czarnej todze; za nim wszedl jeszcze jeden czlowiek i Katarzyna wydal okrzyk trwogi, gdyz rozpoznala w nim kata, Geoffroya Terrage'a. Trzymal w rece cos bialego. Jeden z lucznikow rozkul Katarzynie i rozwiatal jej rece, nastepnie zmusil ja, aby uklkla, kladac rece na jej ramionach. Czlowiek w czerni odkaszlnal, wyciagnal z kieszeni pergamin i zaczal czytac w swietle dochodzacych zza otwartych drzwi:

- Z rozkazu Sadu Kościelnego miasta Rouen Piotr i Katarzyna Son (bylo to fałszywe nazwisko, jakie przybrali Arnold i Katarzyna), będący w zmowie z czarownicą o przydomku Dziewica, spalona dzisiaj na Starym Rynku, zostają skazani na utopienie w Sekwanie ręką kata...

Katarzynę nagle ogarnęła złość. Zerwała się, gotowa skoczyć do gardła mężczyźnie w czerni.

- Skazani? A któż nas osądził?... Ten dokument wcale mnie nie dotyczy. Nie jestem Katarzyną Son, tylko Katarzyną de Brazey, a mój towarzysz to szlachetnie urodzony Arnold de Montsalvy...

Jeśli chciała zrobić wrażenie na sędzim, to się myliła. Westchnął z wyrazem zmęczenia i popatrzył na kata.

- Czyń swą powinność, panie Geoffroy... Biskup uprzedził nas, że ci nieszczęśnicy nie są przy zdrowych zmysłach i że dręczy ich demon pychy. Ona również uważa się za damę.

Terrage zaśmiał się i rzucił Katarzynie białą rzecz, którą trzymał w ręce.

- Włóż to... a szybko, jeśli nie chcesz, abym uczynił to osobiście.

Była to długa, biała koszula. Katarzyna miała dziwne, absurdalne wrażenie, że wszystko zaczyna się od nowa. Czy znajduje się w Rouen, czy też otaczają ją jeszcze mury Orleanu? Znowu szła na śmierć. Ale nie czuła żadnego buntu. Miała umrzeć... lecz umrzeć z Arnoldem, złączona z nim na wieki. Jakie w tej sytuacji miał znaczenie sposób wykonania wyroku? Niech to będzie woda lub szubienica, byleby nie był to ten straszny ogień!

Szybko rozebrała się, spuściwszy oczy, aby uniknąć spojrzeń otaczających ją mężczyzn, włożyła koszulę i spokojnie zawiązała sznurek na szyi.

- Jestem gotowa! - powiedziała z wyższością, która wprawiała kata w zakłopotanie.

Wyprowadzono ją z pomieszczenia dla straży i skierowano się za bramy miasta. Na ulicach nie było nikogo, gdyż obowiązywało już gaszenie świeć. Wiał ostry wiatr od morza, a po niebie gnały czarne chmury.

Pośrodku Wielkiego Mostu stała grupka ludzi z pochodniami, które

gasił wiatr. Katarzyna rozumiała doskonale działanie Cauchona. Byłoby trudno skazać i stracić ludzi o ich pozycji, tym bardziej że wiedział o związku, jaki łączył przez długi czas Katarzynę z Filipem Burgundzkim. Ten sposób był wygodny. Któż mógłby mu czynić wyrzuty, że kazał wrzucić nocą do Sekwany dwójkę nicponi, którym wydawało się, że są w zмовie z Joanną d'Arc, i co się z tym łączy, trochę nienormalnych? Rzeczywiście, było to bardzo sprytne.

Katarzyna była całkowicie spokojna. Mogła nawet patrzeć na wodę, której wilgotny powiew przynosił wiatr. A więc to w ten sposób wszystko miało się skończyć? Nie było już naprawdę żadnej nadziei? W gruncie rzeczy tak było dobrze. Umrą razem, dawni wrogowie, których teraz złączyła na wieki głęboka miłość. Przynajmniej to marzenie się spełniło.

Kiedy doszła ze strażnikami do grupki oczekującej na moście, zobaczyła stojącego pośrodku Arnolda. Zdjęto z niego brudne i potargane odzienie, tylko na biodrach miał przepaskę z płótna. Wyglądał jak antyczny posąg stojący pośród błota. Stał z rękami związanymi na plecach i z uśmiechem patrzył na zbliżającą się Katarzynę. Dziewczyna zrozumiała, że i jemu to wystarcza, że nie prosi o nic więcej. U stóp młodzieńca leżał olbrzymi skórzany worek i trzy kamienne kule. Stojący obok niego kapłan podniósł krzyż z czarnego drewna...

- Macie trzy minuty, aby wyrazić skruchę za popełnione błędy - powiedział kat ochrypłym głosem.

Wtedy ramię w ramię uklękli u stóp kapłana, niczym małżonkowie w kaplicy, i pochyłili głowy. Słowa rozgrzeszenia dotarły do nich jak z głębi sennego marzenia. Następnie kat zapytał jeszcze:

- Czy macie ostatnie życzenie?

Arnold odpowiedział, patrząc na Katarzynę:

- Rozwiąż mnie, abym mógł ją wziąć w ramiona. W ten sposób śmierć

będzie łatwiejsza do zniesienia dla niej i dla mnie również.

Geoffroy Terrage spojrzał na człowieka w czerni. Wydawało się, że kata rozdziera jakiś wewnętrzny niepokój. Był zdenerwowany. Sędzia zrobił obojętny ruch.

- Zrób to, jeśli tego chcą.

Jeden ruch sztyletu i pęta Arnolda spadły. Natychmiast wziął Katarzynę w ramiona, przytulił do siebie i pokrył jej twarz pocałunkami.

- To nie będzie trwało długo, zobaczysz - powiedział czule. - Któregoś dnia, kiedy byłem dzieckiem, o mało co nie utopiłem się w jeziorze w moich stronach, straciłem przytomność To nie boli. Nie trzeba się bać.

- Z tobą, Arnoldzie, nie boję się bólu. Tylko chciałabym mieć jeszcze trochę czasu, aby powiedzieć ci o mojej miłości...

- Ależ, droga przyjaciółko, będziemy mieć mnóstwo czasu, cała wieczność przed nami.

Za nimi ktoś pociągnął nosem, a następnie jakiś zachrypnięty głos zapytał:

- Czy... jesteście gotowi?

- Tak, jesteśmy gotowi! - powiedział Arnold, przytulając Katarzynę.

Patrzyli tylko na siebie i nie widzieli, jak kat wkłada na dno worka kamienne kule. Następnie przez szeroki otwór włożono ich, obejmujących się, do skórzanego worka; spowiła ich całkowita ciemność. Głos kapłana szepczącego modlitwy za umarłych dochodził do nich jakby z daleka. Katarzynie zrobiło się nagle bardzo gorąco. Zaczęła drżeć. Był to odruch strachu, który Arnold stłumił pocałunkiem. Potem poczuła, że worek uchwyciło i podniosło wiele rąk.

- Nie bój się - szepnął Arnold. - Kocham cię!

W tej chwili spadli w próżnię, która wydała im się bezkresna. Dał się słyszeć głośny plusk i uderzenie połączone z lodowatym zimnem. Bardzo

obciążony worek przeciął wodę, która zamknęła się nad nim. Wszystko się skończyło, dobrze się skończyło. Katarzyna przytulona do Arnolda pomyślała, że zabiera ze sobą swoją miłość. Był wraz z nią, przytulony do niej. Czuł jej oddech... oddech, który stawał się coraz krótszy. Zaczynała się dusić. Czerwone, oślepiające błyski przemykały pod zamkniętymi powiekami. Brakowało jej powietrza. Powoli do skórzanego worka wdzierała się zimna woda, jak zwierzę nieczyste i lepkie. Katarzyna oderwała usta od ust Arnolda i chciała jeszcze szepnąć:

- Kocham cię...

Ale zabrakło jej powietrza. Wpadła w głęboką i czarną przepaść, wyzwolona w końcu od cierpienia, strachu i ludzi, podążająca na spotkanie ze śmiercią wraz z tym, którego kochała...

* * *

- Sądziłem, że nigdy nie uda mi się złapać tego przekłętą worka! - powiedział w ciemności zasapanym głosem Jan Son. - Był strasznie ciężki. Na szczęście to ostrze tnie niczym brzytwa.

Na wpół jeszcze nieprzytomna Katarzyna zdziwiła się, że słyszy po śmierci ludzkie głosy. Ale coś cierpkiego i pachnącego spłynęło jej na wargi i spowodowało, że otworzyła oczy.

Było ciemno, zimno, a wysoko na niebie świeciła wielka gwiazda. Katarzyna zaczęła szczerkać zębami.

- Trzeba zdjąć z niej tę przemoczoną koszulę - powiedział znajomy głos. - W barce są suche ubrania...

Wtedy zrozumiała, że to nie senne marzenie, lecz że została uratowana. Zobaczyła pochylający się nad nią olbrzymi cień, usłyszała głos Arnolda, poczuła, jak ręce młodzieńca ściągają z niej mokre odzienie i zakładają coś

suchego i miękkiego.

- Jak mamy ci podziękować, Janie? Dokonałeś cudu, ratując nam życie. To rzeczywiście cud! - z niedowierzaniem mówił Arnold.

- Ależ nie, ależ nie - odpowiedział drugi głos, śmiejąc się. - Mam wielu znajomych Anglików, więc zebrałem potrzebne informacje. Dowiedziałem się, co was czeka, i schowałem się pod mostem, tam gdzie zwykle wrzuca się skazańców. Oczywiście trochę się bałem, że mi się nie uda. Już od dawna nie pływałem. Ale miałem szczęście, złapałem worek i rozciąłem go na całej długości. Teraz jest na samym dnie, a wy zostaliście ocaleni, i to jest najważniejsze!... Ale musicie uciekać stąd szybko! Zanim wstanie dzień, musicie oddalić się od Rouen najdalej, jak to możliwe. Barka jest mocna. Znajdziecie w niej bosak, złoto i jedzenie... Trzeba dopłynąć do Pont-de-L'Arche i skierować się na Louviers. Życzę wam szczęścia!

- Jeszcze raz dziękujemy! - szepnął Arnold.

Katarzyna wyprostowała się z trudem. Siedziała teraz w barce i czuła, że ramię Arnolda obejmuje ją mocno. Na brzegu zobaczyła oddalającą się ciężką sylwetkę Jana Sona.

- Czy naprawdę jesteśmy ocaleni?

Odgadła, że Arnold uśmiecha się, poczuła jego usta na powiekach.

- Ależ tak! Jesteśmy ocaleni i wolni... To wspaniałe! Wspólna śmierć też byłaby wspaniała...

Śmiech Arnolda, dawny śmiech pełen szczęścia i siły, znowu zadźwięczał w jej uszach.

- Można by powiedzieć, że tego żałujesz?

- Trochę - szepnęła Katarzyna. - To było piękne! Co teraz będziemy robić?

- Będziemy żyć... i będziemy szczęśliwi. Mamy wiele spraw do nadrobienia.

Wstał i Katarzyna zobaczyła jego mocną sylwetkę odcinającą się od ciemności nocy. Odwiązał barkę ukrytą wśród trzciny, chwycił bosak i zanurzwszy go w wodzie, silnym ruchem odepchnął łódź od brzegu. Coś białego przeleciało nad nimi, wydając nieprzyjemny krzyk, a potem zanurkowało w ciemnej wodzie.

- Co to jest? - zapytała Katarzyna.

- Mewa. Łowi ryby... Nauczę cię łowić ryby, kiedy będziemy już w Montsalvy.

- W Montsalvy?

- Oczywiście! Przecież tam cię zabieram!... Do mnie, do ciebie, do nas... Wiem, że mam jeszcze rachunki do wyrównania z Cauchonem, ale najpierw musimy zbudować nasze szczęście. Zbyt długo na to czekaliśmy.

Katarzynę ogarnęła fala radości. Lekka i szczęśliwa ułożyła się na dnie spokojnie płynącej barki. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła, jakie to wielkie szczęście, że nie musi sama decydować o przyszłości, że jakaś siła wielka i łagodna robi to za nią. Na krańcu tej drogi było życie we dwoje...

Życie z jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała.

CDN.